



THE
PARADISE
WAR

STEPHEN R.
LAWHEAD

THE SONG OF ALBION TRILOGY

LAWHEAD STEPHEN

Piesn Albionu #1 Wojna o Raj

Pieśń Albionu

Księga pierwsza

STEPHEN LAWHEAD

Tłumaczyła Maria Duch

Zysk i S-ka Wydawnictwo

Tytuł oryginału *The Paradise War*

Text copyright © 1991 by Stephen Lawhead.

Original edition published in English under the title *Paradise War* by Lion Publishing, Oxford, England

Copyright © 1991 by Lion Publishing Copyright © 1996 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c., Poznań

Copyright © for the cover illustration by Rodney Matthews

Redaktor

Maria Bosacka

ISBN 83-7150-123-4

Zysk i S-ka

Wydawnictwo s.c.

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

fax 526-326

Dział handlowy tel./fax 532-751

Redakcja tel. 532-767

Fotoskład

dtp Marek Barłóg

Poznań, tel./fax 231-610

Printed in Germany by Elsnerdruck-Berlin

Skoro cały świat jest jedynie

opowieścią, lepiej abyś kupił sobie

bardziej zajmującą opowieść od

opowieści mniej zajmującej.

Columba, irlandzki misjonarz w Szkocji

Dla Ruby Duryea

1. Tury na tapecie

szystko zaczęło się od turów.

Siedzieliśmy przy śniadaniu w naszym pokoju w akademiku. Simon jak zwykle z upodobaniem oddawał się krytyce całego świata, w czym wyraźnie pomagała mu lektura porannej gazety.

–A to dobre – prychnął pogardliwie – wygląda na to, że mamy inwazję zagranicznych fotoreporterów, którzy palą się wystawić swe filmy – i kto wie co jeszcze – na egzotyczne światła naszej kochanej starej Anglii. Zamknijcie swe córki! Po kraju kręcą się europejscy paparazzi!

Przez jakiś czas skakał z tematu na temat, po czym oznajmił:

–Stop! Posłuchaj tego! – gwałtownym ruchem rozpostarł gazetę i usiadł wyprostowany, przybierając niezwykłą dla siebie pozycję.

–Czego posłuchać? – zapytałem beztrąsko. Dawno przestało mnie już bawić to głośnie odczytywanie gazety i wzgardliwy ton radiowego reportera, pełen szyderstwa i sarkazmu, dobrze przygotowany jego własną, unikalną mieszanką cynizmu. Nauczyłem się chrząkać potakująco w trakcie jedzenia jajek i tostów. To oszczędzało mi uważnego słuchania jego wywodów, choćby były nie wiem jak elokwentne.

–Jakiś otumaniony Szkot znalazł na swym zagonie tura.

–Co ty powiesz. – Zanurzyłem róg tostu w żółtku ugotowanego na miękko jajka i czytałem dalej o niezadowolonym motorniczym londyńskiego metra, który odmówił zatrzymania składu, tym samym zmuszając pasażerów zatłoczonego pociągu do jeżdżenia w kółko przez ponad pięć godzin. – To interesujące.

–Najwyraźniej zwierzę przywędrowało z pobliskiego lasu i padło na środku łąki jakieś dwadzieścia mil na wschód od Inverness. – Simon opuścił gazetę i spojrzał na mnie. – Słyszałeś, co powiedziałem?

–Każde słowo. Przywędrowało z lasu i padło w pobliżu Inverness – prawdopodobnie z nudów – odparłem. – Wiem, jak musiało się czuć.

Simon wpatrywał się we mnie z uporem.

–Nie zdajesz sobie sprawy, co to znaczy?

–To znaczy, że zadzwonią do miejscowego oddziału Królewskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt. Wielkie rzeczy. – Pociągnąłem łyk kawy i wróciłem do lektury strony poświęconej sportowi. – Nie nazwałbym tego wiadomością z ostatniej chwili.

–Nie wiesz co to tur, prawda? – zapytał podejrzliwie. – Nie masz najmniejszego pojęcia.

–Jakiś zwierz... sam dopiero co tak powiedziałeś – zaprotestowałem. – Doprawdy, Simon, pisma, które czytasz... – trzepnąłem pogardliwie w jego gazetę. – Spójrz na te nagłówki: “Księżniczka zamieszana w seksualne intrygi!” albo “Wstrząsająco odrażający weekend biskupa w salonie masażu Turczynki!” Według mnie, czytasz te śmieci jedynie dla podsycenia swego pesymizmu.

Simon pozostał niewzruszony.

–Nie masz najmniejszego pojęcia, czym jest tur. No dalej, Lewis, przyznaj się.

–To rodzaj świni – spróbowałem desperacko.

–Nieźle! – Simon odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Miał paskudny lisi śmiech, którego używał, gdy chciał wyszydzić czyjąś ignorancję. Simon był wyjątkowo dobry w wyśmiewaniu; był mistrzem pogardy, wykpiwania i w ogóle naigrawania się.

Nie dałem się wciągnąć. Wróciłem do lektury swojej gazety i wepchnąłem tost do ust.

–Świnia? Tak powiedziałaś? – roześmiał się ponownie.

–Dobrze, już dobrze! Proszę, niech pan powie, profesorze Rawson, czym jest tur?

Simon złożył gazetę, następnie zgiął ją na pół i podsunął mi pod nos. – Tur jest rodzajem wołu.

–Któż by pomyślał – udałem zdumienie. – Mówisz wół? Wół padł? A niech mnie, co wymyślą następnym razem? – Ziewnąłem. – Daj mi spokój.

–W takim ujęciu istotnie nie wygląda to na nic szczególnego – przyznał Simon, po czym dodał: – Tylko tak się składa, że ten właśnie rodzaj wołu jest stworzeniem z epoki lodowcowej, uważanym za wymarłe od dwóch tysięcy lat.

–Wymarłe. – Pokręciłem wolno głową. – Skąd oni wytrzasnęli to bydlę? Jeśli chcesz znać moje zdanie, to jedyną wymarłą tu rzeczą jest twój wrodzony sceptycyzm.

–Zdaje się, że ostatnie tury wyginęły w Anglii przed wyładowaniem Rzymian – aczkolwiek nieliczne egzemplarze mogły przetrwać na kontynencie do szesnastego stulecia.

–Fascynujące – odparłem.

W gazecie, którą Simon cały czas trzymał przed moimi oczami, zobaczyłem ziarnistą, źle reprodukowaną fotografię ogromnego czarnego pagórka, który być może był ssakiem. Obok tej nieokreślonej masy stał ponuro wyglądający mężczyzna w średnim wieku. Trzymał bardzo długi, zakrzywiony przedmiot, swym kształtem i

rozmiarem przypominający z grubsza starodawną kosę. Ten przedmiot był w pewien sposób połączony z leżącym obok cielskiem.

–Ale sielankowy obrazek! Człowiek przy kupie gnoju z rolniczym narzędziem w dłoni. Jakiż to swojski widoczek – drwiłem naśladując Simona.

–Ta kupa gnoju, jak powiedziałaś, jest turem, a narzędzie w ręku rolnika jest jednym z rogów tego zwierzęcia.

Spojrzałem ponownie na zdjęcie i niemal udało mi się dojrzeć łeb zwierzęcia poniżej wielkiego pagórka jego grzbietu. Sądząc po rozmiarach rogu, zwierzę musiało być ogromne – trzy, cztery razy większe od zwykłej krowy. – Fotomontaż – zawyrokowałem.

Simon cmoknął.

–Zawiodłem się na tobie, Lewis. Taki młody i już taki cyniczny.

–Ty chyba w to nie wierzysz... – dźgnąłem palcem gazetę – w to oszukańcze powiększenie? Preparują tego na tony – produkują tego całe ciężarówki!

–No cóż – przyznał Simon, podnosząc swoją filiżankę herbaty i wpatrując się w jej zawartość – pewnie masz rację.

–Mogę się założyć – triumfowałem. Przedwcześnie, jak się okazało. Powinienem być go znać lepiej.

–Mimo wszystko nie zaszkodziłoby sprawdzić. – Podniósł filiżankę, pobalansował nią trochę i wypił herbatę. Potem, jakby już podjął decyzję, wsparł się dłońmi o blat stołu i wstał.

Dostrzegłem szelmowski błysk w jego oczach. Znałem doskonale to spojrzenie, wzbudzało we mnie lęk.

–Nie mówisz tego poważnie.

–Jestem absolutnie poważny.

–Nie ma mowy.

–Daj spokój. To będzie przygoda.

–Mam dziś po południu spotkanie z moim promotorem. To dla mnie wystarczająca przygoda.

–Chcę, abys ze mną jechał – nalegał Simon.

–A co z Susannah? – nie dawałem za wygraną. – Zdaje się, że miałaś zjeść z nią lunch.

–Susannah zrozumie – oznajmił i odwrócił się gwałtownie. – Weźmiemy mój samochód.

–Nie. Naprawdę. Posłuchaj, Simon, nie możemy rzucać się w pogoń za tym wołem. To niedorzeczne. Niczego takiego nie ma. To równie głupie, jak te czarodziejskie koła na polach kukurydzy, nad którymi wszyscy pracowali w zeszłym roku. To oszustwo. A poza tym, nie mogę jechać, bo mam robotę, tak jak i ty.

–Wypad na wieś dobrze ci zrobi. Świeże powietrze. Przewentylujesz sobie szaraczki. To pożywka dla ducha. – Energicznym krokiem przeszedł do drugiego pokoju. Słyszałem, jak wykręca numer i po chwili mówi: – Posłuchaj, Susannah, co do dzisiejszego spotkania... okropnie mi przykro, skarbie, coś mi wypadło... Tak, jak tylko wrócę... Później... Tak, niedziela, nie zapomnę... przysięgam, niech skonam. Pa! – Rozłączył się i ponownie wykręcił numer. – Tu Rawson. Będę potrzebował dziś rano samochodu... Piętnaście minut. W porządku. Wielkie dzięki.

–Simon! – krzyknąłem. – Odmawiam!

Oto jak doszło do tego, że stałem teraz przy St. Aldate w deszczowy, piątkowy poranek, trzeciego tygodnia listopadowej sesji. Z nosa kapala mi mżawka, a ja czekałem na podstawienie samochodu Simona i zastanawiałem się, jak on to załatwił.

Obaj, ja i Simon, byliśmy doktorantami. Mieszkaliśmy razem. Wystarczyło, że Simon szepnął słówko przez telefon i podstawiano mu samochód, kiedy i gdzie chciał, podczas gdy mnie portier nie pozwalał nawet przez pół minuty opierać o bramę mojego biednego, sfatygowanego roweru. No cóż, jak sądzę, arystokracja ma swoje przywileje.

Na tym nie koniec, dzieląca nas przepaść była jeszcze głębsza. Podczas gdy ja byłem nieco ponad średniego wzrostu i lichej postury, a do mojego odbicia w lustrze pasowało jedynie określenie cherlak, Simon był wysoki i szczupły, dobrze umięśniony, radujący oczy swym wyglądem – słowem, miał sylwetkę olimpijczyka. Twarz, z którą ja obnosiłem się po świecie, była pospolita, o nieco przyciężkawych rysach, zwieńczona pozbawioną połysku strzechą koloru starych skorupki orzecha. Simon natomiast miał rysy ostre, doskonale wymodelowane, wyraziste; jego włosy były z rodzaju tych gęstych, ciemnych pukli, które u kobiet wzbudzały podziw, a nawet zawiść. Moje oczy były mysioszare; jego orzechowe. Mój podbródek obwisał; jego był dumnie wyprostowany.

W rezultacie, gdy pojawialiśmy się publicznie razem, sprawialiśmy wrażenie, mnie przynajmniej tak się wydawało, żywej reklamy stosowania “cudownie działających naturalnych witamin” i “przydającego urody toniku”. Simon miał urodę przyciągającą wzrok, był niemiłosiernie męski w sposób, który podobał się obu płciom. Ja miałem wygląd, który często poprawia się z wiekiem, aczkolwiek było wątpliwe, abym żył aż tak długo.

Ktoś słabszego ducha mógłby pozazdrościć Simonowi tak szczodrego obdarowania przez los. Jednakże ja pogodziłem się z mą dolą i byłem zadowolony. No dobrze, ja również byłem zazdrosny – ale moja zazdrość była nawet przyjemna.

W każdym razie staliśmy właśnie obaj na deszczu, samochody mijaly nas ze świstem, autobusy wypluwały z siebie mokrych pasażerów na zatłoczone chodniki, a ja mamrotałem w słabym proteście:

–To głupie. To idiotyczne. To dziecinada i brak odpowiedzialności, tak, tym to właśnie jest. To wariactwo.

–Oczywiście masz rację – przyznał uprzejmie. Deszcz perlił się na jego kaszkiecie i ściekał strużkami po impregnowanej kurtce myśliwskiej.

–Nie możemy tak po prostu wszystkiego rzucić i włączyć się dla kaprysu po kraju. – Skrzyżowałem pod peleryną ręce. – Nie mam pojęcia, jak dałem ci się na to namówić.

–To dzięki memu nieodpartemu urokowi osobistemu, stary. – Simon uśmiechnął się rozbrajająco. – My, Rawnsonowie, mamy go na kopy.

–Jasne, cóż by innego.

–Gdzie twój duch łowcy przygód? – Zawsze, ilekroć chciał, abym towarzyszył mu w jego szaleńczych wyczynach, wytykał mi brak żądzy przygód. Osobiście wolałem uważać się za statecznego, zrównoważonego, stojącego obiema nogami na ziemi, na wskroś praktycznego realistę.

–Nie w tym rzecz – powiedziałem wymijająco. – Po prostu nie mam ochoty tracić na bzdury czterech dni pracy.

–Jest piątek – przypomniał mi Simon. – Weekend. Wrócimy w poniedziałek i będziesz miał aż nadto czasu na swą cenną pracę.

–Nie zapakowaliśmy nawet szczoteczek do zębów i bielizny na zmianę – wytknąłem.

–W porządku – westchnął, jakbym go w końcu pokonał – dopiąłeś swego. Jeśli nie chcesz jechać, to nie będę cię zmuszał.

–Dobrze.

–Pojadę sam. – Wszedł na ulicę, tuż przed nim zatrzymał się z cichym warkotem silnika szary jaguar sovereign. Mężczyzna w czarnym meloniku wygramolił się z siedzenia dla kierowcy i przytrzymał Simonowi drzwi.

–Dziękuję, Bates – powiedział Simon. Mężczyzna dotknął runda kapelusza i pospiesznie odszedł do portierni. Simon spojrział na mnie mokrym od deszczu dachem lśniącego samochodu i uśmiechnął się. – No to jak, kolego? Masz zamiar zostawić całą zabawę dla mnie?

–Niech cię cholera, Simon! – krzyknąłem, szarpnięciem otworzyłem drzwi i dałem nura do środka. – Niepotrzebne

mi to!

Simon, śmiejąc się, wśliznął się do środka i zatrzęsął drzwiami. Wrzucił bieg i wdusił gaz do dechy. Opony zapiszczały na mokrej nawierzchni, samochód skoczył do przodu. Simon szarpnął kierownicą i zawrócił na środku ulicy, bardzo nieprzepisowo, przy wtórze klaksonu autobusu i przekleństw rowerzystów.

Niebiosa, miejcie nas w swej opiece, wyruszyliśmy.

2. Pólmisek zgubnego losu

wyjął rzeczy gorsze od sunięcia po M 6 w jaguarze sovereign z *Muzyką na wodzie* Haendla zalewającą nadwerężone zakończenia nerwów słuchowych. Samochód bez szmeru mknął dziewięćdziesiątką, pewnie trzymając się szosy. Za oknem przesuwiał się senny krajobraz. Chłodna skóra foteli pozwalała na pograżenie się w ich rozkosznych objęciach. Przyciemnione szyby osłaniały zmęczone podróżą oczy. Wyściełane wewnątrz chroniło pasażerów przed nierównościami jezdni i hałasami. To wspaniała maszyna. Aby ją posiadać, gotów byłbym zadusić nosorożca.

Simon dostał go od ojca, handlowca z jakiejś bliżej nieokreślonej branży, będącego na najlepszej drodze do zdobycia w przyszłości tytułu lordowskiego. Kupił Simonowi ten samochód, tak jak kupował mu najlepsze oksfordzkie wykształcenie. Wszystko, co najlepsze, dla kochanego Simeya.

Rawsonowie mieli forszę. O tak, mieli. Całe jej stopy. Część z niej była stara; większość nowa. Cieszyli się również owym osobliwym atrybutem cenionym przez Anglików ponad wszystko: urodzeniem. Praprababka Simona była księżną. Jego babka poślubiła lorda, który hodował konie wyścigowe i pewnego razu sprzedał zwycięzcę derby królowej Wiktorii, tym samym zapewniając sobie sławę i fortunę na wieki. Rodzina Simona należała do tych szanowanych rodów, które poprzez sprytny ożenek, nim ktokolwiek zdążył się spostrzec, stawały się właścicielami Cornwall, Lake District i połowy Buckinghamshire. Wszystko to czyniło z Simona zepsutego smarkacza.

Myślę, że w innych czasach Simon pędziłby beztroski żywot próżniaka w swej rodowej posiadłości z żółtego piaskowca w Midlands, trenując konie i psy i bawiąc się w dziedzica. Jednakże wiedział już zbyt dużo, aby zadowolić się życiem w bryczesach. Niestety, wykształcenie przekreśliło ten przyjemny scenariusz.

Jeśli ktokolwiek urodził się w niewłaściwym czasie, to tym kimś był Simon Rawson. Nie potrafił ukryć swego arystokratycznego pochodzenia; biło z jego rysów i każdego słowa. Potrafiłem wyobrazić sobie tego faceta jako pana na rozległych włościach, jako księcia z wianuszkami służby i okazałym domostwem w Sussex, ale nie jako naukowca. Nie dla Simona były porośle bluszczem gmachy i bajeczne oksfordzkie wieżycy. Simonowi brakowało pasji zżerającej wielkiego naukowca i ambicji oraz siły przebicia niezbędnej do przetrwania w pełnym konkurencji akademickim świecie. Krótko mówiąc, był obdarzony prawdziwymi zdolnościami do pracy naukowej, ale nie miał rzeczywistej potrzeby, aby odnosić na tym polu sukcesy. W rezultacie nie traktował swej pracy wystarczająco poważnie.

Nie był wałkoniem. Nie kupił też sobie dyplomu za czeki z grubej książeczki tatusia. Simon zdobył swą zaszczytną pozycję sprawiedliwie, dzięki wyjątkowo błyskotliwej karierze studenta. Jednakże na trzecim roku studiów doktoranckich uznał, że wymagają one za wiele pracy. Na co w końcu miałby mu się przydać ten stopień z historii? Nie chciał prowadzić samodzielnych badań, a nauczanie było ostatnią rzeczą, o jakiej by pomyślał. W ogóle nie miał aspiracji do poważniejszej pracy naukowej. Dwa lata studiów doktoranckich Simon przeszedł po prostu siłą rozpędu. Ostatnio nie czynił nawet tego.

Widziałem, jak wymykała mu się z rąk błyszcząca nagroda, jak począł zaniedbywać naukę. To był wprost modelowy przypadek wypalonego doktoranta. W Oksfordzie widuje się ich wystarczająco często, aby móc rozpoznać te objawy. Być może jednak Simon po prostu zamierzał możliwie jak najdłużej korzystać z uroków uniwersyteckiego życia, jako że nic innego nie planował. To prawda, na uniwersytecie można pędzić wygodne życie, gdy ma się pieniądze. Nawet bez pieniędzy lepsze to od robienia większości rzeczy.

Nie winiłem Simona; było mi go żal. Nie wiem, co zrobiłbym na jego miejscu. Jednakże ja, jak większość amerykańskich studentów w Oksfordzie, musiałem na każdym kroku dowodzić celowości swojej tu obecności. Rozpaczliwie pragnąłem zdobyć ten stopień i nie chciałem, by oglądano moją porażkę. Nie mogłem pozwolić sobie, by odesłano mnie za wodę z podwiniętym ogonem. Miałem też wrodzony pęd do osiągnięcia wytyczonych celów i robienia kariery, którego Simon ani nigdy nie posiadał, ani do końca nie rozumiał.

To właśnie, jak myślę, była jedna z zasadniczych różnic między nami: ja musiałem ciuć na każdą drobną przyjemność, podczas gdy Simon nie znał nawet znaczenia słowa “starać się”. Wszystko, co miał – wszystko, czym był zostało mu podarowane, z góry przyznane. Wszystko, czego kiedykolwiek zapragnął, otrzymywał bez problemu, bez specjalnych starań. Ludzie mieli względy dla Simona Rawnsona ze względu na to, kim był. Nikt nie obdarzał szczególnymi względami Lewisa Gilliesa. Nigdy. Ta odrobina, którą posiadałem – a rzeczywiście było tego niewiele – należała jednak do mnie, ponieważ na to zasłużyłem. Zasługa była pojęciem nieznanym w świecie Simona. W moim odgrywała główną rolę.

Pomimo dzielących nas różnic, byliśmy jednak przyjaciółmi. Od samego początku, gdy tylko wprowadziliśmy się do sąsiednich pokoi na pierwszym roku, wiedzieliśmy, że będziemy trzymać się razem. Simon nie miał braci, więc mnie obrał sobie za brata. Nasze studenckie czasy spędziliśmy na kosztowaniu złocistego nektaru z beczek w “Wyścigach”, wiosłowaniu po rzece, dokuczaniu dziewczynom i w ogóle na robieniu tego wszystkiego, czego można by się spodziewać po dwóch oksfordzkich studentach.

Nie znaczy to jednak, że byliśmy łobuzami i hulakami. Uczyliśmy się, a gdy było trzeba, zdawaliśmy egzaminy z odpowiednimi ocenami. Po prostu nie byliśmy ani mniej, ani bardziej poważni niż dwaj typowi studenci.

Po skończeniu studiów zgłosiłem się na wolne miejsce w programie studiów celtyckich i zostałem przyjęty. Dla mnie, będącego jedynym absolwentem liceum z mego rodzinnego miasta, jaki kiedykolwiek studiował w Oksfordzie, ukończenie z oceną bardzo dobrą było Bardzo Wielką Sprawą. Pisano o tym w lokalnej gazecie, ku zadowoleniu moich sponsorów, Amerykańskiego Związku Kombatantów Poczta Czterdzieści Trzy, który w przyływie samozadowolenia pogratulował sam sobie i ufundował mi solidne stypendium na książki i utrzymanie. Ja zaś załatwiłem sobie niewielką dotację na pokrycie reszty i byłem ustawiony.

Simon doszedł do wniosku, że wyższy stopień to doskonały pomysł, i postanowił ubiegać się o to z historii – nie mam pojęcia, dlaczego akurat z tego przedmiotu, a nie z astrofizyki, hodowli zwierząt, czy czegokolwiek innego. Ale, jak już mówiłem, był bystry, a jego promotor widać uważał, że Simon doskonale sobie poradzi. Zaproponowano mu nawet pokój w akademiku, co było szczytem marzeń większości doktorantów. Dla studentów było za mało miejsc, a co dopiero mówić o doktorantach, chyba że chodziło o wyjątkowo cenioną osobę.

Znowu przywilej, jak sądzę. Bez wątpienia maczał w tym palce ojciec Simona, Geoffrey Rawnsone z Blackledge, Rawnsone i Symes Ltd. Ale czemu ja miałbym narzekać? Pokoje u szczytu schodów, umeblowane w znacznej części bezcennymi uniwersyteckimi antykami – co najmniej trzy arcydzieła włoskiej sztuki renesansowej, rzeźbiona dębowa boazeria, stoły Tiffany’ego, kryształowy żyrandol, dwa biurka Chippendale i czerwona skórzana kanapa. Na tym nie koniec naszego królewskiego uposażenia; mieliśmy skrupulatnego służącego, dobre posiłki w jadalni zakrapiane hojnie znośnym cienkuszem z legendarnych piwnic uniwersyteckiego podczaszego, przywileje w korzystaniu z biblioteki, dla których studenci daliby się zabić – a na dokładkę jeszcze wspaniały widok na wieżycę katedry po drugiej stronie dziedzińca. Gdzie zdobyłbym podobne warunki samodzielnie?

Simon chciał, abyśmy nadal byli razem, więc załatwił to i zamieszkałem razem z nim. Myślę, że on traktował studia doktoranckie jako kolejne trzy, cztery lata kawalerskich rozkoszy. Jemu było łatwo. Pieniądze nie były dla niego problemem. Mógłby pozwolić sobie na flirty i żarty po sądny dzień, ale ja miałem roboty po uszy z samym nadążaniem z opłatami. Musiałem koniecznie skończyć pracę doktorską, zdobyć stopień naukowy i wyładować na posadzie nauczyciela tak szybko, jak to możliwe. Z całego serca kochałem Oksford, ale miałem do spłacenia pożyczkę zaciągniętą na studia i rodzinę w Stanach, która coraz częściej zastanawiała się, czy mnie jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Na dodatek w szybkim tempie zbliżałem się do wieku, w którym małżeństwo – lub chociażby konkubinaty – nęciło coraz bardziej. Byłem już zmęczony moim przedłużającym się celibatem, zmęczony samotnym podążaniem zimnymi korytarzami życia. Tęskniłem za zbawczym wpływem kobiety na moją surową egzystencję, podobnie jak za wdzięcznymi kobiecymi kształtami w łóżku.

Dlatego właśnie sprzeciwiałem się tej absurdalnej wyprawie z Simonem. Po uszy byłem zagrzebany w swej pracy doktorskiej: Wpływ celtyckiej kosmografii na średniowieczną literaturę podróżniczą. Ostatnio poczułem już świeży powiew na twarzy, a przed sobą dostrzegłem słaby blask światła mety. Zaczynała we mnie nieśmiało kiełkować pewność. Nareszcie zbliżałem się do końca. Być może.

Prawdopodobnie Simon zdawał sobie z tego sprawę i, być może nieświadomie, przystąpił do sabotowania moich poczynań. Po prostu nie chciał, aby skończyły się nasze dobre czasy. Jeśli ukończę doktorat przed nim, to będzie

musiał sam stawić czoło okrutnemu światu – perspektywa, od której wolał się trzymać z dala tak długo, jak to było w ludzkiej mocy. Wynajdował więc coraz to inne sposoby, aby odciągnąć mnie od pracy.

Sprawa tych idiotycznych turów była po prostu kolejnym wybiegiem opóźniającym ukończenie mojego doktoratu. Czemu dałem się w to wciągnąć? Czemu pozwalałem mu na to?

Mam powiedzieć prawdę? Być może ja również tak naprawdę nie chciałem jeszcze skończyć. W głębi ducha bałem się niepowodzenia przy stawieniu czoła wielkiej niewiadomej za murami uniwersyteckich wieży z kości słoniowej. Dopóki nie skończę, nie poniosę porażki; jeśli nie ukończę doktoratu, to będę mógł zawsze żyć w swoim przytulnym kokonie. To nie jest normalne, wiem. Ale taka jest prawda i jest to dolegliwość trapiąca naukowców częściej niż ludzie sądzą. W końcu opiera się na niej cały system uniwersytecki.

–Rusz to swoje cholerne dupsko! – mruknął Simon na kierowcę niebezpiecznie przeładowanego morrisa mini. – Zjeżdżaj, ty łazęgo. – Mruczał tak przez ostatnie pięćdziesiąt minut. Tłok na sześciomilowej obwodnicy wokół Manchesteru sprawił, że mieliśmy spore opóźnienie, a ruch na autostradzie zaczynał dawać się we znaki. Spojrzałem na zegarek na tablicy rozdzielczej: trzecia czterdzieści siedem. Elektroniczne zegarki są symptomatyczne dla naszych ambiwalentnych czasów; podają czas z dokładnością do nanosekund, bez sprecyzowanego kontekstu: nieskończone następstwo strzałek wskazujących Jesteś Tutaj, bez żadnego związku z mapą.

–Już prawie czwarta – zauważyłem. – Może zrobilibyśmy przerwę na herbatę? Zbliżamy się do zjazdu na parking.

–Jasne – Simon kiwnął głową. – Mam ochotę na siusiu.

Kilka minut później Simon przebił się do zjazdu i wtoczyliśmy się na jeden z parkingów przy M 6. Panował tu okropny tłok; wszyscy zjechali na herbatę. Wielu piło ją we wnętrzu swych samochodów. Zawsze zastanawiałem się nad tym osobliwym zwyczajem. Czemu ci ludzie, podróżujący całymi godzinami, zjeżdżają na parking jedynie po to, aby siedzieć w zamkniętych samochodach z zakręconymi szybami, jeść kanapki z pudełka na buty i pić letnią herbatę z termosu? Ja zupełnie inaczej wyobrażałem sobie przyjemną przerwę w jeździe.

Zaparkowaliśmy, zamknęliśmy samochód i ruszyliśmy ku niskiemu ceglanemu bunkrowi. Ze wstrętnie szarego nieba kropiła mżawka, a podmuchy wiatru o zapachu spalin miały w nas kropelkami deszczu.

–Och, proszę, nie – jęknął Simon.

–Co ci nie gra?

Simon wskazał zniechęconym ruchem na negustowne, niebieskie, plastikowe litery umocowane na szarej, betonowej ścianie przed nami. W tym geście była czysta pogarda.

–To Motorman Inn – oni są najgorsi.

Powlekliśmy się do męskiej toalety. Było w niej mokro i brudno. Najwyraźniej jakiś nieopatrzny wieśniak przepędził tędy męczone biegunką bydło i kierownictwo nie uporało się jeszcze z tym problemem. Szybko załatwiliśmy się, wyszliśmy na zewnątrz i przeszliśmy obok bandy łobuzów ubranych w czarne skóry, kręcących się przy rządzie piszczących automatów do gry. Wesoły zbir próbował wyłudzić od nas drobne, ale Simon zignorował go z wyniosłą miną i przepchnęliśmy się przez szklane drzwi do kawiarni.

Była oczywiście kolejka, ciastka stare, a herbatniki zleżałe. W końcu zdecydowałem się na batonik Twix i kubek herbaty. Simon zaś stwierdził, że ma ochotę coś przegryźć i zamówił kurczaka z frytkami, jabłkowy mus z bitą śmietaną i kawę.

Znalazłem dla nas stolik, i Simon, po zapłaceniu rachunku, wcisnął się na miejsce naprzeciw mnie. Sala była pełna głośnego podzwania sztućcami i smrodu papierosowego dymu. Podłoga pod naszym stołem była śliska od rozduszonego groszku.

–Boże, to prawdziwa groteska – jęknął Simon nie bez dozy ponurej satysfakcji. – Prawdziwy chlew. Motormaniacy ponownie atakują.

Popijałem herbatę. Proporcje mleka do esencji były poważnie zachwiane, ale mniejsza o to, grunt, że była gorąca.

–Chcesz, abym trochę poprowadził? Chętnie cię zastąpię.

Simon wycisnął z torebki brązowy sos na kurczaka i frytki. Wbił widelec w długą frytkę; rozmokły kawałek ziemniaka zadyndał na nim bezwładnie. Przed wsunięciem do ust spojrział nań z niesmakiem, po czym wolno skierował spojrzenie bazyliuszka na kontuar i znajdującą się za nim kuchnię.

–Te niepiśmienne trutnie o szczątkowej inteligencji nie są zdolne do niczego innego poza wrzucaniem rozgotowanych ziemniaków na ciepły olej – powiedział z lodowatą miną. – W końcu – za sprawą przypadku, bo czegoś by innego – może im się uda.

Nie chciałem się do tego wtrącać, więc rozwinąłem swój batonik i odłamałem kawałek.

–Jak przypuszczasz, ile jeszcze do Inverness?

Simon spisał frytki na straty i zabrał się do kurczaka. Z grymasem na ustach oderwał pasmo stwardniałego mięsa.

–Obrzydlistwo – zawyrokował. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby był ciepławy, mrożonych nie cierpię. Już dawno powinien wylądować w koszu. – Simon odsunął gwałtownie talerz, rozsypując nasiąknięte tłuszczem frytki.

–Ten jabłkowy mus nie wygląda źle – zauważyłem bardziej z litości niż z przekonania.

Simon przysunął sobie czarękę i spróbował jej zawartości łyżeczką, następnie skrzywił się i wypluł wszystko z powrotem do czaruki.

Obrzydlistwo – oznajmił. – W Anglii hoduje się najlepsze jabłka na świecie, a te matoly wykorzystują popsute, zakonserwowane odpadki z jakiegoś zafajdanego policyjnego stanu. Co więcej, znajdujemy się w kraju mleka, którego nam zazdrości cały wolny świat, kraju faktycznie mlekiem i miodem płynącym, a co dostajemy? Sproszkowany substytut mleka rozpuszczony w pomyjach. To zbrodnia.

–Takie jest jedzenie w przydrożnych barach, Simon. Daj spokój.

–To przez to cholerne kupczenie – odparł, podnosząc wysoko czarękę. Bałem się, że rzuci ją w głąb sali. On jednak bezceremonialnie odwrócił ją do góry dnem nad kurczakiem i tłustymi frytkami. Przyciągnął do siebie kawę, a ja wyciągnąłem do niego połowę balonika w nadziei, że go uspokoję.

–Nie chodzi mi o pieniądze – powiedział cicho. – Nie mam nic przeciwko wyrzucaniu pieniędzy – robię to cały czas. Chodzi mi o cynizm.

–Cynizm? – zdumiałem się. – Rozbój na prostej drodze, zgoda, ale nie nazwałbym tego cynizmem.

–Mój drogi, tym to właśnie dokładnie jest. Widzisz, te złodziejskie nicponie wiedzą, że mają cię w garści – jesteś złapany w pułapkę autostrady. Nie możesz po prostu pójść do konkurencji obok. Jesteś zmęczony drogą, potrzebujesz wytchnienia. Ustawili tu tę fasadę, mając odpoczynkiem i jedzeniem. Ale to kłamstwo. Oferują jedynie pomyje i odpadki i my musimy to przyjąć. Wiedzą, że nic nie powiemy. Jesteśmy przecież Anglikami! Nie lubimy się awanturować. Bierzemy to, co dają, ponieważ tak naprawdę nie zasługujemy na nic lepszego. Przymilni zbóje wiedzą o tym i wykorzystują to z całą premedytacją. Na Boga, ja to właśnie nazywam cynizmem.

–Ciszej – szepnąłem. – Ludzie się gapią.

–Niech się gapią! – krzyknął Simon. – Ci kupczący pomyjami wydrwigrosze ukradli moje pieniądze, ale nie zmuszą mnie, bym to spokojnie zaakceptował. Nie zmuszą mnie do potulnej pokory.

–Dobrze, już dobrze. Uspokój się, Simon – powiedziałem. – Chodźmy już, okay?

Simon rzucił kubek na stół, wstał i odszedł majestatycznym krokiem. Wypiłem ostatni łyk kawy i pospieszyłem za nim. Zatrzymałem się na chwilę na parkingu, spoglądając z zawiścią na spryciarzy pijących herbatę w wygodnych i zacisznych wnętrzach swych samochodów. Nagle wydało się to przejawem największej roztropności i dobrego smaku.

Nim zdążyłem dojść do samochodu, Simon uruchomił już silnik.

–Wiedziałeś, co cię czeka, gdy tam wchodziłeś – zaatakowałem wsiadając. – Szczerze mówiąc, czasami wydaje mi się, że robisz takie rzeczy celowo, aby potem mieć czego się czepiać.

–Czy to ja jestem winny ich zbrodniczej niekompetencji? – ryknął. – Czy ja jestem odpowiedzialny?

–Wiesz dobrze, o co mi chodzi – obstawałem przy swoim. – Niezdrowa ciekawość takich miejsc, Simon, to twoja wada.

Simon wrzucił bieg i wyjechał pędem z parkingu na autostradę. Minęło dobre kilka minut, nim odezwał się znowu. Ta cisza była jednak zaledwie spokojem przed burzą; Simon przygotowywał się do jednej ze swych oracji. Znałem dobrze te oznaki i, sądząc po zaciętości, z jaką ścisnął kierownicę, zanosilo się na burzę z piorunami. Powietrze wręcz drżało od powstrzymywanej pasji.

Simon zaczerpnął tchu, a ja przygotowałem się na przyjęcie uderzenia.

–Nasz los jest oczywiście przesądzony – powiedział wolno, dobierając każde słowo niczym kamienie do procy. – Podobnie jak los szczurów w beczce na deszczówkę.

–Oszczędź mnie.

–Czy wiesz – powiedział, zakładając z góry moją niewiedzę – że Konstantyn Wielki po wygraniu bitwy o Most Mulwijski w 312 roku postanowił wznieść łuk triumfalny dla upamiętnienia swego wielkiego zwycięstwa?

–Posłuchaj, czy musimy się w to zagłębiać?

–Otóż tak właśnie postanowił. Problem był jedynie w tym, że nie mógł znaleźć artystów godnych realizacji swego zamysłu. Przeszukano całe Cesarstwo Rzymskie, ale nie znaleziono nawet jednego rzeźbiarza, który potrafiłby wykonać, choćby częściowo do zaakceptowania, fryz ze scenami bitewnymi lub posąg zwycięstwa. Konstantyn nie należał jednak do ludzi, którzy się łatwo zniechęcali, więc polecił swym kamieniarzom zdjąć rzeźby z innych łuków i umieścić je na swoim. Widzisz, współcześni mu artyści po prostu nie byli w stanie uporać się z tym zadaniem.

–Skoro tak mówisz – mruknąłem.

–To prawda – upierał się. – Gibbon uważa to za punkt zwrotny w historii Imperium Rzymskiego, za początek jego upadku. Od tego czasu cywilizacja Zachodu chyli się ku upadkowi. Rozejrzyj się wokół, to nie przelewki; w końcu sięgnęliśmy dna. Koniec gałęzi. Koniec! Kaput! Jesteśmy zgubieni.

–Och, proszę, nie zaczynaj... – Moje błagania były jednak niczym papierowy parasol wzniesiony przeciwko tajfunowi.

–Zgubieni – powtórzył z naciskiem, wytaczając to słowo niczym armatnią kulę. – Bez wątpienia od kołyski ciąży na nas klątwa. Lewis, ty, jako Amerykanin, musiałeś to zauważyć – to widać w całym naszym zachowaniu. My, Brytyjczycy, jesteśmy rasą skazaną na zgubę.

–Według mnie ty radzisz sobie całkiem dobrze – zauważyłem cierpko. – Ty przetrwasz.

–Tak? Według ciebie wyglądamy na cywilizację, która przetrwa? Weź pod uwagę nasz wygląd: nasze włosy są słabe i przetłuszczone, nasza skóra jest pryszczata, ciało blade i sparszywiałe, nosy nieforemne. Nasze podbródki obwisają, czoła są spadziste, policzki nalane, a brzuchy wydatne; jesteśmy rozczochrani, kosmaci, niechlujni, o zgarbionych ramionach, garbatych plecach, laskonodzy. Oczy mamy słabe, zęby krzywe, oddech niemity. Jesteśmy ponurzy, przygnębieni, anemiczni i mizerni.

–Łatwo ci mówić – zauważyłem, spoglądając na Simona, u którego absolutnie nie było widać żadnej z opisanych ułomności. Jego własne ciało było szczęśliwie wolne od wad; jego słowa były niczym dym i skwierczenie bez ognia, cylinder kuglarza bez królika. Tak jak się spodziewałem, zlekceważył to, co powiedziałem.

–Przetrwać? Ha! Samo powietrze jest trujące. A woda... ona także jest zatruta. I jedzenie – ono jest naprawdę trujące! Chcesz porozmawiać o jedzeniu? Wszystko jest produkowane masowo przez przebiegłych ludzi w fabrykach salmonelli, jedynie po to, aby zatruć jak największą liczbę konsumentów i skasować ich za ten zaszczyt, nim trafią pod opiekę państwowej służby zdrowia, która zaopatrzy ich w urzędowy stempel i zapewni pośpieszny,

anonimowy pogrzeb. A jeśli, jakimś cudem, jakoś przeżyjemy jałowy obiad, to z pewnością załatwi nas bezlitosna nikczemność samego naszego istnienia. Spójrz na nas! Kuśtykamy mozolnie przez skażone miasta, wdychając szkodliwe gazy, wypływane przez przestarzałe fabryki, ściskając paskudne plastikowe torby pełne trującego mięsa i rakotwórczych warzyw. Śmierdzący bogacze gromadzą majątki na wolnych od podatku zagranicznych rachunkach, podczas gdy reszta z trudem brnie naprzód przez ulice, po kolana w psim łajnie, aby odbić kartę w zaduchu wysysających siły i ducha zakładów dla zdobycia środków potrzebnych do kupienia obrzynków zjełczałego sera i puszki fasoli za nasz przeciążony podatkami, za nisko oszacowany funt. Przyjrzyj się ulicy w jakimkolwiek mieście! Zobaczysz, jak z ponurymi minami wleczeni się od jednego wstrętnego sklepu do drugiego, trwoniąc swój majątek na szkaradne ciuchy, które nam nie pasują, i kupując szare, tekturowe buty wykonane przez niewolników w gułagach, będąc przy tym rutynowo znieważanymi przez rozczochrane, bezmózgie ekspedientki z niebieską maskarą na oczach i koślawymi nóżkami. Przytłoczeni nawałem reklam, których w pełni nie jesteśmy w stanie pojąć ani nad nimi zapanować, bezowocnie włączymy się po pałacach konsumenckiej żądzy, kupując na raty szalenie skomplikowane koreańskie urządzenia, których ani nie chcemy, ani nie potrzebujemy, za plastikowe pieniądze od zadowolonych z siebie, pryszczatych sprzedawców w żółtych krawatach i przyciasnych spodniach, którzy nie mogą się doczekać ucieczki do pobliskiego pubu, aby żłopać tam kufle wodnistego piwa i gapić się pożądliwie na mówiące przez nos sekretarki w czarnych, skórzanych minispódniczkach i przejrzystych bluzkach.

Simon uspokoił się. Usadowił się wygodnie, a tymczasem przerażająca kawalkada jego słów toczyła się dalej. Było w niej wszystko o Tunelu i krajobrazie zalewanym europejskimi śmieciami, o francuskich ofiarach mody, kwaśnych deszczach, ponurych Belgijczykach, irańskich studentach, prostakach chlejących Heinekena, rozwydrzonych kibicach piłkarskich, dziurze w powłoce ozonowej, włoskich playboyach, południowoamerykańskich bossach narkotykowych karteli, szwajcarskich bankach, złotych kartach American Express, efekcie cieplarnianym, Wieku Niekonsekwencji i tym podobnych rzeczach.

Simon ścisnął kierownicę w dłoniach i dusił pedał gazu, dla większego efektu potrząsając głową w rytm słów. Co rusz spoglądał na mnie, aby się upewnić, czy nadal go słucham. A tymczasem ja uzbroiłem się w cierpliwość, czekając na okazję wepchnięcia kija w szprychy jego szybko wirującej zębátky.

–Nie będziemy mieć miejsca, które będziemy mogli nazwać naszym własnym, ale wszyscy będziemy mieli zimnego Guinnessa w puszkach, tajemnicze ekspresy do kawy Brauna, połączone wieczne pióra Mont Blanc, eleganckie bluzy Benettona, sztywne obuwie sportowe Nike, faxy Canon, renaulty, porsche'a, mercedesy, saaby, fiaty, lady, hyundai, givenchy, Chanel pour Homme, wakacje z Aeroflotem, apartamenty na Costa Del Sol, Piat D'Or, Viva Espana, sony, yamaha, suzuki, hondy, hitachi, toshiby, kawasaki, nissany, minolty, panasoniki i mitsu-cholembishi! Ale czy nas to obchodzi? – dopytywał się retorycznie. – Nie, do diabła! Nawet nie mrugniemy. Nic po sobie nie dajemy znać. Nawet się nie skrzywimy. Siedzimy sparaliżowani przed Trąbą Wszechmocnego, uśpieni w fałszywej nirwanie przez ogłupiającą kombinację zgubnej banalności i częściej gadaniny, podczas gdy szkodliwe promieniowanie kineskopu zmienia nasze zdrowe szare komórki w galaretowatą cielecinę!

W miarę upływu czasu przemowa stawała się coraz lepsza, aż w końcu sięgnęła wyżyn krasomówczych zdolności Simona. Jednak nie mógł w nieskończoność snuć swej smętnej litanii, zaczynałem już być nią zmęczony. Toteż wykorzystałem okazję, gdy umilkł na chwilę dla wzięcia oddechu.

–Skoro jesteś taki nieszczęśliwy – powiedziałem, rzucając się pod prąd jego wywodów – to czemu tu tkwisz?

O dziwo, to go powstrzymało. Odwrócił się do mnie.

–Co powiedziałeś?

–Słyszałeś. Skoro jesteś taki nieszczęśliwy, za jakiego się podajesz, i jeśli sprawy mają się tak źle, jak mówisz – to czemu nie wyjedziesz? Możesz przecież pojechać dokądkolwiek.

Simon uśmiechnął się swym skąpym, wyniosłym uśmiechem.

–Pokaż mi miejsce, w którym jest lepiej, a ja zaraz tam ruszę.

Nie przychodziło mi do głowy na poczekaniu żadne miejsce wystarczająco doskonale dla Simona. Mógłbym zaproponować Stany, ale w Ameryce panowały te same demony, które nawiedzały Wielką Brytanię. Podczas ostatniego pobytu w domu ledwie poznałem to miejsce – było zupełnie niepodobne do tego, co pamiętałem. Nawet w moim małym, środkowoamerykańskim miasteczku zniknęło poczucie wspólnoty, zmiecione przez żadne

zdobyczy korporacje i ślepe uzależnienie samych mieszkańców miasteczka od gospodarki, opierającej się na szybkim obrocie pieniądza i nienasyconej żądzy posiadania.

–Możemy nie mieć więcej parady główną ulicą z okazji Czwartego Lipca, czy nie śpiewać już kolęd w parku – powiedział mój tata – ale pewne jak diabli, że będziemy mieć McDonaldy, Pizza Hut, Kentucky Fried Chicken i mini-centrum handlowe Wal-Mart, które będzie otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu!

Oto jaki był świat: zachłanny, srogi i upiorny. Podobnie było wszędzie i miałem już dość przypominania mi o tym na każdym kroku. Obróciłem się więc do Simona, spojrzałem mu w oczy i odparowałem prosto w twarz:

–Chcesz mi powiedzieć, że gdybyś znalazł miejsce, które bardziej by ci odpowiadało, to byś wyjechał?

–Piorunem!

–Ha! – napawałem się. – Nigdy byś tego nie zrobił. Wiesz, Simon, ty jesteś klasycznym przykładem malkontenta. Nie jesteś szczęśliwy, dopóki nie jesteś nieszczęśliwy.

–Doprawdy?

–To prawda, Simon – oznajmiłem. – Gdyby wszystko było idealne, byłbyś przygnębiony. To dobrze. Tak naprawdę, to ty lubisz rzeczy takimi, jakimi są.

–No cóż, serdeczne dzięki, doktorze Freud – prychnął Simon. – Jestem głęboko wdzięczny za pańską wnikliwą analizę. – Wdusił pedał gazu do dechy.

Wróciłem do sedna sprawy.

–Mógłbyś równie dobrze przyznać, Simon, że jesteś ścierwojadem i lubisz to. Jesteś koneserem nieszczęścia: Pólmisek zgubnego losu, proszę! Podawać! Im sprawy przyjmują gorszy obrót, tym bardziej to lubisz. Z dekadencją ci do twarzy – w istocie preferujesz ją. Rozkoszujesz się upadkiem; upajasz się zgnilizną.

–Uważaj – odparł cicho, tak cicho, że ledwie go słyszałem – któregoś dnia mogę cię zaskoczyć, przyjacielu.

3. Zielony Człowiek

iałem nadzieję zobaczyć Loch Ness. A zobaczyłem jedynie swe własne zamglone odbicie w szybie samochodu. Lampka na desce rozdzielczej przydawała mu trupiej barwy. Było ciemno. I późno. Byłem głodny, znudzony, zmęczony, tęskniłem do postoju i pod nosem kłamię sam na siebie za udział w tej idiotycznej wycieczce.

To, co powiedziałem o Simonie, było w zasadzie prawdą. Był potomkiem długiej linii maniaków depresyjnych, megalomanów i megalomanów cierpiących na depresje. Miałem jedynie nadzieję przerwać potok jego wyrzekań. A tymczasem za sprawą mojej zaimprovizowanej psychoanalizy zapanowała pomiędzy nami pełna napięcia, ciężka cisza. Simon zamknął się w sobie z ponurą miną i przez następne siedem godzin odzywał się jedynie monosylabami. Pomimo to, nie bacząc na jego dąsy, nadal pełniłem funkcję nawigatora.

Mapa na moich kolanach skierowała nas na południe od Inverness. Oderwałem wzrok od okna i utkwilem go w atlasie pod swym kciukiem. Byliśmy na A 82, zbliżyliśmy się właśnie do wioski zwanej Lochend. Sto jardów z prawej, niewidoczne w ciemności, ciągnęło się słynne jezioro, siedziba potwora.

–Wkrótce powinniśmy zobaczyć jakieś światła – powiedziałem. – Za trzy, cztery mile.

Byłem nadal pochylony nad atlasem, gdy Simon krzyknął:

–Jasna cholera!

Nadepnął na hamulec i zjechał na bok. Rzuciło mną o drzwi. Głową grzmotnąłem w okno.

Samochodem zarzuciło. Zatrzymaliśmy się na szosie.

–Widziałeś to? – wrzasnął Simon. – Widziałeś to?

–Auu! – Rozcierałem bolącą głowę. – Co widziałem? Niczego nie widziałem!

W przyćmionym świetle oczy Simona błyszczą dziko. Wrzucił wsteczny bieg i samochód potoczył się do tyłu.

–To była jedna z tych rzeczy!

–Rzeczy? Jakich rzeczy?

–No wiesz – powiedział, obracając się do tyłu – jedna z tych mitycznych istot. – Głos mu drżał i trzęsły się ręce.

–Mityczna istota – no cóż, to na pewno ściśle określenie. – Wyciągnąłem szyję, aby również spojrzeć do tyłu, ale niczego nie zobaczyłem. – A dokładnie, jaki rodzaj mitycznej istoty?

–Na litość boską, Lewis! – krzyknął, a jego głos przybrał histeryczne tony. – Widziałeś to, czy nie?

–No dobrze, uspokój się. Wierzę ci. – Najwyraźniej zbyt długo już prowadził. – Bez względu na to, czym to było, już sobie poszło.

Miałem się właśnie odwrócić z powrotem do przodu, gdy w czerwono-białych tylnych światłach mignął mi zarys obszarpanego człowieka. Ściślej mówiąc, dostrzegłem górną część uda, dolną część tułowia i fragment ramienia znikającej postaci. Sądząc po proporcjach, musiała być ogromna. Widziałem ją jedynie przez mgnienie oka, ale miałem nieodparte wrażenie, że spoglądam na liście drzewa.

–Tam! – krzyknął triumfalnie Simon, wgniatając pedał hamulca. – Znowu jest! – Pociągnął za klamkę i wypadł z samochodu. Odbiegł szosą kilka jardów.

–Simon! Wracaj! – krzyknąłem i czekałem. Odgłos jego stóp ucichł w oddali. – Simon?

Przechyliłem się przez oparcie i wyrzałem przez tylne okno. Niczego nie mogłem dostrzec, poza kilkoma stopami asfaltu oświetlonego tylnymi światłami. Silnik cicho mruczał, przez otwarte drzwi dobiegało mnie poświstywanie wiatru w sosnach, do złudzenia przypominające syk ogromnych węży.

Wpatrywałem się w krąg światła i niebawem dostrzegłem szybko zbliżającą się postać. Po chwili w polu widzenia pojawiła się twarz Simona. Wsunął się do samochodu, zatrzasnął drzwi i zamknął je. Położył ręce na kierownicy, ale nie wykonał żadnych innych ruchów.

–No jak? Widziałeś coś?

–Ty również to widziałeś, Lewis. Wiem, że widziałeś. – Odwrócił ku mnie twarz. Oczy mu błyszczą, a rozciągnięte w napięciu usta odsłaniały zęby. Nigdy nie widziałem go tak podnieconego.

–Słuchaj, to wydarzyło się tak szybko. Nie wiem, co widziałem. Po prostu jedźmy stąd, dobrze?

–Opisz to. – Głos łamał mu się z wysiłku, gdy usiłował zachować spokój.

–Jak już mówiłem, nie myślę, bym mógł...

–Opisz to! – krzyknął, uderzając pięściami w kierownicę.

–Myślę, że to był człowiek. Wyglądał jak człowiek. Widziałem jedynie nogę i ramię, ale myślę, że to był mężczyzna.

–Jakiego był koloru?

–Skąd mam wiedzieć, jakiego był koloru? – odparłem z pretensją. – Nie wiem. Jest ciemno. Nie widziałem go całego...

–Powiedz, jakiego był koloru! – zażądał Simon ostrym, lodowatym głosem.

–Myślę, że zielonego. Facet miał na sobie jakieś zielone łachmany, czy coś w tym rodzaju.

Simon powoli skinął głową i odetchnął.

–Taak, zielony. Zgadza się. Ja też widziałem.

–A o czym my właściwie mówimy? – zapytałem. Żołądek zacisnął mi się w ciasny węzeł.

–Ogromny mężczyzna – odparł spokojnie. – Przynajmniej osiem stóp wysoki.

–Zgadza się. I miał na sobie poszarpany zielony płaszcz.

–Nie. – Simon zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy. – Nie płaszcz. Nie łachmany.

–A więc co? – napięcie nadało memu głosowi ostre brzmienie.

–Liście.

Tak. On również to widział.

Tuż za Inverness zatrzymaliśmy się na całodobowej stacji po paliwo. Zegarek na desce rozdzielczej wskazywał 2.47 rano. Nie licząc krótkiego postoju na tankowanie i kupienie kilku kanapek w Carlisle, od ostatniego dłuższego odpoczynku dzieliło nas dokładnie jedenaście godzin jazdy. Simon upierał się, by jechać bez postoju, aby zdążyć na miejsce przed świtem.

Simon zajął się tankowaniem, a ja tymczasem zeskrobywałem z szyby marmoladę z owadów. Zapłacił za paliwo i wrócił do samochodu, niosąc dwa styropianowe kubki z neską.

–Wypij – powiedział, podając mi jeden z nich.

Staliśmy w jaskrawym blasku jarzeniówek, popijając kawę i przypatrując się sobie.

–No więc? – powiedziałem po kilku minutach. – Wydusisz to z siebie, czy ja mam to powiedzieć?

–Co powiedzieć? – Simon uraczył mnie swym zimnym, ironicznym spojrzeniem – kolejna z jego drobnych sztuczek.

–Mam krzyknąć, Simon! Dobrze wiesz co! – wypowiedziałem te słowa z większą siłą, niż zamierzałem. Zdaje się, że nadal byłem podenerwowany. Simon jednak zdawał się już nad sobą panować. – To, co tam widzieliśmy. – Machnąłem ręką w kierunku szosy za nami.

–Wsiadaj do samochodu – odparł.

–Nie! Nie wsiądę, dopóki...

–Zamknij się, Lewis! – syknął Simon. – Nie tutaj. Wsiadaj do samochodu, to pogadamy.

Spojrzałem w stronę drzwi stacji. Jej pracownik wyszedł na zewnątrz i obserwował nas. Nie wiem, ile zdążył usłyszeć. Wsunąłem się do samochodu i zatrasnąłem drzwi. Simon przekreślił kluczyk i wyjechał na szosę.

–W porządku, jesteście w samochodzie – powiedziałem. – Więc mów.

–Co chcesz, abym powiedział?

–Chcę, abys powiedział, co według ciebie widzieliśmy.

–To chyba oczywiste, nie sądzisz?

–Chcę to usłyszeć z twoich ust – upierałem się. – Tylko na użytek własny.

Simon spełnił moje życzenie z istic królewską wyrozumiałością.

–No dobrze, tylko na użytek własny: myślę, że widzieliśmy to, co zwykle jest nazywane Zielonym Człowiekiem. – Pociągnął łyk kawy. – Zadowolony?

–To wszystko?

–Co tu więcej można powiedzieć, Lewis? Widzieliśmy duże, zielone ludzkie coś. Ty i ja – obaj widzieliśmy. Naprawdę nie wiem, co więcej powiedzieć.

–Mógłbyś dodać, że to absolutnie niemożliwe. Zgadza się? Mógłbyś powiedzieć, że człowiek z dębowych liści nie istnieje, nie może istnieć i nigdy nie istniał! Mógłbyś powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak Zielony Człowiek – to postać ze starych bajd i legend, nie ma dowodów, że istnieje w rzeczywistości. Mógłbyś powiedzieć, że byliśmy zmęczeni podróżą i widzieliśmy coś, czego tam nie mogło być.

–Mogę powiedzieć, co tylko chcesz, jeśli to cię uszczęśliwi – poddał się. – Ale widziałem, co widziałem. Wyjaśnij to sobie, jak chcesz.

–Ale ja nie potrafię tego wyjaśnić.

–Czy to cię dręczy?

–Tak – między innymi.

–Czemu wyjaśnienie tego jest dla ciebie tak ważne?

–Wybacz, ale uważam, że dla każdego racjonalnie myślącego człowieka przy zdrowych zmysłach istotne jest, by w miarę możliwości przynajmniej jedną nogą stąpał po ziemi.

Simon roześmiał się, przełamując trochę napięcie.

–A zatem, jeśli ktoś widzi coś, czego nie można wyjaśnić, to według ciebie klasyfikuje go to do grona ludzi pozbawionych zdrowych zmysłów, tak?

–Niedokładnie tak powiedziałem. – Simon miał nieprzyjemny zwyczaj obracania moich słów przeciwko mnie.

–No cóż, będziesz z tym po prostu musiał żyć.

–Żyć z tym? Tylko tyle? To wszystko, co masz do powiedzenia?

–Tak, dopóki nie wymyślimy czegoś lepszego. Dojechaliśmy do małego rozwidlenia.

–Tu musimy skręcić – powiedziałem. – Wybierz drogę do Nairn.

Simon skręcił na szosę biegnącą na wschód, wyjechał z miasta, po czym zjechał na pobocze. Pozwolił, by samochód zwolnił i zatrzymał się, a następnie wyłączył silnik i odpiął swój pas bezpieczeństwa.

–Co robisz?

–Mam zamiar się przespać. Jestem zmęczony. Możemy sobie tu uciąć drzemkę i dojechać na farmę przed wschodem. – Opuścił oparcie swego siedzenia i zamknął oczy. Nie minęła nawet chwila i już chrapał.

Przyglądałem się mu przez jakiś czas, myśląc sobie: Simonie Rawnsone, w coś ty nas wpakował?

4. U wrót na zachód

budziło mnie niskie, zdławione dudnienie. Na siedzeniu obok cicho pochrapywał Simon. Za wzniesieniami wschodziło słońce i na szosie zaczął się już wzmożony poranny ruch. Obok nas z głośnym warkotem mknęły samochody. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 6.42 rano. Szturchnąłem Simona.

–Hej, obudź się. Zaspaliśmy.

–Eee? – natychmiast się poruszył. – O, cholera!

–Zimno tu. Włączmy ogrzewanie.

Simon usiadł i włączył silnik.

–Czemu mnie nie obudziłeś?

–Właśnie to zrobiłem.

–Spóźnimy się. – Przetarł oczy, spojrział w lusterko i szybko wyjechał na szosę.

–Co masz na myśli? Słońce nawet jeszcze nie weszło na dobre. To jeszcze tylko kilka mil. Mamy wystarczająco dużo czasu, aby tam dotrzeć.

–Chciałem tam być przed wschodem słońca – powiedział stanowczo Simon. – Nie po.

–A co to za różnica?

Simon obdarzył mnie ironicznym spojrzeniem.

–I ty jesteś badaczem Celtów. – Jego ton sugerował, że powinienem w lot pojąć, co miał na myśli.

–Czas-pomiędzy-czasem – czy o tym właśnie mówisz? – Nie zdawałem sobie sprawy, że Simon znał się na pradawnej mądrości Celtów. – Czy dlatego pędziliśmy jak na złamanie karku?

Nie odpowiedział. Jego milczenie przyjąłem jako potwierdzenie mych słów i ciągnąłem dalej:

–Słuchaj, jeśli dlatego ciągnąłeś nas przez cały kraj, to daj sobie spokój. Czas-pomiędzy-czasem – to tylko ludowy przesąd, to tylko poetycka przenośnia. Nic takiego nie ma.

–Podobnie jak nie ma turów?

–Turów nie ma! – Tak samo jak Zielonego Człowieka, mógłbym dodać, ale powstrzymałem się. Nie warto było zaczynać tego od nowa. – To tylko kaczka dziennikarska.

–Jesteśmy tu właśnie po to, aby się o tym przekonać, czyż nie? – Simon uśmiechnął się przebiegle i skupił swą uwagę na drodze. Ponownie jechaliśmy poza terenem zabudowanym, kierując się na wschód od Inverness drogą A 96. Ostatni drogowskaz wskazywał, że do Nairn było jedynie kilkanaście mil.

Poszperałem na podłodze samochodu w poszukiwaniu atlasu – leżał tam, gdzie upuściłem go zeszłej nocy – i otworzyłem go na właściwej stronie. Farmy, której szukaliśmy, nie było na mapie, ale była najbliższa wioska – maleńki znaczek, odpowiadający wiosce Craigiemore, na cieniutkiej niteczce żółtej, krętej drogi, która biegła przez coś, co optymistycznie nazywano puszcą Darnaway. Najprawdopodobniej z tej rzekomej puszczy zostało jedynie kilka wzgórz butwiejących pniaków i przydrożny teren piknikowy.

–Nie widzę tu Carnwood Farm – rzekłem po dokładnym zbadaniu mapy. Simon mruknieniem przyjął do wiadomości tę informację. Zachęcony, ciągnąłem więc dalej: – W każdym razie z Nairn do B 9007 jest siedem mil. A stamtąd do farmy jest prawdopodobnie kolejne minimum dwie, trzy mile.

Simon znowu podziękował mi za informacje o naszym położeniu wymownym mruknieniem i przydusił mocniej pedał gazu. Zamglony, ograniczony wzgórzami krajobraz umykał rozmazany za oknem. Gęstawa mgła trzymała się blisko ziemi, przesłaniając wszystkie szczegóły oddalone więcej niż tysiąc jardów i zmieniając wschodzące słońce w upiorny, krwawy dysk.

Szkocja jest dziwnym miejscem. Ja, w odróżnieniu od wielu skądinąd rozsądnych ludzi, nie dostrzegałem nic powabnego w tym ponurym, smaganym wiatrem skrawku ziemi i skał. Co nie było torfowiskiem, było jeziorem, a jedno równie wilgotne jak drugie. I zimne. Nie ma to jak Costa Del Sol. A jeszcze lepiej francuska Riwiera, nic się do niej nie umywa. Według mnie, miejsca w których nie można uprawiać przyzwoitych winogron, są diabła warte.

Simon wyrwał mnie z zamyślenia zaskakującą i spontaniczną recytacją. Nie odrywając oczu od drogi, powiedział:

Jam jest piewcą u zarania dziejów

i stoję u wrót na zachód.

Strzegą mnie trzy pięćdziesiątki wojowników,

których imiona stawione są w domostwach wodzów;

wielcy panowie prześcigają się w zaproszeniach.

W mych żyłach płynie królewska krew,

nie jestem niskiego rodu;

a jednak marny jest mój los.

Prawda jest u korzeni mego języka,

mądrość jest tchnieniem mej mowy;

ale me słowa nie znajdują posłuchu wśród ludzi.

Jam jest piewcą u zarania dziejów,

i stoję u wrót na zachód.

No cóż, zabił mi tym klina. Żyjesz z kimś przez kilka lat i myślisz, że go znasz.

–Skąd, u licha, to wytrzasnąłeś? – zapytałem, gdy trochę ochłonałem ze zdumienia.

–Podoba ci się? – Uśmiechnął się do mnie głupkowato niczym niegrzeczny uczeń, przyznający się do winy przed wychowawcą.

–Dobre – przyznałem. – Gdzie to znalazłeś?

–Nie mam zielonego pojęcia – odparł Simon. – Musiałem gdzieś natknąć się na to w trakcie lektury. Wiesz, jak to jest.

Wiem, jak to bywało, jasne. Simon, sumienny doktorant, od miesiący ledwie zaglądał do książek.

–Wiesz, co znaczą te słowa? – zapytałem.

–Prawdę powiedziawszy, miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz – odparł nieśmiało. – Obawiam się, że nie bardzo się na tym znam. Powiedziałbym, że to bardziej twoja działka.

–Simon, o co tu chodzi? Najpierw to podniecenie sprawą wołów, potem zawracałeś głowę tym czasem-pomiędzy-czasem, a teraz cytujesz mi celtyckie zagadki. Co jest grane?

Simon wzruszył ramionami.

–Po prostu zdawało mi się, że to pasuje. Wzgórza, wschód słońca, Szkocja... i tym podobne rzeczy.

Więcej dowiedziałbym się od ostrygi, więc zmieniłem temat.

–A co ze śniadaniem? – Simon nie odpowiadał. Wydawał się znowu całkowicie pochłonięty prowadzeniem samochodu. – Może zatrzymalibyśmy się w Nairn, aby coś przekąsić?

Nie zatrzymaliśmy się w Nairn. Przemknęliśmy przez miasto tak szybko, jakby Simon próbował pobić rekord szybkości.

–Zwolnij! – krzyknąłem, zapierając się rękoma o deskę rozdzielczą. Ale Simon jedynie zmienił bieg i jechał dalej.

Wyjeżdżając z Nairn, obrał drogę A 939 i poleciliśmy, niemal dosłownie, przez wzgórza. Szczęśliwie mieliśmy szosę tylko dla siebie. Droga wiła się gładką wstęgą, a my pokonywaliśmy ją z wielkim pośpiechem. Tuż za rzeką Findhorn wjechaliśmy do wsi Ferness, położonej na skrzyżowaniu A 939 i B 9007.

–Tu musimy skręcić – powiedziałem. – Jedź na prawo.

Droga B 9007 okazała się wąskim asfaltowym szlakiem, biegnącym dnem doliny Findhorn. Była główną drogą ku pozostałościom puszczy Darnaway, które teraz, ku memu zdumieniu, miały wszelkie znamiona prawdziwego lasu.

To znaczy, były tu wzgórza porośnięte gęsto wysokimi sosnami, poranna mgiełka snująca się pomiędzy drzewami i strumyczki spływające do rzeki poniżej. Po przejechaniu mili dotarliśmy do maleńkiej wioski zwanej Młyny Airdrie.

Znałem celtycki na tyle, aby zorientować się, że słowo "Airdrie" było zbitką starego celtyckiego określenia "Aird Righ", znaczącego tyle co Główny Król. Choć nie budził zdziwienia król mający młyn nad rzeką, to uznałem za nieco osobliwe to, że musiał to być Główny Król. W starożytności tytuł ten zarezerwowany był jedynie dla najbardziej szacownych osób z królewskiego rodu i w Szkocji rzadko się go spotykało.

Sama wioska nie wyróżniała się niczym szczególnym: rozległy plac z zajazdem i kombinacją sklepu, poczty i kiosku z gazetami. Po przejechaniu następnej mili dotarliśmy do nie oznakowanej drogi. Na skrzyżowaniu stał wyblakły drogowskaz; widniały na nim jaskrawe litery napisu "Carnwood Farm" i strzałka wskazująca drogę. Skręciliśmy w lewo i wkrótce dojechaliśmy do kamiennego mostu. Kolejny raz przekroczyliśmy Findhorn i wjechaliśmy głębiej w serce Darnaway.

Carnwood Farm znajdowała się na kawałku płaskiego terenu pomiędzy dwoma szerokimi, porośniętymi drzewami wzgórzami. Małe, schludne i skromne miejsce wydawało się dobrze prowadzone i dostatnie. Jednakże wiało z niego... sam nie wiem... jakąś pustką. Tak jakby od dawna było porzucone. Nie zaniedbane, nie opuszczone. Po prostu nietknięte. Czy jeszcze dokładniej, wyglądało to tak, jakby ta ziemia jakimś sposobem opierała się zasiedleniu. To był jawny absurd. Zabudowania, pola i sterta porośniętych mchem kamieni obok domu świadczyły o tym, że całe pokolenia nieprzerwanie zamieszkiwały to miejsce.

–Oto farma – powiedział Simon. Zwolnił i zatrzymał się na poboczu. Na końcu długiej, obsadzonej drzewami alei stał duży dom z szarego kamienia. Wylot alei zamykała od strony szosy pomalowana na czarno, drewniana brama. Na blaszanej skrzynce na listy było wypisane wyraźnymi białymi literami nazwisko Grant.

–No to jak? Będziemy tu tak siedzieć, czy wejdziemy? – zastanawiałem się głośno.

–Wejdziemy.

Simon wyłączył silnik i wyjął kluczyki ze stacyjki. Wysiedliśmy i podeszliśmy do bramy.

–Zimno tu – powiedziałem drżąc. Moja peleryna została w samochodzie. Simon spróbował otworzyć bramę; nie była zamknięta i rozchyliła się bez trudu.

W połowie alei spotkaliśmy wielkie, ślamazarne psisko. Zwierzę nie szczekało, ale wybiegło nam na spotkanie, merdając ogonem. Obliznął mi obie ręce, nim zdążyłem je wepchnąć do kieszeni. Simon gwizdnięciem przywołał go do siebie.

–Hej, psiaku, czy twój pan jest w domu?

–Jest w domu – powiedziałem. – I właśnie nadchodzi.

Za rogu stodoły wyłonił się człowiek w niekształtnym, tweedowym kapeluszu, czarnym płaszczu i zielonych kaloszach. Trzymał w dłoni długą pałkę i wyglądał na kogoś, kto wie, jak się nią posłużyć.

–Dzień dobry, sir! – zawołał Simon, przywołując swój urok Rawnsona. – Ładnie tu pan ma.

–Dobry. – Farmer nie uśmiechnął się, ale i nie zrobił użytku ze swej laski. Przyjąłem to za dobry znak.

–Przyjechaliśmy z Oksfordu – powiedział Simon, jakby to powinno wszystko wyjaśniać.

–Aż stamtąd? – Farmer nieznacznie pokręcił głową. Najwyraźniej nie bardzo wiedział, gdzie ten Oksford umiejscowić. – Chcieliście zatem zobaczyć tę bestię.

Pomyślałem, że chodziło mu o psa i właśnie zamierzałem zauważyć, że już mieliśmy tę przyjemność, gdy Simon powiedział:

–To prawda. Oczywiście, jeśli to nie sprawi kłopotu. Nie chciałbym naprawdę sprawiać kłopotu.

Jeśli to nie sprawi kłopotu! Jechaliśmy cały dzień i całą noc, aby dotrzeć tu w ekspresowym tempie i zobaczyć tego tura, a on nie chciałby sprawiać nikomu kłopotu. Zaraz padnę!

–Ależ nie sprawicie mi kłopotu – odparł farmer. – Zaraz was tam zaprowadzę.

Wyprowadził nas za stodołę, na małe poletko. Przymrożona trawa chrzęściła pod stopami, niczym rozduszane skorupki jaj. Rozejrzałem się po polu, wypatrując śladów nieszczęsnego reliktu ery lodowcowej, ale niczego nie dostrzegłem.

Niebawem zatrzymaliśmy się i farmer dźgnął końcem swej laski ziemię przed nami.

–To tutaj upadł – powiedział. – Widzicie, jak przygniótł trawę?

Niczego takiego nie mogłem się dopatrzeć, i prawdę powiedziawszy, niczego się nie dopatrzyłem.

–Gdzie to jest? – zapytałem. Rozczarowanie nadało memu głosowi ostre brzmienie. Rozczarowanie, a może desperacja.

Farmer obrzucił mnie łagodnym spojrzeniem – bardzo przypominającym to, z jakim spogląda się na wioskowego głupka – w którym litość mieszała się z rozbawieniem.

–Tu go nie ma, no nie?

–Widzę, że tutaj tego nie ma – nie tutaj. Gdzie to sobie polazło? – Nie miałem zamiaru być nieuprzejmy wobec tego człowieka, ale nikogo zdawało się nie obchodzić, że przejechaliśmy osiem zilionów mil po to tylko, aby wgapić się w goły kawałek ziemi na pustym polu.

–Przyjechali i zabrali go wczoraj po południu – odpowiedział farmer.

Simon kucnął i dotknął dłonią przygniecionych źdźbeł trawy.

–Kto go zabrał? – zapytał beztroskim tonem. – Jeśli wolno mi spytać.

–Jasne – odparł farmer. – Ludzie z uniwersytetu.

–Jakiego uniwersytetu? – dopytywałem się, czując się z każdą chwilą bardziej wystrychnięty na dudka.

–Edynburskiego – odpowiedział farmer, tak jakby na całej planecie istniała tylko jedna instytucja wyższego kształcenia i zdumiał go sam fakt, że o to pytałem. – Byli archeologami. Mieli mikrobus, przyczepę i wszystko, co trzeba.

–Wczoraj po południu, mówi pan? Mniej więcej o której? – Teraz z kolei Simon przystąpił do wypytywania.

–Było kwadrans po czwartej. Właśnie szedłem do domu na herbatę, gdy przyjechali – rzekł farmer, kucając obok niego i machając laską nad nieistniejącym ciałem. – Tutaj widać, jak padł. Przypuszczam, że przekręcił się na bok. Łeb był tutaj. – Uderzył ziemię laską. – Zrobili zdjęcia i wszystko, co trzeba. Mówili, że przyjadą inni, aby to opisać.

–To prawda – przyznał Simon, sugerując, że to my właśnie jesteśmy tymi facetami. – Przyjechaliśmy tak szybko, jak mogliśmy.

–Nie ma pan tu gdzieś w pobliżu sterty nawozu? – zapytałem.

–Gnoju? – zapytał z kpiną w głosie farmer. – Czyżby pan szukał sterty gnoju?

Simon przewrócił oczyma.

–Dokąd ci faceci z uniwersytetu zabrali ciało?

–Do laboratorium – powiedział farmer. – Tam przecież je zabierają – do laboratorium. Przeprowadzają badania i tak dalej. – Pokręcił głową. Najwyraźniej wszystko to nie mieściło mu się w głowie. – Chcielibyście pewnie zjeść śniadanie?

–Tak – powiedziałem.

–Nie – rzekł Simon; spojrzał na mnie groźnie. – To stanowczo za dużo kłopotu. Jeśli nie miałby pan nic przeciwko

temu, chcielibyśmy zadać jeszcze kilka pytań i pojedziemy sobie. A zatem, kiedy po raz pierwszy zauważył pan to zwierzę na swym polu?

Farmer spojrział w niebo. Słońce wzniosło się ponad wzgórza, rozpraszając mgłę.

–Och, to żaden kłopot – powiedział.

–Mimo to dziękujemy – powiedział Simon z jednym z tych swoich ciepłych i zwycięskich uśmiechów. – Jednakże nadzwyczaj miło, że pan proponuje.

–Nie macie zatem ochoty na kubek ciepłej kawy? – Farmer wsunął ręce do kieszeni.

Simon wstał powoli.

–Tylko jeśli nie sprawi to kłopotu. Nie chcielibyśmy zajmować zbyt wiele pańskiego czasu – rzekł. – Nie chciałbym być posądzonym o natręctwo.

Farmer uśmiechnął się.

–Moja Morag już pewnie naląła kawę do kubków. Chodźcie ze mną. – Wyciągnął rękę. – Nazywam się Grant – Robert Grant.

–Ja jestem Simon Rawnson – powiedział Simon, podając dłoń farmerowi. – A to mój kolega, Lewis Gillies.

Uścisnąłem mu dłoń i po ceremonialnym powitaniu ruszyliśmy za naszym gospodarzem w kierunku domu. Simon chwycił mnie za ramię.

–Do tych ludzi nie można tak podchodzić – szepnął z naciskiem.

–Niby jak? Zaproponował poczęstunek, a ja jestem głodny.

Simon zmarszczył brwi.

–Oczywiście, że zaproponował – a czego się spodziewałeś? Ale powinieneś pozwolić mu, aby nas nakłaniał.

–Co tylko powiesz, Kemo Sabe. To twoje przedstawienie.

–Tylko czegoś znowu nie schrzań – syknął Simon. – Ostrzegam cię.

–Dobra już! Cicho!

Weszliśmy za farmerem do domu i poczekaliśmy, aby zdjął płaszcz. Jego żona Morag czekała na nas w kuchni, gdzie, jak przewidział farmer, nalewała kawę do kubków.

–Ci chłopcy są z Oksfordu. – Sposób, w jaki to powiedział, zdawał się sugerować, że całą drogę skakaliśmy na jednej nodze.

–Oksford, mówisz? – zapytała kobieta wyraźnie poruszona. – No to lepiej usiądźcie. Owsianka jest gorąca. Jak mam wam zrobić jajka?

Usta ułożyły mi się w “usmażyć”, ale Simon był pierwszy.

–Kawa nam w zupełności wystarczy – oświadczył słodko. – Ale mimo wszystko dziękujemy.

Farmer przysunął do stołu jeszcze dwa krzesła.

–Siadajcie – rzekł. Usiedliśmy.

–Nie możecie obyć się samą kawą – powiedziała żona farmera. – Nie pozwolę, aby gadali, że wstaliście głodni od mego stołu. – Podparła się pod boki. – Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko jedzeniu w kuchni.

–Jest pani bardzo uprzejma – powiedział Simon. – W kuchni jest nam wyśmienicie. – Obdarzył ją najbardziej

uszcześliwiającym ze swych uśmiechów. Widywałem już, jakie zdumiewające efekty wywierało to na kelnerkach czy bibliotekarkach. Niektórzy ludzie nie potrafili się temu oprzeć.

Po chwili wszyscy byliśmy pochyleni nad parującymi miskami gęstej owsianki. Potem przyszła kolej na jajka, tosty z domowym agrestowym dżemem, grube plastry wiejskiego boczku, domowy ser i placek z owsianej mąki. Morag, z poczerwieniałą od dymu twarzą, królowała przy stole. Bez wątpienia była z siebie bardzo zadowolona.

Dopiero gdy zaczęto sprzątać naczynia ze stołu, rozmowa wróciła do tematu nieobecnego tura.

–Wiecie, to bardzo dziwne – powiedział farmer, zaglądając do trzymanego w obu dłoniach kubka kawy. – Przechodziłem tym polem pięć minut wcześniej. Nie było wtedy nawet najmniejszego śladu po tym zwierzu.

Simon skinął ze zrozumieniem głową.

–To musiał być niezły szok.

Farmer kiwnął nieznacznie głową. Wówczas do rozmowy wtrąciła się jego żona, pochylona nad stołem.

–Gdyby to tylko tyle. Powiedz im o włóczni, Robercie.

–Włócznia? – Simon pochylił się do przodu. – Przepraszam, ale nikt nie wspominał nic o żadnej włóczni. Nie było o tym nic w... no, w raporcie.

Farmer pozwolił sobie na chytry, pełen dumy uśmiech.

–Tak, tak. Nikomu innemu o tym nie mówiłem, prawda?

–O czym pan nie mówił? – zapytałem.

–To zwierzę na moim polu zostało zabite włócznią – odparł farmer Robert tonem stwierdzającym fakt. – Cios prosto w serce. – Skinął ku żonie. Morag podeszła do kąta za dużym piecem. Wyciągnęła stamtąd długi na pięć stóp kij z jesionowego drewna. Był zakończony płaskim metalowym ostrzem w kształcie liścia, które było umocowane do drzewca paskiem niewyprawionej skóry. Ostrze, rzemień i drzewce były pokryte rdzawobrunatnymi plamami, które zdawały się śladami krwi.

Kobieta przyniosła pradawną broń do stołu. Wstałem i wyciągnąłem rękę.

–Czy mogę?

Mąż dał znak, a ona podała mi włócznię. Ująłem ją w dłonie. Miała znaczny ciężar – to była solidna, dobrze wykonana broń. Obróciłem ją, obejrzałem dokładniej od końca po ostrze. Drewno drzewca było ostrugane, wygładzone i proste. Ostrze, pokryte zaschniętą krwią, było wyklepane na cienką blaszkę i ostre jak brzytwa. Pokrywał je najbardziej zawily spiralny wzór, jaki można sobie było wyobrazić; cała powierzchnia ostrza, aż po sam brzeg, poznaczona była tymi precyzyjnymi, splatającymi się zwojami.

Kiedy tak stałem, trzymając włócznię w dłoniach, naszło mnie osobliwe uczucie. Poczułem, jakbym znał tę broń, jakbym trzymał ją już przedtem i jakby trzymanie jej było najwłaściwszą z rzeczy do zrobienia. Poczułem dziwne wrażenie pełni, więzi...

Głupiec ze mnie. Oczywiście, widywałem już takie ostrza wielokrotnie – na niezliczonych zdjęciach, a kilkakrotnie prawdziwe okazy – i znałem na tyle dobrze, by je rozpoznać: epoka żelaza, celtycka kultura La Tene, siódmy do piętnastego wieku przed naszą erą. W British Museum są ich setki, jeśli nie tysiące, w kolekcji rękodzieła z epoki żelaza. Dotykałem nawet kilku z nich w oddziale badań Ashmolean Museum w Oksfordzie. Jedyna różnica jaką mogłem zauważyć pomiędzy tym i zardzewiałymi relikami z muzeum, polegała na tym, że broń, którą trzymałem w dłoniach, wyglądała tak, jakby zrobiono ją wczoraj.

5. Kamienny kurhan

o wszystko jakiś kawał. Oszustwo. A ty jesteś głupi, że się dałeś na to nabrać. Mogę się założyć, że oni teraz śmieją się z nas w najlepsze. Zabiliśmy ćwieka mieszcuchom aferą ze znikającym turem. Ale jesteśmy sprytni! Doskonały kawał. Cha! Cha! Cha!

Simon włączył bieg i wóz wytoczył się na szosę.

–Nie wierzysz Robertowi i Morag. To chcesz powiedzieć?

–No cóż, nie widzę żadnych wymarłych zwierząt. A może ty widzisz jakiegoś wymarłego zwierza? Nie? Ojej, a to ci niespodzianka – kpiłem.

–A co ze zdjęciem w gazecie?

–Ten szmatławiec pewnie dał mu stówę za pozowanie do zdjęcia, a drugą stówę, aby trzymał gębę na kłódkę – szydziłem. – Nie widzieliśmy żadnych turów, ponieważ żadnego tura nigdy tam nie było.

–Widzieliśmy jednak cholernie dobry egzemplarz włóczni z epoki żelaza.

–Grant sam go zrobił dla większego efektu. Daj mi pół dnia w warsztacie, a też ci taką zrobię.

–Naprawdę tak sądzisz?

–Na litość boską, Simon. Ocknij się i wyczuj wreszcie pismo nosem! Nabrano nas. Dajmy spokój i wracajmy do domu.

Simon odwrócił głowę i spojrzał na mnie pogodnie.

–To ty zapytałeś o kurhan – powiedział. – Mnie by to nigdy nie przyszło do głowy.

Simon musiał to wyciągnąć.

–No dobrze, podnieciłem się. I co z tego?

–To z tego, że to był twój pomysł. Jedziemy obejrzeć ten kamienny kurhan. – Zmienił bieg i samochód pomknął dalej.

–Nie musimy tego robić z mego powodu – błagałem. – Rozmyśliłem się. Słuchaj, jest ledwie dziewiąta. Jeśli teraz wyruszymy z powrotem, będziemy w Oksfordzie wieczorem.

–To nie więcej niż mila tą drogą – zauważył Simon. – Zahaczymy po drodze, rzucimy okiem i już nas nie będzie. Co ty na to?

–Słowo?

–Tak – powiedział.

–Kłamca! Ty wcale nie masz jeszcze zamiaru jechać do domu.

Simon roześmiał się.

–Czego ty chcesz, Lewis? Krwi?

–Chcę jechać do domu!

Simon zdjął prawą rękę z kierownicy i wskazał na atlas.

–Sprawdź, czy nie ma tego kurhanu na mapie.

Przypomniałem sobie o atlasie i szybko przebiegłem wzrokiem mapę.

–Nie widzę nic takiego.

Ta moja niewyparzona buzia. Wszystko przez te włócznie z epoki żelaza, wymarłe tury i tym podobne rzeczy, które kłębiły mi się w głowie, gdy siedziałem w kuchni Granta. Nic więc dziwnego, że wyskoczyłem z tym kurhanem.

–Czy jest tu w pobliżu jakiś kurhan? – zapytałem nagle.

–O tak – odpowiedział farmer Bob. – Nawet dość blisko. Kiedyś był częścią tej posiadłości, ale mój dziadek sprzedał ten kawałek ziemi z kurhanem. Staruszek był zabobonny.

Potem zaczął nam tłumaczyć, jak odszukać kurhan, gdyż Simon zaraz się uparł, aby tam pojechać i zbadać to miejsce, skoro już jesteśmy w okolicy. Farmer Bob również uznał to za właściwe podejście do sprawy i miał nawet wielką ochotę pojechać razem z nami. Simon jednak mu to odradził, sugerując, że lada chwila mogą się pojawić kolejni faceci z uniwersytetu, którzy chcieliby z nim porozmawiać. Pożegnaliśmy się więc, obiecując sobie, że pozostaniemy w kontakcie i wkrótce znowu wpadniemy w odwiedziny.

Jechaliśmy więc teraz jedną z tych wąskich, krętych, obrosniętych krzakami wiejskich dróg, które zbudowano z myślą o czołowych zderzeniach, aby obejrzeć tę kupę kamieni lub to, co na tym wilgotnym zadupiu uważa się za kurhan. Na drodze szczęśliwie nikogo nie spotkaliśmy i po jakimś czasie dotarliśmy do bramy, o której nam mówił Grant. Simon zatrzymał samochód i wysiedliśmy.

–To za tym polem, w dolinie. – Wskazał w dół zbocza, ku linii wierzchołków drzew wystających ponad szeroki stok pola.

Staliśmy przez chwilę, spoglądając na pole. Nagle usłyszałem szczekanie psa i odwróciłem się. Za nami, tam skąd przybyliśmy, ujrzałem mężczyznę nadchodzącego z trzema lub czterema sporymi psami na smyczy. Był jeszcze zbyt daleko, abym mógł dobrze widzieć, ale wydawało mi się, że psy są białe.

–Ktoś nadchodzi.

–To tylko jeden z sąsiadów Roberta – powiedział Simon.

–Może lepiej wracajmy.

–On nie będzie sobie zwracał nami głowy. Chodź.

Bez dalszych ceregieli przeszliśmy przez bramę i ruszyliśmy biegiem przez pole. Przyjemnie było przebierać nogami i czuć rześkie powietrze w płucach. U podnóża zbocza trafiliśmy na kamienny mur, przeleźliśmy przez niego i zsunęliśmy się po błotnistym nasypie do dolinki.

Była ledwie fałdą pomiędzy dwoma wzgórzami, głęboką i wąską. Pomiedzy korzeniami nagich, poskręcanych drzew, które porastały zbocza dolinki, płynął bystry strumyczek. Unosiła się znad niego mgła, która snuła się pomiędzy drzewami. Z dala od słońca i światła mroczna dolinka pozostawała chłodna i wilgotna.

W centrum tej ukrytej kieszeni ziemi wznosił się ziemny kopiec: przysadzisty, okrągła wy, około dziewięciu stóp wysoki i o obwodzie mniej więcej trzydziestu stóp. Gdyby nie osobliwa deformacja w kształcie ula po stronie zachodniej, byłby prawie idealnie stożkowy.

–Skąd wiedziałeś, że tu będzie kurhan? – zapytał Simon. Jego głos zabrzmiał głucho w nieruchomym powietrzu kotlinki.

–Domyśliłem się. Sądząc po nazwie Carnwood Farm, gdzieś w okolicy musiał się znajdować kamienny kurhan w lesie, no nie? – Spojrzałem na dziwną budowlę. – I oto jest. Zobaczyliśmy już to dziwo. Wracajmy, zanim ktoś przyjdzie. – Spodziewałem się w każdej chwili ujrzeć człowieka z psami.

Simon zignorował moje słowa i podszedł bliżej.

Od pomocy kurhan porastały kępy ostrokrzewu, a od południa zarośla czegoś innego. Fasada była porośnięta trawą. Powietrze w kotlinie pachniało zbutwiałymi liśćmi i wilgotną ziemią. W pobliżu usłyszałem szczekanie psa.

–Nie chcę zostać przyłapany na chodzeniu po cudzym terenie – powiedziałem Simonowi. Nie odpowiedział; dalej przyglądał się uważnie kurhanowi.

–Co to za sprawa z tymi kurhanami? – zapytał, obchodząc wolno osobliwą budowlę.

–Żadna – powiedziałem. – W ogóle nie ma żadnej sprawy.

–Bądź równym gościem. Naprawdę chcę wiedzieć.

Odetchnąłem głęboko i usiadłem na kamieniu, tymczasem Simon po raz drugi obchodził kurhan.

–No cóż, nikt nie wie nic pewnego – zacząłem – ale najwyraźniej ludzie zwykli usypywać kamienie w takie kopce dla zaznaczenia różnych rzeczy.

–Jakiego rodzaju rzeczy?

–Różnych – skrzyżowań szlaków, studni lub źródła, miejsca ważnych wydarzeń.

–Na przykład jakich?

Ze szczytu wzgórza ponad dolinką doleciało mnie szczekanie psa; odwróciłem się w kierunku dźwięku i zdawało mi się, że dostrzegłem, jak coś białego błysnęło pomiędzy drzewami.

–Co znaczy na przykład jakich?

–Jakie ważne wydarzenia chcieli zaznaczyć?

–Któż to wie? Może miejsce, w którym ktoś znalazł złoto lub zabił olbrzyma, czy też do którego uprowadził czyjąś żonę lub uznał je za święte – któż to wie? W końcu to wszystko i tak tylko domysły. Może po prostu chcieli tylko trochę posprzątać okolicę, więc ułożyli wszystkie kamienie na jednej kupie.

–To znaczy, że te kurhany nie są puste – wywnioskował, dalej wędrując wolno wokół pokrytego darnią kopca.

–Niektóre z nich są puste w środku – przyznałem. – A co to za różnica? – Gdzieś za plecami usłyszałem trzask łamanej gałęzi. Okręciłem się i dostrzegłem mignięcie bieli pomiędzy ciemnymi pniami gęsto rosnących drzew. – Myślę, że ktoś nadchodzi. Lepiej się stąd wynośmy.

–A te puste – odezwał się Simon – co w nich jest?

–Nie ma w nich pogrzebanych skarbów, jeśli ci o to chodzi. – Przyglądałem mu się chwilę. Zdawał się tak bardzo pochłonięty zrozumieniem istoty tego pradawnego monumentu, że nie mogłem powstrzymać się od pytania.

–Co ci chodzi po głowie, Simon?

Simon przerwał na chwilę trzeci już obchód kopca.

–Co masz na myśli?

–Oszczędź mi tego.

–Oszczędzić ci czego, drogi chłopcze? – Wpatrywał się we mnie ironicznie.

–Oszczędź mi tego “drogi chłopcze”. Skąd u ciebie to nagle zainteresowanie Celtami? O co chodzi?

–To ty zapytałeś o kurhan, nie ja.

–Taak, już to ustaliliśmy.

–Jesteś tym równie zaintrygowany jak ja – podsumował Simon. – Różnica polega na tym, że ja się do tego przyznaję, a ty, przyjacielu, nie.

–Daj spokój, Simon. Nie udawaj niewiniątka. O co naprawdę chodzi? Co wiesz?

Simon zniknął za kopcem. Czekałem, ale nie pojawiał się.

–Simon? – Mój głos zabrzmiał jak stłumiony grubą watą.

Wstałem z kamienia i poszedłem na drugą stronę kurhanu. Simon klęczał, usiłując przedrzeć się przez gąszcz u podstawy budowli.

–Co robisz?

–Myślę, że ten jest pusty.

–Możliwe.

–Chcę zobaczyć wewnątrz.

–Czy musimy to robić? Nie możemy stwierdzić, że widzieliśmy, i pojechać do domu, jak obiecałeś?

–Pozwól mi tylko zerknąć do środka, potem pojedziemy.

Pokręciłem bezradnie głową.

–Dobrze. Zerknij sobie.

Łamiąc rękoma gałęzie i wijąc się jak wąż, Simon przedarł się w głąb gęstwiny. Stałem przyglądając się i zobaczyłem to, co i on zobaczył – mały, ciemny otwór u podstawy kurhanu. Simonowi udało się wepchnąć weń głowę i ramiona. Po chwili wycofał się.

–Zadowolony? – zapytałem. O, ja naiwny!

–Potrzebna mi latarka – powiedział. – Jest w bagażniku. Bądź dobrym kumplem i przynieś mi ją, dobrze? – Wsunął rękę do kurtki i wyciągnął kluczyki. – Masz, będą ci potrzebne.

Schwyciłem kluczyki i wspiąłem się z powrotem do samochodu, znalazłem latarkę i zatrzasnąłem pokrywę bagażnika. W chwili, gdy odwracałem się od samochodu, dostrzegłem kątem oka mignięcie czegoś białego – jakby coś szybko przebiegło wąską drogą za mną i zniknęło w krzakach po drugiej stronie. Patrzyłem przez chwilę w tamtą stronę, ale niczego więcej nie zobaczyłem. Wróciłem więc do kurhanu.

Podczas mojej nieobecności Simon oczyścił nieco przejście z krzaków i powiększył jakimś sposobem otwór.

–Masz, chłopie – podałem mu latarkę. – Połam się.

–Ty nie wchodzisz?

–Za jakie grzechy?

Simon zdjął kaszkiet.

–Weź, nie chcę go zabrudzić.

Wziąłem go od niego i nałożyłem.

–Bądź ostrożny, dobrze? W środku może być borsuk.

–Krzyknę, jeśli na cokolwiek się natknę. – Wczołgał się w gąszcz i wepchnął w otwór. Chwilę wiercił się w nim, po czym odepchnął się nogami i wsunął do środka.

Przez kilka chwil nie słyszałem żadnych odgłosów.

–Simon? Wszystko w porządku?

Z głębi kopca dobiegł mnie jego głos:

–W porządku. W porządku. Sucho tu. Myślę... myślę, że mogę stanąć. Tak.

–Co widzisz? – dopytywałem się. Nie było odpowiedzi. Zapytałem raz jeszcze: – Co widzisz?

–Jest gładki – no, prawie gładki w każdym razie – odpowiedział. Jego głos był tak stłumiony, jakby dochodził z wnętrza kanapy. – Na niektórych kamieniach są chyba jakieś zna...

–Znaki? – krzyknąłem. – Powiedziałeś znaki?

–Tak... – nadeszła odpowiedź. – Niebieskie znaki... labirynty i dłonie... i...

Czekałem.

–Simon?

Nie było odpowiedzi. Padłem na czworaki i podczołgałem się do wejścia do kurhanu.

–Simon? Co jeszcze zobaczyłeś?

Z wnętrza dobiegł mnie stłumiony zgrzyt – dźwięk podobny do tego, jaki wydaje kamień powoli wyciągany z muru.

–Simon? – zawołałem. – Słyszysz mnie? Co robisz?

Z wnętrza nadal dobiegały dziwne odgłosy. Poprzez nie usłyszałem okrzyk Simona:

–Dobry Boże!

–Simon! – wrzasnąłem. – Co się dzieje?

Sekundę później w otworze pojawiła się głowa Simona. Twarz płonęła mu z podniecenia.

–Coś się dzieje. To niewiarygodne! Po prostu fantastyczne! – Ponownie zniknął.

–Czekaj! Zaczekaj... Co się dzieje? Simon!

W polu widzenia ponownie pojawiła się jego twarz. Oczy miał szeroko otwarte, był zdyszany.

–Nie do wiary! – powiedział, podając mi przez otwór swą kurtkę. – To cholernie niewiarygodne, Lewis. To raj! Mówię ci. Musisz to zobaczyć. Chodź! Chodź ze mną!

–Nie! Czekaj! – krzyknąłem zdesperowany. – Co to jest? Co jest niewiarygodne? Simon, dokąd idziesz?

–Wchodzę – padła jego stłumiona odpowiedź. – Chodź ze mną!

To były ostatnie słowa Simona.

6. Wielki kawał

czekałem dobre dziesięć minut – wydawało się, że wiele godzin – nim odważyłem się ruszyć na poszukiwanie Simona. Czekałem i nasłuchiwałem, a co pół minuty wołałem go po imieniu. Usiadłem z głową w pobliżu otworu, ale nie usłyszałem żadnego dźwięku.

Spróbowałem precyzyjnie się przez gąszcz i wepchnąć głowę do wnętrza kurhanu. Smoliste ciemności, tak jak się spodziewałem. Niczego nie mogłem dojrzeć. Miałem nadzieję, że oczy przyzwyczajają się do ciemności, więc położyłem się. Potem zacząłem się wiercić i przeciskać przez otwór, podobnie jak to uczynił Simon.

Zgodnie z jego słowami, miejsce było suche i, ku mojemu zaskoczeniu, powietrze było tu znacznie cieplejsze niż na zewnątrz. Pachniało stęchlizną i pleśnią jak w jaskini. Usiadłem skulony w pobliżu wejścia i czekałem, aż wzrok się przyzwyczai. Jednakże po dłuższej chwili nie widziałem nawet wyciągniętej przed oczyma dłoni.

Nie potrzebowałem jednak oczu, aby wiedzieć, że Simona już tu nie było.

–Simon? – zawołałem, a głos wypełnił kamienny ul kurhanu. – Bardzo zabawne, Simon! Możesz wyjść, Simon?

Nie było odpowiedzi.

Krzyknąłem głośnie.

–Wiem, że mnie słyszysz, Simon! Wyłaź i zbierajmy się stąd, dobrze? Chodź. Żarty na bok, słyszysz? Chodźmy!

Nie usłyszałem niczego oprócz głuchego echa mego własnego głosu, odbitego od kamiennych ścian.

W pierwszym odruchu chciałem odejść. Potem jednak pomyślałem, że może potknął się i uderzył głową o kamień. Zacząłem więc chodzić na czworakach po kurhanie, aby upewnić się, czy nie leży gdzieś nieprzytomny. Zacząłem od otworu wejściowego, przez który wpadało blade światło. Obszedłem szybko wnętrze, wodząc prawą dłońią po ścianie. Potem, dla większej pewności, że niczego nie przegapiłem, wróciłem z powrotem tą samą drogą, a na koniec kilkakrotnie przeszedłem jeszcze środek kurhanu.

Na ostatnim odcinku rzeczywiście coś znalazłem. Kopnąłem w to coś kolanem i poczułem, jak obito mi się o rękę. Podniosłem: latarka Simona. Włączyłem ją i omiotłem wąskim snopem światła wnętrze kurhanu. Każdy cal.

Nie było nieprzytomnego Simona, nie było szczeliny w ziemi, w którą mógłby wpaść, nie było ukrytego przejścia, którym mógłby wyjść na zewnątrz. Po prostu go tu nie było.

Załamany oparłem się o kamienną ścianę kurhanu.

–Simon, ty draniu, nie rób mi tego! – zakląłem i wałnąłem bezsilnie dłońią w suchą ziemię. – Nie rób mi tego. Nie waż się mi tego robić!

Poczułem gwałtowny przypływ gniewu.

–Odchodzę, Simon! – krzyknąłem. – Słyszysz? Odchodzę! Możesz sobie tu zgnić, nic mnie to nie obchodzi!

Przepchnąłem się przez wąskie wyjście na zewnątrz. Kurtka Simona leżała nadal tam, gdzie ją zostawiłem. I jego kaszkiet również. Podniosłem rzeczy i pomaszerowałem do samochodu.

Otworzyłem drzwiczki, wrzuciłem kurtkę i kaszkiet na tylne siedzenie i wsunąłem się za kierownicę. Wepchnąłem kluczyk do stacyjki. Byłem zdecydowany odjechać. Ale zawahałem się.

Niech to cholera! Nie mogę go tu tak po prostu zostawić. Wyrzałem na pole w kierunku ukrytej doliny. Miałem nadzieję, że zobaczę biegnącego ku mnie, uśmiechniętego od ucha do ucha, Simona. Niemal słyszałem już jego słowa:

–Ty naprawdę tam polazłeś, Lewis! Cha! Cha! Cha!

Wyciągnąłem kluczyk i ułożyłem się wygodniej na siedzeniu kierowcy. Drzwi zostawiłem otwarte. Przygotowałem się na czekanie.

Obudziłem się o wpół do trzeciej. Październikowe słońce nurkowało już ku wzgórzom. Wiatr przybrał na sile, targając nagimi gałęziami pobliskich drzew. Simon nie pojawił się w trakcie mojej drzemki i moja cierpliwość się wyczerpała.

–To jakieś szaleństwo – mruknąłem do siebie. – Masz pecha, Simon. Poddaję się.

Ale, niczym dobry skaut, postanowiłem po raz ostami sprawdzić, czy nie natrafię na jakieś ślady. Nałożyłem jego kurtkę i ruszyłem ku dolince. W połowie pola ujrzałem go: człowieka z psami.

Nie miałem pojęcia, skąd się tam wziął; zdawało się, że wyrósł spod ziemi. Pojawił się w jednej chwili razem ze swymi trzema posępными białymi psiskami, szarpiącymi się na smyczy. Psy zauważyły mnie w tej samej chwili, gdy i ja je spostrzegłem. Na mój widok zaczęły wściekle ujadać. W pierwszym odruchu chciałem uciec do samochodu i odjechać. Ale opanowałem się.

Człowiek zatrzymał się kilka jardów przede mną. Miał na sobie ciemny płaszcz, a w dłoni dzierżył długi kij. W drugiej ręce trzymał smycze psów. A cóż to były za psy! Najdziwniejsze psy, jakie kiedykolwiek widziałem: białe od łba po ogon, z jaskraworudymi uszami. Były ogromnymi, kościstymi zwierzakami, o solidnych klatkach piersiowych, ale długich nogach i szczupłych zadach. Zwierzęta zdawały się ciągnąć człowieka za sobą, a on powstrzymywał je na napiętych smyczach.

–Witam! – zawołałem, udając przyjazny ton.

Nie odpowiedział. Zbliżyłem się kilka kroków.

–Czekam na przyjaciela – wyjaśniłem.

Psy wpadły w szal. W gasnącym świetle dnia zdawały się jarzyć, ich białe futro i krwście czerwone uszy lśniły. W długich pyskach błyskały ostre zębiska, gdy szarpały się, aby mnie dopaść. Ponownie nasza mnie ochota, by uciec do samochodu, zamknąć drzwi i szybko odjechać. Ale zdusiłem ją w sobie.

Człowiek przyglądał mi się obojętnie, twarz miał pomarszczoną niczym małpa, oczy błyszczące jasno i twardo. Nie odezwał się, ale przy nieprzerwanym ujadaniu psów i tak bym go nie usłyszał.

Moglibyśmy tak stać i całą noc, gdybym nie uprzytomnił sobie, że bez względu na te psy muszę sprawdzić po raz ostatni kurhan. Uniosłem dłoń błagalnym gestem i z wahaniem ruszyłem do przodu.

–Słuchaj – krzyknąłem – ja tylko zejdę do tego kurhanu... – wskazałem ku dolince, po czym odwróciłem się do samochodu – a potem mam zamiar wsiąść do samochodu i odjechać...

Gdy się ponownie odwróciłem, mężczyzna oddalał się sztywnym krokiem. Nie czekając na wyjaśnienia, popędziłem w dół zbocza. W dolince było niemal tak samo ciemno, jak we wnętrzu kurhanu, ale bez problemu odszukałem otwór wejściowy. Wsunąłem głowę do środka, krzyknąłem kilka razy i poświeciłem latarką. Żadnej odpowiedzi. Żadnego dźwięku. Nic.

–Dobra, Simon, doigrałeś się! – zawołałem, ale głos mi się załamał. – Tym razem posunąłeś się za daleko. Miej pretensje tylko do siebie! Słyszysz mnie, Simon? Zostawiam cię tutaj!

Wyciągnąłem jego portfel – wypchany forszą, kartami kredytowymi, identyfikatorami najróżniejszego rodzaju – z wewnętrznej kieszonki wyjąłem Barclaycard. Wsunąłem plastikową kartę kredytową w szczelinę pomiędzy dwoma kamieniami przy wejściu do kurhanu. Tu z pewnością ją znajdzie. – Proszę! – krzyknąłem, a mój głos zabrzmiał dziwnie głośno w cichej dolinie. – Bystry z ciebie facet, Simon. Sam trafisz do domu!

Odwróciłem się plecami do kurhanu, wspiąłem na zbocze dolinki i natychmiast wróciłem do samochodu. W połowie drogi przez pole dostrzegłem człowieka w długim, żółtym płaszczu, spieszącego drogą. Początkowo chciałem podbiec do niego i opowiedzieć mu o tym, co się stało. Jeśli mieszkał tu w okolicy, to pewnie wiedziałby o tym kurhanie. Tak czy owak, zdawało mi się, że powinienem o tym komuś powiedzieć.

Gdy byłem bliżej, mężczyzna zwolnił, jakby miał zamiar zaczekać i porozmawiać ze mną przy samochodzie. Gdy znalazłem się w odległości głosu, podniosłem nawet rękę i zawołałem do niego. Ale na dźwięk mojego głosu mężczyzna przyspieszył kroku i oddalił się szybko. Był już przy zakręcie, gdy dotarłem do samochodu.

Ponownie zawołałem. Wiem, że mnie usłyszał, ponieważ się odwrócił. Pomimo zmierzchu udało mi się dojrzeć jego twarz – jeśli to była twarz. Rysy miał grube, przesadnie grube niczym maska o długim, haczykowatym nosie, szerokich ustach i ogromnych uszach sterczących spod zmierzwionej strzechy czarnych włosów. Oczy miał duże i wyłupiaste, schowane pod pojedynczym, ciemnym łukiem krzaczastych brwi.

Spojrzałem na to osobliwe oblicze i momentalnie przeszła mi cała chęć do rozmowy. Poczulem skurcz w gardle i słowa zamarły mi na wargach.

Mężczyzna obejrzał się, potem odwrócił i zniknął na wysokości zakrętu. Nie chcę przez to powiedzieć, że zniknął mi z oczu za zakrętem drogi. Dziwna rzecz, ale wydawało się, że on rzeczywiście po prostu zniknął.

W momencie znikania jego ubranie zamigotało. Być może był to efekt wywołany zapadającym zmierzchem. Ale przysięgam, że jego płaszcz zamigotał, wyraźnie błysnął, gdy mężczyzna zniknął. To, bardziej niż widok jego odrażającej twarzy, sprawiło, że nogi wrosły mi w ziemię. Stałem gapiąc się w ślad za nim, dopóki szumiący w drzewach wiatr nie przewiał mnie do szpiku kości. Wówczas wskoczyłem do samochodu i odjechałem.

W drodze do Oksfordu miałem dosyć czasu na przemyślenie tego, co zaszło. Przekonywałem siebie, że Simon swoim głupim kawałem zasłużył, aby go tam zostawić. Nie wiem, jak tego dokonał, ale ja znam Simona. Kto jak kto, ale on potrafiłby zrobić coś takiego. Tylko on umiał marnować siły i środki na takie głupoty. Pewnie od miesiący pracowicie przygotowywał wszystko za moimi plecami. Z pewnością musiało go to sporo kosztować.

No cóż, Simon, zabawny żart. Ale to ja mam twój samochód i portfel, a ty marzniesz w swetrze w zapadającym zmroku. I kto się śmieje ostatni?

Do Oksfordu dojechałem o szóstej następnego ranka. Byłem zmęczony, miałem zaczerwienione oczy i drżałem z

obawy, że ktoś zobaczy mnie w samochodzie Simona i podniesie alarm. Nikt niczego nie zauważył. Garaż, w którym trzymał jaguara, był pusty; nie było nikogo oprócz mnie. Niemniej jednak, gdy zaparkowałem samochód i zamknąłem drzwi, nałożyłem jego kurtkę i naciągnąłem głębiej kaszkiet. Potem pospiesznie minąłem bramę i przeszedłem dziedzińcem ku naszym schodom.

Uprzytomniłem sobie, że przemycający chyłkiem nad ranem Simon był tak swojskim widokiem, że nikt nie podniósłby alarmu ani tego nie skomentował, nawet gdyby mnie zobaczył – choć zupełnie o to nie dbałem.

Wyczerpany, rzuciłem się na łóżko, nie kłopotząc się rozbieraniem. Zamknąłem oczy i natychmiast zasnąłem; spałbym przez resztę dnia, gdyby nie telefon.

Gdy dzwonił po raz pierwszy, zignorowałem go. Ale w kilka minut później zadzwonił ponownie i wiedziałem, że nie przestanie dzwonić, dopóki ktoś nie odbierze. Zwlekłem się zasnany z łóżka, poczłapałem do salonu i podniosłem słuchawkę.

–Haaalo?

–Tu Susannah – zachrypiął głos po drucie. – Czy to Lewis?

–Cześć, Susannah. Jak leci?

–Dziękuję, dobrze. Chciałabym rozmawiać z Simonem.

–Simonem? Chwilowo go tu nie ma.

–A gdzie jest?

–No cóż, obecnie w Szkocji.

–Doprawdy?

–Tak, pojechaliśmy tam i on, tak jakby, postanowił zostać.

Niemal słyszałem wirujące zębatki myśli w jej głowie.

–Postanowił zostać w Szkocji – powtórzyła pełnym niedowierzania głosem.

Tak, to prawda – upierałem się. – Wyruszyliśmy w piątek rano, wiesz...

–Wiem, odwołał naszą randkę – powiedziała cierpko.

–To była wycieczka, kapujesz? Pojechaliśmy tam i on po prostu postanowił zostać kilka dni. – Starałem się, aby zabrzmiało to tak, jakby Simon podjął tę decyzję pod wpływem chwili.

Susannah oczywiście tego nie kupiła.

–Daj natychmiast Simona – poleciła. – Obudź tego leniwca i daj go do telefonu, muszę z nim porozmawiać.

–Z przyjemnością, Susannah, ale nie mogę. Jego tu naprawdę nie ma.

–Co się dzieje, Lewis? – zapytała lodowatym tonem.

–Słucham?

–Słyszałaś, co powiedziałam. Co się tam u was dzieje? Co to za podchody?

–Nic się nie dzieje, Susannah. Oddałbym słuchawkę Simonowi, aby sam ci to powiedział, ale jego tu nie ma.

–Wyjaśnijmy to raz jeszcze – powiedziała. – Pojechaliście z Simonem w piątek aż do Szkocji i on postanowił zostać...

–No, taak, widzisz...

–...choć dobrze wiedział, że obiecał pójść ze mną na poranną mszę, a potem pojechać do Milton Keynes na niedzielny obiad z moimi rodzicami?

–Słuchaj, wiem że to brzmi trochę dziwnie, ale to prawda, Susannah. Naprawdę, ja...

Klik! Połączenie zostało przerwane.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na zegarek. Było wpół do ósmej rano. Byłem padnięty. Wyłączyłem telefon i poczłapałem z powrotem do łóżka.

Tym razem zaśnięcie zajęło mi trochę więcej czasu. Zaczynałem właśnie głośno chrapać, gdy obudziło mnie głośne walenie w drzwi.

–Czym ja sobie na to zasłużyłem? – jęknąłem, zwlekając się z mego ciepłego gniazdko.

Stukanie do drzwi rozległo się ponownie. Szedłem ku nim chwiejnym krokiem.

–Tak, tak, już idę. Nie denerwuj się. – Przekręciłem klucz i otworzyłem drzwi. – O, to ty, Susannah? A to niespodzianka.

Susannah jak strzała wpadła do pokoju.

–Nie wysilaj się na udawanie – wybuchła. Poszedłem za nią do drzwi pokoju Simona. Przebiegła szybko pokój wzrokiem i odwróciła się do mnie. – No dobrze, gdzie on jest?

–Już ci mówiłem. Tu go nie ma.

Susannah kipiała gniewem. Długonoga piękność o lśniących kasztanowych włosach i figurze, która mogła, i regularnie to czyniła, zatrzymać ruch uliczny. Inteligentna i bystra, była co najmniej o klasę za dobra dla Simona. Nie wiem, czemu zadawała się z tym zepsutym łobuzem, ani co w nim widziała. Ich związek przypominał nieustanną próbę ognia – był bardziej próbą sił w czasie manewrów niż zgodnym biciem dwóch serc.

–Będziesz musiała spytać Simona, jak wróci – rzekłem. – Ja nie potrafię powiedzieć.

–Nie potrafisz czy nie chcesz? – Wpatrywała się we mnie pociemniałymi z gniewu oczyma. Pewnie zastanawiała się, czy rozszarpać mnie na miejscu, czy też moje ciało będzie więcej warte w całości. – Czy to ma być jakiś kawał?

–Być może – powiedziałem. A potem popełniłem straszliwy błąd i opowiedziałem jej o turach w gazecie, naszej pospiesznej wycieczce do Szkocji, kurhanie i nagłym zniknięciu Simona. Starłem się, aby przypominało to trzeźwą relację, ale udało mi się jedynie rozgniewać ją jeszcze bardziej i wzbudzić podejrzenia. – Ale ja bym się tym nie martwił – zakończyłem nieprzekonywająco – spodziewam się, że wkrótce wróci.

–Kiedy? – zapytała zjadliwie Susannah. Jej zwykle śliczną buzię wykrzywił gniewny grymas. Czuję, że jeszcze chwila, a skoczy mi do oczu.

–Wróci pewnie za dzień lub dwa.

–Dzień lub dwa. – Nadzwyczajne niedowierzanie sprawiło, że jej głos zabrzmiał ochryple i głucho.

–No dobrze, tydzień lub dwa... góra. Ale...

–Chcesz powiedzieć, że tak naprawdę to nie wiesz, kiedy on w ogóle wróci.

–Tak naprawdę nie wiem – przyznałem. – Ale gdy tylko Simon zorientuje się, że nie daję się nabrać na ten głupi kawał, na pewno przywlecze się do domu.

–Głupi kawał? I spodziewasz się, że w to uwierzę? – Wpatrywała się we mnie urażonym, choć jednocześnie wyraźnie wyzywającym wzrokiem. – W takim razie mam dla pana wiadomość – powiedziała szorstko. – Zrywano już ze mną przedtem, ale nigdy w taki sposób. Jeśli Simon Rawnsone nie życzy sobie mnie więcej widzieć, to niech tak będzie. Czemu mi tego nie powiedział... zamiast przysłać swą wyćwiczoną małpę z jakąś niedorzeczną opowieścią o tym, że wyjechał do Szkocji, by odwiedzić królową?

–Kurhan – poprawilem.

–Wszystko jedno! – obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

–Susannah, zaczekaj! Nie rozumiesz.

–Doskonale rozumiem! – odparowała. – Powiedz Simonowi, że z nami koniec. Nie chcę go więcej widzieć i zatrzymuję naszyjnik! – Trzasnęła drzwiami, aż ściany zdrząły.

Wpadłem za nią na schody. Susannah odwróciła się do mnie. – I jeszcze jedno! – wypaliła. – Gdybym przypadkiem natknęła się gdzieś na Simona Rawnsona, to zrobię mu taką awanturę, jakiej jeszcze nigdy nie widział. Będzie żałował, że w ogóle się urodził. Powiedz mu to, ty padalcu!

–Posłuchaj, Susannah – powiedziałem, wyciągając ku niej rękę. To był niefortunny gest. Omal nie straciłem palców.

–Nie waż się mnie tknąć! – Odtrąciła mą rękę. – Wracam do domu i niech żaden z was nie próbuje do mnie dzwonić.

Patrzyłem, jak odpływała, jej jedwabna spódnica furkotała, a ja czułem się jak rozdeptany ślimak. Gniew sprawił, że jej niewątpliwa uroda zamieniła się w coś wspaniałego i szalonego – żywioł, niczym huragan lub błyskawica. Przerazające, ale cudowne zjawisko do oglądania.

Obserwowałem, jak Susannah zeszła ze schodów, przysłuchiwałem się szybkiemu stukowi jej obcasów na bruku, gdy opuszczała dziedziniec. Potem wróciłem do pokoju. Czułem do siebie wstręt za wprowadzenie jej w błąd. Ale przecież jej nie oszukałem, powiedziałem jej prawdę. Ona po prostu, z sobie wiadomych względów, założyła, że ją okłamuję, więc cóż za to mogę? W każdym razie to nie była moja wina. Wszystkiemu winny jest Simon – ja nie mam z tym nic wspólnego.

Wyćwiczona małpa, dobre sobie!

7. Szalony Nettles

edług mego planu, jeśli to w ogóle był jakiś plan, zachowywałem się po prostu tak, jakby nic się nie wydarzyło. Wszystko było jak zwykle. Jeśli ktoś dzwonił i pytał o Simona, mówiłem, że wybył do Wolverhampton ze sprzedawcą butów. Niech ma za swoje, wstrętny drań.

Wedle moich przypuszczeń, on najpewniej czekał, aż wpadnę w panikę i wygadam wszystko policji. Chciał pewnie zobaczyć swoje nazwisko w czołówkach gazet i to, jak robię z siebie durnia, opowiadając dziennikarzom, jak wczłogał się do kurhanu i zniknął. No to poczeka sobie do zasranej śmierci. Nie miałem zamiaru dawać mu tej satysfakcji.

Przez następne kilka dni wiodłem normalne życie. Zachowywałem się dokładnie tak samo jak przedtem. Jadłem, myszkowałem po księgarniach, kręciłem się po bibliotece i siedziałem rozwalony w swym gabinecie asystenta, gawędziłem ze znajomymi, wertowałem pocztę... Krótko mówiąc, z powrotem wpadłem w nurt szalonego akademickiego życia, które tak dobrze poznałem i polubiłem.

Ale praca była niemożliwa. Jak mógłbym pracować? W rzeczywistości zniknięcia Simona, podobnie jak nosa na mojej twarzy, nie potrafiłbym zignorować – choćbym nie wiem jak się starał. Dni mijały, a Simon nie wracał. Zaczęły mnie nachodzić myśli: A jeśli to nie kawał? A jeśli coś mu się przydarzyło? Jeśli naprawdę zniknął?

Z każdym dniem mój niepokój rósł. Niczym wypaczone wahadło kołysałem się pomiędzy gniewem a lękiem. Gniew za jego głupi kawał i lęk o jego bezpieczeństwo. Dzień i noc nieustannie dręczyły mnie pytania: Gdzie jest Simon? Co robi? Gdzie zniknął? Czemu się tym martwiłem? Czemu to musiało się przytrafić właśnie mnie?

–Zabiję go, gdy wróci – przyrzekałem sobie. – Z ochotą poukręcę mu ręce i zatłukę go na śmierć. Nie, nie zrobię tego. To nie byłoby zachowanie godne cywilizowanego człowieka. Raczej usiądę, powiem mu spokojnie i z rozważą, jakiego okropnego i niesmacznego czynu się dopuścił, a potem strzelę mu prosto w jego małe, czarne serce.

Dni zmieniły się w tygodnie, a ja robiłem się coraz bardziej apatyczny. Przestałem zwracać uwagę na swój wygląd, coraz częściej bywałem poirytowany; wrzeszczałem na służącą, ilekroć wetknęła nos w drzwi, aż w końcu miała mnie dość i przestała się pokazywać. Krążyłem bez celu po ulicach, mamrocząc do siebie i klęcząc, ile wlezie. Skarpetki nosiłem nie do pary. Nie myłem się.

Jeśli ktoś zauważył moją pogłębiającą się apatię, to nie dał tego po sobie poznać. Kłaczek kurzu pod łóżkiem wzbudziłby więcej komentarzy. Miałem wielką ochotę wyhodować sobie garb i zacząć bujać się na dzwonie w Tom Tower.

Mojemu pospiesznemu staczaniu się w moralne bagno towarzyszyło równie gwałtowne rozchwianie stabilności emocjonalnej. Nie sypiałem za dobrze. Dręczyły mnie dziwne sny – wizje liściastego Zielonego Człowieka i wymarłego tura szalejących po mojej sypialni, sny o błakaniu się po ciemnym lesie, ziemi otwierającej się pod nogami i pochłaniającej mnie. Miałem wizje, że ścigają mnie i przebijają mi pierś starodawnymi włóczniami. Jawiły mi się wilki wyjące w leśnej gruszy, wstrętne okropieństwa o uśmiechniętej twarzy śmierci, goniące za mną bezlitośnie po zimnej i wyludnionej ziemi – niepokojące obrazy, które rozmywały się po przebudzeniu i sprawiały, że byłem jeszcze bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem.

Znałem przyczynę mej rosnącej apatii: to sumienie na wszelkie sposoby usiłowało zwrócić na siebie moją uwagę. Od chwili, gdy wczółgałem się do kurhanu i uświadomiłem sobie, że Simon zniknął, moja podświadomość rozpoczęła zmagania z mym rozsądkiem. Powód? Nakłonienie mnie, abym przyznał, że to, co być może się wydarzyło, rzeczywiście się wydarzyło, a ja nie zrobiłem absolutnie nic, żeby to wyjaśnić. Jednakże zniknięcie Simona nie było jedyną przyczyną pogarszania się mojego stanu. Przedmiotem wewnętrznego konfliktu nie był sam akt zniknięcia Simona, choć wytraściło mnie to z równowagi, lecz problem miejsca, do którego się udał. Dokąd zatem odszedł Simon? To było pytanie za sześćdziesiąt cztery tryliony dolarów. A ja znałem odpowiedź.

Ale nie miałem ochoty jej wypowiadać.

Nie, wolałbym raczej udusić się we własnym sosie niż przyznać, że to, co wiedziałem, było prawdą. Matka natura potrafi sobie jednak w subtelny sposób poradzić z tymi zabawnymi, drobnymi gierkami naszego umysłu. To się nazywa załamanie nerwowe.

Zacząłem miewać halucynacje.

Pierwsze zdarzenie miało miejsce pewnego wczesnego ranka. Po kolejnej bezsennej nocy postanowiłem przejść się wzdłuż rzeki. Prześliznąłem się przez dziedziniec i ruszyłem drogą wiodącą ku łąkom i ścieżce nad rzeką. O tak wczesnej porze byłem tu zupełnie sam. Przechodziłem właśnie łąką, na której pasło się bydło, gdy ujrzałem wielkiego, szarego psa, biegnącego susami przez pastwisko w moim kierunku.

W pierwszym momencie nie zastanowiło mnie to. W końcu w okolicy było całe mnóstwo psów. Gdy się jednak zbliżył, zwrócił moją uwagę swoją wielkością – zwierzę było naprawdę ogromne: niemal tak duże jak kucyk. Miało krótką, kudłatą sierść i wyjątkowo długie nogi, polykające grunt w zdumiewającym tempie. Pędziło prosto na mnie. Zatrzymałem się i patrzyłem, jak przeskoczył przez ogrodzenie, nie gubiąc kroku. Pies wylądował na ścieżce ledwie kilka jardów ode mnie. Dopiero wówczas mnie dostrzegł. Odwrócił się, jakby zaskoczony, położył po sobie uszy i zawarczał, obnażając niewiarygodnie długie zębiska.

Stałem nieruchomo, serce mi waliło. Pies, jeśli to coś było psem, warczał głucho i jeżył sierść. Ale ja nawet nie drgnąłem – byłem zbyt przestraszony, aby się ruszyć. Psisko, nadal powarkując, odwróciło się i pognało ścieżką. Zniknęło w porannej mgle unoszącej się znad rzeki. W chwili, gdy się odwracało, zauważyłem jednak, że miało na szyi dziwnie wyglądającą obrozę z żelaznych ogniwi – z rodzaju antycznych, osobliwych, ręcznie kutych prostokątnych ogniwi.

Nigdy w życiu nie widziałem tak wielkiego psa, pomyślałem jednak, że to czyjś ulubieniec uciekł z zagrody. Tylko tyle, nic więcej.

A potem, w kilka dni później, gdy popijałem przy oknie herbatę w deszczowe popołudnie, dostrzegłem na łące coś brązowego i kudłatego. Nie jestem pewny, co właściwie widziałem w przyćmionym świetle pochmurnego dnia. Wówczas przysiągłbym, że to była świnia – ale świnia niepodobna do żadnej ze znanych mi świń. Długonoga i chuda, o gęstej, szczeciniastej, ciemnej, rudobrazowej sierści i zakrzywionych kłach, sterczących z obu stron jej zaciśniętego i wąskiego pyska. Ogon trzymała wyciągnięty komicznie do góry niby maszt – prosto nad swym

pochyłym grzbietem.

Przycisnąłem twarz do szyby i okno szybko zaparowało. Gdy otarłem parę, zwierzę już zniknęło. A wraz z nim cała pewność, że w ogóle coś widziałem.

Następnego dnia zobaczyłem wilka na Turl Street.

Zmęczony całym dniem siedzenia w domu, odważyłem się wieczorem wyjść. Robiło się ciemno. Uliczne światła płonęły, niektóre sklepy były już zamknięte. Poszedłem do hali targowej po bochenek chleba, a wracając skręciłem w Turl Street, ulicę tak krętą, że nie widziało się jej końców. Wszedłem właśnie w wąską uliczkę, gdy poczułem mrowienie na karku – tak jakby ktoś obserwował mnie ze złym zamiarem. Przeszedłem jeszcze kilka jardów i poczułem ciarki również na plecach. Czuję, jak świdrowały mnie czyjeś złe oczy. Nagle wydało mi się, że usłyszałem delikatny chrobot na chodniku za sobą. Zrobiłem jeszcze kilka kroków, wsłuchując się w ten dziwny dźwięk, absolutnie przekonany, że jestem śledzony, i obróciłem się gwałtownie.

Nigdy przedtem nie widziałem żywego wilka i pomyślałem, że to jeszcze jeden wielki pies, ale potem dostrzegłem jego zmięszwaną sierść i ogromne, jasnożółte ślepią. Szedł z nisko spuszczonego łbem, z długim pyskiem przy ziemi, jakby węszył trop. Kiedy zatrzymałem się, on również stanął, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że jestem śledzony. Drzwi sklepu fotograficznego znajdowały się nie dalej niż dziesięć stóp po mojej prawej stronie i przemknęło mi przez myśl, aby dobiec do nich i schronić się tam. Zrobiłem ostrożnie krok w bok. Wilk sprężył się. Usłyszałem dźwięk podobny bulgotowi i uświadomiłem sobie, że dobywał się z gardła zwierzęcia. Staliśmy patrząc na siebie z odległości nie większej niż piętnaście, dwadzieścia stóp. Postanowiłem rzucić się do drzwi i właśnie zbierałem się, by to uczynić, gdy drzwi otworzyły się i ktoś wyszedł ze sklepu. Odwróciłem się, wyciągnąłem rękę do nieznanego, aby go zatrzymać.

–Zaczekaj! – powiedziałem.

Facet skrzywił się – przypuszczam, że wziął mnie za żebraka – i niegrzecznie przepchnął się obok. Gdy odwróciłem się ponownie, wilk biegł przez Turl w kierunku Broad Street. Nim zniknął, zdążyłem jeszcze zobaczyć jak jego wychudzone boki połyskują srebrzyście w ulicznym świetle.

Wmówiłem sobie, że nic nie widziałem, że to spotkanie z wielkim psem wyprowadziło mnie z równowagi, ale następnego ranka w “Daily Mail” był artykuł o wilku biegającym po ulicach Oksfordu. Widziało go wielu ludzi. Wezwano policję, pracowników schroniska dla zwierząt, ale nie potrafili go znaleźć. Podejrzewano, że wilk uciekł z czyjejsz nielegalnej menażerii i pognął za miasto.

Przez trzy dni od tego wydarzenia bałem się opuszczać swe mieszkanie – bałem się tego, co mógłbym zobaczyć następnym razem. W końcu zdobyłem się na odwagę, by wyjść. Tym razem niemal natychmiast zszedłem z chodnika na High Street prosto pod autobus wożący turystów po Oksfordzie. Potrącił mnie, ale nie przejechał – te autobusy nie jeżdżą zbyt szybko, a kierowcy mają wprawę w najeżdżaniu na nieuważnych przechodniów.

Pojąłem... gdy leżałem na ulicy... wpatrując się w wianuszek zdegustowanych twarzy zebranych nade mną... że ktoś musi ustąpić. Dziś autobus, jutro pociąg. A może będzie to upadek z jednej z bajecznych wież? Mówiąc krótko: czy to zapieranie się warte było mego psychicznego zdrowia, mego życia?

Z poziomu rynsztoka nabiera się szczególnego spojrzenia na życie. Policjant pomógł mi wstać i zapytał:

–Dobrze się czujesz, synu?

Poczułem, że muszę rozważyć to pytanie w kontekście wszystkich filozoficznych skojarzeń, jakie ze sobą niosło. Nie, uznałem, zdecydowanie nie czuję się dobrze. Szczególnie, gdy popuszczam wodze wyobraźni lub folguję logice.

Przez resztę dnia przybity włóczyłem się ulicami bez celu. Po prostu pozwoliłem, aby porwał mnie strumień ludzi robiących zakupy. Włóczyłem się to tu, to tam; przyglądałem się artystom malującym kredą na chodniku i ulicznym muzykantom, nie zwracając uwagi na to, co rysowali lub grali. Wiedziałem, że coś się dzieje. Wiedziałem, że to ma coś wspólnego ze mną. Wiedziałem również, że nie mogę się temu dłużej opierać. Ale co miałem zrobić? Czego ode mnie wymagano?

Te i inne, ledwie zarysowane pytania dręczyły mnie całe popołudnie. Gdy w końcu dałem za wygraną i

skierowałem się z powrotem ku mieszkaniu, było już niemal ciemno i zaczęło padać. Ulice były wyludnione. Przy Carfax zatrzymałem się przed światłami, choć ulicą nie jechały samochody. Czułem się głupio, stojąc na deszczu, więc schroniłem się pod pobliską markizę.

Stałem tam, czekając na zmianę świateł, gdy naszło mnie bardzo dziwne uczucie. Poczułem zawroty głowy i nogi się pode mną ugięły, jakbym miał lada chwila zejść z tego świata. Być może zderzenie z autobusem zaszkodziło mi bardziej niż sądziłem, pomyślałem. Być może jednak mimo wszystko doznałem obrażeń. Schwyciłem się za głowę. Z trudem chwyciłem powietrze, czułem ścisk w gardle. Nie mogłem oddychać.

Chodnik pod moimi stopami zdawał się falować i wyrzyszczać. Spojrzałem w dół i serce zabiło mi mocniej. Stałem w środku celtyckiego kręgu, starannie narysowanego kredą na płytach chodnika. Uliczny artysta – widziałem ich przy pracy wcześniej tego dnia, ale nie zwracałem na nich uwagi narysował prymitywny wzór labiryntu ograniczony kręgiem zawile splecionych, kolorowych linii. Często widywałem na chodnikach portrety czy pejzaże, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego. Czemu namalowali właśnie ten wzór? Dlaczego właśnie celtycki labirynt?

Stałem, ściskając głowę. Wpatrywałem się w zawiłą gmatwaninę linii, w przyprowadzający o zawroty głowy labirynt. Długo tak stałem. Światła mrugały raz czerwono, raz zielono, a deszcz spływał po mnie strugami. Gapiłem się i gapiłem, niezdolny do ruchu, schwyty w pułapkę tego zaklętego koła – w niewytłumaczony sposób skrępowany tymi splecionymi nićmi z kredy o jaskrawych kolorach. Mógłbym tam stać tak nadal, gdyby nie fakt, że nie straciłem jeszcze całkowicie kontaktu z otoczeniem.

A także gdyby nie to, że poczułem czyjąś rękę na łokciu, a w moim uchu zabrzmiał uprzejmy głos:

–Pan pozwoli, że mu pomogę – usłyszałem.

Obróciłem głowę w kierunku dźwięku i znalazłem się twarzą w twarz z siwowłosym dżentelmenem, który wyglądał jak ideał podstarzałego ziemianina z wizji jakiegoś scenografa. Nie brakowało nawet filcowego kapelusza i czarnej wrzoścowej laseczki.

–N...nie, dzięki – odrzekłem. – Nic mi nie jest. Dzięki. Ale uścisk na moim łokciu zacieśnił się.

–Proszę mi wybaczyć, ale myślę, że potrzebuje pan pomocy – nalegał. Uniósł laskę, a potem opuścił ją, wskazując na dziwne rysunki na chodniku. Uderzył w kredowy wzór trzy razy. To proste działanie, rozmyślnie i powolne, pozwoliło mi sądzić, że nasze spotkanie nie było wcale przypadkowe, a on nie był zwykłym przechodniem. Najwyraźniej coś wiedział.

–Chyba będzie lepiej, jeśli odprowadzę pana do domu – powiedział. – Chodźmy.

Spojrzałem bezradnie na nogi, ponieważ nadal nie mogłem nimi ruszyć.

–Nie ma się czego bać – powiedział staruszek. – Chodź.

Na dźwięk tego słowa moje nogi odzyskały sprawność i bez trudu wyszedłem z koła. Przeszliśmy przez ulicę. Na drugiej stronie poczułem się totalnie upokorzony.

–Dzięki – powiedziałem, wchodząc na chodnik. – Naprawdę, wielkie dzięki. Nic mi nie jest. Miałem tylko mały zawrót głowy. Wcześniej uderzyłem się w głowę, ale teraz czuję się już dobrze. – Słowa płynęły potokiem. – Nic mi nie będzie. Dziękuję panu za pomoc...

Ale staruszek nie zwolnił uścisku na moim ramieniu. Pomyślałem, że może nie słyszy i podniosłem głos. Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił ku mnie.

–Powinien pan się zbadać po tym uderzeniu.

–Tak, uczynię to. Dzięki. – Próbowałem uwolnić ramię z jego uścisku, ale nie pozwolił. – Był pan bardzo pomocny. Nie chciałbym panu dłużej sprawiać kłopotu.

–Och, to żaden kłopot. Zapewniam pana – powiedział lekko. – Obawiam się jednak, że będę musiał się uprzeć.

–Czy pan jest lekarzem? – zapytałem. Nie wiem dlaczego, ale coś w jego troskliwym zachowaniu sugerowało to.

–Jestem dokładnie tym lekarzem, którego panu trzeba – padła odwiedź, a następną rzeczą, jaka dotarła do mojej świadomości, było to, że szliśmy razem, ramię w ramię, wyludnionymi ulicami. Wyglądało na to, że był zdecydowany obejrzeć moje stłuczenie, a ja chyba nie miałem wyboru w tym względzie. Po doświadczeniach ostatnich kilku dni moja wola niemal wygasła, więc obrałem drogę najmniejszego oporu i poszedłem z nim.

Kluczyliśmy ulicami, skręcając to w tę, to w tamtą stronę, aż w końcu dotarliśmy do niskich drzwi przy Brewer Lane. Mosiężna tabliczka oznajmiała, że to rezydencja D. M. Campbella, nauczyciela. Staruszek włożył klucz do zamka, otworzył i zaprosił mnie do środka.

–Proszę wejść – powiedział. – Ukryj się w środku przed chłodem, przyjacielu. Czuj się jak u siebie. Przygotuję coś ciepłego. Płaszcz zostaw tutaj.

Wpatrywał się we mnie badawczo swymi krótkowzrocznymi oczyma i bezwiednie macał się po kieszeniach. Wszedłem do jego mrocznego mieszkania.

–To bardzo uprzejmie z pana strony, że mnie pan zaprosił. Ale doprawdy, to nie było konieczne. Czuję się dobrze.

Starzec uśmiechnął się i począł krzątać się gorączkowo po ciemnym wnętrzu, odpinając po drodze guziki swego płaszcza.

–To przyjemność. W tym semestrze nie mam zbyt wielu zajęć. A co za tym idzie, nie mam zbyt wielu gości. Usiądź. To zajmie tylko chwilę.

Znalazłem stare, wyściełane krzesło i usiadłem na nim, zastanawiając się, co tu robię. Dobrze, pomyślałem, nie chcę go urazić. Szybko wypiję herbatę i pójdę.

Natomiast staruszek wchodził i wychodził, zapalał tu i ówdzie światła, ale bez większego efektu. W pokoju nadal było ciemno. W pewnym momencie stanął nade mną i spojrzał na mnie z góry, jakby wygrał mnie na loterii.

–Dokonajmy prezentacji – powiedział nagle. – Profesor Nettleton. Merton College. Jak się pan ma?

–Nie Campbell? – zdumiałem się głośno.

–To poprzedni mieszkaniec – wyjaśnił. – Cenię sobie prywatność.

–Aha.

–A pan kim jest?

–No dobrze. Nazywam się Lewis – Lewis Gillies.

–Miło mi pana poznać, panie Gillies – zaczął. W tym momencie w drugim pokoju zagwizdał czajnik i profesor pospieszył, aby się nim zająć. Po chwili wrócił. – Lepiej chwilę odczekać – powiedział wesoło i zabrał się za uprzątanie stołu zasłanego stertami papierów. To dało mi okazję, aby mu się przyjrzeć.

Nettleton był jak archetyp oksfordzkiego wykładowcy. Niewysoki, łysawy, pod sześćdziesiątkę, lekko przygarbiony i krótkowzroczny od odcyfrowywania zbyt wielu niewyraźnych manuskryptów. Resztkę włosów, którą posiadał, przypominała kosmyki białej cukrowej waty; unosiły się raczej nad jego głową niż na niej spoczywały. Zaś jego strój składał się z różnych niedopasowanych części garderoby w najdziwniejszych odcieniach. Miał na sobie krawat college'u Balliol, jasnoniebieską, wełnianą kamizelkę i mocne, brązowe irlandzkie buty na nogach.

Gwizdek odezwał się ponownie i kiedy mój gospodarz zajęty był bardziej praktycznymi sprawami – słyszałem, jak pobrażki naczyń w mrocznej niszy – ja miałem okazję rozejrzeć się po najbliższym otoczeniu. Pokój profesora był jedną z tych ogromnych wiktoriańskich jaskiń, w które obfitował Oksford. Był nie mniej ekscentryczny od swego mieszkańca: sufit na wysokości dwunastu stóp; las prastarej boazerii z ciemnego dębu; wielgachne, rzeźbione kredensy, biblioteki i stoły; biurko, które bez trudu mogłoby służyć za mostek na okręcie wojennym; wielkie, miękkie fotele, w których można się było zgubić. Dębową podłogę zaścielał chyba z akr pofałdowanego, podniszczonego dywanu; oświetlenie najwyraźniej pochodziło jeszcze z czasów średniowiecza; a ogrzewanie było pewnie starsze od Mojżesza.

Popatrzyłem na rozmaite półki i półeczki, wypełnione przeróżnymi drobiazgami. Ciekawość wyciągnęła mnie z fotela. Podszedłem do półek, aby dokładniej obejrzeć ich zawartość. Znajdowała się na nich mieszanka najdziwniejszych przedmiotów: kamienie o dziwnych kształtach; osobliwe kawałki wygładzonego drewna; tabliczki z łupków z wyrytymi na nich dziwnymi inskrypcjami; połyskujące bryłki niekształtnych monet; kolekcja rzeźbionych, rogowych grzebieni i guzików ze zwierzęcych zębów. W kącie jeżył się wypchany żółty kot wielkości spaniela i czarny, spasiony kruk na podstawie.

Byłem tak bardzo pochłonięty oglądaniem zbiorów, że nie usłyszałem skradającego się z tyłu Nettletona. Poczulem mrowienie na karku. Odwróciłem się. Patrzył na mnie pogodnie, trzymając w dłoniach dwa kubki z jakąś parującą zawartością. Powiedziałem kubki – naczynia były wysokie i nie miały uchwytów, wykonane były z pewnego typu surowej kamionki. Widywałem już poprzednio wyroby garncarskie w podobnym stylu – w Ashmolean Museum, obok tabliczki z napisem: puchar neolityczny, około 2500 p.n.e.

Gospodarz podał mi puchar, drugi uniósł do ust i powiedział: – Sláinte!

Na co ja odparłem: – Cheers!

Pociągnąłem duży łyk i o mało wszystkiego nie wypłułem. Udało mi się jednak połknąć dziwny napój – żrący płyn podrażnił mi gardło niczym skrobak i pozostawił palące wspomnienie.

Nettleton uśmiechnął się dobrotliwie na widok mego skrępowania.

–Bardzo mi przykro, powinienem był pana ostrzec. W tym jest whisky. Uznałem, że w taki dzień jak dziś maleńki kieliszeczek pomoże nam odpędzić chłód.

Tak, a razem z nim wolę życia.

–Doobre – wydyszałem. Czułem, jak język puchnie mi gwałtownie do rozmiarów parówki. – Co... co to jest?

Profesor machnął w odpowiedzi ręką.

–Och, korzonki, kora, jagody... rodzaj domowego wywaru. Sam zebrałem potrzebne składniki. Jeśli pan chce, mogę mu dać przepis.

Zaniemówiłem.

Profesor odwrócił się i poprowadził mnie przez pokój do czerwonych, skórzanych foteli, ustawionych po obu stronach jedynego okna. Niebo było ciemne, szyby w oknach okazały się nieprzejryste. Pomiedzy fotelami stał mały stół, który wyglądał na zrobiony z wyrzuconego przez wodę drewna. Profesor usiadł i postawił swój puchar na stole. Wskazał mi drugi z foteli. Usiadłem twarzą ku niemu i spojrzałem na swój napój. Czyżby to rodziniki w nim pływały?

–Miło mi pana widzieć! – oznajmił nagle. Wymówił to tak starannie, jakbym był tubylcem, który mógł nie mówić jego językiem. – Czekałem na to.

Jego wyznanie zbiło mnie z tropu. Byłem jedynie w stanie wytrzeszczyć oczy i wybełkotać:

–Czekał pan?

–Tak. – Uniósł szybko rękę. – Och, proszę mnie źle nie zrozumieć – nie chcę pana skrzywdzić. Jak powiedziałem, postanowiłem panu pomóc. A pan, proszę mi wybaczyć te słowa, raczej wygląda na potrzebującego w tej chwili pomocy.

–Hmm, profesorze Nettleton – zdaje się, że mnie pan trochę zaskoczył.

–Nettles – odparł.

–Co proszę?

–Proszę mi mówić Nettles. Każdy tak mówi.

–Dobrze – zgodziłem się. – Ale, jak już mówiłem, zda...

–Szczерze mówiąc, lepiej niech się pan podda, panie Gillies. Jest pan w niewesołym położeniu.

–No cóż, ja...

–Bez przeprosin, panie Gillies. Rozumiem. A zatem – skrzyżował ręce na piersi i zapadł się w fotelu tak, że nie widziałem już jego ukrytej w cieniu twarzy – jak mógłbym panu pomóc?

Nic nie przychodziło mi do głowy. Przez chwilę wpatrywałem się uważnie w cień, a potem powiedziałem, że już mi bardzo pomógł, a teraz robi się późno, on z pewnością ma co innego do robienia i nie powinienem mu dłużej zawracać głowy, i że...

–Bzdura! – odparł spokojnie. – Nie ma o czym mówić. Może być pan jednak pewny, że przy mnie pańska tajemnica jest bezpieczna.

Moja tajemnica? Jaka tajemnica? Skąd on wie o mojej tajemnicy?

–Nie bardzo wiem, o co panu chodzi – powiedziałem.

Nettles pochylił się do przodu. Oczu mu biegały.

–Pan wierzy – szepnął. – Ja to zawsze poznam.

–Wierzy – powtórzyłem otępiąły.

Na jego twarzy pojawił się uśmiezek.

–Och, proszę się nie obawiać. Ja również wierzę.

Musiałem wyglądać na tępego niczym kołek, ponieważ wyjaśnił:

–Wiara w czarownicą krainę, tak? Oczywiście, wszyscy uważają mnie za szaleńca. Czy widział ich pan? – zapytał konspiracyjnym tonem.

–Mieszkańców czarownej krainy?

Kiwnął z entuzjazmem głową.

–Tak! Ale ja wolę nazywać ich Jasnowłosym Ludem. W ostatnich latach słowo “czarowny” wzbudza raczej nieszczególne skojarzenia. Określenie “czarowny” sprawia, że wydają się drobnymi i mili. Ale ja panu mówię – dodał poważnie – oni nie są wcale drobnymi i mili.

Uznałem, że rozmowa przybrała osobliwy obrót i spróbowałem ponownie skierować ją na właściwe tory.

–Widziałem wilka na Turl Street. Być może czytał pan o tym w gazetach.

Nettles spojrzał na mnie.

–*Blaidd an Alba*, co?

–Co proszę?

–Wilki w Albionie – odparł. – Proszę mi wybaczyć. Co pan powiedział?

–Właśnie to. Absolutnie nic innego – skłamałem.

–Czy to wszystko?

–No cóż, tak – przyznałem, lekko dotknięty jego insynuacją, że mogło być coś więcej. – Cóż więcej?

Profesor zachichotał.

–Pojawienia, zniknięcia, dziwne zdarzenia – wiele rzeczy! Na przykład ludzie schwytani w pułapkę celtyckiego kręgu.

–Nie myśli pan chyba... – Czy on mówił o mnie?

–Ależ właśnie tak myślę.

Zrobiłem głupią minę. Szalony? Ten człowiek był szurnięty.

–Ale to niemożliwe – mruknąłem.

–Czyżby? – Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, ale spojrzenie stało się twarde i poważne. – Niechże pan posłucha! Zadałem panu pytanie. Czekam na odpowiedź.

–No cóż – zacząłem ostrożnie – zdaje mi się, że to wcale nie jest takie niemożliwe.

–Ha! Pan wie, że wcale nie jest takie niemożliwe. Niechże pan się wysławia jaśniej. – Dzikość, z jaką wypowiedział ostatnie słowa, zniknęła, gdy tylko zamknął usta. W jednej chwili był znowu wesoły. – Mówiłem panu, że nie warto mnie zwodzić. Potrafię wyczuć wierzącego na milę.

Pochylił się do przodu, sięgając po swój napój, i zamarł w pół ruchu.

–Ale w tym cała trudność, nieprawdaż?

–Słucham?

–Pomyliłem się co do pana. – Trwał w bezruchu z wyciągniętą ręką. – Bardzo mi przykro, panie Gillies. Pomyliłem się.

–Chyba nie bardzo pana rozumiem.

–Być może wcale nie jest pan wierzący. – Ponownie zapadł się w swym fotelu. – Ale w takim razie, kim pan jest, panie Lewisie Gillies? Hmm? Tak się przyzwyczałem do obcowania z niedowiarkami, że często zapominam o trzeciej kategorii.

Aby ukryć rosnące zakłopotanie, jakie powodowała ta dociekliwość, sięgnąłem po napój i zmusiłem się do kolejnego łyku. Tym razem jego smak sprawił mi przyjemność.

–Wierzący i niewierzący – powiedział profesor. – Większość ludzi daje się zaliczyć do jednej z tych kategorii. Ale jest i trzecia: ci, którzy desperacko pragną uwierzyć, ale rozsądek im nie pozwala.

Podniósł swój puchar i wypił łączywie jego zawartość. Poszedłem za jego przykładem i łyknąłem więcej niż zamierzałem.

–Coraz smaczniejsze, nieprawdaż? – powiedział z głośnym mlaśnięciem. – Piwo na korzeniach wrzosu.

Wrzosowe piwo? Spojrzałem ze zdumieniem do swego kubka. Ludowe opowieści mówią, że przepis na ten prastary trunek zniknął w 1411 roku, gdy Anglicy zabili ostatniego wodza Celtów za odmowę zdradzenia tajemnicy tego legendarnego eliksiru. Otoczony Celt wołał raczej rzucić się z urwiska niż pozwolić, aby zniechęceni obcy spróbowali napoju królów. Jakim więc cudem profesor natknął się na przepis – jeśli rzeczywiście to był ten przepis?

Mój niecodzienny gospodarz wstał i podszedł do kredensu. Wrócił z glinianym naczyniem i ponownie po brzegi napełnił nasze puchary parującym płynem.

–Jak już mówiłem... – Odstawił naczynie na kuchenkę i wrócił na swój fotel. – Pan raczej należy do trzeciej kategorii: do tych, którzy pragną uwierzyć, ale brak im przekonujących dowodów. Można powiedzieć, życzliwy, ale sceptyczny. – Skinął głową. – Włóczył się pan po celtyckich miazmatach i połknął pan przynętę. Mam rację?

Bingo!

–Myślę, że mogę się z tym zgodzić – przyznałem ostrożnie.

–A zatem, co doprowadziło pana do tej sytuacji bez wyjścia? Do tego kryzysu wiary i rozsądku? Co sprawiło, że włączył się pan po mieście potargany i nieogolony, że miał pan przywidzenia i tak łatwo dał się pan uwięzić w kredowym rysunku na chodniku?

Moje usta już się układały do wymijającej odpowiedzi, ale to pytanie nie było skierowane do mnie. Zbikowany dżentelmen ciągnął dalej:

–Istotnie, co? Jeśli miałbym zgadywać, to powiedziałbym, że był pan świadkiem czegoś, czego nie potrafi pan wyjaśnić i dla czego usiłuje pan za wszelką cenę znaleźć racjonalne rozwiązanie. Jedno z tych pojawień, o których pan mówił? A może to było zniknięcie? Tak! Tak też myślałem. – Skłonił się z nieskrywaną przyjemnością. – Ostrzegalem pana... zawsze potrafię rozpoznać.

–Ale skąd pan to wie?

Zignorował moje pytanie i zadał własne:

–Kto to jest? Ktoś, kogo pan zna? Oczywiście, tak. Ależ ze mnie głuptas. Musi mi pan wszystko opowiedzieć. Jeśli mam panu pomóc, to muszę wszystko wiedzieć. – Podniósł do góry kościsty palec. – Wszystko – rozumie pan?

Zapadłem się w miękkie objęcia skórzanego fotela. Przytuliłem ciepły puchar do swej piersi i mruknąłem:

–Rozumiem. – Jak ja się w to wpakowałem? Miałem ochotę po prostu zapaść się w fotelu na tyle głęboko, aby mnie nikt nigdy nie znalazł. Jednakże zamiast tego pociągnąłem spory łyk korzennego piwa, przymknąłem oczy i zacząłem swą ponurą opowieść.

Profesor Nettleton nie przerywał. Dwukrotnie otwierałem oczy i za każdym razem widziałem go siedzącego na brzegu fotela, gotowego do skoku, gdybym tylko przerwał. Przeskakiwałem z jednego tematu na drugi, dopóki nie naszkicowałem przebiegu całego zagmatwanego zdarzenia. Powiedziałem mu wszystko – nie miałem dość silnej woli, aby zatajać fakty. Byłem zbyt zmęczony, aby się dalej wykręcać. Zbyt wyczerpany samotnym dźwiganiem tego, co wiedziałem. Po prostu otworzyłem usta, a słowa popłynęły same. Zostawiłem swemu językowi całkowitą swobodę.

Powiedziałem mu o pogoni Simona za rurami, o zobaczeniu Zielonego Człowieka, o farmerze Grancie, o kamiennym kurhanie i nagłym zainteresowaniu Simona Celtami, o swych niepokojących snach, o halucynacjach, o... wszystkim, co wydarzyło się przed i po zniknięciu Simona. I poczułem niezmierną ulgę, przecież w końcu zrzuciłem z siebie to brzemień. Dodatkową ulgą była obecność słuchacza, który całkowicie mi wierzył. Nie bałem się, że mnie zdradzi czy uzna za niespełna rozumu. Ostatecznie jego wszyscy już uważali za szalonego. Sam mi powiedział. Moja tajemnica była przy nim bezpieczna; wiedziałem to i w pełni wykorzystałem.

Kiedy wreszcie skończyłem, otworzyłem oczy i ujrzałem dno mego pustego pucharu. Czyżbym wszystko wypił? Musiałem popijać w trakcie mówienia. A teraz żałowałem, że nie zostawiłem sobie choć trochę. Odstawiłem puste naczynie na stół.

Za poznaczonymi strugami deszczu szybami niebo jarzyło się szarozielonym blaskiem ulicznych świateł, odbitych od wiszących nisko chmur. Spojrzałem w mroczne wnętrze fotela naprzeciwko mnie. Białe włosy profesora Nettletona połyskiwały słabo w padającym od okna blasku. Jego oczy błyszczały w ciemności.

–Oczywiście – powiedział w końcu. – Tak, teraz rozumiem.

–Proszę mi wierzyć, nie miałem zamiaru zwracać panu tym głowy.

Profesor pokręcił nieznacznie głową.

–Wręcz przeciwnie, właśnie po to pan do mnie przyszedł.

Policzki zapłonęły mi od urażonej dumy.

–Proszę posłuchać, nie wiem, czym się pan zajmuje. Przyszedłem tu z panem, ponieważ...

–Słucham?

–Ponieważ nie chciałem urazić pańskich uczuć.

–Brednie, panie Gillies. Postawmy sprawę jasno. Jeśli mamy współpracować, musimy wyzbyć się owej fałszywej skromności czy przebiegłości. Obaj dobrze wiemy, o czym tu mowa. Wolność wierzących to głośno krzyczyć o tym, do czego wątpiący nie śmia się przyznać.

–Że jak?

–Pan wie, o czym mówię. – Powiedział to w sposób nieznoszący sprzeciwu; nie zaprzeczyłem więc. – Pozbądźmy się zatem wszelkich hamulców i mówmy otwarcie. – Wyciągnął rękę i klepnął mnie w udo. – Jeszcze z zrobię z pana prawdziwego człowieka.

–Powiedziałem panu o Simonie i wszystkim innym – rzekłem, broniąc się trochę. – Ale pan nie powiedział mi, skąd pan wiedział, że mi... – zabrakło mi słów. Co mi właściwie dolegało?

–Coś dolegało? – podsunął Nettles. – Odkąd to się zaczęło, bardzo bacznie obserwowałem.

–Co pan obserwował?

–Wszystko. Niemal dokładnie wszystko. Wszędzie są znaki dla tych, którzy potrafią widzieć.

–Nie rozumiem – przyznałem z żalem.

–Nie. – Profesor podniósł się i stanął nade mną. – Ale myślę, że dość już zrobiliśmy jak na jeden dzień. Dobranoc, panie Gillies. Proszę iść do domu i odpocząć.

–No tak, dobranoc. – Powoli podniosłem się na nogi. – Dziękuję panu. – Czułem bliżej nieokreśloną wdzięczność. Pewnie po prostu byłem rad, że profesor nie dzwonił po faceta z kaftanem bezpieczeństwa.

Nettles skierował mnie szybko do drzwi.

–Proszę przyjść jutro rano. Wszystko wyjaśnię.

Potem dotarło do mojej świadomości, że stoję z płaszczem w rękach w mroku na wpół oświetlonej Brewer Lane. Włożyłem płaszcz i ruszyłem pośpiesznie. Wiatr wzmógł się, niósł z sobą krople chłodnego deszczu. Ulga, jaką przyniosło mi towarzystwo profesora Nettletona, szybko wyparowała w deszczowej i wietrznej rzeczywistości.

Kompletnie zwariowany, pomyślałem ponuro. Stary Nettles jest jeszcze bardziej szalony niż ja.

Do drzwi swego mieszkania dotarłem akurat na czas, aby usłyszeć dzwonek telefonu. Szybko przekręciłem klucz w zamku, rzuciłem się do słuchawki i natychmiast zrozumiałem, że to był wielki błąd.

8. Zgodnie z ruchem Słońca

egar wskazywał dziesięć po jedenastej wieczorem. Któż mógł dzwonić o tak późnej porze?

–Halo, czy to pan Gillies? – Zdawało się, że głos dochodził z ogromnej odległości – być może z okolicy Marsa. Niemniej jednak był to jeden z owych głosów, które gdy raz-usłyszysz-nigdy-nie-zapomnisz, i natychmiast go rozpoznałem. Serce mi zamarło.

–Przy telefonie – powiedziałem. – Dobry wieczór panu.

–Tu Geoffrey Rawnsom.

–Miło mi. Co u pana słychać?

–Jak zwykle za dużo pracuję. Nie mam chwili dla siebie. Nie mogę jednak narzekać, jak sądzę – odparł w miarę uprzejmie. – Chciałbym porozmawiać z Simonem. Czy byłby pan uprzejmy poprosić go do telefonu?

–Przykro mi, panie Rawnsom, ale Simona nie ma w tej chwili.

–Nie ma go? A gdzie jest? – Z jego tonu można było wnioskować, że nawet przez myśl mu nie przeszło, aby jego syn mógł być gdzie indziej, zamiast stać obok i czekać na telefon od niego.

–Zdaje się, że wyszedł – skłamałem i dodałem gwoli prawdy: – Prawdę mówiąc, ja sam dopiero co wróciłem.

–Rozumiem – odparł. – No cóż, nie będę panu zajmował czasu. Czy mógłby pan przekazać Simonowi, że dzwoniłem?

–Przekażę, proszę pana... gdy tylko go zobaczę.

–Dobrze – powiedział starszy Rawnsen. – Jeszcze tylko jedno.

–Słucham?

–Proszę powiedzieć Simonowi, że jeśli nie odezwie się do jutra, do dziesiątej rano, to przyjadę po niego zgodnie z planem. Zapamiętał pan?

–Przyjedzie pan tu, aby zabrać go zgodnie z planem – tak, zapamiętałem. O której to będzie godzinie, proszę pana? Pytam, abym mógł powiedzieć Simonowi.

–Sądzę, że on zna szczegóły – odrzekł Rawnsen i wyczułem nutkę rozgoryczenia w jego głosie. Przerwał na chwilę i dla wyjaśnienia dodał: – Pozwolę sobie powiedzieć panu, że jestem trochę wytrącony przez Simona z równowagi. Powinien był w czasie weekendu pokazać się na uroczystościach urodzinowych swej babki. Nigdy ich nie opuszczał. A tego roku ani kartki, ani telefonu, nic. Lepiej żeby miał dobre usprawiedliwienie. I spodziewam się usłyszeć je, gdy go jutro zobaczę. Może mu pan to przekazać.

–Tak, proszę pana – zgodziłem się.

–No cóż, późno już, nie będę pana zatrzymywał. Dobranoc, panie Gillies. Wszystkiego dobrego. – Kliknęło i połączenie zostało przerwane.

Sturm und Drang! Stanę oko w oko z tatusiem Simona i co mu powiem? Bardzo mi przykro, wasza wysokość, ale panicz Jim cichcem przeprowadził się do Krainy La-la. Ech. Parszywe szczęście, co?

Strapiony położyłem się do łóżka. Zasnąłem, knując śmierć Simona.

Niewykluczone, że profesor Nettleton spał w ubraniu. A być może w ogóle nie spał. Gdy następnego dnia przybyłem do niego wczesnym rankiem, wyglądał dokładnie tak, jak poprzedniego wieczoru: po uszy zagrzebany w badaniach – były tam sterty papierów, broszur, czasopism i zwały książek na podłodze.

–Wejdz! Wejdz! – zawołał, ledwie unosząc oczy. – To jest tutaj! – zawołał, wymachując książką nad głową. – Siadaj, Lewis, i posłuchaj tego.

Zbikowany Nettles zaczął odczytywać mi fragmenty książki, chodząc pomiędzy stertami wydawnictw i przeczesując palcami kosmyki włosów. Przysłuchiwałem mu się przez dobrą chwilę, nim uświadomiłem sobie, że nie rozumiem ani słowa z tego, co mówił. To znaczy, rozumiałem sens poszczególnych słów, ale nie układały się w zrozumiałe dla mnie zdania. To był żargonowy bełkot: ogniwa tego, sploty tamtego, coś o czasie seryjnym i nieskończonej rozciągłości przeszłości, czy coś podobnego.

Zwaliłem stertę papierów na podłogę i usiadłem w skórzanym fotelu. Lampa stojąca obok była jedynym źródłem światła w pokoju. Profesor skończył czytać i utkwiał we mnie uważne spojrzenie swych błyszczących z podniecenia oczu.

–Wybacz mi, Nettles – powiedziałem – ale nie jestem pewny, czy to wszystko pojąłem. Nie spałem zbyt dobrze tej nocy. – Potem opowiedziałem mu o rozmowie telefonicznej z ojcem Simona.

Stary profesor cmoknął ze współczuciem.

–Można się było tego spodziewać – powiedział. – Ludzie nie mogą zaginać i nie być zaginionymi. Niemniej jednak liczyłem na trochę więcej czasu. Nieważne.

–Nieważne? Ależ on przyjeżdża zobaczyć się dziś z Simonem, a Simona nie ma!

–Tym będziemy się martwić później – powiedział profesor. – Napijesz się herbaty? – Poczłapał do kuchenki stojącej na jednym z kredensów, mówiąc: – Tury i włócznie to pozytywne indykatory. Podobnie jak Zielony Człowiek, wilk, odyniec i pies. Spodziewam się, że są dziesiątki innych – być może nawet setki – ale ty mogłeś ich nie zauważyć. – Słyszałem, jak grzechotał puszkami i napełniał czajnik. Miałem wrażenie, że jego głos dolatuje do mnie z czeluści piekielnych.

–Indykatory – powtórzyłem bez entuzjazmu. Ziewnąłem i przetarłem oczy.

–Dwie sprawy intrygują mnie w twojej opowieści. Muszę poprosić, abyś bardzo dokładnie wszystko sobie przypomniał. Obawiam się, że sporo od tego zależy. – Nettleton wrócił i znowu stał nade mną. – Cofnij się pamięcią do kurhanu. Czy zauważyłeś kogoś w pobliżu? – zapytał, uważnie mi się przyglądając. – Czy ktoś pojawił się w pobliżu?

–Nikt. – Wzruszyłem ramionami. – Czemu pytasz?

–Może jakieś zwierzę? Jeleń? A może jakiś ptak? Pies?

Wyprostowałem się gwałtownie.

–Chwileczkę! Był ktoś. Przypominam sobie faceta z trzema psami, niesamowity widok! To znaczy, facet niesamowicie wyglądał, nie psy. No tak, psy również były dziwne, gdy się teraz nad tym zastanawiam. Białe z czerwonymi uszami, duże i chude – wyglądały na przerośnięte charty. Prawdę powiedziawszy, facet odciął mi drogę do kurhanu, ale ja nie ustąpiłem i poszedł sobie.

–Kiedy go widziałeś? Przed wejściem Simona do kurhanu czy później?

–Później – powiedziałem. – Nie, czekaj... – Zastanowiłem się. – Przedtem również. Tak, przedtem widziałem go również – widzieliśmy go obaj z Simonem. Simon powiedział, że to pewnie jakiś mieszkający w okolicy farmer i poszliśmy do kurhanu. Zobaczyłem go ponownie, gdy wróciłem do kurhanu po zniknięciu Simona.

Nettles klasnął i zarechotał uradowany. Z kredensu dobiegł gwizd czajnika i profesor rzucił się w jego kierunku. Poszedłem za nim.

–Z mlekiem? – zapytał.

–Proszę. – Przyglądałem się, jak nalewał wrzątek do dużego, nie domytego imbryczka. Nalał również wody do dwóch brudnych kubków. Na kredensie stała butelka świeżego mleka; wziął ją i kciukiem zdjął kapsel. – Czy powiedziałem coś ważnego? – zapytałem.

Profesor wstrząsnął kubkami, a potem wlał wodę z powrotem do czajnika.

–Tak – odpowiedział, nalewając mleko. – Bez wątplenia.

–Dobrze. To znaczy, chyba dobrze... prawda?

–To bardzo dobrze. Zaczynałem się już zastanawiać, czy mówisz mi prawdę. – Na widok mojej obrażonej miny odpowiedział: – Teraz nie mam najmniejszych wątpliwości. Absolutnie żadnych. Obecność strażnika wszystko potwierdza.

–Strażnika? – zapytałem. – Nie wspominałem nic o żadnym strażniku.

–Niech herbata chwilę się zaparzy. Przynieś kubki. – Nałożył na imbryk szydełkowy ocieplacz i zaniósł go na drewniany stolik, potem przysunął swój fotel bliżej mojego. – Strażnik przedSIONKA – powiedział po prostu profesor. – Mógłby to być jeleń, jastrząb lub dziki pies – strażnik może przybierać różnorodne formy. Jego nieobecność nie dawała mi spokoju. Coś innego również nie daje mi spokoju: czemu Simonowi wolno było przekroczyć próg, a tobie nie?

–Mnie to również nie daje spokoju. Wciąż o tym myślę.

–A może Simon jest bardziej od ciebie wrażliwy?

–Simon nie jest wrażliwy – powiedziałem. – On w ogóle nie jest takim typem. Absolutnie.

Nettles pokręcił głową i zasępił się.

–To zaczyna być bardzo trudne. – Wziął imbryk i napełnił kubki. Podał mi jeden i przez chwilę popijaliśmy w milczeniu. Potem powiedział: – Czy przed wydarzeniami w kurhanie wykazywał jakieś zainteresowanie tamtym światem?

–Żadnego – powiedziałem. – To ja zajmuję się badaniem kultury Celtów, nie Simon.

–Ale to przecież on zaproponował, aby pojechać i obejrzeć tury, nieprawdaż?

–No tak, ale... według mnie on chciał po prostu przeżyć przygodę.

Profesor spojrział na mnie uważnie znad brzegu swego kubka.

–Czyżby?

–Wiesz, co mam na myśli. Każdy pretekst dobry, aby urządzić party. To cały Simon.

–Oczywiście. Chcesz powiedzieć, że był żądny przygód?

–Jasne. Lubił lekki dreszcz. – Upiłem kilka łyków i przypomniałem sobie coś jeszcze. – Ale wiesz, tamtego ranka zdarzyło się jednak coś niesamowitego. Simon wyrecytował mi wiersz.

–Tak? Mów dalej! – ponaglił mnie Nettles.

–Nie pamiętam go, ale było w nim coś o... nie wiem.

–Proszę, przypomnij sobie! To może być ważne.

–Jechaliśmy na farmę – to było zanim jeszcze zobaczyliśmy tura – którego nie zobaczyliśmy, ponieważ go tam nie było – i Simon nagle wyskoczył z tym wierszem. Celtyckim wierszem. Było w nim coś o staniu u wrót na zachód – powiedziałem, próbując przypomnieć sobie szczegóły. – To był jeden z tych zagadkowych celtyckich wierszy, w których narrator daje wszystkie potrzebne wskazówki, a ty masz odgadnąć, kim on jest.

–Stojąc u wrót na zachód... – powtórzył profesor. – Tak, mów dalej. Coś jeszcze?

Jak za dotknięciem elektrycznego bata, przypomniałem sobie coś jeszcze.

–Przedtem – powiedziałem, a podniecenie ścisnęło mi gardło – gdy spaliśmy w samochodzie na poboczu, jak już mówiłem, obudziliśmy się przed wschodem słońca. Simon chciał wcześniej ruszyć, ale zaspaliśmy – niedużo, nadal było jeszcze wcześniej. Ale był zły, ponieważ chciał być na farmie przed wschodem słońca. Gdy zapytałem go dlaczego, prychnął i odparł: I ty jesteś badaczem kultury Celtów! To chodziło o czasie-pomiędzy-czasem – Simon wiedział o czasie-pomiędzy-czasem. Dlatego tak spieszył się z dotarciem do farmy. Zapytałem go o to, a on nie zaprzeczył. Simon wiedział o czasie-pomiędzy-czasem.

Nettleton uśmiechnął się.

–Rozumiem. Mów dalej.

–To wszystko. Nie zdawałem sobie sprawy, że on wie o takich rzeczach. To było dziwne, ale taki już był Simon. Rzucił się na wszystko, co pobudzało jego wyobraźnię.

–Ale nie dotarliście do farmy ani do kurhanu przed wschodem?

–Nie. Do kurhanu dotarliśmy tuż przed dziesiątą – powiedziałem.

Profesor wstał i przyniósł butelkę z mlekiem. Nalał mleko do kubków i uzupełnił gorącą herbatą, zdejmując uprzednio ocieplacz z imbryka. Potem położył dłonie na gorącym imbryku i powiedział powoli: – To wyjątkowo

interesujące.

Wspaniale, ale co to ma wspólnego ze zniknięciem Simona?

Profesor wstał i zaczął grzebać w stercie książek na swym biurku. Wyciągnął jedną z nich w moim kierunku.

–Wpadłem na to ostatniej nocy – powiedział, po czym zaczął czytać:

“Sierpniowego dnia w roku 1788 przybyłem do głównej wioski w górskiej dolinie Findhorn, osady jasnowłosych, zwanej Mills of Aird Righ. Najpierw zwróciłem się do dyrektora szkoły, pana Desmonda MacLagana, który uprzejmie zgodził się zaprowadzić mnie do cairn. MacLagan wychował się w tej okolicy i słyszał opowieści o cairn od swej babki, pani Maire Grant, która często wspominała, jak wraz z przyjaciółmi z wioski w pewną jasną, księżycową noc postanowiła się tam wybrać. Nie czekali długo i usłyszeli bardzo rozkoszną muzykę, i ujrzeli wielką wieżę stojącą w dolinie. Wszedł z niej niewielki ludek Czarownej Krainy i zaczął swawolić i tańczyć. Następnego ranka wieży nie było, ale babka i jej przyjaciele nazbierali Czarodziejskiego Złota wokół cairn. Trwało to, dopóki jeden z młodzieńców, wypytywany o złoto, nie powiedział wszystkiego swemu ojcu, który zabronił dalszych wycieczek, mówiąc, iż czasami ludzie w tamtej okolicy znikali.

Po dotarciu do doliny mój przewodnik i ja zsiadliśmy z koni i pieszo zeszliśmy w dół do cairn. Stwierdziłem, że pradawna budowla nie wyróżniała się szczególnymi rozmiarami ani kształtem i sprawiała wrażenie zniszczonej. Jediną cechą szczególną w jej wyglądzie jest występ w kształcie pieca, skierowany na zachód. Niemniej wieśniacy i niewykształcony lud zamieszkujący dolinę uznawali cairn za Czarodziejski Kopiec i wyrażali się o nim z wielkim respektem, gdy rozważali nad sprawami nadprzyrodzonymi...”

Nettles uniósł oczy znad lektury.

–Ten dokument potwierdza, że na terenie Carnwood Cairn mamy do czynienia z przykładami interwencji z tamtego świata – oznajmił. – Chociaż autor nie znalazł wejścia, nadal jestem przekonany, że opisany kamienny kurhan jest tym, który widzieliście. Wzgórze, kotlinka, bulwiasta wypukłość z jednej strony budowli, to wszystko pozwala na dokładną identyfikację.

Zgodziłem się. Zapiski były jednak typowymi ludowymi opowieściami, jakich w czasie swych badań spotykałem setki. W końcu był to jeden z głównych wątków folkloru celtyckiego.

–Kronika odnotowuje dalej – powiedział Nettles – kolejne przypadki pojawiania się maleńkiego ludu, wspomina o przedmiotach gubionych i znajdowanych w okolicy i innych trochę dziwnych przypadkach. A potem jest to... – Ponownie zaczął czytać:

“MacLagan poznał mnie również z panem E.M. Robertsem, żyjącym w pobliżu na Grove Farm, który potwierdził pogłoski o cairn jako o Czarodziejskim Kopcu, opowiadając przy tym, że robotnik jego ojca imieniem Gilim wracając do domu w wigilię święta Samhain, ujrzął Czarodziejską Kawalkadę wychodzącą ze wspomnianej wyżej dolinki. Natychmiast się ukrył, a gdy tamci odeszli, pospiesznie zszedł do kopca, który stał otworem. Wszedł do kurhanu i stwierdził, że w środku jest jasno jak w dzień, a on znajduje się pośrodku rozległej, zielonej łąki, na której Czarowny Lud przygotowuje ucztę. Spostrzegł zarazem, że Czarowny Lud nie był już niski, ale więcej niż normalnego wzrostu, i o wyglądzie radującym oczy. Najprzystojniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział, podeszła ku niemu i poprosiła, aby posilił się wraz z nimi, co też uczynił z ochotą, stwierdziwszy, że nigdy w życiu nie kosztował niczego równie delikatnego w smaku. Cały dzień pozostał z Czarowną Kobieta, dopóki o zachodzie słońca Czarowni Jeźdźcy nie wrócili po wypełnieniu swego zadania i nie rozpoczęła się uczta, podczas której książę Czarownego Ludu podarował mu srebrny puchar i długi żółty płaszcz i zapytał, czy chciałby z nimi zostać. Parobek nie myśląc odparł, iż rankiem spodziewają się go w domu, na co książę zauważył: – No to musisz natychmiast uciekać, przyjacielu, inaczej twój sekret wyjdzie na jaw! W jednej chwili Czarowne Towarzystwo zniknęło w złocistej mgłę i Gilim znalazł się w głogowych zaroślach tuż obok kurhanu, przyodziały w żółty płaszcz i ze srebrnym pucharem w dłoni, którymi to przedmiotami go obdarowano. Gilim zwykł często pokazywać ów płaszcz i puchar, jako dowody prawdziwości swej opowieści”.

Po tych słowach profesor zamknął książkę i uniósł swój kubek gestem kogoś, kto właśnie rozwiał ostatnie wątpliwości.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem, z góry lękając się odpowiedzi.

–Myślę, że twój przyjaciel Simon porzucił nasz świat dla tamtego świata.

Choć Nettles mówił ze szczerą otwartością, obrzydliwy lęk, którego nie dopuszczałem do siebie przez ostatnie kilka dni, w końcu mnie dopadł. Pociemniało mi w oczach. Płaszcz... żółty płaszcz... Widziałem go – i tego, który go nosił.

–Zaświaty – powtórzyłem cicho, nazywając po imieniu strach, który prześladował mnie od czasu zniknięcia Simona. Z trudem złapałem powietrze i zmusiłem się, aby spokojnie powiedzieć: – Wyjaśnij, proszę.

–To oczywiste, że Simon przejawiał wyraźne i żywe zainteresowanie tamtym światem tuż przed swym zniknięciem.

–Żywe zainteresowanie – to wszystko, czego trzeba?

–Nie. – Nettles w zamyśleniu popijał herbatę. – Nie wszystko. Musiał zostać dopełniony jakiś rytuał.

–Nie było żadnego rytuału – oznajmiłem, chwytając się tego faktu z determinacją tonącego. – Od chwili dotarcia do cairn do momentu jego zniknięcia, nawet na sekundę nie spuszczałem go z oka. Niczego nie zrobił. To znaczy ja usiadłem na kamieniu, a on chodził wokół cairn, zadając pytania. Nagle zaczęły go interesować kurhany i to, co jest w środku – to prawda. Ale to wszystko. Po prostu obszedł go raz czy dwa dookoła, oglądając. Tylko parę razy straciłem go z oczu – gdy był po drugiej stronie cairn.

Profesor kiwnął niecierpliwie głową.

–Ale o to właśnie chodzi! Jeszcze tego nie widzisz?

–Nie, nie widzę. Nie robił niczego, czego i ja bym nie robił – oświadczyłem apatycznie. Zdaje się, że tak dalece zaangażowałem się w zaprzeczanie temu, co się wydarzyło, iż uznałem za konieczne bronić się do przed akceptacją do upadłego.

–On ją obszedł! Oczywiście, obszedł ją. Okrążył ją. Ale ty tego nie uczyniłeś.

–To prawda. I co z tego?

Profesor cmoknął.

–Ktoś zaniedbał twoje wykształcenie, mój chłopcze. Powinieneś to wiedzieć.

Zrozumienie, niczym promienie słońca, przedarło się przez mgłę uparcie przesłaniającą moją świadomość. Oczywiście, to najstarszy ze wszystkich rytuałów: obchodzenie zgodnie z kierunkiem Słońca! Celtowie zwali go Deosil.

–Obchodzenie zgodnie z kierunkiem ruchu Słońca – powiedziałem. – Chcesz powiedzieć, że po prostu wystarczy kilka razy obejść cairn zgodnie z ruchem Słońca, aby... no wiesz, aby zniknąć?

–Właśnie – potwierdził Nettles znad brzegu swego kubka. – Naśladowanie ruchu Słońca na progu tamtego świata – we właściwym czasie i właściwych okolicznościach – jest bardzo skutecznym rytuałem.

–Właściwy czas... to znaczy czas-pomiędzy-czasem?

–Właśnie.

–Ale my przegapiliśmy ten moment – żaliłem się. – Było już dawno po wschodzie słońca, gdy tam dotarliśmy.

Nettles stukał palcem po zębach.

–A zatem sam dzień... Oczywiście! Późna jesień, powiedziałaś: Samhain!

–Przepraszam?

–Samhain – musiałeś o tym słyszeć.

–Tak, obito mi się o uszy – przyznałem ponuro. Samhain – dzień z pradawnego celtyckiego kalendarza, w którym otwierały się wrota do tamtego świata. – Nie przyszło mi to wówczas do głowy.

–Dzień wzmożonej aktywności tamtego świata. Musiał przypaść na trzeci tydzień listopadowej sesji – na dzień, w którym oglądaliście cairn.

Teraz byłem już zupełnie pogiębiony i oburzony. Pogiębiony rzeczowym tonem stwierdzeń Nettlesa i oburzony własną ignorancją. Można by myśleć, że po kilku latach studiowania tych rzeczy czegoś się nauczyłeś, ale nie-e-e-e!

–Słuchaj, powiedziałaś, że wszystko wyjaśnisz. Jak na razie niczego nie wyjaśniłeś.

Profesor Nettleton odstawił swoją herbatę.

–Tak, myślę, że mam już wszystkie fakty. Słuchaj więc uważnie.

–Dobrze.

–Po pierwsze, musisz zrozumieć sposób, w jaki nasze dwa światy są z sobą połączone.

–Dwa światy – masz na myśli tamten świat i prawdziwy świat?

–Tamten świat i świat jawny – poprawił łagodnie. – Oba są jednakowo rzeczywiste, ale każdy z nich w inny sposób manifestuje swą rzeczywistość. Można by powiedzieć, że istnieją w równoległych wymiarach.

–Wierzę ci na słowo.

–A zatem, dwa światy – czy też wymiary, jeśli wolisz – istnieją w zasadzie osobno, aczkolwiek muszą na siebie nieznacznie zachodzić. Być może łatwiej to zrozumiesz, jeśli wyobrazisz sobie nasze światy jako wyspy na oceanie. Jak wiesz, oceaniczne dno składa się z gór i dolin. Miejsca, w których szczyty gór wystają ponad poziom wody, nazywamy wyspami.

–A miejsca, w których tamten świat przebija się do naszego – to właśnie te wyspy. O to chodzi?

–Tak, z grubsza. W rzeczywistości to jest o wiele bardziej skomplikowane.

–Oczywiście.

–A zatem – ciągnął dalej profesor – ta wyspa, czy też punkt kontaktu zwany jest ogniwem – czytałem ci o tym, gdy przybyłeś tu po raz pierwszy. Oprócz innych funkcji ogniwo spełnia rolę portalu – wejścia, przez które można przechodzić z jednego świata do drugiego i z powrotem. Starożytni doskonale byli obeznani z tymi portalami i znaczyli je na różne sposoby.

–Cairn – powiedziałem. – Znaczyli je, wznosząc cairn.

–Tak, cairn. I kamienne kręgi, menhiry, kopce i inne trwałe znaki. Znaczyli każde odkryte ogniwo.

–Aby mogli podróżować pomiędzy światami! – wykrzyknąłem dumny z siebie.

Ale nie zaimponowałem Nettlesowi swoją domyślnością.

–Ależ nie! Wręcz przeciwnie. Zaznaczali wejścia, aby ludzie mogli te miejsca omijać – podobnie jak my zaznaczalibyśmy kruchy lód czy ruchome piaski. Niebezpieczeństwo! Nie wchodzić! – Profesor pokręcił głową. – Dlatego właśnie używali tych ogromnych skalnych bloków i wznosili trwałe konstrukcje – chcieli ostrzec nie tylko współczesnych, ale także przyszłe pokolenia.

–Chyba nie bardzo rozumiem – przyznałem.

–Ależ to bardzo proste – upierał się Nettles. – Starożytni pragnęli, aby te miejsca były wyraźnie oznaczone, ponieważ rozumieli, jak bardzo niebezpieczne jest, aby ktoś nieostrożny zapuścił się bez przygotowania na tamten świat. Jedynie prawdziwie wtajemniczeni mogli bezpiecznie przechodzić ze świata do świata. W

opowieściach aż roi się od historii o niczego niepodejrzewających wędrowcach, którzy zabłądzili na tamten świat, czy też spotkań z istotami z tamtego świata. Te opowieści mają przestrzegać nie przygotowanych przed zapuszczeniem się w nieznanne.

–Ale Simon był nie przygotowany! – zauważyłem.

–No właśnie – przyznał Nettles. – Jest jednak coś jeszcze. Obawiam się bowiem, że wiąże się z tym o wiele większe niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, które grozi nam wszystkim.

Wspaniale. Doprawdy wspaniale.

–Jakie niebezpieczeństwo?

–O ile się bardzo nie mylę, splot staje się wysoce niestabilny. Obawiam się, że jest już za późno.

9. Węzeł bez końca

plot? Jak splot słoneczny?

Staruszek cmoknął z dezaprobatą.

–Nie słuchałeś uważnie, prawda? Nie dotarło do ciebie ani słowo z tego, co ci czytałem.

–Przepraszam, ale byłem trochę zamyślony.

–Wyjaśnię ci to raz jeszcze – westchnął. – Proszę, spróbuj się skoncentrować.

–Postaram się. – Skupiłem spojrzenie na krągłej, sowej twarzy Nettlesa, aby nic mnie nie rozpraszało – przelotnie pomyślałem o tym, czy on się jeszcze w ogóle czesze. Jego okulary też warto by przeczyścić.

–Ogniwo, jak już sobie powiedzieliśmy, jest punktem, w którym oba światy łączą się. Tak?

–Nooo, tak.

–A zatem, splot jest strukturą ich połączenia, ponieważ oba światy nie stykają się z sobą tak po prostu, ale są razem splecione. – Splótł palce obu rąk, demonstrując mi, co miał na myśli. Potem obrócił się i pochwycił kawałek papieru ze sterty na podłodze. – Poznajesz to? – zapytał.

Spojrzałem na papier i ujrzałem nakreślone ołówkiem i piórem wyraźne sploty koronkowych celtyckich wzorów: dwie kolorowe wstęgi zręcznie, zawrotnie splecione; dwie oddzielne linie, lecz tak sprytnie ułożone, że nie można było powiedzieć, gdzie jedna się kończyła, a druga zaczynała.

–Jasne – powiedziałem. – To węzeł bez końca. Pewnie z Księgi Kells.

–Nie z Kells, ale niewiele się pomyliłeś – odparł Nettles. – To z celtyckiego krzyża z wyspy Iony. Z pewnością był pan na lonie, panie Gillies?

Wolałem uniknąć dyskusji na temat zatrwającej powierzchowności mojego wykształcenia, odpowiedziałem więc pytaniem na pytanie.

–A co węzeł bez końca ma wspólnego z tymi wszystkimi ogniwami i splotami?

–Zakładam, że to jest graficzne przedstawienie splotu. Starożytni Celtowie wciąż tworzyli jego wyobrażenia. Według nich, ten wzór reprezentował zasadniczy element ziemskiej egzystencji. Dwie wstęgi – ten świat i tamten świat – splecione w dynamicznej, wzruszającej harmonii, zależne od siebie wzajemnie i wzajemnie się uzupełniające.

Spojrzałem na znajomy wzór, podążając wzrokiem za zawiłymi pętlami, zwojami i splotami.

–A więc to ma być splot, tak?

–Tak – odparł Nettles. – To jest splot. Według naszej analogii z wyspami, jak sobie przypominasz, splot jest

brzegiem wyspy. Brzeg zaś nie jest całkowicie ani lądem, ani morzem. Brzeg jest miejscem, które ogranicza wyspę i oddziela morze od lądu, ale sam należy zarówno do lądu, jak i do morza. Kiedy stoisz na brzegu pośród fal, to w rzeczywistości jesteś w obu miejscach jednocześnie – postawiłeś stopę w obu światach.

–Starożytni Celtowie czcili brzeg jako miejsce święte.

–Aha! Nie przespałeś zatem wszystkich wykładów? – zażartował Nettles.

–Nie, nie wszystkie – mruknąłem. – Z tego, co wiem, Celtowie czcili różnorodne rzeczy o naturze splotu: brzeg morza, świt, zmierzch, skraj lasu – można by rzec, wszystko, co nie było ani tu, ani tam.

Nettles kiwnął głową z aprobatą.

–Całkiem słusznie. Jednakże my traktujemy tamten świat i świat jawny jako dwa całkowicie odrębne miejsca. Starożytni Celtowie zaś nie czynili takich rozróżnień: podobnie jak nie dostrzegali różnicy znaczeń pomiędzy “rzeczywistym” i “urojonym”. Stan duchowy i materialny nie były oddzielnymi stanami: oba cały czas były jednako jawne. Dla przykładu, dębowy zagajnik mógł być po prostu dębowym zagajnikiem lub siedzibą bóstwa – lub oboma rzeczami jednocześnie. W taki właśnie sposób patrzeli na wszechświat. A to nakazywało wielkie uznanie i szacunek dla wszystkich stworzonych rzeczy. Szacunek zrodzony z głębokiej i trwałej wiary. Nie przyszłoby im na myśl, aby uważać jakieś obiekty czy istoty za bardziej “rzeczywiste”, tylko dlatego, że istnieją w sensie materialnym. Interesujące jest to, że dopiero współczesny człowiek dokonał tak wyraźnego rozróżnienia. Gdy już go dokonał, to nazwał wszechświat niematerialny “niereczywistym”, a przez to nieważnym i niewartym jego uwagi. A przecież dzieci nie dostrzegają różnicy pomiędzy tym, co materialne i niematerialne. Oczywiście zauważają różnicę, ale nie czują potrzeby przypisywania wartości jednemu względem drugiego. Dzieci, podobnie jak starożytni Celtowie, po prostu akceptują istnienie obu sfer – obu stron tej samej monety, rozumiesz?

–No tak, ale, do czego nas to prowadzi? – zaczynało mnie już niecierpliwić to całe filozofowanie.

–Zaraz do tego dojdę – powiedział Nettles tonem, który sugerował, że nie lubi ponaglania. – A zatem, podczas gdy ogniwo jest obiektem fizycznie rzeczywistym – aczkolwiek niewidzialnym, jeśli nie jest oznakowane kamieniem, cairn czy czymś w tym rodzaju – splot w tym sensie nie istnieje. On jest, można powiedzieć, bardziej harmonią, równowagą obu światów. Nadażasz za mną?

–Z ledwością – przyznałem. – Ale mów dalej, proszę.

–Słuchaj uważnie. Dochodzimy do sedna sprawy: jeśli równowaga pomiędzy dwoma światami zostanie zakłócona, harmonia – czyli sam splot – zacznie być niestabilny. Zacznie się strzępić niczym kawałek tkaniny. Rozumiesz?

Poderwałem się.

–Niestabilny splot oznacza kosmiczny chaos i katastrofę – czy do tego zmierzasz?

–W zasadzie tak. – Profesor wstał i znalazł sobie zajęcie w kącie pokoju. – Z tego punktu widzenia, sprawą najwyższej wagi jest przede wszystkim ustalenie, co zakłóca równowagę, a potem przywrócenie jej. W przeciwnym razie... – Jego głos zginął wśród rumoru przerzucanych kartonów.

–W przeciwnym razie co? – dopytywałem się.

Patrzył przez chwilę przed siebie, po czym powiedział:

–Obawiam się bardzo, że bezpowrotnie stracimy tamten świat.

–Zdawało mi się, że mówiłeś, iż chodzi tu o coś poważnego.

–To jest poważne – odrzekł profesor Nettleton. – Nie przychodzi mi na myśl nic bardziej poważnego, co mogłoby przytrafić się ludzkości. – Przeszedł na drugą stronę pokoju, otworzył szafę i zaczął wpychać rzeczy do wyblakłego brezentowego plecaka.

–Co w takim razie z zagładą nuklearną? A co z AIDS? A co z wojnami, zarazami i głodem?

–Oczywiście, to są groźne rzeczy – przyznał Nettles, biorąc tubę pasty do zębów. – Ale one nie zagrażają istocie

ludzkości jako takiej.

–Jeśli o mnie chodzi, to uważam perspektywę rozbicia na garść migocących protonów za nieliczne zagrożenie dla mej istoty. Myślę, że znalazłoby się jeszcze kilku, którzy poparliby mnie w tym względzie.

Nettles zlekceważył tę uwagę machnięciem szczoteczki do zębów.

–Śmierć jest śmiercią, panie Gillies. Towarzyszy ludzkości od chwili narodzin i nie opuści jej po kres czasu. W końcu jest częścią życia. Podobnie jak choroby, zarazy, głód i wojny. Nie różnią się od siebie pod tym względem – są częścią ludzkiej egzystencji.

–Iście akademickie rozumowanie. Siedzisz tu sobie w zaciszu własnego kokonu; nie masz zupełnie kontaktu z rzeczywistym światem. Skąd miałbyś cokolwiek wiedzieć...

–Pozwól mi skończyć! – warknął, potrząsając szczoteczką do zębów. – Mówisz o rzeczach, o których nic nie wiesz! Mniej niż nic!

Głowa mnie bolała, a oczy piekły i łzawiły. Byłem zmęczony, skonfundowany i nie byłem w nastroju do znoszenia cudzych wymyślań.

–Przepraszam. Mów dalej, słucham.

Profesor ponownie odwrócił się ku szafie i wyciągnął grubą, wełnianą kamizelkę.

–Czasami zastanawiam się, po co zawracam sobie tym głowę!

–Proszę – odezwałem się pojednawczo. – Naprawdę nie będę przeszkadzał.

Profesor milczał przez chwilę, wpatrując się w kamizelkę.

–Jakie znaczenie ma japońska waza? – zapytał niespodziewanie.

–Przepraszam?

–Albo obraz Rembrandta, Lewis? Albo wiersz Tennysona – jakie mają dla nas znacznie? Proszę, odpowiedz mi.

Wariat. Ten człowiek był kompletnym czubkiem.

–Nie wiem – wzruszyłem ramionami. – Sztuka, piękno – coś w tym rodzaju. Nie potrafię dokładnie powiedzieć.

Nettles wydał policzki i parsknął kpiąco, po czym zwinął ubranie i wepchnął do plecaka.

–Jeśli nagle zniknęłyby obrazy Rembrandta i wiersze Tennysona, świat byłby z pewnością uboższy. Ale są inne obrazy i wiersze. Prawda?

–Jasne.

–Ahaaa! Ale co będzie, jeśli zniknie samo piękno? – zapytał. – Co będzie, jeśli piękno – samo pojęcie piękna – przestanie istnieć? – Wydał policzki. – W jednej chwili zostałyby wymazane dziesięć tysięcy lat ludzkiej myśli i rozwoju. Ludzkość utraciłaby jedną ze swych zasadniczych zdolności – umiejętność widzenia, oceniania i tworzenia piękna. Zeszlibyśmy do poziomu zwierząt.

–Zgoda – przyznałem.

–Bardzo dobrze. – Wyciągnął parę długich, wełnianych skarpet i sprawdził, czy nie mają dziur. – Oprócz przyjemności, piękno rozpala również wyobraźnię, dodaje odwagi i wzbudza nadzieję. Jeśli piękno przestanie istnieć, to my, w bardzo realnym sensie, również przestaniemy istnieć – ponieważ nie będziemy już tymi, którymi byliśmy.

–Znam tę teorię – rzuciłem obronnym tonem.

–Dobrze. Pójdźmy zatem dalej. – Złożył skarpetki i wsunął je do plecaka, wyciągnął następną parę, zmarszczył

brwi i wrzucił ją z powrotem do szafy. – A choć pojęcie piękna jest tak ważne, to tamten świat jest po tysiącokrotnie ważniejszy. A utrata go będzie miała o wiele bardziej niszczycielskie skutki.

Ostre zagranie! Znowu zostałem z tyłu.

–Nie bardzo wiem, jak to rozumieć – powiedziałem, przerywając mu.

–Bo nie myślisz pan, panie Gillies! – ryknął profesor. Sięgnął do szafy, wyciągnął but na grubej podeszwie i wycelował go we mnie. – Myśl!

–Myślę, ale tego po prostu nie chwytam!

–A zatem słuchaj uważnie – powiedział Nettles ze znużeniem. – Jeśli pomyślisz o tamtym świecie jak o składnicy – miejscu przechowywania, magazynie czy skarbcu – archetypów, wizerunków tego świata... – Po moich zmarszczonych brwiach musiał poznać, że znowu nie nadażam, gdyż przestał mówić.

–Staram się, profesorze. Ale trochę mi mąci w głowie ta cała składnica archetypów – wizerunków. To trąci Jungiem.

–Daj spokój Jungowi – przestrzegł mnie Nettles, stawiając but na biurku i skupiając całą swą uwagę na mnie. Siedziałem wyprostowany i usiłowałem się skoncentrować.

–Okolo 865 roku n.e. irlandzki filozof Johannes Scotus Erigena wysunął tezę, wedle której świat jest manifestacją Boga w czterech osobnych aspektach – to znaczy, z pozoru różnych, będących przejawami Boga. – Uniósł brwi. – Kapujesz?

–Tak jakby – mruknąłem.

–Doktryna Erigeny uznaje Boga za jedyne Stwórcę, Żywiela i Źródło Prawdy dla wszystkiego, co istnieje – to pierwszy z aspektów Boga. Po drugie, Erigena uznaje istnienie czegoś w rodzaju Nadprzyrodzonego, osobnego, niewidzialnego, innego istnienia, w którym zgromadzone są wszystkie pierwotne idee, siły i archetypy – forma form, jak ją nazwał – z której wywodzą się wszystkie formy ziemskie.

–Tamten świat – mruknąłem.

–No właśnie – potwierdził profesor z ulgą. – Sęk w tym, że wobec ludzkości – ciągnął – tamten świat pełni kilka decydujących funkcji. Można by powiedzieć, że w pewien sposób nim kieruje i jest źródłem inspiracji, głównie w sprawach dotyczących ludzkiej egzystencji.

–Zapewnia sens życiu – spróbowałem niepewnie.

–Nie – powiedział profesor Nettleton. Zdjął okulary, spojrzął przez nie i założył je ponownie. – Jednakże to błędne mniemanie jest powszechne. Tamten świat nie zapewnia sensu życiu, a raczej daje wyobrażenie, czym jest bycie żywym. Życie w całej swej krasie – można powiedzieć, bez upiększeń. Tamten świat nadaje życiu sens swym istnieniem, swym przykładem. Widzisz różnicę? Dzięki niemu poznajemy, co znaczy być żywym, być człowiekiem: dobrym i złym, w chwilach załamania i uniesień, zwycięstwa i klęski. To wszystko jest w tym skarbcu. Tamten świat jest składem archetypów wizerunków życia – można by powiedzieć, że jest źródłem wszystkich naszych marzeń.

–Zdawało mi się, że według ciebie tamten świat jest konkretnym miejscem – zauważyłem, wracając do wcześniejszej kwestii.

–Jest – odparł, sięgając do szafy po drugi but – ale jego rzeczywiste istnienie jest sprawą drugorzędną wobec jego istnienia jako pojęcia, metafory, jeśli wolisz, która jest natchnieniem, wzbogaca i poucza nasz własny świat. – Zajrzał do buta, jakby szukał w nim elfów.

–Naprawdę, nie jestem głupi – upierałem się. – Wysiłam się.

–Nasz własny świat – wyjaśniał cierpliwie Nettles – w dużej mierze widzimy jedynie dzięki światłu, które pada nań z tamtego świata. – Ustawił na biurku jeden but obok drugiego, odwrócił się i zajrzał do szafy, jakby była wejściem do tamtego świata. – Powiedz mi, Lewis – podjął nagle – skąd człowiek dowiedział się, czym jest lojalność? Lub honor? Lub którakolwiek z wyższych wartości?

–Taka jak piękno? – zapytałem, wracając do poprzedniego tematu.

–Bardzo dobrze – przyznał – taka jak piękno – piękno lasu, powiedzmy. Skąd człowiek nauczył się cenić piękno lasu?

–Bo to leży w jego naturze? – powiedziałem coś najbardziej oczywistego, co okazało się zupełnie nietrafne.

–Wcale nie. Dowodem na to może być fakt, że wielu z nas w ogóle lasów nie darzy szacunkiem – prawdę powiedziawszy, nawet ich nie dostrzega. Znasz ludzi, o których mówię. Widywałeś ich i efekty ich działalności. To ci, którzy zadają gwałt Ziemi, ci, którzy wycinają lasy i zatruwają oceany, którzy gnębią biednych i dręczą bezradnych, ci, którzy żyją tak, jakby świat ograniczał się do ich przyziemnych wizji. – Przerwał na chwilę i zebrał na nowo myśli. – Ale odbiegłem od tematu. Pytanie, przed którym stoimy, brzmi: co sprawiło, że człowiek nauczył się dostrzegać w lesie piękno, szanować go, kochać przez wzgląd na samego siebie, uznawać jego wartość jako samego lasu, a nie widzieć w nim jedynie źródło drewna, czy przeszkodę, którą trzeba powalić, aby zrobić miejsce na autostradę?

Wiedziałem jakiej odpowiedzi oczekiwał i dałem ją, aby sprawić mu przyjemność.

–Tamten świat?

–Tak, tamten świat.

–Jakże to możliwe? – zapytałem niemal z rozpaczą.

Profesor wyciągnął szeroki skórzany pasek i począł przepychać go przez szlufki swych sztruksowych spodni.

–Dzieje się tak, ponieważ już sama obecność tamtego świata roznieca w nas iskierkę wyższej świadomości czy też wyobraźni. To bajki, opowieści i wizje tamtego świata – tej tajemniczej, czarownej krainy, tuż za ścianami świata realnego – obudziły i rozwinęły w ludziach pojęcia piękna, czci, miłości i szlachetności i wszystkie inne wyższe wartości. Zaświaty są formą form, składnicą. Tam zgromadzone są archetypy. Kolega wykładowca spytał mnie raz: Jak możesz widzieć prawdziwy las, skoro nigdy nie widziałeś lasu czarownego? To samo pytanie kieruję do ciebie.

O dziwo, zabrzmiało to całkiem sensownie. A może, po prostu, w końcu zacząłem się w

tym orientować.

–Ponieważ tamten świat istnieje, możemy widzieć nasz świat takim, jaki jest – powiedziałem, niemal dysząc z wysiłku.

–A nawet możemy dostrzegać więcej – dodał Nettles, zapinając pasek. – To jest bardzo ważne, ponieważ głównie poprzez istnienie tamtego świata, uznajemy ostateczną wartość tego świata – wartość, która wykracza daleko poza wartość jego elementów.

–Podobnie jak wartość lasu przekracza wartość otrzymanych z niego sągów drewna? – zasugerowałem z nadzieją.

–Bardzo dobrze, Lewis. – Nettles był zadowolony. – Robisz postępy.

–No tak, ale czy nie moglibyśmy tego sami dokonać? Czy nie moglibyśmy dostrzec wartości tego lasu czy czegoś innego bez względu na to, czy tamten świat istnieje czy nie? To znaczy, czy nie moglibyśmy sobie tego po prostu wyobrazić?

–Bóg by mógł. Istoty ludzkie nie posiadają daru tworzenia *ex nihilo*, z niczego. – Zdezorientowany patrzyłem, jak profesor odpinał guziki swej koszuli. – Nie, to co człowiek tworzy, musi mieć oparcie w czymś rzeczywistym, aczkolwiek nieuchwytnym i subtelnym. – Podniósł ostrzegawczo palec. – Możesz być pewny, że nie posiadliśmy tej wiedzy – owej świadomości rzeczy wyższych – w sposób naturalny, Gillies. Musiano nas nauczyć. A tamten świat jest głównym instrumentem naszego kształcenia.

Zdjął koszulę, wyciągnął inną z szafy i zaczął ją nakładać. Odsłonięte ciało miał zwarte i zdumiewająco krzepkie.

–W porządku – powiedziałem – ale co to ma wspólnego z tą... tą kosmiczną katastrofą, o której wcześniej mówiliśmy?

–Myślałem, że to oczywiste. – Wepchnął końce koszuli do spodni.

–Dla mnie nie.

–Drogi chłopcze, to proste, wszystko, co zagraża tamtemu światu, zagraża również temu. – Wziął plecak i ustawił go przy drzwiach. Potem zdjął z biurka buty do pieszych wędrowek i usiadł z nimi na fotelu naprzeciw mnie. – Jeśli forma form ulegnie zepsuciu, nasz świat i wszystko, co na nim jest, ulegnie zepsuciu już u samych korzeni.

O rety, zaczyna być gorąco. Wziąłem głęboki oddech, pochyliłem głowę i wyrzuciłem z siebie:

–Z całym szacunkiem, Nettles, ale ja nadal nie rozumiem. Co... co zagraża tamtemu światu? Ten cały splot, który, jak mówiłeś, zrobił się niestabilny czy postrzępiony. O co w

tym chodzi? O co w ogóle w tym wszystkim chodzi?

–Najprościej mówiąc – odparł Nettles, wsuwając nogi do butów – tamten świat przecieka do naszego świata.

–A nasz przecieka do tamtego? To źle, prawda?

–To katastrofa. – Nettles zacisnął usta, sznurując prawy but. – Pomiędzy światami zrobiła się wyrwa i każdy może nią przejść.

–Každy – na przykład tury? Lub Zielony Człowiek...? – W końcu zrozumiałem. Poczułem skurcz w żołądku. To była prawda. Wszystko było prawdą.

–Tury, Zielony Człowiek – powtórzył Nettles cicho – wilk na Turl Street i kto wie, co jeszcze?

–Simon? Czy on przeszedł?

–To zdaje się prawdopodobne, czyż nie?

Rozważałem, co powiedział, rozpaczliwie usiłując wszystko zrozumieć. Ale było tego za wiele; ugiąłem się przed wyższością intelektualną Nettlesa i zdałem się na jego sąd.

–No dobrze, to co teraz będzie?

–Myślę, że musimy rzucić okiem na tę twoją cairn, panie Gillies.

Następna podróż do Szkocji. Wspaniale. Ale jakkolwiek by na to patrzeć, przejażdżka do Carnwood Farm wydaje się o wiele przyjemniejsza od częstowania wściekłego Geoffreya Rawnsona opowieściami o prehistorycznym wole i czarodziejskim kopcu.

–Brzmi zachęcająco – przyznałem. – Kiedy wyruszamy?

–Zaraz. Jestem spakowany. – Wskazał na plecak przy drzwiach.

–Muszę wrócić do mieszkania i spakować kilka drobiazgów – powiedziałem.

–To nie będzie konieczne – powiedział profesor. – To, co masz, wystarczy. – Podeszedł do szafy i wyciągnął zapasową szczoteczkę do zębów i ręcznik, które wepchnął do plecaka. – W porządku – oznajmił – jesteśmy gotowi do wymarszu.

10. Serb

ociąg z Oksfordu do Edynburga odjechał z półgodzinnym opóźnieniem i od początku do końca, od ściany do ściany, wypełniony był kibicami Oxford United. Nie mam nic przeciwko angielskim kolejom – oprócz tego, że pozwalają swymi pociągami jeździć niewłaściwym

ludziom. Nie winie za to kolei, ale z tej przyczyny podróż pociągiem jest bardzo uciążliwa. Po czterech czy pięciu godzinach takiej jazdy nie odczuwa się już różnicy pomiędzy wagonem drugiej klasy a wagonem bydlęcym. Każdy, kto uważa serwowanie alkoholu piłkarskim chuliganom za dobry pomysł, powinien odbyć sześciogodzinną podróż w towarzystwie podpitych kibiców.

Nim dojechaliśmy do Birmingham, czułem się pogrzebany pod pustymi puszkami po piwie i ogłuszony chóralnymi okrzykami. Stwierdziłem, że podśpiewywania typu "Nadchodzimy! Nadchodzimy! Nadchodzimy!" wprawiają w rodzaj transu, a wówczas słowa tracą znaczenie.

–Choć raz – mruknąłem do siebie – chciałbym pojechać pierwszą klasą. Myślę, że już do tego dojrzałem.

W Birmingham kibice wysiedli i mieliśmy cały wagon dla siebie. Próbowałem czytać gazetę, którą ktoś zostawił, ale litery skakały mi przed oczyma i nie mogłem nic zrozumieć. Dałem więc za wygraną i spojrzałem przez okno na monotony krajobraz, umykający w szarych plamach. Wydawało się, że ktoś pokręcił gałką ostrości w złym kierunku i cały obraz został wypaczony – do cna pozbawiony koloru, przepływał rozchwiany w szaleńczym pędzie. Świat wymykający się spod kontroli.

Tak to się zaczęło, pomyślałem, przypominając sobie pełną pasji przemowę Simona w samochodzie w nocy przed jego zniknięciem. Być może Simon był bardziej wrażliwy niż sądziłem. On to czuł – czuł niepokój w duszy. Ja wówczas nic takiego nie czułem. Ale teraz było inaczej – ogarniał mnie niepokój, a jeśli nie niepokój, to lęk.

Broniąc się przed niespokojnymi myślami, zamknąłem oczy i zasnąłem.

Pociąg przybył do Edynburga punktualnie. Odebraliśmy bagaże i wyszliśmy na peron. Było zimno. W powietrzu czuło się spaliny i hamburgery.

Powędrowaliśmy schodami ku handlowemu pasażowi nad peronem Waverly Station i zaczęliśmy przepychać się przez tłumy robiących zakupy, posępnych ludzi. Zauważyłem w sklepach migotanie świątecznych dekoracji i pomyślałem, że powinienem wysłać kartki jeszcze przed świątecznym tłokiem. O tej porze roku życzenia potrzebowały trzech tygodni na dotarcie do Stanów.

Na ostatnie Święta Bożego Narodzenia Simon zaprosił mnie do siebie, ale potem w ostatniej chwili odwołał zaproszenie, ponieważ zwała im się ciotka Tootie z zimnicą, jego siostra z narzeczonym pojechała na Ibizę, matka ofiarowała się wystawić w wiosce pantomimę, a do tego służba dostała w święta wolne i nastrój rodzinny prysł. Tak więc skończyło się na tym, że spędziłem deszczowe święta samotnie w swym pokoju. Myśl o tym znów napełniła mnie smutkiem.

Nettles przywołał taksówkę. Zamek edynburski, zimny i niedostępny na wysokiej skale,

majaczył nad nami, niesamowicie oświetlony na tle ciemnego, wieczornego nieba. Wpakowaliśmy się do taksówki i profesor podał kierowcy adres znanego sobie pensjonatu.

–Niedrogi, ale czysty. I jedzenie dobre. Spodoba ci się – obiecał.

Mnie było jednak zupełnie obojętne, jakie to miejsce było – mogło być brudne, kosztować majątek, z jedzeniem podawanym przez karaluchy ludzkiego wzrostu. W ogóle o to nie dbałem. Byłem zmęczony i srodze zgnębiony tymi wszystkimi irytującymi myślami, którymi Nettles nabił mi głowę. Pragnąłem jedynie wczłgać się do łóżka i zapomnieć o wszystkim.

Taksówka zatrzymała się przed wąskim domem, wchodzącym w skład szerokiego łuku Tarasu Carltona. Neon nad drzwiami układał się w słowa “Caledon Hause”. Napis w oknie informował, że to był pensjonat, prywatny hotel – w tym określeniu zawsze wyczuwałem sprzeczność.

Wysiedliśmy z samochodu i stanęliśmy na chodniku przed pensjonatem.

–Tak. Dokładnie taki, jak go zapamiętałem. Wejdzmy – powiedział. – Pani Dalrymple nas oczekuje.

Zawahałem się.

–Nettles? – zapytałem. – A co będzie dalej?

–Kolacja, mam nadzieję. Jestem wykończony – odparł. – Mógłbym zjeść tura.

To miło, że przynajmniej jednemu z nas pozostało poczucie humoru.

–Nie chodzi mi o kolację – powiedziałem nieco rozdrażniony.

–Najpierw się zameldujemy – powiedział profesor, zacierając ochoczo ręce. – Potem pojedziemy do Serba.

Serb? Czy to jakaś restauracja?

–Czy to jakaś restauracja? – dopytywałem się.

Staliśmy w dzielnicy magazynów przed ceglanyim budynkiem bez okien. Na surowych murach nie było żadnego napisu, plakietki Egon Ronay czy naklejki VISA, które wskazywałyby, że to jest jakiś zakład żywienia zbiorowego. To już świadczyło samo za siebie. Samotna żarówka płonęła pod zardzewiałym kloszem nad zniszczonymi drewnianymi drzwiami. Gałka u drzwi była mosiężna, poczerniała ze starości i długiego używania. Na framudze był wymalowany na biało numer siedemdziesiąt siedem, jedna siódemka nad drugą.

–Jesteś pewny, że to właściwy adres? – zapytałem, spoglądając w ciemną ulicę w ślad za

niknącymi światłami taksówki.

–Tak, to tutaj – odparł Nettles, choć niezbyt pewnie, jak mi się wydało. Zapukał do drzwi i czekaliśmy.

–Nie sądzę, aby tam ktoś był, profesorze – zauważyłem. – Może powinniśmy pójść gdzie indziej.

–Ależ jesteś niecierpliwy. Odpręż się – poradził profesor. – To ci się spodoba, Lewis. Potrzeba ci tego.

Ponownie uderzył w drzwi, tym razem otwartą dłonią. Gdzieś zamiauczał kot, chwytając w pazury swą długo tropioną kolację. Słyszałem pisk opon samochodów pędzących na pobliskim przejeździe w kierunku Porth Bridge, ukrytego gdzieś w ciemnej oddali. Czekaliśmy. Było zimno i robiło się coraz zimniej. Będziemy musieli wkrótce coś zrobić, w przeciwnym razie zasną i zamarną na śmierć na progu tego magazynu. Miałem właśnie zamiar zaproponować, abyśmy przenieśli się gdzie indziej, gdy usłyszałem za drzwiami lekkie chrobotanie.

Uchyliły się ze skrzypieniem. Błyszczące, ciemne oko przyglądało nam się przez chwilę, po czym drzwi otworzyły się i pochylił się nad nami brodaty olbrzym, wykrzykując:

–Profesor!

Cofnąłem się szybko, wyrzucając przed siebie ręce. Ale ten ogromny mężczyzna dopadł biednego profesora i zamknął go w miażdżącym uścisku. Profesor coś krzyknął, a olbrzym mu odpowiedział. Potem począł obcałowywać Nettlesa po policzkach. Na to wszystko przydałaby się policja, ale czy ona jest kiedykolwiek, gdy jej potrzebujesz?

Olbrzym uwolnił Nettlesa, ale, ku memu zdumieniu, profesor wcale nie był poturbowany. Odwrócił się do mnie, poprawił płaszcz i uśmiechnął się.

–Chodź, Lewis, przedstawię cię naszemu gospodarzowi!

Przysunąłem się ostrożnie bliżej. Olbrzym walnął się pięścią w szeroką pierś i powiedział:

–Jestem Deimos! Jak się masz? – Wyciągnął ku mnie potężną dłoń.

–Miło mi cię spotkać, Deimos – rzuciłem od niechcena, patrząc, jak moja ręka znika w jego dłoni. Deimos miał z siedem stóp wzrostu i był masywny niczym traktor volvo. Całą dolną część twarzy przesłaniała mu gęsta, czarna broda, spływająca falami na szyję. Ubrany był w staromodny kombinezon farmerski i flanelową koszulę w kratę, której dwa górne guziki pozostawały nie dopięte. Bujna strzecha połyskliwie czarnych włosów była spleciona na karku w grubo warkocz. Oczy błyszczały mu wesoło, a on sam uśmiechał się szczerze i gościnnie.

Nie zadowolili się uściśnięciem dłoni. Porwał mnie i przycisnął do siebie, niczym niewidzianego od urodzenia syna. Czuję, jak w jego powitalnym uścisku trzeszcza mi łopatki. Ale przynajmniej nie obcałowywał mnie jak profesora. Uznałem, że mam szczęście, uniknąwszy poważniejszej kontuzji.

Nettles i olbrzym ucięli krótką pogawędkę. Ich mowa bardzo przypominała jakiś obcy język. Potem w jednej chwili zniknęliśmy we wnętrzu, po prostu zagarnięci potężnymi ramionami Deimosa.

Wnętrze budynku pasowało do olbrzymiego mieszkańca. Był to pusty magazyn. Nieoświetlony, w zasadzie nieumeblowany i z tego, co zdążyłem zauważyć, nieogrzewany. Prawdę powiedziawszy, pomieszczenie pozbawione było wszelkich wygód. Deimos wziął świecę ze stolika przy drzwiach i poprowadził nas wąskim chodnikiem w kwiatowe wzory. Utkwiłem wzrok w przestrzeni przed sobą. W blasku świec ujrzałem osobiwe zbiorowisko sprzętów, zgromadzonych na środku pustej przestrzeni.

Gdy podeszliśmy bliżej, zbiorowisko gratów okazało się długim stołem z ławami po obu stronach i dwoma mniejszymi stołami z krzesłami wokół nich. Za stołami wisiał perski dywan, udrapowany na koślawej ramie niczym gobelin. Dywan formował ścianę, a kilka ażurowych drewnianych parawanów tworzyło ścianki działowe. Z sufitu zwisał na drutach ogromnych rozmiarów olejny obraz, przedstawiający bunt jakobinów. Jedna ze ścian działowych ozdobiona była wypchanym łbem łosia, a inna podróbką średniowiecznej tarczy, zrobionej z pomalowanej sprayem cynkowej blachy. W pobliżu stało dobrze zachowane pianino, a na nim, na honorowym miejscu, duży portret królowej.

Wszędzie były kwiaty. Kwiaty w koszach, kwiaty w dzbanach, kwiaty w wazach, słojach i garach, kwiaty cięte i doniczkowe, fontanny kwiatów, kaskady kwiatów w każdym wolnym miejscu. Pośród kwiatów wypatrzyłem czterech ludzi, którzy właśnie jedli przy długim stole. Spoglądali na nas ukradkiem, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Nasz ogromny gospodarz posadził nas przy drugim końcu długiego stołu, dobre dziesięć jardów od innych gości.

–Trzymałem je dla was – powiedział, jakby zarezerwował specjalnie dla nas najlepsze miejsca. – Proszę, siadajcie. – Jego głos dudnił w pustej przestrzeni, niczym głos bóstwa z Olimpu. Usiadłem na ławie po jednej stronie stołu, a Nettles usiadł naprzeciwko mnie. Deimos ustawił pomiędzy nami wazę z kwiatami, po czym zniknął, głośno mrucząc.

–To fascynujące miejsce – powiedział Nettles, odsuwając na bok wazę. – Absolutnie unikalne.

–Taak – powiedziałem, rozglądając się wokół. – Całkiem nastrojowo. Jak je znalazłeś?

–Przyjaciel mnie wprowadził. Trzeba być wprowadzonym – można powiedzieć wtajemniczonym. – Uśmiechnął się zagadkowo.

Deimos wyłonił się z mroku z glinianym dzbanem i dwoma szklankami z cienkiego szkła. Postawił szklanki przed nami i nalał do nich pianistego, czerwonego płynu. Wino? Pierwszy łyk potwierdził moje podejrzenia.

Profesor Nettleton uniósł szklankę.

–Sláinte! – zarechotał.

Na co ja odparłem: – Cheers!

Nie bardzo znam się na winach, ale to w mojej szklance miało owocowy smak i zapach z ostrą nutką cynamonu. Ten płyn o głębokiej barwie wywołał uczucie mrowienia na języku. Czulem, jak po ciele rozchodzi się jego ciepło.

–Nieźle – przyznałem. – A gdzie menu?

–Deimos poda nam to, co, jego zdaniem, sprawi nam przyjemność – wyjaśnił Nettles. – W znacznej mierze jest to uzależnione od tego, co udało mu się dziś znaleźć na rynku.

Jakby w odpowiedzi na uwagę profesora pojawił się nasz olbrzymi kelner z dwoma dużymi miedzianymi misami w dłoniach. Jedna z mis zawierała zielonkawą papkę, po powierzchni której pływała papryka i oliwa, a w drugiej było coś zawiniętego w ściereczkę.

–Bulakki! – oznajmił i odszedł.

Nettles odwinął ściereczkę i odstłonił kopiec ciepłych, chlebowych placuszków z żytniej mąki. Wyciągnął jeden z nich, oderwał kawałek dla siebie i podał mi resztę. Potem zanurzył chleb w misce i zaczerpnął nim sporą porcję oleistej papki. Następnie wsunął to sobie do ust, przymknął oczy i przeżuł.

–Jadło bogów – oznajmił z zachwytem. – Spróbuj, Lewis.

Nabrałem odrobinę papki na koniuszek chleba i spróbowałem – rzeczywiście, było bardzo smaczne. Przynajmniej nie umrzemy z głodu. Chlebek również był smaczny – drożdżowy, maślany, o lekko gąbczastej strukturze, która przywodziła na myśl oproszone mąką dziewczęta, zagniatające ciasto w dzieżach i podśpiewujące przy tym wesole piosenki.

Odrywaliśmy chleb, nurzaliśmy chleb i jedliśmy chleb, popijając dobrym, ciemnym winem i poczuliśmy rozczarowanie, gdy spod bulakki poczęło wynurzać się dno misy. Ta przykrość nie trwała jednak długo, gdyż w najbardziej odpowiednim momencie pojawił się Deimos z półmiskiem sałatki.

Pomyślałem, że to sałatka, ale równie dobrze mogła to być kolejna kwiatowa kompozycja.

–Będziemy to jeść czy podziwiać?

–Jedno i drugie – odparł Nettles, sięgając po garść dojrzałych oliwek. – Nie masz pojęcia, jak tęskniłem za tym miejscem. Minęły całe lata, odkąd tu byłem. Po prostu musiałem tu znowu przyjść.

Profesor zabrał się z ochotą za jedzenie. Wydawał pełne podziwu westchnienia nad oliwkami i karczochami. Nad marynowanymi buraczkami i gotowaną pszenicą trząśł się bez opamiętania.

Nettles rozkoszował się tak bardzo, że sam jego widok przyprawiał mnie o śmiech. A może było tak z powodu wina? W każdym razie było to miłe uczucie. Od dawna już się tak nie śmiałem. Od bardzo dawna.

Pośród tej wesołości pojawił się kolejny raz Deimos, przynosząc dwa ciężkie, miedziane półmiski – po jednym w każdej ręce. Postawił je przed nami z prawdziwą dumą.

–Jedzcie, przyjaciele! – polecił. – Jedzcie i niech wam smakuje! Smacznego!

Na półmisku z mięsem był kurczak i chyba duży kawał kaczki. Z pewnością też prosięcia – a może koźliny. Nie wiem, jak wygląda pieczona koza, więc równie dobrze mogła to być koza. A może baranina. I były ptaszki! Gotowane w całości ptaszki – razem z cieniutkimi nóżkami i sterczącymi dzióbkami. Były również kawałki jakichś innych mięs, ale nie wiem jakich. Pomiędzy tymi różnorodnymi porcjami mięsa były miseczki z sosami i miksturami: kremowymi, słodkawymi balsamami, palącymi płynami osmalającymi włoski w nosie; ziołowymi pastami i kojącymi aromatycznymi mieszankami. Proces poznawania zawartości tacy zmienił się w kulinarną przygodę.

Półmisek z warzywami był równie tajemniczy. Były na nim sterty ziemniaków i góry ryżu – to były jedyne znane mi warzywa, ale nawet i one były gotowane w przyprawionym ostro bulionie, który nadał im zupełnie niespodziewanego smaku. Centralne miejsce zajmowały jakieś bulwy, chyba gotowane w nektarze, bo należały do najśłodszych rzeczy, jakie kiedykolwiek miałem w ustach. Było tam również kilka miseczek z miksturami, które wyglądały i smakowały jak curry, każda pikantna i aromatyczna, ale różna od innych i osobliwa na swój sposób. A wszystko było nadzwyczajnie smaczne.

Jedliśmy, rozmawialiśmy i piliśmy, i jedliśmy, i rozmawialiśmy, wypełniając przepastne, ciemne sanktuarium magazynu naszym zapałem i przyjaźnią. Za sprawą braku talerzy i sztućców nasz posiłek stał się jeszcze bardziej bezceremonialny, obfity, bardziej wesoły i beztroski. Jedliśmy wprost z półmisków rękoma, oblizując palce niczym niegrzeczni chłopcy. Profesor Nettleton pokazał mi, której ręki używać, jak prawidłowo układać palce, i choć przez jeden wieczór czułem się jak sułtan o egzotycznych manierach.

W końcu – zbyt szybko – Deimos pojawił się, aby posprzątać resztki ze stołu. Przyniósł tacę z migdałowymi ciasteczkami i ogromną misę pomarańczy. Przyniósł również dzban z oleistym, czarnym, wrzącym płynem, który, według jego słów, był kawą. Obieraliśmy

pomarańcze i popijaliśmy kawę z malutkich porcelanowych czarek, niewiele większych od naparstków. Niestety, czułem, jak przyjemne pijackie upojenie ulatuje ze mnie pod wpływem tej mocnej kawy.

Spojrzałem na drugi koniec stołu i zauważyłem, że tamtych biesiadników już nie ma. Nie przypominałem sobie ich odejścia. Wszystko jedno, i tak byliśmy przy stole sami. Gdy Deimos przyszedł ponownie napełnić nam czarki kawą, profesor nakłonił go, aby z nami usiadł. Olbrzym przyniósł sobie krzesło i ujął czarkę – pomiędzy ogromny kciuk i palec wskazujący – i zaczął popijać kawę malutkimi łyżkami.

–Deimos – powiedział Nettles – twoje jedzenie, jak zawsze, jest godne królów – albo i samych bogów! Nie pamiętam, abym kiedyś bardziej rozkoszował się jakimś posiłkiem.

–To było fantastyczne – dodałem, z rozmarzeniem podnosząc cząstkę pomarańczy do ust.
– Obym nigdy więcej nie jadł, jeśli to nie było wspaniałe. A te pomarańcze są przepyszne!

Deimos, zachęcony naszymi pochwałami, wzniosł kawą toast:

–Za wasze zdrowie, przyjaciele! Życie należy do tych, którzy kochają, a tam gdzie miłość rządzi, człowiek jest prawdziwym królem!

Dziwny toast, ale spełniłem go z ochotą. Potem Deimos i profesor powspominali sobie stare czasy; początki przyjaźni. Po dopełnieniu tego rytuału nasz gospodarz zapytał:

–Czemu przyszliście do mnie dzisiejszego wieczoru?

–Jesteśmy wędrowcami w podróży, Deimos. Potrzebowaliśmy pożywienia dla naszych ciał i dusz – odpowiedział radośnie Nettles. – Obie nasze potrzeby wspaniale zaspokoiliście.

Deimos skinął z zakłopotaniem głową, tak jakby doskonale rozumiał wszystkie potrzeby ciała i ducha podróżników.

–Szczęściem dla mnie jest wam służyć – powiedział cichym i uroczystym głosem.

A potem nasz dziwny, cudowny wieczór dobiegł końca. Wstaliśmy, życzyliśmy sobie dobrej nocy i przy blasku świecy zostaliśmy poprowadzeni do wyjścia. Deimos przytrzymał drzwi, położył swe ciężkie, ogromne ręce na naszych głowach i pobłogosławił nas, gdy go mijaliśmy.

–Niech was Bóg prowadzi w waszej wędrówce, przyjaciele wędrowcy. Niech was aniołowie wiedą, a żywi modlą się za wasz powrót. Pokój! Dobranoc.

Wyszliśmy w noc. Przez chwilę staliśmy skuleni pod lampą. Właśnie zamierzaliśmy odejść i poszukać taksówki, gdy wyblakłe drzwi otworzyły się ponownie. Deimos wychylił głowę i wyciągnął rękę z białą, papierową torbą.

–Proszę – powiedział do mnie. – To dla ciebie.

Przyjąłem torbę i otworzyłem ją.

–Dzięki – powiedziałem po prostu. – Dzięki.

Nasz genialny olbrzym kiwnął głową i szybko schował się do środka.

–Pomarańcze – powiedziałem Nettlesowi, sięgając do torby po jasną kulkę, aby mu pokazać. – On dał mi pomarańcze – powiedziałem nieco zakłopotany tą osobliwą hojnością.

– Cóż to za nadzwyczajne miejsce. – Wsunąłem torbę pod pachę i ruszyłem w ślad za Nettlesem. – Przyprowadziłeś mnie tutaj celowo, prawda?

–Pomyślałem, że przyda ci się trochę rozrywki.

–Nie to miałem na myśli – rzekłem. – O co ci naprawdę chodziło?

–Pożywienie, Lewis.

–Pożywienie przed podróżą – o to chodzi?

Lecz profesor uśmiechnął się tylko i idąc, mruknął coś pod nosem. Poszedłem za nim, zbyt objedzony i senny, aby robić cokolwiek innego, niż pozwolić stopom nieść mnie tam, dokąd chciały. Kiedy tak szliśmy smoliście ciemną ulicą, spojrzałem w niebo i ujrzałem mrowie gwiazd, niesamowicie jasnych w czystym, zimnym powietrzu. Ten widok niemal zaparł mi dech w piersiach. Czy kiedykolwiek widziałem tak jaskrawe, pełne życia niebo?

11. Przejście

otarcie do Carnwood Farm było nużące, ale niekłopotliwe. Okazało się, że można było dojechać pociągiem z Edynburga do Inverness i z Inverness do Nairn, a potem autobusem z Nairn do Mills of Airdrie. Stamtąd mogliśmy już pieszo dojść do kamiennego kurhanu. Była czwarta po południu i już się ściemniało, gdy dotarliśmy do Nairn nad Zatoką Moreny.

Noc spędziliśmy w wynajętym pokoju z widokiem na rozległą, piaszczystą plażę. Po krzepiącym śniadaniu składającym się z wędzonych śledzi, owsianki, jajecznicy, ciasteczek owsianych i kawy, podanym przez naszą pulchną gospodynię, wybraliśmy się na przystanek autobusowy. Dziesięć po jedenastej wtoczył się brunatny autobus; wsiedliśmy do niego i ruszyliśmy do Mills of Airdrie. Kierowca wysadził nas przy drodze do Carnwood Farm; zostaliśmy pod wyblakłym drogowskazem, a autobus potoczył się dalej.

Szliśmy przez okolicę urodzajnych pól, przyprószonych naniesionym przez wiatr śniegiem. Dzień był zimny i mglisty, od północy wiał rzeński wiatr. Wymarzony dzień, by siedzieć w domu przy kominku. Niewiele rozmawialiśmy. Profesor był zajęty własnymi myślami, więc nie przeszkadzałem mu.

Chłodna cisza odbierała mi odwagę. Miałem wrażenie, że chodzimy po tej posępnej krainie niczym intruzi. Gęsta szkocka mgła sprawiała, że wszystko wydawało się rozmyte i nieziemskie, a my z każdym krokiem zagłębialiśmy się bardziej w to obce miejsce.

Wkrótce droga zaczęła biec w dół. Zeszliśmy nią do małej dolinki, do kamiennego mostu na wijącej się wśród pól rzece Findhorn. Przeszliśmy przez most i weszliśmy do puszczy Darnaway. W lesie panowała cisza. Drzewa były pogrążone w zimowym śnie.

Carnwood Farm wyglądała dokładnie tak samo, jak ostatnim razem. Zbita gromadka zabudowań, pola, porośnięta mchem sterta kamieni obok domu – wszystko dokładnie tak, jak poprzednio. Jednakże wydawało się, że tym razem atmosfera pustki i opuszczenia, którą poprzednio wyczułem, jeszcze bardziej przylgnęła do tego miejsca. W tej spokojnej i odludnej części świata cisza była niemal przytłaczająca – jak fizyczna siła trzymająca ziemię w swym uścisku, dławiąc wszelki dźwięk. Nawet z tej odległości mogłem stwierdzić, że Grantów nie było w domu.

Nettles upierał się, aby na wszelki wypadek zapukać do drzwi. Nikt jednak nie odpowiedział; Robert i Morag byli gdzie indziej. Ruszyliśmy więc w kierunku cairn, podążając biegnącą pomiędzy wzgórzami, poźłobioną koleinami, wiejską drogą. Podobnie jak poprzednio, nie spotkaliśmy nikogo na drodze – dopóki nie dotarliśmy do bramy wiodącej na pole i do kotlinki, w której znajdowała się cairn. Tam, gdzie kiedyś Simon zaparkował swój samochód, stał szary mikrobus z inicjałami SMA i jakimś znakiem.

Na widok mikrobusu profesor stanął jak wryty.

–Co jest? O co chodzi? – zapytałem.

Nettles odwrócił się i spojrzał w kierunku kotlinki:

–Czy tam jest kurhan?

–Tak – powiedziałem. – Jest właśnie tam, gdzie widzisz czubki tych drzew. – Wskazałem na linie wierzchołków drzew ledwie wystających ponad szerokie zbocze wzgórza. – Chcesz...

–Słuchaj! – uciął Nettles.

–Co? Niczego nie słyszę.

–Szybko! Nie mogą nas zobaczyć!

–Niczego nie słyszę – zaprotestowałem. – Jesteś pewny?

–Pospiesz się! – Nettles pobiegł z powrotem drogą ku niewielkiemu wzniesieniu porośniętemu drzewami. Niechętnie pobiegłem za nim. Kucnąłem obok profesora,

wyglądającego na drogę zza dużego jesionu.

Skuliłem się obok niego, wytrzymałem słuch i uznałem, że byliśmy zbyt płochliwi. Miałem to właśnie powiedzieć, gdy usłyszałem ciche buczenie silnika samochodu i chrzęst opon na żwirowej drodze. Wstałem i spojrzałem na drogę poniżej nas. Profesor chwycił mnie za nadgarstek i pociągnął z całej siły.

–Schowaj się! – warknął. – Nie pozwól, aby cię zobaczyli!

Osunąłem się obok niego.

–Czemu się kryjemy?

Warkot jadącego samochodu robił się coraz głośniejszy, a potem ujrzeliśmy na drodze w dole, nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od nas, zwyczajny, szary mikrobus z tym samym znakiem wymalowanym na biało po obu stronach: wyobrażenie Ziemi z rozchodzącymi się od niej kręgami, podobnymi falom lub wibracjom. Pod znakiem widniały litery SMA.

–Schyl się! – warknął profesor, gdy drugi mikrobus zatrzymał się obok pierwszego.

Z pojazdu wysiadło dwóch mężczyzn. Przeszli przez bramę i ruszyli polami ku kotlinie. Obserwowaliśmy ich, dopóki nie zniknęli nam z oczu.

–No to sobie poszli. Co teraz? – zapytałem.

Nettles pokręcił posępnie głową.

–Niedobrze.

–Dlaczego? Kim oni są?

–Od wielu lat różne grupy starły się wybadać tajemnice cairn i kamiennych kręgów, usiłując utworować sobie przejście do tamtego świata. Ludzie, których widzieliśmy, należą do jednej z takich grup, bardzo niebezpiecznej: Stowarzyszenia Metafizycznych Archeologów.

–Żartujesz chyba. – Roześmiałbym się, gdyby Nettles nie był taki poważny. – Metafizyczni archeologowie, tak powiedziałaś?

–To naukowcy, choć może to za dużo powiedziane – w większości są to ludzie znający podstawy badań naukowych i posiadający biegłość w sprawach technicznych. Spotykałem ich czasami w różnych miejscach, gdzie prowadzili swe “badania”. Daliby wszystko, aby dowiedzieć się tego, co wiemy, i mam podstawy, aby sądzić, że nie cofną się przed niczym dla zdobycia tej wiedzy.

–Nie mówisz chyba poważnie.

–Absolutnie poważnie! – krzyknął profesor. – Musimy dobrze się nad wszystkim zastanowić. Nie możemy sobie pozwolić na błędy w tych okolicznościach. Masz ochotę na czekoladę? – Sięgnął do przepastnej kieszeni, wyciągnął tabliczkę mlecznej czekolady cadbury, rozpakował i podał mi.

–Myślisz, że oni wiedzą o kurhanie? – zapytałem, odłamując kawałek czekolady i wpychając go sobie do ust.

–Powinniśmy chyba założyć, że tak.

–A może oni nic nie wiedzą? Może po prostu rozglądają się. Tak, na pewno się tylko rozglądają – oświadczyłem, usiłując przekonać samego siebie. – W każdym razie i tak musimy zejść tam i zapytać, czy nie widzieli śladów Simona.

–Masz oczywiście rację.

Wstałem i zszedłem na drogę. Obeszliśmy mikrobusy, kierując się do bramy, i mieliśmy właśnie ruszyć polami ku kotlinie, gdy Nettles wpadł na lepszy pomysł.

–Chodźmy inną drogą.

–Jaką inną drogą?

Profesor wskazał na zarys parowu, którym spływał do kotlinki strumień, w niewielkiej odległości od drogi.

–Możemy iść jego brzegiem.

Po około mili droga nurkowała na spotkanie kotlinki. Znaleźliśmy biegnącą brzegiem strumienia owczą ścieżkę i ruszyliśmy z powrotem w kierunku cairn. Niemal natychmiast szlak wszedł w gęsty las. Był ciemny i cichy, przy każdym kroku rozlegał się głośny trzask – pomyślałem, że hałasujemy, niczym stado bawołów przedzierające się przez chaszczę. Owcza ścieżka zniknęła w mrocznej gęstwinie lasu i wkrótce mieliśmy pełne ręce roboty, odginając niskie gałęzie i odsuwając wyższe, aby nie wykoliły nam oczu.

Przedzieraliśmy się, przystając co kilka minut i nasłuchując – sam nie wiem czego. Wtedy usłyszałem kruki. Początkowo słychać je było słabo, ale przy każdym postoju wydawało się, że ich przybywa i że są coraz głośniejsze. Sądząc po hałasie, zbierały się w lesie na noc. Wkrótce zewsząd dobiegały nas ich ochryple krakania i skrzeki, choć nie widziałem ani jednego ptaka. Szliśmy dalej, robiło się coraz chłodniej, niebo ciemniało.

Carnwood Cairn wznosiła się na środku kotlinki. Wyglądała równie niepozornie jak poprzednio: niezdarna kupa ziemi i omszałych kamieni, niemal bezkształtna w słabym świetle. Omiotłem ją pobieżnie wzrokiem. Tym, co natychmiast przykuło moją uwagę, nie był sam kurhan, ale kruk: duży, czarny, z groźnie rozłożonymi skrzydłami, z ostrym

rozdziawionym dziobem, łypiący na nas okiem z niskiej gałęzi. Musiałem siłą powstrzymać się przed podniesieniem kija dla własnej obrony.

Zajęty krukiem, początkowo nie zauważyłem obozowiska w drugim końcu kotlinki. Nettles trącił mnie łokciem i spojrzałem we wskazanym przez niego kierunku. Ujrzałem duży namiot otoczony sprzętem, który okazał się narzędziami do wykopalisk. Była tam cała masa powbijanych w ziemię drewnianych tyczek z plastikowymi flagami, kratownica przykrywająca płytki wykop oczyszczony ze śniegu i wierzchniej warstwy ziemi, łopaty i kilofy. Na maszcie przed namiotem wisiała błękitna flaga z napisem "Stowarzyszenie Metafizycznych Archeologów" i białym emblematem z promieniującym ziemskim globem.

Dwóch mężczyzn w kombinezonach khaki zajętych było pracą przy kratownicy, jeden siedział na składanym krzeselku z dużym szkicownikiem, a drugi na kolanach skrobał coś szpachelką. Byli odwróceny plecami i z powodu niezziemskiego wrzasku kruków nie słyszeli naszego nadejścia.

–Co teraz? – zapytałem cicho.

–Chcę obejrzeć ten kurhan.

Spojrzałem na tamtych ludzi. Coś mi mówiło, że nie pozwolą nam, czy komukolwiek innemu, zbliżyć się do cairn.

–Nie sądzę, aby to było łatwe – mruknąłem.

–Nie – przyznał Nettles, mrużąc w mroku oczy. – Ale przebyliśmy taki kawał drogi.

W Szkocji o tej porze roku zmierzch zapada wcześniej. Zegar wskazywał ledwie wczesne popołudnie, a słońce już chyliło się ku zachodowi. Wkrótce nastanie czas-pomiędzy-czasem. Świadomość tego nappełniła mnie posępnym niepokojem. Serce zaczęło mi łomotać w piersi. W żołądku mnie skręcało.

Profesor wyszedł na otwarty teren kotlinki.

–Co zamierzasz zrobić? – Mój głos przypominał charczenie kruków, które obsiadły drzewa wokół nas.

–Hej! – zawołał Nettles, wychodząc śmiało na polankę. – Hej, tam!

Patrzyłem, jak śmiało kroczył prosto ku mężczyznom, potem zebrałem resztki odwagi i poszedłem za nim.

–Hej, hej! – zawołał, wymachując przyjaźnie rękoma, niczym cieszący się ze spotkania ekscentryk.

Głowy obu mężczyzn odwróciły się równocześnie, a oczy automatycznie powędrowały ku źródłu niespodziewanego dźwięku. Pomimo uprzejmych pozdrowień Nettlesa, żaden z nich nie uśmiechnął się. Ich twarze pozostały bez wyrazu.

Razem z Nettlesem podeszliśmy do wykopaliska. Mężczyzna odłożył szkicownik i wstał. Otworzył usta, ale profesor nie pozwolił mu wymówić słowa.

–A to dobre – paplał Nettles – nie spodziewałem się zastać tu kogoś o tak późnej porze roku.

Mężczyzna ponownie wziął oddech, aby przemówić, ale profesor szturmował dalej.

–Niech mi wolno będzie przedstawić się – powiedział. – Jestem doktor Nettleton, a to mój młodszy kolega, pan Gillies. – Położył mi dłoń na ramieniu, gdy stanąłem obok niego.

–Miło mi panów poznać – powiedziałem.

–Mówiłem właśnie obecnemu tu przyjacielowi – ciągnął Nettles – iż mam nadzieję, że nie przybyliśmy zbyt późno. Widzę jednak, że nie. Prawdę mówiąc, myślę, że przyszliśmy akurat na czas. Pewnie niedługo będziecie się pakować i...

–Czego tu chcecie? – zapytał opryskliwie mężczyzna ze szkicownikiem. Kruki krakały głośno w wierzchołkach drzew, szamocząc się między gałęziami, niczym targane wichrem szmaty.

–Czego chcemy? – odparł profesor, ignorując opryskliwość mężczyzny. – Oczywiście przyszliśmy obejrzeć to miejsce.

–To miejsce jest zamknięte – oznajmił mężczyzna. – Będziecie musieli stąd odejść.

–Zamknięte? Chyba nie bardzo rozumiem. – Nettles spojrzał na mnie z wyraźnym zakłopotaniem.

–To teren prywatnych wykopalisk – odparł mężczyzna. – Zamknięty dla ogółu.

–Dla ogółu! – powiedział Nettles z lekkim wyrzutem. – Mogę cię zapewnić, dobry człowieku, że my nie należymy do ogółu.

–To miejsce interesuje nas szczególnie – dodałem, czując, jak pod pachami robi mi się mokro.

–Może nie dosłyszeliście – powiedział drugi z mężczyzn, wycelowując swą szpachelkę w ziemię. – To zamknięte wykopaliska. Nie macie pozwolenia na przebywanie tutaj. Będziecie musieli odejść.

–Ale my przybyliśmy z bardzo daleka – zaprotestował profesor.

–Przykro mi – powiedział pierwszy z mężczyzn. Było mu równie przykro, jak szykującemu się do skoku wężowi. – Lepiej stąd odejdźcie. – Spojrzał ku swemu koledze, który odrzucił szpachelkę i ruszył w naszym kierunku.

Wtedy zza poły namiotu wysunęła się głowa.

–Hej! – Wszyscy czworo odwróciliśmy się na widok wysokiego, dystyngowanego mężczyzny ze starannie przyciętą siwą brodą. W odróżnieniu od pozostałych dwu, miał na sobie długi ciemny płaszcz i kalosze. – Andrzeju – powiedział, przechodząc szybko przez narzędzia i sprzęty porzucane wokół wykopaliska – czemu nie powiedziałaś mi, że mamy gości? – A do Nettlesa i do mnie powiedział: – Jestem Nevil Weston, szef tego przedsięwzięcia. Miło mi panów poznać.

–Mnie również, jak sądzę, miło pana poznać, panie Weston – odparł profesor, dając do zrozumienia, że jest lekko poirytowany tym, jak traktowano nas dotychczas. – Jestem doktor Nettleton, a to mój kolega, pan Gillies – oznajmił. – Nie mieliśmy zamiaru panom przeszkadzać, ale, jak właśnie mówiłem pańskiemu przyjacielowi, przyjechaliśmy z bardzo daleka, aby zobaczyć to miejsce. Widzi pan, my szczególnie interesujemy się historią tej okolicy.

–Dobrze to rozumiem – odparł Weston. Kiwnął głową do swoich ludzi. – Dziękuję wam, Andrzeju i Edwardzie. Ja się tym zajmę. – Uśmiechnął się do nas, ale temu uśmiechowi brakowało prawdziwego ciepła. – Chodzi tylko o to, że to przedsięwzięcie jest sponsorowane z prywatnych funduszy, więc przykro nam, ale nie możemy wpuszczać gości, którzy nie posiadają na to stosownego pozwolenia. Niestety, to zarządzenie rady nadzorczej. To nie leży w mojej gestii.

Mówiąc to Weston wszedł pomiędzy nas, zawrócił nas i począł delikatnie odprowadzać od cairn. To było zręczne posunięcie, ale Nettles nie dał się zwieść. Stał jak słup.

–Och, doskonale wiem, jak to jest, może mi pan wierzyć. Nie śmielibyśmy przeszkadzać. – Odwrócił się ku cairn. – Ale przyjechaliśmy aż z Oksfordu.

–Tak – zgodził się uprzejmie Weston. – Jestem pewny, że coś wymyślimy. Może zechcieliby panowie zadzwonić jutro. Robi się już późno; wkrótce zamkniemy wykopaliska.

Nettles zrobił krok w kierunku cairn i wyciągnął rękę, jakby przyzywał ją na pomoc.

–To zupełnie nie wchodzi w grę – powiedział. – Nie wiedzieliśmy, że kogoś tu zastaniemy. Poczyniliśmy już inne plany.

–Przykro mi – odpowiedział zdecydowanym tonem Weston, błyskając znowu swym pustym uśmiechem. Widziałem, że jego cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

–On ma rację, profesorze. Robi się późno – powiedziałem, wtrącając się raptownie. –

Może powinniśmy odejść.

Nettles westchnął ciężko; ramiona mu opadły.

–Tak, chyba masz rację – powiedział, ale nie ruszył się.

–A może nie miałby pan nic przeciwko temu – powiedziałem do Westona – abyśmy rozejrzeli się wokół cairn przed odejściem? To zajęłoby jedynie minutkę. – Starłem się, aby moja prośba zabrzmiała na tyle rozsądnie, by nie można było mi odmówić. – Mamy przed sobą długą podróż tej nocy. To zajęłoby jedynie chwilę, a dla nas znaczyłoby tak wiele.

Już widziałem jak usta Westona układają się do odmowy. Bez względu na to, kim byli owi metafizyczni archeologowie, z całą pewnością mieli twarde serca i wrogie nastawienie. Wszystko razem nie wróżyło nic dobrego. Zanim Weston zdążył odpowiedzieć, wyciągnąłem swą atutową kartę. – W ten sposób – wyjaśniałem Nettlesowi na użytek Westona – nie musielibyśmy zawracać tym głowy Robertowi i Morag.

Nettles, dzięki Bogu, chwycił w lot.

–Tak – zgodził się szybko – jestem pewny, że Grantowie woleliby raczej nie być zamieszani w nasze błahe problemy. Pan Grant jest bardzo zajęтым człowiekiem. Lepiej nie zawracać mu głowy bez potrzeby.

Widziałem, że Weston ważył ryzyko, jakie pociągnęłaby za sobą jego odmowa. Zawahał się, a ja postanowiłem dobić targu.

–Szybko ją obejdziemy i zabierzemy się stąd. Co pan na to?

–No dobrze – powiedział. – Naprawdę nie powinienem na to pozwolić. Ale ponieważ korzystamy z gościnności Grantów, zdecydowanie wolałbym im nie przeszkadzać.

–Absolutnie się z panem zgadzam – odparł profesor uszczęśliwionym tonem. – Chodź, Lewis, obejrzymy sobie szybko cairn, nim odejdziemy – mówiąc to już oddalał się od Westona.

Podeszliśmy szybko do kurhanu. Nasze nadejście wywołało straszliwe poruszenie w drzewach nad nami. Spojrzałem tam i ujrzałem dziesiątki... setki kruków gromadzących się w koronach pobliskich drzew. Przeszył mnie dreszcz grozy na widok ich czarnych kształtów na tle stalowego nieba. Ptaki podniosły niesamowity hałas, skakały z gałęzi na gałąź, przeskakiwały z drzewa na drzewo, skrzecząc, wrzeszcząc, nawołując.

Gdy zbliżyliśmy się do podstawy cairn, Nettles przyciągnął mnie bliżej.

–Nie zwracaj na nie uwagi – powiedział; nie wiedziałem, czy miał na myśli kruki czy ludzi. Kroczyłem w ślad za nim wokół kurhanu po nierównym, zarośniętym gruncie. Weston

obserwował nas z ramionami skrzyżowanymi na piersi i bolesnym wyrazem twarzy. Gdy tylko zniknęliśmy Westonowi z oczu, Nettles powiedział:

–Mówiłeś, że co zostawiłeś dla Simona?

–Kartę kredytową – odparłem. – Zostawiłem mu jego Barclaycard – wsunąłem ją w szczelinę przy wejściu.

–Musimy spróbować ją odzyskać – powiedział. – Oni nie mogą jej znaleźć.

Okrążyliśmy cairn i ponownie ujrzeliśmy namiot i wykopaliska. Dwaj mężczyźni nie poruszyli się. Obserwowali nas. Weston stał tam, gdzie go zostawiliśmy, czekając, aż skończymy naszą wędrówkę wokół cairn. Gdy podeszliśmy bliżej, Nettles zaczął głośno rozprawiać:

–Widzisz, Lewis, to zupełnie typowe dla kurhanów z tego okresu. Kamienie nie są zdobione; muszą pochodzić z pobliskiej kotliny – wykorzystywali wszystko, co mieli pod ręką...

Skinęliśmy głowami zasępionemu Westonowi i dalej prowadziliśmy nasze oględziny przy wtórze ochrypłych, chóralnych narzekań kruków. Miałem uszy pełne ich okropnych wrzasków. Spojrzałem w górę pomiędzy gałęzie drzew i niemal przewróciłem się z wrażenia: skrzeczące kruki obsiadły każdą gałązkę, gałąź i konar każdego drzewa w kotlinie. Kruków było tak wiele, że wzbudzały lęk. Mnóstwo ptaków! Trzepocących i podskakujących na gałęziach. Pełne drzewa kruków. Rozeźlonych kruków!

–O co chodzi tym krukami? – zastanawiałem się.

–To strażnicy przedsiönka – odparł profesor.

–Mówiłeś, że człowiek z psami był strażnikiem.

–Jest wielu strażników. Ich celem jest zniechęcenie niegodnych. Jeśli nie będziesz na nie zwracać uwagi, to nic ci nie zrobią; okaż przed nimi strach, a rozerwą cię na strzępy. – Oczy Nettlesa przesunęły się po ścianie cairn. – No, to gdzie jest to wejście? Nie zauważyłeś go?

–Nie... musieliśmy je ominąć. To dziwne...

Kontynuując nasz obchód, znowu znaleźliśmy się przed obozem. Dwaj mężczyźni dołączyli do Westona i stali teraz we trójkę, naradzając się i obserwując nas. Nettles udał, że coś mi wskazuje, wymachując dziko rękoma.

–Nie patrz na nich – powiedział cicho. – Nie widzę tego opisanego przez ciebie wejścia.

–Ja również. Ale było tu. Przysięgam.

–Rozejrzymy się jeszcze raz.

Szliśmy kolejny raz wokół cairn. Kruki trzepotały skrzydłami i wrzeszczały, podnosząc przerażający hałas. Dziesiątki z nich krążyły nad kurhanem, powietrze było czarne od skrzydeł. Z przestrachem spoglądałem w niebo, gdy pospiesznie obchodziliśmy podstawę cairn. W rezultacie tego ponownie przegapiłem wejście. Dziwne.

–Musi tu być – upierałem się. – Simon wszedł – ja wszedłem!

Ramię przy ramieniu doszliśmy do miejsca, gdzie czekali na nas tamci trzej.

–Wystarczy. Dosyć już – powiedział Weston, robiąc krok do przodu. A gdy nie zwolniliśmy kroku, zawołał: – Hej tam! Wystarczy już. Dość tego! Stójcie!

–Szukaj dalej – polecił Nettles. – Zajmę ich tak długo, jak tylko będę mógł. – Szedł obok mnie jeszcze kilka kroków. Poczulem jego rękę na ramieniu. – Powodzenia, Lewis.

Potem profesor zatrzymał się. Obejrzałem się szybko i dostrzegłem, że Weston spieszy ku niemu. Nettles podniósł rękę gestem pożegnania, po czym odwrócił się, aby stawić czoło Westonowi. Po chwili zniknęli za ścianą cairn.

Puściłem się pędem po nierównym gruncie, szukając na ścianie wejścia, które jakimś sposobem ponownie przegapiiliśmy. Uszy miałem pełne wrzasku kruków, które poderwały się z nagich gałęzi i zapełniły niebo nade mną. Kruki! Oczywiście, pomyślałem, to kruki rozpraszały mnie, usiłując przeszkodzić w znalezieniu wejścia.

Pędziłem dalej, ślizgając się na wilgotnej trawie porastającej podstawę cairn, wypatrując w przesuwanym się obok mnie kurhanie ciemnego otworu, w którym zniknął Simon. Okropne ptasie wrzaski przepelniały powietrze. Jeśli przysunę się o krok bliżej do cairn, ptaki zaatakują. Spadną i wydziobią mi oczy. Rozszarpią mnie na krwawe strzępy swymi ostrymi pazurami.

Znowu obszedłem całą cairn i znalazłem się na wprost obozowiska. Zobaczyłem, jak Weston i jego ludzie otaczali profesora Nettletona. Andrzej trzymał rękę na ramieniu Nettlesa i próbował odprowadzić go na bok. Nettles, wymachując dziko rękoma i strofując otaczających go mężczyzn, robił co mógł, aby odwrócić ich uwagę ode mnie. Spuściłem głowę i pobiegłem dalej.

Gdy się z nimi zrównałem, Weston dostrzegł mnie. Ale ja ponownie znikam mu właśnie z oczu za ścianą cairn.

–Zatrzymać go! – krzyknął. Jego głos zabrzmiał w ciszy niczym wystrzał z pistoletu. Andrzej puścił ramię profesora i razem ze swym kolegą skoczyli w ślad za mną.

Biegłem dalej, myśląc jedynie o tym, aby utrzymać dzielący nas dystans. Trafiłem jednak nogą na kamień, przewróciłem się i rozciągnąłem jak długi na wilgotnej darni. Kruki natychmiast przy mnie były. Spadały z nieba niczym czarne, furkoczące bomby. Sfrunęły ku

mnie, bijąc skrzydłami, kłapiąc błyszczącymi, czarnymi dziobami niczym nożycami. Zarzuciłem ręce na głowę, aby osłonić twarz. Wiłem się wśród wysokiej trawy, usiłując wstać.

“Nie zwracaj na nie uwagi”, powiedział Nettles. Dużym wysiłkiem woli opuściłem ręce i odepchnąłem się od ziemi. Wielkie, gniewne ptaszyska podniosły morderczy wrzask, spadając w szaleńczym ataku, ale ja oderwałem oczy od przesłoniętego krukami nieba i spojrzałem na ścianę cairn. Słyszałem łopot i uderzenia ich skrzydeł wokół siebie, ale nawet piórko mnie nie musnęło.

Dzięki ci, Nettles, pomyślałem. To skutkuje!

Ledwie ta myśl przebiegła mi przez głowę, gdy usłyszałem obok siebie cichy zgrzyt – dźwięk kamienia ocierającego się o kamień. Nie miałem czasu, aby zastanawiać się, co to mogło być. Spojrzałem na ścianę przed sobą i ujrzałem wejście. Nie mam pojęcia, jak mogłem przegapić je poprzednio, ale oto było – mniejsze niż pamiętałem i na wpół ukryte w niewysokich zaroślach – mały kwadratowy otwór u podstawy budowli.

Nie namyślając się, ani nie oglądając się za siebie, rzuciłem się do otworu, pozbywając się plecaka i odgarniając rękoma chaszczę. Tutaj! Dostrzegłem błysk niebieskiego plastyku – Barclaycard! Dokładnie tu, gdzie ją zostawiłem. Sięgnąłem po nią, a w tej samej chwili usłyszałem za sobą tupot stóp – i głośne przekleństwa, gdy kruki skierowały swój atak na mych prześladowców. Ciemne wejście stało przede mną otworem. Czuję zatęchły zapach wnętrza kurhanu. Przełknąłem ślinę i rzuciłem się do środka. Uderzyłem się w głowę i wpadłem w głębokie ciemności cairn. Gwiazdy zatańczyły mi przed oczami. Zacisnąłem oczy z bólu i osunąłem się po kamiennej ścianie, rozcierając guza, który już zaczął rosnąć mi na skroni.

Gdy otworzyłem oczy, nie znajdowałem się już w świecie, który znałem.

12. Raj

dawało się, że cała jedna ściana kurhanu zapadła się; widziałem znajdujące się za nią zbocze wzgórza. W pierwszym odruchu chciałem się ukryć, nim dopadną mnie metafizyczne zbiry.

Wstałem, obejmując głowę, i ruszyłem chwiejnie ku zwałonej ścianie. W chwili, gdy zrobiłem krok do przodu, usłyszałem za sobą nagły hałas. To pewnie moi prześladowcy. Obejrzałem się z lękiem i zobaczyłem, że ściana za mną cofa się w niewytłumaczalny sposób – tak jakbym bardzo szybko odchodził od niej długim, wąskim korytarzem. Poczuję również silny podmuch skłębionych mas powietrza. Jednocześnie zielony stok przede mną stracił wyrazistość i zniknął.

Zatrzymałem się. Chwilę trwało, nim odzyskałem równowagę. W głowie pulsowało mi w takt bolesnego rytmu, jakby ktoś walił po niej cegłą. Każdy wstrząs wywoływał bolesne

kłucie, a przed oczyma wściekle czerwone plamy. Wzięłem głęboki oddech i ostrożnie, z rozważą, wysunąłem jedną nogę. Zrobiłem krok naprzód. Moje ubranie furkotało i marszczyło się w podmuchach powietrza. Z przyprawiającym o mdłości przerażeniem uświadomiłem sobie, że mój pierwszy nieopatrzny krok jakimś sposobem zawiódł mnie na najwęższą z możliwych kładek nad przepastną, niewidoczną otchłanią.

Most pod moimi stopami był cienki niczym ostrze miecza. Czuję, jak stal wrzyna się w podeszwy moich butów. Zachwiałem się niebezpiecznie, walcząc o utrzymanie równowagi na absurdalnie wąskiej kładce. Jeden błędny krok i runę w nieznaną otchłań, z której dobiegały odgłosy ścierania się potężnych mocy – podobne łoskotowi, z jakim zderzały się puste wagony, przetaczane w nocy po torowisku. A jednak, choć każdy nerw i ścięgno we mnie krzyczały: głupiec!, zmusiłem się do zrobienia następnego kroku, w głębi duszy wierząc, że będzie on ostami.

Zakołysałem się niepewnie, przenosząc ciężar ciała do przodu. Nagle porywające podmuchy powietrza ustały. Zapanowała cisza. Chwilę później uświadomiłem sobie, że nie mogę oddychać.

Nie było powietrza. Otwierałem usta, próbując chwycić oddech, ale płuca nie miały co wciągnąć. Usta ułożyły mi się w okrzyk zaskoczenia, ale żaden dźwięk nie rozszedł się w próżni. Zamarłem drżący na moście z ostrza miecza, kręciło mi się w głowie ze strachu. Zachwiałem się niepewnie, ale nie spadłem.

Zmusiłem nogę do przesunięcia się o cal w przód, potem jeszcze o cal. Jedyne ostrze pod moimi stopami wydawało się rzeczywiste. Nie widziałem niczego przed sobą ani wokół siebie. Wszystko było ciemnością – przeszywającą ciemnością i palącą ciszą. A potem zerwała się najstraszliwsza z wichur. Przygnała znikąd, uderzając we mnie z całej siły. Czuję się, jakby powoli obdzierano mnie ze skóry, jakby rozszarpywano na mnie ubranie i odzieraną mnie z ciała do kości.

Jakimś sposobem znalazłem w sobie tyle przytomności umysłu, aby zrobić następny krok i natychmiast tego pożałowałem. Moja stopa nie trafiła na kładkę ostrza, serce zamarło mi i poczułem, że balansuję przed lotem – wyrzuciłem szeroko ramiona, zadarłem głowę, zgiąłem kolana, nogi straciły oparcie...

Spadłem.

Zamiast jednak pokoziołkować w bezdenną próżnię, moje kolana niemal natychmiast uderzyły o stały grunt. Poleciałem do przodu i opadłem w pełnym blasku dnia na miękką ziemię na zewnątrz kurhanu.

Nadal nie mogłem oddychać. Leżałem na brzuchu, niczym wyrzucony na brzeg wieloryb, otwartymi szeroko ustami usiłując chwycić powietrze. Odetchnąć! Odetchnąć! Płucami z wysiłku wstrząsały konwulsje. Zacząłem tracić ostrość wzroku i pomyślałem: To koniec –

umieram.

Podniosłem się na łokciu i przekręciłem na plecy. Ten wysiłek coś we mnie odblokował. Poczulem, jak zimne powietrze wdziera się do płuc. Było przykre i ostre; paliło w płucach niczym ogień, ale nie potrafiłem powstrzymać się przed łapczywym wdychaniem go. Położyłem się na boku dysząc i dławiąc się, kończyny mi drżały, oczy łzawiły, a w palcach mrowiło. Serce waliło mi jak oszalałe, a w jego rytm pulsowało mi w głowie.

Moją pierwszą myślą – przysięgam, nawet po wszystkim, co przeszedłem w ciągu ostatnich kilku chwil – pierwszą myślą, jaka pojawiła mi się w głowie, było: To nie działa. To uderzenie w głowę, pomyślałem, jest odpowiedzialne za te wszystkie dziwne wrażenia. Po prostu straciłem orientację w ciemności i przeszedłem z powrotem przez otwór, który był wejściem do kurhanu. Drzewa, stok, wieczorne niebo – wszystko było takie, jak przedtem.

Nie udało mi się. I teraz te typki z SMA dopadną mnie i odciągną. Na myśl o tym uniosłem głowę i szybko rozejrzałem się wokół. Nikogo nie zobaczyłem. Może jeszcze zdołam uciec. Podniosłem się chwiejnie na nogi, zatoczyłem się i oparłem ręką o ścianę, aby odzyskać równowagę.

W tym momencie doznałem największego szoku. Kurhanu nie było. Na jego miejscu wznosił się ogromny, porośnięty trawą kopiec zwieńczony tylko jednym, poszczerbionym głazem. Za mną ziało ciemną pustką wyłożone kamieniami wejście do kopca. Wydawało się niepodobieństwem, abym mógł przeczołgać się przez ten otwór, ale innej możliwości nie było.

Odwróciłem się, ponownie rozejrzałem po okolicy i dokonałem następnych odkryć. Śnieg zniknął. A drzewa, pomimo całego podobieństwa do lasu otaczającego cairn, nie były tymi samymi drzewami; były wyższe, pełniejsze, ich gałęzie były bardziej kształtne. Wszystko, na co spojrzałem, miało subtelnie zmieniony wygląd. Nawet niebo było jakby jaśniejsze, choć nadal był zmierzch – a może świt?

Niczym śpiący człowiek, który zdaje sobie sprawę z tego, że tylko śni, zrozumiałem, że przeszedłem.

Dobry Boże, i co teraz?

Usiadłem na ziemi i podkuliłem kolana. Przez długi czas kołysałem się w przód i w tył z zamkniętymi oczyma, mając nadzieję, że gdy je otworzę, kurhan znowu będzie, a ja wrócę do miejsca, które opuściłem.

Głowa mnie bolała. W gardle paliło. Czułem się przygnębiony, zagubiony i kompletnie samotny. A gdy tak siedziałem, pielęgnując swe przygnębienie, spostrzegłem, że na zboczu wzgórza zrobiło się bardzo cicho. Nie, nie zrobiło się cicho – cały czas tak było. I nie było po prostu cicho; to znaczy jedynie cicho – jak pod absolutną nieobecność dźwięków – ale bez szmeru, cicho i spokojnie. Słyszałem świat w głębokim, naturalnym spoczynku.

Siedziałem, obejmując kolana, a moje skrajne przygnębienie powoli przechodziło w spokój, jakiego nigdy, przenigdy nie doznałem w świecie, który zostawiłem za sobą.

To był spokój świata, który nie znał mechanicznych urządzeń; w którym nie było samolotów, pociągów czy samochodów; nie było motorów, maszyn; nie było fabryk, hut, biur ani przemysłu; nie było telefonów, radia, telewizji, satelitów, rakiet czy promów kosmicznych; nie było żadnego rodzaju maszynerii.

Nigdy nie znałem tak kompletnego i doskonałego spokoju. W całym swym życiu nie doświadczyłem nawet jednej minuty tak niezmaconego spokoju. Aż do tej chwili, każdej sekundy, każdego dnia podczas całego mego istnienia byłem otoczony przeróżnymi dźwiękami, wytwarzanymi nieustannie przez człowieka.

Nawet we śnie zawsze czułem buczące gdzieś niestrudzenie maszyny – tykające zegary, opony piszczące na ulicy, ryczące syreny, pociągi gwizdzące w oddali, mruczące wentylatory czy piece. Przed laty wspinałem się w Górach Skalistych w południowym Kolorado. Nawet stojąc na zboczu góry, w głębokiej dziczy, słyszałem ryczące nad głową samoloty odrzutowe.

Ale tutaj, w tym miejscu, w tym innym świecie, bezustanny hałas, który tak donośnie obwieszczał szaleńcze dążenia ludzkości, po prostu nie istniał. Wszystko było spokojem i ciszą.

To wydało mi się bardziej zadziwiające, bardziej niewiarygodne niż wszystko, co mi się do tej pory przytrafiło. Wprost nie mogłem uwierzyć, jak ogromnie spokojnie tu było. Niewyobrażalny spokój, niewysłowiona cisza. Niedający się opisać bezruch.

Przemknęło mi przez myśl, że może ogłuchłem – być może w wyniku uderzenia w głowę. Nastawiłem uszu i słuchałem... Nie, szczęśliwie nie byłem głuchy. Słyszałem delikatny wietrzyk muskający gałęzie i dobiegający gdzieś z pobliza cichy świergot ptaków.

Wstałem trochę niepewnie i ruszyłem w dół zbocza. Powietrze, choć chłodne, było przyjemne. Przechodziłem obok wysokich drzew, stąpając po gęstej, młodej trawie, niczym po bezkresnym dywanie. Rosa perliła mi się pod stopami, połyskując szmaragdowe. Miałem wrażenie, że tu jest wiosna, bo drzewa nadal były bez liści. Przystanąłem, aby przyjrzeć się najbliższym gałęziom i dostrzegłem, że puszczały pączki; wkrótce pojawią się na nich kwiaty i liście.

Nim stanąłem u stóp wzgórza, słońce wzniosło się trochę wyżej. A gdy całe wynurzyło się zza wzgórz, padłem na kolana: tak przenikliwy, ostry i jasny był jego blask. Z oczu popłynęły mi łzy i pomyślałem, że oślepnę. Minał jakiś czas, nim znowu zacząłem widzieć – a i wówczas musiałem od czasu do czasu przesłaniać oczy dłonią lub po prostu zatrzymywać się i zamykać je, aby nieco złagodzić kłujący ból, wywołany zbyt jaskrawym światłem.

W czystym blasku poranka przyjrzałem się okolicy. Zamarłem z zachwytu: trawa dosłownie lśniła, tak była zielona. Zielona! – to było bardzo niedoskonałe słowo na określenie tego, co widziałem: błyszczącą cytrynową zieleń, o zapierającej dech czystości.

Niebo było jaśniejsze i przysiągłbym, że bardziej wyraziste, czystsze, bardziej błękitne niż kiedykolwiek widziałem – bardziej przywodzące na myśl pawi błękit i lapis lazuli niż atmosferę. Przez kilka chwil stałem po prostu, wpatrując się w błyszczące niebo, napawając się tym niemożliwym lazurem.

Prawdę powiedziawszy, to, co widziałem, było jaskrawsze i piękniejsze od wszystkiego, co znałem w prawdziwym świecie. Zdawało się świeższe – albo, ujmując to lepiej, nieskazitelne w formie.

U stóp wzgórza natknąłem się na strumień. Przyklęknąłem, zanurzyłem rękę w lodowatej wodzie i podniosłem pełną dłoń do ust. Woda smakowała jak żywa! – czysta, smaczna i ożywcza. Złożyłem obie dłonie, nabrałem w nie wody i łapczywie piłem ów rozkoszny eliksir, dopóki palce nie zdrętwiały mi z zimna.

Powoli wstałem. Otarłem brodę rękawem i rozejrzałem się wokół. Znajdowałem się w kotlinie otoczonej łagodnymi wzgórzami – gdzie “moje wzgórze” z kopcem i stojącym na nim kamieniem było tylko jednym z wielu wzgórz. Pomyślałem o rozpoczęciu wędrówki pełnej odkryć i na samą myśl o tym przeszył mnie dreszcz podniecenia. Świat pełen cudów, nietknięty ręką badacza! Nie mogłem się doczekać.

Ruszyłem brzegiem strumienia. Nie wiem czemu, wydawało mi się to rozsądnym posunięciem. Być może dokądś mnie zaprowadzi – może do jakieś wioski. Czy oni tu, w tym świecie, mieli w ogóle wioski? Nie wiedziałem. Nic nie wiedziałem. Mniej niż nic.

Tamten świat! Co kilka sekund przypominało mi się, gdzie byłem, a świadomość tego wstrząsała mną, jakby moja czaszka była chorągiewką na dachu, w którą uderzał piorun. Jak to było możliwe? Jak to mogło być? Pytałem siebie wciąż na nowo. Kto by w to wierzył? Kto w to uwierzy? Po prostu nie byłem w stanie tego wszystkiego zrozumieć, więc uległem rodzącemu się w zwolnionym tempie zdumieniu. Raz po raz porażało mnie całkowite nieprawdopodobieństwo mojego położenia; zataczałem się oszołomiony od jednego cudu do następnego, do głębi wstrząśnięty tym jawnie niezwykłym, cudownym objawieniem.

Doprawdy, to był raj! Dziewicza kraina, świeża i nie skażona; świat bez skazy, zdrowy, czysty, nie zniszczony za sprawą nienasyconej żądzy niszczenia ludzkiego rodu. Raj! Miałem ochotę wykrzykiwać to słowo ze szczytów wzgórz. Nic w moim poprzednim życiu nie przygotowało mnie na tę... tę przyprawiającą o zawrót głowy harmonię piękna i spokoju, jaśniejącą promiennie, ożywioną wspaniałość. Cudowność tego przytłoczyła mnie, zalała, przygniotła niczym fala przyływu i pozostawiła mnie z trudem łapiącego powietrze. Raj!

Pomimo całego oszołomienia przeszedłem spory kawałek dnem doliny, posuwając się wzdłuż strumienia. Po drodze czyniłem w myślach spis wszystkiego, co widziałem, katalog cudów. Wkrótce też zacząłem porównywać ową listę ze wszystkim, czego dowiedziałem się o tamtym świecie ze starych opowieści i legend, które czytałem w trakcie studiów.

Czyniłem to metodycznie: zwierzęta, warzywa, minerały; ludzie, miejsca, rzeczy. Krok po kroku budowałem obraz tamtego świata z ludowych, celtyckich opowieści. Nie twierdzę, że to był wiemy obraz, w każdym calu kompletny. Po prostu założyłem, że świat, do którego przybyłem, był celtyckim tamtym światem; nie przyszło mi do głowy, że mogłoby być inaczej. Dzięki temu miałem co robić. To zajęcie na dłuższy czas pochłonęło mą uwagę. Musiało tak być, bo gdy znowu zatrzymałem się i rozejrzałem wokół, zobaczyłem, że strumyk rozlał się nieco, stał się płytki i kamienisty. Kotlinka poszerzała się, przechodząc w rozległą łąkę, pomiędzy dwoma porośniętymi trawą stokami wzgórz.

Słońce miałem teraz prosto nad głową. Strumień płynął dalej łąką, aby po dalszych kilkuset jardach skręcić na zachód. Wzgórza po obu stronach były szerokie i krągłe; nie było na nich drzew ani krzaków. Przyszło mi na myśl, aby wspiąć się na najbliższe z nich i rozejrzeć się po okolicy. Może z wierzchołka dojrzę coś, czego nie mogłem dostrzec z doliny. Czyż nie tak właśnie postępowali odkrywcy?

Odszedłem od strumienia i ruszyłem długim stokiem. Gdy odwróciłem się, zauważyłem plamkę ciemnej chmurki na niebie. Przystanąłem. To nie była chmurka – to był dym. Czarny dym z ognia. A tam gdzie był ogień, byli ludzie: osada. Bardzo prawdopodobne, że będę ją mógł zobaczyć z wierzchołka wzgórza.

Nim pomyślałem, nogi same zaczęły biec. Nie dobiegłem jednak zbyt daleko, gdy usłyszałem dziwny, niepokojący dźwięk – rytmiczne walenie, bębnienie, miarowe i uporczywe. Zdawało się, że ów dźwięk dobiegał z ziemi pod moimi stopami. Przypominał przewalającą się burzę lub odgłosy wydawane przez zwalane na ziemię kłody.

Ponownie zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Tętnienie stawało się głośniejsze, pulsowało w ziemi, bębniąc i bębniąc. Usiłowałem domyślić się, co mogło wydawać takie dźwięki. Konie? Ale musiałyby pędzić tabunem – cóż to musiałyby być za osobliwa galopada. Te zwierzaki musiałyby tańczyć!

Czarny dym wił się po niebie, niesiony nad szczytami wzgórz łagodnymi podmuchami wiatru. Teraz było go więcej. Stałem bez ruchu: wsłuchiwałem się w dziwne, dobywające się z ziemi dudnienie, obserwowałem tajemniczy dym.

Wtem coś dostrzegłem. Czytałem o tym jedynie w starożytnych tekstach: nagłe pojawienie się lasu młodych jesionów. Na szczycie wzgórza, nie wiedzieć jak, wyrosły drzewa!

To obrazowe, choć trafne określenie było jedynie poetyckim eufemizmem. Dobrze wiedziałem, co to było.

Nim zdążyłem pomyśleć, pojawili się sami wojownicy. To właśnie ich bojowe bębny i tupot stóp sprawiły, że dudniła ziemia i powietrze. Dym na niebie pochodził z głowni płonących w ich rękach.

Ustawili się rzędem na szczycie wzgórza. Musiała ich być setka lub więcej. Niektórzy dzierżyli ogromne, podłużne tarcze i miecze, inni płonące pochodnie i włócznie, niektórzy dosiadali koni, inni szli pieszo, a jeszcze inni jechali na rydwanach. Większość z nich była niemal naga. Wspięli się na szczyt i stanęli.

Pomyślałem sobie, że przyszli po mnie. Pomyślałem, że chcieli mnie dostać. Oto byłem, obcy w obcym kraju, zagubiony, bezbronny. Jak mógłbym walczyć z tak dużą armią? Ale skąd oni wiedzieli, że tu byłem?

Stałem nieruchomo, daremnie usiłując znaleźć wyjście z tej absurdalnej sytuacji, gdy rozległ się przeraźliwy ryk – jakby naraz zaczęły ryczeć tysiące wściekłych byków. Przeszywające, żądne krwi wołanie rogu; przewracające wnętrzności i wydmuchujące ze słuchającego wszystkie myśli. BWLERWMMM! BWLERWMMM! BWLERWMMM! BWLERWMMM!

Okropny wrzask ogłuszał i bił w mózg; skręcał nerwy, czyniąc je równie bezużytecznymi jak rozmokły powróż. Przycisnąłem dłonie do uszu i rozglądałem się po szczycie wzgórza, szukając źródła tego fenomenalnego hałasu.

Wypatrzyłem dwudziestu mężczyzn trzymających przy ustach ogromne, zakręcone rogi; to te potężne instrumenty wydawały tak ogłuszające dźwięki. Wówczas domyśliłem się, czym były: legendarnymi rogami bojowymi Banshee. Beahn Sidhe, mieszkańcy tamtego świata, posiadali rzekomo trąby bojowe o tak straszliwej mocy, że ich dźwięk potrafił obracać wrogów w kamień. Teraz zrozumiałem, że nie były to tylko czcze przechwałki. Ja sam w tej chwili czułem się jak wrośnięty w ziemię ze śmiertelnego przerażenia. Moje nogi były ciężkie i pozbawione czucia niczym betonowe słupy.

To nieziemskie wycie trwało jeszcze kilka chwil, po czym dołączył do niego szczeł i łomot włócznie i mieczy uderzających o skraj tarcz. Wszyscy wojownicy zaczęli walić bronią. A cały czas bębny nie przestawały miarowo bić. Wrzawa wypełniła powietrze, wypełniła dolinę. Wydawało się, że wzgórza tego niegdyś spokojnego świata otrząsają się z brudów.

Harmider sięgnął rozdzierającej czaszkę kakofonii, po czym zgasł.

Echo długo jeszcze niosło się doliną; rozbrzmiewało pomiędzy nagimi wzgórzami niczym zwiastun końca świata. Wojownicy tkwili na okolicznych wzgórzach z nienaturalnym spokojem. Potem unieśli broń i z potężnym okrzykiem pognali w dół, wprost ku mnie.

To stało się tak szybko, że zatoczyłem się w tył z przerażenia i zsunąłem się w dół zbocza. Leżałem rozciągnięty na trawie, niczym krab gramolący się po gładkich kamieniach do zimnego strumienia.

Wojownicy pędzili z krzykiem, miecze i włócznie błyskały, głównie płonęły, bębny dudniły, bojowe rogi grzmiąły. Nadal byli jeszcze zbyt daleko, abym mógł dojrzeć ich twarze, ale widziałem, że ciała mieli pomalowane w jaskrawoniebieskie wzory na sposób dawnych celtyckich wojowników – którymi poniekąd byli.

Zaświtała mi w głowie nedorzeczna myśl: może mógłbym się ukryć. Rozglądałem się przerażony. Nadzieja umarła, nim zdążyła okrzepnąć. Żaden z kamieni nie okazał się wystarczająco duży, aby mnie zasłonić. Będę musiał ratować się ucieczką. Poderwałem się na nogi i rzuciłem na drugą stronę strumienia, kierując się ku przeciwległemu zbocz. Moim jedynym ratunkiem było prześcignięcie pościgu.

Ku swojemu zdumieniu biegłem nie do wiary szybko. Moje nogi wydawały się dłuższe, krok szybszy i pewniejszy niż kiedykolwiek. Szybowałem nad ziemią, ledwie dotykając gruntu nogami. Wiatr smagał mi twarz, włosy powiewały, leciałem! Wtem zatrzymałem się. Ze zbocza naprzeciwko, wprost ku mnie, gnał całym pędem drugi szereg wojowników – w każdym calu przypominający pierwszy. Oni również, podobnie jak tamci za mną, zbliżali się z oszałamiającą prędkością. Złapany pomiędzy dwie nadciągające szybko armie, niczym mucha pomiędzy klaszczące dłonie, zawróciłem i rzuciłem się z powrotem ku strumieniowi, gdzie bez tchu przypadłem do ziemi na skraju wody. Nie było ucieczki.

Pierwsi wojownicy byli już prawie przy mnie. Widziałem ich surowe, męskie twarze. Biła z nich szlachetność, dzielność, odwaga i godność. Jasnoocy, z mocnymi szczękami, męscy, silni i dumni, byli żywym wcieleniem chłopięcych marzeń o wspaniałej męskości: ucieleśnienie bohaterstwa.

To, że zamierzali mnie zabić, zdawało się przy tym błahostką. Dobry Boże, ależ oni byli przystojni!

Szeregi szybko zbliżały się do siebie. Zobaczyłem błysk ich śmiałych oczu, pot na muskularnych kończynach. Ujrzałem zęby błyszczące bielą, ciemne warkocze. Usłyszałem bojowe okrzyki, a gdy skoczyli ku mnie, skuliłem się jeszcze bardziej, tuląc się do kamieni i pragnąc pod nimi zniknąć.

Udało się. Nie widzieli mnie. Najbliższy wojownik po dotarciu do miejsca, w którym przycupnąłem, tuląc głowę i modląc się, aby jak najmniej wystawała ponad ramiona, rzucił się na drugi brzeg strumienia, po prostu przeskakując nade mną, nie rzuciwszy nawet w moją stronę okiem.

Pozostali uczestnicy bitwy również ignorowali moją obecność. Przeskakiwali przez strumień i gnali na spotkanie oddziału z przeciwległego wzgórza. Dopiero wówczas uświadomiłem sobie, że to nie ja byłem obiektem ich ataku.

Jednakże owa świadomość nie przyniosła z sobą spodziewanej ulgi. Całą otuchę szybko pochłonął strach, że i tak zostanę zabity, tyle że przypadkowo. Śmierć z powodu

niepomysłnego zbiegu okoliczności nadal pozostawała śmiercią.

Szeregi zwały się. Powietrzem wstrząsnął odgłos tego spotkania: włącznie uderzały o tarcze, miecze waliły w hełmy, żelazo cięło ciało, rogi bojowe ryczały, słychać było wrzaski, walenie w bębny – wszystko to z przerażającym, ogłuszającym szczękiem. Myślałem, że popękają mi bębny w uszach.

Siła pierwszego zwarcia rozbiła szeregi wojowników. Niektórzy natychmiast padli, aby już nigdy się nie podnieść. Jednakże większość rzuciła się do walki i rozpoczęła się mordercza bitwa. Krew pryskała na równi ze śliną. Konie stawały dęba i wyrzucały kopytami w niebo grudy ziemi. Mężczyźni walczyli, rąbiąc zaciekle wstrętnymi, zakrwawionymi ostrzami.

Nie mogłem na to patrzeć! Nie mogłem powstrzymać się, aby nie patrzeć! Kulilem się na skraju wody, oczy miałem szeroko otwarte i skamlałem z przerażenia, gdy któryś z wojowników padał martwy z rozplataną czaszką lub poderżniętym gardłem. Uskakiwałem to w tę, to w tamtą stronę, usiłując schodzić im z drogi. W miarę rozwoju bitwy stawało się to jednak coraz trudniejsze, zwarty szyk zmienił się w płataninę walczących ludzi. Walczono wszędzie wokół mnie. Całą swoją uwagę skupiłem na tym, aby nie dać się zdeptać koniom lub ugodzić zabłąkanej włóczni, nie wspominając już o przygnieceniu przez padające ciała.

Przyszło mi na myśl, że powinienem zdobyć tarczę, za którą mógłbym się ukryć, i zacząłem przeszukiwać wzrokiem pobliskie zbocze. Dostrzegłem kilka, leżących w trawie obok ciał swych właścicieli, którzy ich już nie potrzebowali. Podbiegłem do najbliższej z nich i spróbowałem ją podnieść. Martwy mężczyzna nadal zaciskał dłoń na uchwycie tarczy.

Przyklęknąłem przy ciele i z zapamiętaniem szarpałem za brzeg tarczy. Nagle poczułem na swym ramieniu ciężką dłoń.

Krzyknąłem. Poczulem szarpnięcie w tył. Nade mną, na tle błękitnego nieba, kołysała się włócznia. Wyrzuciłem ręce, aby zasłonić się przed ciosem i zacząłem kopać swego napastnika. Wiłem się i wykręcałem, wrzeszczałem. Wtem, ku memu absolutnemu zdumieniu usłyszałem, że ktoś krzyczy:

–Lewis! Przestań!

Spojrzałem. Pochylona nade mną twarz była dziwnie znajoma.

–S... Simon? – wyjąkałem niepewnie. – Simon, to ty?

13. Chrzest krwią

o był Simon, nagi, pomalowany jak wszyscy pozostali, z długimi, wspaniałymi wąsami.

–Tak, to ja, Simon! – syknął. – Przestań kopać! Usiłuję ci pomóc!

Przestałem się rzucać i usiadłem.

–Simon! Znalazłem cię! Co ty tu robisz? Jak... Simon schwycił mnie za ramię i poderwał na nogi.

–Wstawaj!

–Simon, wynośmy się stąd. Musimy...

Simon stanął nad ciałem martwego wojownika i wyrwał mu z ręki miecz, po czym podał mi go.

–Masz, weź to.

–Nie wiem, jak go używać. – Wyciągnąłem miecz, żeby mu go oddać.

–Nauczysz się. – Simon począł zdierać ze mnie ubranie. – Pozbądź się tej koszuli.

–Jej! Co...

–Lepiej, żeby cię w tym nie widziano – oświadczył zwięźle.

Niechętnie zacząłem odpinać guziki koszuli.

–Simon, naprawdę cieszę się, że cię znalazłem.

–Prędeż! – Simon przebiegł wzrokiem po walczących. Jego grupa górowała już chyba nad przeciwnikami, a bitwa toczyła się już poza nami. Najciężej walczone wysoko na wzgórzu.

Uznałem to za wspaniałą okazję do wyniknięcia się.

–Słuchaj, musimy stąd zwiewać. Możemy...

–Zdejmij to! – warknął Simon, zrywając ze mnie koszulę. – Tego też się pozbądź. – Schwycił mnie za rękę i szarpnięciem zerwał zegarek. Potem odwrócił się i cisnął go do strumienia.

–Chwileczkę! Nie możesz... – Zegarek błysnął w powietrzu i zniknął pomiędzy kamieniami i wodą.

–Za mną! – zawołał i podnosząc włócznię, rzucił się ponownie do walki.

Z niechęcią podniosłem miecz i znowu bez powodzenia spróbowałem wyrwać tarczę z ręki martwego wojownika.

–Pospiesz się! – krzyknął Simon. – Trzymaj się mnie!

Pospieszylem za nim bez tarczy, klnąc przy każdym kroku.

To szaleństwo! – krzyknąłem, ale Simon nie usłyszał mnie poprzez bitewny zgiełk. – Idiotyizm!

Dał mi znak włócznią, abym szedł za nim, odwrócił się i rzucił w wir walki. Niemal natychmiast zagroził mu drogę potężny wojownik z okrągłą, pomalowaną na białą tarczą. Tarcza była obryzgana krwią, bardziej czerwona teraz niż biała. W dłoni miał poszczerbiony miecz. Wojownik natarł na Simona, wymachując mieczem i wydając wojenne okrzyki.

Simon nie wahał się, skoczył, by odeprzeć atak, grubszym końcem włóczni z całej siły dźgnął tamtego w pachwinę. Drgnąłem. Wojownik zatoczył się w tył, machnięciem miecza odciął koniec włóczni Simona.

–Uciekaj! – krzyknąłem.

Ale Simon nie miał zamiaru uciekać. Natarł na zataczającego się wroga, wymachując gwałtownie włócznią przed poplamioną krwią tarczą. Nawet poprzez bitewną wrzawę usłyszałem uderzenie. Tarcza poszybowała na bok. Tym samym płynnym ruchem Simon odwrócił włócznię i wbił jej cienkie ostrze o kształcie liścia głęboko w nagą pierś mężczyzny. Krew popłynęła z rany purpurowym strumieniem. Pomalowany wojownik padł martwy na ziemię, z ustami otwartymi w niemym krzyku.

Poczułem zawrót głowy, przed oczyma pojawiły mi się ciemne plamy, chwiejnie podszedłem do Simona.

–Chciał cię zabić – wymamrotałem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. – Czy on nie żyje?

Simon, zamiast odpowiedzi, wyszarpnął swemu martwemu przeciwnikowi miecz z dłoni. Postawił nogę na piersi wojownika, ujął miecz w obie dłonie, zamachnął się solidnie, a potem ciął, szybko, ze znanstwem. Usłyszałem chrzęst rąbanego ciała i głowa martwego wojownika potoczyła się po trawie.

Wrzasnąłem i odskoczyłem.

–Simon!

Simon podniósł odrąbaną głowę i odwrócił się, wznosząc wysoko swe przerażające trofeum. Gapilem się na niego całkowicie osłupiały. Simon odchylił głowę w tył i roześmiał się.

–Masz – zawołał do mnie. – Przydaj się na coś!

Mówiąc to, rzucił do mnie głowę. Uderzyła o ziemię ze wstrętnym plaśnięciem i potoczyła się ku mnie po zboczu wzgórza, bryzgając krwią z odciętej szyi. Zatrzymała się u moich

stóp, a ja patrzyłem na nią z odrazą, przełykając gorzką ślinę, która nagle zebrała mi się w ustach.

–Podnieś ją! – krzyknął Simon. – Chodźmy!

Z trudem oderwałem wzrok od pustych oczu martwego człowieka.

–Co?

–Ruszaj się – warknął ze zniecierpliwieniem Simon. – Podnieś ją! Ruszajmy!

Spojrzałem na głowę i znowu na Simona.

–Nie mogę... Po prostu...

–Podnieś to cholerstwo! – warknął opryskliwie. – Natychmiast!

Schyliłem się i złapałem pełną garść włosów. Głowa była ciepła, a włosy mokre od potu. Zrobiło mi się słabo. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Myślałem, że zwymiotuję; żołądek podszedł mi do gardła, a kolana zrobiły się jak z waty. Stałem z tą ohydną nagrodą w dłoni. Wstrząsały mną mdłości, kręciło mi się w głowie i chwiałem się na nogach ze strachu i odrazy.

Simon pobiegł, by ponownie włączyć się do walki, ale bitwa już się skończyła. Pokonani uciekali za wzgórze, a zwycięzcy – armia, którą spotkałem najpierw – rzucali włócznie i głośnie obelgi w ślad za pospiesznie wycofującymi się wrogami. Zbocze zasłane było poległymi z obu oddziałów, niczym mnóstwem pobielających na słońcu otoczków. Poskręcane i pokrzywione ciała, z powykręcanyimi członkami, leżały pod niewiarygodnie błękitnym niebem, na najzieleńszej trawie, jaką kiedykolwiek widziałem.

Patrzyłem odrętwiały na pobojuwisko. Wtem doleciało mnie ochryple krakanie. Spojrzałem do góry. Nadciągały padlinożerne ptaszyska. Zlatywały się na ponurą i upiorną biesiadę. Duży kruk wylądował na bezgłowym ciele zabitego przez Simona wojownika. Z głośnym krakaniem ptaszysko wbiło głęboko czarny dziób w krwawiącą ranę na piersi i wyrwało strzęp ciała. Kruk zadarł lśniący czarny łeb i przełknął mięso.

Musiałem odwrócić oczy. Chwiejnym krokiem ruszyłem za Simonem, nie patrząc na pobojuwisko.

Simon dołączył do pozostałych wojowników, wznoszących dzikie okrzyki zwycięstwa. Niektórzy skakali w powietrze i wymachiwali włóczniami, ku widocznemu zachwytowi swych towarzyszy, którzy pokładali się ze śmiechu. Simon śmiał się wraz z nimi.

Radosna wrzawa ucichła wraz z przybyciem dwóch młodzieńców na koniach: jeden wyglądał na wojownika, a drugi na jakiegoś doradcę. Wojownik ubrany był w spodnie w

zielono-złotą kratę i luźną, czerwoną koszulę z połyskliwego, podobnego atlasowi materiału. Na szyi miał srebrny torques. Zza szerokiego pasa ze srebrnych płytek sterczała mu rękojeść złotego sztyletu, w dłoni dźwżył włócznię o srebrnym ostrzu. On również pysznił się ogromnymi, krzaczastymi wąsami. Jego włosy – długie, brązowe loki – połyskiwały w słońcu. Drugi z młodzieńców miał na sobie skromniejsze odzienie: brązową koszulę i spodnie ze zwykłego materiału oraz zwyczajny, skórzany pas. Nie nosił ozdób ani broni. Jego jedyną ozdobą był karmazynowy płaszcz, zebrany na jednym ramieniu ogromną, srebrną broszą. Ciemne włosy miał zaczesane gładko do tyłu i zebrane razem.

Obaj mężczyźni byli wysocy, pełni swobody i wdzięku młodości. Poruszali się z władcym opanowaniem, jakie potrafiłem sobie wyobrazić jedynie u rzymskich cesarów: potężni i łaskawi, dodający otuchy i wzbudzający jednocześnie strach. Na każdym z europejskich dworów królewskich czuliby się jak u siebie. Nawet ich konie wydawały się obdarzone większą gracją, siłą i urodą niż którykolwiek z koni czystej krwi w naszym świecie.

Z chwilą ich pojawienia się ucichły okrzyki, skończono popisy. Rozległ się pełen aprobaty okrzyk – jak sądzę, powitanie wodza. Zakradłem się koło Simona.

–To król, prawda? – szepnąłem.

–Nie. To ksiązę – mruknął. – Cicho bądź.

–Jaki ksiązę?

–Ksiązę Meldron – powiedział poirytowany Simon. – Meldron ap Meldryn Mawr. Ten obok niego to Ruadh – ksiązęcy bard.

–Aha.

Ksiązę zatrzymał się pośród zebranych wojowników i zsiadł z konia przy ogólnym aplauzie. Można by pomyśleć, że to on samodzielnie wygrał bitwę, choć o ile wiedziałem, nie ruszył nawet palcem. Meldron promieniał na widok podnieconych zwycięstwem ludzi; wojownicy zaczęli krzyczeć, ścisnąć się, skakać jeden na drugiego i poklepywać po plecach. To mi przypominało świętowanie zwycięstwa w szatni po zdobyciu mistrzostwa w piłce nożnej. Brakowało jedynie szampana, którym by się polewali.

Radosna wrzawa trwała jeszcze kilka chwil, po czym ucichła, choć nie zauważyłem, żeby ktoś dał jakiś znak. Ksiązę rzucił kilka krótkich rozkazów i wszyscy zabrali się do pracy. Swych poległych towarzyszy z szacunkiem znosili nad strumień i układali na brzegu. Potem ciała obłożono kamieniami, z których szybko, ale starannie wzniesiono kopiec.

Poległych wrogów zostawiono tam, gdzie padli. Ale wszystkie zwłoki pozbawiono głów, które zostały ułożone w piramidę, niczym dojrzałe główki kapusty. Potem zebrano broń i ozdoby – bransolety, torquesy, brosze. Ułożono je na osobnej stercie, obok odciętych głów.

Simon pracował wraz z innymi i przez jakiś czas byłem pozostawiony samemu sobie. Wówczas to właśnie po raz pierwszy zauważono moją obecność na polu bitwy. Jeden z wojowników szukających łupów na zboczu wzgórza zauważył, że nie przyłączyłem się do pozostałych i ciągle stałem, trzymając głowę zabitego przez Simona człowieka. Muskularny wojownik podszedł do mnie i zaczął mi się uważnie przyglądać.

Nie wiedząc, co zrobić, wyciągnąłem w jego stronę głowę. Wojownik zachował się tak, jakbym naruszył zasady dobrego wychowania. Wykrzywił w grymasie usta i wyszczerzył zęby. Zawołał coś do barda, który odwróciwszy się, ujrzał mnie, podszedł i także zaczął mi się przyglądać.

Bard przemówił głosem, który brzmiał delikatnie i gardłowo zarazem. Nie rozumiałem tego języka, ale uświadomiłem sobie, że zetknąłem się już z nim poprzednio – a przynajmniej z jego odmianą. W formie i brzmieniu zdawał się przypominać współczesny walijski.

Stałem, uśmiechając się jak głupek. Nadal trzymałem głowę. Bard odwrócił się gwałtownie i zawołał księcia, który natychmiast do nas zszedł. Wraz z nim zbliżyło się kilku wojowników i po chwili znalazłem się w otoczeniu nagich, pomalowanych na niebiesko potężnych mężczyzn – a żaden z nich nie wyglądał na szczególnie ucieszonego moim widokiem. Sam książę spoglądał na mnie surowo.

Meldron, podobnie jak poprzednio jego bard, przemówił do mnie po staroceltycku. Odpowiedziałem w swym własnym języku, co wywołało małą sensację – wojownicy szeptali między sobą w podnieceniu, pokazując na moje spodnie i buty. Kilku wyciągnęło rękę, aby dotknąć ostrożnie mej nagiej skóry. Gapili się na mnie i na trzymaną przeze mnie głowę, jakby nie mogli uwierzyć własnym oczom.

W ciżbie wokół mnie pojawił się Simon i pospieszył mi na ratunek. Stał obok mnie i położył mi dłoń na ramieniu; wskazał na mnie i na krwawiącą głowę w mojej garści – szwargocząc cały czas w ich dziwnym języku. Byłem zdumiony jego biegłością. To był ten sam Simon, którego językowe umiejętności ograniczały się do listy win na francuskim menu. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że bard zwracał się do niego z pełnym szacunkiem. Simon odpowiadał szybko, bez wahania, cały czas trzymając dłoń na moim ramieniu.

Rozmawiali chwilę, a potem bard powoli skinął głową, odwrócił się do księcia i, jak przypuszczam, przekazał mu swą opinię. Książę wysłuchał go, po czym uniósł rękę. Bard umilkł. Meldron targnął wąż, mierząc mnie uważnym spojrzeniem, tak jakby podejmował co do mnie decyzję.

–Co się dzieje? – zapytałem rozpaczliwym szeptem.

–Szaaa! – ostrzegł Simon i uszczypnął mnie w kark, abym był cicho.

Meldron przestał się namyślać, gestem nakazał Simonowi odsunąć się i sam stanął przede mną. Przerastał mnie o ponad głowę. Nie miałem pojęcia, czego oczekiwać: pchnięcia

sztyłem w żebra? powitalnego pocałunku? uderzenia w twarz? ciosu między oczy?

Książę jednak nic takiego nie zrobił. Sięgnął natomiast ku ręce, która trzymała głowę wroga, złapał za nadgarstek i podniósł do góry. Głowa zadyndała groteskowo, ze świeżej rany kapłała krew. Książę rzekł kilka słów do patrzących, którzy teraz stanowili już całą armię, a potem wsunął otwartą dłoń pod wstrętne kapiącą głowę.

Krew ściekała na jego dłoń. A gdy zebrał jej wystarczająco dużo, wylał na mnie. Przepęliło mnie obrzydzenie i wstręt; chciało mi się wymiotować. Miałem ochotę umrzeć. Ale książę trzymał mnie mocno za nadgarstek, więc stałem w milczącej udręce, podczas gdy on wylewał mi krew na głowę. Potem wysmarował mi policzki.

Ciało cierpło mi pod jego dotykiem.

Wreszcie skończył. Wówczas bard naznaczył mnie w ten sam sposób – podstawił dłoń, zebrał krew i wysmarował mi kark i okolice serca, znacząc moje nagie ciało jaskrawymi, ciepłymi, szkarłatnymi smugami.

Na tym jednak nie skończył się mój odrażający chrzest. Byłem zmuszony doświadczyć podobnych uprzejmości z rąk wszystkich zgromadzonych. Wojownicy podchodzili kolejno, nabierali krew i znaczyli mnie nią. Niektórzy pokrywali moje blade ciało wzorami podobnymi do własnych, a inni po prostu zostawiali odcisk swej dłoni. Gdy skończyli, prawie cały tułów miałem pokryty zasychającą krwią. Żadne słowa nie wyrażą niesmaku i odrazy, jaką czułem.

Gdy naznaczył mnie ostatni z wojowników, Meldron puścił mój nadgarstek, odwrócił się do stosu broni i ozdób, wybrał jedną rzecz – odłożył dwa złote i kilka srebrnych przedmiotów, nim zdecydował się na opaskę z brązu, którą wsunął mi na rękę i przeciągnął aż na ramię. Na ten widok drużyna wydała pełne aprobaty okrzyki. Mnie zaś zafundowano solidne bicie, bo wojownicy zaczęli mnie serdecznie poklepywać po plecach. Żadne z tych doświadczeń nie należało do przyjemnych. Najchętniej zapadłbym się pod ziemię.

Potem książę Meldron zaczął rozdzielać łupy pomiędzy swych ludzi. Każdy wojownik coś otrzymał – ozdobę, broń, jakąś złotą lub srebrną błyskotkę. Każdy przy tej okazji wykrzykiwał, śmiał się i cieszył, wszyscy zachowywali się jak rozbrykane dzieci w wigilijny wieczór.

Łupy zniknęły w mgnieniu oka. Wówczas książę dosiadł konia, krzyknął na drużynę i wszyscy ruszyli za nim biegiem. Szeroko uśmiechnięty Simon stanął obok mnie.

–Dobra robota, bracie – powiedział, klepiąc mnie po plecach. – Zostałeś przyjęty.

–Dobra robota, niech to wszyscy diabli! To wstrętne. Myślałem, że się porzygam. – Z przerażeniem stwierdziłem, że nadal trzymam głowę wojownika. Pozwoliłem ponurej pamiętce upaść na ziemię i otarłem kleistą dłoń o spodnie. Wstrząsnął mną dreszcz

obrzydzenia. – Cuchnę. Muszę się umyć.

–Podnieś ją – rozkazał Simon obojętnie.

–Nie będę obnosił się z tym paskudztwem!

Na te słowa Simon wpadł w gniew.

–Głupcze! To paskudztwo ratuje ci życie. Oczekują, że zabierzesz je z sobą.

–Co? – krzyknąłem przeraźliwie. – Ty chyba zwariowałeś!

Simon wskazał na głowę, leżącą twarzą w trawie.

–To jest heros wrogiego plemienia, którego zabiłeś...

–Ja zabiłem! Chwileczkę, łgarzu, ja nigdy nikogo nie zabiłem! Ja...

–...i jak się może domyśliłeś, uczyniono z ciebie wojownika w drużynie Meldryna Mawra – powiedział. – A teraz podnieś tę głowę i ruszajmy, zanim zostaniemy zupełnie z tyłu.

Odwrócił się na pięcie, ściskając długą włócznię od księcia. i pobiegł za innymi. Z wielkim ociąganiem podniosłem wstrętą głowę i pobiegłem, aby dogonić Simona.

–Dokąd idziemy?

–Z powrotem do keru – wyjaśnił. – To niedaleko.

–Keru – jakiego keru? Po co?

–Później ci wszystko wyjaśnię – obiecał. – Wierz mi, lepiej, abyśmy nie zostali z tyłu.

Biegł, a ja za nim, najszybciej, jak potrafiłem, ściskając ratujące mi życie trofeum i przeklinając dzień swoich narodzin.

14. Ker Modornn

er okazał się drewnianą warownią, stojącą na płaskim szczycie wzgórza, które wznosiło się nad lśniąca rzeką, spokojnie i łagodnie płynącą szeroką doliną. Tak jak mówił Simon, królewska twierdza nie była zbyt oddalona od pola bitwy. Pomimo to, gdy dotarliśmy do rzeki, brakowało mi tchu i byłem wyczerpany biegiem.

Oddział stanął na brzegu i wszyscy utkwili wzrok w księciu, który wjechał do wody. Na środku rzeki zatrzymał się i wyciągnął złotą bransoletę spośród rzeczy, które były jego udziałem w łupie. Podniósł bransoletę ku słońcu, powiedział coś, czego nie zrozumiałem, a potem rzucił złotą ozdobę jak mógł najdalej. Zobaczyłem, jak błysnęła w powietrzu i

pograżała się w rzece, nie zostawiając na wodzie śladów.

Wojownicy wydali radosny okrzyk i wszyscy natychmiast rzucili się do wody. Przebrnąłem przez płycznę brodu i wspiąłem się na drugi brzeg. Potem stromym zboczem powlokłem się na szarym końcu drużyny do keru.

Spodziewałem się czegoś wspaniałego i imponującego, ale rozczarowałem się. Po przejściu wąskiej, drewnianej bramy okazało się, że ker był zaledwie ogrodzonym obozowiskiem. Wewnątrz palisady stało kilkanaście namiotów, konstrukcji ze skóry i pali. Ślady po ogniskach znaczyły miejsca, w których wojownicy zbierali się, by jeść i spać.

Wszystko wokół było prymitywne i surowe. Nigdzie nie widziałem śladów wspaniałości, jakich spodziewałem się na tamtym świecie. Meldryn Mawr był władcą skromnej drewnianej zagrody dla bydła.

Na nasz widok wylegli ci, którzy pozostali, aby strzec fortu. Teraz zebrali się wokół nas, by wysłuchać barwnych opowieści o wyczynach swych towarzyszy. Wszyscy byli przesadnie podnieceni – słuchacze i przechwalający się. Bez wątpienia, ów wypad przysporzył im chwały.

A ja, dzięki beczelnemu kłamstwu Simona, w znacznej części stałem się przyczyną owego podniecenia. Najwyraźniej zabicie herosa było nie lada sprawą. Patrząc, jak wszyscy krzyczeli, śmiali się i skakali wokół mnie, można by sądzić, że byłem Dawidem, który procą pokonał Goliata.

Wśród przyjaznych poszturchiwań i radosnych poklepywań wędrowałem z jednego końca obozowiska na drugi. Z ciekawością przyglądano się memu ubraniu, a szczególną uwagę zwracano na upiorną głowę w mej garści. Kiedy więc potężny, krzepki wojownik, który, jak mi powiedziano, był królewskim herosem, podszedł do mnie z włócznią w dłoni i na migi zaproponował, że nabije mi na nią tę głowę, z ochotą oddałem mu swe dwuznaczne trofeum.

Pod bacznym okiem księcia Meldrona wojownik z wprawą nabił głowę na włócznię i wbił jej drzewce w ziemię u mych stóp. Potem objął mnie w miążdzącym uścisku i ucałował w oba wysmarowane krwią policzki. To przypieczętowało zaakceptowanie mnie przez pozostałych wojowników. Wszyscy wznosili okrzyki i cieszyli się, jakby zostało złożone jakieś ważne oświadczenie. Ja zaś przeszedłem następną rundę poklepywań i poszturchiwań.

–Przyjęli cię, przyjacielu – powiedział Simon, gdy zamieszanie nieco ucichło. Wszyscy poszli do swych zajęć i na chwilę zostaliśmy sami. – Możemy się już odprężyć.

–To dobrze. – Popatrzyłem z odrazą na swe ubabrane ciało. – Mogę się umyć? Czy to dozwolone?

–Lepiej nie. Może jutro – powiedział. – To oznaka twojej inicjacji. Noś ją z dumą. Większość z

tych mężczyzn była od urodzenia ćwiczona do walki, tobie się upiekło. Powinieneś być wdzięczny.

Popatrzyłem na pomalowane na niebiesko ciało Simona.

–Jak ty wyglądasz, Simon. Nigdy bym cię nie poznał.

–To tylko malunki – wyjaśnił, po czym wyciągnął ramiona. – Ale to jest prawdziwe. – Zobaczyłem, że na wewnętrznej stronie każdego ramienia Simon miał wytatuowane niebieskie, celtyckie wzory – splatające się spirale. – To jest łosoś – powiedział z dumą, wskazując na lewe ramię. – A tutaj jest jelen. – Wyciągnął mi przed oczyma prawe ramię. – Dostałem je za zabicie wojowników wroga – jeden wzór za pięciu.

–Zabiłeś dziesięciu ludzi? – zdumiałem się.

–Za dzisiejszy wyczyn mógłbym dostać torques – powiedział z lekkim rozdrażnieniem. – Heros to moje największe zwycięstwo jak do tej pory.

–Simon, co się z tobą stało? – Nadal byłem jeszcze roztrzęsiony po bitwie; nadal miałem przed oczyma tę scenę.

–Co mi się stało? – Prychnął i wskazał kciukiem na włócznię. – Gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem, na tej tyczce byłaby zatknięta twoja głowa. Nie zapominaj o tym. Uratowałem ci życie.

–I jestem ci za to wdzięczny, możesz mi wierzyć – nie ustępowałem. – Tylko że...

–Szwendać się tak po placu bitwy... – ciągnął dalej z gniewem. – Jeśli Cruin by cię nie zabili, uczyniliby to Llwyddi. – Simon pochylił się do zawiniątka u swych stóp i wyciągnął z niego długą koszulę z delikatnej, żółtej tkaniny.

–Kto?

–Klan Cruin – powiedział, wkładając ręce w rękawy koszuli. – To był wróg, z którym dziś walczyliśmy. My jesteśmy Llwyddi. – Rozwinął parę spodni w żółto-zieloną szachownicę i wyciągnął je.

–O co była ta bitwa?

–Król Meldryn i jeden z królów Cruin poróżnili się o jakieś psy myśliwskie. – Simon usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i zaczął nakładać buty z miękkiej skóry.

–Psy? Powiedziałaś psy? – Przysiadłem przy nim.

–Ich król powiedział, że psy myśliwskie Meldryna śmierdzą.

–Co! Chcesz powiedzieć, że ta cała... ta rzeź była dlatego, że obrażono czyjeś psy?

–Nie zgrywaj głupka. Oczywiście że chodziło o coś więcej. W grę wchodził honor.

–A to dobre. Kilkudziesięciu ludzi straciło dziś życie, bo ktoś powiedział, że psy króla Meldryna śmierdzą! To nie do wiary!

–Mów ciszej! Nic nie rozumiesz. – Zasznurował i zawiązał but.

–Przykro mi, Simon, ale nieomal mnie tam zabito i ja...

–Ale cię nie zabito – powiedział, odsłaniając w krzywym uśmiechu zęby. Rzucił mi piorunujące spojrzenie, po czym złagodniał. – Szkoda że nie widziałeś swojej twarzy – powiedział ze śmiechem. – Nigdy jeszcze nie widziałem nikogo tak wystraszonego! To było wspaniałe.

–Taak, dzięki.

–Prawdę mówiąc – ciągnął dalej tonem typowym dla Simona takiego, jakiego znałem – miałeś szczęście, że w ogóle nas znalazłeś. Jutro ruszamy do domu. – Zasznurował i zawiązał drugi but.

–Co takiego? To znaczy, że to nie jest twierdza króla?

–To? – Simon machnął lekceważąco ręką. – To tylko miejsce noclegu. Meldryn Mawr ma ich setki rozrzuconych po całym królestwie. Ta drużyna to po prostu mały oddział złożony z młodszych wojowników. Przybyliśmy tu jedynie pomścić królewski honor, potem wracamy do Sycharth.

–My? – Ponieważ w głosie Simona dosłyszałem nutę dumy, nie mogłem się powstrzymać od dalszych pytań: – Simon, co się z tobą stało? Co tu się dzieje?

–Nic się ze mną nie stało. Jak widzisz, jestem zdrowy i szczęśliwy. Nigdy nie czułem się lepiej. – Potem odbił pytanie w moją stronę. – A co ty tu robisz?

–Nie wiem. Przybyłem cię odnaleźć – powiedziałem i postanowiłem nie rozwodzić się dłużej nad tym, co przeszedłem od czasu jego zniknięcia. – Jest pewien problem, Simon. My nie należymy do tego świata. Musimy odszukać drogę powrotną – no wiesz, drogę powrotną do prawdziwego świata.

Simon zasępił się. Byłem pewny, że nie spodobał mu się ten pomysł.

–To nie będzie łatwe, kolego.

–Być może – przyznałem – ale musimy spróbować. A im prędy, tym lepiej. – Zacząłem mu opowiadać o splotach i ogniach, o teoriach profesora Nettletona na temat współzależnych

rzeczywistości i wszystkim innym. Na zakończenie przedstawiłem mu skróconą wersję teorii Nettletona o rozplatającym się splocie i niebezpieczeństwie, jakie nam groziło z tego powodu.

Simon słuchał, cały czas wpatrując się w ziemię niewidzącym, chłodnym wzrokiem. Nic nie powiedział; skinął tylko głową i zerwał kilka źdźbeł trawy, które zaczął obracać w dłoniach. Nie miałem pojęcia, czy to, co powiedziałem, w ogóle zrobiło na nim jakieś wrażenie.

–Słyszałeś, co powiedziałem, Simon? – zapytałem go w końcu.

–Słyszałem. – Spojrzał na mnie i niecierpliwym gestem odrzucił trawę.

–Co ci jest?

–Nic – odparł. – Mówiłem ci już, czuję się dobrze. Nigdy nie czułem się lepiej.

–To czemu się chmurzysz? Myślałem, że ucieszysz się na mój widok. Naprawdę, to cud, że w ogóle cię znalazłem. Ciągle nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

–Tęsknili za mną? – Zastanawiał się przez chwilę.

–Oczywiście, że tęsknili! Twoi rodzice niepokoją się. Pewnie już szukają cię przez policję. Będiesz osobą oficjalnie zaginioną. Mówię ci, im szybciej wrócimy, tym lepiej dla każdego.

Simon odwrócił wzrok. Pomyślałem, że zastanawia się, co odpowiedzieć, on jednak zaczął mi opowiadać o tym, co robił od czasu przejścia.

–Początkowo było ciężko – powiedział i ponownie dostrzegłem u niego owo dziwne, niewidzące spojrzenie. – Ale gdy tu przybyłem, było późne lato, więc mogłem znaleźć owoce i jagody do jedzenia. Gdy Llwyddi mnie znaleźli, włączyłem się już po wzgórzach od... sam nie wiem jak długo, to były całe tygodnie. Grupa myśliwych natknęła się na moje obozowisko nad rzeką. Po moim ubraniu i reszcie uznali, że jestem obcy, więc pognali mnie do króla. Naczelny bard spojrzał tylko na mnie i oznajmił, że jestem przybyszem z innego świata. Możesz sobie wyobrazić zamieszanie, jakie tym wywołał...

Kiwnąłem głową, ale prawdę powiedziawszy, nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Ledwie dawałem wiarę temu, co mnie się przytrafiło w ciągu kilku krótkich godzin pobytu w tym dziwnym świecie.

Simon mówił dalej.

–Przyjęto mnie do plemienia – zostałem honorowym członkiem. Ale nie określono mego statusu ani nie mam imienia.

–Nie masz imienia? Czemu nie powiedziałeś im, jak masz na imię?

Simon pokręcił lekko głową.

–To nie funkcjonuje w ten sposób. Tutaj musisz sobie zapracować na imię. Jestem na najlepszej drodze do zdobycia wspaniałego imienia.

Przypomniałem sobie o starym celtyckim zwyczaju ukrywania imienia, dopóki nie dokona się jakiegoś bohaterskiego czynu, dzięki któremu imię zostanie wyjawione i oficjalnie przyznane. Toteż imię nie było słowem, którym szafowano lekką ręką. Wielu legendarnych bohaterów utrzymywało swe prawdziwe imię w sekrecie, nigdy go nikomu nie ujawniając, aby nie wpadło w ręce nieprzyjaciela i nie przysporzyło kłopotów jego posiadaczowi.

–Jak więc cię nazywają? – zapytałem zafascynowany.

–Mówią na mnie Sylfenu, to znaczy “znaleziony”, ponieważ znaleźli mnie nad rzeką. Dzisiejsze zabicie herosa byłoby dopełnieniem warunków. – Wzruszył ramionami i dodał: – Ale nieważne. Wkrótce będę miał kolejną szansę.

–Zrobili z ciebie wojownika?

–To był mój wybór – powiedział. – Uznałem, że najlepszym sposobem zdobycia pozycji jest zostanie wojownikiem. Wojownik ma wyższą pozycję, więcej swobody w poruszaniu się i robieniu tego, na co ma ochotę. Od wojowników nie oczekuje się niczego poza polowaniem i walką, i to oni zgarniają całe złoto i chwałę.

–Brzmi wspaniale – powiedziałem. – Ale oni również szybko rozstają się z życiem.

–Czasami, jeśli nie mają szczęścia – przyznał. – Ale mnie nigdy nie brakowało szczęścia. – Uśmiechnął się złośliwie. – Ty też jesteś teraz wojownikiem, nie zapominaj o tym.

–Dzięki za przypomnienie. – Odpędziłem od siebie tę myśl. Nie miałem zamiaru zostawać tu tak długo, aby samemu wziąć udział w bitwie podobnej do tej, której byłem dziś świadkiem. Zmieniłem temat. – Czemu wyrzuciłeś mój zegarek?

Simon roześmiał się.

–Byłby problem, gdyby go u ciebie zobaczyli. Czas tutaj nic nie znaczy.

–Gdzie jest owo tutaj, Simon? Gdzie my jesteśmy? Co to za miejsce?

–To jest ker Modornn – powiedział wstając. Wziął szeroki, pleciony pas z zielonych i czarnych pasków materiału i okręcił się nim, przytrzymując poły koszuli. – Chodź za mną, oprowadzę cię.

Ruszyliśmy przez obozowisko i zrozumiałem, czego mi tu wcześniej brakowało: w obozowisku nie było kobiet. Wspomniałem o tym Simonowi.

–Oczywiście, że ich tu nie ma – powiedział. – Jesteśmy tylko małą grupą wypadową. Kobiety nie biorą udziału w tego rodzaju wyprawach.

–To znaczy, że w innych biorą udział? Simon uniósł brwi.

–Zobaczysz.

Dotarliśmy do wejścia i ruszyliśmy wąską ścieżką, biegnącą wzdłuż drewnianej ściany, skrajem rowu o stromych brzegach. Przeszliśmy kawałek po obwodzie wzgórza i zatrzymaliśmy się. Poniżej, szeroką, lśniącą wstęgą, toczyła swe wody rzeka, którą wcześniej przeszliśmy.

–To jest rzeka Modornn – powiedział Simon. – Wzdłuż niej biegnie wschodnia granica ziem Llwyddi. Po drugiej stronie – tam, gdzie dziś walczyliśmy – są ziemie Cruin.

Odwrócił się i przeszedł kawałek dalej. Zatrzymaliśmy się ponownie i odwróciłem się w kierunku wskazanym przez Simona. Ujrzałem w zamglonej, obrzeżonej wzgórzami dali mieniącą się srebrzyście wodę.

–Za tymi wzgórzami na pomocnym zachodzie jest Myr Llydan, spora zatoka.

Przeszliśmy nieco dalej wzdłuż ogrodzenia keru. Zauważyłem, że okolica zmieniła się, teren począł pięć się ku poszarpanym podnóżom wzgórz. Za nimi wznosiły się ostre szczyty gór – pasmo za pasmem biegły w dal w poszarpanych szeregach, by w końcu zginąć w chmurach i błękitnej mgle.

–To jest Cethness – wyjaśnił Simon. – W sercu Cethness Llwyddi mają kamienną fortecę, która nie ma sobie równych. Zwą ją Findargad, jest pradawnym siedliskiem klanu.

Popatrzyłem na zwarte szeregi błękitnych i zamglonych na horyzoncie gór, a potem ruszyliśmy dalej. Przystanęliśmy znowu. Teraz moim oczom ponownie ukazały się łagodne wzgórza i szerokie koryto rzeki, a za nimi ciemny skraj puszczy.

–Na południu – powiedział Simon, wskazując wijące się koryto rzeki – leży Sycharth, pałac i warownia Meldryna Mawra. Z Findargad na północy i Sycharth na południu panuje nad większością Zachodu.

–Zachodu czego? – zapytałem.

–Prydain – odparł. – Jednego z trzech królestw. Pozostałe to Caledon na północy i Llogres na południu.

Znałem te nazwy z prastarych legend.

–A jak się nazywa... to wszystko razem, jak nazywają się te trzy królestwa razem?

Simon przebiegł spojrzeniem po rozległym krajobrazie.

–To – powiedział wskazując dłonią na wspaniałą panoramę – to jest Albion.

–Albion – powtórzyłem, myśląc, że to bardzo dziwne, iż nazwy z tego świata znane są również w naszym świecie. – Ależ to historyczna nazwa – powiedziałem. – Czy ten świat ma jakieś historyczne powiązania z naszym światem?

–A kto mówi, że ma? – odparował Simon.

–Nie uważasz, że to trochę dziwne, aby znane tu były nazwy z naszej historii?

–To ty jesteś badaczem kultury celtyckiej – oznajmił. – Ty to wyjaśnij. Ja powiedziałem tylko, jak ludzie nazywają to miejsce.

Starożytni Brytowie nazywali swą wyspę Alba – i dla wielu nadal była ona Albą. Stary Nettles miał rację, a ja byłem w błędzie – a raczej odwrotnie: tamten świat nie miał historycznych podwalin z naszego świata, to historyczny świat miał podwaliny rodem z tamtego świata.

Pojąłem tę prawdę, a jej oszałamiające znaczenie przyprawiło mnie o zawrót głowy; w następnej jednak chwili wymknęła mi się, stała się ponownie nieuchwytna i nieosiągalna. Rozumiałem jednak sens swego chwilowego objawienia: Albion był pierwotnym archetypem celtyckiego świata.

Sieć powiązań pomiędzy światami była rozległa i wieloraka. Jeśli wierzyć temu, co mówił Nettles – a jak na razie mylił się nader rzadko – miejsce to, ten Albion, był formą form, pierwowzorem wszystkiego, co dawało początek istnieniu owego jedyne w swoim rodzaju i wspaniałego cudu zwanego celtyckim duchem. Nie powinno mnie zbytnio zaskoczyć odkrycie innych zdumiewających podobieństw.

Zakończyliśmy obchód i wróciliśmy do keru. Niektórzy wojownicy – dla których dzisiejszy dzień nie był jeszcze dość podniecający – zaczęli zawody zapaśnicze. Duży krąg widzów otaczał zawodników: siedem par zapaśników. Idea tych walk polegała zdaje się na tym, aby podnieść przeciwnika do góry, a potem przygnieść go do ziemi. Przegrany był natychmiast eliminowany, a zwycięzca stawiał czoło kolejnemu przeciwnikowi. Gdy na placu boju zostawali dwaj ostatni zapaśnicy, zaczynało zakłady.

Każdy, poczawszy od księcia, zakładał się szybko z którymś ze swych towarzyszy. Dobijaniu zakładów towarzyszyła taka wrzawa i zamieszanie, że obawiałem się, iż wszystko skończy się ogólną bójką. Jednakże cały harmider ucichł równie szybko, jak wybuchł, i ponownie zaczęły się zapasy. Przeciwnicy w ringu byli gotowi do walki. Krążyli wokół siebie ostrożnie, stąpali na palcach, ich nagie ciała połyskiwały. Myślę, że naoliwili się, aby utrudnić przeciwnikowi schwytanie; wyglądali, jakby byli wyrzeźbieni z wypolerowanego marmuru. Z całą pewnością, najdoskonalsze greckie posągi nie dorównywały wdziękiem

owym zapaśnikom w ringu. Nieskazitelni, pomyślałem; perfekcja w każdym ruchu. Jeden był ciemnowłosy, drugi miał włosy jasne – ale obaj byli równie doskonale zbudowani.

Krążyli wolno, poruszając się po zacieśniających się kołach, coraz bliżej i bliżej siebie. Nagle jasnowłosy zapaśnik rzucił się do kolan przeciwnika, objął je rękoma i tym samym płynnym ruchem uniósł go. Ciemnowłosy splótł dłonie i zdzielił tamtego w plecy ciosem, który pewnie ogłuszyłby wołu.

Rzeczywiście, jasnowłosy zapaśnik padł na kolana, ale nie zwolnił uścisku. Jego ciemnowłosy rywal wznosił ręce nad głowę, szykując następne mocne uderzenie. Jasnowłosy zapaśnik walnął przeciwnika barkiem w brzuch; mężczyzna jęknął straszliwie i zgiął się wpół. Wojownik o jasnych włosach wstał, podnosząc do góry przeciwnika – tylko trochę, ale wystarczyło, aby stracił równowagę. Wtedy obaj przewrócili się. Jednakże blondyn wylądował dokładnie na ciemnowłosym, nie dotykając ziemi. Walka była skończona. Jasnowłosemu wojownikowi przyznano zwycięstwo.

Powietrze wypełniły gwizdy i krzyki, a z zachowania tłumu wywnioskowałem, że obstawiano przegraną jasnowłosego. Regulowano zakłady: pierścienie i bransolety na ramiona przechodziły z rąk do rąk, brosze, noże i włócznie przekazywano nowym właścicielom. Wygrani byli jowialni, przegrani łaskawi, a wszyscy wyglądali na uszczęśliwionych przebiegiem wydarzeń.

Potem były następne walki – ustawiło się siedem kolejnych par, z których po stopniowym zmniejszaniu się grupy pozostało dwóch najlepszych zawodników – a po tych znowu następne. Obawiałem się, że to może potrwać całą noc, ale gdy trzeci mecz dobiegł końca, tłum rozproszył się. Wówczas zobaczyłem, co było przyczyną: rozpalono ogniska i w całym obozowisku piekło się na rożnach mięso. Przed posiłkiem podano do picia jasnobursztynowy płyn, który wziąłem za piwo. Podawano go w olbrzymich kubkach, czarach, rogach i pucharach – w różnego rodzaju naczyniach, które mogły pomieścić znaczne ilości płynu.

W kilku miejscach keru ustawiono duże kadzie. Wokół nich gromadzili się wojownicy ze swymi naczyniami, które napełniali, zanurzając w pienistym płynie. Simon poprowadził mnie do najbliższej kadzi, gdzie duży, krzepki facet z długimi, brązowymi lokami, obwiązany w pasie żółtym, skórzanym fartuchem, wepchnął mi w dłoń miedziany puchar.

–To piwowar. Chce, abyś spróbował – wyjaśnił Simon. – Wypij!

–Cheers! – powiedziałem i uniosłem puchar do ust. Płyn pachniał przyjemnie piwem i gdyby nie kwaśny posmak, byłby całkiem niezły, choć ostry w smaku. Z pewnym wahaniem wziąłem duży łyk – żeby pozbyć się tego napoju sprzed nosa. Natychmiast jednak zakrztusiłem się i prychnąłem, wypluwając to, co miałem w ustach na piwowara.

Ten zaś najwyraźniej przyjął to za oznakę najwyższego uznania dla swego kunsztu.

Roześmiał się głośno i poklepał mnie ciężką dłonią po plecach, wstrząsając mną tak, że wylałem na siebie połowę zawartości swego pucharu. Piwo połączyło się z zaschlą krwią rozmazaną na moim ciele i zaczęło mi ściekać rudawymi strużkami po brzuchu. Ten piwny chrzest rozbawił wesołego piwowara jeszcze bardziej. Odrzucił w tył głowę i parsknął głośno rubasznym śmiechem.

–A to się spisałeś – zrzędził Simon. – Nigdzie nie można cię zabrać.

–Mogłeś mnie ostrzec – mruknąłem, strząsając płyn z rąk. – Co to jest, imbir?

–Chyba pędy świerku – odparł Simon. – Napój smakoszy.

–Komu to mówisz!

–Radziłbym ci polubić to jak najprędzej. Piją ten napój całymi kadziami. Lepiej, aby nie zauważono, że się przed nim wzbranasz.

–Broń Boże – mruknąłem, zaglądając w swój puchar. Piwowar uznał to za znak, że pragnę dolewki. Porwał moje naczynie i napełnił po brzegi, potem podał mi, wykonując ponownie gest “do dna”. Uniosłem puchar i wypilem jednym haustem zimne piwo, po czym otarłem usta nagim przedramieniem.

Piwowar ponownie napełnił mój puchar, a wówczas razem z Simonem usiedliśmy na boku i sącząc piwo, czekaliśmy na jedzenie.

–Czy to zawsze tak wygląda? – zapytałem.

–Jak?

–Tak... no wiesz, jak szaleństwo. – Wskazałem na hulaków poklepujących się i pokrzykujących wokół nas.

Simon skrzywił się.

–Jeśli uważasz, że to szaleństwo, to ciekawe co powiesz, gdy zobaczysz prawdziwe świętowanie zwycięstwa.

Popijaliśmy w milczeniu; ja sączyłem swój napój powoli, jako że piwo już zaczęło mi szumieć w głowie – był to wynik połączenia przeżytego szoku, wyczerpania, wydzielonej adrenaliny i pustego żołądka. Piliśmy i patrzyliśmy, jak różowy zmierzch niknie w oszałamiającym zmroku. Nigdy nie widziałem równie wspaniałego wieczoru; zdawało się, że moja dusza ulatuje, by wziąć w objęcia migoczące gwiazdy, które pojawiały się na intensywnie niebieskim firmamencie. Pozdrowiałem każdą z kolei: – Witaj, siostrzo! Bądź pozdrowiona. Poznaję cię.

Gdy podano jedzenie, byłem już pijany. Głowa opadała mi wciąż na pierś, gdy zmuszałem szczęki do przeżuwania mięsa z ładnie opieczonego udźca. Mięso było przyprawione cząbrem i smaczne, ale byłem zbyt zmęczony, aby wiele zjeść. Zasnąłem, ściskając pusty puchar w jednej dłoni i niedokończoną kolację w drugiej. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, były jaskrawe płomienie strzelające wysoko w nocne niebo i głośnie śpiewy oraz śmiechy.

15. Sycharth

budził mnie Simon z nogą na moich żebrach.

–Wstawaj – powiedział, szturchając mnie palcem u nogi. – Ruszamy.

–Co? – Poderwałem się natychmiast, po czym poczułem, jak czaszka zapada mi się nagle w puste miejsce po mózgu. – Oooch! Za dużo wypilem!

Simon roześmiał się.

–Będziesz się musiał do tego przyzwyczaić – jeśli pożyjesz wystarczająco długo.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się wokół zamglonym wzrokiem. Puchar leżał przy mojej głowie, ta zaś spoczywała na niedokończonym udźcu, który był moją kolacją. Leżałem tam, gdzie padłem poprzedniego wieczoru, na szczęście ktoś zarzucił mi płaszcz na nagie plecy. Cuchnąłem piwem i krwią – nadal byłem cały umazany. Twarz miałem szorstką, a pod powiekami chyba piasek. Język wydawał się trzy razy taki duży jak zwykle, pokryty nalotem i twardy jak podeszwa. Pęcherz był zaś niczym balon, w który wlano o wiele za dużo wody – w każdej chwili mogło się to skończyć katastrofą.

–Zabij mnie i skończ z tym – wymamrotałem.

Simon wziął mnie pod rękę i pomógł stanąć na nogi.

Zakołysałem się niepewnie.

–Czuję się jak trup.

–Daj spokój, pójdziemy umyć się w rzece.

Słońce właśnie wstało i w obozowisku zaczynał się ruch. Wyszliśmy za bramę i ruszyliśmy stromą ścieżką do brodu. Kilku wojowników już się myło trochę dalej na głębszej wodzie. Stali po biodra w lodowatej rzece i szorowali się z zapamiętaniem.

–Zdejmij ubranie – powiedział Simon, rozbierając się pospiesznie.

Położyłem płaszcz na kamieniu, potem zsunąłem buty i poplamione krwią spodnie. Stojący najbliżej wojownik z zainteresowaniem przyglądał się mojej bieliźnie – zdaje się, że spodniki

boksyerskie nie weszły tu jeszcze w modę. Zdjąłem je również i wszedłem do lodowatej wody, ślizgając się na okrągłych kamieniach.

Simon odszedł spory kawałek i z wielkim upodobaniem zanurzał się i polewał wodą. Inni wojownicy przywołali go, a po sposobie, w jaki z nimi rozmawiał, domyśliłem się, że był ich ulubieńcem.

Ostrożnie wchodziłem głębiej w rzekę – woda kłuła ciało niczym lodowe igiełki. Jeden z wojowników podszedł do mnie. Uśmiechał się, i gestykując, podał mi coś, co wyglądało jak kamień. Okazało się, że był to kawałek brązowego mydła, pachnącego sadłem i jakimiś ziołami, których nie mogłem rozpoznać. Mężczyzna wziął mydło ode mnie i pokazał, jak go użyć. Pewnie z mej zaskoczonej miny wywnioskował, że nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Umył się dokładnie z niemal fanatyczną gorliwością. Gdy skończył, opłukał się, podał mi mydło i wyszedł na brzeg. Ledwie zacząłem się mydlić, gdy wrócił z małym, zakrzywionym ostrzem, które przypominało muszlę. To była brzytwa. Robiąc przeróżne miny i gestykując, pokazał mi, jak się tym golić. Przejechał dłonią po moim zarostcie i cmoknął, po czym wcisnął mi cienkie ostrze w dłoń i odszedł, rozbryzgując wodę.

Powoli przyzwyczajałem się do wody. Zacząłem się szorować, wdzięczny za luksus mydła, pozwalający pozbyć się ze skóry wstrętnych śladów. Patrząc na swe odbicie w wodzie, mogłem się ogolić bez podcinania gardła. Skończyłem i przekazałem mydło i brzytwę następnemu wojownikowi. Czuję się bardzo odświeżony tym dokładnym szorowaniem.

Okropności poprzedniego dnia spłynęły ze mnie wraz z rudawymi strużkami ściekającymi po ciele; cały strach i obrzydzenie rozpuściły się w tej błogosławionej kąpieli i odpłynęły. W tej samej chwili wydało mi się, że wczorajsza rzeź nie miała w ogóle miejsca, tak jakby masakra była jedynie koszmarnym snem, który ulotnił się w czystym powietrzu poranka. Obmyłem się i poczułem się całkowicie odrodzony.

W rzeczy samej nie pamiętam, aby kiedykolwiek kąpiel sprawiła mi większą przyjemność: powietrze było rześkie i czyste, dzień świeży niczym pierwszy dzień stworzenia. Słońce było ciepłe, a zachodni wietrzyk łagodny i delikatny. Czysta woda połyskiwała i mieniła się, rozpryskiwana przez wojowników, a odgłosy ich nawoływań sprawiały mi wyraźną przyjemność.

Położyłem się na plecach i przez chwilę unosiłem się na wodzie, myśląc: Oto ja na tamtym świecie. Biorę kąpiel. Pływam. Jestem szczęśliwy.

Wrócił Simon, który był już po kąpieli.

–Powinniśmy wyjść, jeśli chcemy coś zjeść. Wkrótce ruszamy.

Odszukałem swoje rzeczy i, choć mierzła mnie myśl o nałożeniu brudnych łachów, ubrałem

się i podążyłem za Simonem do kem. Śniadanie składało się z ciemnego chleba i zimnego mięsa z wczorajszej kolacji, które zapijano piwem. Z piwem nie przesadzałem, ale chleb i mięso zjadłem łączywie.

Wtem ktoś zadał przeciągle w róg i zwinęliśmy obóz. Książę Meldron i jego bard ruszyli pierwsi, za nimi inni wojownicy na koniach. Pozostali pociągnęli za nimi pieszo. Za nami jechały trzy wozy z zapasami i bronią. Nie posuwaliśmy się w zwartych szeregach, ale szliśmy, jak chcieliśmy – w grupkach po dwóch, trzech lub więcej. Bez problemu i szybko posuwaliśmy się rozległą doliną wzdłuż rzeki.

Szliśmy już dobrą chwilę i niektórzy wojownicy zaczęli śpiewać. A chociaż nie rozumiałem słów, z przyjemnością słuchałem ich mocnych głosów. Cieszyła mnie wyraźna przyjemność, z jaką śpiewali. Słońce wzniosło się wyżej i grzało przyjemnie moją nagą skórę. Ogarnęło mnie uczucie takiego zadowolenia, jakiego jeszcze nigdy nie czułem i którego istnienia nigdy bym nie podejrzewał.

Cóż dałbym za to, pomyślałem, aby zostać z tymi ludźmi na zawsze!

Oczywiście, była to absurdalna myśl. Nie mogłem zostać – nie zostanę ani chwili dłużej niż to konieczne. Przybyłem, aby znaleźć Simona i teraz muszę odszukać drogę powrotną do rzeczywistego świata.

–Dokąd idziemy? – zapytałem, równając krok z Simonem.

–Wracamy do Sycharth.

–Do siedziby króla?

–Tak, do siedziby króla.

–Daleko to?

–Dziewięć dni – oznajmił.

–Piechotą?

–Piechotą – potwierdził.

–Och.

–Coś nie gra? – spojrzał na mnie spod oka. – Masz inne zajęcie?

–Nie o to chodzi. Ale...

–Zdaje się, że chodzenie uwłacza twej godności.

–Daj mi spokój! Jestem tu nowy, no nie? Chciałem tylko wiedzieć, co jest grane.

Simon zasępił się.

–Co cię gryzie, Simon? Myślałem, że ucieszy cię mój widok. A ty zachowujesz się, jakbym był twoją młodszą siostrą z paskudną ospą.

–Przykro mi – mruknął. Wcale na to nie wyglądało.

–O to właśnie chodzi, a może nie? – zapytałem. – Chciałbyś, abym trzymał się od tego z dala. Ale jestem tu, a ty boisz się, że popsuję ci zabawę. No cóż, nie ma rady, jestem tu i będziesz się musiał z tym pogodzić.

Simon zatrzymał się i szarpnął mnie za ramię.

–Posłuchaj! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Postawmy sprawę jasno: Nie prosiłem cię, abyś tu przybył. Nikogo nie prosiłem o ratunek. Sam potrafię o siebie zadbać. Ale skoro już tu jesteś, dobrze ci radzę, wyluzuj się. Raz ocaliłem ci głowę; być może więcej mi się to nie uda. Kapujesz?

–Jasno i wyraźnie.

–Dobrze.

–Ale ja tu nie zostaję, Simon. Ty również. Musimy wracać – tak szybko, jak to możliwe. Im dłużej tu zostaniemy, tym będzie gorzej. – Przypomniałem mu o naszej wcześniejszej dyskusji na temat tego, że niebezpieczne jest mieszanie się w sprawy tamtego świata. – To może się źle skończyć, Simon, a my możemy sobie naprawdę napytać biedy.

–Rozumiem – odparł, kiwając powoli głową. – Sądzisz, że już sama nasza obecność może mieć wpływ na zmianę biegu wypadków. A jeśli doprowadzimy tutaj do zmian, to i w rzeczywistym świecie nastąpią zmiany.

–Tak, i trudno powiedzieć, co mogłoby się wydarzyć. – Byłem rad, że Simon tak łatwo to zrozumiał. – Musimy dowiedzieć się, gdzie jest następny portal i kiedy jest otwarty.

–To może być niełatwe – powiedział.

–A nie moglibyśmy o to zapytać tego-jak-mu-tam... Ruadha, książęcego barda?

Simon pokręcił przecząco głową.

–Słuchaj – powiedział stanowczym tonem – zostaw to mnie.

–Ale...

–Dopóki nie dotrzemy do Sycharth. I tak do tego czasu nie możemy nic zrobić. Zostaw to na kilka dni, dobra? A tymczasem wyluzuj się. Rozejrzyj się dookoła. Może ci się spodoba to miejsce.

–No cóż... – umilkłem, spoglądając na jaśniejący wokół mnie świat. – Dobra. Chyba nie zaszkodzi nikomu poczekać kilka dni.

–No właśnie – powiedział Simon, błyskając swym słynnym uśmiechem. – Zostaw to mnie.

–Ty się tym zajmiesz?

–Ja się tym zajmę – zapewnił. Poczułem, jak z mych barków zdjęto ciężar odpowiedzialności. – Nie martw się. To naprawdę wspaniałe miejsce. To raj.

Tak zaczęliśmy nasz marsz przez tę promienną dolinę. Obok nas Modornn toczyła srebrzyste wody, połyskujące drobnymi falkami. To był wspaniały świat – tak świeży i wolny od zepsucia, nieskazitelny i promieniujący pięknem. Otoczenie wprawiało mnie w zachwyt. Od czasu do czasu natrafiałem spojrzeniem na zasnuwane chmurami wzgórza, mające w oddali błękitem, bądź wstęgę srebrzystej wody, opływającej wolno kępę giętkich, białych brzoź. Przystawałem na widok cętkowanego brązowo pstrąga skaczącego w wodzie, niebieskawo-czarnego kamienia porośniętego gęsto żółtym mchem, wsłuchiwałem się w dźwięk ptasich treli, spływających spod czystego nieba.

Przysięgam, nieraz łzy napływały mi do oczu. Dech zapierało mi w piersi, a w sercu czułem raz po raz ukłucie tęsknoty – pragnienia pełni podobnego uwielbieniu. Już sama wędrówka tą doskonałą doliną przypominała mi o skandalicznym ubóstwie mego ducha. To naturalne piękno poruszyło mnie, poraziło jednoczesnym odczuciem objawienia i wstydu. Czyżby rzeczywiście moje życie było zupełnie odarte z cudowności, że widok skąpanych w słońcu wzgórz wzbudzał tak silne uczucia?

W tym promiennym, rajskim świecie głęboko odczułem pustkę wszystkich lat ślepej wędrówki. I gorzko tego żałowałem. Byłem niczym ślepiec obdarzony wzrokiem, który zarazem raduje się z daru widzenia i ubolewa nad ogromem swej niewiedzy. Szedłem jak pijany przez krainę jednocześnie obcą mi i bliską.

Nieraz przyłapywałem się na tym, że mruczałem głośno: To jest to! Tak właśnie powinno być. Jednakże, gdyby ktokolwiek spytał mnie, co przez to rozumiem, nie potrafiłbym odpowiedzieć. To doświadczenie było nadal zbyt nowe, zbyt fantastyczne, abym mógł do niego podejść racjonalnie. Mogłem jedynie wędrować i podziwiać.

Czułem, że nieuchronnie porywa mnie z sobą fala nęcącego piękna tego świata. Roztaczał wokół mnie nieodparty urok; a im więcej widziałem wspaniałości, tym bardziej słabła we mnie wola oporu. Dobrowolnie dałem się pochwyć czarowi tego świata i wkrótce już sama myśl o powrocie stała się nie do zniesienia. Tak bardzo, że przestałem myśleć o naszym świecie i po prostu całkowicie uległem wspaniałości i przepychowi wszystkiego wokół mnie.

Przez siedem dni przemierzaliśmy wspaniałą dolinę Modornn, podążając wzdłuż rzeki na południe. Poruszaliśmy się szybko, o zmierzchu rozbijaliśmy obóz nad rzeką, a o świcie pospiesznie ruszaliśmy dalej. Pod koniec siódmego dnia marszu dolina rozpostarła się szeroko, przechodząc w błotnistą i trawiastą krainę, otoczoną łagodnymi, porośniętymi lasem wzgórzami. Zostawiliśmy za sobą rzekę i ruszyliśmy na przełaj. Dziewiątego dnia, o zmierzchu, naszym oczom ukazał się widok południowej fortecy króla Meldryna Mawra: Sycharth.

Budowla, stojąca na urwistym cyplu wychodzącym w morze, górowała nad płaską okolicą. Siedziba króla była ogromna; można ją było zobaczyć z bardzo daleka: wspaniała korona okalająca szczyt wzgórza, czerwieniąca się w promieniach zachodzącego słońca niczym miasto wyrzeźbione w drogocennym kamieniu. Nawet ze znacznej odległości wyglądała na siedzibę wielkiego i potężnego władcy: imponująca, wspaniała i groźna. Pomimo to promieniowała jednak gościnnością – od człowieka władającego taką siedzibą można było oczekiwać gościnnego przyjęcia.

Zbocza wiodące do keru oczyszczono dla pól, na których wyrobownicy trudzili się, przygotowując ziemię pod wiosenne zasiewy. Gdy wojownicy podeszli bliżej, wieśniacy rzucili narzędzia i przybiegli powitać nas na szlaku. Po ciepłym powitaniu domyśliłem się, że wielu wieśniaków miało wśród wojowników swych krewnych.

Maszerowaliśmy dalej szlakiem do keru. Tuż przed wejściem z szeroko otwartych bram wypadła nam na powitanie grupa kobiet i dzieci. Wojownicy zsiadli z koni i natychmiast zostali otoczeni przez witających. Ci z nas, którzy szli pieszo, dołączyli do nich i spotkali się z równie serdecznym powitaniem – ściskano nas radośnie, dzieci chwytały nas za ręce, na szyje zakładano nam girlandy wiosennych kwiatów. To było powitanie, o jakim każdy zawsze marzy, ale jakie nigdy nie zdarza się w prawdziwym życiu.

– Czy wszyscy są tacy młodzi? – zastanawiałem się, widząc wśród witających jedynie krzepkich i młodzieńczo wyglądających ludzi. Odwróciłem się do Simona pod wpływem nagłej myśli. – Czy tu się nikt nie starzeje?

Simon, zerkając na przyciągającą wzrok pannę o długich, kasztanowych warkoczach, potwierdził moje podejrzenia.

– W zasadzie nie. Oni zdają się żyć wiecznie – a przynajmniej nie starzeją się tak jak my. – Potem nagle spowaźniał, odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy. – Ty także się nie zestarzejesz, dopóki tu będziesz. Pomyśl o tym.

Nigdy się nie zestarzeć! Nim w pełni dotarła do mnie ta oszałamiająca wiadomość, tłum ruszył z miejsca. Wszyscy zostaliśmy porwani i uniesieni ludzką rzeką do keru. Ja oparłem się tej fali. Trzymałem się z tyłu; odwróciłem się, a tymczasem inni przepływali obok mnie nieprzerwanym potokiem. Na południu połyskiwało ciemno wygięte ramię morza, fioletowe w zapadającym zmroku. Tak, zastanów się nad tym, powiedziałem do siebie. Zastanów się

dobrze i głęboko, Lewis! Cóż dałbyś za to, aby żyć wiecznie w tej promiennej krainie! Wiecznie! Stałem oszołomiony tą możliwością, usiłując pojąć jej znaczenie, gdy podszedł do mnie Simon.

–To Muir Glain – powiedział, biorąc moje oszołomienie za zachwyty. – Ujście rzeki. Królewska przystań jest właśnie tam... – wskazał w kierunku rzeki – pomiędzy Sycharth i Modornn.

Odwrócił się szybko, aby dołączyć się do radosnego tłumu ciągnącego do keru. Z pewnym wahaniem poszedłem za nim, trochę niepewny, jak zostaną przyjęty. Słowa Simona przypomniały mi, jak bardzo byłem tu obcy. Aby uciszyć swój niepokój, zacząłem bacznie przyglądać się otoczeniu.

Od wyniosłej palisady odchodziły dwie wysokie, drewniane ściany. Szlak wiódł do bramy pomiędzy tymi właśnie ścianami. Dzięki temu powstawały tam niebezpieczne dla atakujących wojsk zatory. Poczerniałe ze starości, drewniane ściany były solidne i w doskonałym stanie – bezpieczne schronienie potężnego monarchy.

Przez wysoką, drewnianą bramę wyszliśmy na płaski, porośnięty trawą podwórzec, wystarczająco duży, aby pomieścić armię. Dokoła niego stały niskie, okrągłe domy o spadzistych, pokrytych strzechą dachach. Niektóre z nich były większe od innych, ale w zasadzie były to małe domy, ledwie miejsca do spania, jak przypuszczałem. Pomiędzy domami dostrzegłem również dwie duże, podłużne budowle, w których, jak domyśliłem się po dymie unoszącym się ze specjalnego otworu, znajdowały się pomieszczenia kuchenne z piecami i paleniskami.

Po przeciwnej stronie podwórca wyrastała strzelista, złocista strzecha królewskiego dworu: zwarte skupisko budynków z dębowych bali i kamienia, które górowało nad pozostałymi budowlami. Szpary uszczelniono zielonym i pomarańczowym mchem, co przydawało ścianom osobliwie aksamitnego wyglądu. Wrota, wystarczająco duże, aby mogło przez nie przejechać dwóch jeźdźców jednocześnie, były otwarte na oścież; przed nimi wznosiły się z obu stron wielkie, kamienne filary, na których płonął ogień w ogromnych, żelaznych koszach. Powierzchnie obu filarów, od dołu do góry, były rzeźbione w fantastycznie zawile wzory – głowy, ciała ptaków i zwierząt splatały się w nieskończenie wyszukane pętle i spirale.

Zebraliśmy się na podwórcu przed filarami, gdzie powitał nas radosny tłum królewskich poddanych. Sam król, w pięknym rydwanie, pojawił się po przeciwnej stronie podwórca i podjechał ku tłumowi zgromadzonych. Szprychy w kołach rydwanu migotały, a czarne konie potrząsały łbami, dumnie przyozdobionymi w pióropusze. Od chwili, gdy król zszedł z rydwanu, nie mogłem oderwać od niego oczu. Biła od niego władza i poczucie wyższości; poruszał się z doskonałą pewnością siebie – góra zakotwiczona w samym jądrze Ziemi nie mogłaby być bardziej pewna siebie. Już sam jego widok był rozkazem: szanuj mnie, bądź mi posłuszny.

Meldryn Mawr – jego imię znaczyło Złoty Wojownik, na ile pozwalała mi to stwierdzić moja szczątkowa znajomość celtyckiego, a przydomek “Mawr” określał go jako “Wielkiego” – Złoty Wojownik Wielki Król, najzacniejszy i najbardziej szanowany pośród ludzi. A złoty był w istocie: błyszczący torques na jego szyi spleciony był z trzech grubych, złotych wstęg; jego pas był migotliwą szarfą złotych krążków nanizanych sprytnie niczym rybnie łuski; jego muskularne ramiona ozdabiała szerokie bransolety z czerwonego złota w kształcie węży o oczach z błyszczących rubinów; płaszcz miał na sobie żółty, z białymi emblematami i lamowaniami przyszytymi złotymi nićmi; u pasa miał miecz o złotej rękojeści. Za królem stał młodzieniec, trzymający okrągłą, białą tarczę nabitą złotymi guzami oraz długą włócznię o ostrzu z wypolerowanego złota.

Przyglądanie się temu królowi było podobne patrzeniu w słońce. Jego promienność oślepiła, a wspaniałość paliła. Swą świetnością wzbudzał zachwyty i grozę: jasnowłosa, długie loki miał splecione w warkocz, wąsy gęste i faliste, spojrzenie ciemnych oczu spokojne i poważne. Rysy Meldryna Mawra dawały wyraz szlachetności jego pochodzenia: wysokie, zgrabne czoło, prosty nos, mocne szczęki i broda, ciemne, proste brwi i wyraziste kości policzkowe.

A gdy otworzył usta, głos, który się z nich wydobył, był głosem samego boga – głęboki i słodki, zabarwiony ciepłem i humorem, nieskrywający siły swej władzy. Nie miałem wątpliwości, że taki głos, podniesiony z gniewu, mógł rozkazywać samym żywiołom. Ale wówczas jeszcze nie słyszałem głosu jego naczelnego barda, Ollathira.

Królewski bard stał po prawej stronie, blisko, ale pół kroku z tyłu za królem. Podobnie jak Ruadh, naczelną bard miał na sobie proste, ciemnobrązowe odzienie. Soczyście purpurowy płaszcz spięty miał złotą broszą, a na jego szyi połyskiwał cienki, złoty torques. Bard był wysokim, surowo wyglądającym mężczyzną, który jako jedyny pośród ludności keru był w nieokreślonym wieku: nie stary, z pewnością nie podstarzały, posiadał jednak powagę i dostojeństwo, cechujące ludzi w czcigodnym wieku. Ollathir stał spokojnie obok króla, dumny, poważny i mądry, w każdym calu równie królewski i wspaniały jak monarcha. Nie miałem wątpliwości, że stał tam naprawdę najznakomitszy z bardów.

Król zatoczył w krąg dłonią i zebrani uciszyli się. Przemówił krótko; co jakiś czas chwytałem znajomo brzmiące słowa i domyśliłem się, że król wygłasza słowa powitania. Potem zbliżył się książę Meldron; uścisnęli sobie ręce i objęli się. Książę powiedział coś i odwrócił się, by wskazać na grupę wojowników, z której wyszedł książęcy bard i stanął przed królem. Zakrył sobie głowę połą płaszczem i zaczął głośno śpiewać dziwną, monotonna pieśń.

Dostrzegłem w pobliżu Simona, więc najdyskretniej jak mogłem, przysunąłem się bliżej niego.

–O co tu chodzi? – szepnąłem.

–Ruadh recytuje królowi przebieg bitwy – odparł Simon.

–A co on może o niej wiedzieć? Nie był tam – powiedziałem. – Ani on, ani książę nie pokazali się przed jej końcem.

–Ale byli tam. Obserwowali wszystko ze szczytu wzgórza.

–Co on mówi?

–Opowiada królowi i ludziom, że byliśmy dzielni i niepokonani, że w naszych żyłach płynie odwaga, że walczyliśmy jak niedźwiedzie – i tym podobne rzeczy. – Przerwał na chwilę, a bard śpiewał dalej. – Teraz opisuje samą bitwę – jaki był wtedy dzień, dolinę, w której miała miejsce, ilu było przeciwników i tak dalej.

Skinąłem głową.

–Rozumiem. – Bard śpiewał jeszcze dobrą chwilę, po czym umilkł. Król przemówił ponownie, wyciągając ręce. – A co teraz się dzieje?

–Król oznajmia, że dzięki wspaniałym czynom jego wojowników, jego honor został uratowany. Wydaje ucztę na naszą cześć.

To mi się spodobało. Zgłodniałem po całym dniu marszu.

–Wspaniale! – szepnąłem. – Prowadź mnie na nią.

–Uczta będzie jutro – oznajmił cierpko Simon. – Dziś wieczór odpoczniemy.

Zgodnie z jego słowami, po zjedzeniu na stojąco kęsa chleba i wypiciu łyka ciepłego piwa, wszyscy powlekliśmy się spać. Ci z wojowników, którzy mieli żony i rodziny, udali się do swych domów; pozostali z nas też znaleźli sobie miejsca. Ja z Simonem poszedłem do jednego z trzech długich budynków o niskich dachach – nazwał je domami wojowników – tam okręciliśmy się wełnianymi płaszczami i legliśmy na siennikach ze świeżej słomy.

Rzadko kiedy czułem się tak bezpieczny jak tej nocy, kołysany łagodnymi ciemnościami falującymi w takt oddechów śpiących wojowników; nigdy nie zaznałem też równie głębokiego i solidnego wypoczynku. Spałem w murach warowni Wielkiego Króla, pośród ludzi, którzy gotowi byli polec w obronie towarzyszy. I obudziłem się przed świtem, myśląc: Cóż dałbym za to, aby zawsze budzić się pomiędzy takimi ludźmi!

16. Llys Meldryna

raz z nastaniem świtu ker powrócił do życia. Aksamitna noc bladła w ognistym blasku poranka. Mieszkańcy Sycharth otrząsali się z resztek snu i spieszyli przygotowywać ucztę, którą zapowiedział król. Simon zniknął, a ja nie miałem ochoty samotnie siedzieć w domu wojowników. Otuliłem się więc swym pożyczonym płaszczem i zacząłem wędrować po twierdzy, zapoznając się z jej rozkładem.

Wszyscy krzżeli się przy pracy. Mężczyźni, kobiety, dzieci – nikt oprócz mnie nie próżnował. Nie dostałem żadnego zajęcia, nikt też nie zwracał na mnie uwagi – choć przyłapałem kilkoro dzieci na rzucaniu ukradkowych spojrzeń w moją stronę.

Sycharth była większa, niż początkowo myślałem, dawała schronienie około tysiącowi ludzi. Była podzielona na trzy główne sektory: jeden był przeznaczony na spichlerze i składy, drugi na zagrody z żywym inwentarzem, trzeci na kwatery dla rzemieślników. A wszędzie były porozrzucane domostwa mieszkańców, zbite w gromadki, zwykle po trzy lub więcej domów wokół centralnego pomieszczenia kuchennego. Smugi srebrzystego dymu unosiły się z nad trzcinowych strzech kuchni; od snujących się w powietrzu zapachów zaczęło mi burczeć w pustym brzuchu.

Z każdego zakamarka keru dolatywały najróżnorodniejsze odgłosy krzżtaniny: począwszy od głuchych uderzeń przy rąbaniu drewna po ostre piski zarzynanych świń. Zewsząd słychać było głosy śpiewających przy pracy ludzi – sama forteca zdawała się śpiewać wesołą wrzawą. Kręciłem się tu i tam, chłnąc radosne dźwięki. Z każdą chwilą coraz bardziej pociągała mnie prostota tutejszego życia.

Nie było ulic, a jedynie plątanina wąskich drózek łączących się w kilka szerszych ścieżek. Wszystkie ścieżki były poznaczone potrójnymi liniami kamieni. Zastanowiło mnie to, ale wkrótce uprzytomniłem sobie, że gdyby nie ten prosty bruk, kopyta koni i koła wozów grzęzłyby w błocie.

Wszystkie zabudowania były w doskonałym stanie; zagrody zapełniały tłuste świnie, owce i bydło; chaty rzemieślników wypełniały rozliczne dobra – wszystko to wskazywało na rozwinięte kulturowo i zasobne plemię. Nawet po najbardziej pobieżnych oględzinach dałbym wiarę przechwałkom Simona, że Llwyddi są dominującym klanem w tej krainie.

Moja nieoficjalna penetracja keru trwała aż do późnego popołudnia. Potem burczący żołądek wziął górę nad ciekawością i wróciłem do domu wojowników, gdzie czekał na mnie Simon – trochę zdenerwowany.

–Gdzie byłeś? – dopytywał się.

–W pobliżu – powiedziałem. – Po prostu chodziłem sobie dokoła.

Simon odwrócił się i podniósł z pobliskiego legowiska zawiniątko. Podał mi je, mówiąc:

–Włóż to na siebie, tylko pospiesz się.

Rozwiązałem tobolek. Wypadła z niego błękitna koszula, para ciemnozielonych spodni w drobne, czerwone prążki, brązowy pas z tkaniny i para krótkich butów z miękkiej skóry, w jakich chodzili Llwyddi. Wszystko było nowe i starannie wykonane. Chcąc pozbyć się brudnych spodni, zdjąłem je i przygotowałem się do wciągnięcia nowych.

–Spodenki również – powiedział Simon. – Wyrzuć je.

–Ale... – zawahałem się.

–Będą ci tylko psuły humor. I tak nie są ci potrzebne.

Z powątpiewaniem zdjąłem swoje spodenki bokserskie. Prawda, nie zmieniałem bielizny od wielu dni, więc nie było czego żałować; nie dowierzałem jednak zapewnieniom Simona, że nie będę ich potrzebował. Było mi również trochę przykro rozstawać się z moimi butami, dobrymi do chodzenia po górach. Obuwie z miękkiej skóry wyglądało na dość wygodne, ale wiedziałem, że będę tęsknić za dobrze wysklepioną, twardą podeszwą.

Ani koszula, ani spodnie nie miały guzików czy sznurówek, więc Simon pokazał mi, jak przepasać koszulę i zacisnąć spodnie szerokim pasem, którym okręcił mnie dwukrotnie i zawiązał z przodu. Koszula i spodnie – siarc i breecs, jak powiedział Simon – były luźne, ale buty pasowały, jakby były zrobione na zamówienie.

Gdy skończyłem, Simon cofnął się i obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. Uznał efekt za zadowalający, choć może nie nadzwyczajny.

–Tak już lepiej. Ujdiesz w tłoku.

Potem wziął następne zawiniątko i wytrząsnął z niego jaskrawopomarańczowy płaszcz, który zaczął układać mi na ramionach.

–Układasz go tak – powiedział, pokazując, jak to zrobić. – Potem spinasz go... o tak. – Wbił w fałdy na moim lewym ramieniu prostą zapinkę z brązu. – Przepraszam za tę broszę.

–W porządku. Nie ma sprawy.

–Rzecz w tym, że jeśli chcesz mieć lepszą, musisz na nią zasłużyć. Brosze są tu oznaką pozycji – tak jak torquesy i większość innych drobiazgów.

–Złoto dla królów, srebro dla książąt, miedź dla dowódców i tak dalej – odparłem, cytując celtyckie mądrości.

–Tak jest – powiedział, kiwając z zadowoleniem głową – ale w grę wchodzi jeszcze wiele subtelności związanych z rozmiarami, wzorem, wykonaniem i tak dalej. To nie jest trudne, połapiesz się.

–Simon – powiedziałem poważnie – skąd ty tyle wiesz? – To pytanie czało się w mej podświadomości od chwili, gdy na polu bitwy mój wzrok spoczął na Simonie. – Jak udało ci się dowiedzieć tego wszystkiego w tak krótkim czasie?

Simon uniósł pytająco brew.

–Co ty pleciesz?

–Spójrz na siebie – jesteś wojownikiem, brałeś udział w bitwie, wiesz wszystko o życiu tutaj, mówisz płynnie ich językiem. Jak to możliwe? Byłeś tu zaledwie parę miesięcy.

–Jestem z klanem Llwyddi od czterech lat – odparł poważnie Simon.

–Cztery lata! Nie mogłeś... – zacząłem i zaraz przerwałem. Czas w tym świecie nie płynął tak samo jak w świecie rzeczywistym. Każdy ze światów inaczej znaczył czas i pomiędzy tymi czasami nie było żadnego związku. Minuty mogły być latami, lata mogły być godzinami, dekadami, sekundami, wiekami. Któż to mógł wiedzieć?

W ludowych podaniach często o tym wspomniano, ale nie dawałem temu wiary. Teraz poczułem ukłucie strachu na myśl o tym, że po drugiej stronie czas płynął niezależnie. Co nas będzie czekać po powrocie?

Simon wydał gniewnie usta.

–O co ci teraz chodzi?

Odsunąłem swe obawy i uśmiechnąłem się do niego.

–O nic. Teraz czuję się jak prawdziwy Celt – powiedziałem. – To wspaniałe.

–Cieszę się, że tak myślisz.

Pochwyciłem w jego głosie delikatną nutkę złości.

–Dlaczego? O co chodzi?

–Król dziś sprawuje sądy i chce cię zobaczyć.

–Chce mnie zobaczyć? Naprawdę?

–Jesteś wysoko na liście, kolego.

–Nie wiedziałem, że on w ogóle wie o mojej obecności.

–Ależ wie – zapewnił mnie stanowczo Simon. – Jeśli Meldron mu o tym nie powiedział, to uczynił to Ruadh. Zabiłeś herosa Cruin – pamiętasz?

–Ach, tamto.

Simon utkwiał we mnie surowe i poważne spojrzenie.

–Słuchaj, żeby wszystko było między nami jasne. Ty zabiłeś herosa. Musisz się z tym

pogodzić, rozumiesz? Narobiłbyś tylko sobie i innym nie lada kłopotów, gdybyś się teraz tego wyparł.

–W porządku, Simon. Skoro tak chcesz.

–Nie mam zamiaru z tobą dyskutować. Nie masz najmniejszego pojęcia o tym, co się tu dzieje. Po prostu zrób, jak mówię. To dla twego własnego dobra, wierz mi.

–Świetnie. Cudownie. Zrobię, jak mówisz.

Musiałem wyglądać na zaniepokojonego, ponieważ Simon uśmiechnął się nagle i dał mi kuksańca w ramię.

–Nie martw się. Cały czas będę przy tobie. Gotów?

–Jak nigdy – powiedziałem, po czym dodałem: – Tylko jeszcze jedno.

–Co takiego znowu?

–Wiem, że to pewnie nie jest odpowiednia pora – zacząłem z wahaniem – ale musimy porozmawiać o powrocie – powrocie do prawdziwego świata. Powiedziałeś, abym czekał z tym do przybycia do Sycharth... no cóż, już tu jesteśmy. Może powinniśmy powiedzieć o tym królowi.

–Masz rację – odparł Simon. Przez chwilę myślałem, że będzie rozsądny. – To nie jest odpowiednia pora. Pomówimy z królem po uczcie. Chodź, zabaw się trochę, Lewis. Odpręż się, dobrze? Wszystko załatwimy w swoim czasie.

–Dobrze – zgodziłem się niechętnie. – Po uczcie.

–A zatem ruszajmy. – Simon odwrócił się i wyprowadził mnie z kwatery. Zmierzaliśmy do królewskiej hali śladem naszej wczorajszej wędrówki. Im bliżej byliśmy królewskiego dworu, tym większa była wokół krzątania. Na podwórku przed królewską halą układano na kozłach długie dechy, a po obu stronach ustawiono ławy. Grupa mężczyzn i chłopców układała piramidę z dębowych beczek. Kilkudziesięciu wojowników kręciło się w pobliżu wejścia do hali. Na drugim końcu trawiastego placu stały spętane konie.

Simon zauważył, że spoglądam na konie i powiedział:

–Niektórzy wodzowie Meldryna Mawra przybyli na llys.

“Llys” w języku dawnych Brytów oznaczało sąd – słowem tym określało się zarówno miejsce spotkania, jak i samo spotkanie. Była to wyśmienita okazja dla omówienia wszelkich spraw natury prawnej, przeprowadzenia transakcji handlowych, dochodzenia sprawiedliwości i zadośćuczynienia za osobiste krzywdy. Każdy, kto chciał wnieść skargę,

mógł stawić się na obrady sądu i przedstawić swą sprawę królowi, aby wydał stosowny werdykt. Słowo króla było prawem w królestwie, jedynym prawem, jakie znał jego lud. Z mocy orzeczenia króla można było zyskać lub stracić majątek, na zawsze zmienić swe życie.

Fakt, iż miałem być uczestnikiem tak dramatycznego spektaklu, sprawił, że na przemian przenikały mnie fale strachu i podniecenia: Czego król chciał ode mnie? Co powie? A co ja powiem? Trudno będzie mi się, zgodnie z radą Simona, odprężyć; przyjemne spędzanie czasu w ogóle nie wchodziło w grę.

Przystanęliśmy przed wejściem do hali. Simon rzucił okiem na słońce.

–Wkrótce zaczną – powiedział. – Lepiej wejdźmy do środka i zajmijmy miejsca. Ostatni raz sprawdził mój wygląd. – Szkoda, że nie mieliśmy czasu, abyś się ogolił.

–Jasne, teraz mi to mówisz – mruknąłem, pocierając szczeciniastą brodę, nagle zażenowany i poirytowany tym, że nie zadbał w porę o moje sprawy.

Przeszliśmy pomiędzy kamiennymi kolumnami, witając wojowników kręcących się w pobliżu wejścia – ktoś do nas coś zawołał, a Simon odpowiedział. Rozległy się śmiechy. Domyśliłem się, że żartowano moim kosztem, ale uśmiechnąłem się nerwowo i kiwnąłem głową. Ruszyliśmy dalej.

W wejściu stał ogromny, srogo wyglądający wojownik, wymuszając na wchodzących zachowanie należnego szacunku. Simon zagadnął do niego i muskularny olbrzym odsunął się na bok, pozwalając nam przejść. Spojrzenie, jakim mnie obdarzył, było pełne lekceważenia, nie miałem co do tego wątpliwości; najwyraźniej nie uważał mnie za zabójcę herosa.

–To jest Paladyr – wyjaśnił Simon. – Heros Meldryna. Wspaniały facet.

Hala była zimna i ciemna. Sprawiała wrażenie mrocznego lasu. Gdy moje oczy przyzwyczały się do przyćmionego światła, sączącego się przez wąskie okna, zobaczyłem, czym był ów las – były to wielkie, drewniane kolumny, wspierające belki dachu. Każda kolumna była rzeźbiona w spiralne celtyckie wzory. Na końcu ogromnego pomieszczenia gigantyczne palenisko ziało chłodem i ciemnością, niczym odkryty dół. Drewniane przepierzenie naprzeciwko paleniska zamykało odległy koniec hali; wywnioskowałem, że tam mieściły się królewskie pokoje.

Przed przepierzeniem znajdowało się okrągłe podium wykonane z kamieni, wokół którego stało siedem żelaznych słupów z płonącymi pochodniami. Na podium stał ogromny fotel, wyrzeźbiony z jednego potężnego kłoca czarnego drewna. Był ozdobiony niezliczoną ilością złotych płytek, ułożonych w spiralne wzory. W migotliwym blasku pochodni płytki zdawały się powoli obracać. Złudzenie ruchu sprawiało, że fotel był jakby ożywionym przedmiotem, obdarzonym mocą i wolą.

W pobliżu podwyższenia zgromadziło się co najmniej ze stu ludzi. Stali w małych grupkach, rozmawiając przyciszonymi głosami. Niektórzy trzymali różne przedmioty – jeden zwiniętą sztukę materiału, drugi ozdobną broń, jeszcze inny piękną misę – dary dla króla, jak przypuszczałem. Żałowałem, że i ja czegoś nie przyniosłem.

Nie musiałem się tym zbyt długo zamartwiać. Gdy tylko zajęliśmy swe miejsca na uboczu, w hali rozległo się donośne trąbienie – podobne dęciu w barani róg. Zza przepierzenia wyszedł królewski bard, wstąpił na podwyższenie i stanął przed nami. Skrajem płaszcza przykrył głowę, po czym uniósł ręce. Zobaczyłem, że trzymał w nich długą laskę, której ciemny koniec błyszczał w blasku pochodni. Bard, wyciągnąwszy nad zakrytą głową swą laskę, zaczął przemawiać ze stanowczością, głosem, w którym pobrzmiwały groźne tony.

Rzuciłem Simonowi pytające spojrzenie.

–Naczelnny bard przypomina, że słowo króla jest prawem i że od jego postanowień nie ma odwołania.

Po skończonej przemowie bard zajął miejsce z prawej strony, nieco z tyłu królewskiego tronu. Róg zagrzmiął ponownie i pojawił się sam Meldryn Mawr, Król Słońce: w olśniewających szatach, o nieskazitelnym obliczu. Wszystko – koszulę, spodnie, ciżmy – miał purpurowe. Pas ze złotych łusek połyskiwał przy każdym ruchu; w pierścieniach na palcach migotały drogocenne kamienie. Oprócz torquesu, król nosił również koronę, zrobioną z połączonych dębowych liści i gałązek. Spojrzał na zgromadzony tłum swymi ciemnymi, śmiałymi i mądrymi oczami. Siłą swojej obecności wypełniał całą halę, ściągając na siebie uwagę wszystkich; ja też nie mogłem oderwać od niego oczu.

Król usiadł, a wówczas na podium wszedł książę Meldron. Rozpostarł na ramionach ojca czarną, niedźwiedzią skórę, po czym skłonił się, dotknął stopy ojca i wycofał się, by zająć miejsce pośród innych wodzów. Dostrzegłem Ruadha, który wysunął się do przodu i stanął obok księcia Meldrona.

Król skinął głową. Na ten znak Ollathir uniósł swą laskę i uderzył nią trzy razy w kamienne podium. Potem wskazał na pierwszego z petentów, wysokiego, mocno zbudowanego mężczyznę o imponującym wyglądzie. Wskazany podszedł do podwyższenia i wyciągnął ręce, aby podać dar: piękny, nowy łuk i kołczan strzał o srebrzystych grotach.

Król skłonił głowę w podziękowaniu i mężczyzna począł wyłuszczać sprawę, z którą przyszedł. Simon przysłuchiwał się chwilę, po czym szepnął:

–To jest Rhiogan z keru Dyffiyn przy wschodniej granicy, jeden z wodzów Meldryna Mawra. Prosi króla o pozwolenie najechnia Vedeii – to plemię Cruin – mieszkających za rzeką. – Simon umilkł i znowu przysłuchiwał się chwilę. – Zdaje się, że Vedeii najechni ich ostatniej jesieni i ukradli bydło. Rhiogan chce odzyskać bydło i zabrać drugie tyle za karę.

Król wysłuchiwał jego prośby, splatając co jakiś czas palce. Gdy Rhiogan skończył mówić,

Meldryn zadał mu kilka pytań, na które wódz dawał krótkie odpowiedzi. Potem król zwrócił się do Ollathira i szepnął mu coś do ucha.

Wówczas Ollathir przekazał wodzowi postanowienie króla.

–Co on mówi? – zapytałem, zafascynowany.

–Oznajmia postanowienie króla – otrzymał pozwolenie na najazd, po warunkiem, że król otrzyma swój udział w łupach.

–Czy to sprawiedliwe? – zastanowiłem się głośno.

–To nie kwestia sprawiedliwości – wyjaśnił Simon. – Król, biorąc udział w podziale łupów, tym samym bierze na siebie odpowiedzialność za ten najazd – wina spada na niego. A zatem jeśli Vedeii to się nie spodoba, będą musieli szukać zadośćuczynienia u Meldryna Mawra, a nie u Rhiogana.

–A więc król daje im upoważnienie do zemsty w swym imieniu.

–Z grubsza rzecz biorąc.

Wódz wydawał się zadowolony z decyzji i wspiął się na podwyższenie. Podeszedł do króla, przyklęknął, pochylił się i przysunął głowę do jego piersi – niczym dziecko szukające u matki pociechy. Gest ten był dziwny, lecz bardzo wzruszający.

Następny petent był bardem udającym się na północ. Prosił o pozwolenie wzięcia udziału w zgromadzeniu bardów w sąsiednim królestwie. Prośba ta, jak się dowiedziałem, była zwykłą formalnością, nie tyle z szacunku dla króla, co przez wzgląd na Ollathira – który też będzie brał udział w zgromadzeniu.

Trzecim petentem był wieśniak z posiadłości Meldryna, który szukał u króla pomocy przy oczyszczaniu kawałka podmokłych gruntów, co wiązało się z osuszeniem fragmentu bagien. To zadanie było absolutnie ponad jego siły; potrzebował pomocy, aby przygotować ziemię do zbliżających się zasiewów.

Król, poprzez swego barda, udzielił błogosławieństwa temu przedsięwzięciu i zaoferował pomoc pięćdziesięciu wojowników pod kierunkiem gwyddona.

–Kim jest gwyddon? – zapytałem Simona, gdy wyjaśnił mi w czym rzecz.

–To rodzaj barda. Bardowie dzielą się na kilka rodzajów, czy raczej stopni. Począwszy od penderwydda – który jest głównym druidem lub naczelnym bardem – a skończywszy na mabinogu, który jest uczniem.

Skomplikowane mechanizmy, pomyślałem. Nawet tak proste społeczności mają swoją

hierarchię.

Wystąpił następny petent i przez tłum przebiegł szmer. Stojący z przodu odsunęli się od mężczyzny; po sposobie ich zachowania można się było domyślić, że to przestępca. Simon szepnął:

–To powinno być dobre.

–Kto to jest?

–To Balorgian – odparł Simon ze złośliwą radością. – To szlachetnie urodzony człowiek z rodu Meldryna Mawra. Zabił w walce jednego z krewnych Meldryna, więc był na zesłaniu przez ostatnie kilka lat.

–Co on tu robi?

–Patrz, a zobaczysz. – W oczach Simona błyszczało groźne, niemal wrogie zainteresowanie.

Król spoglądał na tego pana wielkiego rodu z wyraźną pogardą, choć trzeba powiedzieć, że Balorgian wyglądał na naprawdę skruszonego. Stał przed królem z opuszczonymi rękoma. Naczelny bard powiedział coś, zadał pytanie. Mężczyzna odpowiedział cicho. Spostrzegłem, że oblicze króla stężało; usta zacisnęły się, oczy spoglądały twardo.

–Muszę przyznać, że Balorgian ma odwagę – powiedział Simon. – Mógł zostać zabity na miejscu.

–O co chodzi?

–Żąda od króla *naud* – wyjaśnił. – To jest...

–Wiem, co to jest – odszepnąłem. Spotkałem się już z tym słowem: to było prawne określenie azylu. Wśród pradawnych Celtów człowiek wysokiego rodu miał prawo do azylu lub nietykalności, zwalniającego go od kary. Interesujące było to, że żądanie *naud* wiązało się z moralną odpowiedzialnością ze strony króla. Gdyż, za sprawą jakiejś tajemnej logiki, gdy król odmówił udzielenia *naud*, przenosiła się na niego wina za zbrodnie.

Najwyraźniej Balorgian wrócił niepostrzeżenie i wśliznął się do hali, szukając *naud*. Jeśli je otrzyma, występki zostaną wybaczone i śmiały Balorgian będzie mógł ponownie swobodnie żyć pomiędzy swym ludem. Oczywiście, Meldryn Mawr, który go zesłał, nie był tym uszczęśliwiony. Ale, jako że był Wielkim Królem, po prostu szepnął kilka słów Ollathirowi, który oznajmił przyznanie Balorgianowi *naud*. I Balorgian wyszedł z hali jako wolny człowiek.

Kilka następnych spraw dotyczyło głównie sprzeczek pomiędzy sąsiednimi klanami –

najbardziej interesująca z nich dotyczyła cudzołożnego związku pomiędzy zamężną kobietą z jednego klanu, a samotnym mężczyzną z innego. Ustalono, że samotny mężczyzna wynagrodzi krzywdy zdradzonemu mężowi, przekazując mu trzy krowy lub dziesięć owiec, w zależności od tego, co wybierze mąż. Niesfornej żony nie ominęła jednak kara. Mąż dostał pozwolenie na wzięcie kochanki, jeśli kiedykolwiek będzie miał na to ochotę.

Zdawało się, że Meldryn Mawr stracił ochotę na rozpatrywanie podobnych spraw i zaczął rozglądać się po sali za jakąś odmianą. Jego spojrzenie powędrowało ku miejscu, w którym staliśmy z Simonem, oczekując swej kolejki. Król skinął głową w naszym kierunku i Ollathir przywołał nas do podium ruchem ręki.

–Teraz my – szepnął Simon. – Ruszamy.

Simon poprowadził mnie do stóp podwyższenia. Nie mieliśmy darów, więc żadnych nie złożyliśmy. Król zdawał się nie zwracać na to uwagi. Spojrzał na mnie, jak sądzę, z żywą ciekawością. W każdym razie z jego twarzy zniknął znudzony wyraz. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

Podobnie jak czynili to inni, Simon przedstawił nas, opisując krótko przebieg wydarzeń. Tak przynajmniej przypuszczałem. Król w odpowiedzi zadał kilka pytań. Simon odpowiadał krótko. Król skinął głową i pomyślałem, że na tym sprawa się skończy, ponieważ odwrócił się do naczelnego barda i coś mu szepnął. Ollathir słuchał, cały czas obserwując mnie bacznie. Spodziewałem się, że następnie oznajmi nam wolę króla.

Miast tego jednak Wielki Król zwrócił się do mnie i przywołał mnie bliżej skinieniem ręki. Podeszedłem do podwyższenia, a za mną Simon. Król przemówił do mnie. Uśmiechnąłem się jak najuprzejmiej.

–Co on mówi? – szepnąłem półgębkiem, nie przestając się uśmiechać.

–Król pragnie wiedzieć, jak się tu dostałeś – odparł spokojnie Simon. – Rozumie, że nie mówisz jego językiem i wyznaczył mnie na tłumacza. Nie musisz szeptać, po prostu mu odpowiedz, a ja przetłumaczę.

–W porządku, ale co mam mu powiedzieć?

–Powiedz mu prawdę – ponaglił mnie Simon. – Ale bez względu na to, co mu powiesz, nie wahaj się. Dla nich nawet sekunda wahania jest tym samym co kłamstwo.

Przełknąłem z trudem ślinę. Król przyglądał mi się życzliwie.

–Wielki Królu – powiedziałem – jestem tu obcy. Przybyłem do twego królestwa z innego świata – przez cairn na świętym wzgórzu.

–Dobra odpowiedź – powiedział Simon, a następnie przetłumaczył moje słowa. Król skinął

głową, nie okazawszy zaskoczenia, i zadał następne pytanie, które Simon mi przekazał. – Pragnie wiedzieć, jak udało ci się zabić herosa Cruin.

–Wielki Królu – rzekłem – zabiłem herosa Cruin, jakby to powiedzieć, przez przypadek. W ogniu bitwy znalazłem włócznię i nadziałem go na nią, gdy mnie zaatakował.

Simon bez wahania powtórzył mi odpowiedź i ponownie przekazał pytanie króla.

–Chce wiedzieć, czy jesteś wielkim wojownikiem w swym świecie.

–Wielki Królu, nie jestem wojownikiem.

Król uniósł w zdumieniu brwi, gdy usłyszał powtórzone przez Simona słowa.

–Jeśli nie jesteś wojownikiem, to kim jesteś w swym świecie? Bardem? – zapytał Simon w imieniu króla.

–Wielki Królu, nie jestem bardem.

Król wysłuchał odpowiedzi Simona i zapytał poprzez niego:

–Jesteś rzemieślnikiem, a może rolnikiem?

–Wielki Królu – odparłem – nie jestem ani rzemieślnikiem, ani wieśniakiem.

Meldryn Mawr był prawdziwie zaintrygowany moją odpowiedzią. Powiedział do mnie coś ze szczerym zakłopotaniem.

–Co on mówi? – zapytałem z rozpaczą w głosie.

Simon przetłumaczył: – Nie walczysz, nie śpiewasz, nie siejesz ani nie zbierasz. Co zatem robisz, nieznamy?

–Co mam mu powiedzieć? Co mówić? – zasyczałem do Simona.

–Po prostu odpowiedz! – syknął Simon. – Szybko!

–Wielki Królu – powiedziałem – czytam i piszę. Uczę się.

–Wspaniale – mruknął Simon – To już koniec. – Przekazał jednak moją odpowiedź królowi.

Meldryn obdarzył mnie pełnym surowej dezaprobaty zmarszczeniem brwi i odwrócił się ku Ollathirowi, a potem ku Meldronowi, który coś mu szepnął. Wokół nas rozległy się nieprzychylne pomruki.

–Co się dzieje? – zapytałem.

Nim Simon zdążył odpowiedzieć, przemówił król. Simon przetłumaczył: – Król mówi, że nie pozwoli z siebie kpić nikomu – także gościowi, który nie zna obyczajów Llwyddi. Przybyłeś na jego dwór w stroju wojownika, zostaniesz więc wojownikiem.

–To niemożliwe! – szepnąłem przerażony. – Wyjaśnij mu. Nie zostajemy tutaj. Odejdziemy stąd, tak szybko jak to będzie możliwe – odejdziemy, Simon. Gdy tylko odnajdziemy drogę powrotną do naszego świata, znikamy. – Błagałem rozpaczliwie. – Musisz mu to powiedzieć, Simon. Wytłumacz mu.

Simon powiedział coś królowi, który wysłuchał go, po czym szepnął odpowiedź do ucha naczelnego barda. Ollathir przekazał wolę króla tonem władczej, groźnej nieodwołalności. Gdy skończył, uderzył trzykrotnie laską o kamienie i llys został zakończony. Król wstał ze swego sędziowskiego tronu i wyszedł. Zebrani w hali ludzie poczęli powoli wychodzić na zewnątrz, gdzie trwały przygotowania do uczy na cześć zwycięstwa.

–No i jak? – powiedziałem, gdy tylko wyszliśmy z hali. – Co powiedział? Co się tam wydarzyło?

Simon ociągał się z odpowiedzią.

–Nie uznał za stosowne zmienić swego zdania – powiedział w końcu.

–To znaczy?

–Zostaniesz wojownikiem, chłopie.

–On nie może tego zrobić!

–Ależ może – upierał się Simon. – On jest królem.

–Ale ja nie mam zielonego pojęcia o wojowaniu. Zabiją mnie! A poza tym, nie mam zamiaru długo tu zostawać. Nie powiedziałaś mu, że zaraz odchodzimy? Musimy wracać, Simon. Nie powiedziałaś mu tego, prawda?

Simon zawahał się.

–Niedokładnie.

–A co mu powiedziałaś? – prawie krzyczałem z oburzenia. Ludzie wokół nas przyglądali mi się, najwyraźniej ubawieni moją histerią.

–Mów ciszej – ostrzegł Simon. – Pomyślą, że kwestionujesz wolę króla.

–Racja, cholera! Kwestionuję wolę króla! To robię.

–Przestań – ostrzegł Simon. – Nie tutaj – nie przy wejściu do królewskiej hali.

–Będę wymyślał, gdzie mi się podoba! O co do diabła chodzi? – dopytywałem się. Simon schwycił mnie za ramię i odciągnął od hali.

–Król uznał, że ktoś, kto przez przypadek zabił herosa, zasługuje na szansę wykazania się godnym tego czynu. Skoro utrzymujesz, że łatwo się uczysz, to nauczysz się wojennego rzemiosła. On naprawdę wyświadcza ci zaszczyt. I to spory, zważywszy...

–Zważywszy na co?

–Zważywszy na to, jak go znieważyłś swymi lekceważącymi odpowiedziami.

–Lekceważące odpowiedzi! Co ty wygadujesz?

–Nie wojownik, nie bard, nie rolnik – zrobiłeś z niego głupca w obliczu jego wodzów. To było bardzo ryzykowne posunięcie.

–Nie miałem takiego zamiaru – zaprotestowałem. – Starłem się jedynie odpowiadać na jego pytania, tak jak mi radziłeś.

–On to wie – wyjaśnił Simon – dlatego właśnie nie wyrwał ci od razu języka. Powiedziałem ci już, to naprawdę zaszczyt.

–Ale ja go nie chcę! – upierałem się. – Będziesz musiał z nim porozmawiać. Wyjaśnić wszystko. Załatwić to. Może mógłbyś skłonić jego barda do pomocy.

–Za późno – wyjaśnił Simon. – Miałeś swoją szansę. Wola została ogłoszona. Słowo króla jest prawem, pamiętasz?

–Ale to śmierzcząca sprawa! Co do ciężkiego licha mam teraz zrobić?

Simon wskazał na drugą stronę trawiastego podwórca, gdzie znajdowały się spętane konie. Odwróciłem się i zobaczyłem Ollathira rozmawiającego z młodym mężczyzną. Młodzieniec ujął skraj płaszcza naczelnego barda, uniósł go do ust i pocałował. Ollathir oddalił się, nie spojrzawszy nawet w naszą stronę. Młodzieniec szybko zebrał wodze obydwu koni i ruszył w naszym kierunku.

–On tu idzie – zauważyłem. – Simon, co on robi? – Obawa poczęła mi pełznąć po plecach niczym mrówki. – Co się dzieje?

Simon położył mi rękę na ramieniu.

–Uspokój się, Lewis. To dla twego dobra.

–Co dla mojego dobra? Simon! O co tu chodzi? – Głos podniósł mi się o kilka tonów. – Ty wiesz... więc powiedz mi, do cholery!

–Posłuchaj uważnie, Lewis – odparł Simon, jakby przywoływał do porządku roztargnione dziecko. – Nie stanie ci się nic złego. Wyruszasz w podróż.

–Nie rozumiem. Dokąd jadę?

–Jedziesz na Ynys Sci – wymówił to Ennis Sky – to wyspa – na której jest szkoła wojowników. Tam nauczą cię, jak walczyć, a gdy nauczysz się, wrócisz tu, by służyć Meldrynowi.

–Szkoła wojowników! To żart, prawda?

Simon z powagą pokręcił głową.

–To nie żart. Chłopcy z całego Albionu wysyłani są do tej szkoły – synowie królów i herosów. Mówiłem ci, to wielki zaszczyt.

Byłem zbyt oszołomiony, aby wydobyć z siebie słowo. Stałem, patrząc w niemej rozpaczy, jak młodzieniec podszedł do nas i pozdrowił Simona. Wymienili kilka słów, po czym młodzieniec odwrócił się do mnie i dotknął dłońmi swego czoła.

–To jest Tegid Tathal – powiedział Simon. – On jest brehonem – to jeszcze jeden rodzaj barda. Jest prawą ręką Ollathira. Naczelny bard wybrał go na twego przewodnika. Spoczywa na nim również odpowiedzialność za nauczenie cię tutejszego języka.

Tegid uśmiechnął się do mnie i podał mi wodze jednego z koni.

–Tak po prostu... odjeżdżamy?

–Tak. Tak po prostu. – Simon podszedł do konia. – Chodź, pomogę ci wsiąść.

–To szaleństwo! – wymamrotałem. – Poważnie, to jakiś obłąd! Ja jestem nietutejszy.

–Odpręż się – uspokajał Simon. – Baw się dobrze. To będzie przeżycie, którego nigdy nie zapomnisz. Żałuję, że nie mogę jechać z tobą – poważnie.

–Nie możesz?

–Rozkaz króla – Simon wzruszył ramionami. – Ale nie martw się. Będę czekał na ciebie, gdy wrócisz.

–Jeśli wrócę, chciałeś powiedzieć.

–Ależ nie ma obawy, wrócisz – zapewnił mnie Simon. – Tegid powiedział mi, że król zarządził roztoczenie nad tobą specjalnej opieki – nie wolno cię zabić w czasie ćwiczeń.

Simon splótł dłonie i wykonał zachęcający ruch. Podniosłem nogę, a on wrzucił mnie na

siodło. Powiedziałem "siodło"... ale to była tylko skórzana derka zarzucona na złożony płaszcz, z przytrzymującym ją rzemieniem.

–Simon, posłuchaj. Muszę pomówić z królem. Musisz nakłonić go do zmiany decyzji. Mówię poważnie, Simon. Nie możemy tu zostać. Musimy wracać. My nie należymy do tego świata.

Gdy tylko usadowiłem się na koniu, Tegid wskoczył na siodło, zawrócił swego konia i ruszył kłusem przez trawiasty podwórzec. Mój rumak, ogromny siwek, podążył za nim.

–Ja nie potrafię jeździć konno! – wrzasnąłem, chwytając się grzywy zwierzęcia, jakby od tego zależało moje życie.

–Oczywiście, że potrafisz! – zawołał Simon. – Powodzenia, Lewis!

Z tymi słowami rozstaliśmy się. Ludzie przerywali pracę i wołali do nas, gdy ich mijaliśmy – chyba nas żegnali. W wąskiej bramie keru obejrzałem się i zobaczyłem, że machają nam na pożegnanie. Zrobiłem kwaśną minę, gdy uświadomiłem sobie, że dzięki wspianiałemu zaszczytowi, jakim obdarzył mnie Meldryn Mawr, stracę ucztę.

17. Droga do Ynys Sci

tak czarownym kraju nie potrafiłem długo być w ponurym nastroju. Całe dni jechaliśmy przez niewyobrażalnie piękną okolicę: każdy widok zapierał dech w piersi, oczarowywał. Co kilkaset jardów miałem ochotę zatrzymać się, aby podziwiać widoki. Gdyby Tegid na to pozwolił, nadal byłibyśmy w drodze do Ynys Sci.

Podróżowaliśmy bez bagaży; ja, oprócz odzienia na sobie, nie miałem niczego, a Tegid wiozł ze sobą jedynie dębową laskę i dużą, skórzaną sakwę ze skromnymi zapasami, przytroczoną do siodła. Przewodnik utrzymywał powolne, choć stałe tempo. I byłem mu za to wdzięczny. Nie jeździłem konno od czasu przejażdżek na kucyku szetlandzkim w dzieciństwie. Tegid pozwolił, abym spokojnie przypomniał sobie podstawowe umiejętności i opanował kilka nowych. Pokazał mi, jak kierować koniem za pomocą delikatnego uścisku kolan, dzięki czemu ręce miało się wolne i można było nimi trzymać tarczę i miecz lub włócznię. Kilka razy w ciągu dnia przynaglał konie do galopu, dzięki czemu szybko nauczyłem się trzymać prosto na szerokim, rozkołysanym grzbiecie pędzącego zwierzęcia.

Dni były łagodne i słoneczne, noce chłodne i rześkie, wiosna była w pełni. Podróżowaliśmy na północ i zachód rozległymi równinami ciągnącymi się nad rzeką Sychnant. Podążaliśmy pradawnym szlakiem, który wytyczył któryś z królów Llwyddi, aby połączyć swe rozproszone dobra. Sarn Meldraen, nazwał go Tegid. Według jego słów, to imię upamiętniało jednego ze sławnych przodków Meldryna Mawra.

Tegid opowiadał mi o niezliczonych rzeczach, a ja początkowo niewiele rozumiałem. Ale on był niezmiernym nauczycielem, zasypywał mnie potokiem słów od samego świtu, aż po czas, gdy powieki opadały mi przed wieczornym spoczynkiem. Dzięki niesłabnącej

gorliwości, z jaką Tegid nieprzerwanie do mnie mówił, zacząłem powoli chwytać protoceltycką mowę mieszkańców Albionu.

Oczywiście, rozpoznawałem wiele pojedynczych słów; w czasie swych studiów nad kulturą celtycką zetknąłem się z dziesiątkami form starszych wyrazów, które niewiele się zmieniły. Cóż w tym dziwnego? W końcu bardowie starożytnych Brytyjczyków zawsze utrzymywali, że ich język pochodził z tamtego świata. Większość naukowców nie przykładła żadnej wagi do tego typu opowieści, uważając je za nonsensowne bajania, dzięki którym pozbawione znaczenia plemię próbowało dodać sobie splendoru, utrzymując, że wywodzi się od sławnych przodków. Ale ja, słuchając mowy Tegida, nie miałem takich wątpliwości. Język Albionu był dosadny i subtelny, niesamowicie wyrazisty i soczysty, z bogactwem odcieni, brzmień i intonacji. Bez trudu rozpoznawałem w nim korzenie współczesnego języka celtyckiego.

Od czasu gdy samotnie wyruszyliśmy na szlak, starałem się jak najdokładniej powtarzać za moim nauczycielem łamiące język sylaby. Trzeba mu oddać, że nigdy nie śmiał się z moich niepowodzeń i chwalił każdy najdrobniejszy sukces. Wymyślał dla nas gry w słowa i udawał głuchego za każdym razem, gdy ze zmęczenia czy zniechęcenia przechodziłem na angielski. Z prawdziwym zapalem starał się, abym opanował przyprawiające o ból głowy zawilości jego języka, a nie rzucał tylko dziwne wyrazy czy frazy. A gdy stanąłem w miarę pewnie na najniższym szczeblu, Tegid już tam był, popychając mnie wyżej, ku bardziej złożonym i wyrafinowanym pojęciom.

Poddany tak intensywnej i pobudzającej wyobraźnię nauce, posiadałem z grubsza znajomość tego, co bardowie nazywają Moddion-o-Gair – “Ścieżką słów”. A w miarę nauki zaczynałem coraz wyraźniej dostrzegać otaczający mnie świat. Brzmi to dziwnie, wiem, ale jest to prawdą. Ponieważ im więcej znałem słów dla określenia rzeczy, tym lepiej potrafiłem wyrazić swe myśli, tym moje myśli były żywsze. Świadomość pogłębiała się, spostrzegawczość wyostrzała.

Myślę, że to miało związek z samym językiem: nie było w nim martwych słów. Nie było w nim słów, które ucierpiały od pełnej ignorancji drapieżności niedouczonego pismaków czy też wylugowanych z treści używaniem w wulgarny sposób; słów, które zatraciły znaczenie na skutek nadużywania lub zostały spospolितowane przez biurokratyczną nowomowę. W konsekwencji mowa Albionu była językiem w pełni żywym, bogatym w znaczenia: poetyckim, obrazowym, tryskającym rytmem i dźwięcznością. Wymawiane głośno słowa posiadały moc poruszenia serca i rozumu: przemawiały do duszy. W ustach barda opowieść stawała się zadziwiającym objawieniem, pieśń przybierała postać cudu niemal paraliżującej piękności.

Spędziliśmy z Tegidem trzy tygodnie na szlaku – ja nazywam je tygodniami, choć bardowie nie liczyli w ten sposób mijających dni – trzy tygodnie obcowania z językiem Albionu i chłonięcia go: wieczorem przy ognisku, w ciągu dnia w siodle, dla pokrzepienia i odpoczynku nad strumieniami zimnej wody, czy na szczytach wzgórz. Nim dotarliśmy do

Ffim Ffaller, mówiłem jak Celt – aczkolwiek Celt nieco lakoniczny.

Wiele dowiedziałem się o otaczającym mnie świecie. Albion był wyspą – czego sam się domyśliłem – zajmującą z grubsza to samo miejsce i mającą ten sam kształt co wyspa Wielka Brytania w rzeczywistym świecie. Tegid narysował mi na ziemi mapę, aby pokazać, dokąd jedziemy. Mimo wielu uderzających podobieństw, zasadniczą różnicą była wielkość: Albion był wielokrotnie większy od Brytanii, którą zostawiłem za sobą. Sądząc po przebytych odległościach, Albion był ogromny; zarówno kraina, jak i świat, w którym się znajdowała, były o wiele bardziej rozległe niż mogłem sobie wyobrazić.

Tegid okazał się istną fontanną informacji, łyknąłem więc nieco wiedzy o puszczy i dzikich zwierzętach. Nic nie umknęło jego uwagi, ani na niebie, ani na ziemi. Żaden szczegół nie był zbyt znikomy, zjawisko zbyt trywialne, wszystko dawało pretekst do kolejnej lekcji. Ten człowiek był niezmordowany.

Choć był utalentowanym nauczycielem, nie wykazywał zainteresowania tym, skąd przybyłem, ani jak znalazłem się na dworze Meldryna Mawra. Nie zadawał mi żadnych pytań na temat mojego świata. Początkowo dziwił mnie ów brak ciekawości. Potem jednak zacząłem mu być wdzięczny za tę obojętność. Z coraz większą niechęcią wracałem bowiem myślami do rzeczywistego świata. Prawdę powiedziawszy, czasami zapominałem o nim na całe dni i uważałem to zapomnienie za zbawcze.

Całkowicie zdałem się na opiekę Tegida i wiele dowiedziałem się o Albionie – więcej niż sam odkryłbym przez całe lata. Przy okazji dowiedziałem się również wiele o moim przewodniku i towarzyszu.

Tegid Tathal ap Talaryant był bardem i synem barda. Śniady, o ciemnoszarych oczach, wyraźnie zarysowanej brodzie i pełnych wyrazu, szerokich ustach, przywodził na myśl wizerunek zadumanego poety. Tegid pochodził ze szlacheckiego rodu – i było to widać w każdym szczególe jego kształtnej postaci – urodził się na południu, w plemienu, które od pokoleń dostarczało bardów dla królów Llwydd. Przy nim byłem boleśnie świadomy swego nieszczęśliwego wyglądu: musiałem wydawać się bardzo brzydki na tle tak przystojnego ludu – z moją pospolitą fizjonomią i mizerną posturą.

Tegid, choć młody, przynajmniej wedle standardów Albionu, był już brehonem, jedynie trzy stopnie niżej od penderwydda czyli naczelnego barda. Brehon był bardem, którego wyszkolenie zapewniało znajomość zawilosci plemiennego życia: począwszy od praw, wedle których obierano króla, zasad pierwszeństwa na dworze, po ostatecznie sprzeczki pomiędzy rolnikami o ziemię i o to, ile krów powinno się zapłacić za zajęcie miejsca prawowitego małżonka w jego łożu. Gdy bard stanie się wyrocznią we wszystkich sprawach natury publicznej i prywatnej, wówczas zostaje gwyddonem, a potem derwyddem.

Kolejne stopnie wtajemniczenia bardów były szczegółowo opracowane i sformalizowane,

ich role zostały dobrze określone przez wieki najwyraźniej niezmienną tradycją. Kandydaci zaczęli od mabinoga – którzy dzielili się na dwie podgrupy, cawganog i cupanog – i przechodzili kolejno różne stopnie wtajemniczenia: filidha, brehona, gwyddona, derwydda i w końcu penderwydda, czasami zwanego Najważniejszym z Ważnych. Zwano go Phantarch i był wybierany jednogłośnie przez równych sobie, aby sprawować władzę nad wszystkimi bardami Albionu.

Według słów Tegida, Wyspa Potężnych była jakimś tajemnym sposobem chroniona przez Phantarcha. Z jego opisu wynikało, że Phantarch naprawdę stoi u podstaw królestwa, wspierając je na swych barkach. Uznałem to za osobliwie poetycką koncepcję.

Przez cały pierwszy tydzień byłem obolały od siodła, a raczej jego braku, i wyczerpany trudami podróży. Pod koniec drugiego tygodnia oswoiłem się z koniem i zacząłem widzieć szansę na całkowite odzyskanie sił. Kiedy nadszedł czas zamiany koni na koje na statku, z prawdziwą przykrością patrzyłem na ich odejście.

Pewnego popołudnia, pod koniec trzeciego tygodnia, zatrzymaliśmy się na szczycie skalistego cypla na zachodnim wybrzeżu i Tegid wskazał na osiedle daleko w dole w zamglonej dolinie. Pomiędzy dwoma wyniosłymi cyplami morze uformowało dno doliny, wcinając się głęboko w ląd i tworząc przyjemnie osłoniętą zatokę. Niewielkie osiedle zostało zbudowane dla potrzeb tamtejszej przystani.

–To jest Ffim Ffaller – powiedział Tegid. – Tam będziemy oczekiwać na statek, który zabierze nas na Ynys Sci.

–Czy będziemy musieli długo czekać?

–Nie. Dzień, dwa, może trochę dłużej. Ale nie sędzę. – Odwrócił się, spojrzał mi w oczy i położył mi dłoń na ramieniu.

–Dobrze się spisałeś, bracie. Król będzie zadowolony.

–A ty byłeś dobrym nauczycielem, Tegidzie. Jestem ci wdzięczny za wszystko, co zrobiłeś. Podarowałeś mi oczy, bym widział, uszy, bym słyszał i język, abym mówił. Dziękuję ci za to.

Moją pochwałę skwitował wzruszeniem ramion i powiedział:

–Nauczyłbyś się tego wcześniej czy później. Cieszę się jednak, jeśli ci pomogłem.

Potem ruszyliśmy do osiedla szlakiem biegnącym stromo w dół. Nie rozmawialiśmy więcej. Przystań w Ffim Ffaller składała się jedynie z drewnianego mola i miejsca składowania łodzi na kamienistym nabrzeżu. Molo było wystarczająco duże, aby mogły przy nim zacumować trzy, cztery statki, a w zatoce mogło się ich zmieścić jeszcze sześć. Krótko mówiąc, miejsce wyglądało dokładnie na to, czym było: miejscem postoju w połowie drogi dla statków płynących dalej na północ i południe.

Osiedle składało się z grupki okrągłych domów z plecionki pokrytej gliną, zagrody dla inwentarza i kilku przybudówek. Dodajmy do tego cztery brązowe szalasy, które służyły za składowisko dla łodzi i będzie już całe Ffim Ffaller, dom dla być może trzydziestu ludzi.

Wjechaliśmy kłusem do osiedla. Spotkało nas ciepłe przyjęcie, gdyż byliśmy pierwszymi gośćmi tego sezonu. Przywódca miejscowej społeczności potwierdził, że okrętu spodziewają się jutro lub pojutrze i oddał nam do dyspozycji gościnną chatę oraz wyznaczył kobietę, która miała gotować nam posiłki. Tegid dał mu w zamian kawałek złota, odłamany z jednego z cienkich prętów, które nosił w skórzanej sakiewce za pasem. Wódz przyjął zapłatę, zarzekając się, że nie była ona w ogóle konieczna: wystarczyłyby w zamian wieści o tym, co się dzieje w królestwie.

Wówczas pojąłem, jak samotni musieli się czuć ci ludzie w tym odizolowanym od świata miejscu. Wieści o wydarzeniach z dalekiego świata były cennym towarem, a podróżnicy kupcami o niepośledniej pozycji. W rzeczy samej, nim nasz pobyt u nich dobiegł końca, odpłaciliśmy zawiązką za mieszkanie, opowiadając i powtarzając wieści, jakie z sobą przywieźliśmy.

Fakt, że Tegid był bardem, jeszcze bardziej podnosił naszą popularność. Pośród mieszkańców osiedla nie było nawet filida. Przez całą długą, mroźną zimę nie było pieśni i opowieści – nie licząc tych, które ludzie opowiadali lub śpiewali sami. Może to nie wydawać się zbyt uciążliwe, ale zimowe wieczory są długie, a dni mroczne. Pieśni barda potrafią dodać magicznego uroku życiu wiedzionemu przy palenisku.

To właśnie w Ffim Ffaller po raz pierwszy usłyszałem prawdziwego barda. Tegid śpiewał dla mieszkańców osady i było to cudowne przeżycie, które na zawsze zachowam w pamięci.

Zebraliśmy się wszyscy wokół centralnego paleniska w domu wodza. Było po wieczery i wszyscy przyszli posłuchać śpiewu Tegida. Bard wcześniej wyciągnął ze swej skórzanej sakwy harfę i zabrał ją na nabrzeże, aby nastroić. Gdy wszedł do chaty, ludźmi wstrząsnął dreszcz podniecenia.

Tegid przeszedł na drugą stronę paleniska i zajął tam miejsce, stając przed nami wyprostowany, wysoki, w płaszczu spływającym z ramion wdzięcznymi fałdami, i z harfą opartą na piersi. Jego piękne rysy oświetlał migotliwy blask ognia. Pochylił ciemną głowę i przebiegł palcami po strunach, wydobywając kaskadę dźwięków, tryskającą niczym deszcz srebrnych monet sypanych na stos.

Potem, wzięwszy głęboki oddech, zaczął śpiewać – bez afektacji, ale w pełen wyrazu sposób. Śledziłem treść pieśni najlepiej, jak potrafiłem, ale pogubiłem się w misternym splocie słów. Jakie to miało znaczenie? To, co zyskałem, daleko przewyższało stratę. To była magia.

Opowieść Tegida – historia samotnego rybaka, który ubiegał się o względy kobiety z morskiej toni, jedynie po to, aby ją potem utracić w morzu – była śpiewana tak pełnym wyrazu i zniewalającym głosem, na melodię tak chwytającą za serce, że łzy same płynęły mi z oczu przy słuchaniu. Mogłem zrozumieć tylko niektóre fragmenty, nie wyczuwając przy tym wszystkich subtelności, a jednak pieśń poraziła mnie z ogromną mocą. Przejmująca melodia napełniła moją duszę tęsknotą.

Tegid skończył, a ludzie nadal siedzieli pogrążeni w milczącym zachwycie. Po chwili bard rozpoczął nową pieśń. Ale ja, niczym biedak, który delectował się pożywieniem o wiele za obfitym, jak na jego skromny apetyt, czułem przesyty. Następną porcja mogłaby mnie zabić. Wymknąłem się więc po cichu i poszedłem przejść się brzegiem morza.

Tam, w głębokich ciemnościach nocy, spacerowałem kamienistą plażą, spoglądając na błyszczące gwiazdy i przysłuchując się igraszkom fal na brzegu. Byłem oczarowany. Przez całe życie nigdy nie byłem bardziej poruszony – i to zwykłą pieśnią o syrenie. Nie potrafiłem ani uwierzyć w to, ani pojąć tego, co się mi przytrafiło. Coś w głębi mojej duszy przebudziło się, jakaś od dawna usypiona część mnie została obudzona do życia. Nie mogłem już dłużej być tym, kim byłem przedtem. Ale jeśli nie byłem tym, kim byłem, to kim w istocie byłem?

Och, to straszliwy raj – pełen fantastycznych uniesień i trwogi. Przerazenie i piękno, kompletne, nierozcieńczone – i ja bezbronny zarówno wobec jednego, jak i drugiego. Jakże mógłbym kiedykolwiek wrócić do znanego mi dotąd świata? Szczerze mówiąc, nie rozważałem już możliwości powrotu. Jestem tutaj za sprawą jakiegoś cudu i tutaj chcę pozostać.

Długo chodziłem po plaży i nie spałem tej nocy. To coś, obudzone we mnie do życia, nie dałoby mi spokoju. Jak mógłbym spać, gdy dusza płonęła? Otuliłem się płaszczem i dalej chodziłem brzegiem morza. Mój umysł unosił się i tańczył, niespokojny, jakby kołysała go fala przyływu w zatoce, moje serce waliło z podniecenia, zachwytu i trwogi. Świt zastał mnie skulonego w szalasię. Przyglądałem się, jak srebrzysta mgła spływa ze stromych zboczy, by ścielić się na zimnych niebieskoczarnych wodach zatoki. Poranne niebo było posępne i ciemnoszare, ale świt różowił już sunące wzdłuż wybrzeża chmury. W zatoce rzuciła się ryba. A od miejsca, w którym z pluskiem wpadła do wody, poczęły się rozchodzić kręgi.

Widok srebrzystego kręgu na spokojnej wodzie poruszył mnie do głębi. Wydał mi się znakiem, zwiastunem brzemienym w znaczenie, symbolem mojego życia: na niezmaconej niegdyś tafli powstało migotliwe poruszenie, wciąż poszerzający się krąg. Krąg będzie powiększał się, dopóki nie wchłonie go przepastna zatoka – a potem nic już nie zostanie, nic, co mogłoby świadczyć o tym, że kiedyś w ogóle istniał.

18. Szkoła Scathy

Łącznia w dłoni mego przeciwnika miała gładki, zaokrąglony, drewniany koniec zamiast

metalowego ostrza. Pomimo to pchnięcia nią były bardzo bolesne. Od stóp po głowę byłem fioletowy od siniaków. Zaczynałem już mieć dosyć tych poszturchiwań przy każdym obrocie. Mały zadowolony z siebie brutal na drugim końcu włóczni uważał, że góruje nade mną we wszystkim poza wiekiem.

Cynan Machać miał około piętnastu wiosen, był wyrośnięty jak na swój wiek i już groźny jako przeciwnik. Był typowym przykładem rozpuszczonej królewskiej latorośli: włosy niczym płonąca strzecha, małe, chabrowe, głęboko osadzone oczka, jasna skóra poznaczona nieco rdzawymi piegami. Obnosił się ze swą arogancją, podobnie jak z grubym srebrnym torquesem, z którego był nieznośnie dumny.

Wyciskał ze mnie siódme poty, odkąd nasz instruktor, Boru – wysoki, smukły niczym trzcina geniusz oszczepu – połączył nas w parę. Boru, sam uczeń pod opieką Scathy, potrafił rzucić oszczepem dalej niż większość ludzi widziała i trafić w spadające z drzewa jabłko. Wszyscy uczniowie pilnie słuchali Boru, gdy tylko raczył udzielać instrukcji.

Tego dnia ponad wszystko pragnąłem uratować swą sponiewieraną dumę – uniknąć jakimś sposobem kolejnych cięć z rąk mego nadętego młodocianego przeciwnika. Każdego dnia miałem ten sam problem. Ale dziś szczególnie leżało mi to na sercu. Sprawy jednak nie układały się po mojej myśli, czas uciekał. Wkrótce zakończą się ćwiczenia z włóczniami, a ja za wszelką cenę chciałem jeszcze odzyskać szacunek dla samego siebie.

Dziesięć kroków dalej stał Cynan ze swym zwykłym wyniosłym uśmieszkiem na piegowatej twarzy. W obu rękach trzymał przed sobą włócznię. Wiedzieliśmy, że ostatni pojedynek zakończy się tak, jak zawsze, bez względu na to, który z nas pierwszy ruszy do ataku: będę leżał na plecach z ostrym bólem w żebrach, piersi, goleniach lub barkach – czy gdziekolwiek ten mały zarozumialec będzie miał ochotę mnie dźgnąć.

Wpatrywałem się w niego – taki sprytny, spokojny, taki nadęty – i krew we mnie zawrzała. Przysiągłem sobie, że zetrę ten butny uśmieszek z jego twarzy raz na zawsze. Ścisnąłem w dłoniach włócznię. W mej umęczonej głowie zaświtał pewien pomysł.

Zrobiłem krok do przodu. Cynan wyprostował się.

Zrobiłem kolejny krok, potem następny. Cynan też ruszył mi na spotkanie – uśmiechając się szeroko.

–Jeszcze jeden upadek? Nie masz dosyć jak na jeden dzień?

–Jeszcze raz – powiedziałem stanowczo. Tak, tylko jeszcze raz, ty parszywy gnojku.

Cynan przysunął się bliżej, szczerząc się ze złośliwą uciechą. Był zarozumiały i okrutny; bawiło go maltretowanie mnie. Cóż, uderzył o raz za dużo i teraz nie miałem już nic do stracenia. Jeśli znowu zostaną pokonany, to będzie to jedynie kolejna z długiego, bolesnego pasma porażek. Ale jeśli mój plan powiedzie się...

Pochyliłem swą tępą włócznią. Cynan pochylił swoją. Przysunąłem się o krok bliżej. On też zrobił krok do przodu.

Boru, stojący na środku palcu, uniósł do ust srebrny róg i zadał przeciągle, wibrujące na znak zakończenia ćwiczeń. Ale ja zignorowałem ten sygnał. Na rumianej twarzy Cynana pojawił się wyraz zaskoczenia. Zwykle to ja pierwszy paliłem się, żeby już kończyć.

–Nie rezygnujesz?

–Nie dziś, Cynan. Zaczynaj.

Cynan ruszył, zadając włócznią szybkie, krótkie pchnięcia. Miał nadzieję sprowokować mnie. Ja jednak stojąc bez ruchu, pozwoliłem mu się zbliżyć.

–Zawzięty dziś jesteś, Collri – zaśmiał się. – Muszę nauczyć cię lepszych manier.

Collri, bo tak mnie nazwali, jest grą słów i oznacza “przeegrany” – taki właśnie byłem pośród swych młodszych kolegów wojowników.

–A zatem ucz, Cynan – powiedziałem. – Czekam.

Inni, wyczuwając panujące pomiędzy nami napięcie, gromadzili się wokół. Niektórzy kpili i docinali, ale większość była po prostu ciekawa, kto zostanie pokonany. Rzucali głupie rady i dowcipkowali.

Cynan dostrzegł szansę popisania się i w pełni ją wykorzystał. Pochylił głowę i zadał szybkie pchnięcie. Ja pochyliłem drzewce i sparowałem w dół jego cios, tak jak nas uczono. Przewidując to, Cynan odczekał, aż czubek jego włóczni opadł i szybko wykręcił grubszy koniec drzewca ku mej głowie. To był dobry ruch. Bardzo dobry.

Ale posłużył się nim już poprzednio. I tym razem byłem przygotowany. Wyciągnąłem ręce i podniosłem pikę nad głowę na spotkanie jego miażdżącego czaszkę ciosu. Tym samym odstłoniłem brzuch. I Cynan to dostrzegł. Obrócił się i wymierzył mi kopnięcie w wystawione na ciosy podbrzusze. W chwili, gdy podniósł nogę, szybko zwarłem ręce.

Jego włócznia napotkała moje uniesione drzewce. Pozwoliłem, aby złagodziło uderzenie i obróciłem je z całej siły w dół. Dałem mu porządnego kiksa w goleń wyciągniętej nogi. Cynan krzyknął – bardziej z zaskoczenia niż z bólu, jestem pewny. Zebrani wokół nas wybuchnęli głośnym śmiechem.

Cynan wycelował koniec włóczni w moją twarz, aby zmusić mnie do cofnięcia się. Ale ja uchyliłem się i walnąłem go błyskawicznie po palcach. Myślałem, że to wytrąci go z równowagi i będę mógł go przewrócić. On jednak wbił mi łokieć w żebra i to ja się zatoczyłem. Wykorzystując przewagę, poderwał nogę i podciął mi piętę. Padłem na plecy na gołą ziemię placu ćwiczeń i Cynan walnął mnie w czubek głowy.

Zuchwały brzdąc roześmiał się, a wraz z nim wszyscy zebrani. Oto znowu leżałem plecami na ziemi. Ujrzałem jego głupkowato uśmiechniętą twarz, zobaczyłem jak odwraca głowę, aby zrobić jakąś kąśliwą uwagę do Boru, który przyglądał się razem z innymi. Znowu mnie pokonał.

Słyszałem śmiech i wściekłość wezbrała we mnie niczym lawa. Poczerwieniało mi w oczach. W uszach dudnił mi huk fal. Nie myśląc, zakręciłem drewnianą włócznią ku kolanom Cynana i grzmotnąłem go w obie rzepki. Cynan wypuścił włócznię i poleciał w przód. Jego głośny śmiech zmienił się w zdławiony krzyk.

Padł na ręce obok mnie. Przekręciłem się na kolana i walnąłem go drzewcem w plecy. Cynan pocałował ziemię. Poderwałem się na nogi i pchnąłem go mocno grubszym końcem włóczni pomiędzy łopatki. Cynan wrzasnął z bólu i stracił przytomność.

Podniosłem włócznię i odsunąłem się. W kręgu gapiów zapanowała kompletna cisza. Nikt nie chichotał; nikt się nie śmiał. Spoglądali po sobie szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

Boru przepchnął się przez tłum i pochylił się nad bezwładnym Cynanem. Obrócił go, upewnił się, że nie zabiłem chłopca i skinął na jego kolegów, aby zanieśli go do naszej kwatery. Wystąpiło czterech młodzieńców, podnieśli powalonego przyjaciela i zabrali z placu ćwiczeń.

Gdy odeszli, Boru zwrócił się do mnie.

–Dobrze się spisałeś, Col. – Boru zawsze nazywał mnie Col, poprzestając na dającym się odczuć lekceważeniu, zawartemu w tym skrótce.

–Przykro mi – mruknąłem.

–Nie, niech ci nie będzie przykro – nalegał, wystarczająco głośno, aby słyszeli go wszyscy zebrani. – Dobrze się spisałeś. – Poklepał mnie po plecach, chwając, co zdarzało się tutaj rzadko. – Nie jest łatwo powalić przeciwnika, leżąc samemu plecami na ziemi. Nie poddałeś się – to właśnie oddziela żywych od martwych na polu bitwy.

Boru odwrócił się do oniemiałych gapiów i kazał im się rozejść. Rozproszyli się, mrużąc do siebie. Przy wieczerzy ten incydent zostanie dokładnie omówiony. Ciekaw byłem, co Scatha powie, gdy się o tym dowie.

Nie musiałem długo czekać, ponieważ ledwie wszyscy się rozeszli, usłyszałem ciche podzwanianie końskiej uprzęży. Odwróciłem się. Scatha prowadziła czarnego konia. Jego boki były spienione od ostrej jazdy.

Scatha była naczelnym wodzem: nie było od niej piękniejszej ani bardziej groźnej kobiety. Włosy pod hełmem z brązu miała splecione w cienkie warkoczyki, które połyskiwały w słońcu niczym złoto; długie, złociste rzęsy i gładkie, proste brwi skrywały jasnyniebieskie

oczy; usta miała pełne, ale ładne. Jej kształty przywodziły na myśl klasyczne rzeźby Ateny czy Wenus. Jeśli jest coś takiego jak poezja walki, to ona nią była: wdzięczna i groźna, oszłamiająca gracją ruchów i przeraźliwymi umiejętnościami.

Scatha była uznawana za najlepszego wojownika w całym Albionie. I to w szkole Scathy na wyspie Sci trzymałem się, by nauczyć się wojennego rzemiosła. A jakież to były trudy! Pobudka o świcie, bieg po plaży i kąpiel w lodowatym morzu, potem śniadanie złożone z czarnego chleba i wody przed rozpoczęciem codziennych zajęć: ćwiczeń z mieczem i włócznią, nożem i tarczą, lekcji strategii, lekcji różnych form walki, ćwiczeń fizycznych, zawodów, zapasów i tak dalej. Jeśli nie biegaliśmy, nie wspinaliśmy się czy nie uprawialiśmy zapasów, byliśmy w siodle. Bezustannie jeździliśmy: robiąc wyścigi na brzegu, polując na lesistych wzgórzach i w dolinach wyspy, pozorując bitwy.

Przyzwyczałem się do tego sposobu życia, a nawet go polubiłem. Nie poczyniłem jednak wielkich postępów jako wojownik. Najwyraźniej nadal brakowało mi jakiegoś tajemnego składnika, który połączyłby wszystkie umiejętności w jedną harmonijną i efektywną całość. Cały czas byłem najgorszy spośród swych towarzyszy, a oni wszyscy byli znacznie młodszy ode mnie. Ledwie ośmioletni chłopcy posiadali niewyobrażalne dla mnie umiejętności i przy każdej okazji bezlitośnie okazywali swą wyższość.

Klnę się, nie zna pokory ten, kto nie został okpiony przez dzieci!

Odwróciłem się na spotkanie Scathy. Widząc wyraźne niezadowolenie na jej twarzy, pojąłem, że widziała, co zrobiłem.

–W końcu pokonałeś Cynana. Udzieliłeś mu cennej lekcji – powiedziała, po czym dodała uszczypliwie: – Choć nie oczekiwałam od niego podziękowań.

–Nie chciałem go skrzywdzić. – Zrobiłem nieokreślony ruch w kierunku chłopców, którzy ciągnęli bezwładne ciało mego przeciwnika przez plac. Nogi Cynana żłobiły długie ślady w ziemi.

–Oczywiście, że chciałeś – powiedziała Scatha. – Gdyby twoja włócznia miała metalowe ostrze zamiast brzozowego, to byś go zabił.

–Nie, ja...

Uniosła smukłą dłoń i uciszyła mnie.

–Stawiłeś dziś czoło dwom i zostałeś pokonany przez jednego.

Nie pojąłem znaczenia jej słów.

–Jakich dwóch, Pen-y-Cat? – użyłem przysługującego tylko jej tytułu: przywódca walki. Ona była ostrożnym i przebiegłym przeciwnikiem, nieskończenie pomysłowym, tak sprytnym i

szczwanym, że nikt nie chciałby mieć z nią do czynienia.

–Byłeś w gniewie, Col – odparła swym niskim głosem. – Dziś pokonał cię twój gniew.

To była prawda.

–Przykro mi.

–Następnym razem, być może, nie będzie ci przykro. Będziesz martwy. – Odwróciła się i poprowadziła swego konia ku stajniom. Skinęła, abym poszedł z nią. – Jeśli musisz pokonać dwóch przeciwników za każdym razem, gdy wkraczasz na pole bitwy, to bardzo szybko zostaniesz pokonany. A z tych dwóch wrogów gniew jest zawsze silniejszy.

Otworzyłem usta, aby przemówić, ale nie pozwoliła sobie przerwać.

–Pozbądź się swego strachu – powiedziała bez ogródek. – Albo on cię zabije.

Spuściłem głowę. Miała oczywiście rację. Bałem się śmieszności, upokorzenia, porażki – ale jeszcze bardziej lękałem się zranienia, zabicia.

–Nie kwestionuję tego, czego dokazałeś wobec Cynana, Col. Posiadasz umiejętności, ale musisz nauczyć się nimi władać. Aby zaś tego dokonać, musisz wyzbyć się strachu.

–Rozumiem. Będę się starał – przyrzekłem.

Scatha zatrzymała się i odwróciła ku mnie.

–Czy życie, tam skąd pochodzisz, jest aż tak nędzne, że musisz się go tak kurczowo trzymać?

Nędzne? Z pewnością myślała na odwrót. Ale wówczas moja znajomość języka jeszcze czasami mnie zawodziła.

–Nie rozumiem – przyznałem.

–Biedakiem jest ten, kto zbyt kurczowo trzyma się ofiarowanego mu złota – z lęku przed jego utratą. Bogaty człowiek nie żałuje swego złota dla spełnienia swej woli. To samo dotyczy życia.

Spuściłem wzrok, nagle zawstydzony swym ubóstwem. Ale Scatha ujęła mnie pod brodę i uniosła ją.

–Trzymaj się zbyt kurczowo życia, a stracisz je, mój niechętny wojowniku. Musisz stać się panem swego życia, nie jego niewolnikiem.

Spojrzałem jej w oczy i uwierzyłem. Wiedziałem, że mówi prawdę i że widzi mnie takim, jaki

byłem. Naraz zapragnąłem dowieść swej wartości wobec bacznego spojrzenia tych czystych, niebieskich oczu. Gdyby hojność ducha czyniła dobrym wojownikiem, to ja stałbym się rozrzutnikiem!

–Dziękuję, Pen-y-Cat – wymamrotałem z wdzięcznością. – Twe słowa są mądre i prawdziwe. Zapamiętam je.

–Postaraj się, aby tak było. – Scatha skłoniła głowę, przyjmując mój komplement. – Nie przynosi chluby uczenie wojowników umierania.

Potem podała mi wodze swego konia i odeszła, pozostawiając mi zajęcie się zwierzęciem. To była moja kara za utratę opanowania.

Przebywałem już w szkole Scathy ponad sześć miesięcy, wedle moich obliczeń. Lud Albionu nie liczył miesięcy, ale raczej pory roku, co czyniło nieco trudnym dokładne odmierzenie czasu. Ale minęły dwie pory roku odkąd przybyłem do Ynys Sci, a dwie następne dadzą w sumie rok. Pod koniec trzeciej pory roku, rhylla – odpowiadającej w tym świecie jesieni – większość chłopców powróci do domów, aby przezimować wraz ze swymi klanami. Ale ja nie opuszczę wyspy. Zawsze kilku starszych młodzieńców, na przykład Boru, zostaje tu przez mroczne, ponure miesiące zimna i lodowatego wiatru.

Na wyspie szkolilo się blisko stu młodych wojowników. Młodszy chłopcy ćwiczyli oddzielnie, choć nie było ścisłego podziału wiekowego. Przynależność do danej grupy ustalano głównie według wzrostu i umiejętności. Czasami przydzielano mnie do starszych chłopców i młodzieńców, chociaż nie bardzo mogłem dorównać ich męstwu – czy choćby umiejętnościom na tyle, aby pojedynek był ciekawy. W następstwie tego byłem pośmiewiskiem i celem kpin.

Nie miałem jednak do nich o to pretensji. Byłem beznadziejnym wojownikiem. Wiedziałem o tym. Ale, aż do dziś, tak naprawdę nie pragnąłem dobrze wypaść. Teraz tego pragnąłem. I nie tylko pragnąłem dobrze wypaść, chciałem również zdobyć poklask i szacunek. Pragnąłem okryć się chwałą w oczach Scathy... lub przynajmniej ustrzec się przed kolejną hańbą.

Tego wieczoru, gdy skończyłem poić i karmić konia i zaopatrzyłem go na noc, dołączyłem do swych towarzyszy w oświetlonej pochodniami hali, gdzie spożywaliśmy posiłki. Tym razem jednak nie powitały mnie kpiny i docinki; tego wieczoru powitała mnie cisza niemal pełna szacunku. Oczywiście, rozeszła się już wieść o moim pojedyńku z Cynanem i większość, jeśli nie wszyscy, była po stronie Cynana. Byli na mnie źli za wyprowadzenie go w pole i przyjęli mnie oziębłe. Niemniej jednak ich milczenie było bardziej znośne niż ich kpiny.

Tylko jeden Boru usiadł ze mną przy stole. Jedliśmy razem, ale niewiele mówiliśmy.

–Nie widzę Cynana – powiedziałem, spoglądając po długich stołach.

–Nie jest głodny dziś wieczór – odparł uprzejmie Boru. – Myślę, że boli go głowa.

–Pen-y-Cat sądzi, że uderzyłem w gniewie – rzekłem i opowiedziałem mu o swej rozmowie ze Scathą.

Boru przysłuchiwał się temu, co mówiłem, po czym wzruszył ramionami.

–Nasza przywódczyni jest mądra – oświadczył z powagą. – Zważaj dobrze na jej słowa. – Po czym uśmiechnął się szeroko. – Pomimo to jednak uważam, że zasłużyłeś sobie na nowe imię. Nie będzie ono już dłużej brzmiało Collri – od teraz będziesz Llyd.

Uradowała mnie ta nieoczekiwana przyjemność.

–Tak sądzisz, Boru?

Boru kiwnął głową i uniósł wąską dłoń.

–Zobaczysz.

Chwilę później stał już na stole. Podniósł do ust swój srebrny róg i zadał głośno. Wszyscy przerwali jedzenie i umilkli, spojrzenia skierowały się na niego.

–Bracia! – krzyknął. – Jestem najszczęśliwszym z ludzi. Zobaczyłem dziś cud! – Bardowie czasami zaczynają przemowy w taki sposób.

–A co widziałeś? – od okolicznych stołów dobiegły wołania. Wszyscy wyciągali szyje, by lepiej widzieć.

–Ujrzałem, jak pniakowi wyrosły nogi i zaczął chodzić; widziałem, jak gruda ziemi podniosła głowę! – odparł Boru. Wszyscy roześmiali się i wiedziałem, że śmieją się ze mnie. Myśleli, że stroi sobie ze mnie żarty. A ja, prawdę powiedziawszy, myślałem tak samo.

Nim jednak zdążyłem schować głowę w ramiona, Boru wyciągnął ku mnie otwartą dłoń.

–Dziś ujrzałem, jak płomienie gniewu wznieciły ducha wojownika. Bądź pozdrowiony, Llyd ap Dicter! Witam cię!

Słowa Boru zawisły w ciszy, która nagle zapanowała w hali. Byłem mu wdzięczny za ten szlachetny czyn, ale zdawało się, że jego wysiłek poszedł na marne. Posępne twarze za długimi stołami nie pozwolą mi tak łatwo uciec przed pogardą, ani nie uwolnią mnie od lekceważenia.

Rozejrzałem się wokół i odkryłem powód ich milczącego potępienia: w wejściu do hali stał Cynan. Słyszał mowę Boru i twarz miał zasepioną. Nikt nie chciał zawstydzić Cynana, chwając mnie w jego obecności. Tak więc wspaniałomyślny gest Boru poszedł na mamę. Cynan znowu mnie pokonał.

Cynan popatrzył wyniośle na Boru, a potem na mnie. Wszedł do hali i skierował się w naszą stronę. Jego policzki płonęły jak jego włosy, małe oczka zwęziły się w szparki, twarz miała surowy wyraz. Poczułem ucisk w żołądku. Szedł, aby wyzwać mnie na pojedynek – w obliczu wszystkich zgromadzonych. Nigdy tego nie naprawię.

Podszedł prosto do miejsca, w którym siedziałem, i stanął nade mną. Starłem się wyglądać na spokojnego i beztroskiego, gdy odwróciłem się, aby spojrzeć w jego nachmurzoną twarz. Patrzyliśmy przez chwilę na siebie. Boru, dobrze wiedząc, co się zaraz stanie, wtrącił się mówiąc:

–Witaj, Cynanie Machae, brakowało nam twego przesympatycznego towarzystwa.

–Nie byłem głodny – mruknął cierpko młodzieniec. – Wstań – powiedział do mnie.

Powoli podniosłem się z ławy, odwróciłem się do niego twarzą, rozpaczliwie próbując znaleźć jakieś wyjście z tej kłopotliwej sytuacji. Boru zszedł ze stołu na ławę, gotów w każdej chwili rzucić się między nas.

Cynan zacisnął prawą dłoń i powoli uniósł ją ku mojej twarzy. Niemal dotykając nią mojego nosa, uniósł lewą rękę i trzymał obie pięści w gniewnym wyzwaniu. Potem położył sobie ręce na szyi, powoli rozwarł końce swego srebrnego torquesa i zdjął go – aby, jak się domyśliłem, nie uszkodził się w walce.

Potem wyciągnął ręce, sięgnął mi za głowę i wsunął mi na szyję srebrną ozdobę. Poczułem na szyi dotknięcie metalu. Cynan zacisnął końce torquesu. Potem poderwał moją rękę, wyciągając ją wysoko w górę.

Oddał mi swą najbardziej umiłowaną własność, symbol jego królewskiego pochodzenia. Nie był z tego powodu szczęśliwy, ale oznajmiał o swym darze wszem i wobec.

–Bądź pozdrowiony, Llyd – zamruczał z pogroźką w głosie. Uwolnił moją rękę i odwrócił się, aby odejść.

–Usiądź ze mną, bracie! – zawołałem za nim. Nie mam pojęcia, czemu to właśnie powiedziałem. Cynan sprawiał wrażenie tak nieszczęśliwego, że chciałem go ułagodzić. Szczerze mówiąc, wiedziałem, że wygrana z nim była dziełem czystego przypadku. Innego dnia mogło nie pójść mi tak dobrze. A poza tym, nosiłem teraz jego największy skarb i mogłem sobie pozwolić na wspaniałomyślność.

Odwrócił się do mnie w nagłym gniewie, zaciskając obie pięści. Boru rzucił się i schwycił go za ramię.

–Spokój, bracie. Dobrze się spisałeś – powiedział uspokajająco. – Niech twego szlachetnego daru nie splami niestosowna waśń.

Morderczy błysk w oczach Cynana pokazał, co myśli o sugestii Boru.

–Wojownik nie zrzeka się chętnie dowodu uznania! – wyrzucił zdławionym głosem.

–A ja ci mówię, że jeśli nie darujesz z ochotą, to taki dar w ogóle nie przynosi zaszczytu – odparł gładko Boru.

Cynan zawahał się, ale nie usiadł.

–Daj spokój – powiedział łagodnie Boru – nie zhańb się sprzeczką z powodu raz ofiarowanego daru.

Spojrzałem na poczerwieniałą z gniewu twarz Cynana i poczułem dla niego prawdziwą litość. Dlaczego dał mi torques? Jasne było, że nie miał na to ochoty. Co go do tego zmusiło?

–Czy ta srebrna błyskotka jest dla ciebie więcej warta niż twój honor? – zapytał uszczypliwie Boru.

Cynan nachmurzył się jeszcze bardziej. Niektórzy z patrzących zaczęli pomrukiwać i Cynan czuł, jak słabnie dla niego poparcie. Jeszcze krok i zapędzi się za daleko, ponieważ nie wiedział, co innego mógł zrobić.

–Uczyliłeś mi zaszczyt swym darem, Cynanie – powiedziałem tak głośno, aby usłyszeli mnie nawet ci w odległym końcu hali. – Przyjmuję go z tym większą pokorą, iż wiem, że jestem najmniej godny ze wszystkich, aby go otrzymać.

Na te słowa na pochmurnym obliczu Cynana pojawił się cień zgody pomieszanej ze zdziwieniem.

–Ty to powiedziałaś – odparł, ani nie akceptując mych słów, ani im nie zaprzeczając.

–Dlatego też z szacunku dla twego daru pozwól teraz ofiarować coś sobie.

Tego się nie spodziewał. Nie wiedział, co o tym myśleć. Ale był zbyt zaintrygowany, aby na to nie przystać.

–Skoro tak zdecydowałaś, nie będę się sprzeciwiał.

–Jesteś bardzo łaskaw, bracie – powiedziałem, po czym ostrożnie zdjąłem srebrny torques i zawiesiłem mu na szyi.

Cynan wpatrywał się we mnie w osłupieniu.

–Czemu to zrobiłeś? – zapytał głosem zduszonym z lęku. – Kpisz sobie ze mnie?

–Nie kpię z ciebie, Cynanie – powiedziałem. – Ja jedynie pragnę uhonorować twój dar, ofiarowując dar równej wartości. A ponieważ mam tylko jeden torques, ofiarowuję go tobie.

Ta odpowiedź zadowoliła go, ponieważ pozwalała mu na zachowanie poczucia własnej godności, a także na odzyskanie swego cennego skarbu. Pochmurna mina ustąpiła miejsca uldze i zdumieniu.

–I co powiesz na to, Cynan? – zapytał uszczypliwie Boru.

–Przyjmuję twój godny szacunku dar – powiedział szybko Cynan, abym nie zmienił zdania.

–Dobrze – powiedziałem. – A zatem zapytam ponownie, czy usiądziesz ze mną?

Cynan zeszywniał. Jego duma nie pozwalała mu na tak daleko idące ustępstwa. Boru stanął obok i wskazał na ławę.

–Chodź, bracie – zachęcał. – Zajmij moje miejsce.

Cynan przebiegł palcami po ozdobie na szyi, po czym uległ.

Na jego twarzy pojawił się szczęśliwy uśmiech.

–Może jednak coś zjem – powiedział. – Nie odrzuca się miejsca pomiędzy wojownikami.

Usiedliśmy razem, Cynan i ja, i jedliśmy z jednej misy. I rozmawialiśmy, po raz pierwszy nie jak przeciwnicy.

–Llyd ap Dicter – dumiał Cynan, odłamując chleb. – Gniew, Syn Pasji, dobre, Boru. Powinieneś być bardem.

–Wojownik bardem? – zastanawiał się Boru z przesadnym zainteresowaniem. – Nigdy nie było kogoś takiego w Albionie. No cóż, będę pierwszy.

Wybuchnęli z Cynanem śmiechem, ale ja nie chwyciłem tego żartu. Mnie taki związek nie wydał się niczym osobliwym.

Rozmowa zesłała na inne sprawy. Widziałem, jak Cynan co i rusz sięgał do swego skarbu – tak jakby upewniał się, że jest na swoim miejscu.

–To piękny torques – powiedziałem. – Mam nadzieję, że któregoś dnia też będę miał taki.

–Nie ma drugiego takiego – powiedział z dumą Cynan. – Otrzymałem go od swego ojca, króla Cynfarcha z Galanae.

–Dlaczego mi go dałeś? – zapytałem, szukając wyjaśnienia tej tajemnicy. Było oczywiste, że ten przedmiot wiele znaczył dla Cynana.

–Mój ojciec kazał mi przysiąc, że oddam go pierwszemu, który mnie pokona. Jeśli wrócę do domu bez niego, nie będę mógł należeć do drużyny mojego klanu. – Cynan pogładził naszyjnik z miłością. – To jedyna rzecz, jaką mój ojciec, król, dał mi własnoręcznie. Zawsze jej strzegłem.

Powiedział szczerą prawdę, bez urazy czy rozczulania się nad sobą. Ale mnie zebrało się na płacz, gdy pomyślałem o biednym Cynanie zmuszonym do dźwigania przeraźliwego brzemienia doskonałości. Jaki musiał być jego ojciec – ofiarowując swemu synowi wspaniały dar, a potem czyniąc chłopca jego zakładnikiem? To nie miało sensu, ale teraz przynajmniej lepiej rozumiałem Cynana.

Zrozumiałem również, że dla Cynana wyznanie komuś tego sekretu było niemal takim samym poświęceniem, jak oddanie torquesu. A jednak uczynił to z własnej woli – tak jak z własnej woli był posłuszny przysiędze, o której tylko on wiedział i która kosztowałaby go utratę dwóch najcenniejszych rzeczy. Mógłby po prostu złamać przysięgę i nikt by się o tym nie dowiedział.

Mogłem jedynie podziwiać nadzwyczajną uczciwość Cynana. Choć jego policzki nie zakosztowały jeszcze dotknięcia brzytwy, był już mężczyzną, któremu można było zawierzyć wszystko, nawet życie.

–Cynan – powiedziałem – mam do ciebie prośbę.

–Proś, o co chcesz, Llyd, a otrzymasz to – odparł, godząc się beztrósco.

–Naucz mnie tych zwodniczych pchnięć włócznią – powiedziałem, naśladując rękami ruch rozbijania czaszki przeciwnikowi.

Cynan rozpromienił się.

–Uczynię to – ale musisz zazdrośnie strzec tej wiedzy. Jaki miałibyśmy z niej pożytek, gdyby każdy przeciwnik poznał nasz sekret?

Rozmawialiśmy do późnej nocy. Gdy w końcu podnieśliśmy się od stołu, aby udać się na spoczynek, rozstawaliśmy się jak przyjaciele.

19. Sollen

ima na wyspie Sci jest wietrzna, zimna i wilgotna. Dni są mroczne i krótkie, noce ciemne i trwają całą wieczność. Ziemię młóca wściekle, północne wichry, których podmuchy za dnia niosą lodowaty deszcz i śnieg, a w nocy ze świstem przedzierają się przez kryte strzechą dachy. Słońce wstaje nisko – jeśli w ogóle wschodzi – i wędruje tuż nad horyzontem, unosząc się ledwie nad szczytami wzgórz, dopóki nie straci zapału i ponownie nie utonie w lodowatej otchłani nocy. Tę porę roku zwano sollen. Był to ponury czas, gdy ludzie i zwierzęta musieli pozostawać za bezpieczną osłoną ścian swych chat i szałasów.

A jednak, przy całej posępnej izolacji, jaką z sobą niosła owa ponura i smutna pora roku, wiele rzeczy dodawało otuchy i ciepła: płonący wiecznie jasny ogień w palenisku, żarzące się czerwono węgle w żelaznych koszach, grube wełniane opończe i białe runo wyściełające grubo postania. Wonny olej, płonący w srebrnych lampkach, rozpędzał swym słodkim zapachem i blaskiem ponury mrok.

Dni poświęcano grom wymagającym zręczności, wprawy i szczęścia – fidchell, brandub i gwyddbwyll, rozgrywanym rzeźbionymi pionkami na jaskrawo pomalowanych, drewnianych planszach. Nigdy przy tym nie milkły rozmowy: słowa misternie splecione w gładką mowę, niekończące się potoki żarliwych oracji, kipiące wesołością dyskursy na każdy możliwy pod słońcem temat. Podobnie jak żelazo ostrzone o żelazo, moja biegłość w postugiwaniu się językiem ogromnie wzrosła dzięki życzliwym docinkom i ripostom przyjaznych dyskusji. Raz po raz dziękowałem w duchu Tegidowi, że mnie tak dobrze wyszkolił.

Na czas tej posępnej pory roku nasza skromna dieta, składająca się z chleba, mięsa i piwa była zasilana bladym, żółtym serem, słodzonymi miodem plackami jęczmiennymi, parującymi kompotami z suszonych owoców i pożywnym miodem pitnym, napojem wojowników. Do tych zbytków dochodziły pieczone gęsi i kaczki, tuczone specjalnie dla umilenia zimowego wikt.

W hali przy palenisku gromadziło się doborowe towarzystwo – po części dlatego, że jedynie nieliczni uczniowie Scathy zostawali tu na zimę. Większość wracała do klanów, by przezimować wśród swego ludu; a ci którzy zostawali jedynie garstka starszych młodzieńców, między nimi Boru – wykorzystywała ten czas na zacieśnianie wzajemnych więzów.

Dni upływały nam jeszcze przyjemniej dzięki obecności uroczych córek Scathy: trzech najpiękniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek rozkwitły pod jasnymi niebiosami: Gwenllian, Govan i Goewyn. Przybyły do Ynys Sci na statku, którym odpłynęli wracający do domów uczniowie. Trzy siostry wróciły, aby spędzić długą, smutną porę sollen ze swą matką, po spędzeniu całego roku na królewskim dworze, gdzie służyły jako banfaith, czyli prorokinie.

Szczęśliwy król, który mógł się poszczycić banfaith; a królem pomiędzy królami byłby ten, który by utrzymywał na swym dworze jedną z córek Scathy. Żadna z nich nie była zameżna – nie dlatego, że było to im zabronione – wołały raczej wybrać wierność temu, czym zostały obdarowane, ponieważ w dniu zamążpójścia każda z nich przestałaby być prorokinią.

Banfaith zajmowała w hierarchii najwyższe miejsce. Podobnie jak bardowie, potrafiły śpiewać i grać na harfie i, podobnie jak bardowie, były zdolnymi doradczyniami. Oprócz tego obdarzone były również prastarym, jeszcze bardziej tajemniczym talentem: zdolnością do przeszukiwania zawitych ścieżek przyszłości i przemawiania do ludzi głosem Dagdy.

Okraszały wilgotne i zimne dni ciepłem swego uroku, łagodząc kobiecym wdziękiem surowość naszej wojskowej egzystencji. Obyczaje były również częścią programu nauczania i wychowania Scathy, ponieważ wojownik musiał także opanować zawilosci dworskiej etykiety i sposób bycia obowiązujący w cywilizowanym społeczeństwie. Dlatego właśnie starsi uczniowie zostawali tu na zimę. Wojownik, w ciągu ostatniej lub dwóch ostatnich sollen przed zakończeniem swego treningu u Scathy, uczył się dobrych manier u jej córek.

Córki Scathy, równie mądre jak piękne, zawładnęły uczuciami nas wszystkich. Już samo zaliczenie do promiennego kręgu ich towarzystwa było najśłodsza rozkoszą. Długie dni spędzane w hali wypełniały przyjemne zajęcia. Nauczyłem się trochę gry na harfie od Gwenllian i spędziłem wiele szczęśliwych dni rysując na woskowych tabliczkach z Govan; ale najbardziej lubiłem grać z Goewyn w gwyddbwyll.

Cóż mogę rzec o córkach Scathy? Że dla mnie były piękniejsze niż najśnieczniejszy letni dzień, bardziej wdzięczne niż gibki jeleni skaczący po górskich halach, bardziej czarujące niż zielone, cieniste doliny Sci, że każda z nich była zachwycająca, czarująca, pociągająca, urocza.

Oto Goewyn: jej długie, płowe włosy splecione były, podobnie jak włosy jej matki, w dziesiątki cienkich warkoczyków z misternie wykonanymi, złotymi dzwoneczkami na końcach. Każdy jej ruch był wspaniałą muzyką. Gładkie, królewskie brwi i doskonały, prosty nos dawały świadectwo szlachetnego urodzenia; wspaniałe usta, wiecznie wygięte w tajemniczym uśmiechu, świadczyły o skrywanej wrażliwości; w jej brązowych oczach zawsze zdawał się czaić uśmiech, tak jakby wszystko przed nimi istniało wyłącznie dla jej rozweselenia. Bardzo szybko zacząłem uważać wspólnie spędzony czas, gdy balansowaliśmy na kolanach, głowa przy głowie, nad kwadratową, drewnianą planszą do gry, za dar szalenie łaskawego Stwórcy.

I Govan: skora do śmiechu, z wyrafinowanym poczuciem humoru, o błękitnych jak u matki oczach, strzelających spod ciemnych rzęs. Włosy miała brązowe, a skórę ciemną, niczym pociemniała od słońca jagoda; była dobrze zbudowana, ciało miała silne i pełne gracji jak ciało tancerki. W te nieliczne dni, gdy na niebie jaśniało słońce w całej swej ulotnej krasie – jego blask, dzięki swej krótkotrwałości, czynił wszystko tym bardziej promiennym – Govan i ja jeździliśmy konno po plaży rozciągającej się u podnóża keru. Orzeźwiający wiatr palił nam policzki i obryzgiwał płaszcze morską pianą; konie rozpryskiwały fale, toczące białe grzebienie po czarnych kamieniach. Urządzaliśmy gonitwy: ona na szarej klaczy, śmigłej niczym pikująca mewa, ja na rączym ryżym rumaku. Śmigaliśmy po rozbitych skałach i wyrzuconych przez sztorm wodorostach, dopóki nam tchu starczało.

Jeździliśmy na odległy kraniec plaży, gdzie ogromne skały urwiska zapadały się w morze. Potem zawracaliśmy i pędziliśmy na drugi koniec. Tam zsiadaliśmy z koni, dając im odpocząć. Ich spienione boki parowały w zimnym powietrzu, a my ostrożnie stąpaliśmy po śliskich kamieniach, wdychając palące płuca ostre, morskie powietrze. Czulem w mych żyłach gorącą krew, na skórze zimny wiatr, chętną dłoń Govan w mej dłoni i wiedziałem, że żyję, przywrócony do życia dotknięciem Dagdy.

Dagda, Dobry Bóg, zwany był również Dobrą (w sensie zręczną) Ręką za nieskończoną szczodroliwość jego twórczych dzieł i jego wiecznie żarliwą moc podtrzymywania wszystkiego, czego dotknął. Dowiedziałem się o tym zagadkowym celtyckim bóstwie – i wielu innych z ich panteonu – od Gwenllian, która oprócz służenia królowi Macrimhe z Mertani jako banfaith, była również banfilidh – żeńskim odpowiednikiem filida, czyli harfiarza.

Gwenllian: oszałamiająca ze swymi ciemnorudymi włosami i błyszczącymi szmaragdowymi oczami; czarująca, o cerze jak mleko, policzkach i ustach czerwonych niczym ubarwione naparstnicą; pełnych wdzięku kształtach, począwszy od wygięcia karku po wysklepienie stopy. Każdego wieczoru Gwenllian przebierając swymi wprawnymi palcami po strunach harfy, rozsnuwała wokół siebie migotliwy woal czarów. Śpiewała wiecznie młode pieśni Albionu: o Llyr i jego smutnych dzieciach, niestałej Blodeuedd i jej nikczemnej zdradzie, o Pwyll i jego ukochanej Rhiannon, o sprawiedliwym Arianrhod i tajemniczym Mathonwy, o Błogosławionym Branie, Manawyddanie, o Gwydion, Pryderi, Dylanie, Eponie, Donie... i wszystkich innych.

Śpiewała o ich miłości i nienawiści, staraniach i pojednaniach, wspaniałych czynach i wzruszających niepowodzeniach, ich mądrości i głupocie, ich zdumiewającym życiu i nędznej śmierci, ich przytłaczającej dobroci i szokującym złu, ich łagodności, okrucieństwie, triumfach i porażkach i całej odwiecznej prawdzie o niekończącym się cyklu istnień. Śpiewała, a przede mną przesunęło się ludzkie życie ze wszystkimi wzlotami i upadkami. Słuchając śpiewu Gwenllian, wiedziałem, co znaczy być człowiekiem.

Każdego wieczoru po posiłku napełnialiśmy nasze puchary pitnym miodem i zbieraliśmy się wokół ognia płonącego jasno na palenisku, aby posłuchać pieśni Gwenllian. Zaczynała śpiewać, a czas przestawał istnieć. Czasami otrząsałem się z zadumy, by zobaczyć, jak różowe palce świtu unoszą na wschodzie czarny płaszcz nocy, w głowie kłębiły mi się obrazy, a miodowy nektar w mym pucharze stał nietknięty.

Słuchanie pieśni Gwenllian było snem na jawie o takiej mocy, że czas i wszystko wokół niknęło w oddali. Słuchając jej głosu, czuło się fizyczną siłę czaru jej pieśni. Śpiewając, Gwenllian sama stawała się pieśnią. A ci, którzy słyszeli ją śpiewającą, czuli smak pełni życia.

Mógłbym słuchać jej przez resztę swych dni, nigdy nie czując znużenia, nigdy nie ruszając się z potrzeby jedzenia czy picia; jej pieśń była całym pożywieniem, jakiego mi było trzeba.

Tak zatem wyglądało me życie w królestwie Scathy na wyspie. Jako Llyd nauczyłem się sztuki wojowania, trudząc się z zawziętą determinacją, by opanować sztukę pchnięć mieczem i rzutów oszczepem, walki na noże i posługiwania się tarczą. Rękojeść tak długo kształtowała mą dłoń, dopóki miecz i ramię nie stały się jednym; drzewce mej włóczni nie stało się oddanym, niezawodnym sługą; nóż i tarcza nie stały się równie bliskie, jak zęby i paznokcie. Stopniowo, z boleścią, moje ciało dostrajało się do surowych nakazów bitwy. Wyszczuplałem i zrobiłem się twardy niczym drzewce mej włóczni.

Długo się mozoliłem. Porażki nauczyły mnie przebiegłości; pomyłki nauczyły mnie zaradności. Nabrałem śmiałości i pozbyłem się strachu. Stałem się nieustępliwy i zrodziła się we mnie odwaga. Żyłem życiem wojownika i stałem się wojownikiem. Starłem się, aż każdy nerw, ścięgno, każda kość, organ i członek podporządkował się z przerażającą precyzją sztuce walki. Z czasem też nabyłem lodowatej obojętności wojownika, który wolny jest zarówno od gniewu, jak i strachu, którego ruchy są czystą doskonałością i dla którego każdy pojedynek na śmierć i życie jest triumfalnym sprawdzianem umiejętności.

Trudziłem się tak przez sześć lat. Sześć lat potu, wysiłku i zmagañ. Sześć lat walk z przyjaciółmi. Sześć lat jasnego słońca gyd i chłodu sollen. Sześć lat od beltain do samhain, aż w końcu nie byłem już ostatni w drużynie.

Siódmy rok mijał podobnie do poprzednich. Ale rzadko zdarzały mi się chwile, kiedy nie byłem boleśnie świadom tego, że mój czas na Ynys Sci dobiega końca: wkrótce powrócę do Prydain, by służyć Wielkiemu Królowi Meldrynowi Mawrowi. Liczyłem dni i każdy koniec dnia napawał mnie lękiem – gdyż przybliżał mnie do czasu odejścia.

Nie chciałem opuszczać wyspy: nigdy więcej nie radować się miłym towarzystwem Goewyn, nigdy więcej nie jeździć konno z Govan, nigdy więcej nie słyszeć pieśni Gwenllian. Nie mogłem znieść tej myśli. Siostry stały mi się droższe niż własne serce: prędeej wyrwałbym je sobie jeszcze ciepłe i bijące z piersi, niż je opuścić.

Cóż jednak mogłem uczynić? Od początku mój wyjazd był przesądzony. Opuszczę wyspę pierwszym statkiem, który przyplynie wiosną.

Był jednak jeszcze inny powód do obaw. Wracając na dwór Meldryna, powrócę również do Simona – i do długo zaniedbywanego zadania: musimy powrócić do świata, z którego przybyliśmy. Już sama myśl o tym napełniała mnie rozpaczą. Podobnie jak Simon, wcale nie pragnąłem powrócić do rzeczywistego świata. Teraz go rozumiałem. Na Ynys Sci więzy łączące mnie z mym własnym światem osłabły i wreszcie całkowicie opadły. Nie czułem nawet ich rozluźnienia; to było po prostu zwykłe zapomnienie. Z każdym mijającym dniem rzeczywisty świat stawał się mniej realny, odrobinę mniej żywy, aż zaczął przypominać widmo świata pełnego szarych oparów i pozorów istnienia. Ja również pragnąłem pozostać w tym świecie – bez względu na cenę.

Pod koniec siódmego roku przybył po mnie Tegid.

Pewnego chłodnego poranka stałem na skalnym urwisku wznoszącym się nad zatoką i obserwowałem zbliżający się powoli statek. Poczułem ukłucie gorzkiego żalu, że statek, który przywiezie na wyspę kolejny raz córki Scathy, zabierze mnie z niej wiosną – w porze gdy, gdy ucichną lodowate sztormy sollen.

Przez trzy niekończące się pory roku cierpiałem srogo z powodu ich nieobecności. Teraz wracały i pilno mi było je powitać.

Wspiąłem się na siodło i krętym szlakiem zjechałem z urwiska na plażę, aby czekać tam na statek. Wielu młodszych wychowanków zebrało się już na brzegu, nie mogąc się doczekać przybicia statku – aby kolejny raz pożeglować z powrotem do domów. Bardzo tęsknili za swymi klanami i krewnymi; widziałem w ich oczach tęsknotę za domem. I zastanawiałem się, czy dostrzegali także moje beznadziejne pragnienie.

Statek powoli przypląwał bliżej; każda fala rozbijająca się o brzeg zdawała się przynosić bliżej okręt o kwadratowych żaglach. Wkrótce mogłem już dostrzec na dziobie nadobne kształty córek Scathy. Widziałem Goewyn z uniesioną na powitanie ręką, uśmiechniętą serdecznie i śmiejącą się Govan, i Gwenllian z rozwianymi na wietrze włosami. A potem... potem stałem już w wodzie po kolana, pomagając wciągnąć statek na brzeg. Wyciągnąłem ręce, by pomóc zejść pierwszej z nich. Goewyn padła mi w ramiona, ucałowała mnie, czułem na karku jej słodki, ciepły oddech.

Govan także powitała mnie pocałunkiem.

–Tęskniłam za tobą, Llyd – rzuciła cicho. A potem odsunęła mnie na wyciągnięcie ręki i powiedziała: – Niech na ciebie popatrzę.

Ścisnąłem mocno jej dłonie, zakręciła się wokół mnie.

–Nie zmieniłem się – powiedziałem. – Nie licząc tego, że z każdym dniem rozłąki rósł mój apetyt na ciebie.

–Szelma! – roześmiała się uradowana i pocałowała mnie jeszcze raz.

Govan odwróciła się, a gdy odchodziła w kierunku brzegu, ujrzałem Tegida brodzącego wśród wzburzonych fal z uniesioną wysoko dębową laską.

–Teraz wiem, że zrobili z ciebie wojownika! – zawołał.

–Tegid! – krzyknąłem. – Tegid, to naprawdę ty?

–W własnej osobie – powiedział. Podszedł do mnie i uściśnął moje ramię. Było to pozdrowienie krewniaków. – Widzę przed sobą człowieka zupełnie innego od tego, którego tu zostawiłem. Meldryn Mawr będzie zadowolony, gdy mu ciebie przedstawię.

Chciał, aby zabrzmiało to jak komplement, ale jego słowa sprawiły, że pojąłem, po co przybył. Radość z przybycia przyjaciela rozwiąła się natychmiast. Z trudem przełknąłem ślinę.

–Kiedy? – zapytałem, łudząc się jeszcze, że będziemy mogli prezimować na wyspie.

–Dziś wieczór – odparł Tegid. – Odplyniemy z przyplywem. Przykro mi.

Choć dzień był słoneczny, poczułem w duszy pustkę sullen. Ciepło słonecznych promieni zginęło w smutku odjazdu. Czułem się tak, jakby okradziono mnie z najcenniejszej własności. Na wyspie Scathy wiodłem życie, jakiego nigdy przedtem nie znałem. Poddany twardej dyscyplinie wojownika poznałem, co znaczy być żywym. Teraz to się kończyło i czułem, jakby moje życie – jedyne życie, jakie kiedykolwiek cenilem – kończyło się również.

–Ja sam nie pragnąłbym niczego bardziej, jak tu prezimować – powiedział Tegid. – Idź się pożegnać. Ja zajmę się twymi rzeczami.

Ci, którzy zakończyli już naukę pod kierunkiem Scathy, musieli prosić oficjalnie o pozwolenie opuszczenia wyspy. Jeśli Scatha uzna, że wojownik opanował wszystko, czego według niej mógł się nauczyć, wówczas Pen-y-Cat obdaruje go bronią. Zwykle to była przyjemna uroczystość, ale ja nie cieszyłem się na nią. Nie chciałem opuszczać wyspy.

Wspięliśmy się jednak do keru i udaliśmy się do hali, gdzie zebrało się już kilku mych towarzyszy na pożegnalną ceremonię. Pośród nich był oczywiście Cynan. Przywołał mnie.

–Llyd! Jedziemy razem? – Jego rumiana twarz promieniała radością. Długo i ciężko pracował na ten dzień i trudno mu było uwierzyć, że wreszcie nadszedł. – Statek wcześniej przybył tego roku. Powiadają, że w Albionie jest niespokojnie i będziemy potrzebni. – Przyjrzał się mojej ponurej minie. – Co ci jest?

–Miałem nadzieję zostać trochę dłużej – odparłem z goryczą.

Choć byliśmy przyjaciółmi, Cynan nie mógł zrozumieć powodów mego smutku.

–Będziemy wodzami! To zaszczyt być zwycięzcą, bracie. Może ruszymy jeszcze przed zimą! Meldryn Mawr jest wielkim królem; zdobędziesz w jego służbie dużo złota. Zobaczysz.

W tej właśnie chwili odsunięto zastonę z wołowej skóry i poproszono Cynana. Wszedł pochyliwszy głowę. W ciągu sześciu lat naszego zesłania stał się pewny siebie i beztroski. Nie był już młodzieńcem, który musi całemu światu udowadniać swą wartość. Był już pewny swych umiejętności i nabrał do siebie zaufania. Surowy, trudny wymóg, jaki postawił mu ojciec, pozwolił mu zdobyć wewnętrzny spokój. Lubilem myśleć, że mu w tym pomogłem. Poza wszystkim innym, Cynan i ja zostaliśmy braćmi po mieczu – co wiązało mocniej niż śmierć i pozwalało mieć do siebie zaufanie na zawsze.

Nie miałem ochoty czekać z innymi, więc pospacerowałem sobie po kerze, odwiedzając po raz ostatni miejsca, które poznałem tak dobrze, zatrzymując się na placu ćwiczeń, który wchłonął tyle mego potu i krwi.

Goewyn odnalazła mnie i życzyła mi wszystkiego dobrego, mówiąc:

–Będzie mi brakowało grania z tobą w gwyddbwyll. Stałeś się godnym przeciwnikiem.

–A mnie będzie brakowało ciebie, Goewyn – powiedziałem, mając nadzieję usłyszeć słowa pocieszenia.

Uśmiechnęła się, ale pokręciła swą płową główką, dzwoniąc delikatnie dzwoneczkami.

–Mniej niż możesz sobie wyobrazić, tego jestem pewna. Nigdy nie zimowałeś z Wielkim Królem. Wystarczy spojrzenie służki w Sycharth i zapomnisz, że w ogóle mnie znałeś.

–A jednak chciałbym mieć coś, co by mi cię przypominało.

–Co takiego chciałbyś dostać? – zapytała, wyginając usta w figlarnym uśmiešku.

Powiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy.

–Pukiel twych złocistych włosów.

Goewyn roześmiała się.

–Weź go sobie zatem, skoro chcesz.

Stała przede mną uśmiechnięta, z rękami na biodrach, gdy ja odcinałem nożem koniec jej warkoczyka. Potem wzięła go ode mnie i okręciła ucięty koniec kawałkiem lawendowej nici wyciągniętej z brzegu płaszczka, aby warkoczek nie rozplótł się.

–Chodź – powiedziała, wsuwając mi pamiątkę za pas – czas, abyś się pożegnał.

Goewyn pociągnęła mnie za rękę i poprowadziła znaczoną kamieniami ścieżką do okrągłej chaty. W niej to Scatha przyjmowała tych, którzy zakończyli naukę, by wysyłać ich na spotkanie przeznaczenia. Odsunęła na bok zasłonę z czarnej, wołowej skóry i dała znak, że powinienem wejść sam. Pochyliłem się i wszedłem do środka. Pomieszczenie było ciemne, oświetlone jedynie żarem bijącym z żelaznych koszy, ustawionych po obu stronach trójnogu, na którym siedziała przywódczyni.

Scatha była otulona purpurowym płaszczem przybranym złotem i zielenią, spiętym na ramieniu ogromną broszą z czerwonego złota, połyskującą zielonym ogniem szmaragdów. Na głowie miała drogocenny hełm z wypolerowanego brązu, inkrustowanego złotem i srebrem; niezwiązane warkoczyki wysypywały się spod hełmu i spływały na ramiona. Na każdym nadgarstku i ramieniu błyszcząły złote bransolety – dary wdzięcznych królów i

książąt, którym służyła. Za nią, wbite w ziemię, tkwiły dwie włócznie o srebrnych ostrzach, których skrzyżowane drzewce wiązał złoty sznur. Bose stopy opierała na tarczy obciążonej wołową skórą, obrzeżonej brązem, rytym w faliste spirale.

Gwenllian stała z boku, skryta w cieniu. Gdy nasze spojrzenia spotkały się, powitała mnie uniesieniem brwi, ale nic nie powiedziała. Zbliżyłem się do pięknej Pen-y-Cat, dotykając czoła wierzchem dłoni na znak szacunku i czci.

–Dlaczego tu przyszedłeś? – zapytała po prostu Scatha, zaczynając rytuał, który tak dobrze już poznałem.

–Przybyłem prosić o dar, przywódczyni – odparłem.

–Jakiego chciałbyś daru, mój synu?

–Chciałbym otrzymać dar twego błogosławieństwa płynącego z głębi serca. – Słowa dławily mnie w gardle.

–Dokąd się wybierasz, synu? – zapytała cicho, niczym prawdziwa matka ostatni raz spoglądająca na swego syna.

–Wrócę do swego króla, przywódczyni. Jestem zobowiązany służyć i przysiąc wierność jemu, który przyszedł mi z pomocą.

–Jeśli masz wieść żywot wojownika w królewskiej hali i związać swe życie z królem, musisz wpierw związać swe serce z tymi, którzy będą służyć tobie.

–Powiedz mi, kim są – odparłem – a ja uczynię wszystko, aby związać swe serce i życie z tymi, którzy mi będą służyć.

Na te słowa Scatha wyciągnęła dłoń do Gwenllian, która szybko podeszła. Spostrzegłem, że w lewej ręce niesie miecz, a w prawej włócznie. Położyła miecz na wyciągniętych dłoniach Scathy. Scatha odwróciła się i, podając mi miecz, rzekła:

–Oto Syn Ziemi, którego duch został wskrzeszony w żarze ognia. Weź go, mój synu, zawsze miej go u swego boku.

Wyciągnąłem prawą dłoń i schwyciłem nagie ostrze, po czym przycisnąłem je do piersi, z rękojeścią na sercu.

–Biorę go, aby mi służył, Pen-y-Cat.

Przywódczyni skłoniła głowę i odwróciła się, aby odebrać z rąk Gwenllian włócznie, po czym powiedziała:

–Oto Syn Powietrza, którego duch ocknął się w cienistym gaju. Weź go, synu, i trzymaj

zawsze u swego boku.

Wyciągnąłem lewą dłoń, ująłem jesionowe drzewce i przycisnąłem do siebie, mówiąc:

–Biorę go, aby mi służył, Pen-y-Cat.

Scatha uniosła dłonie otwarte jak do błogosławieństwa.

–Idź swoją drogą, mój synu. Otrzymałeś błogosławieństwo, którego pragnąłeś.

Te słowa kończyły ceremonię, ale mi nadal czegoś brakowało – pragnąłem czegoś więcej. Przyklęknałem i złożyłem swój oręż u jej stóp.

–Pragnąłbym jednak czegoś jeszcze, przywódczyni.

Zaskoczona Scatha uniosła brew.

–Co leży ci na sercu, synu?

–Szeroki jest świat, Pen-y-Cat i ci, którzy stąd odchodzą, nie wracają więcej. Ja jednak proszę o dar błogosławieństwa, które pozwoli mi powrócić do twego ogniska jak do rodzinnego. Ponieważ jeśli od dzisiaj w ogóle będę żył, to dlatego, że ty mnie tym życiem obdarowałaś.

Nasza mądra przywódczyni uśmiechnęła się na te słowa.

–W rzeczy samej, świat jest szeroki, mój synu. Me serce jednak jest gorące, a w mej hali jest miejsce. – Uniosła ręce i wyciągnęła je ku mnie. – Chodź do mnie, synu.

Pochyliłem się i położyłem głowę na jej piersi. Przytuliła mnie, gładząc po policzku i przebiegając palcami po mych włosach.

–Jesteś mym synem – powiedziała cicho. – Mądrze używaj życia, które ci dałam, i patrz, abyś z honorem wychodził ze wszystkiego. Jeśli nic nie stanie ci na przeszkodzie, wracaj tu, kiedy zechcesz. Zawsze będziesz mile widziany pod mym dachem, synu. – Scatha położyła dłonie na mych ramionach, pocałowała mnie i zwolniła uścisk.

Podniosłem broń i wyszedłem. Teraz byłem synem Scathy – jednym z niezliczonego rodu – odchodziłem, by wracać i odchodzić wedle woli. To mnie zadowalało, choć wolałbym nie odchodzić stąd w ogóle.

Przed wejściem na statek ponownie spotkałem Goewyn. Dzień zrobił się chłodny i ze wschodu nadciągały zza zatoki niskie, szare chmury. Przyptyw już się zaczął i część młodszych chłopców już stała na brzegu, nie mogąc doczekać się odpłynięcia. Rzucali muszelkami w mewy, które skrzeczały oburzone. Goewyn poszła ze mną na brzeg, ściskając mnie mocno za rękę. Powiedziałem jej, że wrócę, ale nie przyrzekałem tego –

oboje wiedzieliśmy dobrze, że nie należy składać przysięg, których nie można dotrzymać.

Gdy nadszedł czas, poszedłem w bród do statku, wspiałem się na pokład i zająłem swe miejsce na dziobie, aby po raz ostatni spojrzeć na Ynys Sci. Goewyn stała w wodzie, zebrawszy w dłoniach swój żółty płaszcz, a niezmordowane fale kłębiły się wokół jego wrzosowego skraju. Zachodzące słońce rozbłysnęło na chwilę zza grzbietu urwiska, zalewając plażę czerwonożółtym blaskiem. Powierzchnia morza pozieleniała i rozżłociła się, niczym stopiony brąz, a rozproszony blask odbijał się w ocienionej twarzy Goewyn.

Gdy ostatni z pasażerów wspiał się na pokład i statek powoli zaczął odpywać na głęboką wodę, Goewyn uniosła na pożegnanie rękę. Pomachałem jej, potem ona odwróciła się i pospieszyła plażą do ścieżki wiodącej do keru. Patrzyłem, jak wspinała się na wzgórze; a gdy weszła na szczyt, zdawało mi się, że przystanęła na chwilę i obejrzała się.

20. Gorsedd bardów

gła i ciemności skryły przed moimi oczami wyspę Scathy. Wówczas, dopiero wówczas, Tegid wyjawiał mi powód przybycia po mnie o jedną porę roku wcześniej. Przyszedł na dziób, gdzie stałem samotnie. Nasze konie podróżowały spętane za nami, a bagaże i pozostali pasażerowie byli rozlokowani za koźmi, wokół masztu. Rozniecili ogień na pokładowym palenisku, piekli ryby i głośno rozmawiali; nikt nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Mogliśmy rozmawiać swobodnie, nie obawiając się, że zostaniemy podsłuchani.

Tegid rozpoczął od przeprosin.

–Przykro mi, przyjacielu. Gdyby to ode mnie zależało, zostawiłbym cię jeszcze rok przynajmniej na twojej ukochanej wyspie.

–Nie winie cię za to, Tegidzie – powiedziałem. – Nie było mi to pisane. Nie mówmy o tym więcej.

–Nie przybyłbym tutaj bez ważnego powodu. – Odwrócił się, aby spojrzeć na ciemniejące morze, niczym w otchłań rozpaczy.

Czekałem, aby powiedział coś więcej, ale milczał posępnie. W końcu rzekłem:

–Czy dane mi będzie poznać ten powód? A może przez całą drogę do Sycharth będziesz się bawił w mgliste aluzje?

–Nie płyniemy do Sycharth – oznajmił, nie odrywając oczu od morza.

–Nie? A zatem dokąd? – Było mi wszystko jedno; wszędzie będę się czuł równie nieszczęśliwy.

–Dzień Zmagań jest blisko – odparł w odpowiedzi. – Jedziemy zobaczyć, co się da zrobić.

To zabrzmiało bardziej smutnie i tajemniczo, niż się spodziewałem. Spróbowałem więc rzucić nieco światła na jego wypowiedź.

–Co? Nie powiesz mi chyba, że beczki z miodem króla Meldryna Mawra wyschły! – krzyknąłem z udanym przerażeniem.

–No cóż – przyznał, uśmiechając się nieznacznie – być może nie jest aż tak źle.

–A zatem o co chodzi, bracie? Wyrażaj się jasno, albo będę podejrzewał najgorsze.

–Za trzy dni statek będzie mijał Ynys Oer. Tam wysiądziemy na brzeg – powiedział cicho i poważnie. – Pojedziemy na zachodnią stronę wyspy i przepłyniemy łodzią przez cieśninę na Ynys Bainail, gdzie weźmiemy udział w gorsedd bardów. Ollathir wezwał derwyddi Albionu na zgromadzenie na wyspie Białego Kamienia.

–Zgromadzenie bardów – rzekłem. – Czy poznam powód jego zwołania?

–Powiedziałem ci wszystko, co zostało mi przekazane. Więcej powiedzieć nie mogę.

–Nie rozumiem, Tegid. Nie jestem bardem. Czemu mam wziąć w tym udział?

–Weźmiesz udział, ponieważ Meldryn Mawr i Ollathir tak sobie życzyli. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej – odparł Tegid. Jednak sposób, w jaki to powiedział, kazał mi przypuszczać, że w rzeczywistości wie więcej. Jeśli jednak chciałbym usłyszeć więcej, moją powinnością było to z niego wyciągnąć. Nieraz już miewałem do czynienia z niechęcią do udzielania jasnych odpowiedzi. Miałem wrażenie, że im bardziej sytuacja była delikatna, tym mniej otwarcie o tym mówiono. Jak sądzę, powodem było chronienie mówiącego przed posądzeniem o nieproszone zabieranie głosu. Tegid, jako bard, bez wątplenia podlegał jakiemuś zakazowi wyjawiania zastrzeżonych informacji na temat dworskich spraw. Ale nie ulegało wątpliwości, że pragnął, abym spróbował je z niego wydobyć.

–Jak się ma Meldryn Mawr? – zapytałem. – Dobrze się czuje?

–Król ma się dobrze – odparł Tegid. – Nie może się doczekać, aby zobaczyć, jakiego zrobiono z ciebie wojownika.

–Jeśli mnie pamięć nie myli, Meldrynowi Mawrowi nie brakowało wojowników. Z pewnością nie zaprzętał sobie mną głowy.

–Ależ mylisz się. Król nigdy nie ma zbyt wielu wojowników – tak jak człowiek nigdy nie ma zbyt wielu przyjaciół.

Wiedziałem, jak się w to gra, całymi dniami można było bawić się tak w kotka i myszkę. Nie miałem jednak nic przeciwko temu; czekała nas długa morska podróż i nie miałem lepszego zajęcia, niż rozwiązywać zagadkę Tegida.

–Człowiek bez przyjaciół jest gorszy niż bezpański pies – zauważyłem, przytaczając miejscowe porzekadło. – Ale mówiono mi, że Meldryn Mawr jest wielkim królem. Nawet gdyby na niebie było dwa razy więcej gwiazd, przyjaciół Meldryna Mawra byłoby więcej.

–Kiedyś można tak było powiedzieć – westchnął Tegid z przesadnym żalem. – Nie teraz.

A więc dobry król Meldryn był nieszczęśliwy, ponieważ stracił część swych przyjaciół. Z tego powodu, z jakichś względów wysłał Tegida, aby sprowadził mnie o jedną porę roku wcześniej. Bardzo dobrze. Postanowiłem na razie zostawić ten ślad i spróbować innego.

–Strapiłem się bardzo, słysząc to – rzekłem. – Pomimo to dobrze będzie znowu zobaczyć króla – i Ollathira. Często o nim myślałem. – Było to lekką przesadą, jako że nigdy nie zamieniłem z nim słowa.

–O tak – przyznał Tegid. – Naczelny bard wspomina cię szczególnie czule. – W zapadającym zmroku mogłem dostrzec, jak drgają mu kąciki ust. Bawił go sposób, w jaki prowadziłem tę grę. – Oczywiście, nie oczekiwałbym zbyt gorącego przyjęcia. Podobnie jak król, ma ostatnio czym się martwić.

Co mogło martwić króla i naczelnego barda? Strzeliłem na chybił trafił.

–Przynajmniej – zaryzykowałem – księżę Meldron jest zdolnym dowódcą. Syn może być pociechą dla ojca w czas niepokojów.

Tegid skinął powoli głową, jakby chciał mi dać coś do zrozumienia.

–To prawda. Gdyby tak Meldryn Mawr miał więcej synów!

–A nie ma? – udałem zdumienie.

–No cóż, nie. Królowa Merian była ze wszech miar godną szacunku niewiastą – pod każdym względem godną Meldryna Mawra. Rozkoszą było już samo patrzenie, jak wyruszali rano na konną przejażdżkę. Królowa uwielbiała konną jazdę, więc król trzymał dla niej najlepsze konie. Sprowadził dla niej jednego aż zza morza, z Tir Aflan – wspaniałe zwierzę. Dzień, w którym po raz pierwszy go dosiadła, był dniem jej śmierci. Ognisty zwierzak zrzucił ją na kamienisty grunt. Królowa Merian uderzyła się w głowę i umarła. Król przysiągł nigdy nie pojąć nowej królowej – zakończył swą smutną opowieść.

No cóż, to jeszcze bardziej wikła wszystko, pomyślałem. To bez wątpienia smutne, ale co ma wspólnego ze mną? Odpowiedź zdawała się wiązać z postacią księcia Meldrona, choć nie miałem najmniejszego pojęcia w jaki sposób.

–To rzeczywiście tragedia – zauważyłem. – Ale królowi przynajmniej pozostał syn.

–Otóż to. – W lapidarnym stwierdzeniu Tegida kryło się więcej potępienia niż w otwartym

zarzucie.

A więc były niepokoje na dworze Meldryna Mawra i księżę Meldron był w to jakoś zamieszany. I co teraz? Zastanowiłem się chwilę, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

–Mamy szczęście – zauważyłem, strzelając dalej. – Zmartwienia dworu nie są naszymi zmartwieniami. Nie chciałbym być królem.

–Być może nie mamy tyle szczęścia – powiedział tajemniczo Tegid. – Wkrótce zmartwienia królów będą zmartwieniami nas wszystkich. – Mówiąc to, markotny brehon raz jeszcze popadł w posępne przygnębienie. Odsunął się w cień, zostawiając mnie, bym głowił się nad jego ostatnimi słowami. Ale mnie nie ciekawiły już jego zagadki. Tajemne przeczucie zniechęciło mnie do dalszego dociekania. Miałem dość tej zabawy. Jeśli ma ochotę powiedzieć mi coś wprost, bardzo dobrze. Jeśli nie, to ja nie będę sobie tym zaprzętał głowy.

Dwa dni mgły i deszczu uczyniły podróż nieznośnie uciążliwą, ale rankiem trzeciego dnia, gdy statek przepływał przesmykiem pomiędzy stałym lądem i nagimi wzgórzami Ynys Oer, chmury rozstały się i oślepiło nas słońce. Zeszliśmy z Tegidem z pokładu na kamienisty brzeg. Wprowadziliśmy nasze konie na szlak biegnący w głąb wyspy. Dosiedliśmy ich, a gdy obejrzałem się, statek ponownie wypływał na otwarte morze.

Na wyspie Oer przeważały wysokie, czarne turnie i głębokie jary z bystrymi strumieniami. Była to kraina dzikich owiec, orłów, czerwonych jeleni, wrzosowisk, ciernistych janowców. Nieliczni ludzie zamieszkiwali doliny o urwistych zboczach lub równiny nad którąś z niezliczonych zatoczek po wschodniej stronie wyspy.

Dzień był nadal pogodny. Po szybkiej jeździe dotarliśmy na najdalej wysunięte na zachód wybrzeże. Słońce niknęło za krawędzią morza. W osłoniętej zatoczce, przed szaląsem z białych kamieni, stały uwiązane konie. Kręciło się też wielu mabinogi doglądających wierzchowców swych panów. Łódź, o której wspominał Tegid, odpłynęła. Gdyby jednak bardzo nam zależało, moglibyśmy wplaw przepłynąć na wysepkę, która była celem naszej podróży: Bainail – co oznaczało Biała Skala i było trafną nazwą. Wyspa przypominała kopiec białych wapieni wystających z dna morza, otulonych cienkim wianuszkim wodorostów.

Nie miałem pojęcia, dlaczego bardowie to właśnie miejsce wybrali spośród wszystkich innych na swe zgromadzenia. Nie dostrzegałem niczego, co mogłoby przemawiać na jego korzyść, przeciwnie, wiele przemawiało przeciwko niemu. Ale wówczas nie byłem bardem. Zapytałem o to Tegida, gdy staliśmy, spoglądając przez wąską cieśninę na wysepkę. Wyjaśnił mi to w słowach prostych, acz tajemniczych.

–Ynys Bainail jest świętym centrum Albionu.

Fakt, że skalista wysepka żadną miarą nie była centrum – a nawet właściwie nie była

związana z łodem – w Albionie najwyraźniej nie miał najmniejszego znaczenia.

–Czy mam poszukać łodzi? – zapytałem, rozglądając się po kamienistej zatoczce.

–Przybyliśmy za późno. Przeprowa musi się odbyć za dnia – wyjaśnił Tegid.

–Ale nie jest jeszcze ciemno – zaprotestowałem, wskazując ręką na niebo, jarzące się pomarańczowo i różowo w promieniach zachodzącego słońca. – Z łatwością dotrzemy na drugi brzeg.

–Łódź wróci po nas rano. Spędzimy tę noc tu, na brzegu.

Być może tak właśnie było dobrze. Byłem zmęczony długim dniem jazdy. Z nadejściem nocy powietrze robiło się coraz chłodniejsze. Moim największym pragnieniem było zawinąć się w swój płaszcz przy ognisku z miską bulionu w żołądku. Posililiśmy się jednak o wiele lepiej. Mabinogi byli dobrze zaopatrzeni w baraninę, chleb, piwo i jabłka. I mieli polecenie zająć się tymi, którzy podobnie jak Tegid i ja, jechali na zgromadzenie.

Rozpalili duże ognisko, a my zakosztowaliśmy rozkoszy pokrzepiającego snu. O świcie, tak jak powiedział Tegid, przybyła po nas łódź.

Nad spokojnymi wodami zalegała morska mgła, skrywając wyspę. Łódź bez szmeru i wysiłku wypłynęła z mgły, przynosząc samotnego wioślarza – gwyddona, którego Tegid znał. Wymienili pozdrowienia, a ja tymczasem usadowiłem się na środku łodzi, kładąc włócznie na kolanach.

–Na świętej wyspie nie wolno mieć broni – powiedział nasz przewoźnik. – Musisz zostawić ją tutaj.

Zawahałem się, pamiętając o przysiędze wojownika złożonej przed Scathą. Tegid opacznie zrozumiał moje ociąganie i zapewnił mnie:

–Nic złego nas tam nie spotka, a twoja obecność jest nieodzowna.

Dał znak jednemu z młodzieńców stojących za nami, a ja niechętnie powierzyłem miecz i włócznie opiece mabinoga. Tegid ze swą dębową laską zajął miejsce na dziobie, a wioślarz wysunął długie wiosło za rufę. Mabinogi wypchnął nas z płycizny, popatrzył w ślad za nami, a potem pospieszył z powrotem do ogniska.

Gdy tylko wypłynęliśmy na głębszą wodę, gwyddon obrócił łódź i począł wiosłować w kierunku wysepki. Spowiła nas chmura gęstej jak wata mgły. Miałem wrażenie, że cały świat przestał istnieć, gdy tylko zniknął nam z oczu. Zdawało mi się, że odbywam jakąś niesamowitą podróż, nie w przestrzeni, ale w czasie – ku innemu dniu, w inne czasy. Powolne pchnięcia wiosłem przesuwały łódź w przyćmioną, spowitą mgłą przeszłość lub przyszłość, ukrytą przed naszym wzrokiem. Te wrażenia przyprawiły mnie o zawrót głowy.

Obiema rękami schwyciłem się kurczowo burty.

W połowie wąskiej cieśniny łódź wynurzyła się z pokrywającej morze mgły. Przed nami ujrziałem wyspę Białej Skały. Za sobą widziałem jedynie ścianę mgły, podobną litej skale, wyrastającej z szarzielonego morza. Po świcie, który opuściliśmy, nie pozostał nawet ślad.

Łódź nabierała prędkości, rozpraszając ostatnie smużki mgły. Niebawem dziób dotknął białego piasku Ynys Bainail. Tegid wyskoczył z łodzi i wyciągnął ją na brzeg obok kilku innych. Po wyjściu z łodzi znalazłem się po kolana w wodzie, która, ku memu zaskoczeniu, była ciepła, jasnobłękitna i kryształowo czysta.

Rozpryskując wodę, ruszyłem do stojącego na brzegu Tegida. Chciałem właśnie postawić stopę na ziemi, gdy bard powstrzymał mnie.

–To święte miejsce, a ty nie jesteś bardem. Gdyby nie wzgląd na Ollathira, nie pozwolono by ci dotrzeć nawet do tego miejsca. Rozumiesz?

Skinąłem głową. Nigdy jeszcze nie widziałem, by Tegid był tak poważny i uroczysty. Bard ujął mnie pod ramię i przestrzegł:

–Rób tylko to, co ja. Nie waż się odezwać nawet słowem, dopóki będziesz na tej wyspie.

Ponownie kiwnąłem głową. Tegid odwrócił się i ruszył w ślad za idącym plażą wioślarzem. Wyszedłem na brzeg, zrobiłem kilka kroków i nieomal przewróciłem się twarzą na ziemię – owładnęło mną niesamowite i tajemnicze uczucie. Zdawało mi się, że nie mogę dotknąć ziemi, że grunt pod moimi stopami nie jest stały, ale płynny, niczym woda lub obłok. Jednocześnie miałem dziwaczne wrażenie bardzo szybkiego rośnięcia, rozrastania się, wyrastania ponad otaczający krajobraz; czułem się tak, jakbym głową ocierał się o niebo. Włosy na głowie i ramionach stanęły mi dęba, dostałem gęsiej skórki. Nie mogłem się ruszyć z obawy, że się przewrócę, przeświadczony, że nie będę w stanie ustać na niepewnym gruncie, że on dłużej mnie nie utrzyma.

Tegid, widząc, że mam kłopoty, zawrócił i pospieszył do mnie. Położył trzy palce na moim czole i wymówił słowo, którego nie rozumiałem. Natychmiast opuściło mnie owo paralizujące uczucie i bez problemu przeszedłem przez plażę. Bardzo szybko dotarliśmy do owczej ścieżki, którą ruszyliśmy w głąb wysepki. Kierowaliśmy się ku ogromnemu skalistemu wzgórzcu, które wznosiło się w centrum wysepki i od którego wzięła ona swą nazwę.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Nie słyszałem żadnych dźwięków: w tym miejscu do uszu nie docierały ani odgłosy morza, ani ptaków. Za grubym całunem mgły wszystko było ciszą i spokojem – tak, jakby dłoń jakiegoś boga przykrywała całą wyspę. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie takie skojarzenie przyszło mi na myśl. Nie przypuszczam jednak, aby to, czego doświadczyłem, było zjawiskiem naturalnym.

Podążałem za Tegidem nadal nieco oszołomiony. Wzrok utkwiałem w nierównym szlaku, aby nie potknąć się i nie przewrócić. Po pewnym czasie owcza ścieżka poczęła piąć się w górę. Uniósłem oczy i spojrzałem na ogromny garb białej skały, wznoszący się przede mną niczym potężny wał skłębionych chmur. Biała skała uformowała wyniosły cypel wychodzący w morze. Wąska ścieżka wiła się wokół zewnętrznej krawędzi cypla. Nie oglądając się, gwyddon poprowadził nas ku tej ścieżce. Szlak biegł skrajem urwiska; jeden błędny krok i spadnę na złamanie karku na skalisty brzeg.

Szedłem jednak dalej. Ostrożnie stawiałem stopy na ścieżce wijącej się w górę wokół ogromnej skały. Gdy dotarliśmy na wysunięty najdalej na zachód skraj cypla, szlak skończył się na kamiennej ścianie. Przycisnąłem się do gładkiej stromizny po mej lewej ręce i posuwałem się cal po calu. W pewnej chwili zobaczyłem, jak prowadzący nas gwyddon wchodzi w głąb tej ściany i znika. Już miałem się odezwać, ale przypomniałem sobie ostrzeżenie Tegida i nic nie powiedziałem.

Tegid podszedł do ściany, obrócił się bokiem i zniknął, podobnie jak nasz przewodnik. Idąc za jego przykładem, ja również podszedłem do ściany i wówczas ujrzałem wąską szczelinę – szeroką akurat na tyle, aby mógł przejść nią człowiek, jeśli prześliźnie się bokiem. Uczyniłem tak jak Tegid i wszedłem do wąskiego tunelu. Jego dno wznosiło się ostro ku górze. Wdrapałem się ostatnie kilka kroków i wyszedłem na zalaną światłem, porośniętą trawą równinę. Pała się na niej gromadka owiec, sunąc niczym obłoki po rozległym, zielonym firmamencie.

Ze środka równiny wyrastał ogromny, stożkowy pagórek ze spłaszczonym szczytem. Nie sposób było powiedzieć, czy pagórek był naturalnego pochodzenia, czy też został wzniesiony przez ludzi w zamierzchłej przeszłości. Być może było i tak, i tak. Na szczycie pagórka smukły słup wyciągał ku niebu swój palec. U podnóża pagórka zgromadziło się około setki bardów – trzy razy po trzydziestu i trzech, jak dowiedziałem się później. Niektórzy byli w brązowych, inni w szarych szatach. Bardowie kręcili się bez celu, niektórzy trzymali swe drewniane laski, inni gałązki leszczyny, jarzębiny, dębu i innych drzew. Chodzili to tu, to tam, przecinając sobie drogę. Co jakiś czas jeden z bardów stawał i uderzał kijem w ziemię trzy razy lub wznosił swą gałązkę i obracał nią wolno nad głową. Gdy podszedłem bliżej, usłyszałem, że mruczą, wymawiając niezrozumiałe słowa.

Jeden z bardów dostrzegł Tegida i wyszedł mu na spotkanie. Gdy podeszliśmy bliżej, rozpoznałem w nim Ollathira, barda króla Meldryna Mawra. Rzucił na mnie okiem i zdawało się, że ucieszył go mój widok. Przez chwilę naradzali się, nachylając ku sobie głowy. Tymczasem z tłumu wyłonił się trzeci bard i dołączył do nich. Wydał mi się znajomy, choć przez dobrą chwilę musiałem przeszukiwać zakamarki pamięci. W końcu rozpoznałem w nim barda księcia Meldrona, Ruadha. Nadejście uśmiechniętego Ruadha przerwało naradę.

W tej samej chwili Ollathir odwrócił się ku mnie.

–Obserwuj wszystko – powiedział naczelny bard, ściskając mnie za ramię, jakby zmuszał

mnie do zrozumienia czegoś. – Bacznie obserwuj.

Potem wszyscy trzej oddalili się, by dołączyć do pozostałych bardów. Chciałem pójść za nimi, ale Tegid powstrzymał mnie, kładąc mi rękę na piersi i przestrzegając przed tym potrząśnięciem głowy. Zostawiono mnie stojącego samotnie u podnóża świętego wzgórza.

Z tajemniczej instrukcji Ollathira wywnioskowałem, że mam trzymać się na uboczu i pełnić rolę kogoś w rodzaju obserwatora, więc postanowiłem znaleźć sobie dobre miejsce do obserwacji. Nie znalazłem jednak takiego miejsca, w pobliżu nie było nawet kamienia dostatecznie dużego, aby można było na nim usiąść. Tymczasem bardowie na niewidzialny znak ustawili się w rzędy i zaczęli chodzić wokół podnóża pagórka, zataczając powolne kręgi, zgodnie z ruchem słońca. Raz, dwa, trzy razy okrążyli pagórek, mrużąc monotonie w obcym języku. Po zakończeniu trzeciego okrążenia wspięli się na strome zbocze i zgromadzili wokół słupa.

Nie sądziłem, abym ze swego miejsca, daleko w dole, mógł zobaczyć coś interesującego. Oczywiście nie słyszałem ani słowa z tego, co działo się na szczycie pagórka. Co zatem miałem obserwować? Mogłem jedynie dozorować przebieg zgromadzenia. Będę mógł zapewnić, że miało ono miejsce, ale nic poza tym.

Niemniej jednak utkwilem wzrok w zgromadzonych na szczycie ludzi. Z góry dolatywały mnie pomruki, które chyba były śpiewami lub recytacjami bardów. Po chwili wszystko ucichło – co jakiś czas jednak dolatywały mnie strzępy dźwięków: urywki dyskusji, szmer aprobaty, pomruki niezadowolenia, chóralnie wyrażana zgoda lub dezaprobata. Sensu tych odgłosów oczywiście nie rozumiałem.

Tak minął ranek: obserwowałem niestrudzenie, wyciągając szyję ku szczytowi wzgórza, a otuleni w płaszcze bardowie mamrotali i mrużeli. Zaczynałem czuć zmęczenie. Nie miałem pojęcia, czemu się przyglądam. Nic nie wskazywało też, aby coś się miało dziać. Zaczęło mnie ogarniać znużenie. Moje myśli błędziły leniwie.

Po jakimś czasie poranne słońce wypaliło białą mgłę, odsłaniając ukryte za nią błękitne niebo. Pomimo chłodnego poranka, słońce przyjemnie ogrzewało równinę. Wsparty na łokciu, położyłem się w zielonej trawie i wkrótce zrobiłem się senny. Powieki mi opadły. Pomyślałem jednak, że Ollathir nie pochwali mnie za zaśnięcie na służbie, wstałem więc i zacząłem powoli chodzić wokół podnóża pagórka.

Dzień minął mi na siedzeniu w nużącym odrętwieniu, przerywanym jedynie wędrówkami wokół pagórka. Cały ten czas zebranie bardów, czyli gorsedd, jak zwał je Tegid, trwało. Nic się nie wydarzyło, o ile mogłem stwierdzić – nic, poza długą, powolną wędrówką słońca po pustym bezmiarze nieba. Wstałem, aby po raz kolejny obejść szerokie podnóże pagórka. Zrobiłem jedno okrążenie, potem drugie. Przy trzecim czy czwartym zebranie zakończyło się i bardowie poczęli spływać zboczami wzgórza. Większość trzymała się w oddzielnych gromadkach; jeszcze inni z założonymi rękoma siadali samotnie na zboczach, spoglądając

ponad trawiastą równiną na morze. Na szczycie pozostała jeszcze mała grupka około kilkunastu bardów, pogrążonych w zacieklej dyskusji. Trzymałem się z dala od wszystkich, ale i tak nikt nie zwracał na mnie uwagi. Derwyddi o pochmurnych twarzach zdawali się zaprzętnięci sprawami wielkiej wagi. W pewnej chwili dostrzegłem jednak, jak jeden z nich odłączył się od grupki i pospieszył równiną ku ścieżce wiodącej na plażę. Zauważyłem to, gdyż to drobne zdarzenie było jedynym odstępstwem od monotonii tego dnia.

Skoro pomiędzy bardami krążącymi po zboczach i równinie nie dostrzegłem Tegida ani Ollathira, doszedłem do wniosku, że są wśród grupki zebranej wokół kamiennego słupa na szczycie wzgórza – grupki, która coś gorączkowo omawiała. Dyskusja na górze ciągnęła się jeszcze jakiś czas, po czym nagle urwała się. Bardowie spacerujący po łące odwrócili się, aby obserwować schodzących z boczem braci. Wszyscy spoglądali na nich wyczekująco.

Nie padło ani słowo, nie uczyniono też żadnego znaku. Ci, którzy czekali, zajęli miejsca za swymi przywódcami i wszyscy ruszyli równiną ku ścieżce, a potem rozpoczęli długie zejście na plażę.

Tegid stanął obok mnie i ponownie przestrzegł, abym milczał. Ollathir, który zszedł ostatni ze szczytu, zbliżył się do nas. Nie spojrzał na mnie ani nie odezwał się, przeszedł obok i skierował się ku ścieżce. Tegid ruszył za Ollathirem, a ja za nim.

Gdy przybyliśmy na plażę, łódzie kołysały się już na wąskim kanale pomiędzy wyspami. Poczekałiśmy, aż przepłyną tam i z powrotem cieśninę, przewożąc derwyddi na większą wyspę, gdzie czekały ich konie. My mieliśmy opuścić wyspę ostatni. Byłem przekonany, że Ollathir tego sobie właśnie życzył, choć wiązało się to z długim, niecierpliwym oczekiwaniem.

Słońce było już nisko, gdy w końcu ponownie stanęliśmy na Ynys Oer. Mabinogi i wszyscy pozostali bardowie już odeszli; jedynie nasze konie pozostały przy szalasię. Zdawało się, że gorsedd nigdy nie miał miejsca. W szalasię znalazłem swą broń i małe zawiniątko z jedzeniem. Przypasałem miecz i zabrałem włócznię oraz jedzenie i zaniósłem je do miejsca, w którym stali, cicho się naradzając, Tegid i Ollathir.

–Zostaniemy tu na noc – poinformował mnie Tegid. – Wiele jest jeszcze do zrobienia, a dzień się kończy.

Ollathir przytaknął, odwrócił się i odszedł samotnie brzegiem morza. Tegid patrzył za nim przez chwilę, a widząc moje pytające spojrzenie, wyjaśnił:

–Tak, jest zatroskany. Gorsedd nie... – przerwał i zawahał się – źle się zakończył.

Kiwnąłem głową. Tegid roześmiał się.

–Możesz już mówić, przyjacielu. Nikt ci już tego nie zabrania.

To dziwne, ale dopóki Tegid nie zwolnił mnie z zakazu, zdawało mi się, że nie potrafię mówić – choć nie czułem żadnej przeszkody. Teraz odzyskałem mowę i powiedziałem:

–Dowiem się teraz, o co chodzi? Dlaczego mnie tu sprowadzono?

Tegid położył mi dłoń na ramieniu.

–W mocy Ollathira leży powiedzieć ci to, co będzie chciał. Być może zechce ci wyjawić wszystko, gdy wróci. – Opuścił rękę, a gdy się odwracał, zdawało mi się, że dosłyszałem, jak mrucał: – Wiedza to brzemię – gdy raz je weźmiesz na barki, już nie możesz się go pozbyć.

Patrzyłem, jak odchodził. Czułem się wyprowadzony w pole. O tak, wiedza to brzemię, pomyślałem, ale niewiedza również jest ciężarem – i to ciężarem, który zaczynał mnie już nużyć. Jeśli szybko czegoś nie zrobią, niech sobie szukają innego tragarza.

21. Cythrawl

Ilathir wrócił dopiero wtedy, gdy słońce zaczęło zachodzić za Ynys Bainail. Ja w tym czasie nanosiłem wody i nazbierałem drewna na noc. Sollen była już tuż, tuż, a choć dni były ciepłe, to gdy tylko słońce zniknie, poczujemy chłód. Klęczałem właśnie przy stosie na podpałkę, gotowy rozniecić ogień, gdy stanął nade mną naczelny bard.

–Nie rozniecaj ognia – powiedział. – Przygotuj łódź.

Mówił spokojnie, ale dostrzegłem, że był zaniepokojony. Nie podnosił oczu, ręce miał skrzyżowane, z dłońmi ukrytymi w rękawach swej szaty. Twarz miał poszarzałą, chorobliwie bladą, choć głos mocny i czyste oczy.

Odłożyłem krzesiwo i natychmiast udałem się na plażę, gdzie rzędem stały wyciągnięte łodzie. Tegid dołączył do mnie, razem przeciągnęliśmy po piachu jedną z łodzi i zepchnęliśmy ją na wodę. Podniosłem wiosło i podałem je Tegidowi. Sam stałem przy dziobie, dopóki Ollathir nie usiadł ze swą jarzębinową witką na kolanach. Wówczas wypchnąłem łódź na wodę i wdrapałem się do środka.

Tegid wiosłował z pośpiechem. Wiedziałem, co go poganiało: czas-pomiędzy-czasem. Słońce właśnie zachodziło za Białą Skalę; musieliśmy się spieszyć, jeśli mieliśmy dotrzeć do pagórka przez zmrokiem.

Szybko przepłynęliśmy cieśninę na Ynys Bainail i równie szybko dotarliśmy do krętej ścieżki wiodącej na trawiastą równinę. Ollathir prowadził, Tegid szedł za nim. Ja podążałem na końcu i znowu miałem to dziwne wrażenie rozrastania się – rozciągania, rośnięcia, stawania się większym z każdym krokiem. To było oszałamiające i odbierające odwagę uczucie. Jednakże nie zatrzymałem się. Pochyliłem głowę, oddychałem głęboko i parłem za pozostałymi. Nie bacząc na swój niepewny krok, spieszyłem za nimi tak szybko, jak

pozwalala mi na to moja ostrozność, ze strachem myśląc przy tym o drodze powrotnej – ta wąska ścieżka może się okazać zdradliwa w ciemności.

Dotarliśmy na trawiastą równinę, gdy słońce tonęło za zachodnią krawędzią morza, opromieniając grzbiety fal i malując niebo w fioletowo-czerwone i pomarańczowe plamy. Pierwsze gwiazdy rozbłysły na wschodzie, gdy niebo poczęły spowijać nocne ciemności. Ollathir i Tegid pospieszyli ku pagórkowi i poczęli wspinać się po jego stromym zboczu. Tym razem, skoro mi nie zabroniono, poszedłem za nimi.

Stożkowate wzniesienie było spłaszczone na szczycie bardziej, niż dostrzegłem to z dołu. W odległości kilku kroków od zewnętrznej krawędzi był krąg, zaznaczony kilkuset okrągłymi, białymi kamieniami – każdy kamień zagrzebany był w ziemi po czubek. Mniejsze kamienie znaczyły promienie niczym szprychy koła, po jednej szprysze na każdą ćwiartkę. Wysoki, kamienny obelisk był osią koła. Od zakopanej podstawy po sterczący wysoko koniec całą powierzchnię pokrywały bogate sploty wzorów, wyrażące wyrytych na powierzchni białego kamienia: zawile spirale, zwoje i osobliwe, przyprawiający o zawroty głowy, kolisty labirynt, popularny wzór zdobniczy Celtów. Niektórzy z bardów zostawili swe leszczynowe różdżki u podstawy kamiennego słupa. Tegid podniósł jedną z nich i podał mi.

–Trzymaj ją. Bez względu na to, co się wydarzy, nie wypuszczaj jej z rąk.

Miałem zamiar zapytać, jakich wydarzeń się spodziewa, ale on podniósł rękę i położył mi palec na ustach.

–To również dla twojej ochrony. Uważaj, abyś nie wydał żadnego dźwięku.

W tej samej chwili słowa, które właśnie miałem na końcu języka, ulotniły się; opuściła mnie cała chęć do mówienia. Skinąłem głową w niemej zgodzie i ścisnąłem mocniej w dłoni bezlistną gałązkę leszczyny.

–Stój na zewnątrz kręgu – powiedział Tegid, wskazując na koło z białych kamieni. Szybko rzucił okiem na niebo, po czym odwrócił się i ze swą dębową laską pośpieszył dołączyć do Ollathira, który naciągnął już płaszcz na głowę i zaczął powoli chodzić wokół kamiennego monumentu, ściskając przed sobą w dłoniach jarzębinową laskę.

Chodzili razem wokół obelisku, a tymczasem niebo pograżało się w coraz większym mroku. Spojrzałem na wschód i ujrzałem brzeg pełnej tarczy księżyca, wychylającej się właśnie zza krawędzi morza. To był czas-pomiędzy-czasem.

W tej samej chwili Ollathir, naczelny bard Meldryna Mawra, przestał chodzić i wyciągnął ku niebu jarzębinową laskę, ściskając ją w obu dłoniach. Głosem pełnym mocy zakrzyknął w sekretnym języku bardów: Taran Tafod.

Ze skórzanej torby u pasa wyciągnął garść cennego pyłu, zwanego przez bardów Nawglań, Tajemna Dziewiątka. Jest to specjalnie przygotowana mieszanka popiołów otrzymanych ze

spalenia dziewięciu świętych drzew: wierzybny z nad strumieni, leszczyny rosnącej na skałach, cisu z równin, wiązu z dolin, jarzębiny z gór, słonecznego dębu. Rozdzielił to na cztery ćwiartki – i na cztery ćwiartki w każdej ćwiartce – jeszcze raz wolno obchodząc zgodnie z ruchem słońca kamienny obelisk, który był świętym środkiem Albionu, Wyspy Potężnych.

Tegid szedł trzy kroki za naczelnym bardem. Ścisnął mocno swą dębową laskę, a głowę miał zakrytą połą płaszczu. Ollathir wymawiał słowo, a Tegid je powtarzał. Kroczyli tak wokół kamiennego słupa, wymawiając swe dziwne, tajemne zaklęcia.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało. Stałem niczym pozbawiony rozumu i uczucia, niemy i wpatrzony we wszystko przed sobą, a jednak niczego niewidzący, nierozumiejący niczego. Czas płynął. Nie byłem świadom, długi czy krótki. Byłem usidłony rozbrzmiewającym niestrudzenie głosem Ollathira, jego osobliwymi słowami.

A potem słowa umilkły.

Wszystko ucichło i zamarło w bezruchu. Ale to była jedynie cisza przed burzą. Jeszcze nie ucichło grzmiące brzmienie Taran Tafod, gdy usłyszałem dźwięk, jaki wydaje woda szturmująca przez zerwaną tamę, lub powodziowa fala nagle wdzierająca się do wyschniętego koryta rzeki: bulgotanie, szum i odgłosy kipieli, zderzania się, rozpryskiwania, roztrzaskiwania, wirowania i zlewania.

Odwróciłem się i ujrzałem, że równinę poniżej pagórka pokrywa brudna, żółtawa mgła – zalewając, pogrążając wszystko przed sobą niczym powódź. Jej kleiste, poszarpane strzępy zwijały się i kłębiły, mgła zaczęła wirować wokół podnóża pagórka. Patrzyłem, jak mgła pnie się zboczami świętego kopca. Moja skóra stała się zimna i śliska jak glina.

Uniosłem głowę i spojrzałem w niebo. Gwiazdy rozlewały się niczym roztopione srebro. Księżyc wzeszedł czerwony jak krew. Ciemności podnosiły się i opadały, pulsując jak boki dyszącej z bólu bestii.

Z sinego nieba dobiegł cienki, jękliwy krzyk, zimny i bez życia – podobny do zawodzenia wicherów dmących w porze sollen z mroźnych pomocnych wyżyn. Stawał się coraz głośniejszy, nacierał na szczyt pagórka, wypierając odgłosy wodnej kipieli, wypełniając to ziemskie królestwo odgłosami nieutulonego żalu i złości.

Na moich oczach widmowa forma poczęła nabierać monstrualnych kształtów, była rzeczywiście ogromna. Zdawała się wypływać z nocnego powietrza, z samej materii nocy, z przestrzeni pomiędzy strumieniami gwiazd. Formowała się z serca ciemności, biorąc ciemności za swe ciało, a nocne sklepienie i powietrze za krew i kości – nadchodziła krzycząc, krzycząc w męczarniach swej ohydnej kreacji.

Owa rzecz nie była zrodzonym na ziemi stworzeniem – żyła, ale nie była żywa; poruszała się, choć nie była ożywiona; krzyczała, choć nie posiadała języka. To była przerażająca bestia z piekielnych otchłani. Posiadała nie jedno ciało, ale mnóstwo ciał, wszystkie

formujące się i rosnące, rozdzielające się i dzielące, falujące, rozkładające się i przechodzące jedne w drugie, nieustannie zmieniające się, a jednak przybierające ten sam obmierzły kształt. Kształt obliczony na zmrożenie krwi i zatrzymanie ciepłego bicia serca w piersi.

Dostrzegłem oczy – dziesięć tysięcy jarzących się kocich oczu: zgubnych, zmrużonych w szparki, wylupiastych i żółtych. Zobaczyłem usta: otwarte szeroko, mlaskające, ociekające jadem. Ujrzałem kończyny: grube, niekształtne, poskręcane, wijące się – wielorękie, drgające w konwulsjach ramiona; niezdarne nogi o szpotawych stopach. Zobaczyłem tułów: nadęty i plugawy, pokurczony, kościsty, rozkładający się, z cuchnącymi, zaskorupiałymi naroślami. Ujrzałem odrażające głowy: twarze zniszczone chorobą i powykrzywiane; puste, płonące oczodoły, nosy wyżarte przez raka, białe kawałki czaszki prześwitujące spod rzadkich włosów, pokryte naroślami szczęki, wyprężone, żyłaste szyje, poczerniałe zęby w ociekających ropą dziąsłach.

Ten stwór z piekła rodem, okrutny i wygłodniały, spływał ku nam z wysokości, aby nas zniszczyć. Jednak coś go zatrzymało pomiędzy Ziemią a niebem; potwór zastygł w bezruchu, ale nie na długo. Stwór zbierał siły, a jego przerażająca moc rosła. Coraz bliżej wirował i krążył, zwijając miliardy swych ciał w pełnych męczarni ruchach.

Nie mogłem patrzeć ani nie potrafiłem powstrzymać się od patrzenia na to, jak demon wyciągnął ogromną, szponiastą rękę ku szczytowi pagórka. Trędowata, pokryta łuskami ręką, szybko pokonywała pustą przestrzeń, która była naszą jedyną ochroną.

Gdy ogromna ręka zamknęła się nad nami, Ollathir wydał bolesny krzyk i machnął jarzębinową laską, zataczając łuk nad głową. Słyszałem, jak ze świstem przecinała powietrze. Raz, dwukrotnie, a potem... Trzask! Uderzył w kamienny obelisk, rozłamując na pół grubego kija.

W tej samej chwili z kamienia rozbłysło jaskrawe światło. Derwydd padł na kolana. Ścisnął w dłoniach odłamane połowę laski, jego rysy przeraźliwie wykrzywiała agonja. Odruchowo chciałem rzucić się na pomoc, ale Tegid obrócił się i podniósł ostrzegawczo dłoń, zatrzymując mnie.

Z głębi pagórka dobiegł dźwięk przypominający przesuwanie skał przez trzęsienie ziemi i staczanie się kamiennego gruzu. A jednak nie poczułem drżenia, nawet najłżejszych wibracji. Czułem ten dźwięk głęboko w trzewiach i kolanach. Zdawał się wznosić przez ziemię, a potem przez moje ciało, wędrując w górę po kręgosłupie i tłukąc o mój czerep. Zakołysałem się, ogarnęła mnie nagła słabość, moje mięśnie utraciły siłę.

Ollathir, podpierając się swą złamaną jarzębinową laską, dźwignął się na nogi, chwiejnie cofnął się i oparł plecami o kamienny słup, który teraz jaśniał delikatnym, perłowym światłem. Nie zastanawiałem się nad tym, gdyż całą swoją uwagę skupiłem na postaci Ollathira. Jego twarz przeszła straszliwą przemianę.

Bard stał, przyciskając plecy do niesamowitego kamienia, ręce miał sztywno uniesione i krzyczał potężnym głosem. Usta miał otwarte, nozdrza mu drgały, oczy przeraźliwie wylażyły z orbit, bardziej przypominał zwierzę niż człowieka: ryczącego byka o gniewnym obliczu.

Ryk byka nie dobywał się jednak z gardła barda, ale z ziemi za nim, a słowa Ollathira wydobywały się poprzez kamienny słup, któremu używał głosu. I to jakiego głosu! Był głęboki i straszny, niezwykle silny, pewny niczym skała i głuchy niczym usypany grób.

Dźwięki poczęły przybierać postać szalonego hymnu. Początkowo nie mogłem rozpoznać słów, ale potem rozróżniłem imię – Ollathir wzywał czyjeś imię. A imieniem tym było Dagda Samildanac.

Słowa te znaczyły: Dobry Bóg Doskonałej Wiedzy. To było sekretne imię najwyższego boga plemion Albionu.

–Dagda! Dagda Samildanac! – wykrzyknął donośny głos. – Dagda! Samildanac Dagda!

Raz po raz rozbrzmiewało pełne grozy wezwanie, nabierając kształtu i treści. Wznosiło się, rozpościerało nad nami niczym tarcza, spowijało nas płaszczem ochrony – błogosławionym pancerzem skrywającym przed okrutnym wrogiem wszystkich żywych stworzeń.

–Samildanac! Dagda! Dagda Samildanac! – ryczał potężny głos z ziemi, głośniejszy i głośniejszy, aż sam pagórek począł drżeć i dygotać.

Nie mogłem znieść tego dźwięku. Ścisnąłem swą leszczynową gałązkę i zakolysałem się. Zacisnąłem powieki, ale to jedynie powiększyło zawroty głowy. Zatoczyłem się w tył i padłem na kolana i ręce, nadal ściskając kurczowo leszczynową witekę w swej prawej dłoni. Nie mogłem oddychać; z trudem łapałem oddech. Poczulem słodko-słony smak krwi na języku i zdałem sobie sprawę, że przygryzam dolną wargę.

Z przerażeniem skierowałem oczy na przyduszającą nas rękę demona. Pancerz zakłęcia Ollathira powstrzymał jej zbliżanie się, ale brakowało mu mocy do jej odpędzenia. Naczelnym bard nie znieś zbyt długo wysiłku związanego z zaklęciem, już teraz widziałem, jak opadał z sił. Nie mógł utrzymać prosto głowy, ramiona poczęły mu opadać.

Wkrótce będzie musiał dać za wygraną; osłabnie donośny głos, a ochronny pancerz opadnie. Wówczas z pewnością zostaniemy zmiażdżeni.

Podciągnąłem nogi i wstałem. Tegid leżał przede mną na boku, krwawił z nosa i ust, jedno ramię miał przerzucone nad głową, drugie wyciągnięte, jakby usiłował dosięgnąć Ollathira. Dostrzegłem wyciągniętą rękę Tegida i zrozumiałem, co mam robić: podtrzymam ramiona naczelnego barda; wesprę jego ramiona i utrzymam je uniesione. Będziemy bezpieczni tak długo, dopóki ręce barda będą ściskać laskę.

Wszedłem chwiejnie do kręgu i ruszyłem ku kamiennemu słupowi, potykając się o ciało

Tegida. W tej samej chwili runęła na mnie siła o oślepiającej mocy, uderzyła mnie niczym fala gorąca bijąca od ognia, zawirowała wokół mnie jak niesione wiatrem płomienie. Pociemniało mi w oczach. Nic nie widziałem. Parłem na oślep do przodu, krok za krokiem, chwiejnie, z sercem łomoczącym ciężko o żebra. Czułem, jak ciało przyrasta mi do kości.

Z wysiłkiem zmierzałem ku kamiennemu obeliskowi, przy którym stał Ollathir. Głowa opadła mu na pierś. Ramiona zwisały.

Dotarłem do niego w chwili, gdy wyczerpała się jego wytrzymałość i ręce, nadal ściskające złamana laskę, opadły. Schwyciłem laskę i uniosłem ją. Ollathir podniósł głowę, ujrzał mnie stojącego nad sobą i w jego wybałuszonych oczach pojawiło się zrozumienie. Otworzył usta i wziął oddech.

–Dagda! Samildanac Dagda! – ryknął naczelny bard. – Bodd Cwi Samildanac!

Poczułem w rękach wrażenie dziwnego rośnięcia: moje ręce zdawały się wydłużać, rosły ogromne i silne. Czułem falę potężnej siły wlewającej mi się do palców, dłoni i nadgarstków. Gdybym podniósł kamień, mógłbym go rozgnieść. Niesamowite wrażenie sphywało po moich dłoniach i rękach na barki, kark i głowę, na plecy i pierś, do nóg i stóp. Czułem się tak, jakbym potężnie urósł, jakbym stał się olbrzymem, posiadającym gigantyczną siłę.

Wysoko podniosłem jarzębinową laskę. Z głośnym i przeraźliwym krzykiem Ollathir osunął się po kamieniu na ziemię. Teraz stałem samotnie, trzymając wysoko nad nami laskę mocy. Ollathir leżał dysząc u moich stóp, resztką sił usiłując się podnieść.

W górze widziałem wyciągniętą nad nami ogromną, szponiastą rękę. Moja siła, choć była wielka, nie mogła jej przeszkodzić przed zgnieceniem nas. Nie byłem bardem; nie znałem słów mocy. Zawolałem do naczelnego barda:

–Ollathir! – krzyknąłem przeraźliwie. – Ollathir, nie porzucaj nas! Penderwydd, pomóż nam!

Usłyszał mnie i moje słowa dodały mu otuchy. Schwycił się moich nóg i podciągnął się na kolana. Myślałem, że chce wstać, ale on dał znak, abym się pochylił. Wyciągnąłem wyżej jarzębinową laskę, uwolniłem jedną dłoń, sięgnąłem w dół i podciągnąłem go na nogi. Bard zachwiał się, uczeplił mnie, z wysiłkiem usiłując utrzymać się na drżących nogach.

Poruszał szczękami, jego usta formowały słowa, ale ja ich nie słyszałem. Pochyliłem głowę, przysuwając ucho do jego ust. Ollathir objął mnie za kark i odwrócił mą twarz ku swojej.

–Domhain Dorcha... – szepnął w tajemnym języku bardów. – Serce... poniżej... Phantarch śpi...

Nie rozumiałem nic z tego, co powiedział.

–Co mówisz? Mów jaśniej!

Ale on już nie słyszał.

–Llew! – powiedział zduszonym głosem. – Llew... twój sługa pozdrawia cię!

Na jego czole perlił się pot śmierci, oczy miał rozgorączkowane i błyszczące. Potem przycisnął swe usta do moich.

Naczelny bard trzymał mnie w rozpaczliwym uścisku. Nim zdążyłem się odsunąć, tchnął we mnie swój ostatni oddech. Poczulem go na swym języku. Płuca mi się wydęły, jakby miały pęknąć. Wolną ręką usiłowałem rozewrzeć jego uścisk; schwyciłem nadgarstek i oderwałem jego rękę z mego karku. Ale on już osuwał się. Ręką, którą początkowo zamierzałem się od niego uwolnić, teraz gwałtownie usiłowałem go schwycić i podtrzymać, aby nie upadł i nie uderzył głową o kamienny słup.

–Ollathir! – krzyknąłem, a na dźwięk mego głosu ziemia zadrżała pod moimi stopami. – Ollathir, nie umieraj!

Naczelny bard już nie żył.

Rozgniewało mnie to, że umarł, choć ja usiłowałem go ratować. Rozwścieczyło mnie to, że umarł, pozostawiając mnie samego w walce z tą bestią z piekła rodem. W jednej chwili ogarnęła mnie dzika furia.

–Ollathir! – krzyknąłem. – Wstawaj! Potrzebuję cię!

U mych stóp spoczywał smętny kopiec jego ciała.

–Wstawaj, Ollathir! – wrzasnąłem. Kopnąłem go, ale nie zareagował. To rozzłościło mnie jeszcze bardziej. W białej furii uderzyłem go jarzębinowym kijem. Uderzałem go raz po raz, krzycząc, aby wstał. Ale on nie wstawał.

Walczyły we mnie gniew i zawód. Pochyliłem się nad nim, okładając go złamanym kijem.

–Dagda! – zawodziłem, używając słów, które usłyszałem od niego. – Samildanac Dagda, spraw, by ożył!

W końcu dotarło do mnie, że biłem martwego człowieka – i że ten stwór z piekieł, wiszący nad pagórką, czerpał przyjemność i siłę z mego odrażającego zachowania. Wysiłkiem woli odsunąłem się od zmaltretowanego ciała Ollathira. Stałem i z ogromnym wzburzeniem trzasnąłem jarzębinowym kijem w bok kamiennego słupa: raz... i jeszcze raz... i jeszcze raz.

Potem rzuciłem umazaną krwią laskę prosto w złośliwe cielsko nade mną. Jarzębinowy kij wystrzelił w nocne niebo, uderzając stwora piekieł. Rozległ się dźwięk podobny do strasznego powiewu wichru. Widmo rozprysło się i rozleciało na kawałki, które zniknęły

niczym nocna mgła rozproszona jasnym blaskiem dnia.

Całe niebo w jednej chwili pojaśniało, rozbłyskując purpurowymi i złocistymi błyskami. Czas-pomiędzy-czasem!

Po chwili równinę poniżej pagórka zalało złociste światło. Kamienny monument jaśniał niczym ziemską gwiazdą, oślepiająca w blasku poranka. Uniosłem oczy, osłaniając je dłońmi przed światłem nowego dnia. Dostrzegłem jedynie gwiazdy jaśniejące na blednącym firmamencie. Stwór nocy zniknął.

Ogarnęło mnie ogromne zmęczenie. Opadłem na kolana obok ciała naczelnego barda. Zapłakałem gorzko na widok tego, co uczyniłem z jego urodziwą głową. Wstyd mieszał się ze smutkiem w spływających mi po twarzy łzach.

–Wybacz mi, Ollathir – szlochałem. – Proszę, wybacz mi.

W niedługi czas potem odnalazł mnie Tegid. Nadal szlochałem nad ciałem, trzymając rozbitą głowę Ollathira na swych kolanach i obmywając ją łzami. Poczulem dotknięcie na ramieniu.

–Co tu się wydarzyło? – zapytał Tegid.

Podniosłem głowę, aby mu odpowiedzieć, ale powstrzymał mnie wyraz twarzy Tegida. Wpatrywał się w ciało oszołomiony i milczący, ręce mu drżały. Poruszył ustami, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Gdy go w końcu odzyskał, wymówił jedno słowo:

–Jak?

Mogłem jedynie pokręcić w odpowiedzi głową. Czy to stwór z piekieł go zabił? Czy też był to Dagda? Nie wiedziałem.

Tegid opadł na kolana obok mnie i wziął w dłonie głowę Ollathira. Pochylił swą twarz do twarzy penderwydda i przycisnął usta do zimnego już czoła.

–Niech ci się powiedzie podróż z tego świata – powiedział półgłosem.

Brehon uniósł ramiona Ollathira z mych kolan i począł prostować powyginane ciało, po czym poprawił odzienie. Gdy skończył, wstał.

–Gdzie jego laska? – zapytał.

–Odrzuciłem ją – odparłem, rozglądając się po spłaszczonym szczycie pagórka. Dostrzegłem kawałek złamanej laski na ziemi na skraju kręgu białych kamieni. Podeszedłem tam, aby ją podnieść.

Gdy moja dłoń zamknęła się na krągłym drewnie, ponownie poczułem dziwną moc laski. Stałem, trzymając ją przed sobą, jakby była wężem. Owładnęło mną dziwne uczucie.

Zdawało mi się, że moje członki urastają do rozmiarów drzew, a głowa sięga chmur, zaś dłonie potrafią przesuwac góry. Słyszałem krew pulsującą mi w skroniach niczym gnane wichrem fale.

Zdawało mi się, jakbym posiadał moc robienia wszystkiego. Uniosę rękę, a cokolwiek zechcę, stanie się. Nic mi się nie oprze; nic mnie nie powstrzyma, jeśli czegoś zapragnę. Dźwiękowi mojego głosu posłuszne będą niebo i ziemia. Sama moja obecność mogła uzdrowić lub zabić. Nigdy więcej nie będę już skazany na stąpanie po ziemi jak zwykły człowiek. Tam, gdzie inni chodzili, ja będę biegł; a gdzie biegli, ja polecę.

Będę latał.

Trzymałem jarzębinowy kij w dłoni i spoglądałem na równinę ze szczytu pagórka. Wiedziałem, że potrafię latać. Wystarczyło jedynie, bym podniósł stopę, a poszybuję z wiatrem, niesiony przez niewidzialne skrzydła. Poszedłem na skraj pagórka i spokojnie zrobiłem krok w nicość.

22. Llew

ie pamiętam, bym spał. Nie pamiętam, bym chodził. Pamiętam jedynie to: cichy śpiew Goewyn. Jej głos niczym atłasowy sznur delikatnie przyciągał mnie z powrotem do samego siebie i przywracał mi świadomość. Odzyskałem wzrok i ujrzałem nad sobą jasną twarz Goewyn. Poczułem, że kołysze moją głowę na swym kolanach. Leżałem na posłaniu ze skór, w pomieszczeniu oświetlonym nikłym światłem, przykryty miękkimi skórami wydry.

Zaczerpnałem tchu, aby się odezwać, ale nim zdołałem wymówić słowo, położyła mi palec na wargach.

–Cicho, mój biedaku – szepnęła – nic jeszcze nie mów. – Uniosła mi głowę i podsunęła czarkę. – Wypij to, a odzyskasz głos.

Pociągnąłem łyk ciepłego płynu – smakował miodem i ziołami i przyniósł ukojenie memu wyschniętemu gardłu. Opróżniłem czarkę i Goewyn ponownie położyła moją głowę na swych kolanach.

–Co się stało? – zapytałem. – Dlaczego tu jestem?

–Nie wiesz? – Przechyliła głowę na bok, a jej długie loki splywały z ramion falistą kaskadą. Wyczułem w jej włosach zapach wrzosu i poczułem bolesne ukłucie tęsknoty.

–Wiem jedynie, że jestem tu, gdzie zawsze pragnąłem być – odparłem. Mówiłem szczerze, bez żadnych zahamowań. Schwyciłem ją za włosy i przyciągnąłem jej twarz ku swojej. Jej usta były gorące, a pocałunek słodki niczym miodowy nektar. Chciałem, aby trwał wiecznie.

–Rzeczywiście wróciłeś – powiedziała półgłosem Goewyn. – Lękałam się, że nas opuściłeś.

–Gdzie jestem?

–Nie pamiętasz?

–Nic nie pamiętam, ja... – Gdy wypowiadałem te słowa, zalała mnie fala pomieszanych obrazów i wrażeń – ale przytłumionych, jakby przyćmionych wielką odległością i długim czasem. Niejasno przypominałem sobie opuszczenie Ynys Sci, morską podróż na Ynys Oer, gorsedd bardów i straszliwą walkę z przerażającym złem, które odebrało Ollathirowi życie. Pamiętałem, jak leżałem skulony na dnie łodzi, jak rzucały mną niebezpieczne fale i jak krzyczałem – przypomniałem sobie, jak wykrzykiwałem z całych sił nieznane słowa, rzucałem zniekształcone obelgi. Pamiętałem, ale to wszystko wydawało się niewyraźne i mało znaczące w porównaniu z wyrazem miłości w ciemnych oczach Goewyn.

–Tak – powiedziałem – teraz przypominam sobie... co nieco. Ale nie pamiętam opuszczenia świętego pagórka, ani powrotu... jeśli wróciłem... na Ynys Sci.

Goewyn pogłaskała moje czoło.

–Jesteś ze mną w domu mej matki. Moje siostry i ja doglądałyśmy cię przez wiele dni.

–Ile dni?

–Trzy po trzydzieści dni, odkąd tu przybyłeś.

–A jak tu się znalazłem?

–Tegid cię przywiózł.

–Gdzie on jest? – zapytałem.

–Ma się dobrze. Poproszę, aby tu przyszedł, jeśli sobie życzysz. – Uśmiechnęła się, a ja dostrzegłem zmęczenie w jej oczach. Doglądała mnie dzień i noc.

Spróbowałem się podnieść, ale wymagało to większego wysiłku, niż mogłem sobie wyobrazić. Mięśnie miałem sztywne; dostałem skurczu żołądka, pleców i nóg, gdy tylko się poruszyłem.

–Auuu! – krzyknąłem z bólu.

Goewyn ostrożnie przesunęła mi głowę na poślanie.

–Leż spokojnie – poleciła, wstając szybko. – Przyprowadzę pomoc.

Zagryzłem wargi, aby nie krzyzczeć, gdy męczyły mnie skurcze. Po chwili Goewyn wróciła z jedną ze swych sióstr. Govan podeszła szybko do miejsca, w którym leżałem skulony i rzekła do Goewyn:

–Zostaw nas. Ja się nim teraz zajmę.

Goewyn zawahała się.

–Idź już – nalegała Govan. – Poślę po ciebie, jak skończę.

Goewyn wyszła. Govan wyciągnęła zielony stój, który wsadziła pomiędzy węgle płonące w żelaznym koszu. Potem zdjęła pas okręcający jej kibić, odłożyła go na bok i zdjęła płaszcz. Następnie wzięła stój, wyciągnęła zatykającą go kępkę mchu i wylała trochę jego zawartości na dłoń. Pomieszczenie wypełnił zapach aromatycznego olejku. Odstawiła stój do kosza i natarła dłonie olejkiem.

–Nie opieraj się. To cię ukoi i uzdrowi.

Odsunęła okrycie ze skór, ujęła mnie pod ramiona i delikatnie przekręciła na brzuch. W miejscach, gdzie mnie dotykała, czułem ciepło spływające do ciała. Po chwili poczułem to samo kojące ciepło rozplywające się po skurczonych mięśniach pleców. Govan, masując mnie, śpiewała cicho. Jej mocne palce wypędzały ból, rozmasowywały uzdrawiający balsam, wgniatając życie do mego skurzonego, zeszywniałego ciała.

Wymasowała mi plecy, ramiona, uda, nogi i stopy; potem obróciła mnie i natarła mi pierś, brzuch, ramiona i ręce. Gdy skończyła, całe moje ciało było rozluźnione i gładkie. Uśmiechnąłem się z leniwej rozkoszy, rozgrzany i rozluźniony od głowy po stopy. Nie miałem ochoty się ruszać i nie dbałem o to, czy jeszcze kiedykolwiek się poruszę.

Govan naciągnęła na mnie skóry.

–Teraz zaśniesz. A gdy się obudzisz, będziesz głodny. Jedzenie będzie na ciebie czekało. – Ubrała się i odeszła. Zasnąłem, nim zdążyła opuścić pokój.

Przebudziłem się niemal natychmiast – tak przynajmniej mi się wydawało. Ale musiałem trochę pospać, gdyż ktoś zdążył przynieść chleb, piwo i ser. Wypiłem trochę piwa, a potem ogarnięty niemal wilczym głodem, przełamałem bochenek na pół i wepchnąłem sobie do ust, ile tylko mogłem. W podobny sposób zjadłem ser, pozostałą połowę bochenka i opróżniłem kubek.

Oprócz jedzenia ktoś również przyniósł mi ubranie i zostawił je ładnie ułożone w nogach mego posłania. Podniosłem się powoli i wstałem niepewnie na nogi. Wziąłem tunikę i wsunąłem ręce w rękawy, podziwiając jej kolor i jakość: purpurowa, w odcieniu dojrzałych wilczych jagód; spodnie były z materiału wspaniale utkanego w rdzawo-brązową szachownicę. Skóra szerokiego pasa i ciżm była gruba i miękka, bez skazy czy plamy, w kolorze piasku; płaszcz był szary, w odcieniu gołębiego puchu, ozdobiony na brzegu zawitym, srebrnym wzorem. Brosza również była srebrna, duża i okrągła, wysadzana błękitnymi kamieniami.

Nigdy jeszcze nie posiadałem tak wspaniałego ubrania. To były szaty bogatego wodza. Zachodziłem w głowę, czym zasłużyłem sobie na takie wyróżnienie. Ubrałem się z przyjemnością, dziękując hojności swego nieznanego opiekuna – bez wątpienia była nim sama Scatha. Ułożyłem płaszcz na ramionach, spiąłem go srebrną broszą i wyszedłem.

Byłem słabszy, niż myślałem, gdyż już drobny wysiłek przekroczenia progu przyprawił mnie o zawrót głowy. Chwiejnym krokiem podszedłem do framugi i przystanąłem tam, czekając, aż dom przestanie wirować przed oczyma. Słońce na krótko wysunęło się zza gęstych, szarych chmur i rozświetliło umierający dzień bladożółtym światłem. Powietrze było zimne, o ostrym posmaku soli niesionym od morza porywistym wiatrem.

Kilku starszych chłopców, którzy zostali na wyspie przez sollen, zebrało się w pobliżu, aby grać w coś w rodzaju hokeja. Przerwali grę na mój widok i utkwili we mnie oczy. Żaden z nich nie zawołał do mnie na powitanie, choć znałem ich wszystkich i oni znali mnie.

Na ścieżce przed domem pojawiła się Goewyn. Spostrzegła mnie i ruszyła szybko w moją stronę. Porywisty wiatr od morza porwał jej niezwiązane włosy i dmuchnął długimi, złocistymi lokami w moją twarz, gdy ujmowała mnie pod ramię.

–Szlam właśnie, aby posiedzieć przy tobie. Nie myślałam, że tak szybko wstaniesz.

–Dość już spałem. Chcę chodzić – powiedziałem. Goewyn poprowadziła mnie, podtrzymując, obok gapiących się chłopców i wyprowadziła z podwórca ku morskemu urwisku.

–Jak się czujesz? – zapytała.

–Czuję się jak nowo narodzony – powiedziałem. Na te słowa Goewyn zawahała się – ledwie zauważalnie potknęła się i rzuciła mi ukradkowe spojrzenie. Ale ja to zauważyłem.

–Czemu tak na mnie patrzysz? – zapytałem. – Czy coś ze mną jest nie tak?

Goewyn uśmiechnęła się. Wyczułem ślad niezdecydowania, nim odpowiedziała:

–Wyglądałeś jak ktoś inny. To pewnie światło.

Rzeczywiście, światło gasnącego popołudnia rzucało złociste blaski na morze i skały poniżej nas, miodowej barwie włosów Goewyn przydało złociste pasemka, a jej jasnej skórze barwę bursztynu. Od morza wiał rzeński wiatr, miotający fale o skały i wzbijający w powietrze migoczącą mgiełkę. Zbyt szybko złociste światło poczęło gasnąć. Owładnięty nagłą potrzebą dotknięcia jej, zatrzymałem się na ścieżce, podniosłem rękę i pogładziłem ją po twarzy. Nie wzbraniała się.

–Tegid czeka – powiedziała po chwili Goewyn, ale nie cofnęła się. Staliśmy tak jeszcze przez chwilę, po czym zawróciliśmy i ruszyliśmy z powrotem ku skupisku chat.

Tegida znaleźliśmy w hali. Stał przed paleniskiem, trzymając w dłoni róg z piwem. Dołączyliśmy do niego. Na mój widok na jego twarzy pojawił się wyraz udawanej obojętności, ale ulga w jego głosie była prawdziwa.

–A zatem, pochodzisz po krainie żywych trochę dłużej. Bałem się, że straciliśmy cię, bracie.

–Od samego początku mówił nam, że powrócisz – odparowała radośnie Goewyn. – Tegid nigdy nie wątpił.

Zażenowany Tegid wzruszył lekceważąco ramionami i wcisnął mi róg w dłoń.

–Pij! Przyniosę więcej.

Oddalił się pospiesznie, a ja odwróciłem się do Goewyn i uściśnąłem jej rękę.

–Dziękuję... za dogłądanie mnie, za opiekowanie się mną... za uratowanie mnie.

–To Tegid cię uratował – odparła. – Wiele wycierpiał, wioząc cię tutaj. W porównaniu z nim my nic nie zrobiliśmy.

–Dla mnie to nie było nic – upierałem się. – Jestem jego i waszym dłużnikiem. Ale to dług, który spłacę. Póki co, przyjmij podziękowania.

–Naprawdę – odparła – nic nie jesteś dłużny. – Uściśnęła moją dłoń z powagą i cofnęła się.
– Ty i Tegid wiele macie sobie do powiedzenia. Opuszczę cię teraz.

Odeszła pustą halą, a ja spoglądałem za nią, zaskoczony nagłym przyplywem uczuć. Sala zdawała się ciemnieć w oczach, wyczułem czający się w powietrzu chłód. Już miałem zawołać za nią, ale Tegid wrócił z pucharami i dzbanem brunatnego piwa.

Usiadł przy palenisku, a ja poprosiłem go, aby opowiedział, co zapamiętał z owej niezwyklej nocy na wyspie Białej Skały. Nie bardzo mogłem ufać własnej pamięci – tak pełnej niesamowitych i strasznych wrażeń oraz niewiarygodnych i groteskowych obrazów.

–Niewiele pamiętam z tego, co się wydarzyło – powiedziałem mu. – A tego, co zapamiętałem, nie jestem pewny.

Tegid pociągnął łyk ze swego pucharu i odstawił go na bok.

–Gorsedd bardów nie powiódł się – powiedział w końcu, zaczynając od wydarzeń o wiele wcześniejszych.

–Zgromadzenie – tak, pamiętam. – I przypominałem sobie, o co przez cały czas chciałem go zapytać. – Tak, ale ja chciałbym wiedzieć dlaczego? Dlaczego tam w ogóle byłem? O co w tym wszystkim chodziło?

–Jak już wyjaśniłem ci na pokładzie statku...

–Wyjaśniłeś! – prychnąłem. – Niczego nie wyjaśniłeś. Powiedziałaś, że byłem tam, ponieważ Ollathir i Meldryn Mawr sobie tego życzyli. Ale nie powiedziałaś mi, dlaczego życzyli sobie mojej obecności.

–Ollathir miał zamiar powiedzieć ci po gorsedd, ale... – wzbronił się przed wymówieniem tych słów.

–Ale umarł. A zatem ty musisz mi to powiedzieć, Tegid. Teraz.

Tegid umilkł na chwilę; czułem, że jest jak człowiek, który próbuje przekonać siebie, że przerwienie ciężaru na ranną nogę nie wyrządzi szkód, podobnie jak słowa, które miał za chwilę wypowiedzieć.

–Mamy w Albionie kłopoty – powiedział po prostu. – Nastąpił rozłam pomiędzy trzema królestwami: Prydain, Llogres i Caledon – każde z nich dba tylko o własne interesy i przygotowuje się do wojny z pozostałymi. Nadszedł Dzień Zmagań.

–A tak, ów tajemniczy Dzień Zmagań. Pamiętam. Mów dalej.

–Nawet znakomite rody są skłócone, dwory królewskie podzielone.

–Nawet dwór Meldryna Mawra?

Tegid nie raczył odpowiedzieć, ale wiedziałem, że moje domysły były słuszne.

–Przez te siedem lat mieszkałeś na Sci – ciągnął dalej. – Nie było cię w Sycharth, więc nie mogłeś być zamieszany w knowania przeciwko królowi. Z tego powodu wybrano cię do udziału w zgromadzeniu. Ollathir i Meldryn Mawr postanowili, że będziesz świadkiem wszystkiego, co wydarzy się na zgromadzeniu.

–Ale ja nie brałem udziału w zgromadzeniu – przypominałem mu. Czułem się oszukany, że mnie lepiej nie poinformowano i lekko obrażony tym, że mi w pełni nie ufano. – Nikt mi o tym nie powiedział.

–Uprzedzając cię o tym – wyjaśnił cierpliwie Tegid – moglibyśmy zakłócić trafność twego osądu.

–Tak mówisz – mruknąłem, przypominając sobie zabawę w kotka i myszkę na pokładzie statku w drodze na wyspę. Być może bard powiedział mi wtedy tyle, ile mógł.

Tegid nie próbował się bronić. Po prostu ciągnął dalej:

–Lęk już zawładnął duszami wielu prawych ludzi, w tym i bardów. Ollathir spodziewał się spisku w gronie bractwa. Planował zdemaskować zdrajców i usunąć ich. Ale jego plan

zawiódł. Nie miał innego wyboru, jak zakończyć gorsedd, w przeciwnym razie przestrzegłby zdrajców, że wie o ich knowaniach.

–Tak więc to, co miałem obserwować – wszystko jedno, co to miało być – nie miało miejsca.

Tegid przechylił głowę na bok, taksując mnie uważnym spojrzeniem.

–Nie wiem... ale ty wiesz.

–Ja wiem?

–Czy zauważyłeś coś podczas gorsedd?

–Nic nie widziałem. Wszyscy weszli na pagórek, a ja zostałem na dole. Czekałem, co jakiś czas obchodziłem pagórek dookoła, a potem wszyscy zeszli na dół. Nic się nie wydarzyło. Wszyscy odeszli, a ja... Nie, coś jednak było.

Tegid pochylił się.

–Co sobie przypomniałeś?

Oczami wyobraźni ponownie zobaczyłem postać spiesząco oddalającą się równiną, tuż przed zakończeniem zgromadzenia.

–To pewnie nie ma wielkiego znaczenia – powiedziałem powoli. – Ale tuż przed zejściem bardów z pagórka zauważyłem kogoś opuszczającego zgromadzenie.

–Czy to był Ruadh?

–Bard księcia? – Zastanowiłem się chwilę, ale nie byłem pewny. – To mógł być Ruadh. Nie wiem.

–Ollathir wiedziałby – powiedział z przekonaniem Tegid.

–Czemu więc mnie nie zapytał? – To nie miało sensu. Nie cierpiałem tych gier; brakowało mi cierpliwości.

Tegid odwrócił oczy, twarz miał nieprzeniknioną niczym zatrzaśnięte drzwi. To musiało być dla niego trudne. Uprzytomniłem sobie, że kochał Ollathira, swego mistrza i przewodnika. Złagodniałem.

–Czemu Ollathir chciał wrócić na ten pagórek tamtej nocy? Czy to miało coś wspólnego z tym zdrajcą?

–Tak, i ze wszystkimi innymi zdrajcami – odparł poważnie Tegid. – Naczelny bard pragnął

dowiedzieć się, jak szerokie kręgi zatoczyła zdrada. – Przerwał, skierował na mnie spojrzenie, po czym znowu odbiegł wzrokiem. Wpatrzył się w gęstniejący mrok. – Ollathir był pewny, że król jest w niebezpieczeństwie – powiedział w końcu. Jego głos zabrzmiał głucho w pustej sali. – Dlatego tej nocy wrócił na święte wzgórze. Miał nadzieję ujrzeć, czyja ręka była wzniesiona przeciwko królowi. Ale nie wziął pod uwagę tego... tego...

Głos Tegida załamał się. Znałem powód: piekielny stwór na pagórku.

–Powiedz mi, Tegid – dopytywałem się delikatnie, ale zdecydowanie. – Czym było to, co tam widzieliśmy?

Tegid wykrzywił ze wstrętem usta.

–Mieszkaniec Piekielnych Czeluści, Prastare Zło, Duch Zniszczenia. Ujrzałeś siłę śmierci, zepsucie i chaos. Jego imię brzmi Cythrawl, ale nie wymawia się go głośno, by nie budzić przerażenia.

Dobrze wiedziałem, co miał na myśli. Czuję, jak serce przeszywa mi chłód na samo wspomnienie chwili, w której nieświadomie rozgromiłem potwora.

–Dlaczego to coś, ten Cythrawl... dlaczego nas zaatakował?

–Ollathir go przywołał... – zaczął Tegid.

–Co! – Puchar z piwem prawie wypadł mi z ręki. – Chcesz powiedzieć, że przywołał go celowo?

–Nie – odparł bard. – Nie wiedział, że Cythrawl jest uwolniony, w przeciwnym razie nigdy nie wszedłby na pagórek. Chciał jedynie przywołać wiedzę złoczyńców.

–A zamiast tego odpowiedział ten potwór?

–Tak, gdy Cythrawl się pojawił, naczelnny bard nie miał innego wyjścia, musiał mu stawić czoła. Miał nadzieję, że skrępuje go, nim jego ziemską moc wzrośnie na tyle, by nie można się było przed nią obronić. Nie miał pojęcia, jak potężny już się stał.

Mogłem jedynie z niedowierzaniem pokręcić głową.

–Czy on postradał zmysły? Dlaczego coś takiego zrobił?

–Staliśmy w najświętszym miejscu Albionu. Jeśli Cythrawlowi udałoby się nas tam pokonać, to żadna ziemską siłą nie przeszkodziłaby mu w dalszych zniszczeniach. Albion pogrążyłby się w nicości – dodał Tegid. – Tak jakby nigdy nie istniał. – Tegid nagle spoważniał. – Ale ty odpędziłeś Cythrawla, nim zdążył zniszczyć święte centrum Albionu. Gdyby doszło do najgorszego, ocalałaby przynajmniej mała część Albionu.

–Gdybym jeszcze uratował Ollathira – pomyślałem głośno. – Przykro mi, Tegid.

–Bez wątpienia uczyniłeś wszystko, co można było uczynić – odparł smutnym głosem. Unieśliśmy puchary ku pamięci naczelnego barda i wypiliśmy w milczeniu. – Teraz musisz mi opowiedzieć, co wydarzyło się tam na pagórku.

–Wiesz równie dobrze jak ja, co się wydarzyło – powiedziałem.

–Nieco wiem... ale nie wszystko. Nie byłem przy Ollathirze, gdy umierał, ale ty tam byłeś. Musisz opowiedzieć mi, jak to się odbyło. Muszę usłyszeć wszystko.

Chciałem odpowiedzieć, ale nie mogłem. Co wydarzyło się na pagórku? Nie bardzo wiedziałem. Widziałem obrazy – pomieszane i groteskowe – dziwaczny potok odrażających wrażeń i sennych koszmarów. Zamknąłem oczy i usiłowałem przepędzić ze swego umysłu nienawistne wizje. Gdy otworzyłem ponownie oczy, napotkałem wyczekujące spojrzenie Tegida. Jak mogłem powiedzieć mu, co się wydarzyło, skoro sam tego nie wiedziałem?

–Nie potrafię powiedzieć – rzekłem w końcu, potrząsając głową. – Nie wiem.

–Musisz mi powiedzieć – nalegał Tegid.

–Nie mogę sobie przypomnieć.

–Powiedz mi – upierał się. – To jest ważne!

–Mówię ci, że nie wiem! Daj mi spokój!

Tegid wpatrywał się we mnie z uporem, jakby chciał nakłonić mnie do odpowiedzi. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale potem zamknął je, zagryzając wargi, nim wypowiedział słowa. Przez kilka chwil tkwiliśmy w martwym punkcie. Tegid wpatrywał się we mnie groźnie. Potem nagle wstał.

–Chodź – powiedział szybko, dając mi znak, bym się podniósł. – Idź za mną.

–Dlaczego? Dokąd idziemy? – Ale Tegid nie odpowiedział; kierował się ku drzwiom.

Wyszliśmy z hali. Słońce już zniknęło, a wraz z nim wiatr. Pomimo to noc zapowiadała się zimna. Z żalem opuszczałem ciepłą salę. Szczelniej otuliłem się płaszczem i pospieszyłem ciemniejącym podwórcem.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami jednej z małych, okrągłych chat.

–Zaczekaj tu – powiedział i wszedł. Po chwili pojawił się ponownie. – Możesz teraz do niej wejść – powiedział.

–Do kogo? – zapytałem, chwytając go za ramię.

–Gwenllian.

–Dlaczego? O co chodzi?

–Myślę, że powinieneś porozmawiać z banfaith, – Nie chcę z nią rozmawiać, Tegid – szepnąłem ostro. – Czemu mi to robisz?

–Musisz z nią porozmawiać – odparł zdecydowanym tonem. – Oczekuje cię.

–Chodź ze mną.

–Nie. – Zdjął moją dłoń ze swego ramienia i odsunął się od przesłoniętego cielecą skórą wejścia. – Poczekam na ciebie w hali – powiedział i popchnął mnie do wejścia. – Przyjdź, jak skończysz.

Odwrócił się i odszedł podwórcem. Gdy zniknął mi z oczu, wszedłem do kamiennego domu. Był pusty, podobnie jak inne, ale na środku zajmowanego przez Gwenllian pomieszczenia płonął ogień w niskim, żelaznym koszu, a podłoga wysłana była grubą warstwą trzciny i skórami kudłatych kóz i brązowych owiec.

Gwenllian siedziała, otulona zebrany pod szyją płaszczem, tak że tylko głowa z niego wystawała. Jej długie, kasztanowe włosy spływały luźno na ramiona. Ogromne oczy miała zamknięte, usta lekko rozchylone. Przypominała śpiącego na krawędzi przebudzenia. Wszedłem cicho, aby nie zakłócić jej medytacji i usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na brązowej cielecej skórze.

Po chwili usłyszałem westchnienie – długi wydech, po którym nastąpił równie długi wdech. Otworzyła oczy i przyjrzała mi się bez słowa. Spokojnie wytrzymałem jej spojrzenie, rad, że mogłem milczeć, dopóki nie pozwoli mi mówić.

Pod płaszczem coś się poruszyło i Gwenllian wysunęła nagie, białe ramię w kierunku kosza. Trzymała garść suchych dębowych liści, które rozsypała na płonące węgle. Suche liście zadymiły się i zapaliły się, wypełniając małe pomieszczenie ostrym zapachem. Pamiętałem ten zapach z innych czasów i innego miejsca, teraz bardzo, bardzo odległego.

W powietrze wzbiła się smużka dymu; prorokini wdychała jego zapach, wciągając powietrze głęboko w płuca. Gdy w końcu przemówiła, nie poznałem jej głosu. Zwykle jej głos był miękki niczym wierzbowy witka, słodki niczym złocisty, letni miód, namiętny, wymowny i czarujący. Jednakże głos, którym teraz się do mnie zwróciła, choć spokojny, był smutny i zimny; z każdego słowa była absolutna i niebudząca wątpliwości władza. Siedziała przede mną i obserwowała mnie swymi niezgłębionymi, zielonymi oczyma Gwenllian banfaith, mądrej prorokini.

–Na Skale Albionu stanęła stopa obcego. Pięknie odziany, bogato przystrojony, jest tym, który broni jasnowłosego ludu Dagdy. Bądź pozdrowiony, Srebrnoręki, twój sługa

pozdrawia cię!

Skłoniłem głowę, odpowiadając na jej dziwne powitanie, ale nie odezwałem się, jako że nie pozwolono mi mówić. Poza tym nie byłem wcale pewny, że to o mnie mówiła. Srebrnoręki? To imię z nikim mi się nie kojarzyło.

Banfaith wyciągnęła spod swego płaszcza torques zrobiony z kilkunastu grubych, srebrnych pasm, skręconych i splecionych w warkocz. Położyła kosztowny naszyjnik na podłodze między nami i zaintonowała:

–Pytaj, o co chcesz, a prawda zostanie ci wyjawiona. W Dzień Zmagań nic nie ukryje się przed wybranym Samildanac. – Potem, już łagodniejszym głosem, dodała: – Mów szczerze, Srebrnoręki, nie zostaniesz odprawiony z niczym.

Jeszcze raz pochyliłem głowę. Tylu rzeczy chciałem się dowiedzieć, o tyle chciałem zapytać, że przez chwilę musiałem zastanowić się, które z cisnących mi się na usta pytań zadać pierwsze.

–Banfaith – powiedziałem w końcu – nazwałaś mnie Srebrnorękim. Chciałbym wiedzieć, dlaczego zwracasz się do mnie tym imieniem.

Chociaż przyrzekła, że niczego nie będzie ukrywać, jej odpowiedź nie bardzo mnie oświeciła.

–Ten, który nosić będzie torques bohatera, musi być bohaterem. Llew Llaw Gyffes, Mały o Pewnej Dłoni powraca bronić dzieci Dagdy, gdy Cythrawl zerwie się z uwięzi.

–Banfaith – powiedziałem – usiłuję to zrozumieć. Jeśli nic nie stoi na przeszkodzie, proszę, powiedz mi, jak do tego mogło dojść.

–Nic nie stoi na przeszkodzie, z ochotą ci odpowiem: od niepamiętnych czasów imię Llew należy do Dagdy. Bohatera wskrzeszanego na jego wezwanie zwą Llew Llaw Eraint.

Chętnie odpowiadała na moje pytania, ale jej odpowiedzi gmatwały wszystko coraz bardziej. Spróbowałem jeszcze raz.

–Ten bohater – powiedziałem – ten Llew Srebrnoręki – jak on jest wskrzeszany?

–Czerwonowłosa Doskonałej Wiedzy jest Wielce Utalentowany – odparła tajemniczo Gwenllian. – On widzi wszystko, wszystko wie, wskazuje wszystko swą Dobrą Ręką. Hoża Dobra Ręka wybiera tego, kogo chce.

–Mądra banfaith, uważasz, że ja jestem bohaterem? – zapytałem kolejny raz.

–Dagda Samildanac wybrał. Teraz ty musisz zastanowić się, czego chcesz.

To również nie brzmiało zbyt sensownie. Jednakże nie okazałem zawodu, lecz podziękowałem banfaith za pomoc i spróbowałem z innego końca.

–Dzień Zmagań – powiedziałem – nic o nim nie wiem. Z chęcią usłyszałbym wszystko, co mogłabyś mi na ten temat powiedzieć.

Na te słowa banfaith zamknęła powoli oczy i wycofała się w głąb siebie. Słyszałem cichy trzask płonących w koszu węgli. Tymczasem prorokini poszukiwała na rozproszonych ścieżkach przyszłości słów, które mogłaby mi przekazać. Gdy ponownie przemówiła, w głosie jej zabrzmiała nuta udręki, na dźwięk której poczułem ukłucie w sercu.

–Słuchaj, Srebrnoręki, oto słowa Najwyższej Mądrości. – Rozpoczynając recytację, wzniosła otwarte dłonie. – Niszczyciel Pomocy skieruje swój gniew na Trzy Prawe Królestwa; kłami i pazurami będzie odzierał kości z mięsa. Jego bladzi pacholki pokonają siły Gyd. Całun bieli spowie krainę, głód strawi młodych i starych. Szary Ogar zerwał się z uwięzi; będzie gryźć kości dzieci. Czerwonooki Tułacz przeszyje gardła wszystkich, którzy będą go ścigać. Opłakuj i smuć się, głęboki żal jest sądzony Albionowi w trójnasób. Złocisty Król kopnie w Skalę Niezgody. Robak o ognistym oddechu zażąda tronu Prydainu; Llogres będzie bez pana. Ale radować się będzie Caledon; Stado Kruków zaludni tłumnie jego cieniste doliny i krakanie kruków będzie tam pieśnią. Gdy zgaśnie Światło Derwyddi, a krew bardów będzie domagać się sprawiedliwości, wówczas Kruki rozłożą swe skrzydła ponad świętym lasem i świętym pagórkim. Pod skrzydłami Kruków stanie tron. Na tym tronie zasiądzie król ze srebrną ręką. W Dniu Zmagań korzeń zamieni się miejscem z konarem, a świeżość będzie uchodzić za cud. Niech słońce będzie przyćmione jak bursztyn, niech księżyc skryje swe oblicze: odraza kroczy po ziemi. Niech cztery wichry zewrą się w przeraźliwych podmuchach; niech ten dźwięk wzbije się aż do gwiazd. Prochy Starożytnych zawirują w obłokach; istotę Albionu rozniosą walczące wichry. Morza podniosą się, grzmiąc potężnie. Nigdzie nie będzie bezpiecznej przystani. Arianrhod śpi na swym otoczonym morzem przylądkiem. Choć wielu jej szuka, nie znajdzie. Choć wielu ją wzywa, nie usłyszy ich głosów. Jedynie czysty pocałunek przywróci ją jej prawowitemu miejscu. Wówczas rozgniewa się Olbrzym Niegodziwości i przerazi wszystkich ostrzem swego miecza. Z jego oczu bić będą płomienie; jego usta ociekać będą trucizną. Ze swą wielką armią splądruje wyspę. Wszyscy, którzy mu się sprzeciwią, zostaną porwani powodzią bezprawia, która wypłynie z jego ręki. Wyspa Potężnych stanie się grobowcem. A wszystko to stanie się za sprawą Bezwstydneho Męża, który i na swego śmiałego rumaka sprowadzi straszną i okrutną klątwę. Powstań Mężu z Gwir! Weź do ręki oręż i stań przeciwko zdrajcom w swym otoczeniu! Odgłosy bitwy dotrą pomiędzy gwiazdy na niebie, a Wielki Rok dobiegnie swego ostatecznego spełnienia. Słuchaj, Synu Albionu: Krew jest zrodzona z krwi. Ciało jest zrodzone z ciała. Ale duch jest zrodzony z Ducha i Duchem na zawsze zostanie. Nim Albion będzie Jednym, Bohaterski Czyn musi być dokonany, a Srebrnoręki musi objąć rządy.

Przepełniony straszliwym smutkiem głos prorokini załamał się.

–Phantarch nie żyje! – załkała. – Nie żyje!... Phantarch nas opuścił i umilkła Pieśń... Cythrawl niszczy krainę! Gwenllian przez długi czas siedziała z zamkniętymi oczyma, szlochając cicho. Niczego nie pragnęłam bardziej, niż wymknąć się stąd, uciec od niej, nie słuchać dłużej jej przepowiedni. Ale ona otworzyła oczy i zatrzymała mnie ponurym spojrzeniem.

–Banfaith – rzekłam, zatrwożony do głębi jej przeraźliwą wizją – nic nie wiem o Bohaterskim Cynie, ani o tym, jak można go dokonać. Wydaje mi się, że jest to zadanie bardziej stosowne dla barda. Jednakże co będzie można, uczynię. Powiedz mi jeszcze tylko jedno. Jak można pokonać Cythrawla?

–Nim będzie można pokonać Cythrawla, Pieśń musi zostać przywrócona życiu.

–Ta pieśń, o której mówisz... czy znam ją?

Mądra banfaith spojrzała na mnie ze smutkiem i z powagą.

–Nikt nie znał Pieśni z wyjątkiem samego Phantarcha. Ponieważ to największy skarb tego ziemskiego królestwa, nie może być zbrukany przez istoty małe duchem czy niegodne sługi. Nim Słońce, Księżyc i gwiazdy weszły na swe niezmiennie tory, nim żywe istoty wzięły pierwszy oddech, nim wszystko, co jest, wzięło początek, śpiewano Pieśń. Poprosiłeś mnie o nazwanie tej Pieśni. Bardzo proszę. Zatem wiedz: to Pieśń Albionu.

23. Dzień Zmagań

ie spałem tej nocy. Nie wróciłem do hali. Chodziłem w ciemności po urwiskach nad niespokojną wodą, niewiele dbając o to, że mogę potknąć się i runąć na głowę, znajdując śmierć na stromych morskich brzegach. Wówczas Dagda musiałby wybrać kogoś innego. Nie chciałem brać w tym udziału.

Długo chodziłem samotnie po krawędziach urwisk – zaniepokojony, przestraszony, strapiony przepowiednią banfaith i rozgniewany ponagleniami Tegida. Szturmowałem więc nadbrzeżny szlak, miotając przekleństwa na wiatr i urągając falującemu morzu. W końcu usadowiłem się na skale, wznoszącej się nad obmywanym przez fale kamienistym brzegu, aby popatrzeć na wschód słońca. Tam znalazła mnie Goewyn, gdy przyglądałem się, jak perłowy blask sączy się w niebo i znaczy krwawo morze. Podeszła do mnie tak cicho, że jej nie słyszałem. Po prostu wiedziałem, że tam jest, a potem poczułem jej ciepłe palce na szyi.

Przez jakiś czas stała, nic nie mówiąc. Tuliła się do mych pleców, gładząc mnie po włosach i karku.

–Tegid powiedział mi, że musisz odejść – powiedziała w końcu.

–On jest zdecydowany – mruknąłem posępnie. – Zdecydowany, by zamrozić nas na śmierć i utopić.

–Sollen nie zaczęła się jeszcze na dobre. Możecie jeszcze w miarę pewnie żeglować. – Obeszła mnie i usiadła obok na zimnej skale.

–Nic nie jest pewne – mruknąłem. – Nic nie pozostaje wiecznie takie samo.

Oparła się o mnie, kładąc mi głowę na ramieniu.

–Aleś przygnębiony – westchnęła. – A przecież jesteś silny i całe życie przed tobą. Czemu myśleć o najgorszym?

Ponieważ najgorsze i nieuniknione często jest jednym i tym samym, pomyślałem. Ale nie chciałem dręczyć Goewyn, która przecież starała się mnie pocieszyć, więc nic nie powiedziałem. Przysłuchiwaliśmy się falom, pieniającym się na kamienistym brzegu. Cztery białe mewy szybowały nad wodą, końcami skrzydeł muskając fale.

–Gdy taki bard jak Ollathir umiera – odezwała się po jakiś czasie, tak jak byśmy od dawna dyskutowali nad tym tematem – musi tchnąć swój awen w kogoś innego, aby nie zaginał. Raz zaginionego awenu nigdy nie można odzyskać i jego blask na zawsze opuszcza ten świat.

–Tak? Co ci jeszcze powiedział Tegid? – warknąłem i natychmiast tego pożałowałem.

–Tegid oddałby życie dla uratowania Ollathira – ciągnęła dalej Goewyn, nie zważając na moją szorstkość. – Ale nie było mu pisane. Gdy nadszedł czas, to ty byłeś przy naczelnym bardzie, aby odebrać jego awen.

Awen... a więc o to chodziło Tegidowi! Wiedziałem, że awen był źródłem intuicji bardów, duchem natchnienia. To on pomaga w wykarmieniu, odzianiu i zapewnieniu schronienia dla ludzi klanu. Awen jest tchnieniem Dagdy, które prowadzi i poucza, i które odróżnia bardów od innych ludzi.

–Ale dlaczego przekazał je mnie – dopytywałem się, rozgniewawszy się ponownie. – Nie jestem bardem! Nie chcę tego. Nie potrafię tego wykorzystać.

–Został przekazany tobie, ponieważ tam byłeś – uspokajała mnie Goewyn.

–A ja oddałbym go Tegidowi, gdybym mógł – oświadczyłem ostro. – Nie chcę być w to zamieszany!

Poczułem jej dłoń na policzku. Odwróciła moją twarz ku swojej.

–Zostałeś wybrany do wielkich czynów – powiedziała, a choć mówiła cicho, w jej głosie słychać było niezachwianą pewność.

–Ty również rozmawiałaś z Gwenllian – rzekłem odwracając się.

–Nie wiem, co Gwenllian ci powiedziała. Ale nie trzeba wizji banfaith, aby to dostrzec. Gdy Tegid przywiózł cię tu w łodzi, pomyślałam, że nie żyjesz. Ale gdy tylko na ciebie spojrzałam, dostrzegłam w tobie blask bohatera – i wiedziałam, że Dagda położył na tobie dłoń.

–Nigdy o to nie prosiłem – mruknąłem kwaśno. – Nigdy tego nie pragnąłem! – Spojrzałem na wschodzące słońce. Blask nowego dnia już gasł za ciemnymi chmurami, a wiatr chłostał fale na pianę. Wkrótce Tegid i ja wyruszymy na zimne morze, aby wrócić do Sycharth, i nigdy już nie zobaczę Ynys Sci.

–W przyszłość biegnie wiele ścieżek – powiedziała Goewyn, jakby czytała w moich myślach. – Któż wie, gdzie nasze drogi się spotkają?

Siedzieliśmy jeszcze chwilę. Potem ona odeszła, oddalając się cicho i zostawiając mnie memu egoistycznemu strapieniu.

Łódź, którą przy płynęliśmy na wyspę Scathy, była mała. Bez sternika i załogi nie poradzilibyśmy sobie jednak z większą. Mocny stateczek dobrze nam służył tam, gdzie inny zatonałby przy zimowym sztormie. Rzeczywiście, nasza mała, czarna łódka unosiła się na smaganych wichrem falach niczym piórko.

Kuszeniem złego losu byłoby jednak obdarzenie zbyt dużą ufnością błyskawicznie zmieniającej się pogody sollen. Słońce potrafiło w jednej chwili grać i świecić jasno, a już w następnej lodowate podmuchy z pomocy przeszywały na wylot zimowe, wełniane odzienie i mroziły ciało. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy dotrzeć do Sycharth łodzią, choć to był najszybszy sposób. Tegid nie miał samobójczych zapędów, chciał jedynie dotrzeć do przystani Ffim Ffaller, gdzie mogliśmy zdobyć konie i zapasy na dalszą podróż lądem, lub, gdyby to się nie udało, wylądować na Ynys Oer i stamtąd przeprowić się na stały ląd – co by trwało o wiele dłużej.

Pogoda nam nie sprzyjała. Drugiego dnia podróży z północy nadciągnął sztorm i zmusił nas do poszukania schronienia na osłoniętej plaży skalistego wybrzeża kontynentu. Na urwistym brzegu znaleźliśmy jaskinię. Udało nam się zebrać dość naniesionego przez wodę drewna, aby rozpaść ognisko. Jaskinia była naszym domem przez pięć długich dni oczekiwania, by wicher zużył swe siły.

Wieczorem piątego dnia wiatr ucichł, a gdy księżyc wzeszedł, wyruszyliśmy ponownie na morze. Powietrze było zimne, ale niebo czyste. Tegid bez trudności sterował łodzią, kierując się gwiazdami i srebrzystym zarysem linii brzegowej. Żeglowaliśmy przez całą noc i cały następny dzień, śpiąc na zmianę.

Nie byłem wprawnym sternikiem, ale potrafiłem zastąpić Tegida na tyle długo, aby mógł odpocząć i przespać się. Dotarliśmy do zachodniego wybrzeża Ynys Oer przemarznięci niemal na kość od ciągłego smagania wichru i spienionych fal. Nasze zapasy też były już na

ukończeniu. Bez żalu opuściłem łódź i ponownie postawiłem nogę na stałym lądzie.

Nasze konie zostały w parowie. Tegid puścił je wolno, aby się pasły. Mogły tam przezimować bez większej szkody, gdyż strome zbocza parowu broniły dostępu wichrom i ulewom, a dno porastała gęsta trawa. Przenocowaliśmy w kamiennym szałasie na zachodnim brzegu. Przed nami rozciągał się widok na Ynys Bainail i święty obelisk, który znaczył miejsce pochówku Ollathira.

–Nie dałbym rady znieść was obu z Białej Skały – wyjaśnił Tegid. – A ponieważ w tobie tliło się trochę więcej życia niż w Ollathirze, obłożyłem jego ciało kamieniami i zabrałem cię na Ynys Sci.

–Jestem ci za to wdzięczny, Tegid. Bardzo ryzykowałeś. To była taka ciężka podróż.

–O wiele mniej ryzykowałem niż ty, gdy stawiałeś czoło Cythrawlowi – odpowiedział szczerze. – Żadną miarą nie mogłem cię tam zostawić, bracie.

Następnego dnia o wschodzie słońca przyprowadziliśmy z parowu konie. Powiedziałem “o wschodzie słońca”, choć nie widzieliśmy tego dnia słońca, ani przez wiele następnych mrocznych dni. Deszcz i wichry smagały wybrzeże, lodowata mgła przesłaniała szczyty wzgórz i wypełniała doliny. Jechaliśmy przez wyspę dręczeni mżawką; przemarznięci, zmęczeni, przemoczeni do kości. Na wschodnim wybrzeżu zatrzymaliśmy się. Przed nami był bezmiar szarej, wzburzonej wody dzielącej Ynys Oer od stałego lądu.

–Co teraz? – zapytałem, spoglądając na wąski przesmyk pomiędzy dwoma brzegami.

–Farmerzy ze stałego lądu przeprowadzają wplaw swe bydło na letnie pastwiska na wyspie. A ci z wyspy przepływają z nimi na targowisko po drugiej stronie.

–To mi wygląda na mokre przedsięwzięcie.

–Nie możemy już przemoczyć się bardziej – zauważył Tegid. Przy każdym ruchu ociekaliśmy wodą. Ciężko nam przemoczone odzienie i sztywniały ręce.

–No to miejmy to już za sobą – powiedziałem, patrząc na grzbiety fal szarpane wiatrem. – Im prędszej znajdziemy się na drugim brzegu, tym prędszej rozpalimy ogień.

Wiedziałem, że woda będzie zimna, ale nie wyobrażałem sobie, że może być tak zimna. Odległość nie była duża, a nasze konie dobrze pływały – pomimo to przemarliśmy niemal na śmierć.

Wywlekliśmy się na brzeg. Wiatr z furią przedzierał się przez przemoczone ubrania. Wydmy osłoniły nas przed najostroższymi podmuchami, w wydmach też znaleźliśmy sobie zagłębienie. Zdjęcie odzienia przy tym chłodzie zakrawało na czyste szaleństwo, ale był to jedyny sposób na ogrzanie się.

Rozłożyliśmy odzienie na otaczających nas kępach turzycy i usiedliśmy tak blisko ognia, jak pozwalała na to ostrożność. Nawet konie, zwabione ciepłem, zbliżyły się do nas bardziej, niżby pozwalał im na to strach przed ogniem. Tegid podsycił ogień skręconymi wiązkami suchej trawy i tarniny.

–Gdy odzienie nam przeschnie – powiedział – ruszymy w głąb łądu.

Obracałem właśnie nad płomieniami parę grubych, wełnianych spodni dla szybszego wyschnięcia i nic nie odpowiedziałem. Czekałem, co powie Tegid.

–W lesie będzie zwierzyna. Możemy po drodze polować. Za kilka dni dotrzemy do Tyn i podążymy wzdłuż niej, aż do Aber Llydan. Stamtąd są już tylko trzy, cztery dni do terytorium Llwyddi, a po kilku następnych znajdziemy się nad Nant Modornn. Wzdłuż tej rzeki pojedziemy do Sycharth.

Zabrzmiało to tak, jakbyśmy zaraz cało i zdrowo mieli się znaleźć w domu. Faktycznie jednak czekało nas wiele mroźnych, zimowych nocy na szlaku i zimowych dni na niesłychanie zimnych i pustych drogach Caledonu. Nim zobaczyliśmy dolinę Modornn, śnieg zdążył pokryć grubą warstwą szczyty wzgórz.

Poza zimnem dokuczał nam głód. Polowania przynosiły marną zdobycz i nie mogliśmy poświęcać im zbyt wiele czasu. Jednakże nawet gdy nie mogliśmy zdobyć niczego dla siebie, dbaliśmy, aby nasze wierzchowce miały dość pożywienia. Wychudliśmy i stwardnieliśmy na chłódzie, niczym wysmagane wichrem brzozy. Nauczyłem się spać w siodle i znajdować schronienie w najmniej obiecujących miejscach. Nauczyłem się odszukiwać szlak pod śniegiem i znajdować kierunek po zapachu wiatru.

Pewnego dnia dojechaliśmy do keru Modornn. Widok drewnianej palisady na szczycie nad rzeką przywołał falę wspomnień. O dziwo jednak, choć pamiętałem te pierwsze promienne dni po swoim przybyciu, to nie potrafiłem, mimo znacznego wysiłku, przypomnieć sobie wiele ze swego poprzedniego życia. Rzeczywiście, w porównaniu z ogromnie intensywnym życiem, jakie wiodłem w Albionie, moja egzystencja przed przybyciem do tego świata zdawała się niewysłowienie odległa i nieznacząca, jak pozbawiona wyrazu pantomima w przyćmionym, bezbarwnym świetle. Jednak to, że nie pamiętałem, nie martwiło mnie ani trochę. Uważałem to za dziwne, ale nie miałem poczucia straty. Zgarnąłem to, co najlepsze, nie ulegało wątpliwości. Byłem zadowolony.

Pojechaliśmy do keru Modornn po jedzenie: ziarno i paszę dla koni, suszone mięso i piwo w słojach. W warowni było również zgromadzone drewno na opał, więc zostaliśmy na jedną noc w fortecy, bardziej dla ciepła niż odpoczynku – choć jedno i drugie powitaliśmy z jednaką ochotą.

Następnego dnia ruszyliśmy w dalszą drogę. Nadal zmęczeni, zeszywniali z zimna i smagani podmuchami wiatru hulającego w podmokłej dolinie, podróżowaliśmy w lepszym

nastroju, gdyż byliśmy już na znajomych ziemiach i koniec wędrówki – choć nadal odległy – majaczył nam już przed oczyma.

Podążaliśmy rozległą doliną Modornn, trzymając się blisko oblodzonych brzegów rzeki, dopóki nie dotarliśmy do moczarów. Tam skręciliśmy na pewniejszy leśny szlak. Po dwóch deszczowych, wilgotnych dniach, tuż przed zachodem słońca dotarliśmy do Sycharth.

–Nie widać dymu – zauważył Tegid. Zmęczeni długą podróżą zatrzymaliśmy się, aby odpocząć przed wjazdem do keru.

Przyjrzałem się uważnie niebu nad kerem. Chmury rozstały się u schyłku dnia i ukazało się błękitne niebo – na tle którego równie łatwo można by było dostrzec smugę dymu z wielkiego paleniska króla, jak i z kuchni, i najmniejszych palenisk. Ale nie było śladu dymu. A bez dymu nie ma ognia.

–Co to może znaczyć? – zastanawiałem się. Czyżbyśmy mieli przebyć całą tę drogę po to, aby stanąć przed zimnym paleniskiem i nie usłyszeć radosnych okrzyków na powitanie?

–Wydarzyło się coś złego. – Tegid pognął swego konia i pospieszył w dół zboczem do doliny oddzielającej nas od wzgórza, na którym stał ker.

Serce zamarło mi z obawy. Kopyta naszych koni uderzały o dno doliny, dudniąc na zamrożonej ziemi, gdy spieszyliśmy ku cichemu kerowi. Ale nim jeszcze minęliśmy długie, wąskie gardło palisady i wjechaliśmy w szeroko otwarte bramy, wiedziałem, że Sycharth było porzucone. Jeden rzut oka na zwęglone pozostałości po hali Wielkiego Króla potwierdził nasze najgorsze obawy: wspaniała forteca Meldryna Mawra była wypaloną ruiną.

Zaświtał Dzień Zmagania.

24. Twrch

puszczona przez żywych, zaludniona jedynie przez martwych, którzy leżeli nie oplakani, nie pogrzebani pośród zniszczeń, dumna niegdyś Sycharth stała teraz niczym splądrowany grobowiec – zimna i spustoszona, rozbita. Potężna forteca sama zdawała się trupem, opuszczonym i ponurym.

Gdzie nie spojrzeć, oczy natykały się na świadectwa niebywałego okrucieństwa: kobiety zatłuczone na śmierć maczugami nadal przyciskały do piersi swe zamrożone maleństwa; dzieci z poodcinanymi kończynami porzucone, by się wykrwawiły; psom i wojownikom odrąbano głowy i zamieniono miejscami; było usmażone żywcem w swych zagrodach; zarżnięto owce, a ich wnętrzności wywleczono, by spętać i udusić nimi pasterza... Wszędzie były ślady pożaru, plugawych czynów, krwi i gwałtów.

Mgliste powietrze przesycone było zapachem śmierci, podobnie jak mokra od deszczu

ziemia nasiąknięta była krwią. Oszołomieni i niedowierzający ślaniałiśmy się od jednego odrażającego widoku do drugiego. Z goryczą w ustach, z mdłościami i odrętwiali, mamrotaliśmy w kółko te same dwa pytania: Jak to się mogło stać? Kto mógł zrobić coś takiego? Jeszcze bardziej tajemniczy wydał nam się brak jakichkolwiek śladów walki. Nie znaleźliśmy króla ani jego drużyny, choć przeszukaliśmy wszystko, co pozostało po hali i królewskich pokojach. Poza kilkoma wojownikami, powalonymi na zewnątrz hali, nie znaleźliśmy żadnego uczestnika bitwy. Z tego wywnioskowaliśmy, że król wraz ze swą drużyną umknął bez szwanku, albo był gdzie indziej, gdy zniszczenie spadło na jego twierdzę i być może nawet nic o tym nie wie. Przypuszczenie, że król mógłby uciec z pola bitwy, Tegid uznał za odrażające.

–Szybciej wyrwałby sobie serce – mruknął ponuro. – Prędzej sam rzuciłby się krukowi na pożarcie, niż patrzył, jak jego ludzi wyżynają niczym świnie, a fortecę pustoszą. Nie pozwoliłby też wziąć się żywcem.

Patrzyliśmy z przygnębieniem na zniszczenia. Nie można było powiedzieć, kiedy to się stało. Chłód i śnieg zakonserwowały ciała. Gdyby król i jego drużyna tu byli, to byśmy ich zobaczyli.

–Musieli opuścić fortecę, nim nastąpiło jej zniszczenie – powiedział. To wydawało się również nieprawdopodobne. Jednakże innego wyjaśnienia nie widzieliśmy. – Meldryna Mawra tu nie ma.

Z całą pewnością Wielki Król musiał być nieobecny, gdy ręka zniszczenia dotknęła Sycharth. Ale co mogło skłonić go do opuszczenia twierdzy w porze mrozów, gdy cały świat szuka zacisznego schronienia?

–Dokąd mógłby się udać? – zastanawiałem się głośno.

–Nie wiem, bracie – odpowiedział ze smutkiem Tegid. – Tutaj nie znajdziemy na to odpowiedzi.

–A zatem gdzie?

–Pojedziemy do okolicznych osad i gospodarstw. Objedziemy całą krainę i zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć.

Opuściliśmy ker. Ogłupiali z głębokiego smutku i chorzy z przerażenia, ze wzrokiem utkwionym bezmyślnie w dali, z trzęsącymi się rękoma, dosiedliśmy koni i pojechaliśmy na królewską przystań u ujścia Muir Glain. Jechaliśmy szybko, aby wyprzedzić zapadające ciemności, i dotarliśmy do portu o szarzejącym zmierzchu, gdy niebo pokryły chmury.

Nie musieliśmy się nawet trudzić zsiadaniem z koni, jedynie wyprostowaliśmy się w siodłach i przebiegliśmy wzrokiem po ruinach: statki wypalone do linii wody, wszystkie żagle i maszty zniszczone, kadłuby porozbijane.

Szopy i domy spalone, a wraz z nimi składowane drewno. Nawet zbocza skarpy u ujścia rzeki były powypalane i poczerniałe. Nic się nie uratowało. Wszystko było kompletnie zniszczone. Wszystko obróciło się w popiół i poczerniałe zgliszcza.

–To musiało płonąć przez wiele dni – mruknął Tegid. – Płomienie byłyby widoczne w połowie drogi na Ynys Sci.

Nasze konie szarpały się nerwowo, parskając i przebierając kopytami, gdy my wypatrywaliśmy śladu ocalałych. Dotknąłem swej broni – starannie zawiniętej dla ochrony przed wodą, ale znajdującej się ciągle pod ręką – z posępną wdzięcznością za jej chłodne pocieszenie.

–Nic tu nie ma – powiedział w końcu Tegid. – Ruszamy.

Noc dopadła nas, gdy przedzieraliśmy się przez zalesione wzgórza – to była dłuższa droga, ale nie mogliśmy w ciemnościach pokonywać moczarów. Wybraliśmy więc drogę przez wzgórza, jadąc grzbietami i ścieżkami polowań łączących Sycharth z okolicznymi osadami. Gdy zbliżaliśmy się do pierwszej warowni, chmury nieco zrzedyły i na krótko wyjrzał księżyc; poświecił wystarczająco długo, abyśmy zobaczyli osadę czerniejącą na tle ciemnych wzgórz za rzeką.

Ker Dyffryn został zbudowany na spłaszczonym cyplu rzeczonym i był zamieszkały przez około dwustu ludzi z klanu Llwyddi. Wszyscy uciekli lub zostali zamordowani. Nie zatrzymaliśmy się, aby ich policzyć. Nie było potrzeby – w kręgu zwęglonych kikutów, który był kiedyś drewnianą warownią, nie pozostał żywy duch. Jednakże z szacunku dla współplemieńców zsiadliśmy z koni i obeszliliśmy ruiny ich domów.

–Nie możemy tu zostać – powiedziałem, gdy zakończyliśmy nasz bezowocny obchód. Mówiłem cicho, ale mój głos zabrzmiał głośno w nienaturalnej ciszy. Tegid nie odezwał się. Dotknąłem jego ramienia – pod palcami wyczułem zeszywniałe i zimne ciało. – Chodź, bracie, zostawmy to miejsce. Możemy rozbić obóz nad rzeką i wrócić tu rano, jeśli będziesz chciał.

Tegid nie odpowiedział, ale odwrócił się i dosiadł swego konia. Opuściliśmy ker Dyffryn, ale nie zatrzymaliśmy się. Nie odpoczywaliśmy w ogóle tej nocy i zatrzymaliśmy się tylko raz, jedynie po to, aby napoić konie przed dalszą drogą. Szary świt zastał nas zmęczonych, z poczerwieniałymi oczyma na ruinach Cnoc Hydd. Ta przyjemna niegdyś osada na słonecznym zboczu doliny, teraz, podobnie jak Sycharth i Dyffryn, była jedynie wypalonym rumowiskiem. Większość jej mieszkańców spłonęła, ale nie można było stwierdzić, czy za życia, czy po śmierci.

Tegid chodził po wilgotnych popiołach hali, a ja oglądałem poczerniałe ruiny Domu Wojowników. Posługując się drzewcem złamanej włóczni, grzebałem w zgliszczach, szukając nie wiedząc czego. Gryzący zapach dymu i zwęglonych ciał wypełnił mi oczy łzami,

ale nie zaprzestawałem swych poszukiwań. Aż w kącie zwalonego paleniska moje wysiłki okazały się nie bezowocne.

Rozgarniałem gruz bez celu i miałem właśnie odejść, gdy zauważyłem jakiś ruch. Zdawało mi się, że usłyszałem szelest. Odwróciłem się i zacząłem się wpatrywać w mrok paleniska. Początkowo niczego nie dostrzegłem... ale potem zauważyłem drobny kształt skulony w szczelinie pomiędzy zwalonymi kamieniami.

Końcem włóczni dotknąłem go delikatnie. Nie wydał żadnego dźwięku, ale skrył się głębiej w szczelinie. Odsunąłem kawałki zwalonego drewna, kamienie i ostrożnie poszerzyłem szczelinę. W otworze spostrzegłem przypalone zwłoki suki, a obok niej trzęsącego się szczeniaka.

Jego ciemnoszara sierść była matowa i osmalona w wielu miejscach; na barku miał paskudnie krwawiące rozcięcie. Leżał skulony obok sztywnego ciała swej martwej matki, drżąc ze strachu i zimna. Były tam jeszcze trzy inne szczenięta, wszystkie martwe; suka zginęła broniąc swych maleństw, nadal szczyrzyła kły. Szczenię zdawało się wystarczająco duże, aby można je było odstawić od matki – i choć nadal było krągłe niczym kulka masła, pokazało kilka białych ząbków, gdy sięgnąłem, aby je podnieść.

Najbardziej miłosiernym uczynkiem byłoby zabić go na miejscu i skończyć jego cierpienia. Ale po tych wszystkich spustoszeniach i zniszczeniach, jakich byliśmy z Tegidem świadkami, odnalezienie tego jedyne go ocalonego – choć było to jedynie na wpół żywe szczenię – sprawiło, że nie potrafiłem dodać do żniwa śmierci jeszcze i tego małego, drgającego życia. Postanowiłem pozwolić mu żyć, przywrócić go do życia.

Szczenię nie zaskamlało ani nie zapiszczało, gdy podniosłem je za skórę na karku z legowiska. Ale bestyjka chciała mnie ugryźć, gdy próbowałem ją pogłaskać. A gdy ułożyłem go sobie na zgiętej ręce, ukłuł mnie ostrymi ząbkami.

–Uspokój się, Twrch! – dałem mu pstryczka w nos, rzucając pierwsze słowo, jakie mi przyszło na myśl.

Tegid usłyszał mnie; odwrócił się wyczekująco. Dostrzegł szczenię w moich rękach i uśmiechnął się smutno. Przyniosłem mu psa, a on podniósł go do góry.

–Patrzcie! A jednak jeden ostał się wśród żywych. – Spojrzał na mnie. – Jak na niego zawołałeś?

–Twrch – powiedziałem.

–Odyniec? – zdziwił się Tegid. – Dlaczego?

–Chciał mnie ugryźć, gdy go trzymałem – wyjaśniłem. – To mi przywiodło na myśl sposób w jaki stary, powalony odyniec nie przestaje walczyć i nie poddaje się aż do śmierci, –

Wzruszyłem ramionami i dodałem: – To nie ma znaczenia. Ty go nazwij, Tegid. Należy mu się dobre imię.

Ale Tegid nie usłuchał.

–Już mu nadałeś dobre imię. Niech się tak nazywa. – Ciągłe trzymał psa w górze. – Twrch, mały buntowniku, może rzeczywiście będziesz dla nas odyńcem walki. – Oddał mi szczeniaka i powiedział: – Te ruiny są jak poprzednie. Niczego tu nie znajdziemy. Ruszamy.

–Potrzebujemy odpoczynku, Tegid. Odpoczynku i jedzenia. Nasze konie są bliskie śmierci z wyczerpania. Powinniśmy zatrzymać się przynajmniej na jeden dzień. Tam nad rzeką jest dobre miejsce – mijaliśmy je jadąc tutaj. Zatrzymajmy się tam dzisiaj. Zastanowimy się, co robić, jak się prześpimy.

Tegid był przeciwny, ale gdy jego koń potknął się na błotnistym szlaku ze wzgórze, był zmuszony przyznać mi rację. Jeśli nie zrobimy postoju, to wielce prawdopodobne, że resztę drogi przejdziemy pieszo. Nie wiedzieliśmy, jak daleko będziemy musieli iść, aby znaleźć naszego zaginionego króla i jego towarzyszy. Sensownie było nie zamęczać naszych koni.

Wróciliśmy do schronienia nad rzeką – olchowego zagajnika z miejscem oczyszczonym pod szałas rybaka i opiekuna jazu. Drzewa zapewniały osłonę przed wiatrem, a szałas dawał schronienie przed deszczem. Na brzegu rzeki trawa rosła bujnie i była jeszcze dość zielona, aby mogły się na niej paść konie. Pozwoliliśmy się im napić do woli z rzeki, a potem spętaliśmy je pomiędzy nagimi drzewami.

W niskim, wiklinowym szałasie znaleźliśmy kupkę drewna, trochę drzewnego węgla, kozie skóry i kilka zamkniętych garnców. Skóry były brudne, ale drewno było suche, zaś w garncach był smakowity, słodki miód pitny. Stróż jazu dobrze wiedział, jak złagodzić chłód podczas czuwania.

Z jednej ze skór zrobiłem w kącie szałasu legowisko dla Twrcha. Piesek obwąchał je ostrożnie, po czym usadowił się na skórze. Prawdopodobnie sypiał na niej pies stróża i szczeniak uspokoił się nieco, wyczuwając znajomy psi zapach. Wylizał ranę, schował nos pomiędzy łapy i zasnął.

W tym czasie Tegid zbadał jaz. Wrócił do szałasu z czterema lśniącymi, brązowymi pstrągami. Błyskawicznie sprawił ryby i rozpałił ogień w palenisku przed szałasem. Nadzialiśmy pstrągi na zaostrome wiklinowe witki i ustawiliśmy je nad ogniem.

Słodki, oleisty zapach pieczonej ryby połączony z wonią srebrzystego dymu sprawił, że ślina napłynęła mi do ust, a żołądek ścisnął głód. Nie jedliśmy porządnie od wielu dni. Tegid otworzył jeden z garnców i popijaliśmy z niego na przemian, czekając, aż ryba się upiecze.

Siedzieliśmy po przeciwnych stronach ogniska, od czasu do czasu obracając w milczeniu wierzbowe witki. Dla tego, o czym myśleliśmy i co czuliśmy, nie było słów. Byliśmy zbyt

głodni i zmęczeni, by cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć – mądrzej było najeść się i przespać, a potem spróbować pomyśleć nad tym, co widzieliśmy i zdecydować, co w związku z tym robić.

Choć dzień był szary i zimny, pstrąg rozgrzał nas. Delektowałem się każdym kąskiem, oblizując palce, nim włożyłem do ust następny kawałek. A choć mógłbym zjeść całą górę pstrągów, zostawiłem porcję dla Twrcha. Nie wiedziałem, czy będzie chciał jeść, rybę ale nie wadziło spróbować.

Szałas był ciasny, ale dawał miłe schronienie. Zasnęliśmy.

Obudziłem się później, czując coś chłodnego i wilgotnego na szyi. Twrch przypełznął, gdy spałem, i skulił się w zagięciu szyi z noskiem pod moją brodą. Wstałem, starając się nie obudzić Tegida, i wyniosłem szczeniaka na dwór. Pogoda nie poprawiła się. A do tego kapryśny wiatr z pomocnego wschodu był zimniejszy niż przedtem, a jeszcze czarniejsze chmury sunęły nisko.

–Mam coś dla ciebie, Twrch – szepnąłem. – Spróbuj tego i powiedz, czy ci smakuje.

Podąłem szczeniakowi kawałek pieczonej ryby. Obwąchał go, ale nie zjadł – choć przysunąłem mu ją blisko pyszczka. Oblizwał jednak moje palce. Roztarłem więc rybę w palcach i pozwoliłem, by wylizal je do czysta. Po kilku razach ponownie podsunąłem mu rybę. Zjadł ją tak chciwie, jak tylko potrafi wygłodzony szczeniak, a potem wylizal mi palce z ostatniej odrobiny.

–Potem dostaniesz więcej – powiedziałem. – Znajdziemy ci coś bardziej w twoim guście – może jelenia albo tłustą kuropatkę. – Mówiąc to, uprzytomniłem sobie, że nie widzieliśmy śladu zwierzyny. Z wyjątkiem zjedzonych ryb, nie widzieliśmy żadnej dzikiej zwierzyny od czasu wjazdu do doliny Modornn.

–Czy to możliwe – zastanawiałem się głośno, gdy Tegid wkrótce do mnie dołączył – aby wypędzono całą dziką zwierzynę z doliny? Czy można tego dokonać?

Tegid jedynie pokręcił głową i powiedział:

–To nie jest możliwe – podobnie jak zniszczenie trzech fortec bez wszczęcia alarmu w innych. To bardziej tajemnicze, niż mogę pojąć.

Na tym zakończyliśmy chwilowo rozmowę, jako że żaden z nas nie miał ochoty jej przedłużać. Tegid poszedł napoić konie i rozpętać je, a ja poszedłem zbadać sieci zastawione w jazie. Nie było w nich ryb. Miałem je właśnie ponownie zarzucić, gdy Twrch zaczął na brzegu szaleńczo ujadać. Po wyjściu z wody zobaczyłem, że szczeniak kopie dziurę w ziemnym kopcu, przypominającym kształtem duży ul.

Kopiec był ukryty pomiędzy drzewami, ale znajdował się jedynie kilka kroków od brzegu.

Nie zauważyłbym go wcale, gdyby Twrch nie zwrócił mojej uwagi. Widząc podniecenie szczeniaka znalaziskiem, postanowiłem również mu się przyjrzeć. Pomyślałem, że może znalazł norę wydry lub borsuka. Szybko jednak przekonałem się, że kopiec był zrobiony ze świeżo wyciętych, starannie ułożonych bloków torfu. Zdjąłem z góry kilka kawałków torfu i od razu pojąłem, czemu pies tak się niecierpliwił. Ledwie zajrzałem w okrągły otwór, jaki zrobiłem na szczycie kopca, poczułem w nosie ostry zapach dębowego dymu.

Szczodrobliwy uśmiechnął się do nas! We wnętrzu znajdowały się drewniane żerdzie z poprzeczkami – a każda poprzeczka ugięła się pod ciężarem sporego wędzonego łososa.

–Dobry pies, Twrch! – powiedziałem, wyciągając pierwszą rybę, jaka mi wpadła w oko. Oderwałem kawałek zbrązowiałego od dymu mięsa i dałem je Twrchowi, jako nagrodę za przysługę. Głaskałem go i nie szczędziłem pochwał, gdy ją zjadał.

Potem zakryłem otwór ponownie i zaniósłem rybę Tegidowi.

–Bez względu na to co nas spotka, nie zginiemy z głodu – powiedziałem, podając mu wędzonego łososa. – Będziemy mieli ich dość na długo przedtem, nim zobaczymy ostatniego. Twrch znalazł wędzarnię i zaprowadził mnie do niej.

–Mamy kolejny dług wdzięczności wobec stróża jazu.

–I nosa Twrcha – dodałem. Tegid spróbował ryby.

–Ten jazowy znał się na swym rzemiośle. – Podał mi kawałek wędzonego mięsa. – To było przygotowane na królewski stół.

Na wzmiankę o królu poczułem dreszcz, jakby lodowata ręka ścisnęła moje ramię.

–Co mamy robić, Tegid?

–Nie wiem – odparł cicho. – Ale myślę, że czas zastanowić się nad tym, co się stało.

–A co się stało? – Nie potrafiłem znaleźć żadnego dobrego wytłumaczenia dla tego wszystkiego. – Osady spustoszone, ludzie wymordowani bez podniesienia ręki we własnej obronie, nawet bydło wyrżnięte – a wszystko inne obrócone w popiół. A jednak niczego nie wyniesiono ani nie złupiono. Takie bezcelowe niszczenie to szaleństwo.

–Jak to się mogło stać? – gdy odezwałem się, pytania same cisnęły mi się na usta. – Jeden ker można zaatakować – najwyżej dwa – ale wówczas pozostałe już by o tym wiedziały. Dostrzegliby przynajmniej dymy z pożarów i wszczęłyby alarm. Król poderwałby swą drużynę przeciwko najeźdźcom. Byłaby bitwa i wiedzielibyśmy o tym; zobaczylibyśmy przynajmniej ślady po niej.

Tegid patrzył w zamyśleniu.

–Nie, jeśli atak nastąpił nocą – odparł. – Nikt nie zauważyłby dymu.

–Ale dostrzeżono by łuny pożarów. Ktoś by coś dostrzegł! – Miałem ochotę krzyczeć. – Któż jednak może atakować nocą? Jaki wróg potrafi za jednym zamachem rozbić trzy twierdze – i kto wie, ile jeszcze – bez zaalarmowania żadnej z nich, bez straty choćby jednego wojownika? Któż potrafi zniszczyć wszystko, nie pozostawiając śladów? – Głos drżał mi z gniewu i oburzenia. – Pytam cię, Tegid. Jaki wróg potrafi dokonać czegoś takiego?

Pod wpływem moich słów w oczach brehona pojawił się dziwny wyraz. Spojrzałem na niego zdumiony.

–O co chodzi? Co takiego powiedziałem?

–Twe pytania były celniejsze, niż ci się wydaje – odparł cichym, zdławionym głosem. – Tylko jeden potrafiłby dokonać rzeczy, o których mówiłeś.

–Ta osoba, ten potwór... kim lub czym on jest?

Tegid powstrzymał mnie ostrym gestem, jakby obawiał się, że wyrzucę odpowiedź, nim on zdąży ją podać, lub jakby mówienie o tym mogło wywołać diabła.

–Słusznie nazwałeś go potworem – powiedział cicho – gdyż jest nim. Jednakże chodzi na dwóch nogach i przyjmuje ludzką postać.

–Czy podasz mi imię tego stwora? – lękałem się pytać, ale musiałem to wiedzieć.

–Podam. To jest Nudd, Pan Uffern.

25. Wojna o Raj

an Świata Zmarłych? Ten Nudd? – zapytałem, myśląc, że się przesłyszałem. Gwenllian wspominała czasami w swych opowieściach postać o takim imieniu – według jej słów Pan Nudd był mroczną postacią, która rządziła w królestwie piekieł, panem potępionych. Z pewnością Tegid nie miał na myśli właśnie tego Pana Nudda!

Posępny brehon uczynił ostrożnie lewą dłonią gest, który odpędzał zło.

–Być może w dniach, które nadejdą, będziesz żałował, że kiedykolwiek pozwoliłeś, aby to imię wyszło z twoich ust. Powiem ci, co sam wiem, choć nie jest tego dużo, jednakże i to wystarczy, by zmrozić ci serce w piersi.

–Niech więc tak będzie. Serce i tak mam już zmartwiałe z oburzenia na widok dzieła tego przerażającego pana. Żadne słowa nie mogą mnie już bardziej dotknąć.

–Dobrze powiedziane, bracie – pochwalił Tegid. – Siadaj i posłuchaj, jeśli chcesz.

Pogoda pogorszyła się. I tak mroczne już światło przygasało. Wkrótce będzie ciemno. Tegid rozpałał ognisko dla ochrony przed chłodem nocy. Ja zaś przyniosłem z szałasów skóry i ułożyłem je przy ognisku. Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na koziej skórze, a Twrch wdrapał mi się na kolana.

Tegid zajęty był ogniskiem, ale widziałem, że układa w myślach swą opowieść. Naciągnąłem płaszcz na ramiona i siedziałem, głaszcząc Twrcha i czekając, by Tegid zaczął.

–Niewielu jest takich, co słyszało tę pieśń – powiedział w końcu Tegid, sadowiąc się na skórze naprzeciwko mnie. – A jeszcze mniej takich, którzy chcieliby ją śpiewać. Są opowieści, które sprawiają, że słowa ścinają się na języku, a struny harfy milkną. To jest właśnie taka opowieść.

–Jednak z chęcią jej wysłucham – powiedziałem – jeśli może być z tego jakiś pożytek.

–A zatem wysłuchaj opowieści o Nudzie, Księciu Uffern – zaczął Tegid. – W zamierzonych czasach, gdy na ziemi perliła się jeszcze rosa stworzenia, Beliemu Wielkiej Sławy narodziły się bliźnięta. Pierwszy był Nudd, jego bratem był Lludd. A oto jak się to odbyło:

Beli władał długo i mądrze, zdobywając sobie szacunek za prawość i szlachetne uczynki. Przez cały czas panowania Beliego na Wyspie Potężnych nie było wojen, zarazy, niepokoju. Za Beliego panował taki pokój, że Albion stał się najpiękniejszym królestwem na świecie. Mężczyźni i kobiety spędzali czas na zdobywaniu wszelkiego rodzaju wiedzy i poznawaniu prawdy o wszystkich rzeczach. Rosła ich mądrość, stawali się coraz bieglejsi we wszystkich sztukach i zapomnieli o wojennym rzemiośle. O wiele łatwiej było w tych szczęśliwych czasach usłyszeć piękną pieśń, niżli szcęk mieczy, o wiele łatwiej było zobaczyć biegłych w sztuce poetów, niż dowódców wsiadających do swych rydwanów. Synowie i córki człowieka w tak zdumiewający sposób nabierali mądrości i gromadzili dary ziemi oraz wszystko, co najlepsze pod słońcem, że zwano ich Tylwyth Teg, Czarowną Rodziną, a miejsce ich zamieszkania Rajem.

Razu pewnego zdarzyło się, że na Beliego spłynął potężny taithchwant, niebywale silna chęć wędrówki. Tak silne było owo pragnienie, chęć zobaczenia na własne oczy zadziwiających rzeczy, jakie zaszły za jego panowania, że nie mógł jeść ze swych złotych mis, ani spać na swym puchowym łożu. Taithchwant zawładnął nim całkowicie i z każdym dniem stawał się coraz silniejszy. “O ja nieszczęsny! – powiedział do siebie Wielki Król. – Będę najnieszczęśliwszym z ludzi, jeśli to potrwa choć jeszcze jeden dzień”.

Powiedziawszy to, zasiadł na swym srebrnym tronie i zastanowił się, co począć. “Przekażę swą królewską władzę jednemu z synów, a on będzie rządził za mnie, gdy wyruszę. Będę podróżował po kraju i na własne oczy zobaczę szczęście mego ludu i będę dzielił jego radość”. Pozostało mu jedynie wybrać, który z synów najbardziej zasługuje na sprawowanie rządów w jego zastępstwie.

Wielki Beli, Wielka Wnikliwość, Podpora Rozumu, Dusza Mądrości, siedział na swym tronie i myślał długo i głęboko. Myślał i myślał, ale gdy przestał, nie był wcale bliższy podjęcia decyzji. A powód jego kłopotliwego położenia był następujący: pomiędzy Lluddem i Nuddem nie było takiej różnicy, która pozwalałaby dokonać wyboru. Pierwszy syn był równie prawy i utalentowany jak drugi; drugi był równie łaskawy i przyjazny jak pierwszy. Obaj byli równie szczerzy. Żaden z nich nie był gorszy ani lepszy od drugiego. Byli tak podobni pod każdym względem, że odróżnić ich można było jedynie po kolorze włosów: Lludd miał włosy barwy słońca o świetlistym poranku, a Nudd nocnych ciemności. Pierwszy – jasnowłosy niczym promienie słońca, drugi – czarny niczym drogocenny gagat.

Beli, Władca Wielkiej Sławy, wezwał swych synów do siebie i powiedział:

–Od wielu dni mam wielką ochotę wyruszyć w podróż po swym królestwie i zobaczyć na własne oczy, jak ludzie cieszą się tym wielkim dobrobytem, który spłynął na nich dzięki memu panowaniu. Wiecie, że zawładnął mną taithwant, więc nie mogę zostać tu nawet dnia dłużej. W istocie, gdybym został w tym domu choć jedną jeszcze noc, serce pękłoby mi z tęsknoty. Muszę wyruszyć jeszcze dziś.

Synowie popatrzyli po sobie i przyznali, że plan ich ojca był dobrym planem.

–Cóż za wspaniały pomysł, Wielki Królu – powiedzieli. – Pozwól nam tylko towarzyszyć sobie i dzielić twą radość z pomyślności, którą sprowadziłeś na wszystkich wokół swymi mądrymi i szlachetnymi rządami.

Beli Mawr spojrział na swych synów i odparł:

–Do was nie należy dotrzymywanie mi towarzystwa, ale władanie królestwem pod moją nieobecność.

Synowie odpowiedzieli:

–Tak dobrze rządziłeś, ojcze, że najmarniejszy z nas może włączyć królestwem miast ciebie, najgłupsze dziecko może dokazać swej biegłości w królowaniu. Wybierz, kogo chcesz, a ta osoba jedynie przysporzy chwały twemu imieniu.

Słowa te ucieszyły Beliego. Jego serce wezbrało dumą i radością. Jednakże nie zmienił zamiaru, albowiem gdy Beli raz coś postanowił, to robił właśnie to i nic innego. A on powziął już zamiar samotnej wędrówki po swym królestwie: sam wyruszy, sam będzie podróżować, sam będzie delectować się słodyczą swej sławy. Samotny i nikomu nieznany, chyba że jego lud odkryje jego obecność i rozgłosi ją. Gdyż on zawsze poszukiwał prawdy i wiedział, że człowiek czasami zmienia swe zachowanie, gdy zbliża się król. Dlatego też odparł:

–Wasze pragnienia jak zawsze dobrze o was świadczą, moi synowie. Jednakże postanowiłem wyruszyć samotnie i samotnie wyruszę.

Obaj synowie pojęli, w czym rzecz.

–Idź swoją drogą, ojczyzna – rzekli. – A gdy będziesz z dala od nas, towarzyszyć ci będą nasze błogosławieństwa.

Nudd podszedł do ojca, ukląkł, złożył głowę na jego piersi i powiedział:

–Niech ci szczęście sprzyja; obyś znalazł tylko to, co pragniesz znaleźć.

Potem Lludd przysunął się i złożył głowę na piersi ojca.

–I oby twoje królestwo rozkwitło tak, że po powrocie zastaniesz je w lepszym stanie, niż zostawiłeś.

Beli podniósł klęczących synów i przemówił do nich. Powiedział im o wielu rzeczach dotyczących właściwego rządzenia królestwem i o tym, jak król służy swemu ludowi. A potem rzekł:

–Teraz wyruszam. Ale jeden z was musi za mnie przejąć rządy.

–Czy musi tak być? – zapytali synowie, ponieważ żaden z nich nie chciał rządzić kosztem drugiego.

–Musi – odparł Beli – gdyż widzę rozwijającą się przede mną ścieżkę i czuję ją już pod stopami. – Po czym zapytał ich, który z nich zechce objąć za niego rządy.

–Mój brat jest tego godny bardziej niż ja – powiedział Nudd. – Wybierz jego.

Na co Lludd odparł:

–Z nas obu Nudd jest bardziej tego godny. Nalegam, abyś wybrał jego.

Beli wysłuchał ich, a będąc królem obdarzonym wnikliwością, odkrył, który z jego synów jest bardziej godny, aby objąć za niego rządy. Rzekł im:

–Prosiliście, abym wybrał. A zatem wybieram Lludda. – Wstał ze swego srebrnego tronu i złożył w ręce Lludda najwyższą władzę w Albionie. – Żegnajcie, synowie. Oby wszystko, czego tkniecie, przysparzało wam chwały.

Rzekłszy to, Wielki Król opuścił swe królestwo i jego lud nie widział go od tego czasu. Ale widział jego synów, a to, co widział, nie cieszyło go. Wcale a wcale.

Początkowo ludzie byli zadowoleni, gdyż Lludd był tak mądry i dobry, jak jego ojciec. Ale Lludd panował zaledwie od jednej pełni do drugiej, a już doszło do sprzeczki pomiędzy królem a jego bratem. A oto jaki był powód niezgody: Nudd stał się zazdrosny o powodzenie swego brata.

W istocie nie było to nic wielkiego, ale wystarczyło aż nadto, aby sprowadzić na rajski Albion najstraszliwsze cierpienia. Cierpienia tak wielkie, że Albion nigdy już nie był taki sam jak w dawnych czasach. A choć pomiędzy braćmi dochodziło jedynie do wymiany szorstkich słów, to od chwili, gdy Nudd ujrzał królewski torques złożący się na szyi brata i zobaczył w jego, a nie w swojej dłoni berło, zaczął szukać sposobu przejęcia królewskiej władzy. Dzień i noc chodził po wysokich wałach obronnych, przemyśliwując, jakby tu ukraść tron. Dzień i noc jego myśli zwracały się ku zdradzie i podstępowi. Aż pewnej nocy wpadł na pomysł. Oto, co zrobił:

Którejś pogodnej nocy, niedługo potem, jak król ojciec wyjechał, Nudd i Lludd obchodzili ker. Nudd spojrział na rozległe, usiane gwiazdami niebo. Gdy zatrzymali się przed bramą, oznajmił:

–Spójrz tam i zobacz, jakie mam piękne i rozległe pastwiska.

–A gdzież one, bracie? – zapytał Lludd, nie podejrzewając nic złego.

–O tam, nad twoją głową rozciągają się daleko jak okiem sięgnąć – odparł Nudd, wznosząc ku niebu rozłożone szeroko ręce.

Lludd spojrział w niebo.

–Spójrz, bracie, ile mojego dorodnego, tłustego bydła pasie się na twym pastwisku! – odparł.

–A gdzież to twoje bydło? – zapytał Nudd.

–O tam, tam jest, wszystkie te błyszczące srebrzyście na niebie gwiazdy z księżycem, ich pasterzem – roześmiał się Lludd.

Ta odpowiedź sprawiła przykrość Nuddowi, gdyż usłyszał pobrzmiewające w niej poczucie wyższości.

–Lepiej byś uczynił, gdybyś zabrał swe bydło z mego pastwiska – mruknął Nudd. – Według mnie nie powinno paść się na pastwisku, które wybrałem dla siebie.

–Czemu się tak denerwujesz, bracie? – zapytał Lludd. – Mnie wszystko jedno, gdzie pasie się moje bydło.

–Ale mnie nie jest wszystko jedno – upierał się Nudd. – Niegodnie mnie oszukałeś.

–Jakże to? – zapytał Lludd, zakłopotany dziwnym zachowaniem brata.

–Nie oczekuję, że to zrozumiesz – odparł markotnie Nudd. – Gdyż ty nigdy nie doświadczyłeś, jak upokarzające jest życie w czyimś cieniu.

Wówczas Lludd zrozumiał, dlaczego jego brat jest nieszczęśliwy.

–Powiedz mi tylko, jak mogę to naprawić – powiedział do niego. – A możesz być pewny, że nim słońce zajdzie, dokonam tego.

Nudd zachmurzył się.

–Już ci powiedziałem! Zabierz swe bydło z mego pastwiska! – Po czym oddalił się, podśpiewując cicho pod nosem, jako że to, czego domagał się od Lludda, było niemożliwe do wykonania.

Lludd jednak udał się do swej hali i przywołał bardów, aby mu śpiewali. Długo w noc jadł i pił, a potem położył się do łóżka i spał twardo. Nudd widział to i cieszył się w duchu, gdyż był pewny, że jego bratu nie powie o tym.

–Żaden człowiek nie potrafi przegnać gwiazd z nieba, a Lludd nawet nie próbował. Już przegrał; to tak, jakbym już był królem.

Poszedł do łóżka i spał twardo.

Rankiem Lludd przebudził się i wyszedł na wał obronny za halą.

–Obudź się, Nudd! – zawołał głośno. – Wyjdź tu do mnie!

Nudd obudził się i wyszedł.

–O co ten straszny hałas tak wcześnie rano? – zapytał. – Nie widzę ku temu powodu, chyba że chcesz zdjąć królewski torques ze swej szyi i przekazać mi.

Lludd uśmiechnął się i klepnął brata po ramieniu.

–Nie ma potrzeby, bracie. Wykonałem wszystko, czego żądałeś. Zabrałem swoje bydło i przywróciłem twemu pastwisku dawny wygląd, tak jak prosiłeś.

Nudd nie wierzył własnym uszom.

–Jak to możliwe? – zdziwił się.

–Wystarczy, abyś spojrział w niebo, a przekonasz się, że mówię prawdę – powiedział Lludd.

Nudd zwrócił oczy ku niebu i ujrzał nad sobą jasny błękit, rozpościerający się jak okiem sięgnąć. Nie migotała nawet jedna gwiazdka. Słońce przegnało je wszystkie.

Lludd rzekł do brata:

–Zrobiłem, jak prosiłeś. Niech więc nie będzie dłużej pomiędzy nami niezgody, żyjmy jak

przedtem.

Ale Nudd nie chciał. Zobaczył, jak łatwo jego brat poradził sobie z nim, poczuł się poniżony i wykpiony. Nudd pomyślał, że Lludd drwi sobie z niego i zachmurzył się.

–Raz mnie przechytryłeś, ale więcej już tego nie zrobisz. Odtąd nie jesteś już moim bratem.

Słyszając te słowa, Lludd poczuł, że serce mu pęka z żalu.

–Twoje imię wiele znaczy na naszych ziemiach, a może znaczyć jeszcze więcej. Powiedz, co mogę uczynić, aby zapanował pomiędzy nami pokój, a uczynię to.

Nudd skrzyżował ręce na piersi i powiedział:

–Przekaż mi władzę nad królestwem i usuń się sprzed mych oczu.

–Gdybyś tylko poprosił o co innego! – odparł zasmucony Lludd. – Tego uczynić nie mogę.

–Dlaczego? – dopytywał się Nudd.

–Ponieważ władza w królestwie należy do tego, kto mi ją przekazał – odparł Lludd. – Nie należy do mnie, abym mógł ją oddawać wedle swej woli.

–Ależ należy – upierał się Nudd.

–Nie, nie należy – obstawał przy swoim Lludd. – I na tym koniec dyskusji.

–W takim razie dobrze! – krzyknął Nudd. – Skoro nie chcesz mi dać tego, co było mi obiecane, to nie mam wyboru i sam sobie wezmę!

–Choćbyś zdarł z mej szyi torques i usadził swój zad na srebrnym tronie, nie uczyni cię to królem. Powiem ci prawdę, człowiek nie może sam uczynić się królem; jedynie błogosławieństwo tego, kto posiada królewską władzę, może wynieść człowieka na wyżyny tego miejsca. Ponieważ królewska władza jest świętym obowiązkiem, którego nie można wymienić czy sprzedać; a tym bardziej ukraść czy zabrać siłą.

Lludd powiedział prawdę. Nudd usłyszał to i wcale mu się to nie spodobało. Uciekł z hali; uciekł z keru. W dalekim zakątku krainy zebrał wokół siebie podobnych sobie: chciwych, zachłannych ludzi, płonących pychą, żądzą bogactwa i pozycji większych od tych, które słusznie im się należały, ludzi z leżącego za morzem Tir Aflan, zwabionych obietnicami łatwych łupieży.

Lludd dobrze rządził. Ludzie wielbili go i sławili wszędzie, gdzie zawędrowali. A każde słowo pochwały niczym sztylet raniło serce Nudda. Im jaśniej błyszczała sława Lludda, tym bardziej zazdrość Nudda twardniała i zmieniała się w nienawiść, stawał się coraz bardziej

zawzięty, uparty i dumny.

Przywołał swą drużynę i powiedział tak:

–Widzicie, jak jest. Wpływy mojego brata rozszerzają się, podczas gdy moje się kurczą. To niesprawiedliwe, abym żył niczym pies wygnany od ogniska. Panowanie w Albionie powinno przyspaść mnie, ale czy Lludd z tym się liczy? Wcale. Zuchwale kroczy dalej swoją drogą. Nie skłamię, jeśli powiem, że już wystarczająco długo znosiłem jego obraźliwą wyniosłość. Nadszedł czas, aby wyjaśnić tę sprawę.

Wówczas to Nudd podniósł włócznię przeciw swemu bratu. On i jego drużyna wszczęli wojnę przeciwko Lluddowi. Wojownicy byli uzbrojeni. Armie zgromadzone. I Wyspa Potężnych – gdzie dotąd dawało się słyszeć najwyżej gniewne okrzyki – rozbrzmiała grzmotem końskich kopyt i uderzeniami mieczy o tarcze i włóczni o hełmy.

Wielkie toczyli bitwy, ale jeszcze większe były pogromy. Krainą popłynęła rzeka krwi, sięgająca końskich pęcin i osi rydwanów. Od świtu do zmierzchu jasne niebo Albionu rozdierane było szczękami broni i budzącymi litość okrzykami rannych i umierających. Kraj był pustoszony; nikt nie czuł się bezpieczny. Prowadzenie wojny stało się w Albionie najważniejsze. Nastął czas żałoby; wojna wkroczyła do Raju.

Armie walczyły, a wojownicy umierali. Gromadzono większe armie i ginęło więcej ludzi. Jednakże pomimo tych zmagañ żaden z braci nie mógł ogłosić zwycięstwa nad drugim. Wojownicy Nudda i Lludda walczyliby z sobą po dzień dzisiejszy, gdyby pewnego dnia na polu bitwy niespodziewanie nie pojawił się król. Zbliżył się do miejsca, w którym zgromadzili się uczestnicy bitwy, czekając na sygnał do ataku; przybył na strudzonym drogą koniu i wjechał pomiędzy stojące naprzeciwko siebie szeregi.

Zatrzymał się na środku placu bitwy i przywołał do siebie synów.

–Cóż to słyszę? – zapytał. – Przewędrowałem to ziemskie królestwo z jednego końca na drugi i nigdzie nie słyszałem tego dźwięku, od którego żaden nie jest bardziej nienawistny dla mych uszu. Wszystko, co widziałem i słyszałem, radowało mnie, aż do teraz. I cóż to widzę? Cóż to słyszę? Od ranka do wieczora tylko ten dźwięk, którego znieść nie mogę; widoki, które budzą we mnie wstręt: odgłosy walki, widok ziemi splamionej krwią i ginące życie. Wyjaśnijcie to, jeśli potraficie. Powiem wam szczerze, jeśli nie poznam powodu, dla którego do tego doszło, to, choć jesteście moimi ukochanymi synami, droższymi mi niżli własne życie, będziecie przeklinać dzień swych narodzin.

Tymi i innymi surowymi słowami zwrócił się Wielki Beli do swych synów. Obaj poczuli wstyd i żal, ale tylko Lludd głośno żałował swego udziału w sprowadzeniu zła na najsprawiedliwsze królestwo, jakie kiedykolwiek istniało na świecie.

–To moja wina, ojcze – płakał, rzucając się ojcu do stóp. – Nie jestem wart daru, jaki mi dałeś. Zabierz królewski torques i wygnaj mnie ze swego królestwa. A jeszcze lepiej, zabij

mnie za to, jakim jestem głupcem. Gdyż przedłożyłem sprawiedliwość nad litość, a honor ponad pokorę.

Król Beli wysłuchał tych słów i wiedział, że są prawdziwe; jego wielkie serce pękało z żalu. Zwrócił się do Nudda i zapytał:

–Co ty na to powiesz?

Nudd pomyślał, że znalazł wyjście ze swego położenia, więc odparł:

–Słyszałeś, że Lludd przyznał, iż wina leży po jego stronie. Jakże śmiałym mu zaprzeczyć? On jest w końcu królem. Niech popłynie jego krew za zło, którego się dopuścił wobec ciebie, twej krainy i twego ludu.

Beli, Mądry i Szczery, wysłuchał tych słów, a one przeszyły mu duszę. Ze łzami w oczach wyciągnął miecz i odciął głowę Lluddowi.

Nudd widział to i choć przeraził się, nie wziął na siebie winy za wszczęcie sporu, który doprowadził do wojny.

–Czy teraz też nie masz mi nic do powiedzenia? – zapytał Beli swego syna.

Ale Nudd nie odpowiedział. A jego milczenie zabolalo ojca bardziej niż kłamliwe słowa, które usłyszał przedtem.

Wielki Król nie chciał stracić obu synów jednego dnia, więc zapytał Nudda ponownie:

–Potrzeba dwóch do wszczęcia wojny, mój synu. Czy mam myśleć, że to zło było jedynie dziełem Lludda?

Nudd, którego serce zrobiło się zimne jak gład, nadal wierzył, że teraz, gdy Lludd nie żył, może zdobyć tron. Odparł więc:

–Myśl sobie, co chcesz, ojcze. Jak wiesz, to Lludd dzierżył królewską władzę. On zapłacił krwią za zło wyrządzone krajowi. Skończmy na tym tę sprawę.

Beli Mawr usłyszał to i wydał długi, przeraźliwy jęk – pierwszy z Trzech Bolesnych Lamentów Albionu. Ujął brzeg swego płaszcza i zakrył głowę z żalu i oburzenia.

–Masz rację mówiąc, że Lludd krwią zapłacił za swą winę. Własnoręcznie zabiłem tego, który mnie zastępował, mego sługę i mego syna. Lludd był tym, który przejąłby po mnie Albion, który rządziłby zamiast mnie, którego ciało i krew jest mą własną – to jego poświęciłem w imię sprawiedliwości, którą stworzyłem. Poświęciłem siebie samego. Uczyniłem to, aby ponownie sprawiedliwość rozkwitła w Albionie. Lludd nie żyje. Ale jego śmierć jest niczym w porównaniu z karą, jak ciebie spotka.

–Kara? – prychnął pogardliwie Nudd. – Sprawiedliwości stało się zadość. Cóż złego ja ci uczyniłem?

–Pozwoliłeś, aby twój brat poniósł karę, na którą tylko ty zasłużyłeś – powiedział Beli. – Masz słuszność mówiąc, że wina została spleciona, gdyż Lludd zapłacił za nią całkowicie swą niewinną krwią.

–Skoro dług został splecony krwią – dowodził Nudd – niech na tym będzie koniec tej sprawy. Nie ma potrzeby i mnie zabijać.

–Posłuchaj uważnie, Nudd – odparł Beli, Władca Przenikliwej Wiedzy. – Gdybyś szczerze odpowiadał, byłbyś oszczędzony. Ale z twych własnych słów wiem, że nie ma w tobie prawdy. Lludd jest martwy, ale przez swą śmierć stanie się większy niż ty kiedykolwiek za życia. Zostanie wyniesiony, a ty będziesz doprowadzony do upadku.

–Ale powiedziałaś, że mnie nie zabijesz! – krzyknął Nudd.

–Ty nie umrzesz, Nudd. Będziesz żył i nigdy nie umrzesz, a twoje nędzne życie będzie o wiele gorsze od szlachetnej śmierci Lludda.

–Nie możesz mi tego uczynić! – krzyknął Nudd. – Jestem twym jedynym synem!

Ale Beli nie słuchał więcej pokrętnych słów Nudda.

–Odejdź ode mnie, niegodziwy – powiedział. – Zejdź mi z oczu. Jeśli znajdzie się ktoś, kto cię przyjmie, tam niech będzie twój dom.

Nudd uciekł z pola bitwy i podróżował po całym Albionie. Nigdzie jednak nie spotkał przyjaznego powitania; nigdzie też nie znalazł paleniska, przy którym mógłby się ogrzać, nikt nie powitał go pucharem dla ugaszenia pragnienia. Jego serce jeszcze bardziej twardniało i zrobiło się jeszcze zimniejsze. W końcu powiedział sobie:

–Wszyscy ludzie mnie nienawidzą. Każda ręka jest wzniesiona przeciwko mnie. Jestem wyrzutkiem w kraju, którym mogłem władać. Niech tak będzie. Jeśli nie mogę tu sprawować rządów, to pójdę tam, gdzie będę mógł to czynić: zstąpię do czeluści Piekieł, dokąd żaden człowiek nie ośmiela się pójść, i tam będę panował jako król.

Tak więc Nudd zwrócił swe zimne serce przeciwko wszystkiemu, co żyje, co cieszy się blaskiem dnia i zstąpił do głębokiej, czarnej czeluści Piekieł, gdzie nie ma nic poza duszącymi ciemnościami i ogniem.

Tymczasem Beli, Wszechwiedzący Król, zabrał ciało swego ukochanego syna na najwyższe wzgórze w Albionie. Wzniósł nad Lluddem kopiec bohatera i ustanowił bardów wychwalających jego cnoty po wsze czasy. Z serca kopca bohatera wyrosła srebrzysta, biała brzoza. Beli zrąbał ją, rozpałił ogień i wrzucił wiotkie drzewo. Iskry z ogniska trysnęły

wysoko w niebo. Stały się Gwiazdami Przewodnymi, dzięki którym ludzie odszukują drogę w ciemności. Następnie Beli zebrał cały żar i popioły z ogniska i cisnął je również w niebo. Te stały się promiennym pasem srebrzystego światła, znanym jako Niebiańska Droga. Sam Lludd, Świetlisty Duch, stąpa nocami po tej błyszczącej, gwiazdnej ścieżce, zawsze spoglądając na najpiękniejszą wyspę na świecie. Ten, kto widzi to cudowne zjawisko, czuje pełne czci i szacunku wzruszenie dla jego niedoścignionego piękna.

Ale Nudd, Wróg Wszystkiego o Zimnym Sercu, gromadził wokół siebie wszelkiego rodzaju zło. Nieszczęsne duchy, od których roily się dolne rejony świata, ciągnęły ku niemu i zwały go swym panem. Stały się Comnyid, Czeredą Chaosu, pachółkami Cythrawla, który rozkoszował się cierpieniem i triumfem śmierci: ziejący nienawiścią, płonący złościwością, zaślepiony niechęcią, zawsze gotów niszczyć porządek, prawość i dobroć.

Nieskończenie pomysłowe w deprawacji, sprośności i każdej niegodziwości Coranyid, zamieszkują ponure hale i dręczą swe zatrute dusze, dopóki nie zostaną uwolnione lub nie uciekną. Wówczas fruną na skrzydłach burzy za swym straszliwym władcą: Nuddem, Księciem Piekieł i Annwn, Królem Coranyid, Monarchą Wiecznej Nocy, który nosi Czarnego Węża Anoeth zamiast torquesu, a za broń ma kiel Wyrma. Na rozkaz Pana Nudda pofruną, aby zniszczyć całe dobro, prawość i piękno.

Tegid oderwał wzrok od ognia i spojrzał na mnie. Dostrzegłem lęk w jego spojrzeniu i wiedziałem, że słowa, które usłyszałem, zawierały prawdę zbyt potężną, by przekazać ją w inny sposób niż w pieśni.

–Tu kończy się opowieść o Panu Nuddzie – zaintonował cicho – niech wierzy, kto chce.

Uwierzyłem w jego opowieść. Podejrzewam, że byliby tacy, którzy nie daliby jej wiary, ale oni nie widzieli tego, co ja. Niedowiarkowie cieszą się bezpieczeństwem swego niedowiarstwa; niewiedza daje większą pewność. Ale ja widziałem Cythrawla.

Nie wątpiłem, że Pan Nudd i jego Diabelska Czereda zostali uwolnieni i teraz hulają po Albionie, siejąc śmierć i zniszczenie. Kolejny raz Nudd mógł swobodnie rozpętać swą okropną wojnę zła. Dzień Zmagań zaświtał, o tak. Wojna o Raj rozpoczęła się na nowo.

26. Światło przewodnie

Przez siedem dni pozostawaliśmy w rybackim szałasie nad rzeką. Pogoda przez cały czas pogarszała się. Każdy dzień przynosił coraz bardziej zimne, porywiste wiatry, wiejące ze skutej lodem północy, deszcz i deszcz ze śniegiem. Podsycaliśmy ognisko i przez większość dnia siedzieliśmy skuleni w jego pobliżu. Gdy robiliśmy się głodni, jedliśmy łososie z wędzarni.

Mówiłem niewiele, Tegid jeszcze mniej. Z każdym mijającym dniem zdawał się coraz bardziej zamykać w sobie. Siedział zgarbiony, wpatrując się w ogień zmrużonymi oczami, w których czaił się smutek. Nie spał dobrze – żaden z nas nie spał twardo, ale gdy budziłem

się w nocy, widziałem, jak siedzi skulony na swych skórach, wpatrując się w żar przygasłego ogniska.

Zacząłem się o niego niepokoić. Próbowałem z nim rozmawiać, ale moje wysiłki wciągnięcia go do rozmowy spotykały się z milczeniem i niemą rezygnacją. Dni mijały w podmuchach zimnego wiatru, a Tegid robił się coraz bardziej zamknięty w sobie i przygnębiony. Jego widok był dla mnie niczym nóż wbity w serce, więc postanowiłem coś z tym zrobić.

Ósmego dnia rano wstałem i poszedłem nad rzekę nabrać świeżej wody do skórzanego bukłaka. Po powrocie zastałem Tegida siedzącego przed wygasłym żarem ogniska z poprzedniej nocy. Głowę miał pochyloną, brodę opierał na piersi.

–Tegid, wstawaj! – zawołałem głośno.

Nie poruszył się nawet na dźwięk swego imienia.

–Tegid! – zawołałem ponownie – wstań, musimy porozmawiać. Nie możemy tu dłużej siedzieć.

I tym razem moje słowa nie wywołały w nim żadnej reakcji. Podeszedłem więc i stanąłem nad nim.

–Tegid, spójrz na mnie. Mówię do ciebie.

Nie podniósł głowy, a wtedy uniosłem bukłak i wylałem na niego lodowatą wodę. To go ruszyło. Poderwał się, parskając i prychnając. Utkwił we mnie spojrzenie. Twarz miał bladą i wymizerowaną, a oczy pociemniałe z gniewu.

–Czemu to zrobiłeś? – zapytał, otrząsając wodę z przemoczonego płaszcza. – Zostaw mnie!

–To jedyna rzecz, której nie uczynię – powiedziałem. – Musimy porozmawiać.

–Nie! – mruknął posępnie i odwrócił głowę. – Nie ma o czym mówić.

–Porozmawiaj ze mną, Tegid – powtórzyłem. – Musimy postanowić, co dalej robić.

–Po co? To równie dobre miejsce na śmierć jak każde inne.

–To nieuczciwe tak siedzieć tutaj. Musimy coś zrobić.

–A co mielibyśmy zrobić? – prychnął. – Przemów, o Usobienie Mądrości. Słucham.

–Nie potrafię powiedzieć, co trzeba zrobić, Tegid. Wiem jedynie, że musimy coś zrobić.

–Jesteśmy martwi! – rzucił dziko. – Nasi ludzie zostali zabici. Nasz król odszedł. Nie ma już

dla nas życia.

I znowu skulił się na ziemi, uginając się pod ciężarem rozpacz. Usiadłem naprzeciwko niego, jeszcze bardziej niż przedtem zdecydowany wyciągnąć go z przygnębienia.

–Spójrz na mnie, Tegid – powiedziałem pod wpływem nagłego natchnienia. – Chcę cię o coś zapytać. – Nie czekałem na jego reakcję, ale ciągnąłem dalej. – Kim jest Phantarch?

Tegid westchnął ze znużeniem, jednak odpowiedział:

–Jest naczelnym bardem Albionu.

Pamiętałem to z mych poprzednich lekcji.

–Tak – odparłem – mówiłeś mi o tym. Ale kim on jest? Co on robi?

To pytanie poruszyło go na tyle, że uniósł brwi i spojrzał na mnie.

–Czemu pytasz?

–Proszę – chcę wiedzieć.

Ponownie westchnął i zgarbił plecy. Myślałem, że mi nie odpowie, ale on myślał i po jakimś czasie powiedział:

–Phantarch służy Pieśni. On daje Pieśni życie; on utrzymuje wszystko w należytym porządku.

–Pieśń – powiedziałem, przypominając sobie, co powiedziała Gwenllian. – Pieśń Albionu?

Tegid ponownie podniósł na mnie oczy.

–Pieśń Albionu... co wiesz o Pieśni Albionu?

–Wiem, że jest głównym skarbem tego ziemskiego królestwa; podtrzymuje wszystko, co istnieje – powiedziałem, przypominając sobie słowa, których banfaith użyła w swej przepowiedni. – Czy tak?

–Tak – odparł obojętnie Tegid. – Co jeszcze powiedziała ci banfaith?

Zawahałem się, ponownie czując strach wywołany przepowiednią Gwenllian – strach, od którego włosy jeżyły się na głowie. Tak, no więc co jeszcze powiedziała banfaith? Powiedz mu, pomyślałem, Tegid powinien wiedzieć.

Coś we mnie sprzeciwiało się temu; nie chciałem ujawniać wszystkiego, co powiedziała mi banfaith. Przepowiednia ciągnęła za sobą obowiązek – ogromny, przerażający obowiązek,

którego nie chciałem na siebie przyjąć. Ale Tegid miał prawo znać przynajmniej część przepowiedni...

–Powiedziała... – zacząłem, zawahałem się, po czym wyrzuciłem z siebie – powiedziała, że Phantarch nie żyje i że Pieśń ucichła.

Na te słowa Tegid spuścił oczy na wystygłe popioły wygasłego ogniska.

–A zatem jest tak, jak powiedziałem. – Jego głos był pełen smutku. – Nie ma nadziei.

–Dlaczego? Dlaczego nie ma nadziei? Co to znaczy? – Prowokowałem go, ale on nie reagował. – Odpowiedz mi, Tegid! – Podniosłem zwęglony kij i rzuciłem w niego. – Co to znaczy?

–To Phantarch bronił Cymrawlowi ucieczki z podziemnych otchłani – powiedział cicho, podnosząc dłoń do twarzy, jakby światło raniło jego oczy. – Phantarch nie żyje – jęknął. – Albion jest zgubiony, a my jesteśmy martwi.

–Dlaczego? – Nie odpowiedział. – Powiedz mi, Tegid! Dlaczego Albion jest zgubiony? Co to znaczy?

Rzucił mi wściekłe spojrzenie.

–Muszę ci wyjaśnić, co widziałeś na własne oczy?

–Tak!

–Phantarch nie żyje – mruknął znużonym głosem – w przeciwnym razie Bestia z Czeluści nie mogłaby uciec, a Pan Nudd nie byłby wolny.

W końcu zrozumiałem, co powiedziała mi banfaith. Skoro Phantarch samotnie posiadał moc powstrzymania zła, które niósł z sobą Cythrawl, jego śmierć musiała uwolnić Cythrawla i teraz Pan Nudd mógł swobodnie wędrować, gdzie chciał, niszcząc wszystko na swej drodze. Zaczynałem rozumieć, ale nawet teraz nie potrafiłem podzielać rozpaczyny Tegida.

–A zatem ruszajmy z nim walczyć – powiedziałem wstając. – Przywołajmy Pana Nudda i rzućmy wyzwanie jemu i jego podłym Coranyid.

Tegid zmarszczył brwi i wymamrotał:

–Gadasz głupstwa. Zabiliby nas na miejscu.

–To niech tak się stanie! – krzyknąłem. – Wszystko lepsze od siedzenia tu i przyglądania się temu, jak się zadręczasz.

Tegid spojrzał na mnie spode łba i zacisnął pięści, jakby chciał mnie uderzyć. Ale zabrakło

mu do tego woli i jego na wprost stężyły gniew jeszcze raz ustąpił miejsca cierpieniu.

–Co? Boisz się umrzeć?

Tegid roześmiał się bez radości.

–Po co mówić o strachu? My już jesteśmy martwi.

–Więc pójdźmy do naszych grobów jak mężczyźni.

Przyglądał mi się przez chwilę, usiłując dociec, czy naprawdę tak myślę.

–No to jak?

–A co proponujesz? – zapytał w końcu.

–Rozpalmy ogień przewodni – powiedziałem, rzucając pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy.

Tegid nie roześmiał mi się w twarz. Nie przyklasnął też moim propozycjom. Miał tego chrząknął i powrócił do swego posępnego wpatrywania się w rozmokłe popioły.

Nie ustępowałem, czując coraz większe zdecydowanie.

–Ogień przewodni. Rozważ to, Tegid. Jeśli ostał się jeszcze ktoś żywy, zobaczy ogień i przybędzie do nas. Jeśli nie, przywołamy plugawego Nudda i rzucimy mu wyzwanie w jego nikkzemną twarz. Niech przyjdzie! Może nas jedynie zabić. W gorszej sytuacji już być nie możemy. Co powiesz na to?

–Powiem, że jesteś głupcem – mruknął. Pomimo to powoli wyprostował się i wstał. – Ale to prawda, nie możemy tak żyć.

–Pomożesz mi więc?

–Pomogę – zgodził się. – Rozpalimy największe ognisko, jakie kiedykolwiek widziano w Albionie. Niech stanie się, co ma być.

Po wypowiedzeniu tych słów Tegid stał się równie aktywny, jak przedtem był apatyczny. Założył uzdy, zarzucił skóry na konie i zdjął im pęta. Ja tymczasem zawinałem kilka ryb w kawałek płótna i zasypałem ziemią ognisko. Przywołałem Twrcha i dosiadłem konia. Szczeniaka zawinałem w połę płaszczu i ruszyliśmy.

–Gdzie powinniśmy rozpalić ognisko? – zapytałem, gdy zawróciliśmy konie na szlak.

–W Sycharth! – zawołał Tegid przez ramię. – To forteca na dużym wzniesieniu. Rzucimy wyzwanie wrogowi w miejscu jego najgorszych zniszczeń. Ogień przewodni będzie

widoczny od Llogres po Caledon! Każdy, kto go ujrzy, będzie wiedział, że nie spoczęliśmy w grobach bez walki.

Zachowanie mego towarzysza zmieniło się szybko i całkowicie. Porzucił myśl o beczynnym umieraniu i teraz pędził wprost w objęcia śmierci.

Ja miałem znacznie mniejszą ochotę umierać. Ale podążałem za Tegidem, ponieważ śmierci bałem się mniej niż pustego, oddanego darmo życia.

Po dotarciu do ruin fortecy Meldryna Mawra – najsmutniejszego i najbardziej zniszczonego miejsca, jakie kiedykolwiek widziałem – przystąpiliśmy do realizacji naszego zadania. Pośród odoru gnijących ciał zabraliśmy się za pracę. Zbieraliśmy wszystko, co mogliśmy znaleźć, i ściągaliśmy na kupę. Nasze serca były niczym skała, a ręce pewne i zręczne.

–Wzniesiemy z tej niegdyś wspaniałej warowni stos niemający sobie równych – powiedział Tegid przez zaciśnięte zęby. – Nasze popioły zmieszają się z popiołami naszego ludu.

Jednakże nie udało nam się zebrać wystarczającej ilości suchej podpałki, aby rozpalić okazały stos. To, co nadawało się do palenia, już pochłonęły płomienie, które zniszczyły ker, a wszystko inne było wilgotne od deszczu i śniegu. Tegid popatrzył na nędzną stertę drewna, którą zgromadziliśmy w miejscu, gdzie niegdyś wznosiła się hala Wielkiego Króla.

–To za mało – powiedział. – Musimy zejść do przystani.

Pracowaliśmy jeszcze długo po zmroku, ciągnąc nadpalone belki z przystani do keru.

–To nadal za mało – oznajmił Tegid, przyglądając się stercie w gasnącym świetle.

–Będziemy musieli znaleźć więcej – zgodziłem się. – Ale poczekamy z tym do jutra.

Nie nocowaliśmy w warowni. Po splądrowaniu jej grobowca i zakłóceniu jej spokoju nie mieliśmy ochoty niepokoić dłużej niepogrzebanych zmarłych. Zatrzymaliśmy się więc nad rzeką w pobliżu przystani.

Następnego dnia wycięliśmy długie brzoźowe tyczki i umocowaliśmy je do uprzęży naszych koni. Potem pojechaliśmy ku lesistym wzgórzom po drugiej stronie moczarów, by zebrać suszki i gałęzie na nasze ognisko. Pracowaliśmy szybko, pomimo zdradzieckich ścieżek przez bagniska, posępnego deszczu i lodowatych podmuchów wiatru. Nim dzień dobiegł końca, zgromadziliśmy okazałą stertę drewna na nasz sygnalizacyjny stos, ale Tegid oznajmił, że to nadal za mało. Wyczerpani, skuliliśmy się w mokrych płaszczach, przespaliśmy się, a potem przebudziliśmy, aby powtórzyć mozolny trud poprzedniego dnia.

Pod ołowianym niebem składaliśmy krzaki, gałęzie i konary na wiotkie brzoźowe tyczki i ciągnęliśmy je z lasu przez podmokłe mokradła, a potem szlakiem do keru. Przez cały dzień bez odpoczynku i jedzenia. Gdy zaproponowałem, aby zrobić przerwę na napojenie i

nakarmienie koni, Tegid tylko zaśmiał się i odparł, że wkrótce odpoczniemy sobie za wszystkie czasy. Był przekonany, że ognisko sygnalizacyjne spełni swe zadanie i Pan Nudd zobaczy nas w swych grobach, nim noc dobiegnie końca.

Ja jednak nade wszystko pragnąłem wymyślić jakiś sposób ucieczki. W głowie mi się kręciło; myśli rozbiegały się na wszystkie strony. Przywiązując ostatnią wiązkę chrustu do tyczek, desperacko obmyślałem sposób na opóźnienie zapalenia sygnalizacyjnego ogniska. Ostatnie dni, spędzone w towarzystwie martwych ciał, dokonały we mnie zmiany. Gdy wąchałem odór śmierci, przesuwalem ciała i przechodziłem nad rozkładającymi się trupami, rozumiałem coś fundamentalnego: żyłem i pragnąłem żyć dalej. Nie chciałem zostać zabity przez Pana Nudda. Nie chciałem stać się jeszcze jednym wstrętnym, wzdętym strzępem gnijącego ciała. Nie byłem gotowy na śmierć, chciałem żyć.

Gdy jechałem przez podmokłe bagniska, a potem błotnistym szlakiem do zrujnowanego keru, myślałem gorączkowo, jak znaleźć nowy pretekst do powstrzymania zdecydowanej dłoni Tegida. Nawet gdy przygasło kapryśne światło dnia, a Tegid wyciągnął zwitek umazanej smołą szmaty ku żarowi, który pieczołowicie zachowywał dla zapalenia ogniska, nadal wierzyłem, że wymyślę jakiś sposób, by zapobiec zapaleniu stosu.

Nie wymyśliłem. Nic nie przychodziło mi do głowy. Stałem oniemiały i przyglądałem się, jak bard dmuchał ostrożnie na uczernioną szmatę, przytykając jej koniec do jarzących się jasno węgli. Gdy pierwsza biała smużka wzbijała się w mroczne niebo, przełknąłem z trudem ślinę, ufając, że zobaczyłem własne życie wijące się ku niebu z tą wątlą smużką dymu. Jeden podmuch wiatru i dym rozwiął się. Tak skończy się moje życie, gdy Pan Nudd pojawi się w towarzystwie swych demonów Coranyid.

Tegid wydał policzki, rozdmuchując malutki płomynek. Chwilę później zwitek zajął się i szmata rozkwitła pomarańczowym płomieniem. Tegid podniósł usmoloną szmatę na końcu kija i podał mnie.

–Masz, bracie – powiedział. – Chcesz zapalić nasz stos, czy ja mam to uczynić?

–Ty go zapal, Tegidzie – powiedziałem, nadal usiłując wymyślić sposób na zapobieżenie zajęcia się stosu ogniem i oznajmienia naszej obecności nieprzyjaciółom.

I nawet gdy pierwsze jasne płomienie poczęły lizać dół ogromnej stery drewna i chrustu, wyobrażałem sobie, że w jakiś sposób uda mi się wymyślić, jak nas uratować... nawet gdy płomienie skoczyły z gałęzi na gałąź, pnąc się po drewnianej konstrukcji, myślałem, że uda mi się zapanować nad ogniem... nawet gdy wielkie kłody zaczęły skwierczeć i parować wodą z deszczu, którą nasiąkły, wierzyłem, że znajdę sposób na uratowanie nas...

Nawet gdy noc zapadła wokół, a płomienie skakały wysoko w ciemne sklepienie niebios, miałem nadzieję, że uda mi się pochwycić to, co cały dzień wymykało mi się z rąk.

A gdy stanąłem na zniszczonym wale obronnym i spojrzałem na spowitą całunem nocy

równinę poniżej Sycharth i dostrzegłem płonące pochodnie mknące ku nam w rękach konnych wojowników, zrozumiałem że to śmierć ku nam mknie. Słyszałem głuche dudnienie końskich kopyt, ale nawet wówczas wierzyłem, że nie zginiemy.

–Patrz, jak szybko nasz stos ich przywołał! – zawołał triumfalnie Tegid. – Chodź, Panie Nuddzie! Wyzywamy cię! Tegid miał zachrypnięty głos, a twarz sztywną z dziwnego podniecenia. Uniósł pochodnię i zamachał nią, zataczając szeroki łuk nad swą głową. Drwił z nadciągających nieprzyjaciół. Podniosłem Twrcha i pobiegłem po broń. Uwiązałem szczeniaka do luźnego końca linki pętającej konie. Odwinąłem naoliwioną skórę i wyciągnąłem miecz, a potem ściągnąłem osłonę z ostrza włóczni. Wziąłem tarczę i pobiegłem do Tegida.

–Weź to – powiedziałem, wkładając mu włócznię do ręki. – Chodź, stawimy im czoła przy bramie.

Bramy były rozbite w drzazgi i spalone, ale wąskie dojście zapewniało pewną ochronę. Nie wiedziałem, czy demony walczą jak inni wojownicy – ani czy mogą przechodzić przez kamienne ściany, aby ranić śmiertelników jednym morderczym spojrzeniem – lecz mimo to uznałem, że jeśli można zadać takiemu wrogowi cios żelazem, to każdy, kto podniesie przeciwko nam rękę, poczuje ukąszenie mego ostrza. Stanęliśmy ramię przy ramieniu i przyglądaliśmy się zbliżającemu się migotliwemu blaskowi pochodni.

Patrzyliśmy i czekaliśmy. Na plecach czuliśmy gorąco płomieni, blask płonącego stosu rzucał nasze długie cienie na drogę, ryk ogromnego ogniska dudnił nam w uszach. Ścisnąłem rękojeść miecza, czując jego znajomy ciężar w dłoni. Tegid rzucił płonąca głównię na wał i trzymał przed sobą włócznię, twarz płonęła mu w palącym blasku ogniska.

Nie myślałem o śmierci, która nas czekała, ani o spalonych i sponiewieranych ciałach naszych rodaków zaścielających ker. Moje myśli skupiły się na ostrzu, które było teraz przedłużeniem mego ramienia i na walce, która miała nadejść. To była moja pierwsza prawdziwa bitwa, odkąd stałem się wojownikiem i choć prawdopodobnie będzie zarazem ostatnią, witałem ją z radością, niecierpliwie czekając na wypróbowanie ciężko nabytych umiejętności.

–Bez względu na to, co się stanie – zawołał Tegid, przekrzykując ryk ognia – poczytuję sobie za zaszczyt umrzeć obok ciebie!

–W śmierci nie ma nic zaszczytnego – powiedziałem, powtarzając słowa Scathy. – Zaszczytem będzie raczej odesłanie kilku Coranyid z powrotem w mroki piekieł, na co sobie w pełni zasłużyły.

–Dobrze powiedziane, bracie! – odparł Tegid. – Niech tak się stanie!

Pierwsze konie dotarły do drogi u podnóża keru. Wiedziałem, że wrogowie widzieli nasze sylwetki na tle ognia. Zawahali się. Poczęli jeździć wkoło.

Usłyszałem ostry okrzyk. Wówczas pierwsi wojownicy wjechali w wąski podjazd i pognali ku nam pomiędzy długimi wałami obronnymi. Uniosłem ostrze i skuliłem się za tarczą. Nie widziałem mego napastnika, ale śledziłem drogę pochodni w jego ręku. Gdy tylko pierwszy z demonów wjechał na podjazd, skoczył za nim następny, a potem jeszcze następny. Trzech jechało przeciwko nam, pozostali zostali z tyłu – jakby nie chcieli ryzykować jazdy pomiędzy zrujnowanymi ścianami, które okalały drogę wiodącą ku bramie.

Pierwszy z jeźdźców zbliżał się do szczytu wzniesienia. Rzuciłem się do miejsca, w którym jego koń będzie musiał wyteńczyć się, by zdobyć wierzchołek wzgórza. Wówczas jeździec straci na chwilę równowagę, przesuwając ciężar ciała do przodu, aby nie zsunąć się po końskim zadzie. Tam będę go czekał ze swym mieczem.

Tegid dostrzegł, co zamierzam, i zajął pozycję, by przejąć drugiego wojownika, nim ten będzie mógł pospieszyć z pomocą pierwszemu.

Krew pulsowała mi w żyłach, serce waliło, ale moje myśli były chłodne i precyzyjne jak moje ruchy.

Byłem gotowy ujrzeć twarz mojego przeciwnika – groteskowy przejaw najwstrętniejszych wyobrażeń. Byłem gotowy ujrzeć oblicze śmierci w jego najpaskudniejszej postaci. Ale nie byłem przygotowany na widok, który ujrzałem, gdy wróg wszedł w blask bijący od ogniska. W jednej chwili demon był jedynie ruchomym cieniem; w następnej w blasku ognia przybrał cielesną postać.

Widząc postać napastnika, opuściłem ramię.

Byłem przygotowany na każdy widok, ale nie na ten, który ujrzałem: przede mną był heros Meldryna Mawra, Paladyr, dowódca, którego spotkałem na dworze Wielkiego Króla.

Wahanie mogło mnie kosztować życie. Gdy ledwo ledwo opuściłem miecz, wojownik pchnął mnie włócznią. Odskokczyłem z krzykiem. Czubek włóczni Paladyra chybił celu. W oślepiającym blasku ognia dostrzegłem wykrzywione wściekłością usta. Jego rumak, kierowany kolanami pana, zawrócił i skoczył ku mnie, z dzikim wzrokiem, rozdętymi chrapami, bijąc kopytami w ziemię.

Uniosłem tarczę na spotkanie ciosu. W dłoni ściskałem miecz gotów do uderzenia, gdy tylko ją odsłonię. Przygotowując się do natarcia, usiłowałem znaleźć wytłumaczenie tego dziwnego splotu wydarzeń: Paladyr. Tutaj. Atakuje mnie!

Czy to rzeczywiście był Paladyr? A może to przebiegły demon przyjął postać wielkiego wojownika, aby zmylić mnie i pokonać?

Jednakże, choć stojący przede mną wróg mógł nie być istotą ludzką, wściekłość w jego oczach była jak najbardziej ludzka. Człowiek czy nie, chciał mnie zabić. Drzewce jego włóczni uderzyło o żelazne obramowanie mojej tarczy. Wstrząs targnął mym ramieniem i

ugięły się pode mną kolana. Ale uniosłem miecz i czysto sparowałem pchnięcie, które potem nastąpiło.

W swej wściekłości mój przeciwnik wystawił się na cios. Mogłem z łatwością przeszyć mu serce końcem miecza. Ale powstrzymałem dłoń. To nie był demon.

–Paladyr! – krzyknąłem. – Stój!

Grymas wściekłości wykrzywający mu usta zniknął. W blasku ognia dostrzegłem oszołomienie wygładzające jego kamienne rysy. Rozejrzał się na boki i dostrzegł walczącego Tegida. Ogarnął wzrokiem otaczające nas ruiny, oświetlone blaskiem sygnalizacyjnego ogniska. Jego dezorientacja była coraz większa.

–Przestań, Tegid! – zawołałem. – To nasi rodacy!

Tegid, który walczył z drugim jeźdźcem, opuścił włócznię i przybiegł do mnie.

–Paladyr! – krzyknął. – Nie poznajesz nas, człowieku?

W oczach wojownika zaświtało zrozumienie. Uniósł dłoń na powitanie, ale koniec włóczni nadal trzymał wycelowany w nasze piersi.

–Tegid? – zapytał? – Jak ty się tu znalazłeś, bracie? Tegid wbił włócznię w ziemię. Heros króla opuścił swoją, odwrócił się i wezwał pozostałych wojowników do opuszczenia broni. Zsiadł z konia i stanął przed nami.

Spojrzał na stos, a potem na zrujnowaną twierdzę. Długo wodził po niej wzrokiem. Był wstrząśnięty tym widokiem.

–Co tu się stało? – zapytał, gdy w końcu odzyskał głos.

W tych kilku słowach kryła się bezmierna udręka. Jego towarzysze siedzieli wyprostowani w siodłach i w milczeniu przyglądali się zniszczeniom, oniemiaли, odarci ze słów.

Tegid podszedł do Paladyra.

–Sycharth jest zniszczona – odparł. – Nasi rodacy nie żyją. Wszyscy wkroczyli do mrocznej hali śmierci i nigdy już nie znajdziemy ich w krainie żywych.

Paladyr przesunął po oczach ogromną dłoń. Chwiał się na nogach, jego szczęki poruszały się, ale on nie przewrócił się ani nie krzyknął. Wówczas dostrzegłem, jaki był utrudzony. Musieli jechać od wielu dni.

–Zobaczyliśmy ogień sygnalizacyjny – powiedział mistrz. – Pomyśleliśmy... pomyśleliśmy, że ker został... – Wyprostował się, odwrócił i dosiadł swego konia. – Trzeba powiedzieć królowi.

Odjechał wybiegającą z keru drogą i zniknął w ciemnościach.

–A zatem król żyje – zawołał Tegid. Rzeczywiście, Meldryn Mawr we własnej osobie pojawił się przed nami po kilku chwilach – wychudły, z poczerwieniałymi z braku snu oczyma, ale to był on we własnej osobie. Pojawił się przed zniszczoną bramą z małą eskortą wojowników, zsiadł z konia i począł chodzić po swej zniszczonej warowni.

W niesamowitym blasku płonącego stosu przyglądałem się, jak powolnym krokiem samotnie chodzi po ruinach. Początkowo dzielnie znosił porażające widoki, ale zniszczenia były zbyt wielkie. Gdy dotarł do spalonych i połamanych belek swej hali, podszedł chwiejnie do paleniska i opadł na kolana, wziął w dłonie wilgotne popioły i posypał sobie nimi głowę. Z jego ust dobył się ochryply krzyk – rozzierający serce krzyk niewypowiedzianego żalu i udręki. Wojownicy, którzy poczęli głośno domagać się zemsty, ucichli, przerażeni rozpaczą swego pana.

Po chwili podeszliśmy do niego. Na brudnej twarzy jaśniały ślady po łzach. Król wstał, gdy się zbliżyliśmy. Smutek w jego oczach i głosie złamał mi serce.

–Gdzie jest Ollathir? – zapytał cicho. Myślę, że domyślał się odpowiedzi.

–Spoczywa w mogile na Ynys Bainail – odparł Tegid.

Król skinął powoli głową i spojrzał na mnie.

–Kim jest ten człowiek?

Nie rozpoznał mnie. Nasze jedyne spotkanie było krótkie. Odpowiedziałbym mu, ale pytanie nie było skierowane do mnie.

–To wędrowiec, którego odesłałeś, aby stał się wojownikiem – odpowiedział Tegid. – Był przy śmierci Ollathira.

Pomimo smutku i wstrząsu, jakiego doznał, król przywitał mnie i powiedział:

–Ollathir odszedł, zatem Tegid Tathal zostanie mym Mistrzem Pieśni. Ty zaś staniesz się jego mieczem i tarczą. Nigdy go nie opuszczaj. Wszystkim nam będzie potrzeba barda w dniach, które nadejdą. Strzeż go dobrze, wojowniku.

–Będę go strzegł ze wszech sił, Wielki Królu – przysiągłem.

Król uniósł rękę ku Tegidowi.

–Ty, brehonie, jesteś jedynym, jaki pozostał. Od tej nocy będziesz moim bardem i moim głosem. Tak jak umilkły głosy mego ludu, tak i ja będę milczał. Dopóki ponownie nie odezwą się w tym miejscu głosy mego ludu, dopóty i ja się nie odezwę.

Król podniósł głowę i powiódł oczyma po ruinach swej niegdyś wielkiej twierdzy. Stał przez chwilę, przypatrując się przerażającemu obrazowi śmierci i zniszczenia, jakby chciał na stałe zatrzymać je w swej pamięci. Potem odwrócił się gwałtownie, wskoczył na siodło i ruszył drogą wybiegającą z keru.

Pozostali wojownicy wolno podążyli za nim. Wróciliśmy z Tegidem do naszych koni.

–Nabierz otuchy, Tegid – powiedziałem. – Jeszcze na trochę odsunęliśmy śmierć.

–Zamieniliśmy jeden grób na drugi – mruknął. – To wszystko.

–Aleś ponury – powiedziałem, a w uszach zabrzmiały mi łagodne słowa Goewyn. – Nadal żyjemy. Czemu myśleć o najgorszym?

Bard mruknął pogardliwie, ale zmieszał się. Zdjęliśmy pęta i dosiedliśmy naszych koni. Twrch, drżąc z podniecenia walką i ogniem, szczekał zajadle, gdy usadziwszy go przed sobą, wyruszyłem z keru.

27. Ucieczka do Findargad

Wielki Król ze swą drużyną objechał całą krainę: ker Dyfrryn, Cnoc Hydd, Yscaw, Dinas Galan, ker Camedd. Niegodziwym zniszczeniom w każdej osadzie przypatrywał się milczący niczym głaz, daleki i nieprzenikniony w swym żalu. Nikt nie potrafił powiedzieć, o czym król myślał, ponieważ do nikogo się nie odzywał, patrzył jedynie na zwłoki i ruiny kamiennym wzrokiem.

Wojownicy wielkim głosem domagali się sprawiedliwości; krzyczeli o zemstę. Pałali gniewem. W miejscach kolejnych zniszczeń krzyczeli jeszcze głośniej. Niczym wściekłe psy, ujadające, gdy czują zapach krwi, wypełniali swym wrzaskiem powietrze, urągając i przeklinając, przynaglając króla do pościgu za wrogiem. Wyobrażali sobie, że tego wroga można pokonać mieczem i włócznią.

Król jednak wiedział swoje. A gdy już dość się napatrzył, odwrócił się plecami od swej zniszczonej krainy i, ku przerażeniu swych wojowników, skierował się ku Findargad, swej skutej lodami warowni w sercu pasma wysokich pomocnych szczytów gór Cethness. Tam Wielki Król chciał zebrać ocalałe resztki swego ludu. Dzięki jakiemuś niewiarygodnemu przypadkowi niektórzy przeżyli. Kilka osad uniknęło zniszczenia: małe, ukryte gospodarstwa, gdzie nie doszła armia demonów. Być może zostały przeoczone w gorączce zniszczenia, a może uznano je za nieważne. Bez względu na to, jak do tego doszło, gdy Meldryn Mawr odwrócił się plecami do nizin i skierował swe oblicze ku Findargad, w ślad za nim podążało sześciuset ludzi. Stu pięćdziesięciu pośród nich było konnymi wojownikami. Pozostali byli chłopami i rzemieślnikami z osad. W każdej osadzie, gdzie ludzie przeżyli, zbieraliśmy jedynie łatwe w transporcie zapasy i ruszaliśmy dalej. Potrzebowaliśmy jedzenia i ciepłej odzieży, jeśli mieliśmy przeżyć wędrówkę na pomoc. Jednakże byliśmy zmuszeni podróżować szybko i cicho, aby nie przyciągnąć uwagi Pana Nudda. Nie mogliśmy

obarczać się ciężkimi bagażami ani opóźniać tempa z powodu wozów ciągniętych przez woły. Dokuczał nam głód, ale przynajmniej poruszaliśmy się szybko.

W Yscaw, nad brzegami Nantcoll, rzeki, która wypływała z ośnieżonego serca Cethness, Tegid postawił drzewo ogham: dębowy słup, ociosany z jednej strony, z literami wyrytymi w piśmie ogham. Ci, którzy przyjdą po nas, będą wiedzieli, że przeżyliśmy.

Potem ruszyliśmy wzdłuż brzegów rzeki, której wartkie wody spieszyły z wyżyn gór Cethness. Sollen, najokrutniejsza z pór roku, nie okazywała litości – w jednym nam tylko sprzyjała: mróz ściał brzegi i pozwolił nam wędrować tak, abyśmy zostawiali za sobą niewiele śladów.

Wszyscy byliśmy zajęci, od ranka do wieczora. Przemieszczenie szybko i cicho tak wielu ludzi wymagało wytężonej pracy.

–To niemożliwe – mruknął Tegid. – Prędzej zagnam ławicę łososi wierzbową witką!

Miał powody do wyrzekań. Lwia część czarnej roboty spoczęła na bardzie, ponieważ król nie odzywał się do nikogo z wyjątkiem Tegida, który cały czas pozostawał u jego boku. A ja byłem przydzielony Tegidowi do pomocy, więc też byłem zajęty.

Tak byłem pochłonięty swymi obowiązkami przy Tegidzie, że dopiero wieczorem trzeciego dnia dowiedziałem się, że Simon nadal żyje. Prawdę powiedziawszy, nie myślałem o nim od czasu opuszczenia Ynys Sci. Tak wiele wydarzyło się od tamtego czasu, że ledwie miałem czas pomyśleć o sobie, a co dopiero o Simonie.

Zauważyłem go w świetle księcia Meldrona. Wstrząs wywołany jego widokiem ponownie uprzytomnił mi z niezwykłą ostrością, gdzie byłem i dlaczego tu przybyłem. W tym momencie doskonale rozumiałem, co poczuł Simon tego dnia, gdy znalazł mnie na polu bitwy. Czułem się dotknięty do żywego przypomnieniem, że byłem tu obcym, człowiekiem z zewnątrz, żyjącym w nie swoim świecie.

Simon nie zauważył mnie, więc mogłem przyjrzeć się mu przez chwilę. Wszedł do drużyny księcia Meldrona, która, jak się szybko dowiedziałem, była elitarnym oddziałem – Wilczą Sforą, jak ich nazywał. Im powierzono zadanie osłaniania naszej ucieczki. Jechali na końcu naszego pochodu, by odpierać ataki ewentualnego pościgu, dlatego nie zobaczyłem go wcześniej. Simon miał zaszczyt należeć do Wilczej Sfory. Wystarczyło zobaczyć, jakie okazywano mu względy, aby się o tym przekonać.

Zmężniał jeszcze bardziej, jego atletyczna sylwetka miała więcej mięśni, głównie w ramionach i barkach. Plecy miał szerokie i silne, nogi muskularne. Przyglądałem się jego ruchom. Znać w nich było jego dawną pewność siebie i śmiałość – teraz jeszcze bardziej rozbudzone wieloma zwycięstwami, jakie osiągnął w służbie Meldryna Mawra. Był wodzem i wyglądał na wodza. Długie włosy spletał w warkocz na karku. Miał na sobie spodnie z doskonałego błękitnego płótna i jaskrawożółtą tunikę; jego płaszcz był w zielono-niebieską

szachownicę. Nie nosił torquesu, ale mógł pochwalić się czterema szerokimi, złotymi bransoletami na ramionach i złotymi pierścieniami na palcach obu rąk.

Ucieszyłem się z tego, że żył i miał się dobrze, choć poprzednio byłem niemile wstrząśnięty jego widokiem – pomimo wszystkich zmian, jakie w nim zaszły podczas naszej rozłąki. Nie był już pogodnym młodzieńcem, jakiego znałem, ale celtyckim wojownikiem w każdym calu. Mógłby to samo powiedzieć o mnie, gdyż ja przeszedłem podobną transformację.

Skończyłem mu się przyglądać i podszedłem blisko. Siedział na rudej cielęcej skórze przy małym ognisku, które otaczało także trzech innych wojowników.

–Simon?

Na dźwięk swego imienia obrócił szybko głowę. Przez chwilę przypatrywał mi się badawczo.

–Lewis!

–A więc jednak mnie pamiętasz!

Staął przede mną, ale nie uściśnął mego ramienia w geście powitania.

–Dobrze cię widzieć, przyjacielu. Słyszałem o twoim powrocie. – Choć ton jego głosu był przyjacielski, wyczułem zimną rezerwę w tym powitaniu i zrozumiałem, że wcale nie cieszył się na mój widok. – Miałem zamiar cię odszukać.

Kłamał, ale puściłem to mimo uszu.

–Dobrze wyglądasz, Simon.

Przekrzywił głowę na bok, jakby usiłował zdecydować, co ze mną począć, po czym roześmiał się cicho.

–Wydaje się, że to już całe wieki, odkąd widziałem cię po raz ostatni – powiedział. – Jak było na wyspie? Słyszałem, że Scatha ma bardzo miłe córki. – Simon ponownie się roześmiał. Jego koledzy też uśmiechali się znacząco i poszturchiwali się.

–To prawda – odparłem. – A jak tobie się wiodło, Simon? Widzę, że wrastasz w ten świat.

Twarz nagle mu spochmurniała i wbił we mnie na chwilę spojrzenie.

–Jestem teraz Siawn Hy – odparł przyciszonym głosem, a w jego oczach znać było dumę i lekceważenie. Zaciśnął szczęki. Patrzyłem w twarz człowieka, którego kiedyś dobrze znałem, a teraz nie znałem wcale. Zmienił się – nie tylko z imienia. – Zdaje się, że ty też sobie dobrze poradziłeś.

–Jeszcze żyję.

Simon chętnie przyjął to wyjaśnienie.

–Zawsze mnie zaskakiwałeś.

–Wszyscy zostaliśmy ostatnio kilka razy zaskoczeni – powiedziałem. – Nie miałem zamiaru ci przeszkadzać.

Napięcie opuściło go i stał się przesadnie ugrzeczniony.

–Ależ nie ma sprawy – powiedział głośno. – Wcale mi nie przeszkadzasz. Absolutnie! – Skierował te słowa bardziej do swych towarzyszy niż do mnie. – Usiądź tu z nami; ogrzej się przy naszym ogniu. Zawsze chętnie witamy braci po mieczu.

Pozostali wojownicy gorąco go poparli rozsuwając się, aby zrobić mi miejsce. Usiadłem pomiędzy nimi, natychmiast czując się częścią ich wspólnoty. Dziwiłem się, że tak szybko mnie zaakceptowali, ale uświadomiłem sobie, że pewnie musieli mnie widzieć z Tegidem i królem i snuli domysły na temat mojej wysokiej pozycji.

–Mówią, że byłeś z Ollathirem, gdy umierał – odezwał się wojownik siedzący po przeciwnej stronie ogniska. To była przyjęta forma zasięgania informacji: pośrednie oznajmienie faktów, zwykle przypisane komuś innemu.

–Byłem – odparłem zwięźle. Nie miałem ochoty mówić cokolwiek na ten temat.

–To był wielki bard – włączył się wojownik siedzący obok Simona. – Król pośród swoich. Będzie nam bardzo brakować jego rad.

–To prawda – powiedział inny. – Gdyby tu był, Sycharth by nie padło.

Czułem smutek wojowników; nie był większy od mego, ale przerażenie zniszczeniami nadal było w nich żywe i z trudem przychodziło im wyobrazić sobie ogrom poniesionych strat.

–Powiadają, że ty z Tegidem zapaliłeś stos – zwrócił się do mnie jeden z nich. – Czy byliście tam, gdy przybył niszczyciel? Czy widzieliście go?

W pytaniu tym kryła się delikatna aluzja do tego, że powinniśmy z Tegidem zrobić coś dla uratowania warowni.

–Nie – powiedziałem. – Podobnie jak wy, przybyliśmy po wszystkim. Ale skoro o tym mówimy, dlaczego to wy nie broniliście swych krewnych?

Tym pytaniem obudziłem świeży żal. Ich twarze powlekły się bólem, utkwili w ognisku posępne spojrzenia. Jeden z nich, wojownik imieniem Aedd, przemówił w imieniu wszystkich.

–Z radością po tysiącokroć oddałbym życie, by uratować choćby jednego ze swych krewnych.

Nie mogłem zdjąć z nich ciężaru tego smutku, ale mogłem nieco złagodzić ich ból.

–To nie miałoby znaczenia – powiedziałem. – Widziałem wroga i powiem wam szczerze – zamordowano by was razem z innymi.

–Kim on jest? – Chcieli wiedzieć, ogarnięci nagłym gniewem. Poderwali się na nogi, jakby chcieli chwycić za broń i natychmiast rzucić się na wroga. – Kto to zrobił?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, odezwał się Simon.

–Siadajcie! – rozkazał. – Widzieliście ker Dyffryn, Yscaw i Dinas Galan. Nic nie moglibyśmy zrobić.

–Być może – odparł Aedd, siadając wolno. – Ale wojownik, który zawiedzie w obronie swych krewnych, jest gorszy od tchórza. Byłoby lepiej, gdybyśmy zginęli z naszym klanem.

–Wasza obecność tam nie miałaby najmniejszego znaczenia – powtórzyłem z całym przekonaniem, na jakie mogłem się zdobyć. – Niepotrzebna śmierć nie jest cnotą.

–Dobrze powiedziane – zgodził się szybko Simon. – Martwi na nic się nie zdamy. Ale żywi mamy szansę pomścić naszych krewnych.

Wszyscy przytaknęli z ochotą i przysięgli, że zabiją tylu wrogów, ile to będzie możliwe, gdy nadejdzie dzień zapłaty. Nadal nie pojmowali beznadziejności naszego położenia. Nie miałem sumienia wyprowadzać ich z błędu; wystarczająco szybko poznają prawdę.

Wojownicy przyjęli niewielką pociechę, jaką im oferowałem.

–Dług krwi, który mamy do spłacenia, jest istotnie ogromny – zauważył Aedd. – Pomimo to wstyd mi, że nie byłem z mymi braćmi w godzinie ich cierpień.

–Temu właśnie chcieliśmy zapobiec – przypomniał mu Simon.

–Gdy przybyliśmy z Tegidem do keru – powiedziałem, wracając do mego pytania – myśleliśmy, że jesteście martwi. Nie mieliśmy pojęcia, co mogłoby was wyciągnąć z warowni.

–Pojechaliśmy na wezwanie – odparł Aedd i począł wyjaśniać, jak to dotarła do nich wieść o najeździe z południowo-zachodniego wybrzeża. Chcąc uprzędzić atak, król poderwał swych wojowników i opuścił ker. – Odjechaliśmy daleko, ale nie wypatrzyliśmy śladu najazdu, i po wielu dniach, przy pogarszającej się pogodzie, zawróciliśmy.

–Gdy ujrzeliśmy sygnalizacyjny ogień, pomyśleliśmy... – Aedd urwał nagle, nie mając

ochoty mówić dalej.

W uszach smutno pobrzmiwał nam cichy trzask płonących gałązek i poszept zrywającego się wiatru. Po chwili Simon powiedział:

–Posłuchajcie mnie, bracia. Dług krwi zostanie splacony. Pomścimy naszych zmarłych. Wróg zostanie starty na proch pod naszymi stopami.

Pomimo odważnych słów Simona smutek wojowników był zbyt wielki, aby łatwo dał się odsunąć na bok. Z czasem te zuchwałe słowa ponownie wzniecą iskierkę ich męstwa; pozostaną z odwagą w sercach. Ale nie teraz, nie tej nocy. Tej nocy i przez wiele następnych ich dusze przepęlniać będzie żal po stracie, a serca będą ciężkie od żałoby.

Pozostawiłem ich własnemu smutkowi i wróciłem na swe miejsce przy Tegidzie i królu. Był tam także książę Meldron, który bezskutecznie usiłował wydusić ze swego ojca choćby słowo wyjaśnienia. W końcu poddał się wobec upartego milczenia króla i odszedł wzburzony mówiąc:

–Ty z nim porozmawiaj, Tegid. Może cię wysłucha. Powiedz memu ojcu, że tym sposobem nie dotrzemy do Findargad. To zbyt daleko i jest zbyt zimno. Przełęcz wysoko w górach będą pełne śniegu. Stracimy połowę naszych ludzi, nim ujrzymy wieże. Powiedz mu to, Tegid.

–Już mu mówiłem – mruknął Tegid, gdy Meldron odszedł. – Nie chce słuchać.

–Czy to naprawdę tak niebezpieczne? – zapytałem.

Tegid powoli kiwnął głową.

–Góry Cethness są wysokie, a wichry sollen mroźne. Książę mówił prawdę, wielu zginie, nim dotrzemy do warowni.

–Czemu zatem tam idziemy?

–Nic innego nam nie pozostaje – odparł posępnie Tegid. – Tak rozkazał król.

Wiedziałem, jak się sprawy miały, więc nie zwracałem sobie głowy zadawaniem najoczywistszych, najbardziej niepokojących pytań. Skoro potężna Sycharth nie potrafiła ochronić swych mieszkańców, to dlaczego wierzyć, że kamienne mury Findargad spiszą się lepiej? Na cóż zdadzą się miecze i włócznie przeciwko wrogowi, który nie czuje bólu ani nie umiera?

Mogliśmy równie dobrze, jak sugerował Tegid, zostać w Sycharth i oszczędzić sobie trudów i zmartwień wędrowki w górskim chłódzie, gdyż groby są bardzo do siebie podobne, a gdy przyjdzie po nas Pan Nudd, nie powstrzymamy go, bez względu na to, gdzie będziemy.

A jednak... a jednak na krawędzi mej świadomości tańczył nieuchwytny promyk nadziei, niczym świetlik unoszący się tuż w zasięgu ręki. Pojawiał się, a w następnej chwili go nie było. Usiłowałem go pochwycić, znikał; stałem bez ruchu, przysuwał się bliżej. Ale choćbym nie wiem jak się starał, był nieuchwytny.

Wiedziałem jednak, że nie spocznę, dopóki nie pochwycę tej nadziei, choćby nie wiem jak małej. Tej nocy nie zasnąłem w miłym ciepłe królewskiego ogniska. Oddaliłem się samotnie do pobliskiego zagajnika i czuwałem czekając, aż znajdę odpowiedź. Stałem przez całą noc, otulony płaszczem, opierając się od czasu do czasu o jedną z olch, wsłuchując się w szelest gałęzi, poruszanych zimnym wietrzykiem, pod pojawiającymi się powoli na czarnym, zimowym niebie jaskrawymi gwiazdami. Czekałem całą noc. Księżyc począł niknąć za wzgórzami, a ja nie zbliżyłem się nawet o krok do celu.

Wtem, gdy posępny jeszcze, szarozielony świt począł unosić na wschodzie kurtynę nocy, nieuchwytna, poszukiwana przeze mnie zdobycz przysunęła się bliżej. Pojawiła się wątła i krucha w formie pytania: Jeśli Pan Nudd był tak potężny, to dlaczego wywabił króla z jego warowni, nim obrócił ją w perzynę?

Coranyid nie zaatakowali Sycharth i innych osad w królestwie, dopóki król przebywał w swej warowni. Do zniszczeń doszło dopiero po podstępnym odciągnięciu Meldryna. Wyglądało mi na to, że jakaś moc zapobiegała okrutnemu atakowi Pana Nudda, dopóki król pozostawał ze swym ludem. Pomimo całych straszliwych zniszczeń dokonanych przez Coranyid, unicestwienie nie było całkowite. I nawet teraz można było go w jakiś sposób uniknąć. Ale jak?

Gdy pierwsze słabe promyki dziennego światła poczęły rozsiewać na niebie mdłą poświatę, ponownie usłyszałem głos banfaith, wyraźny i silny, jakby znowu była tuż przede mną:

Nim będzie można pokonać Cythrawla, trzeba przywrócić życie Pieśni.

Czy to była nadzieja, której poszukiwałem? Nie wyglądało na to, ponieważ powiedziała również: Nikt nie zna Pieśni z wyjątkiem samego Phantarcha. Jak można przywrócić życie Pieśni Albionu, skoro nikt, poza Phantarchem, nie zna Pieśni, a Phantarch nie żyje?

To była pozbawiona sensu zagadka.

Męczyłem się nad nią przez cały mglisty dzień i długie godziny mroźnej nocy, gdy siedzieliśmy skuleni w płaszczach przed wątłym ogniem. Ale moje myśli wciąż wracały do tego samego punktu i nie potrafiłem się dopatrzeć w tej zagadce żadnego sensu.

–Tegid – odezwałem się cicho – wiele myślałem. – Twrch spał u moich nóg, król odpoczywał w pobliżu na białej skórze wołu. Tegid siedział obok mnie. Wpatrywał się w migotliwe płomyki i dumiał w milczeniu.

Bard mruknął coś, ale nadal był zamyślony.

–Gdzie jest Phantarch?

–Po co znowu o tym mówić? – burknął. – Phantarch nie żyje.

–Wysłuchaj mnie – nalegałem. – Zastanawiałem się nad tym i nie mówię jedynie po to, aby nacieszyć się dźwiękiem swego głosu.

–Dobrze, w takim razie mów – ustąpił.

–Banfaith powiedziała mi wiele rzeczy – zacząłem, ale szybko mi przerwano.

–O tak, banfaith powiedziała ci o wielu rzeczach. Ale mnie powiedziałaś niewiele – zauważył posępnie. – Czyżbyś teraz postanowił podzielić się ze mną swymi skarbami?

Słowa banfaith nadal stanowiły dla mnie tajemnicę, nadal się ich lękałem i tego, co mogły znaczyć. W miarę jednak jak mijały dni i beznadziejność naszego położenia stawała się coraz bardziej oczywista, przestałem się tak sobą martwić. To nie był czas na samolubne tajemnice. Tegid był naczelnym bardem; należało powiedzieć mu o tym, co wiedziałem. On mógłby dopatrzeć się w tym jakiegoś sensu.

–Słusznie mnie ganisz, Tegidzie – powiedziałem. – Powiem ci wszystko. – I tak zacząłem relacjonować mu to, co prorokini powiedziała mi odnośnie do Phantarcha i Pieśni Albionu – początkowo niechętnie, ale potem z coraz większą ochotą, w miarę jak słowa odnajdywały drogę i wysypywały się. Opisałem proroctwo, najlepiej jak pamiętałem. Powiedziałem mu o zniszczeniach, które mają przynieść nadchodzące dni i o poszukiwaniu zwycięzcy. Powiedziałem mu o Llewie Srebrnorękim, Odlocie Kruków i Bohaterskim Czynie pod koniec Wielkiego Roku oraz o wszystkim, co mogłem sobie przypomnieć z przepowiedni banfaith. Gdy skończyłem, Tegid nie podniósł głowy, ale siedział, wpatrując się markotnie w ogień.

–Wydaje mi się, że pomimo tych złowieszczych przepowiedni jest jeszcze pewna nadzieja.

Ale to, co powiedziałem, nie przyniosło Tegidowi pocieszenia. Pokręcił wolno głową i powiedział:

–Mylisz się. Nawet jeśli była jakaś, teraz już jej nie ma. Cythrawl jest zbyt silny; Pan Nudd zrobił się zbyt potężny.

–W takim razie po co w ogóle są przepowiednie? Tegid jedynie pokręcił głową.

–Nie pojmuję cię, Tegid. Marudziłeś, ponieważ nie chciałem ci opowiedzieć o przepowiedni banfaith, a gdy ci powiedziałem, potrafisz tylko narzekać, że uczyniłem to zbyt późno. Nim będzie można pokonać Cythrawl, Pieśń musi zostać przywrócona do życia – tak powiedziała. Wydaje mi się, że musimy znaleźć Phantarcha.

–Phantarch umarł, jak dobrze wiesz.

–I Pieśń razem z nim?

–Oczywiście, Pieśń umarła razem z nim. Jakże mogłoby być inaczej? Phantarch jest instrumentem Pieśni – nie ma Pieśni bez Phantarcha.

–Ale gdzie on jest?

–To ty masz awen Ollathira – warknął – nie ja.

–Co to oznacza? – Bard odburknął coś pod nosem i chciał odejść, ale zatrzymałem go. – Proszę, Tegid, usiłuję to wszystko zrozumieć. Gdzie jest Phantarch?

–Nie wiem – odparł i wyjaśnił, że dla ochrony Pieśni komora Phantarcha została ukryta, jej położenie było utrzymywane w tajemnicy. – Jedyne penderwydd wie, gdzie kryje się Phantarch. Ollathir wiedział, ale Ollathir nie żyje.

–I umarł, nim zdążył przekazać ci tajemnicę?

–Tak! Tak! – Tegid wstał i uniósł nad głową zaciśnięte pięści. – Tak, Llyd! W końcu pojąłeś tę ważną prawdę: Phantarch jest martwy; Ollathir jest martwy; Pieśń jest martwa; i wkrótce my też będziemy martwi. – Król poruszył się niespokojnie. Tegid spostrzegł, że jego wybuch zakłócił sen króla i opuścił pięści.

Cóż za okrutny podstęp, jaką bezlitosną pułapką jest to proroctwo. Poczułem, jak krucha nadzieja, której się tak delikatnie trzymałem, zaczyna się rozwiewać. Nie będzie obrony przed Cythrawlem bez Pieśni i nie będzie Pieśni bez Phantarcha. Ale Phantarch był martwy, a żeby było jeszcze gorzej, jedyna osoba, która wiedziała, gdzie go znaleźć, też była martwa.

–Powiedz mi teraz, że nadal jest dla nas nadzieja – rzekł Tegid zduszonym szeptem. Bojowy duch opuścił go i znowu skulił się przy ognisku.

–Król żyje – odparłem. – Jakże może nie być dla nas nadziei, skoro król żyje? Ty żyjesz, ja również. Rozejrzyj się – jest nas tu setki i jesteśmy gotowi znowu walczyć. Dlaczego Pan Nudd nie był w stanie zabić naszego króla? Dlaczego atakował jedynie bezbronne wioski?

W miarę jak mówiłem, począłem nabierać przekonania, że nadal było coś lub ktoś, co powstrzymało Nudda przed ostatecznym zwycięstwem.

–Posłuchaj, Tegid, gdybym był tak potężny, jak według ciebie jest Nudd, to najpierw zabiłbym króla i królestwo byłoby moje. Dlaczego on tak nie postąpił?

–Nie wiem! Zapytaj go... zapytaj Nudda przy następnym spotkaniu!

–Coranyid zaatakowały dopiero, gdy usunięto króla – dlaczego?

–Skąd mogę wiedzieć! Być może Nudd pragnie przedłużyć sobie przyjemność widokiem naszej daremnej ucieczki.

–Żyjemy jedynie dla przyjemności Pana Nudda? Nie wierzę.

–Uwierz! Żyjemy dla przyjemności Pana Nudda. A gdy będzie mu się podobało zabić nas, zabije – tak jak zabił wszystkich innych.

–A naszemu królowi podoba się umrzeć w Findargad? – zaatakowałem.

–Tak właśnie jest! Królowi podoba się umrzeć w Findargad, a ja służę królowi.

To były ostatnie słowa Tegida. Gdy tej nocy leżałem bezsennie przy ognisku, na duchu podtrzymywało mnie tych kilka słów banfaith: *Szczęśliwy będzie Caledon; Stada Kruków zgromadzą się w jego cienistych dolinach, a pieśń kruków będzie jego pieśnią.*

A gdy wpatrywałem się w migotliwe płomyki, ujrzałem obraz okolony czerwoną i złotą poświatą żarzących się węgli: ujrzałem zielony, dębowy zagajnik, a pod rozłożystymi gałęziami z kępkami liści trawiasty pagórek. Na tym pagórku stał tron z jelenich rogów, przykryty skórą białego wołu. Na oparciu tronu usadowił się ogromny kruk, czarny niczym bezksiężycowa noc, z rozłożonymi skrzydłami i otwartym dziobem, wypełniając cichy zagajnik przejmującą, surową, a jednak dziwnie piękną pieśnią.

28. Polowanie

ora lodu, jakby rozwścieczona naszą ucieczką, goniła za nami przez doliny i nadrzeczne szlaki, wypełniając świat swym zgłodniałym rykiem. Sollen stała się wrogiem, z którym trzeba było walczyć, przeciwnikiem coraz bardziej urastającym w siłę, podczas gdy my powoli słabliśmy. Pomimo to wędrowaliśmy dalej. Nim dotarliśmy do podnóży wysokich szczytów, wszyscy byliśmy zgodni w jednym: tego roku nadejście sollen było najgorsze ze wszystkich, jakie pamiętano, z powodu wichru, deszczu, śniegu i nieznośnego, kłującego zimna. Nie było dnia, by z nieba nie sypało śniegiem; wichry wyły i szalały od świtu do zmierzchu; strumienie i rzeki skuł lód. Wokół nas coraz wyżej piętrzył się śnieg. Posuwaliśmy się tak wolno, jakbyśmy pełzli.

Naszą obsesją stało się znajdowanie wystarczającej ilości gałęzi na obozowe ogniska. Często zatrzymywaliśmy się grubo przed nadejściem nocy – czasami nawet nim minęło południe – aby zebrać dość drewna na przetrzymanie nocy. Cały nadmiar zabieraliśmy z sobą. Jedzenia było jeszcze pod dostatkiem, ale jedynie dlatego, że zmniejszyliśmy racje. Jedliśmy śnieg przy każdym postoju na szlaku, aby wypełnić nasze puste brzuchy. Wojownicy szli, oddali swe konie dzieciom i matkom z niemowlętami, które grzęzły w śniegu. Okręcaliśmy koniom – i sobie – nogi szmatami i skórami, aby uniknąć odmrożeń i szliśmy po dwóch z każdego końskiego boku, żeby nikt nie mógł przewrócić się niezauważony.

Niosłem Twrcha pod płaszczem – śnieg był dla niego za głęboki – i niejedną raz błogosławiłem ciepło jego małego, kosmatego ciała. Karmiłem go ze swych racji, bądź dostawałem dla niego skrawki z mięsa dla innych psów. W nocy spał przy mnie i grzaliśmy się nawzajem.

–Nigdy jeszcze tak nie przemarzłem – zauważyłem pewnego dnia, gdy zatrzymaliśmy się, aby wyrąbać w lodzie skuwającym rzekę przeręble dla napojenia zwierząt.

–Oszczędzaj ciepło swego oddechu – powiedział z goryczą w głosie Tegid. – Najgorsze jeszcze przed nami.

–Najgorsze tylko straci na mnie czas, bracie – odparłem, mając nadzieję poprawić trochę jego nastrój. – Jestem drętwy od stóp do głów – nie czuję różnicy.

Tegid wzruszył ramionami i dalej rąbał gruby lód. Gdy zrobiliśmy w nim wystarczająco duży otwór, oczyściłem go rękoma z odłamków. Przez moment poczułem w dłoniach ciepło za sprawą wody, potem jednak ponownie straciłem czucie. Przyprawiliśmy do przerębli nasze konie.

–Jak daleko jeszcze, Tegidzie? – zapytałem, gdy zwierzęta piły. – Ile jeszcze czeka nas dni na szlaku, nim dotrzemy do warowni?

–Nie potrafię powiedzieć.

–Musisz mieć jakieś pojęcie.

Bard pokręcił posępnie głową.

–Najmniejszego. Nigdy nie podróżowałem w śniegu. Zwolniliśmy tempo, choć poprzednie wcale nie było szybkie. A będziemy posuwać się jeszcze wolniej, gdy zaczniemy opadać z sił na wysokich przełęczach.

–Może wkrótce się wypogodzi – zauważyłem. – Pomogłoby nam nawet kilka pogodnych dni.

Tegid rzucił okiem na niebo – ciemne od wielu dni, pokryte grubą warstwą szarych, ciężkich od śniegu chmur.

–Nie – powiedział. – Myślę, że nic takiego się nie zdarzy. Prawdę powiedziawszy, zaczynam się obawiać, że pora śniegu będzie trwać, dopóki nie pokonamy Pana Nudda.

–Czy to możliwe? – Myśl o niekończącej się zimie wydawałaby się nedorzeczna, gdyby... gdyby nie piętrzące się wokół nas, z każdym dniem wyżej, dowody potwierdzające jej obecność.

–Wielkie zło zostało wypuszczone na wolność w Albionie – odpowiedział poważnym głosem bard. – Wszystko jest możliwe.

Choć niechętnie to przyznawałem, wiedziałem w duchu, że mówił prawdę. Pan Nudd i jego Horda Demonów opanowali Albion, a nienawiść zimnego serca Nudda zalewała teraz kraj – wyjąc w okrutnym, przeszywającym wichrze i szalejąc w kłującym mrozie i oślepiającym śniegu.

–Czy komuś o tym mówiłeś?

Tegid krzątał się przy koniach, ale nie odpowiedział.

–Powinieneś powiedzieć przynajmniej królowi.

–Myślisz, że o tym jeszcze nie wie?

Po napojeniu koni ruszyliśmy dalej, ale ciężko nam było na duszy na myśl o tym, co nas czekało. Tempo marszu zwalniało się w miarę pogarszających się warunków – choć wstawaliśmy wcześniej, byliśmy zmuszeni częściej odpoczywać, więc nic nam to nie dawało. Jednakże nie wszystko było nam przeciwne. Wzgórza zaczęły się robić bardziej poszarpane i skaliste, a wówczas rzadkie zarośla porastające górzyste pustkowia ustąpiły miejsca lasowi. Mogliśmy teraz znaleźć tyle drewna, ile nam było trzeba, i po raz pierwszy od czasu opuszczenia ruin Sycharth było nam przynajmniej ciepło w nocy.

W lesie schroniła się też zwierzyna, która uciekła z nizin. Zaczęliśmy natykać się na jej ślady. Czasami pomiędzy drzewami mignęła szara plama przemykającego chyłkiem wilka. Książę Meldron utworzył grupę myśliwych i sam objął jej przywództwo. Początkowo myśliwym szczęście nie dopisywało. Ale w miarę jak las gęstniał i przybywało zwierzyny, wysiłki księcia zaczęły przynosić rezultaty. Coraz częściej dla zapełnienia naszych żołądków mieliśmy pieczone mięso dzikich świń i jeleni.

Pewnego dnia, gdy zabraliśmy się za rozbijanie obozu, mała grupka myśliwych wyruszyła w poszukiwaniu zwierzyny. Nie minęło wiele czasu, gdy jeden z nich przyjechał z powrotem.

–Pospieszcie się! – krzyknął. – Sześciu wojowników ma pojechać ze mną!

–O co chodzi? Co się stało? – dopytywał się Tegid.

–Znaleźliśmy tury – wyjaśnił myśliwy. – Książę przysłał mnie po jeszcze sześciu ludzi.

–Pojadę – zaproponowałem, czując dziwne podniecenie, obudzone dawnym wspomnieniem. Tury...

–Wybierz jeszcze pięciu – powiedział do jeźdźca Tegid. – Ja zostanę z królem.

Nie brakowało ochotników, po chwili dosiedliśmy koni i pognaliśmy za naszym przewodnikiem. Jechaliśmy śladem myśliwych w głąb lasu. Z powodu drzew nie leżał tu zbyt głęboki śnieg, więc mogliśmy posuwać się z dobrą prędkością. Wkrótce dołączyliśmy do księcia i jego drużyny: czterech towarzyszy – wśród nich Simona i Paladyra – i trzech psów.

–Tu natrafiliśmy na ślad – powiedział książę Meldron, wskazując na śnieg końcem swej włóczni.

Po ogromnym śladach poznałem, że musiało je zostawić wielkie i ciężkie zwierzę. Obok pierwszego tropu był drugi, nieco mniejszy. Dwa zwierzęta. Spojrzałem w kierunku wskazanym przez ślady, ale trop zakręcał i ginął w lesie.

–Ślady są świeże – zauważył książę. – Bestie muszą być niedaleko nas. Spuścimy psy. Przygotujcie włócznie. – Zawrócił konia i krzyknął: – Spuścić psy!

Trzy psy spuszczone ze smyczy – jedyne, jakie zostały ze sfory myśliwskich psów króla – pognały za tropem. Popędziliśmy w ślad za nimi nasze konie. Zimny wiatr bił nam w ręce i twarze, a końskie kopyta wzbijały tumany śniegu. Pędziliśmy z opuszczonymi włóczniami, chłostani mroźnym powietrzem.

Wąska przesieka skręcała, by tuż za zakrętem skończyć się na skalistym występie. Z ziemi sterczało rumowisko porośniętych mchem płyt, formując zębatą ścianę na szczycie małego wzgóрка. A przed tą szarzieloną ścianą stały dwa tury, ogromne zwierzęta, jeden dorosły i jeden młody – krowa i jej cielę, jak się domyśliłem – wyczerpane, sądząc z wyglądu.

Mniejsze zwierzę było młodym byczkiem, czarnym, ogromnym, lśniącym. Jego potężny garb wznosił się niczym ciemny wzgórek ponad szeroką równiną jego grzbietu. Jego matka była jeszcze większa – masywna góra mięsa, skóry, kopyt i rogów. Oddzielone od swego stada zwierzęta osłabły z głodu i pragnienia. Zapędziły się w tę przesiekę, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ogromnym zwierzętom zagrażało niewiele drapieżników; rzadko atakowano tych panów puszczy – nawet wilki napadały jedynie stare lub słabe zwierzęta.

Na widok zwierzyny psy poczęły ujadać. Ich przeciągłe, wibrujące szczekanie przeszło powietrze i rozbrzmiało echem pomiędzy drzewami. Na pierwszy dźwięk tury chciały rzucić się do ucieczki, ale zobaczyły, że są uwięzione pomiędzy ścianą gęsto rosnących sosen i gąszczem tarniny po obu stronach. Psy pędziły wprost na nie. Większy z turów pokłusował do przodu, po czym zatrzymał się i zaparł się wyprostowanymi nogami w oczekiwaniu na napastników. Byczek został za matką, chwilowo bezpieczny.

Na Ynys Sci brałem udział w wielu polowaniach, ale nigdy nie polowałem na tury. Prawdę powiedziawszy, nigdy przedtem nie widziałem żywego żadnego z tych tajemniczych zwierząt. Spoglądając na nie teraz, nawet z tej odległości, podziwiałem ich wielkość. Gdy

zbliżyliśmy się jeszcze bardziej, nasze konie wydały się przy nich małymi, śmiesznie delikatnymi zwierzętami – bardziej podobne do jeleni niż do wierzchowców wojowników.

Myślałem, że bestia nas zaatakuje. Ale ona trwała w bezruchu, na wyprostowanych nogach i z pochylonym łbem. Szeroko rozstawione rogi, ostre niczym włócznie i mocne jak z żelaza, wycelowane były w nas. Jeden błędny ruch i koń wraz z jeźdźcem nadzieje się na nie; ta wdzięcznie wygięta broń rozprułaby koniowi brzuch lub przeszła niczym strzała ciało człowieka. Jeden błąd i pechowy myśliwy nie popełni już w życiu następnego.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, myśliwi pędzili, krzycząc co tchu w płucach. Niczym zawzięte orły runęliśmy ku swej zdobyczy. Tury stały jak masywne, czarne głazy na naszej drodze, czekając z kamienną cierpliwością. Nie drgnął im nawet jeden mięsień, nie zdrząło nozdrze. Najprawdopodobniej nigdy nie były atakowane i nawet teraz nie wyczuwały pędzącego ku nim niebezpieczeństwa.

Nasze konie były coraz bliżej. Psy ujadły z nisko opuszczonymi karkami i wyszczerzonymi zębami. Pierwsi jeźdźcy byli już niemal w zasięgu rzutu. Pomimo to krowa nie ruszała się. O wiele lepiej byłoby, gdyby zwierzę przestraszyło się, odwróciło i uciekło – wówczas z łatwością można by je zajechać od tyłu. Szybkie pchnięcie włócznią w grzbiet za łopatką, prosto w serce, i po polowaniu. Czysto i szybko.

Ale tury nie poddawały się łatwo ani nie wycofywały. Bestia nie ruszała się z miejsca, zmuszając napastników do krążenia w pobliżu. Tak mała odległość zwielokrotniała szansę na fałszywy ruch.

Psy pierwsze dopadły krowy. Większość zwierząt uległaby przerażeniu na dźwięk ujadania żadnej krwi sfory, większość ofiar wpadłaby w nieuchronną panikę. Ale nie tury. Czarna bestia jedynie opuściła niżej łeb, osłaniając szyję. Psy poczęły krążyć wokół niej, szczekały i warczały, szalone z wściekłości i niepokoju, jednakże trzymały się cały czas poza zasięgiem długich, śmiercionośnych rogów.

Zatrzymaliśmy się w pewnej odległości, aby rozeznac się w sytuacji.

–Rozdzielimy zwierzęta – powiedział książę. – Wy czterej odwróćcie uwagę krowy – wskazał na Simona i trzech innych – reszta za mną. Najpierw zajmiemy się byczkiem.

Myśliwi woleli małe tury, ale w tej sytuacji większe zwierzę było bardziej pożądane, gdyż można było nakarmić nim o wiele więcej ludzi. Książę uznał, że łatwiej będzie zabić krowę, gdy nie będzie musiała już bronić swego cielaka. Początkowo wyglądało na to, że plan się powiedzie.

Stało się jednak tak, że to tych siedmiu, którzy mieli zająć się cielakiem, musiało sprostać trudniejszemu zadaniu. Zdawało się, że zwierzęta wrosły w ziemię lub przymarzły do niej, gdyż żadne z nich nawet nie uniosło kopyta. Pomimo to Simon ze swoją grupą ruszył do pracy. Wymachując rękoma i krzycząc, odskakując i udając atak, usiłowali odciągnąć

samicę tura.

W tym czasie pozostali myśliwi dołączyli do księcia Meldrona i uformowali duże koło, jeżdżąc wokół byczka i wyczekując okazji do ataku. Rzut oka na ten ogromny, muskularny grzbiet i masywny kark pozwolił mi zrozumieć, że zabić go może jedynie głębokie, zadane prosto w serce pchnięcie włócznią, choć miałem wątpliwości, czy powaliłaby go jedna włócznia.

Byczek spoglądał na nas pogodnie swymi spokojnymi, niebieskimi oczyma, kiwając ogromnym łbem z boku na bok. Przy każdym ruchu jego rogi zataczały śmiercionośny łuk, co tylko głupiec by zlekceważył. A tego dnia nie było pośród nas głupców.

Książę i jego ludzie polowali już poprzednio na tury. Krążyli wokół bestii dostatecznie długo, aby ich ruchy nabrały rytmiczności, wówczas książę, który trzymał w górze swą włócznię, opuścił jej ostrze i zawrócił konia ku turowi, zajeżdżając go ukośnie od tyłu.

Ci z nas, którzy byli naprzeciwko księcia, poczęli krzyczeć na zwierzę. Ostrze włóczni błyskało coraz bliżej celu. Książę pochylił się do przodu, aby całym ciężarem konia i jeźdźca spowodować jak najgłębsze zatopienie włóczni.

Jednakże w chwili, gdy książę sprężył się do zadania ciosu, byczek odwrócił się, unosząc w ostatnim momencie łeb. Gdybym tego nie widział, nie dałbym wiary, że tak wielkie zwierzę potrafi tak szybko się poruszać.

W następnej chwili byczek podrzucił wielki, czarny łeb i jego szeroko rozstawione rogi trafiły książęcego wierzchowca tuż za lewą przednią nogą. Szybko i bez wysiłku zahaczył konia rogiem.

W tej samej chwili książę zadał pewny cios, wbijając koniec włóczni głęboko w grzbiet zwierzęcia. Chcąc odwrócić uwagę byczka, ja także cisnąłem, jak mogłem najmocniej swą włócznią. Jej ostrze ześliznęło się jednak niegroźnie po garbie tura, nie zadając mu poważniejszej rany. Ale tur obrócił się ku mnie, tym samym uwalniając księcia. Meldron zeskoczył ze swego wierzchowca w chwili, gdy zwierzę opadło na zadnie nogi.

Moja akcja oszczędziła księciu przykrej rany lub czegoś gorszego. Ale teraz nie miałem broni, a książę był bez konia. Dalej zataczałem koło wokół turów. Zawołałem na Meldrona. Gdy dojechałem do niego, wyciągnąłem rękę, książę pochwycił ją i wskoczył za mną na siodło.

Tymczasem psy, widząc zadarty łeb zwierza, skoczyły do ataku. Jednemu z nich udało się zbliżyć na tyle, aby zatopić kły w miękkiej skórze podgardla. Pies wgryzł się głęboko i trzymał. Tur opuścił swe potężne szczęki, pochwycił w nie łeb i pierś psa. Potem po prostu klęknął i rozgniół go.

Dwa pozostałe psy poczuły krew i rzuciły się na tury. Byczek odwrócił się, aby odeprzeć atak rogami i trafił jednego z nich, przesywając mu kark i unosząc go wysoko w górę. Bezradny pies skamlał okropnie i rzucał się, próbując się oswobodzić, ale jedynie nadziewał się głębiej na gładki róg. Tur potrząsnął łbem, aby uwolnić się od psa.

Myśliwi dostrzegli w tym swą szansę i skorzystali z niej. Trzech jeźdźców zawróciło jak na komendę i trzy włócznie śmignęły w powietrzu. Dwie trafiły w kark, a trzecia wbiła się głęboko w wydęty bok pomiędzy dwoma ogromnymi żebrami.

Podjechali dwaj ostami jeźdźcy i kolejne dwie włócznie utkwili w odsłoniętej szyi; jedna z nich przecięła tętnicę. Krew trysnęła fontanną i popłynęła z ogromnych nozdrzy i pyska bestii, parując w zimnym powietrzu.

Tur padł na kolana w śnieg i jeden z myśliwych rzucił się do niego. W jednej chwili skoczył z siodła, wyciągnął włócznię z boku zwierzęcia i wbił ją ponownie w podstawę czaszki tuż za rogami. Byczek zeszywniał, a potem przewrócił się na bok. Był martwy, nim jego ciałem przestały wstrząsać dreszcze.

Zatrzymaliśmy się na chwilę – na tyle długo, aby odzyskać nasze włócznie i aby książę mógł dosiąść innego konia potem zawróciliśmy, chcąc dołączyć do ataku na większego tura. Ale krowa musiała wiedzieć, co stało się z jej cielęciem, gdyż wyrwała się spomiędzy krążących wokół niej wojowników i rzuciła się ku nam. Żaden z nas nie był przygotowany na odparcie ataku i wszyscy rozproszyliśmy się, schodząc jej z drogi. To otworzyło dzikiej bestii drogę ucieczki.

Krowa pobiegła ku kamienistemu wzgórkowi za nami. Ci, którzy byli najbliżej, rzucili się za nią w pogoń. Wśród nich byliśmy Simon i ja. Czterech z nas pognało za uciekającą zdobyczą. Książę wykrzykiwał rozkazując, aby inni zajęli pozycje w pobliżu zbocza i odcięli

zwierzęciu drogę ucieczki. Chcieliśmy popędzić tura wokół pagórka, wprost na czekające włącznie naszych towarzyszy.

Zobaczyłem, jak ogromna bestia dobiega do zbocza i rusza wokół podstawy wzgórka. Gdy zwierzę obróciło się, Simon, który nieco mnie wyprzedzał, wykorzystał nadarzącą się okazję do celnego rzutu. Dostrzegłem, jak włócznia poszybowała ku swemu celowi i wbiła się głęboko za przednią nogą, tuż obok serca.

Wtem zwierzę zniknęło za skałami pokrywającymi zbocze wzgórka. Rzuciliśmy się w pogoń. Nie mogliśmy być od niego dalej niż pięćdziesiąt kroków. Jednakże gdy wyłoniliśmy się zza skał, nie dostrzeżliśmy śladu tura.

Myśląc, że wspiał się na pagórek, popędziliśmy z Simonem nasze konie na skaliste zbocze. Tam wstrzymałem konia i obróciłem go, przebiegając wzrokiem niewielki odstęp pomiędzy pagórkiem a zarośniętym gęsto jarem. Ale nigdzie nie było widać zwierzęcia.

–Gdzie podział się ten tur? – krzyknął Simon, kierując swego konia w dół zbocza. – Czy ktoś go widział?

–Musiał nas wyprzedzić – powiedział jeden z myśliwych. Z dziwnego wyrazu jego twarzy poznałem, że wcale tak nie myślał. Ale w takim razie, gdzie mogło podziać się tak ogromne zwierzę?

Rozglądaliśmy się przez chwilę, ale nie dostrzeżliśmy śladów tura – ani odcisków kopyt, ani śladów krwi na śniegu. Simon zawrócił konia i popędził go. Ruszyliśmy za nim wokół pagórka na spotkanie księcia i pozostałych wojowników, czekających z drugiej strony.

Oni również nie widzieli tura.

–Musiał uciec do lasu – zauważył Paladyr.

–W takim razie nie mógł uciec daleko – rzekł Simon do księcia. – Celnie rzuciłem. Wiem, że go raniłem.

–Tak – przyznał jeden z tych, co byli z nami – wiedziałem to. Trafił w łopatkę.

Część wojowników poczęła przynaglać do pościgu i szykowała się, by zaraz ruszyć. Ale księżę rzucił okiem na ciemniejące niebo i powiedział:

–Nie, robi się późno. Ranny tur jest zbyt niebezpieczny. Nie ma co się łądzić, w lesie go nie dopadniemy. Będziemy mieć dość pracy, aby dotrzeć z cielakiem do obozu przed nocą.

Myśliwi nie byli zachwyceni puszczeniem wolno zdobyczy, ale nie mogli kwestionować rozkazów księcia. Wróciliśmy więc do miejsca, gdzie człowiek, któremu księżę zabrał konia, już zdążył zabrać się do pracy. Rannego psa zdjęto z rogu, na który się nadział, a potem

szybko i litościwie zakończono jego agonię. To samo uczyniono z koniem księcia.

Gdy nadjechaliśmy, myśliwy wyciągnął nóż i poderznął turowi gardło, aby się wykrwawił. Złapał trochę krwi w małą, drewnianą miseczkę, którą myśliwi przekazywali sobie kolejno. Spróbowałem gęstej, ciepłej, słonawej krwi i szybko podałem miseczkę następnemu.

Po tym rytuale myśliwi wznieśli dziki okrzyk triumfu i rzucili się na tura ze swymi nożami. Jeden począł otwierać brzuch, aby wybebeszyć ciało martwego zwierzęcia. Inny zrobił nacięcie wokół karku, w tym samym czasie dwóch innych podobnie nacięło nogi, aby wspaniała, czarną skórę, pokrytą gęstym, zimowym futrem, można było ściągnąć w jednym kawałku.

Dwaj inni myśliwi pospieszyli do pobliskiego lasu, by wyciąć brzozowe tyczki, na których ćwiartki zdobyczy zostaną zaciągnięte do obozu. Pracowali zręcznie i wydajnie, każdy miał zajęcie. Podziwiałem prędkość, z jaką wszyscy wykonywali swe zadania.

–Mają dobry powód – powiedział książę, kiwając znacząco głową.

–Ciemność? – domyśliłem się, gdyż niebo było teraz koloru żelaza, a światło szybko gasło.

–Wilki.

Spojrzałem na rozlaną krew, czerwieniącą się na śniegu. Wiatr roznosił jej zapach i wkrótce – jeśli nie już – każdy wilk w zasięgu podmuchów będzie spieszył do miejsca rzezi.

–Straciłem dziś jednego konia i wolałbym raczej nie tracić następnego – zauważył Meldron. Odwrócił się do mnie. – Uratowałeś mnie przed zranieniem albo i czymś gorszym. Nie zapomnę ci tego. Gdy przybędziemy do Findargad, otrzymasz nagrodę.

–Kawałek z tej zdobyczy będzie dla mnie wystarczającą nagrodą – odparłem, patrząc na psa łapczywie połykającego kawałek wątroby, gdy myśliwi zabrali się za krojenie tura.

–Dobrze powiedziane! – roześmiał się książę Meldron, klepiąc mnie po plecach. – Otrzymasz dziś z mej ręki porcję bohatera.

Skórę wyszorowano od wewnętrznej strony śniegiem, zwinięto, związane i umocowano na końskim grzbiecie. Potem każdą z ćwiartek przywiązano do brzozowych tyczek, a te do lin, które pozwoliły je ciągnąć za końmi.

Gdy ruszyliśmy w kierunku obozu, pozostała po nas jedynie sterta krwawych odpadków na stratowanym śniegu. Normalnie dwa martwe psy i książęcy koń zostałyby stąd usunięte, ale w tym wypadku zostawiono je tam, gdzie były.

–Dla wilków – wyjaśnił jadący obok mnie myśliwy. – Być może zadowolą się tym.

Droga powrotna do obozu okazała się o wiele dłuższa, niż pamiętałem. Nim dotarliśmy do rzeki, zrobiło się zupełnie ciemno i ostatni odcinek drogi przez śniegi przebyliśmy w świetle blaskiem licznych ognisk. Wieść o powodzeniu dotarła przed nami i w chwili naszego przybycia zgromadziły się tłumy, aby przypatrzeć się zdobyczy – i upomnieć o porcję mięsa.

Król, odzywając się jedynie ustami Tegida, polecił, aby mięso podzielić równo pomiędzy wszystkie klany. I choć była to ogromna ilość, zniknęło w mgnieniu oka. Książę Meldron, wierny swym słowom, nagroził mnie porcją bohatera, chociaż oznaczało to, że sam otrzyma mniej od innych. Chętnie podzieliłbym się z nim, ale to okryłoby go jedynie hańbą.

Ledwie zdążono rozdzielić mięso pomiędzy klany, wiatr przyniósł upiorne wycie wilków. Twrch, który baraszkował przy ognisku, przybiegł z podkulonym ogonem i usiadł mi pomiędzy nogami. Szczeniak trząsał się i rozglądał ostrożnie, wystraszony obcymi odgłosami. Jak dotąd, kilka razy słyszałem wycie wilków, ale zawsze wydawało mi się raczej żalosne niż straszne – pełne tęsknoty i lamentu, smutku i osamotnienia. Powiedziałem o tym Tegidowi.

–To dlatego, że nigdy nie byłeś ścigany przez wilki – odparł. Siedzieliśmy przed ogniskiem, przyglądając się mięsu, które piekło się na rożnie z rozwidlonego olszynowego kija. – One się tylko zwolują. Poczekaj, aż złapią ślad i puszczą się w pościg, wówczas powiesz mi, czy to według ciebie tęskne wycie.

–Przyjdą tu?

Tegid oderwał kawałek mięsa, spróbował i obrócił rożen.

–Tak.

–Szybko?

–Gdy skończą z koniem, którego im zostawiliście.

–Czy nic nie można zrobić?

–Przyprowadź konie bliżej ogniska i trzymaj w pogotowiu włócznię.

Jakby na potwierdzenie jego słów, doleciało przeciągłe, dzikie, żądne krwi wycie. Przyprawiło mnie o gęsią skórkę. Twrch zjeżył sierść na grzbiecie. Wiedziałem, że nikt tej nocy nie zmruży oka.

29. Nocne łowy

mroku wyłonił się król Meldryn i zbliżył się do ogniska; samotnie obchodził obozowiska swych ludzi. Zatrzymał się w niewielkim oddaleniu i przywołał do siebie skinieniem ręki Tegida. Przez chwilę naradzali się. Nie słyszałem, o czym mówili, ale obserwowałem króla.

Ta podróż wyraźnie go zmieniała.

Człowiek, na którego patrzyłem, nie był tym, którego widziałem w Sycharth. Meldryn zmizerniał i wychudł. Był zmęczony, tak; wszyscy byliśmy zmęczeni. Ale to było coś więcej niż zwykle zmęczenie. Zdawało się, że podróż i zawzięte wichry sollen pozbawiały go siły ducha. Iskry w jego oczach przygasyły; nie trzymał już głowy wysoko, nie prostował pleców. Wielki król Meldryn przypominał potężną wieżycę, która zaczęła się zapadać do środka i był to niepokojący widok.

Skończyli rozmawiać. Wstałem, aby ustąpić królowi miejsca przy ognisku, ale Meldryn skinął, bym siedział. Oddalił się, aby samotnie obejść obozowiska.

Meldryn Mawr nie powiedział do nikogo, z wyjątkiem Tegida, ani słowa od czasu, gdy odwrócił się od Sycharth. Wszystko, co pragnął powiedzieć, przekazywał swemu bardowi. A wówczas Tegid działał lub przekazywał polecenia innym w imieniu króla.

–Czemu król nie mówi? – zapytałem, podając Tegidowi kawał pieczonego mięsa.

–Nałożył na siebie geas – wyjaśnił po prostu. – Głosy jego zmarłych krewniaków ucichły. Dlatego król będzie milczał, dopóki do nich nie dołączy lub w Sycharth ponownie nie zaczną rozbrzmiewać głosy jego ludu.

Pamiętałem, że Meldryn Mawr powiedział coś takiego, gdy opuszczaliśmy Sycharth, ale nie zdawałem sobie sprawy, że mówił to w dosłownym tych słów znaczeniu.

–Ale król odzywa się do ciebie – zauważyłem.

–Władza królewska przekazywana jest przez naczelnego barda, który posiada moc nadania lub odebrania najwyższej władzy. Jedynie bard nie zgina kolan przed królem. Dlatego też Meldryn może mówić do swego barda, nie łamiąc geas.

Słyszałem o tym osobliwym tabu. Nigdy jednak go nie widziałem, toteż chciałem dowiedzieć się więcej.

–Nie rozumiem – powiedziałem, odrywając mięso z rożna i wysysając gorące i smakowite soki. Oderwałem kawałek i podałem Twrchowi, nadal skulonemu pomiędzy moimi nogami, choć od pewnego czasu wycie wilków ucichło. – Zabrzmiało to tak, jakby bard był ważniejszy od króla.

Tegid podniósł do ust kawałek mięsa i żuł w zamyśleniu. W końcu przełknął go i powiedział:

–To nie jest kwestia tego, kto jest ważniejszy. Bard jest głosem wszystkich ludzi – żywych, martwych i tych, którzy się narodzą. To poprzez barda spływa na króla mądrość i to on wymierza królewską sprawiedliwość. Słowo króla jest dla ludu prawem, któremu musi się podporządkować, król zaś musi podporządkować się wyższemu autorytetowi –

autorytetowi najwyższej władzy. Do powinności barda należy stwierdzenie legalności królewskiego urzędu i pilnowanie, aby władca przestrzegał tradycji i nienaruszalności obyczajów ludu, w przeciwnym razie król mógłby wynieść się za bardzo i zapomnieć o swoim miejscu.

–A zatem przemawianie do barda nie jest równe rozmowie ze zwykłymi członkami klanu – powiedziałem. – Bardziej przypomina rozmowę z samym sobą – to miałeś na myśli?

Tegid uśmiechnął się i miło było widzieć go uśmiechniętym.

–Głupstwa pleciesz, bracie.

–Czyżby?

–Ponieważ dla króla rozmowa z bardem jest rozmową ze źródłem jego królewskiej władzy. To jak szukanie rady w swej duszy i duszy swego ludu. Więź łącząca króla i jego barda niepodobna jest do żadnej innej.

–Rozumiem – odezwałem się ostrożnie. – Gdybym był królem, to chciałbym mieć barda takiego jak ty, Tegid.

Chciałem, aby to był komplement, ale Tegid opuścił trzymane przy ustach mięso i wbił we mnie spojrzenie swych posępnych oczu.

–I co ja znowu takiego powiedziałem?

Nie odpowiedział. Spoglądał na mnie w niepokojący sposób – tak jakby widział mnie na wylot lub zobaczył w innym świetle. Poczuję się nieswojo.

–Posłuchaj, Tegid, nie miałem nic złego na myśli. Jeśli strzeliłem jakąś gafę, to wybacz mi.

–Być może pożałujesz tych słów – odparł wolno.

–Przykro mi – rzekłem. – Naprawdę nie miałem nic złego na myśli.

Tegid odprężył się i wrócił do jedzenia. Korciło mnie, by dowiedzieć się, co go tak w moich słowach zdenerwowało, ale nie miałem ochoty na zbyt pospieszne drażnienie świeżej rany. Skończyliśmy posiłek w napiętym milczeniu. Moje myśli powędrowały ku innemu władcy, który padł nie wydawszy dźwięku: turowi, którego dziś zabiliśmy. Nawet gdy życie uchodziło z niego na śnieg, byczek nie zaryczał ani nie zajęczał. Zwierzę w milczeniu udało się na spotkanie śmierci. Teraz jego ciało nakarmiło nas i utrzymało przy życiu.

Te rozmyślania przywiodły mi na myśl innego tura – tego, który zniknął niemal na naszych oczach. Gdzie on się podział? Zastanawiałem się nad tym, przeżuając ostatni kawałek mięsa. A im więcej o tym myślałem, tym większą zaczynałem mieć pewność, iż wiem, gdzie

się podział. To przekonanie wywołało dziwne uczucie w dołku i dreszcz podniecenia, podobny do tego, jakiego doświadczyłem przedtem na wspomnienie o turach. Mówiłem sobie, że to niedorzeczne, że musi być jakieś inne wytłumaczenie.

Pomimo to nie opuszczało mnie dziwne uczucie i wprawiająca w zakłopotanie pewność. Słyszałem głos – swój własny głos, być może, ale dobiegający z bardzo odległego miejsca – niczym szept słyszany w drugim korytarzu: *To prawda, Lewis. Wiesz, że to prawda. Ty wiesz, gdzie zniknął tur. Powiedz to! Wymów te słowa!*

Odgoniłem niepokojące myśli i położyłem się na skórze przed ogniskiem. Tegid usypał nam na śniegu postłania z sosnowego igliwia. Wyciągnąłem się przed ogniskiem przykryty płaszczem. Zgodnie z radą Tegida, miałem pod ręką włócznię i miecz. Twrch skulił się obok mnie, z nosem na moim ramieniu. Nie było to zbyt ciepłe postłanie, ale przynajmniej w miarę suche.

Zamknąłem oczy, ale sen trzymał się ode mnie z dala. Wiedziałem, że nie zaznam spoczynku, dopóki nie powiem sam sobie, że to mogło być prawdą.

Ale jakże uznać coś takiego? To było absurdalne. Nonsens. A jednak... a jeśli nie? Przewróciłem się na bok i jeszcze szczelniej otuliłem się płaszczem.

Powiedz to!

Usiadłem, odrzucając płaszcz. Pagórek, włócznia – włócznia Simona, jeśli chodzi o ścisłość – i sam ranny tur... To wszystko razem zaczynało mieć sens i nic z tego nie miało sensu. A gdyby jednak? A jeśli?

Poderwałem się na nogi i odszedłem od ogniska, chwytając po drodze swój płaszcz. Tegid zawołał za mną, ale nie odpowiedziałem. Szedłem skrajem obozowiska, z głową pulsującą pytaniami: Jak to możliwe? To, o czym myślałem, było niemożliwe. Jakże to mogło być?

Kroczyłem samotnie. Wtem w myślach usłyszałem inny głos: *Pomiędzy światami otworzyła się wyrwa i wszystko może nią przejść.*

Zatrzymałem się i dopuściłem możliwość tego, co podejrzewałem: ranny tur, w swym przerażeniu i bólu, przekroczył otwarte przejście do drugiego świata – świata, który za sobą zostawiłem, ale którego nie zapomniałem.

Ale jakże to było możliwe? Jakże tur, którego dziś goniliśmy, mógł być tym samym, który sprowadził mnie i Simona do tego świata? Jakże włócznia, którą trzymałem w dłoniach przy stole farmera Granta, mogła być tą samą, którą cisnął Simon?

Nie wiedziałem tego. Ale byłem pewny jednego (nie znosiłem, by mi o tym przypominać): bez względu na to, jak bardzo starałem się zapomnieć, bez względu na to, jak się starałem udawać, że jest inaczej – byłem tu obcy, byłem intruzem, przechodniem. Nie należałem do

tego świata. I bez względu na to, jak bardzo bym tego chciał – a chciałem rozpaczliwie – nie mogłem tu zostać. Ta myśl napełniła mnie rozpaczą. Ponieważ nie wyobrażałem już sobie życia innego niż to, które tu poznałem. Dzień powrotu do mego świata – powiedziałem sobie – będzie dniem mej śmierci.

Zmarzłem i skierowałem kroki z powrotem ku ognisku. Tegid czekał na mnie. Dorzucił drewna do ognia. Usiadłem, otulając się płaszczem.

–Meldryn Mawr jest wielkim królem, bardzo bogatym – powiedział nagle.

–To prawda – odparłem. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem tego, ale wierzyłem, że tak jest, ponieważ widziałem wiele dowodów jego bogactwa.

–Czy widziałeś jego skarbiec? – zapytał bard.

–Nie – odparłem.

–Bo nie ma żadnego.

–Nie? Czemu?

–To byłoby wbrew zasadom panowania – powiedział Tegid obojętnym tonem i w końcu zrozumiałem, że wróciliśmy do naszej poprzedniej rozmowy dotyczącej natury królewskiej władzy.

–Ale on gromadzi bogactwo – powiedziałem, czując potrzebę obrony swych przypuszczeń, choć nie miałem pojęcia dlaczego. – Jest złoto, srebro i klejnoty. Widziałem.

–Bogactwo istnieje dla króla – zaintonował Tegid. – A król istnieje dla ludu. Król wykorzystuje bogactwo dla dobra wszystkich, dla powiększenia swego klanu. On ma na względzie jedynie dobrobyt swego klanu, nigdy własny.

–Lud troszczy się o swego króla – dumałem – a król troszczy się o lud. – Wygląda to na wzorowy układ. Czy mógłby być lepszy?

–Nie upraszczaj tego – przestrzegł Tegid, łamiąc gałązkę w dłoniach i rzucając ją w ogień. – Król nie należy do siebie. Jego życie jest życiem plemienia. Prawdziwy król nie żyje dla siebie, całe swe życie oddaje swemu ludowi. Rozważałem to przez chwilę.

–A Meldryn Mawr jest prawdziwym królem. – Nigdy w to nie wątpiłem.

–Tak – zapewnił Tegid z przekonaniem. – On jest prawdziwym królem.

Nie miałem pojęcia, dlaczego Tegid czuł potrzebę przekonania mnie o tym. Porzucił ten temat równie nagle, jak go podjął. Położyliśmy się znowu spać, ale nie na długo. Zdawało mi się, że ledwie zamknąłem oczy, a już rozległo się wycie.

Obudziłem się i poderwałem na nogi z włócznią w dłoni, nim jeszcze uświadomiłem sobie, co mnie zbudziło. Rozejrzałem się szybko. Tegid siedział pochylony przed ogniskiem. Uniósł głowę.

–Skończyły z koniem – powiedział. – Ich zwiadowcy obserwowali nas. Teraz wrócili i opowiadają, co widzieli.

Wilki to przebiegłe stworzenia, bystre i agresywne. Wilcze nawoływania rozbrzmiewające echem po otaczającym nas lesie były z rodzaju tych najbardziej niepokojących – niepodobne do tego, co słyszeliśmy wcześniej. Te wycia były ostre i przejmujące, tnące mroźne, nocne powietrze niczym noże.

–W górach – powiedział Tegid – wilki rosną większe.

–Czemu nie słyszeliśmy ich wcześniej?

–Szły za nami od kilku dni, czekając na tę chwilę.

–Zaatakują?

–To ciężka sollen. Jest mroźna, zwierzyny coraz mniej, a im dokucza głód. Gdy głód przerośnie strach, zaatakują.

Wycie przybierało na sile, stawało się coraz głośniejsze, w miarę jak coraz więcej wilków włączało się w tę niesamowitą, nocną pieśń. Drapieżną, chciwą, okrutną i dziką – ten dźwięk miał przerażać, wyprowadzać z równowagi, paraliżować. Czulem go w kościach i walczyłem z gwałtowną chęcią ucieczki.

Król Meldryn, z włócznią w dłoni, zmierzał szybko w naszą stronę. Tegid wstał i ruszył ku niemu; porozmawiali chwilę, a potem bard zwrócił się do mnie.

–Idź z królem – powiedział. – Bez względu na to, co się stanie, stój u jego boku.

Król podszedł do ogniska, zatrzymał się i wyciągnął płonące polano. Podał mi żagiew i wyciągnął drugą dla siebie. Potem pospieszyliśmy do koni. Król polecił uwiązać konie w małych grupkach po osiem lub dziesięć na skraju naszego obozowiska, pomiędzy lasem a rzeką; wzdłuż linii ciągnącej się z jednego końca obozu na drugi. Zajęliśmy miejsce przed pierwszą grupką koni. Inni wojownicy szybko do nas dołączyli, każdy stawał o kilka kroków od poprzedniego i wkrótce mogłem przebiec wzrokiem po linii migoczących pochodni, ciągnącej się na całej długości obozu.

Pospiesznie zgromadzono chrust i ułożono na sterty wzdłuż szeregu wojowników. Gdy wycia wilków przybliżyły się, chrust podpalono. Czekaliśmy, ściskając naszą broń, a las rozbrzmiewał echem dzikich zawodzeń. Trwało to jakiś czas, aż raptem wszystko ucichło. W nagłej ciszy skwierczenie pochodni wydawało mi się niemiłosiernie głośne.

Wpatrywałem się z napięciem w ciemności. Zawszą Ignęła do nas zimna, bezksiężycowa, czarna niczym smoła noc. Niewiele widziałem poza kręgiem światła trzymanej w ręku pochodni. Wilki zobaczą nas na długo przedtem, nim my je dostrzeżemy. Usłyszałem trzask gdzieś za sobą, odwróciłem się w kierunku dźwięku z włócznią gotową do walki i ujrzałem księcia Meldrona i herosa króla, Paladyra, biegnących ku nam. Obaj trzymali włócznie i pochodnie, biegli przez śnieg z wyraźnym pośpiechem.

Udali się prosto do króla.

–Ojcie i panie – powiedział książę – pozwól mi zabrać swych wojowników na spotkanie wilkom. Nie pozwolimy im zbliżyć się do obozu – nigdy nie dotrą do koni.

Król słuchał syna, przyglądając mu się w migotliwym blasku pochodni, ale nic nie odpowiedział. Książę spojrział na Paladyra, wziął głęboki oddech i spróbował ponownie.

–Ojcie, pojedyncza linia nie ma sensu – z całą pewnością zostanie przełamana. A co się stanie, gdy pochodnie zgasną? Nie możemy przez całą noc palić ognisk. Gdy tylko ogniska zaczną przygasać, wilki zaatakują.

Król nie odpowiedział.

–Słyszysz mnie, ojcie? – dopytywał się Meldron, podnosząc głos. – Pozwól mi przegnać wilki! To nasza najlepsza obrona!

Stałem, przyglądając się temu, a wtem książę Meldron zwrócił się do mnie.

–Ty pojedziesz ze mną – polecił. A do króla powiedział: – Ojcie, musimy wyruszyć zaraz, gdy jeszcze możemy. – A gdy nie ruszyłem się z miejsca, książę ponownie odwrócił się ku mnie. – No więc?

–Jestem zaszczycony włączeniem pomiędzy twych wojowników, panie – odparłem. – Ale moje miejsce jest przy królu.

–Ja dowodzę wojownikami mego ojca – powiedział gniewnie Meldron. – Mówię, że pojedziesz ze mną.

–Muszę prosić cię o wybaczenie, książę. Tegid rozkazał mi trwać przy królu.

–A ja rozkazuję ci jechać ze mną! – krzyknął książę. – To ja dowodzę drużyną, nie Tegid. – Pieklił się buńczucznie. Paladyr, posępny i wspaniały, nie wydawał się jednak taki pewny. Nerwowo dźgał śnieg końcem swej włóczni.

–Jeszcze raz muszę prosić o wybaczenie, panie – odparłem. – Ślubowałem służyć bardowi, a Tegid rozkazał mi pozostać przy królu.

Tegid! – krzyknął ze złością książę. – Tegid nie ma nade mną władzy! Nie jego rzeczą jest wydawanie rozkazów! Zrobisz, jak każe! – Chciał ruszyć w moją stronę, ale król wyciągnął włócznię i zatrzymał syna.

Tegid chyba dosłyszał swe imię, gdyż krzyknął i zobaczyliśmy, że spieszy ku nam.

–O co chodzi? – zapytał.

–O ciebie! – prychnął książę. – Ja dowodzę drużyną, nie ty. To głupota stać tutaj i czekać, aż wilki zaatakują. Mówię, że musimy wyjechać im naprzeciw i odpędzić je.

–Król rozkazał inaczej – odparł łagodnie Tegid.

–Ojczy! – krzyknął Meldron. – Powiedz temu zuchwałemu, parszywemu bardowi, że to ja dowodzę wojownikami!

Tegid podszedł bliżej do króla i Meldryn Mawr szepnął mu coś na ucho. Potem bard zwrócił się do księcia.

–Król wysłuchał cię – oznajmił chłodno księciu. – Pragnie ci przypomnieć, że to on dzierży władzę nad wszystkim, co dzieje się w jego królestwie. Rozkazuje ci wrócić na swe miejsce i bronić ludzi, tak jak ci polecono.

Książę Meldron stał przez chwilę, wpatrując się gniewnie w króla, po czym prychnąwszy z bezsilnej wściekłości, cisnął swą pochodnię w śnieg. Głównia zasyczała i zgasła, a tymczasem książę obrócił się na pięcie i pospiesznie oddalił.

Paladyr spojrzawszy najpierw na króla – który obserwował go z nieprzeniknionym wyrazem twarzy – potem na oddalającego się księcia. Przez chwilę stał niezdecydowany. Potem odwrócił się i pospieszył za księciem.

–Niech tak będzie – mruknął Tegid. – Paladyr wybrał.

Nie rozumiałem w pełni następstw zdarzenia, którego byłem świadkiem. Ani nie miałem czasu dłużej się nad nim zastanowić, gdyż ktoś z szeregu krzyknął ostrzegawczo. Spojrzałem w tamtym kierunku i dostrzegłem cień śmigający pomiędzy drzewami. Utkwiłem spojrzenie w lesie. Początkowo nie mogłem dojrzeć niczego poza ciemnością. Potem zaświeciły oczy, niczym iskierki ciśnięte pomiędzy drzewa, i usłyszałem stąpanie niemal bezgłośnych łap.

Zobaczyłem wilka dopiero, gdy już prawie był przy mnie. Był o wiele większy, niż się spodziewałem. Wyobrażałem sobie zwierzę wielkości naszych psów, które przecież nie były małe. Tegid ostrzegwał, że wilki są wielkie, ale to zwierzę wielkością dorównywało kucykowi!

Był długonogi, chudy, szary i zwinny, niczym dym na wietrze. Trudno o bardziej przerażający

widok: szparki oczu niczym węgle żarzące się na łbie; długi, kościsty pysk z ociekającymi śliną szczękami i wyszczerzonymi białymi zębiskami; zjeżona sierść, prążkowana czarno na grzbiecie. Wygląd wilka przerażał i wzbudzał panikę w ofierze.

Nic więc dziwnego, że poczułem strach i zadrzałem na jego widok. Widziałem okrutne zębiska, płonące, żółte ślepia, długie kości pod najeżoną sierścią. Mocniej ścisnąłem włócznię, przyciskając jesionowe drzewce ramieniem do żeber. Dzieliło mnie od niego mniej niż dwanaście kroków.

Nie wiem, czy potrafiłbym stawić czoło bestii, gdyby zaatakowała. Ale gdy upiorny zwierz minął ostatnie drzewa, skręcił w bok. Zważywszy długość jego szusów, wilk ten mógłby z łatwością przeskoczyć mnie i wylądować pomiędzy końmi. On jednak pobiegł prychnając i powarkując wzdłuż linii pochodni.

Prawie natychmiast do pierwszego zwierzęcia dołączyło sześć innych – razem z ogromną, czarną bestią, zapewne przywódcą. Spojrzałem w stronę lasu, a gdy odwróciłem głowę, wilków było o dziesięć więcej. Chwilę później nie było ich mniej niż dwadzieścia. Biegały tam i z powrotem wzdłuż linii pochodni warcząc i kłapiąc zajadle zębiskami.

Ten zgiełk wyprowadzał z równowagi, i tak miało być. Dzikie widowisko miało wywołać w nas przerażenie i wpędzić w panikę. Gdybyśmy tylko złamali szeregi, wilki rzuciłyby się przez nas i zaatakowałyby od tyłu. To ich sposób postępowania. Wilkom nie brakowało odwagi, ale nie chciały walczyć, jeśli łatwiej mogły zdobyć przewagę ukradkiem lub podstępem.

My jednak nie ruszyliśmy się z miejsca i wilki wyły w gniewnej pasji. Co i rusz któryś z nich rzucał się ku naszemu szeregowi, błyskając zębiskami; ludzie krzyczeli, machali włóczniami, a wilk przerywał natarcie i umykał poza zasięg włóczni.

–Wystawiają na próbę nasze zdecydowanie – zauważył Tegid. – Jeśli nie okażemy im słabości, może nas zostawią.

Sądząc po zaciekłości wilków, uznałem to za przesadny optymizm. Ostry mróz wygłodził je i rozzuchwiał. Do tego widziały konie – i konie widziały wilki! Wystraszone zwierzęta rżały i parskwały, nerwowo potrząsały łbami, oczy bieleły im z przerażenia.

Wilki jednak nie atakowały. Nie podobały im się pochodnie, nie podobały im się połyskujące w naszych rękach włócznie. Mogły wyć i wściekać się, ale nie mogły dostać się do koni, dopóki nasza linia pozostawała nieprzerwana.

Prosty plan króla powiódł się. Musieliśmy jedynie twardo trwać na naszych miejscach, a wilki nie atakowały. Pomimo swych przerażających rozmiarów nie były ani na tyle głodne, ani tak rozzuchwalone, aby ryzykować spotkanie z ogniem i bronią w naszych rękach. Choć stanie przed nimi było męczące, byliśmy bezpieczni.

Rzeczywiście, spostrzegłem, że wilki szybko się zmęczyły; zaciekość natarcia gwałtownie je wyczerpała. Wkrótce nie przebierały już tak chyżo łapami ani nie wyły tak głośno. Coraz rzadziej któryś rzucał się do przodu. Wywiesiły jęzory, a ich wychudłe boki unosiły się ciężko.

Niebawem czarny herszt zatrzymał się, stał przez chwilę dysząc, po czym zawrócił i skoczył z powrotem w las. Przyznał nam zwycięstwo. Byliśmy bezpieczni. Nikt nie został ranny i nie straciliśmy ani jednego konia. Wygraliśmy. Wilki wycofywały się.

Miałem właśnie powiedzieć to królowi. Odwróciłem głowę i nabrałem powietrza; Meldryn Mawr uśmiechał się. Ale nim zdążyłem wymówić choć słowo, usłyszałem donośny bojowy okrzyk. Uśmiech zniknął z twarzy króla, gdy spojrzał wzdłuż linii pochodni. Odwróciłem się w kierunku dźwięku i zobaczyłem, że daleko w dole szeregu, tam gdzie stał książę Meldron i jego ludzie, ktoś rzucił się za wycofującymi się wilkami. Machał włócznią i wzywał, aby inni podążyli za nim.

To był książę. Linia obrony została przerwana, gdy książę i jego Wilcza Sfora rzucili się do lasu w pogoni za wilkami.

–Oni oszaleli! – krzyknął Tegid. – Sprowadzą śmierć na nas wszystkich!

Bard chciał ich zatrzymać.

–Stójcie! – krzyknął. – Nie łamcie szeregu!

Jeśli nawet go słyszeli, nie zwrócili na niego uwagi. Książę i jego ludzie mieli zamiar dopaść wilki. Ktoś rzucił włócznię i ujrzałem, jak trafiła ostatniego zwierzaka w zad. Zwierzę zawyło z bólu i padło. Skamłając, ranna bestia ciągnęła po ziemi tylne łapy, usiłując pozbyć się włóczni.

Mężczyzna podbiegł do wilka. Błysnął długi nóż i chwilę później zwierzę leżało martwe na śniegu. Wojownik – był nim Simon – wyciągnął swą włócznię i wydał okrzyk triumfu. Odwrócił się i uniosł włócznię, ponagając pozostałych, by poszli za nim. Widząc ten wyczyn, więcej wojowników opuściło szereg w pogoni za wilkami.

Znikli w lesie. Ich pochodnie migały pomiędzy drzewami; ich krzyki i wycie wilków dzwoniło w ciemności. I wówczas, tak nagle, że nie sposób było się spostrzec, wilki pojawiły się znowu.

Nie wiem, czy czaiły się w pobliżu, czy też zawróciły zaatakowane przez ludzi. W każdym razie wilki pojawiły się znowu i bez najmniejszego wahania wdarły się przez wyrwę w szeregu, tam gdzie jeszcze przed chwilą stał książę Meldron i jego ludzie.

Natychmiast wszystko ogarnął chaos: ludzie biegali, konie stawały dęba, włócznie błyskały i rzucono pochodniami. Krzyki ludzi i rzenie koni zagłuszały wszystko.

–Co mamy robić? – krzyknąłem, odwracając się do Tegida.

–Nie ustępuj! – odparł, biegnąc wzdłuż szeregu, aby przywołać ludzi. – I zostań z królem! – zawołał jeszcze.

Nie ustąpiliśmy pola, a wilki nie próbowały nas atakować.

Skoncentrowały natarcie na naszym najsłabszym punkcie, nie zwracając uwagi na resztę. Tegid rzucił się w tamtą stronę, ale nim zdążył zamknąć lukę w szeregu, część koni zerwała się i rzuciła do ucieczki. Jakiś człowiek skoczył, by chwycić za wlokące się po ziemi uzdy, i zastąpił koniom drogę, próbując je zawrócić. Ale daremnie.

Koni, śmiertelnie przerażonych przez wilki, hałas i ogień, nie można było zawrócić. Uciekły prosto do lasu. Wilki skorzystały z okazji i puściły się w pogoń. Natarcie skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Pozbyliśmy się wilków, a wraz z nimi sporej liczby koni.

Staliśmy jakiś czas wyczekując, wsłuchując się w nawoływania wilków i przeraźliwe rzenie koni, przedzierających się na oślep przez leśne ostępy; ale wilki nie wróciły. Odgłosy pogoni słabły, cichły, w miarę jak pościg oddalał się. A potem nie słyszeliśmy już nic.

Gdy stało się jasne, że atak dobiegł końca, król rzucił swą pochodnię i ruszył wzdłuż szeregu ku miejscu, gdzie książę i jego wojownicy porzucili swe posterunki. Zawahałem się na chwilę, ale potem ruszyłem za nim. W końcu Tegid powiedział mi, abym trzymał się króla. Razem pospieszyliśmy do miejsca, skąd ruszył atak.

Patrząc na zboczony krwią śnieg, byłem przygotowany na najgorsze. Pięciu ludzi zostało rannych – mocno poturbowanych i poszarpanych przez wilki. Cztery konie leżały na ziemi, dwa z nich były martwe, z rozszarpanymi gardłami; osiem uciekło do lasu. Wilki będą je gonić, dopóki nie padną. Nie zobaczymy ich już więcej.

Król oglądał zniszczenia z kamienną twarzą. Tegid pospieszył nam na spotkanie.

–Straciliśmy dwanaście koni – raportował. W chwili gdy to mówił, dwa ranne konie uwolniono od męczarni; uśmierciło je szybkie pchnięcie włócznią tuż za uchem.

Gdy książę Meldron i jego wojownicy wrócili, pięciu rannym ludziom przemyto już rany śniegiem, a kobiety przewiązały je paskami płótna. Książę rzucił okiem na rannych i podszedł do nas.

–Odpędziliśmy je – oznajmił dumnie, ocierając pot z czoła. Jego wojownicy stanęli za nim. W migotliwym blasku pochodni para z oddechów lśniła srebrzyście nad ich głowami. – Więcej już nie będą nam dokuczać! – uznał z przesadną pewnością książę. – Zaszczepiliśmy strach w ich nikczemnych sercach.

–Ile zabiliście? – zapytał ostro Tegid. Słyszałem w jego głosie ton zimny i zapalczywy.

Zgromadzeni za księciem dosłyszeli to również i zamruczeli złowieszczo. Meldron uśmiechnął się jednak i uciszył ich, unosząc rękę.

–Siawn zabił jednego, jak wiesz – odpowiedział uprzejmie.

–Tak – odparł Tegid. – Ile jeszcze? Ile jeszcze zabiliście wilków?

–Żadnego – powiedział książę, spuszczając nieco z tonu. – Nie zabiliśmy innych. Sami też nie ucierpieliśmy.

–Nie ucierpieliśmy? – warknął Tegid. – Dwanaście koni straconych i pięciu rannych – ty to nazywasz zwycięstwem?

Książę spojrzał na ojca, lecz ten także wpatrywał się w niego gniewnie.

–Ale odpędziliśmy je – upierał się Meldron. – Nie ośmielą się nas więcej atakować.

–Już się ośmieliły! W chwili gdy złamaliście szeregi, pojawiły się ponownie i zaatakowały w miejscu, w którym wy powinniście być!

–Nikt nie został zabity. Pokazaliśmy im, że będziemy walczyć. – Książę uniósł włócznie i wśród wojowników rozległ się pomruk aprobaty.

–Pokazałeś im, książę, że opłaca się wracać: dwanaście koni i tylko jedna ofiara z ich strony. Nawet nie zauważą tej straty – powiedział Tegid głosem nabrzmiałym pasją. – Mogę cię zapewnić, że wrócą. Będą gonić nas od tej nocy, dopóki nie dotrzemy do Findargad, ponieważ wspaniale pokazałeś im, że zdobycz jest wielka, a ryzyko małe. Już śmieją się z tego, jak łatwo nas przechytrzyły. Wilki wrócą, książę. Pójdę o twe życie.

Książę spojrzał gniewnie na Tegida, jego oczy by jak pełne nienawiści szparki.

–Nie masz władzy nade mną – warknął Meldron. – Jesteś dla mnie niczym.

–Jestem bardem naszego ludu – powiedział Tegid. – Złamałeś rozkaz króla. Z powodu twego nieposłuszeństwa pięciu ludzi zostało rannych i straciliśmy dwanaście koni.

Meldron odpowiedział mu pełnym nienawiści spojrzeniem.

–Nie słyszałem, aby król mówił, że jest zagniewany. Jeśli jest niezadowolony, niech sam mi to powie.

Książę spojrzał na ojca. Król Meldron patrzył gniewnie na swego syna, ale nie otworzył ust, aby przemówić.

–Widzicie? – warknął książę. – Jest tak, jak myślałem. Król jest zadowolony. Idź swoją drogą, Tegidzie Tathalu, i nie zwracaj mi głowy głupstwami. Gdyby nie ja, nadal

walczyłbyś z wilkami. Ja je odpędziłem. Jeszcze mi podziękujesz.

W blasku pochodni twarz Tegida była sina z wściekłości.

–Dzięki tobie, o tęgogłowy książę, będziemy znowu walczyć z wilkami. Dzięki tobie dwunastu tych, którzy mogli jechać, będzie musiało na piechotę brnąć przez śnieg. Dzięki tobie pięciu zdrowych musi teraz znosić cierpienia, a może i umrzeć.

Myślałem, że książę Meldron wybuchnie. Kark mu nabrzmał, a oczy zwężyły się jeszcze bardziej.

–Nie waż się do mnie tak mówić! – syknął. – Jestem księciem i wodzem. Jeśli cenisz swe życie, nie odzywaj się więcej.

–A ja jestem bardem naszego ludu – odparł Tegid, raz jeszcze przypominając księciu o swej władzy. – Będę mówił to, co uważam za słuszne. Żaden człowiek – książę, król czy najmniejszy ze wszystkich – nie śmie powstrzymać mego języka. Lepiej, byś o tym pamiętał.

Księcia skręcało z wściekłości i zmieszania. Odwołał się w milczeniu do ojca, zwracając ku niemu gniewne, błagalne spojrzenie. Ale król mierzył go piorunującym spojrzeniem, milcząc jak głaz. Książę, upokorzony brakiem wsparcia ze strony ojca, odwrócił się gwałtownie i odszedł. Ci, którzy uważali się za ludzi księcia, poszli za nim. A wśród nich znalazł się Paladyr, heros króla.

30. Bitwa o Dun na Porth

słowach Tegida kryła się okrutna prawda. Nie po raz ostatni widzieliśmy wilki. Ośmielone zwycięstwem, szły za nami – przemykały się cicho zaśnieżonym lasem, czając się nocą tuż za kręgiem ognisk. Nie atakowały jak pierwszej nocy. Ale też nie porzuciły naszego tropu.

–Dobrze się najadły – powiedział Tegid. – Na razie zaspokoiliły głód, ale musimy być czujni. – Wskazał na ostre szczyty wyrastające stromo przed nami. – Wkrótce zostawimy las za sobą. Gdy zobaczą, że kierujemy się ku górskim szlakom, zaatakują ponownie.

–Ale nie pójdą za nami w góry – powiedziałem z optymizmem. Wydawało mi się nieprawdopodobne, aby wilki ściagały nas, gdy wyjdziemy z osłony drzew.

–Chcesz iść o zakład? – zapytał bard i nagle zasępił się. – Nie skłamię, jeśli powiem, że nigdy nie widziałem podobnych wilków.

–Tak zdeterminowanych?

–Tak przebiegłych.

Wiedziałem, co miał na myśli. Od czasu ataku nieustannie czułem na sobie oczy baczących obserwatorów. Gdy rozglądałem się na boki, widywałem czasami znikający w cieniście półmroku, upiorny kształt skradającego się wilka.

Ze względów bezpieczeństwa trzymaliśmy się blisko rzeki. Jej koryto zwężało się coraz bardziej, ale skalisty brzeg zapewniał dobrą osłonę, a wartko płynąca woda nie zamarzała. Nocą rozpalaliśmy wielkie ogniska, a wojowników od zmierzchu do świtu nie opuszczała czujność. Ja również stawałem na warcie w te niekończące się noce: skulony w swym płaszczu, przytupywałem nogami z zimna, uderzałem się po plecach dla zachowania czujności i odpędzenia senności, wypatrywałem w ciemnościach błysków dzikich ślepi, a potem człapałem z powrotem do obozowiska i wyczerpany zapadałem w ciężki sen, dopóki nie wstał kolejny ranek.

Słońca w ogóle nie oglądaliśmy. Świat był tak spowity w chmury i zasypany śniegiem, że pozbawiało go to zupełnie ciepła i światła. Zdawało się, że sollen władała teraz Albionem, a inne pory roku skazała na wieczne wygnanie. Wciąż na nowo rozbrzmiewały mi w uszach słowa Tegida: *Pora Śniegów nie skończy się, dopóki Pan Nudd nie zostanie pokonany.*

Szlak zwężił się do skalistej ścieżki. Las począł stopniowo rzednąć, drzewa robiły się mniejsze, prawie karłowate, zdeformowane ustawicznym smaganiem wichrów. Rosły coraz rzadziej, tak jakby w swej niedoli stroniły od siebie. Lodowate niebo przybliżało się, w miarę jak pieliśmy się ku niemu. Strzępy chmur i śnieżne zamiecie przesłaniały nam niepewny szlak. Za sobą zaś widzieliśmy jedynie posępne, śnieżne pustkowia, upstrzone szarymi skałami i głazami wielkości domów. Wspinaliśmy się ponad linię drzew, powoli zbliżając się do górskiej przełęczy, wiodącej do skalistego serca Cethness.

Z każdym dniem droga stawała się jeszcze bardziej stroma; z każdym dniem dmuchały coraz zimniejsze wichry; z każdym dniem śnieg sypał coraz gwałtowniej. Każdego dnia pokonywaliśmy odległość niniejszą niż poprzedniego. A każdej nocy moje golenie i kostki bolały mnie od wspinania się szlakiem, twarz i ręce paliły od uderzeń wichru i coraz dłużej musiałem masować zeszywniałe, na wpół zamarznięte kończyny, aby je rozgrzać.

Zabraliśmy z sobą tyle drewna z lasu, ile mogliśmy udźwignąć; konie były nim obciążone. Ale noce pomiędzy nagimi szczytami, gdzie wicher jęczał i zawodził nieustannie, były przejmująco zimne, toteż każdej nocy spalaliśmy ogromne ilości cennego opału, na próżno starając się ogrzać.

Srodze się zawiodłem sądząc, że opuszczenie lasu oznacza zostawienie za sobą wilków. Drugiej nocy po wyjściu ponad linię drzew, gdy zabraliśmy się za rozbięcie obozu, usłyszeliśmy je znowu – wysoko w otaczających nas skałach rozległo się niesamowite wycie. Następnego dnia widzieliśmy je za nami na szlaku. Już nie zadawały sobie trudu, żeby się ukrywać. Pomimo to nie atakowały. Nie zaprzestawały jednak również pościgu, choć były ostrożne i trzymały się na dystans.

Zacząłem już myśleć, że nas ponownie nie zaatakują. Po cóż miałyby to robić? Wystarczyło przecież, by poczekały, aż kolejno zaczniemy padać. Zabierałyby maruderów, zabijały i pożerały każdego, kto zostawałby z tyłu, mordowałyby zbyt zziębniętych i słabych, by mogli iść dalej. Aby do tego nie dopuścić, król rozkazał wojownikom iść na końcu, pomagać każdemu, kto zostanie z tyłu, a także pilnować, by wilki trzymały się z dala.

Przedzieraliśmy się mozolnie przez śniegi wciąż wyżej i wyżej, wspinając się w nieznośnie lodowatym powietrzu. Zimno, głód i wyczerpanie zjednoczyły się przeciwko nam. Pomimo powziętych przez króla środków ostrożności ludzie zaczęli padać. Każdego ranka przy zwijaniu obozowiska znajdowaliśmy sztywne, szare, zamarznięte ciała. Czasami widzieliśmy kogoś z trudem wlokącego się szlakiem przed nami; padał nagle, by nigdy się już nie podnieść. Innym razem zdarzało się, że ktoś tonął w śniegu obok szlaku i nikt go już więcej nie widział. Tych, których nie mogliśmy znaleźć, zostawialiśmy wilkom.

Straciliśmy pięćdziesięciu ludzi, nim dotarliśmy do przejścia zwanego przełęczą Rhon, wąskiego rozcięcia między dwoma szczytami, gdzie szlak czepiał się niebezpiecznie stromego zbocza ponad spienionym wodospadem rzeki Afon Abwy. Wezbrana rzeka przedzierała się do górskich dolin, wzbijając białą mgiełkę, która osiadała na skałach i zamarzała na nich. Cały wąwóz był pokryty lodem.

W dniu przejścia przez przełęcz Rhon przepaścisty wąwóz pochłonął pięciu ludzi. W podmuchach porywistego wichru nieszczęśni wspinacze pośliznęli się na lodzie i runęli na skały Afon Abwy. Tylko raz widziałem to na własne oczy i nie miałbym ochoty oglądać tego więcej: lecące w dół połamane ciała, niczym strzępy materii objijającej się o ściany wąwozu, toczące się, wywracające koziółki, sunące po oblodzonych skałach, znikające we mgle i rwącej wodzie.

Widziałem to tylko raz. Za to wiele razy słyszałem krótki, rozdzierający krzyk, przesywający rozrzedzone powietrze. Góry rozbrzmiewały echem tego krzyku jeszcze długo po śmierci ofiary. Nic nie można było na to poradzić. Szliśmy dalej.

Górski szlak był zdradziecki sam w sobie. Stromy, wąski, niebezpieczny, pełen niespodzianych zakrętów. Oblodzony i zaśnieżony, morderczy, zwodniczymi serpentynami wijący się pomiędzy nagimi szczytami. Raz posuwaliśmy się pod masywnymi skalnymi płytami; innym razem czepialiśmy się gładkiej skały; krok za krokiem mozolnie pięliśmy się w górę, by w następnej chwili lecieć na łeb na szyję w dół stromego urwiska.

Nasza jedyną pociechą był fakt, że skoro ta wędrówka była trudna dla nas – a była morderczo trudna – to nie mniej ciężka była dla naszych prześladowców. Widzieliśmy wilki każdego dnia: czasami daleko, daleko za nami; czasami na tyle blisko, że można było trafić w nie kamieniem. W ślad za swym czarnym przywódcą szły za nami niezmordowane krok w krok, nie rezygnując ze swego nieubłaganego pościgu.

Przyzwyczałem się do ich widoku i nie bałem się już tak, jak poprzednio ich drapieżnej

obecności, za to Tegid robił się coraz bardziej ostrożny i zaleźniony. Zatrzymywał się co rusz i obracał szybko, jakby próbował pochwycić wzrokiem coś nieuchwytnego i niewidocznego.

–Co ty robisz? – zapytałem w końcu. Ja również przeszukiwałem wzrokiem szlak za nami i widoczną na nim poszarpaną linię wędrowców.

–Tam z tyłu coś jest – odparł mrużąc oczy i osłaniając je przed śniegiem.

–Wilki – jak dobrze wiesz – odrzekłem. – A może zapomniałeś?

Potrząsnął głową.

–Nie wilki. Coś innego.

–Co innego?

Nie odpowiedział, ale przez dłuższą chwilę wpatrywał się w szlak. Potem odwrócił się i ruszył do przodu. Ruszyłem za nim. Ja również czułem pogłębiający się strach. Powiedziałem sobie, że czując sforę upartych wilków, ciągnących za nami krok w krok, nie muszę daleko szukać źródła swego przeczucia – było równie blisko jak najbliższy wilk. Powiedziałem o tym Tegidowi, ale bard nie dał się tak łatwo przekonać. Nadal co jakiś czas przeszukiwał szlak wzrokiem i ja robiłem to również; ale niczego nie dostrzegliśmy poza dobrze już znanymi sylwetkami drapieżników.

Nasze zapasy jedzenia były na ukończeniu. Drewna na opał niebezpiecznie ubywało. Ciekawe, co zabije nas szybciej: głód, lodowate zimno czy wilki. Przez trzy dni chwiejnym krokiem posuwaliśmy się naprzód, wyczerpani i na wpół zamarznięci, nim głód zmusił nas do zabicia i zjedzenia pierwszych koni. Zdzieraliśmy gorące jeszcze mięso z kości i jedliśmy je na surowo. Skóry oskrobaliśmy i daliśmy na okrycie dzieci. Mały Twrch zachłannie połykał strzępy odpadków; schowałem dla niego kość, aby miał później co gryźć i oddałem go pod opiekę dziewczynce, która ze swą matką jechała na mym koniu. Kobieta straciła męża w zdradzieckiej górskiej przepaści i w swej rozpaczycy wdzięczna była za drobną radość sprawioną jej dziecku. Twrch nie mógł mieć lepszej opiekunki i towarzyszki.

Król zawsze szedł przodem; nie chciał jechać konno. Czasami szedł z Tegidem, ale najczęściej wędrował samotnie. Każda ofiara była dla niego niczym kolejny cios noża; dźwigał ból każdej straty jak swój własny. Jednakże nie mógł poświęcić żywych w imię martwych. Szedł więc dalej, krocząc sztywno, chyląc się ku zboczcu, zgarbiony, jakby jego szerokie plecy przytłaczało bolesne brzemień decyzji o ucieczce w góry, do Findargad. A choć wielu było niezadowolonych, król Meldryn był w tym względzie stanowczy. A niezadowolonych nie brakowało. Ziarno codziennej strawy mogliśmy wyczerpać, ale chleba rozbieżności dość mieliśmy w odwiecznych zapasach. Gdy zniknęło ostatnie ziarno, ludzie sięgnęli po te gotowe bochenki.

Najbardziej skory do wymówek był książę Meldron. On, który pierwszy powinien spieszyć królowi ze wsparciem, nie tylko sam czynił mu wyrzuty, ale skłaniał do tego również swe otoczenie. Po dziurki w nosie miałem już jego kpin.

–Dokąd teraz, Wielki Królu? – zwykł wołać, kiedy tylko zatrzymywaliśmy się na chwilę odpoczynku w drodze. – Przemów, Wielki Królu! Powiedz nam jeszcze raz, czemu musimy spieszyć do Findargad. – Jego urągania podszyte były tchórzem; Meldron wiedział, że jego ojciec mu nie odpowie. Jego geas nie pozwalał mu złamać przysięgi: król nie przemówi – nawet by obronić się przed niesłusznymi zarzutami swego syna.

Ze wstydem muszę jednak przyznać, że choć ufałem królowi, zacząłem wątpić w mądrość jego decyzji. Czyżby w Sycharth nie było grobów? Niełatwo było podtrzymywać płomyk nadziei w lodowatym, pustym sercu sollen. Pora Śniegów nie była czasem snucia pomyślnych planów na przyszłość. Jeden powolny krok za drugim – to była cała przyszłość, jaką znałem. Jeszcze tylko jeden krok, a potem jeszcze jeden... nie dbałem o nic więcej.

Aż pewnego dnia naszym oczom ukazała się Findargad – potężna forteca o wielu wieżach, wspaniała, kamienna korona na ogromnej, granitowej głowie uniesionej wysoko na ramionach Cethness – zobaczyliśmy również wreszcie naszych prawdziwych prześladowców. Jak wspomniałem, był to dzień, ale niebo było ciemne jak o zmierzchu, a dookoła wirował gęsty śnieg. Zobaczyłem, że Tegid zatrzymuje się nagle i odwraca, jakby chciał pochwycić czającego się za nim złodzieja. Widziałem, jak to robił wiele razy. Ale teraz ujrzałem, jak usta wykrzywają mu się, a oczy rozszerzają z trwogi.

Pospieszyłem ku niemu.

–O co chodzi, bracie?

Nie odpowiedział; powoli uniósł swą dębową laskę i wskazał na szlak za nami. Spojrzałem i zobaczyłem, co widział. Serce zamarło mi w piersi; poczułem, jakby jakaś gigantyczna ręka wtłoczyła się do mojego gardła, aby pochwycić żołądek i skręcić wnętrzności w żelaznym uścisku.

–Co...? – wydyszałem.

Tegid stał obok mnie sztywny i milczący. W takich przypadkach słowa zawsze były na nic. Oto naszym oczom ukazało się stąpające ciężko, ogromne, żółte, płaskostope paskudztwo, ciągnące straszliwie wydęte brzuszysko pomiędzy swymi ohydnie wygiętymi nogami; jego plamista, zniszczona skóra pokryta była rzadkimi kępkami czarnej szczeciny, a wąskie oczka płonęły niepojętą złośliwością. Usta miał rozdziawione jak żaba, bezzębne i oślizgłe, a drugi, wywieszony jęzor ociekał śliną i zielonym obrzydlistwem; drugie ramiona dyndały zwiotczałe; koślawe łapska zaciskał kurczowo, wrywając kamienie i miotając nimi, gdy drapał się jak oszalały po skalistym gruncie.

Za tym uosobieniem potworności ciągnął legion tłoczących się dziwołagów. Dziesiątki

obłąkańczo dziwacznych stworów! Setki! A każdy równie wstrętny jak pozostałe. Widziałem przepychające się szkielety, wijące się opasłe cielska, łypiące pożądliwie ponure twarze, nogi gnające ku nam szaleńczo. Podziwiałem ich tempo, gdyż głęboki śnieg wcale ich nie hamował. Długonodzy czy krótkonodzy, tłuściochy czy chudzielcy, ogromni i odrażający czy mali i wstrętni śmigali po śniegu, gnając ku nam ohydną, budzącą mdłości czeredą.

Pędzili na nas, niesieni podmuchami zawieruchy nienawiści. Ich szokujący wygląd był jedynie częścią ich paraliżującej mocy – czułem płynącą od nich złośliwość, potężną truciznę, niszczącą wszystko, czego dotknęła. Pędzili przed sobą wilki, doprowadzając je do wściekłości. Nadciągali śniegiem, szybko i pewnie jak śmierć – wilki i demony. Któż potrafiłby stawić czoło tak straszliwemu szturmowi?

–To armia czeluści – powiedział Tegid półgłosem. – Coranyid.

To była horda piekielnych demonów, której nadejście Tegid w milczeniu przewidywał od wielu dni. To były demony, upiorne ponad wszelkie wyobrażenie. Jednakże powiedzieć, że widziałem ohydne Coranyid, to tak jakby nic nie powiedzieć. Patrzenie na nie, oznaczało spoglądać w twarz najnikczemniejszemu i największemu złu. Widziałem ucieleśnienie odrazy, wcielenie wrogości, zepsucie ubrane w gnijące ciała. Widziałem śmierć za śmiercią.

Ręce mi osłabły; straciłem władzę w nogach. Opuściła mnie wola ucieczki. Chciałem upaść na ziemię i zakryć się płaszczem. Oczywiście tego właśnie pragnęły demony. Miały nadzieję zatrzymać nas, nim dotrzemy do królewskiej warowni – choć czemu czekały tak długo, nie potrafiłem powiedzieć.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na górującą nad nami Findargad i oszacowałem odległość dzielącą nas od niej.

–Warownia jest za daleko. Nie uda nam się do niej dotrzeć.

–Musi się udać – fuknął Tegid. – Jeśli dotrzemy do Dun na Porth, będziemy mieć szansę.

Pospieszyliśmy do króla. Meldryn nie wydawał się przerażony ani zaskoczony tymi wieściami. Zwrócił swe umęczone oczy ku górskiej przełęczy, po czym podniósł róg do ust. Chwilę później mroźne powietrze przeciął przenikliwy dźwięk ostrego alarmu. Jeszcze nie przebrzmiało echo pierwszego ostrzeżenia, gdy ludzie zareagowali instynktownie. Wzdłuż szeregów rozległy się inne ostrzegawcze rogi i nie minęły trzy uderzenia serca, a wszyscy biegli, ślaniali się, ślizgali, posuwali, brnęli przez śnieg ku wznoszącej się w górze twierdzy.

Przejście, o którym wspomniał Tegid, było tuż przed nami: Dun na Porth, Wrota Twierdzy – żleb o stromych ścianach, za którym szlak poczynał się pięć ku orlemu gniazdu, na którym usadowiona była górską warownia Meldryna Mawra. Żywiłem nikłą nadzieję, że uda nam się dotrzeć za osłonę tych murów. I rzeczywiście, podczas gdy ludzie gnali przed siebie w największym pośpiechu, Tegid – na rozkaz króla – wezwał wojowników do broni.

Zerwałem płótno, w które był zawinięty dla ochrony mój miecz i zawiesiłem sobie chłodny metal u boku. Zaciskając zeszywniałe palce na zimnym drzewcu włóczni, pobiegłem w dół szlaku, aby dołączyć do wojowników strzegących tyłów. Przystawałem jedynie, by pomóc wstać i ruszyć w drogę tym, którzy się przewrócili.

Książę Meldron warknął na mnie, gdy wmieszałem się pomiędzy innych wojowników, ale był zbyt zajęty, aby odmówić mi miejsca pomiędzy swymi. Gdy tylko minęli nas ostatni uciekinierzy, uformowaliśmy klin, blokując szlak na całej szerokości. Przed dotarciem do naszych pobratymców i króla, piekielna armia Pana Nudda musiałaby nas wpierw wyciąć w pień. Nie miałem pojęcia, czy demony można zabić, ani czy można z nimi walczyć mieczem i włócznią. Ale jeśli te demony miałyby choć odrobinę czucia, poczułyby ugryzienie mego ostrza.

Po uformowaniu bojowego szyku znalazłem się w pobliżu środka drugiego szeregu wojowników. Trzymaliśmy włócznie w pogotowiu ponad plecami stojących przed nami. Tegid i król poprowadzili zasadniczą część naszych ludzi w górę ku przejściu, a my tymczasem ruszyliśmy powoli w dół, na spotkanie nacierającym wrogom.

Na widok naszego zwartego szyku demony podniosły niesamowity, nieziemski wrzask: płaczliwy i wściekły jednocześnie, krzyk szaleńczego gniewu i udręki, który miał tchnąć trwogę w najśmielsze dusze. Paraliżujące zawodzenia osaczały nas na skrzydłach wichru, pomimo to nie ustąpiliśmy pola; a gdy Coranyid podciągnęły bliżej, powitaliśmy ich szyderstwami, dodając sobie odwagi głośnymi bojowymi okrzykami.

Nieliczni z demonicznych wojowników dzierżyli w dłoniach broń; jedynie sporadycznie widziałem miecz lub włócznię ścisną w przypominających szpony palcach, niektórzy nieśli osmalone maczugi. Większość przybyła z pustymi rękami – ale nie na długo. Ponieważ gdy wdrapali się wyżej, obrzucili nas gradem kamieni wydzieranych z drogi i górskich zboczy. Byliśmy szczerze wdzięczni za osłonę naszych tarcz.

Przywódca demonów wysłał wilki przodem. Nie wiem, czy Coranyid zawsze posługiwały się wilkami, czy też tylko wykorzystały wrodzone okrucieństwo tych zwierząt dla własnych celów. Ale wygłodzone, oszalałe ze strachu zwierzęta, doprowadzone do szału przez swych nieludzkich panów, rzuciły się na nas, o nic nie dbając. Zabijanie było igraszką. Gdy skoczyły, wystawiliśmy nasze włócznie, a one ginęły, szarpiąc swymi okrutnymi szczękami ostrza, które je przebijały.

Za wilkami nadciągały główne siły Coranyid. Wojownicy zaprawieni w boju, niełękający się bólu ni śmierci, dygotali na widok ponurej drużyny Pana Nudda. W istocie były to przerażające szeregi: z czaszkami zamiast głów, o wydętych brzuchach, długich i cienkich kończynach, odrażający uciekinierzy z grobów; pokraczne monstra. Nagie diabelskie pokurcza, złośliwi stłudzy jeszcze bardziej odrażającego pana. Niejeden z ludzi cofnął się na ten widok i nie liczono mu tego za hańbę.

Wpatrywałem się w ten skłębiony tłum, ale nie mogłem wypatrzeć ich obmierzłego pana. Jednakże nie miałem cienia wątpliwości, że był w pobliżu, kierując atakiem z jakiegoś punktu obserwacyjnego. Czułem bowiem, jak ze zbliżaniem się tego diabelskiego pomiotu rozbijają się o mnie fale przyprawiającego o mdłości strachu. Instykt mówił mi, że to uczucie jest czymś więcej niż tylko wstrętem wywołanym makabrycznym wyglądem wrogów. Pan Nudd był w pobliżu. Czułem go, czułem rozpacz i poczucie daremności, jakie wywoływała jego obecność.

Jednocześnie jednak pamiętałem o nadziei, jaką wzbudziło we mnie i Tegidzie odkrycie, którego dokonaliśmy na popiołach Sycharth: wróg nie był wszechmocny. Daleko mu było do tego! Jedynym orężem Nudda był strach i podstęp. Poddaj się im, a zwycięży. Stawiaj im opór, a atak Nudda na nic się nie zda. Nie potrafi on bowiem walczyć z ludźmi, którzy się go nie boją. W tym tkwi jego słabość – choć pewnie jest to jego jedyna słabość.

Dotarli do nas pierwsi z hordy demonów, powietrze drżało od ich przeraźliwych krzyków. Szereg wojowników zatoczył się do tyłu, gdy wrzeszczący napastnicy rzucili się na oślep na naszą broń. Poczerniała żółć i ścięta krew buchnęła z ich ran i nagle zalał nas przyprawiający o mdłości odór. Smród zbijał z nóg; skręcający żołądek fetor sprawiał, że wszystko podchodziło do gardła. Chłopi na schwał zakrywali usta i wymiotowali, z oczu płynęły im strumienie łez. Odór był jeszcze gorszy od ohydneho wyglądu i odgłosów wydawanych przez te paskudne stwory – całkowicie zdusił zapach wojowników. Pierwszy szereg zakołysał się, wygiął i załamał; dzielni mężowie odwrócili się i uciekli przed walką.

Po chwili cała nieustraszona drużyna Meldryna rzuciła się do ucieczki, pnąc się szeroką ławą ku przejściu, a za nimi goniły wyjące demony i wilki. Książę Meldron błagał swych ludzi:

–Stać! Stójcie, ludzie! Stójcie i walczcie!

Ale oni nie słyszeli go w ogłuszającym łomocie przerażonych serc.

Ja również biegłem. Ze wszystkich stron byłem otoczony przez uciekających, nie pozostawało mi więc nic innego, w przeciwnym razie zostałbym stratowany. Dotarliśmy do Dun na Porth. Spojrzałem w górę na strome skały kamiennych wrót i pomyślałem, że tutaj kilku mogłoby stawić czoło wielu. Zatrzymałem się i odwróciłem ku nadciągającej powodzi.

Czarny wilk z wrzeszczącym demonem na grzbiecie doganiał wojownika. Zwierzę dostrzegło mnie, gdy przeciskałem się przez płynący tłum, i ruszyło z rozdziawionym, spienionym pyskiem i obnażonymi zębiskami, by mnie zaatakować. Pozwoliłem bestii podejść bliżej, po czym opuściłem włócznię i pchnąłem nią prosto w otwartą paszczę. Wilk zachwiał się, chwytając powietrze, krztusząc się i dławiąc własną krwią. Demon chciał na mnie skoczyć, ale książę Meldron rzucił się w przód i szybkim cięciem swego miecza rozplątał jego czaszkę. Demon i wilk jednocześnie wyzionęli ducha u naszych stóp.

Następny demon zbliżał się, wymachując sękatym korzeniem nad swą płaską, gadzią głową. Książę jednym ciosem odrąbał maczugę i ramię demona. Następne pchnięcie przeszło na wylot cuchnącego stwora; przewrócił się do tyłu, bulgocząc ropą. Meldron położył jednym cięciem następnego stwora, który chciał na niego skoczyć. Ja podobną ilością ciosów odesłałem dwóch innych do czeluści, z których wylazły.

–Dają się zarzynać łatwiej niż barany! – krzyknął książę. – To żadna sztuka. Będziemy jednak musieli solidnie się natrudzić, aby zasłużyć sobie na chwałę.

To była prawda. Demony nie wykazywały żadnej znajomości wojennego rzemiosła czy wprawy w posługiwaniu się bronią. Potrafiły zalać i przytłoczyć swą masą, ale nie były w stanie stawić czoło wojownikowi w starciu jeden na jednego; potrafiły miotać kamienie i wywijać maczugami, mogły rozdzierać swymi kłami i zakrzywionymi szponami, ale nie potrafiły poprowadzić zorganizowanego ataku. Diabelskiego pomiotu były jednak całe setki, a przeciwko niemu tylko ja i książę. Wkrótce musielibyśmy ulec liczebnej przewadze. Na razie jednak staliśmy w przejściu, rąbiąc ich cios za ciosem, tnąc niczym zielsko kosą.

Wilki były bardziej niebezpieczne. Ich siła, szybkość i zajadłość czyniła z nich groźnego przeciwnika. Ale demony wpędziły je w takie szaleństwo, że zapomniały o swym wrodzonym instynkcie i po prostu rzucały się na nas. Wystarczyło jedynie pozwolić, by się zbliżyły, a potem pchnąć włócznią i wilk zdychał lub uciekał – szarpiąc swe rany w obłąkańczym szale.

Z tyłu dobiegł mnie jakiś hałas. Odwróciłem się, gotów do zadania ciosu.

–Powstrzymaj swą dłoń, bracie! – odezwał się donośny głos. Był to Paladyr, prowadzący z powrotem Wilczą Sforę księcia Meldrona. Simon – Siawn Hy – stał obok niego. Zobaczyli, jak stawiamy czoło wrogowi, i wrócili, aby przyłączyć się do walki.

–Teraz, gdy bitwa jest wygrana, przychodzisz przywłaszczyć sobie zwycięstwo! – prychnął książę. – Zostawcie nas! Jeszcze tu nie skończyliśmy.

–Mowy nie ma, książę. Myślisz, że pozwolimy, byś całą chwałę zgarnął dla siebie? – odpowiedział heros. – Wystarczy jej dla wszystkich.

–Dowiedź tego – odparł książę. – Ale mieczem – nie językiem!

–Patrz zatem! – krzyknął Paladyr.

Z potężnym okrzykiem wzniósł swój miecz i rzucił się w ciżbę kilkunastu demonów, nadciągających zbitą gromadą. Cóż to był za wspaniały widok! Każdy ruch był celny, nieskazitelny niczym złoto i śmiertelny jak ostrze w jego silnych dłoniach. Zabijał każdym pchnięciem. Był niczym młyński kamień, a jego przeciwnicy piętrzyli się wokół niego podobni bezkształtnym plewom.

Siawn wydał przenikliwy, przeszywający uszy okrzyk i skoczył za herosem króla. Szedł za nim, powtarzając cios za ciosem, pchnięcie za pchnięciem. Gdziekolwiek Paladyr skierował swe kroki, tam przy jego ramieniu był Siawn. Ich śmigające ostrza wznosiły się i opadały niczym jedno. Książę i ja zdwoiliśmy wysiłki, nie chcąc pozostać z tyłu. Wspólnie wyrąbaliśmy szeroką przesiekę w gęstwinie atakujących demonów, pracując do przodu z szaleńczą odwagą.

Widząc, jak posłusznie Coranyd rozstają się z życiem, coraz więcej wojowników rzucało się na spotkanie wroga i wkrótce Dun na Porth cały był zasłany – nie śniegiem, ale odrażającymi ciałami armii demonów. Trud przygarbił nam plecy, to była potężna praca. Pomimo chłodu ociekaliśmy bitewnym potem; nasze oddechy kłębiły się w powietrzu i para buchała z naszych wilgotnych głów.

Odór przyprawiał nas o łzy, spływające strumieniami po policzkach. Ale wojownicy uodpornili się i dodawali sobie odwagi zuchwałymi okrzykami. Ramię przy ramieniu stawialiśmy czoło cuchnącej kotłowaninie atakujących. Pokonywaliśmy ich cios za ciosem. Moglibyśmy pokonać ich całkowicie, ale było ich zbyt wielu i nadciągały ciemności.

Blask dnia począł gasnąć, trudniej było dostrzec diabelskie nasienie. One jednak nie miały trudności w widzeniu nas. Rzeczywiście, ich pchnięcia stawały się coraz bardziej celne, w miarę jak nasze coraz częściej chybiały celu. Ich natarcie przybierało na sile, podczas gdy nasza obrona zaczynała słabnąć.

Powód był oczywisty: ciemności były ich żywiołem. Potrafiły widzieć w ciemnościach. Sycharth i inne osady atakowały w ciemnościach nocy. Potrafiły zadać w ciemności cios, nim spostrzegaliśmy się, że uderzenie następuje. Pomimo to walczyliśmy jeszcze długo, choć już szaleństwem było to czynić i cierpieliśmy z tego powodu.

Gdy głębokie, zimowe ciemności w końcu całkowicie zawładnęły przejściem, a wycie wichru zagłuszyło wrzaski Coranyd, Paladyr zwrócił się do księcia.

–Nie jestem tchórzem, ale nie potrafię walczyć z czymś, czego nie widzę.

–Ani ja – przyznał książę. – Oszczędźmy ich trochę na jutro.

Odwrót krętą górską ścieżką nie był łatwy. Pięliśmy się w górę, po omacku odszukując drogę ku mocnym bramom i wysokim, kamiennym murom Findargad. Nigdy nie byłem bardziej wdzięczny za osłonę ciężkich bram niż tej nocy, gdy wpadłem na podwórzec fortecy, witany przez pobratymców niosących suche płaszcze i czary parującego piwa. Zabierali z naszych zeszywniałych palców broń i wciskali w nie ciepłe czarki, pomagając nam wziąć pierwszy łyk kojącego napoju. Tych, którzy nie mogli ustać na własnych nogach, zanosili do hali. Tych, którzy mogli iść, prowadzili.

Findargad była dobrze zaopatrzona. Ci, którzy przybyli tu przed nami, wszystko przygotowali, wyciągając z fortecznych magazynów wszystko, co było potrzebne. Halę

rozzaśniały dziesiątki pochodni i ogrzewało ciepło bijące od trzech ogromnych palenisk. Stoły pełne były jedzenia – choć wielu z nas nie miało siły jeść. Siedzieliśmy na ławach, przyciskając czary do piersi i popijając życiodajny płyn.

Król chodził pomiędzy wojownikami z Tegidem u swego boku i za jego pośrednictwem wychwalał głośno ich odwagę, sławił ich biegłość, nie żałując nikomu słów przywracających siłę ramieniu i odwagę sercu. Meldryn Mawr nie walczył ze swymi ludźmi, ale obserwował bitwę z murów obronnych, dopóki ciemności nie przesłoniły mu widoku.

Gdy podeszli do mnie, Tegid powiedział:

–Król chce, abym powiedział ci, że zauważył twą odwagę. Uratowała wielu.

–Wielki Królu, przykro mi, że nie mogłem uczynić nic więcej – odparłem, gdyż naprawdę nigdy nie czułem się mniej bohaterem. – Być może gdybym nie uciekł z innymi, moglibyśmy zwyciężyć. A tak, nie uczyniłem niczego, czego by nie dokonał twój własny syn.

Król Meldryn szepnął coś Tegidowi do ucha i bard przekazał mi jego słowa.

–Choć tego możesz nie wiedzieć, to jednak dokonałeś czegoś, czego nie zrobił książę. Z całą lojalnością zostałeś przy królu, gdy inni go opuścili. Nawet książę nie może się tym poszczycić. To przysparza ci chwały: ty nigdy nie obraziłeś swego króla nieposłuszeństwem.

Odeszli. Byłem zbyt zmęczony, aby w pełni pojąć znaczenie tych słów. Wkrótce jednak będę miał powody, aby długo nad nimi rozmyślać. I nauczę się żałować każdej sylaby.

31. Rada królewska

zień i noc armia demonów grasowała pod murami, podczas gdy my nieustannie trzymaliśmy straż. Od czasu do czasu któryś z nich zapędzał się bliżej, znajdował pomiędzy kamieniami oparcie dla kończyn i piął się w górę. Coranyd potrafili wspinać się szybko, niczym pająki. A gdy zawodziła nas czujność, demony docierały aż na szczyt murów. Wówczas najbliższy z wojowników nadziewał go na włócznię i wyrzucał plugawe zwłoki za mury. Zwykle jednak czujny wojownik ciskał kamieniem w paskudny łeb stworzenia i rozwalał mu rozdętą czaszkę, nim paskudztwo zdążyło się wspiąć do połowy murów.

Po każdej porażce pozostałe demony przez jakiś czas trzymały się z dala. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Wydawało się, że nie wiedzą, co to strach, a jednak nie potrafiły spokojnie patrzeć na śmierć któregoś z nich. Rozjuszało je to i te najbliższe miejsca zdarzenia piszczały przeraźliwie i krzyczały, hałasując straszliwie.

Zawsze, dzień czy noc, staliśmy na mrozie smagani wiatrem, zachowując czujność, by nie dać się zaskoczyć. Dni mijały, a do tłumu demonów dołączały wciąż nowe. Widzieliśmy, jak z trudem pięły się górskimi ścieżkami, przywoływane gniewem swego straszliwego pana do

miejsca rzezi. Nie widzieliśmy jednak śladu samego Nudda. Ale często czuliśmy jego przyczajoną obecność – przyspieszone bicie serca, przyływ mdłości, napad zniechęcenia czy rozpacz.

Jednakże za wysokimi murami twierdzy byliśmy bezpieczni. Demony, choćby nie wiem jak rozwścieczone, nie mogły przenikać przez skały jak duchy, ani przelatywać nad murami jak upiory. Nie mogły dostać się do środka, dopóki trzymaliśmy zamknięte bramy. Dopóki nie pozwolimy im wejść, ich wściekłość i furia będą bezsilne.

Przez pierwsze dni po dotarciu do Findargad odpoczywaliśmy; opatrywaliśmy rany i opłakiwaliśmy umarłych. Ucieczka została opłacona straszliwą ceną. Z sześciuset ludzi, którzy wyruszyli, pozostało mniej niż czterystu; a wśród nich jedynie osiemdziesięciu wojowników, przy czym tylko dla sześćdziesięciu były konie. Oczywiście mogło być gorzej, ale to nie była pociecha. Każda strata jest godna ubolewania. Fakt, iż udało nam się dotrzeć do Findargad wbrew wszelkim przeszkodom, nie wydał nam się niczym wielkim w porównaniu ze stratami.

Szóstego dnia oblężenia król wezwał wszystkich pozostałych przy życiu dowódców – było ich pięciu wraz z księciem, Paladyrem i Tegidem – do swej sali narad. Ja, jako że moim obowiązkiem było pozostawać wciąż przy Tegidzie, poszedłem również; choć nie miałem do tego prawa, zostałem włączony do narady.

Tegid był tym, który wezwał na naradę i Tegid otworzył obrady. Król siedział w fotelu z jelenich rogów, grubo wyściełanym futrami. Pozostali siedzieli na brązowych i białych skórkach rozłożonych na kamiennych płytach podłogi. W palenisku, wokół którego siedzieliśmy, płonął z trzaskiem ogień. Tegid stał z prawego boku Meldryna Mawra, z lewą ręką na prawym ramieniu króla, aby nie było wątpliwości, w czyim imieniu mówi. Ja znalazłem sobie miejsce w pobliżu drzwi, aby nikomu nie przeszkadzać swą obecnością.

Gdy już wszyscy przybyli i zajęli miejsca, głos zabrał Tegid.

–Roztropni wodzowie, Odyńce Walki – powiedział – wysłuchajcie słów swego króla i obdarzcie go dobrodziejstwem swej mądrej rady.

Tegid pochylił ucho do królewskich ust i Meldryn przekazał mu, co ma mówić dalej.

–Oto słowa króla – powiedział Tegid, prostując się wolno, aby zwrócić się do swych słuchaczy. – Silni są Llwyddi i dumni z siły swego oręża. W walce nie cofamy się przed żadnym wrogiem, nie wahamy się również bronić naszego królestwa. Aż do teraz nie była nam znana zniewaga porażki.

Gdy Tegid skończył mówić, Meldryn Mawr skinął głową, pochylił się i szeptem przekazał następne słowa, po czym prawą dłoń dotknął ust barda. Tegid wyprostował się i zwrócił się ponownie do zgromadzonych przy palenisku.

–Oto słowa króla – zaintonował. – Nasze domy zostały zniszczone, a ziemia leży odłogiem. Wilki gryzą kości odważnych, a kruki uczują na ciałach naszych dzieci. Popioły, niczym czarny śnieg, wiatr rozwiewa tam, gdzie niegdyś wznosiły się piękne hale; wyróżniło zarówno owce, jak i pasterzy; palisady rozbito; solidne domy zamieniły się w grobowce; porozrzucano kamienie palenisk, a słodki miód wylano na spragnioną ziemię, by wymieszał się z krwią dobrych ludzi. Sowa i lis nawołują się tam, gdzie niegdyś słyhać było śmiech. Kania i jastrząb wiją sobie gniazda w czaszkach poetów. Od porażki większą gorycz wzbudza we mnie śmierć mego ludu; od zniszczenia mych warowni większą gorycz wzbudza świadomość zła krążącego po krainie. Jesteśmy ludźmi. Ale nie jesteśmy tacy jak inni ludzie. My jesteśmy Llwyddi: władcy tego ziemskiego królestwa od samego początku. Nie leży w naszej naturze oddawać naszą ziemię uzurpatorom. Nie leży w naszej naturze ustępować miejsca mordercom. Nie leży w naszej naturze zapominać o długu krwi.

Wodzowie, wysłuchajcie swego króla! Głosy zamordowanych krzyczą ze swych grobów o pomstę; niewinnie uśmierceni żądają zadośćuczynienia za brutalne pozbawienie ich życia. Powinnością żywych jest oddanie czci zmarłym. Powinnością wojownika jest zabijanie wrogów. Powinnością króla jest bronić swego ludu oraz zaspokajać jego potrzeby.

Jam jest Meldryn Mawr. Ja dbam o zaspokojenie potrzeb mego ludu w czas życia i śmierci. Choćby wróg pozbawił mnie życia, najwyższa władza, którą dzierżę, będzie trwać dalej; nie wygaśnie zrodzona ze mną władza królewska.

Oto słowa króla: nawet teraz pod naszymi murami miota się wróg, usiłując nas zniszczyć – nikczemny tchórz, który nie ośmielił się wyzwać nas na uczciwą walkę, ale usiłuje pokonać nas ukradkiem, zdradzieckim podstępem i szachrajstwem. A choć siła naszego oręża osłabła, wróg nie przystępuje do szturm. Musimy znosić zniewagę ich szyderstw i ich obelżywą obecność pod naszymi bramami.

Pytam was, Mądrzy Przywódcy, skąd ten śnieg sypiący nieprzerwanie z rany nieba? Skąd te porywiste wichry, które całe noce dokuczają nam swym wyciem? Skąd ten przejmujący mróz każdego dnia zatapiający swe kły w ziemi?

I skąd ten smutek zatruwający wodę, którą pijemy, i sprawiający, że chleb gorzknieje nam w ustach? Skąd ten gniew zalewający nas niczym wrzący olej? Skąd to przerażenie, które ściska nam serce i ścina krew w żyłach?

Wysłuchajcie mnie, Niecierpliwi w Osądach, i odpowiedzcie, jeśli potraficie: co uciszyło Męża Pieśni? Co przyprawia o drżenie nieskazitelny Modornn? Czym jest to paskudztwo pośród szczytów Cethness? Co wygania odyńca z dolin i każe uciekać jeleniowi z lasów? Co niepokoi niebiosy i przepłasza z nieba ptactwo?

A skoro już zastanawiacie się, rozważcie i to: Kto wyciąga rękę po nasze królestwo? Kto pustoszy naszą krainę? Kto sprawia, że naszym ludziom łyzy płyną obficie niż bystre strumienie? Kto wydaje przeciwko nam tę znieważającą wojnę?

Tegid przerwał, aby słuchacze mogli rozważyć, co powiedział.

–Jeszcze się zastanawiacie? – zapytał – Czy nikt nie ośmieli się wymówić głośno tego imienia? Dobrze, zatem ja wypowiem te nienawistne słowa. To Nudd, Pan Piekieł i Annwn, Książę Czeluści, jest odpowiedzialny za te wszystkie nieszczęścia. To Pan Nudd wymordował naszych krewniaków i zamienił nasze kwitnące królestwo w najstraszliwsze pustkowia. To Nudd przeklęty czyni nasze kobiety wdowami, a wojowników pokarmem dla robaków. To Nudd, Król Wiecznej Nocy, kieruje przeciwko nam demony.

Powiem wam prawdę, Towarzysze przy Palenisku, jeśli nie skończymy szybko z panowaniem Nudda, zniewagi wyrządzone Prydain szybko poznają również w Llogres i Caledon. Wówczas Trzy Błogosławione Królestwa zjednoczą się – w niedoli, nie w harmonii; w strapieniu, nie w pokoju. A Albion, najczarowniejsza wyspa na świecie, będzie więc się w straszliwych męczarniach zadawanych przez Coranyid Nudda.

Gdy słowa te przebrzmiały, słuchacze zmarszczyli brwi i zasępili twarze. Wodzowie Meldryna spoglądali na siebie w rozpacz. Aż wreszcie Tegid przerwał pełną goryczy ciszę.

–Słyszeliście. Zastanawialiście się. Rozważaliście. Czas podzielić się mądrą radą. Wasz król czeka.

Książę Meldron, zgodnie ze swą pozycją, pierwszy zabrał głos.

–Ojciec i królu, zawsze było naszym zwyczajem płacić raną za ranę i smutkiem za smutek. A może zapomniałeś już o tym wraz z utratą mowy? – Książę nie potrafił powstrzymać się, aby nie ranić serca króla. – Warto jednak o tym pamiętać. Dlatego mówię, pozwól odebrać należny nam dług krwi. Pozwól zebrać swych wojowników – i wszystkich, którzy chcą jechać z nami – i wydać wojnę Nuddowi. Pozwól nam podnieść broń i przepędzić go z naszej ziemi.

Kilku wodzów, wśród nich Paladyr, poparło księcia. Król wysłuchał go bez entuzjazmu i skinął na Tegida, aby się przybliżył.

Po krótkiej naradzie Tegid odwrócił i powiedział:

–Król wysłuchał cię, Meldronie. Uważa, że tego wroga nie da się wypędzić z naszego królestwa jedynie siłą oręża. Ponieważ, nim uleczy my krainę, trzeba znaleźć lekarstwo na chorobę.

–Nie ma schorzenia sprowadzonego przez wroga, któremu nie można by zaradzić mieczem – mądrył się książę.

Tegid wysłuchał cierpliwie odpowiedzi króla, a potem przekazał ją głośno.

–Oto słowa króla: Myślisz, że przyczyny dręczących nas strapien nie oprą się ostrzu

miecza? Powiadam ci, że Pan Nudd nie lęka się twych włóczyń ani mieczy. On boi się tylko jednego: Prawdziwego Króla w jego twierdzy. Nikczemnego Pana kępuje tylko jedna rzecz: Pieśń Albionu.

–Na ten temat nic mi nie wiadomo – odparł wyniośle książę. – Zdaje się, że winę za wszystkie nieszczęścia, które na nas spadły, ponoszą wścibscy bardowie. – Skierował swe zarzuty ku Tegidowi. – Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybyście pilnowali własnego nosa.

Tegid nasrożył się.

–Sugerujesz, że bardowie Albionu mają coś wspólnego z zachęcaniem do tych okropności?

Książę nie raczył potaknąć, ale i nie zaprzeczył.

–A zatem dowiedz się – warknął bard. – A zatem poznaj prawdę, powiem wprost. Wiedz zatem to: Cythrawl został uwolniony. – Na dźwięk imienia tego Pradawnego Zła wszyscy zebrani przy palenisku zadrżeli. – Ollathir, naczelny bard, stawił czoło Bestii Piekielnych Czeluści i zginął, nim zdążył ją skrępować silnymi zaklęciami. Z tej przyczyny Cythrawl wezwał swego sługę Nudda, aby zadręczył i zniszczył wszystko, czego nie może osiąść. Oto w jaki sposób spadły na nas te wszystkie okropności.

Książę Meldron zachmurzył się.

–To czcza gadanina bardów. – Machnął ręką. – Co mnie obchodzi, jak do tego doszło? Mnie obchodzi jedynie odzyskanie tego, co moje!

–Dobrze powiedziane, panie – odparł głośno Paladyr. – Pokazaliśmy, że potrafimy zabić Coranyid. Roześlijmy do wszystkich klanów Trzech Królestw włóczynię ogham i wezwijmy wszystkich królów i ich drużyny do utworzenia wielkiej armii przeciwko Nuddowi i jego armii demonów.

Ten plan poparli gorąco wodzowie Meldryna, którzy, pomimo największych wysiłków Tegida, nie wierzyli w ogrom zła, któremu przyszło im stawić czoło. Pomimo cierpień i wszystkiego, co wiedzieliśmy, oni nadal wierzyli jedynie w oręż w swych dłoniach.

Za zgodą króla Tegid zakończył zebranie i wszyscy rozeszli się, głośno rozprawiając o wielkiej armii i wspaniałej wojnie, jaką stoczą. Nadal sądzili, że kłopoty będzie można odpędzić cięciem miecza i pchnięciem włóczyń; nadal sądzili, że sollen wkrótce się skończy i gyd znowu nadejdzie o własnych siłach.

Po ich wyjściu król powoli podniósł się ze swego fotela i stanął przed paleniskiem, wpatrując się w purpurowe płomienie, jakby szukał w nich oblicza swego wroga. Po długiej chwili wyszedł do swej komnaty. Patrzyłem w jego oświetloną płomieniami twarz i zdało mi się, że widzę twarz umierającego człowieka: spojrzenie jasne i twarde, skóra naciągnięta na

czaszce, papierowa i blada. To była twarz człowieka, który widział, jak życie z niego uchodzi, ale był bezsilny, aby temu zapobiec.

Podszedłem do paleniska i usiadłem na skórze w pobliżu ognia. Tegid zauważył mój niepokój.

–Król jest zmęczony. Potrzebuje odpoczynku.

–Nie powiedziałaś im o Phantarchu? Dlaczego?

Tegid ruszał pogrzebaczem w węglach.

–Widziałeś, jak się zachowali. Nie usłuchaliby mnie.

–Być może. Ale nawet gdyby, to mają prawo wiedzieć.

–To ty im to powiedz! – krzyknął dotknięty do żywego. – Ty masz awen naczelnego barda, ty im powiedz. Być może ciebie wysłuchają. – Rzucił pogrzebacz.

Poczułem nagły przyływ palącego gniewu.

–Przestań, Tegid! Powiedziałeś, że otrzymałem awen Ollathira i być może tak się stało. Ale ja o to nie prosiłem. Prawdę mówiąc, nie pamiętam tego!

–A zatem przepadł! Niczym nektar rozlany na wyschnięty piasek. Został zmarnowany na zawsze. – Po tych słowach Tegid wstał i pośpiesznie wyszedł z komnaty rady. Nie zobaczyłem go więcej tej nocy ani przez cały następny dzień.

Dwa dni po królewskiej radzie przyszła na mnie kolej trzymania warty na murach. Z przerażeniem stwierdziłem, że pod bramami zgromadziło się jeszcze więcej demonów. W mroku wirującego śniegu wypatrzyłem wiele setek, być może tysięcy Coranyid nacierających na podstawę fortecy, niczym niespokojne, gniewne morze. Wykrzywiali się obrzydliwie, oddawali kał i puszczały wiatry prowokowani ciskanymi przez nas kamieniami. Swymi okropnymi krzykami wszczynali przeraźliwy hałas. Najgorszy był jednak smród unoszący się z ich nieczystości i plugastwa. Zwymiotowałem, nim zdążyłem się powstrzymać, bezwiednie przyczyniając się do powiększenia smrodu.

–Jest ich więcej każdego dnia – zapewnił wojownik imieniem Hwy. – Bez względu na to, ilu zabijemy, jest ich coraz więcej.

To była prawda i szybko zrozumiałem dlaczego.

–A co to jest? – zapytałem, wskazując czerwoną poświatę pośród skał, które zalewały hordy Coranyid.

–To ich ognisko – odparł wojownik. – Grzeją się przy nim.

To mnie zaciekawiło. Gdzie te demony znajdowały opał? Czemu stwory z piekielnych czeluści miałyby potrzebować ciepła? Wydawały się odporne na mróz. Nie piły, nie jadły ani nie spały – nie miały żadnych ludzkich potrzeb. Czemu miałyby potrzebować ciepła ogniska?

Pytanie to nie przestawało mnie dręczyć. Poszedłem na koniec muru, aby mieć lepszy widok na piętrzące się skały. Zobaczyłem, że w istocie wróg rozpałił ogromne ognisko. Co więcej, na ogniu był olbrzymi kocioł. Podmuchy wiatru rozwiewały unoszącą się znad niego parę. Dziesiątki demonów trzymały się przy podsycaniu ognia. Ale po co to robiły?

Moje pytanie znalazło natychmiast odpowiedź. Kłębiąca się przed bramą chmara Coranyid nagle rzuciła się do przodu, próbując wspiąć się na drewniane wrota. Czujni strażnicy obrzucili ich kamieniami. Strącili i zabili trzech i zranili dwóch innych. Rannych zabito, gdy usiłovali się odczołgać. Po chwili było po wszystkim. Inni wycofali się, zawodząc straszliwie i zostawiając pięciu martwych.

Gdy tylko niedoszli napastnicy oddalili się, kilkunastu innych rzuciło się do przodu. Ale zamiast pchać się na bramy jak ich poprzednicy, puścili się pędem do zgruchotanych ciał, pochwycili je i odciągnęli. Osobliwe zachowanie, pomyślałem. A potem zobaczyłem, dokąd zabrali te ciała i co z nimi uczynili. Patrzyłem, a mróz ścinał mi szpik w kościach.

Odwróciłem się i natychmiast pobiegłem odszukać Tegida.

32. Kocioł

hodź ze mną, Tegidzie. Jest coś, co musisz zobaczyć.

Znalazłem barda samotnie siedzącego przed ogniem w komnacie rady królewskiej. Wycinał litery pisma ogham na drzewcu włóczni, którą książę Meldron i jego wodzowie zamierzali posłużyć się w celu wezwania zastępów królów Albionu. Obaj wiedzieliśmy, że będzie to próżny gest. Nie będzie zgromadzenia sił, ogromnej armii, wspaniałej bitwy. Wodzowie Meldryna Mawra nie potrafili nawet uzgodnić, kto powinien zanieść włócznię; nie mieli najmniejszego pojęcia, jak przedostać się przez tłumy Coranyid pod naszymi bramami i przetrwać trudy zimowej podróży.

–Nie mam ochoty niczego oglądać – mruknął Tegid.

–Coś powinieneś zobaczyć – powiedziałem.

–Czy to nie może poczekać?

–Nie.

–No dobrze – powiedział poirytowany, odrzucając włócznię. Stuknęła o kamienną posadzkę pustej komnaty. Bard wstał, otrzepał spodnie z wiórów. – Pokaż mi więc to, co nie może czekać.

Pomimo swych narzekań, nie był zbyt zagniewany tym, że porzucił swoje zajęcie. Z ochotą poszedł za mną. Przeszliśmy z komnaty do hali, ostrożnie stąpając pomiędzy dziesiątkami śpiących ludzi. Przy drzwiach przystanęliśmy, aby otulić się szczelniej płaszczami. Uchyliłem wrota, odsunąłem skórę i wyszedłem na zawieruchę. Po zaśnieżonym podwórku hulał wicher, szarpiąc nasze odzienie. Wspięliśmy się schodami na mury obronne. Tam wskazałem na czerwoną poświatę migoczącą na tle skał. Strzępy żółtozielonego dymu rozwiewane przez wiatr ścieliły się po śniegu, znacząc go plugawymi, żółtymi plamami.

–Widzisz to? – zapytałem.

–Rozpalili ognisko – odparł.

–Tak. A dlaczegoż to, o skarbnico wiedzy, rozpalili ognisko?

Tegid zastanowił się.

–Rzeczywiście, dlaczego?

–No właśnie. – Skinąłem, aby poszedł za mną dalej i poprowadziłem go murem do miejsca, skąd było widać kocioł. – A tam? – Wskazałem w mrok wirującego śniegu.

To kocioł – odparł Tegid z rosnącym zainteresowaniem.

–Tak, kocioł. A teraz patrz uważnie – powiedziałem i skierowałem jego uwagę na bramę.

Przez krótką chwilę staliśmy smagani mroźnym wichrem. Nie musieliśmy długo czekać, wkrótce nastąpił kolejny atak na bramę. Od kilku dni owe ataki były regularnie ponawiane i stawały się coraz częstsze. Tym razem zabito cztery demony: zginęły paskudną śmiercią, wrzeszcząc i rzucając się na śniegu. Pogruchotane ciała zostały podniesione i zabrane przez inne demony. Tegid przyznał, że było to dziwne, ale nie widział w tym nic szczególnego.

–Poczekaj chwilę – poradziłem – i patrz uważnie.

Ciała czterech zabitych Coranyid zostały zaniesione do ogromnego ogniska, gdzie wrzucono je do wielkiego, żelaznego kotła; ciała wpadały do niego jedno za drugim, a ogień strzelił wyżej.

–Jedzą ich! – zauważył Tegid z dreszczem obrzydzenia.

–Nie, nie jedzą swych zmarłych. Patrz.

Garbus ze wzdętym brzuszyskiem o szczurzej twarzy wskoczył na krawędź parującego kotła i zanurzył we wrzątku długie, czarne wiosło. Opasył stwór zamieszał kilka razy, po czym wyciągnął wiosło.

–Co... – zaczął Tegid.

–Patrz – powiedziałem, nie odrywając oczu od spowitego ogniem gara.

Słowa jeszcze nie opuściły mych ust, gdy jedno z ciał zaczęło się podnosić z kotła: najpierw ręka i ramię, potem głowa, ramiona i tułów. Ramiona i głowa poruszały się. Stwór wygramolił się na krawędź kotła, nie zważając zupełnie na płomień liżące jego rozżarzone ściany, po czym zeskoczył na ziemię, aby dołączyć do skłębionej masy swych potwornych kompanów.

Tymczasem drugi demon podniósł się z szumowin masywnego, żelaznego gara i teraz wdrapywał się na jego krawędź. Nad powierzchnią wrzątku pojawiła się już głowa następnego, z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczyma. Demon schwycił się krawędzi zrogowaciałymi łapami, wydzwignął się z kotła i spadł na skały poza kręgiem ognia. Ostatnie ciało wyłoniło się z wrzątku i dołączyło do ohydnej hordy.

–Crochan-y-Aileni – mruknął posępnie Tegid – Kocioł Odrodzenia. W ten sposób zachowują swą liczbę. Nie możemy ich zabić. Nie możemy ich powstrzymać. – W jego głosie pobrzmiwały głucho rezygnacja i świadomość porażki.

–Mówiłeś, że Pieśń by ich powstrzymała – przypomniałem mu.

–Pieśń zaginęła.

–Zatem musimy ją odnaleźć.

Tegid prychnął.

–Robota głupiego. Tego nie da się zrobić.

Wyciągnąłem rękę ku ogromnemu kotłowi.

–Jedynie głupiec stałby tu i czekał, aż pokona go głód, to diabelskie nasienie i jego przeklęty gar. Zdaje mi się, bracie, że jakkolwiek by patrzeć, głupcy z nas.

Bard zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem i pomyślałem, że zrzuci mnie z murów. Ale potem spojrzał znowu na kocioł i tysiące Coranyid tłoczących się wokół spowitego płomieniami ogromnego gara.

–Co proponujesz?

–Proponuję odnaleźć Phantarcha. Być może nie jest martwy. Nie wiemy, czy nie żyje. Nie będziemy tego pewni, dopóki go nie odnajdziemy.

–Niemożliwe – mruknął Tegid. – I daremne.

–Co mamy do stracenia?

–Muszę to wszystko jeszcze raz powtarzać? Nikt poza penderwyddem nie wie, gdzie przebywa Phantarch – zaprotestował Tegid słabo. – Ollathir wiedział i...

–I Ollathir nie żyje – warknąłem. Nie miałem już cierpliwości znosić dłużej pesymizmu Tegida. – Wciąż to powtarzasz. A ja powiadam, że ktoś wie, gdzie przebywa Phantarch, ponieważ ten, kto go zabił, wiedział dobrze, gdzie go znaleźć.

Tegid właśnie zamierzał zaprotestować, ale nagle wyprostował się i zmrużył oczy. Dotarła do niego prawda mych słów.

–Zdaje mi się – ciągnąłem dalej – że musimy dowiedzieć się, kto zabił Phantarcha albo jak go odnaleziono.

–To będzie trudne.

–Trudne to nie to samo co niemożliwe.

–Teraz mówisz jak prawdziwy bard. – Tegid pozwolił sobie na słaby uśmiech.

To miał być żart, ale w chwili, gdy wymawiał te słowa, przypomniałem sobie swe uroczyste przyrzeczenie złożone banfaith: *To mi wygląda bardziej na zadanie dla barda – rzekłem jej. – Jednakże zrobię wszystko, co będzie można uczynić.*

–To zadanie dla barda – powiedziałem. – Ja nie jestem bardem, Tegidzie, obaj o tym wiemy. Jednakże to mnie został przekazany awen naczelnego barda.

Uśmiech zniknął i jego twarz znowu naznaczyła rozpacz, która nie odstępowała go od Sycharth. Nic nie powiedział.

–Tak, mnie, Tegidzie. Został przekazany mnie! To powinienes być ty – chciałbym, abyś to był ty. Wiem, że nie jestem odpowiednim naczyniem. Ale pozostaje faktem, że to ja byłem przy śmierci Ollathira i to ja otrzymałem jego awen. Tak to wygląda.

Tegid wykrzywił z niezadowoleniem usta, ale nie odpowiedział.

–Chcę, ale nie wiem, co robić. Ty wiesz. Ty jesteś bardem. Powiedz mi, Tegidzie; powiedz mi, co muszę wiedzieć. Nie pamiętam nic z tego, co powiedział mi Ollathir. Ale chciałbym sobie przypomnieć. Być może wszyscy odnieśliśmy z tego jakieś korzyści, gdybym sobie przypomniął.

Tegid nadal milczał, ale wiedziałem, że głęboko rozważa to, co powiedziałem. I czułem, że już teraz odsuwał na bok swój ból i rozczarowanie. Spojrzał na mnie twardo – jak gdybym był nieujeżdżonym koniem, a on niechętnym kupcem, zastanawiającym się, czy można mi

zaufać. W końcu powiedział:

–Zrobisz wszystko, co ci powiem?

–Zrobię wszystko, co będzie można uczynić.

Tegid odwrócił się gwałtownie i rzekł:

–Idź za mną.

33. Serce Serca

ymknęliśmy się w smaganą wichrem noc. Światło z hali rozlewało się na śniegu podwórca, niczym stopiony brąz. Nieśliśmy pochodnie, płomienie łopotały w podmuchach porywistego wiatru, co przypominało trzepot skrzydeł. Przesłoniłem twarz połą płaszcza i szedłem za Tegidem.

Na murach ponad nami widziałem pochodnie strażników. Słyszałem wrzaski Coranyid nacierających na mury i krzyki wojowników, miotających kamieniami w plugawy pomiot.

Tegid zaprowadził mnie do małego, kamiennego domku, stojącego w cieniu wielkiej hali. Chata była składem skór, wełny i innych dóbr. Była sucha i cuchnęło w niej owcami. Pod ścianami leżały bele wygarbowanych skór. Były w niej również plastry pszczelego wosku i kłębki przygotowanej do tkania wełny. Dach pokryto wrzosem i mchem; podłoga była drewniana, okien nie było.

Na środku pomieszczenia stał słup. Obok niego był w podłodze otwór. Tegid podszedł do otworu, podał mi pochodnię i zszedł na dół po drewnianej drabinie. Zniknął w kwadracie ciemności. Po chwili dobiegł mnie jego głos:

–Podaj mi światło.

Podszedłem na skraj otworu i podałem mu obie pochodnie. Trzymając się słupa, opuściłem się w ciemności, wyczuwając palcami nóg szczeble. Pod podłogą ciasny otwór przechodził wąski korytarz, na tyle wysoki, aby można się było w nim wyprostować.

–Tędy – powiedział Tegid, podając mi pochodnię.

Dwa inne korytarze otwierały się z obu stron, ale Tegid z pochyloną głową i zgarbionymi plecami ruszył środkowym.

Był suchy, ale zimny. Obłoczki pary z naszych oddechów unosiły się ku kamiennemu sklepieniu. Po trzydziestu krokach korytarz skończył się dużą komorą, w której mogliśmy się wyprostować. W jednej ze ścian komory było wyryte koryto. Cienkie stróżki wody ściekały żłobieniami po ścianie i napępiały basen, a nadmiar ściekał do cysterny. Słyszałem echo

kropel rozpryskujących się gdzieś poniżej w cysternie. Z przeciwległej ściany zwisała lina z supłami, ginąca w okrągłym otworze, wyciętym w dnie komory.

Tegid podszedł do otworu i podał mi swoją pochodnię. Schwycił się liny, podszedł na skraj otworu i opuścił się na dół.

–Tu są stopnie wycięte w ścianie – powiedział, gdy dotarł na dno. – Weź linę i rzuć na dół pochodnie.

Postępując zgodnie z jego instrukcjami, uchwyciłem się liny i rzuciłem w otwór pochodnie. Tegid przejął je i uniósł wysoko, abym widział nacięcia w skale. Opuściłem się pionowymi stopniami, częściowo zsuwając się po linie, i znalazłem się w dużym, sklepionym pomieszczeniu, które było wewnątrz cysterny. Skalna półka otaczała głęboki, czarny staw. Tegid bez słowa podał mi pochodnię, odwrócił się i ruszył wzdłuż półki. Zatrzymaliśmy się przy otworze, który znajdował się w połowie obwodu cysterny, nad półką, na wysokości pasa. Pochodnie umieściliśmy w dwóch małych otworach, wywierconych po obu stronach większego, po czym wspieiliśmy się do wejścia i do następnego korytarza. Zabraliśmy pochodnie i ruszyliśmy dalej – początkowo na czworakach, potem skuleni i w końcu wyprostowani, gdy sufit zniknął w ciemnościach nad naszymi głowami. Sądzę, że korytarz biegł łagodnie w dół i skręcał wolno do środka, choć poza małym, migotliwym kręgiem światła naszych pochodni spowijały go ciemności. Ściany tego korytarza były wilgotne. Woda nieustannie sączyła się, spływała i kapiała z niewidocznego sklepienia. Być może z powodu wysiłku wydawało mi się, że w korytarzu robi się cieplej i zaczynałem czuć lepki pot na twarzy i karku.

Nie potrafię powiedzieć, jak daleko ciągnął się ten korytarz. Straciłem wycucie odległości, wydawało mi się, że chodziliśmy całą noc. Co pewien czas kamienny korytarz zwężał się, zmuszając nas do korzystania z bocznych chodników. Innym razem znowu ściany tak się od siebie oddalały, że nie oświetlał ich już blask naszych pochodni. Później korytarz zaczynał się robić bardziej stromy, a jego dno bardziej gładkie i śliskie – tak jakby korytarz w głąb serca góry został wyrzeźbiony przez podziemną rzekę. Z oddali doleciał mnie cichy odgłos płynącej wody, przypominający szum górskiego potoku, rozpryskującego się w usianym skałami korycie.

Po jakimś czasie przybyliśmy do ogromnej, przypominającej ul komory – uformowanej naturalnie. Środkiem płynął strumień, szeroki, ale niezbyt głęboki. Tegid poszedł wzdłuż niego, kierując się ku szczelinie w ścianie, w której ginął wodny ciek. To pęknięcie biegło od sklepienia do dna pomieszczenia i na dole było wystarczająco szerokie, aby mógł w nie wejść człowiek.

–To jest łono góry – powiedział Tegid, a jego głos zadudnił głucho w komorze. – To miejsce narodzin bardów. Za tym portalem budzi się awen.

Przesunął pochodnię, aby oświetlić skalną ścianę na skraju szczeliny. Ujrzałem gładki

kwadrat ściany z wyrytym na środku wzorem. To był dobrze znany mi wzór, powszechnie spotykane w całym Albionie godło: kolisty labirynt, którego starannie wypracowane, hipnotyczne pętle i zwoje można było spotkać na bransoletach, tatuażach, broszach, tarczach, drewnianych przedmiotach... niemal na wszystkim. Koliste labirynty zdobiły również kamienne obeliski i były wyryte w darni na szczytach wzgórz.

–Widziałem to na kamiennym słupie na Ynys Bainail – powiedziałem, wskazując płaskorzeźbę. – Co oznacza?

–To jest Mor Cylch, labirynt życia – powiedział Tegid. – Przebywa się go w ciemnościach, światło, które się niesie ze sobą, pozwala dojrzeć jedynie jeden lub dwa następne zakręty. Na każdym zakręcie dusza musi zdecydować, czy wędruje dalej, czy też wraca drogą, którą przyszła.

–A co będzie, jeśli dusza nie powędruje dalej? Co się stanie, jeśli zdecyduje się wracać drogą, którą przyszła?

–Czeka ją marazm i śmierć – odparł Tegid nieco porywczo. Zdawała się go drażnić myśl, że ktoś mógłby w ogóle brać pod uwagę wycofanie się.

–A co będzie, jeśli dusza powędruje dalej?

–Zbliży się do swego celu – odparł bard. – Ostatecznym celem wszystkich dusz jest Serce Serc.

Tegid podszedł do wyrzeźbionej w ścianie niszy i wyciągnął z niej dwie nowe pochodnie, które zapalił od trzymanej w dłoni. Podał mi jedną z nich, a starą pochodnię umieścił w szparze obok kolistego labiryntu, polecając mi uczynić to samo.

Odwrócił się, skulił i wszedł do szczeliny. Usłyszałem, jak idzie w wodzie, i dostrzegłem na błyszczących ścianach migotliwy blask jego pochodni.

–Chodź za mną, bracie – zwołał. – Tu zaczyna się pamięć.

Wszedłem w to wąskie przejście, przeciskając się przez ciasny otwór. Wyszedłem zaś do wysoko sklepionego korytarza, który był wystarczająco szeroki, by stanąć w nim z rozłożonymi rękoma. Półkoliste ściany korytarza były gładkie i połyskiwały jak wypolerowane. Dnem płynął strumień. Odgłos szumiącej wody był tu głośniejszy, ale nadal dość odległy i zniekształcony, jakby przetaczał się i odbijał od niezliczonych ścian i przegród.

I było tak w istocie, ponieważ weszliśmy do ogromnego labiryntu – którego podobizna była wyryta na zewnątrz – a dźwięk wodospadu docierał do nas po wielu zakrętach ścieżki biegnącej przez tę spiralną strukturę. Szliśmy po kostki w wodzie i wkrótce stopy mieliśmy zdrętwiałe od lodowatej wody.

Przez jakiś czas brodziliśmy w milczeniu. Potem Tegid zaczął mi opowiadać o tym miejscu i wyjaśniać, dlaczego tu przyszliśmy.

–To wszystko jest bardzo stare – powiedział, wyciągając rękę i klepiąc po gładkiej skale. – Zrobiono to, nim w Prydain było cokolwiek innego. To jest omphalos naszego królestwa, Pępek Prydainu. Dbali o niego i strzegli go nasi królowie, od kiedy istnieje to ziemskie królestwo.

A ja zastanawiałem się, dlaczego Meldryn Mawr chciał mieć fortecę tak daleko od swych ziem.

–Ale ja myślałem, że Biała Skala była świętym środkiem Albionu?

–To również jest środek – odparł Tegid, najwyraźniej niezakłopotany tym, że świętych środków może być więcej niż jeden. – I każdy, kto chce zostać bardem, musi przejść nim do Serca Serc.

Podążałem łagodnie skręcającym korytarzem i w końcu doszedłem do czegoś, co początkowo uważałem za ślepa ścianę, a co z bliska okazało się ostrym zakrętem. Ruszyliśmy nowym korytarzem, trzymając pochodnie wysoko, aby rzucały możliwie jak najwięcej światła.

Pomimo przewodnictwa Tegida czułem się kompletnie zdezorientowany. Posuwając się wzdłuż krętych ścian przy wtórze szumu pędzącej wody, czułem się niczym zagubiona dusza, wypatrująca oczy w migotliwym świetle, z nadzieją dotarcia nie wiem do czego. A bystro płynąca woda była niczym czas lub siły życia, niosące nas w naszą podróż.

Korytarz zakręcił nagle kolejny raz i ruszyliśmy następnym odcinkiem, tym razem nieco bardziej krętym niż poprzedni. Być może to tylko sprawka mojej wyobraźni, ale wydawało mi się, że ten zakręt był w sensie dosłownym i w przenośni punktem zwrotnym, miejscem podjęcia decyzji. Droga przede mną była ciemna i niepewna, drogi za sobą już nie widziałem. Iść do przodu znaczyło uwierzyć twórcy labiryntu, że nagroda odszukana w Sercu Serc będzie błogosławieństwem, nie przekleństwem.

Zakręty labiryntu stawały się coraz ostrzejsze, coraz częstsze. Po tym poznałem, że zbliżamy się do środka. Odgłos spadającej wody stawał się też coraz głośniejszy. Niebawem dotrzemy do komory środkowej. Co tam znajdziemy?

Wszechobecny, nieustanny szum wody, ciemności, zimno, twardość skały – czułem się, jakbym rzeczywiście przechodził jakąś inicjację. Tu zaczyna się pamięć, powiedział Tegid. Pamięć zaczyna się wraz z narodzinami. Czy ja się w coś przeradzam? A może coś rodzi się we mnie? Nie potrafiłem powiedzieć, ale czułem rosnące z każdym krokiem oczekiwanie.

Zakręty stawały się coraz ostrzejsze, szliśmy szybciej. Czułem, jak mój puls przyspiesza i

wzbiera we mnie fala oczekiwania. Woda, ogień, ciemność, skała – świat podstawowych żywiołów oddziałujący na mnie z siłą żywiołów. Czułem pulsowanie w całym ciele. Mój umysł ożywił zew starszy niż wszystkie inne, pradawny, pierwotny: wezwanie życia, które wyłoniło człowieka z żywiołów.

Minęliśmy ostatni zakręt labiryntu i weszliśmy do owalnej komory. Była pusta – nie licząc dużego otworu w podłodze, w którym ginał lodowaty strumień płynący korytarzami labiryntu. Ryk spadającej wody, niczym głos Boga, dobywał się z ciemnego otworu, gdy strumień roztrzaskiwał się na skałach gdzieś w dole.

–Dotarliśmy do Serca Serc – wyjaśnił Tegid. – Tu gaśnie pamięć.

–Pamięć gaśnie wraz z nadejściem śmierci – mruknąłem pod nosem.

–Tak właśnie jest. Ale umrzeć w jednym świecie, znaczy narodzić się innym. Toteż życie, podobnie jak wszystko inne, choć przestaje płynąć w tym świecie, kontynuuje swą wędrówkę w miejscu poza nim.

Poczułem mrowienie, włosy poczęły mi się jeżyć na karku. W miejscu poza... Phantarch śpi...

Stałem w lodowatej wodzie, wsłuchując się w ryk spadającej wody, i ponownie poczułem przerażenie, jak tamtej nocy na świętym pagórku. W ciemności ujrzałem znowu wyłaniającego się Cythrawla i poczułem kurczowy uścisk Ollathira na szyi i jego gorący oddech w uchu. I ponownie usłyszałem dziwne słowa, które naczelny bard przekazał mi w spadku ze swym gasnącym oddechem.

–Domhain Dorcha – powiedziałem, odwracając się do Tegida. – Miejsce poza.

Tegid rzucił mi ostre spojrzenie i zapytał z widocznym zainteresowaniem:

–Gdzie słyszałeś te słowa?

–Ollathir je wypowiedział – odparłem i opowiedziałem mu wszystko, co pamiętałem. – Nie rozumiałem, co mówił, ale teraz wiem. Teraz sobie przypominam. W miejscu poza Phantarch śpi. To powiedział mi Ollathir. – Wskazałem na otwór, w którym woda znikiała nam z oczu. – A tam znajdziemy Phantarcha.

–Jesteś gotów to uczynić? – zapytał cicho Tegid.

–Tak – odparłem.

Drżąc z grozy i podniecenia, podeszliśmy do otworu i opuściliśmy pochodnie, usiłując spenetrować ciemności poniżej. Jednakże poniżej krawędzi otworu nic nie zobaczyliśmy. Woda przelewała się przez krawędź i spadała w niewidoczną otchłań. Staliśmy przez

chwilę, zastanawiając się, jak głęboko spada.

Potem Tegid rzucił w otwór pochodnię. Głownia zawirowała i na mgnienie oka oświetliła szkliste ściany i dno niższej komory, nim wpadła do stawu. Bard uniósł głowę i nasze oczy spotkały się.

–No i co? Co powiesz, bracie?

–Nie ma innej drogi na dół – powiedziałem.

–I prawdopodobnie innej drogi na górę – zauważył.

Prawda. Nie mieliśmy lin ani żadnych innych narzędzi. Musieliśmy zdecydować, co robić, nie wiedząc, co wyniknie z naszych działań. Jeśli nam się nie powiedzie, nie będziemy mieli drugiej szansy, nikt nam nie dostarczy zapasów, nie pospieszy na ratunek. Musieliśmy ryzykować wszystko, zawierzyć wypowiedzianym w męce, być może szalonym słowom umierającego barda.

–Gdyby Ollathir był tutaj i kazał ci zejść do tej dziury – zapytałem – uczyniłbyś to?

–Oczywiście – odparł bez wahania Tegid. Jego zaufanie do przywódcy było szczere i naturalne. Zapewnienie Tegida było dla mnie wystarczające.

Spojrzałem w gęste niczym błoto ciemności, czarniejsze od zapomnienia. Równie dobrze może nas czekać na dole śmierć.

–Który z nas pójdzie pierwszy?

–Ja pójdę pierwszy – powiedział, przypatrując się czarnej pustce przed nami. – A gdy zawołam, wyciągnij pochodnię nad otworem i rzuć. Spróbuję ją złapać.

Potem po prostu wszedł w otwór i zniknął mi z oczu. Słyszałem plusk, gdy uderzył w wodę i przez mrozącą krew w żyłach chwilę nic... po czym rozległ się gwałtowny kaszel.

–Tegid! Jesteś ranny? – Padłem na brzuch i oświetliłem pochodnią otwór.

–Zimno! – wrzasnął, a jego głos obudził echo w otchłaniach poniżej. Słyszałem, jak młócił wodę, a potem rozległ się znowu jego głos:

–Rzuć pochodnię. Jestem dokładnie pod tobą.

Opuściłem pochodnię tak nisko, jak tylko mogłem, nie przypiekając sobie palców.

–Rzucam! – zawołałem i wypuściłem ją z dłoni.

Widziałem, jak zamigotała i rozbłysła na chwilę. Byłem pewny, że zgaśnie. Ale nim zdążyła

dotknąć wody, wyłoniła się ręka i pochwyciła ją. Tegid machał pochodnią i krzyczał:

–Mam ją! Mam ją!

Widziałem w blasku pochodni jego uniesioną twarz, uśmiechającą się do mnie jakby z dna studni.

–Teraz ty! – zawołał.

Odsunął się, a ja usiadłem na krawędzi otworu i opuściłem nogi w pustkę poniżej. Ciemność zamknęła się nade mną z namacalną siłą; czułem jej nacisk na gałki oczne i płuca – ogromna, miękka, niewidzialna ręka ściskająca mnie, dusząca. Ślepy, bez tchu, obmywany lodowatą wodą, położyłem dłonie na krawędzi przepaści i skoczyłem. Wrażenie nurkowania w przestrzeni, w absolutnej ciemności, bardziej odbierało odwagę, niż się spodziewałem. Zdawało mi się, że spadam, spadam i będę tak spadał bez końca; gdy pomyślałem, czy kiedykolwiek dotrę do dna, uderzyłem o powierzchnię.

Woda natychmiast zamknęła się nade mną i pogrążyłem się w mokrym, ciemnym chłodzie. Tonąłem, dopóki nie poczułem skały pod stopami. Odepchnąłem się od dna i wyskoczyłem do góry, otrząsając się i dławiąc, rozgarniając lodowatą wodę. Przetarłem oczy i spojrzałem w kierunku światła. Tegid stał na brzegu stawu, trzymając pochodnię wysoko, tak abym mógł go widzieć. Podpłynąłem do niego; bard przykląkł, podał mi rękę i pomógł mi wyjść ze stawu.

Stanąwszy, uświadomiłem sobie subtelną zmianę w naszym otoczeniu – jakbyśmy w istocie przeszli z jednego królestwa do drugiego. Tegid zamierzał się odwrócić i wówczas dostrzegłem na ścianie mignięcie światła, błysk iskierki.

–Co teraz? – zapytałem. Mój głos nie rozbrzmiał echem, ale upadł cicho do mych stóp.

–Zobaczmy, co tu znaleźliśmy – odparł Tegid i zaczęliśmy poszukiwania. Komora była okrągła, wykuta w litej skale góry. Po przeciwnej stronie stawu był niski korytarz. Ściany tunelu, podobnie jak ściany komory, były upstrzone żyłami srebrzystego kryształu, który skrzył się, gdy przechodziliśmy. Weszliśmy do tunelu i poczęliśmy schodzić do niższego pomieszczenia. Po drodze przystanąłem dwa razy.

–Czekaj! – wołałem. – Posłuchaj!

Zatrzymaliśmy się, ale niczego nie usłyszeliśmy. Mnie jednak nadal wydawało się, że coś słyszę – niskie, rytmiczne buczenie, niczym mruczenie wielkiego kota lub chrapanie jakiegoś zwierzęcia. Wyobrażałem sobie, że prosto z tunelu trafimy do legowiska śpiącego niedźwiedzia.

Tunel wił się w dół i w dół. Ciemności rozjaśniały błyski światła pochodni, odbitego od krystalicznych ścian. Dotknąłem ściany tunelu i stwierdziłem, że jest ciepła. Wyobrażałem

sobie, że schodzimy do samego serca góry, tak daleko w dół, że zbliżymy się do płynnego rdzenia Ziemi. I ciągle szliśmy dalej.

Wtem, niespodziewanie, tunel skończył się i weszliśmy do kopulastej komory, która zdawała się wydrążona w jednym olbrzymim kryształ. Blask naszej jedynej pochodni odbijał się i wzmacniał w niezliczonym mnóstwie faset, błyszczących niczym niebo pełne rozpalonych słońc. Po ciemnościach tunelu taka jasność raziła oczy. I dlatego nie dostrzegłem stosu kamieni leżących na środku komory – dopóki Tegid nie zwrócił mi na nie uwagi.

Podeszliśmy bliżej i dostrzegłem coś, co okazało się strzępem białego płótna. Tegid przysunął bliżej pochodnię i ujrzeliśmy ludzką rękę wystającą spomiędzy kamieni. Ciało na ręce było pomarszczone, kości odznaczały się wyraźnie przez bladą, wysuszoną skórę.

–Znaleźliśmy Phantarcha – powiedział Tegid zdławionym szeptem. Odwróciłem się tam, gdzie wskazał pochodnią. – Zimny jak kamienie, które go pokrywają. Banfaith miała rację: Phantarch umarł. A z nim cała nadzieja. Nic tu po nas.

34. Domhain Dorcha

amordowali go – powiedział Tegid głuchym głosem. – Pieśń ucichła i nie można jej przywrócić życiu. – Wydawał się zagubiony, zmęczony i pokonany. – Nic tu po nas.

Odwrócił się, aby odejść, ale ja stałem uparcie, wpatrując się w pozbawioną życia rękę wystającą ze stosu kamieni.

Tegid ruszył w głąb tunelu, rozpoczynając długą drogę powrotną do górnej komory. Chciałem za nim pójść, ale moje stopy tkwiły w miejscu. Znaleźliśmy Phantarcha. Tak, ale ktoś inny znalazł go pierwszy. Zabili go i pogrzebali w Domhain Dorcha, miejscu za Sercem Serc. Doszliśmy jednak tak daleko... tak bardzo potrzebowaliśmy pomocy. Musiałem zobaczyć maltretowane ciało na własne oczy, nim uwierzę w to, co Tegid uznał za prawdę.

–Idziesz? – zapytał bard.

–Nie, dopóki go nie zobaczę. Chcę zobaczyć go na własne oczy, nim uwierzę, że nie żyje.

–Już po wszystkim! – wrzasnął. – To koniec. Nic tu po nas.

–Nie odejdę, dopóki go nie zobaczę. – Obstawałem uparcie przy swoim. – Idź, jeśli chcesz, ale ja zostaję.

–Głupiec! – krzyknął gniewnie. – To przez ciebie! Przyszliśmy nadaremno!

Nie miałem Tegidowi za złe jego wybuchu. To ja sprawiłem, że obudziła się w nim nadzieja, której teraz go pozbawiono. W końcu udowodniliśmy jedynie to, co cały czas utrzymywał:

Phantarch nie żyje i nie było ucieczki przed zgubą czekająca nas i cały Albion.

–Tegid, proszę – powiedziałem – zaszliśmy tak daleko.

Bard zacisnął wargi, ale nie sprzeciwił mi się. Podeszedłem do stosu kamieni i począłem je zdejmować jeden po drugim. Tegid obserwował mnie przez chwilę, a gdy zobaczył, że mam zamiar rozebrać cały stos, poddał się i ruszył mi z pomocą. Pochodnie zatknęliśmy pomiędzy dwa kamienie na szczycie kopca i zabraliśmy się do pracy. Po krótkiej chwili dostrzegłem kawałek brudnej, białej tkaniny. Zdejmowaliśmy kamienie dalej, dopóki nie odstoniliśmy całkowicie ciała – wówczas cofnęliśmy się, aby przyjrzeć się smutnemu owocowi naszych trudów.

Phantarch okazał się starym, bardzo starym człowiekiem, pewnie żyjącym wieki całe. Odziany był w białe szaty z pasem splecionym ze złotych sznurów. Miał na sobie szeroki, płaski naszyjnik, który zakrywał mu górną część klatki piersiowej. W prawej dłoni trzymał rytualny nóż z czarnej, krystalicznej skały; złoty pręt spoczywał w zagięciu jego prawego ramienia. Prawa dłoń była pusta, a stopy bose.

W migotliwym blasku pochodni jego twarz sprawiała wrażenie żywej, ale zapadnięte oczy i policzki mówiły co innego. Jego głowa, choć zmaltretowana i straszliwie porozbijana, nadal zachowała swój szlachetny wygląd; białowłosa, z szerokimi brwiami i orlim nosem, o wyraźnie zarysowanej brodzie i mocnych szczękach, porośniętych długą, falistą, białą brodą – miał twarz proroka. Nawet po śmieci Phantarch zachował dostojeństwo i godność, jego wygląd musiał wzbudzać cześć.

Nie żył już od jakiegoś czasu, ale jego ciało wykazywało nikłe ślady rozkładu. Zdawało się, że śpi – miałem wrażenie, że wystarczy, bym dotknął jego policzka, a obudzi się ponownie. A jednak jego ciało okazało się sztywne i zimne. Cofnąłem rękę, jakbym dotknął rozpalonego żelaza. Aż do chwili, dopóki nie musnąłem jego zimnej, woskowej skóry, wierzyłem, że Phantarch będzie jeszcze jakimś cudem żył. Teraz jednak wiedziałem, że Tegid miał rację.

Tegid zaś nie powiedział ani słowa – żadnych wyrzutów czy szyderstw. Ledwie rzucił okiem na pogruchotane ciało. Potem odwrócił swój posępny wzrok i wszedł do tunelu, zabierając z sobą pochodnię.

Światło pochodni zniknęło, a mnie opanowała rozpacz tak ciemna i beznadziejna, że padłem na kolana przed kamiennym grobem. Czuję się głupi, oszukany i znieważony. Gdybym tylko był szybszy, pomyślałem, bystrzejszy. Policzki paliły mnie z powodu własnej gnuśności i głupoty. Ale nie. Przecież Phantarch został zamordowany długo przed tym, nim pomyślałem, aby go szukać, nim Nudd zniszczył Sycharth. Noc Cythrawła była nocą śmierci Phantarcha.

A zatem już od początku nasz los był przesądzony; nasza zguba była przypieczętowana,

nim jeszcze postawiliśmy stopę na szlaku do Findargad. Tegid miał rację – nic tu po nas, a ja byłem głupcem. Chciało mi się krzyczeć z powodu niesprawiedliwości, jaka nas dotknęła. Nigdy nie mieliśmy szansy!

Miałem ochotę zabić Pana Nudda i demony Coranyid, zmiażdżyć ich swoją furią. Chciałem ich zniszczyć, oczyścić ziemię z ich plugawej obecności. Pragnąłem obrócić ich w cuchnący muł, z którego powstały. Wyciągnąłem ręce, schwyciłem krystaliczny kamień w obie dłonie i uniosłem nad głowę. Z potężnym jękiem, z całych sił cisnąłem kamieniem, tak jakbym w tym momencie miał przed sobą oblicze straszego Nudda.

Rzuciłem go tak mocno, że uderzona skała zadrżała. Iskry posypały się z popękanego kamienia i w tej samej chwili cała komora rozblęsnęła oślepiającym blaskiem. W tym ułamku sekundy usłyszałem najbardziej niewiarygodny dźwięk.

Przywodził na myśl muzykę – dźwięki wydawane przez harfę uderzoną wprawna ręką barda. Zdawało się, że jakaś niewidzialna dłoń wydobyła triumfalny akord, ostatni ton radosnej pieśni, której dźwięki rozsadały serce. Cudowny dźwięk wypełnił komorę, wznosząc się, wirując, wnikając w każdą szparę, pęknięcie, w każdą szczelinę i kąt podziemnej groty, rozbrzmiewając w samej skale. Kryształy w ścianach komory zaczęły świecić jasnym blaskiem, jakby zapłonęły, zajęte od iskier z pękniętego kamienia.

Jednocześnie z dźwiękiem, który wypełniał mi uszy, i blaskiem, który oślepił mi oczy, mój umysł został zalany nagłym przyływem wyrazistych obrazów. Zobaczyłem, niczym pijany złocistym miodem – przez oszałamiającą, zaciemniającą rozumienie mgiełkę – wspaniały ciąg obrazów, jaskrawą wizję fantastycznie bogatego i cudownego świata: świata nieskończenie żywego, pełnego piękna i wdzięku; błogosławionego świata przybranego w zieleń i błękit – niezrównaną zieloność trawy i drzew, zboczy wzgórz i lasów, promienny błękit jasnego nieba i wody; świat stworzony dla ludzi i przystrojony we wszelkie dobra ku ich wygodzie i pożytkowi; świat promieniujący pokojem, w którym wszystko jest pochwałą materii, z której powstało – od najmniejszego listka po największą górę ze wszystkiego była ogromna wspaniałość, dobro i prawość.

Moja wizja stała się wyraźna i fantastyczna. Wszystko, na co spojrzałem, otaczały promienne tęcze: drzewa, góry, ptaka czy zwierzę. Widziałem wszystko wyraźnie, jasno i ostro jak ostrze włóczni płonące blaskiem słońca i otoczone tańczącą aureolą tęczowego światła. Słuch mi się wyostrzył: słyszałem krzyk polującego orła, kołującego wysoko w przestworzach nad Ynys Sci; słyszałem szelest suchych liści pod nogami dzikiej lochy, przemierzającej leśne dróżki Ynys Oer; słyszałem nawet wieloryba płynącego mrocznymi szlakami morskich głębin.

A ponad wszystko i we wszystkim słyszałem muzykę – i to jaką muzykę! Słyszałem dzikie piski fujarek, czarujące dźwięki harfy: dziesięć tysięcy fujarek, tysiące tysięcy harf! Słyszałem głosy dziewic zlewające się w słodkiej harmonii, zbyt jasne i piękne, by słuchać ich bez bólu serca. Słyszałem przeszywające wezwanie myśliwskiego rogu. Słyszałem

rytmiczne uderzenia w bębny, zniewalające, nagłące. Słyszałem wszystko, co działo się w tym ziemskim królestwie – ale wyniesione, powiększone, zachwycające. Był to splot niezliczonych melodii i pasaży, nieustannie zmieniających się, wiecznie nowych, wiecznie świeżych, jakby rozbrzmiewały po raz pierwszy, zachowane na zawsze w swej niewinności.

Zalewało mnie jeszcze bogactwo tych nadzwyczajnych obrazów, gdy uświadomiłem sobie, że widziałem sam Albion, ale wznioślejszy, szlachetniejszy i czystszy od Albionu, który znałem. Albion doskonały w niewysłowionej czystości, nieskazitelności, bez wad. To była najświetniejsza esencja Albionu, przedestylowana niczym bezcenny eliksir w migotliwy atom niezrównanej doskonałości.

To cudowne objawienie, tak uderzające do głowy i wspaniałe, wprawilo mnie niemal w omdlenie. Przyprawilo mnie z rozkoszy o zawrót głowy. Otworzyłem usta, aby się roześmiać, a one natychmiast napełniły się niedoścignioną słodyczą – nie tak ciężką jak miodowa, ale delikatną i czystą – tak nadzwyczajnym i wybornym smakiem, jakiego dotąd nie znałem. Oblizalem usta i wyczułem na nich słodycz. Było nią nasycone samo powietrze; była wszędzie.

Obraz, dźwięk i smak połączone w jedno ku memu zatraceniu. Roześmiałem się głośno. Śmiałem się, dopóki mój śmiech nie rozpuścił się we łzach, i sam nie wiem, co przyniosło mi większą ulgę. Czuję się pochwycony w ekstazę światła i dźwięku. Byłem jednością z dźwiękiem, który wirował wokół mnie nieustannie. Niczym strzęp piany porwany falą przyływu, byłem niesiony przez potężną, wszechwładną moc muzyki. Byłem jak samotna kropla wtapiająca się w przepastny ocean cudownych dźwięków. Obmywał mnie ze wszystkich stron i przepływał przeze mnie; zlewałem się z nim, wtapiałem się weń, stawałem się z nim jednym – tak jak dźwięk fletu staje się jednym z oddechem, który go wydał. Stałem się dźwiękiem. Byłem dźwiękiem.

Wtem, równie nagle jak się rozległ, wspaniały dźwięk umilkł.

Szybowałem przez moment, jakbym spadał, po czym wróciłem do siebie. Słyszałem cichnące w oddali echo harfy. Blask opromieniający komorę gaśl. Zrozumiałem, że wszystko, co słyszałem i widziałem, trwało zaledwie ułamek sekundy, ułamek uderzenia serca – najmniejszy z przedziałów czasu odpowiadający trzaskowi pękającego kamienia. A jednak, w tej ulotnej chwili trwania dźwięku był on niekończący się, zupełny i wieczny. Wówczas zrozumiałem znaczenie cudownej wizji, zawartej w niewysłowionej muzyce, którą słyszałem.

Słyszałem Pieśń Albionu. Nie całą pieśń, nawet nie najmniejszy fragment pieśni; jedynie srebrzysty błysk pojedynczej nutki, oto co słyszałem. Ale ten drobnutki fragment napełnił mnie niewyobrażalną siłą, mądrością i mocą. Poczulem dotknięcie Pieśni, a choć był to najlżejszy z możliwych dotyków, wiedziałem, że się zmienilem; dogłębnie i gruntownie.

Zrozumiałem to w pełni, gdy Tegid wrócił z pochodnią.

–Co to było? – zapytał, wchodząc do komory. – Co się stało?

–Słyszałeś to? – Odwróciłem się ku niemu.

Bard był tak zaskoczony, że o mało nie upuścił pochodni. Cofnął się i zasłonił ręką.

–O co chodzi, bracie?

Ale Tegid nie odpowiedział. Nadal wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

–Co widzisz, Tegidzie? – zapytałem, a gdy nie odpowiedział, poczułem irytację. – Przestań się gapić i odpowiadaj!

Wówczas podszedł bliżej, ale ostrożnie, z twarzą na wpół odwróconą, jakby się bał, że mogę go uderzyć. Pochodnia drżała w jego dłoni; wziąłem ją więc od niego, aby jej nie upuścił. Tegid skulił się i oddał mi pochodnię.

–Proszę, panie! – krzyknął. – Nie mogę tego znieść!

–Znieść? O czym ty mówisz? Tegid, co się z tobą dzieje? – Chciałem do niego podejść.

Ale bard cofnął się, wtulając głowę w ramiona. Zatrzymałem się.

–Czemu tak się zachowujesz? Tegid! Odpowiedz mi! Mój krzyk wypełnił kryształową komorę i przetoczył się po podziemnych korytarzach niczym huk gromu.

Tegid padł na kolana jak rażony piorunem. Podszedłem do niego i zdawało mi się, że przyglądam się jego skulonemu ciału z ogromnej wysokości. Zacząłem drżeć; moje członki dygotały, poczułem gwałtowne drgawki – każdy mięsień i wewnętrzny organ drżał pod wpływem nie kontrolowanych skurczy.

–Tegid! – wrzasnąłem. – Co się ze mną dzieje?

Czułem, jak skręcam się, zaciskam zęby, a z kącików ust cieknie mi ślina. Dziwne słowa – słowa, których nie znałem – bulgotały mi w gardle i paliły język. Z każdym wymówionym słowem czułem, jak rozplywa się moje ciało. Pozbywałem się krępujących więzów, gubiłem okowy, wznosiłem się w mym ciele, tak jakbym przepływał przez warstwy gęstszej atmosfery, wzbijał się do obszarów większej czystości i jasności, aż stałem się jedynie duchem, gotowym do wyfrunięcia z więzienia niezdarnego i nieporęcznego ziemskiego wcielenia. Byłem duchem i leciałem – wyżej i wyżej, wysoko do najwyższych wyżyn ponad falującym morzem, tak wysoko, jak szczyty Cethness, tak wysoko, jak złocisty orzeł nad Ynys Sci...

A potem zapadłem się w miękkie, mroczne serce wszechogarniającej ciszy. To było dla

mnie błogosławieństwem bardziej cudownym niż wspaniała muzyka i światło mego poprzedniego objawienia. Ponieważ usłyszałem w tej ciszy stabilność podwalin stworzenia: wiecznych i niezmiennych, nieugiętych i niezdobytych, niewyczerpanych w bogactwie swej zasobności, kompletnych i absolutnych, podtrzymujących wszystko, co było i co kiedykolwiek będzie.

Pograżyłem się w błogosławionej ciszy i pozwoliłem, by otuliła mnie swą cierpliwą czułością. Podałem się jej, a ona przyjęła mnie, jak ogromny ocean przyjmuje ziarnko piasku, gdy wpadnie w jego bezdenne głębiny. Byłem nieruchomym środkiem, wokół którego trwa taniec życia; stałem się jednym doskonałym spokojem, który jest źródłem wszelkiego istnienia. Piłem do woli z przynoszącej ulgę ciszy, którą przenikałem i która teraz mnie wypełniała. Piłem i czułem, jak pogrążam się w wiecznym, nieskończonym uścisku, tonę w kochających ramionach – niczym zagubione dziecko w kojących, uspokajających objęciach matki.

Ocknąłem się, jeśli to w ogóle było przebudzenie, w ciemnościach czarnych jak smoła. Upuściłem pochodnię, a ona zgasła. Leżałem na boku, z podciągniętymi kolanami, z głową przytuloną do piersi. Podniosłem się powoli. Tegid usłyszał ruch.

–Gdzie jesteś, panie? – zawołał.

–Tutaj jestem, Tegidzie – odpowiedziałem. Głowę miałem obolałą, resztę ciała również. Rzuciłem się tak bardzo, że cały się posiniaczyłem.

Usłyszałem szelest w ciemności i poczułem muśnięcie ręki Tegida, gdy niezdarnie usiłował mnie wymacać w ciemnościach.

–Jesteś ranny? – zapytał.

–Raczej nie – powiedziałem, ruszając obolałymi szczękami. – Chyba niczego nie zламаłem.

–Znalazłem pochodnię, ale jest wypalona – powiedział bard i dodał z cichą rozpaczą: – Nie wiem, gdzie znajdziemy inną.

Podniosłem się ostrożnie i stanąłem, chwiejąc się przez chwilę. Siła wróciła... i wzrok. Nie wiem, jak to się działo, ale widziałem. To, co przedtem było całkowitą i absolutną ciemnością, teraz było zaledwie mrokiem – niczym wnętrze jednego ze składów Meldryna Mawra. Widziałem w ciemnościach. Widziałem!

Jednakże nie wydało mi się to czymś szczególnie godnym uwagi. Być może było to następstwo blasku, który mnie oślepił. Wdzięczny byłem za możliwość widzenia, ale nie sprawiało mnie ono w osłupienie. Wydawało mi się zupełnie normalne to, że potrafiłem widzieć, że moje oczy z taką łatwością przenikały ciemności.

–Wszystko dobrze, bracie – powiedziałem – nie ma się czego bać. – Potem powiedziałem

mu, że widzę na tyle dobrze, aby odszukać powrotną drogę.

Odwróciłem się do sterty kamieni, na której leżało ciało Phantarcha. Był martwy, ale pieśń – Pieśń Albionu – nie umarła wraz z nim. Mądry Phantarch zadbał o to. Przypuszczam, że mordercy, nie śmiąc obudzić kogoś tak potężnego, po prostu zasypali jego nieruchome ciało kamieniami, powoli zagłuszając życie w śpiącym Phantarchu. Jednakże nim im się to udało, przebiegły bard znalazł sposób na uratowanie swego drogiego skarbu.

Bezsilny Phantarch potężnymi czarami zaklął Pieśń w kamienie, które go przysypały i zabiły. Pieśń nie była stracona. Kamienie u moich stóp wibrowały nią.

Podszedłem szybko do przeciwnego krańca komory i zacząłem badać ściany. W połowie obwodu znalazłem to, czego nie byłem w stanie dostrzec przy świetle pochodni: niski korytarz, wejście zasypane kamieniami i odłamkami skał. Przyszło mi na myśl, że być może mordercy Phantarcha nie przybyli do kryształowej komory tą samą drogą, co ja i Tegid. Wyglądało na to, że wdarli się do niej z zewnątrz, a potem użyli skały skruszonej w tunelu do zasypiania Phantarcha i zabicia go.

–Tegid! – zawołałem, wracając do stosu kamieni i zdejmując po drodze płaszcz. – Szybko, zdejmij płaszcz i rozłóż go na ziemi.

–Po co? – zapytał, wpatrując się ślepo tam, skąd dochodził mój głos.

Wyjaśnię ci przy pracy, ale rób dokładnie to, co ci powiem, i rób to szybko. Musimy się pośpieszyć i módl się do Wszechwiedzącego, aby już nie było za późno.

35. Śpiewające kamienie

ie wiem, jak długo byliśmy w Domhain Dorcha, w miejscu za Sercem Serc, głęboko wewnątrz góry. Podążaliśmy do warowni na górze najszybciej, jak potrafiliśmy, ale nasz marsz był morderczo trudny i powolny. Dźwigaliśmy ciężkie brzemie, a droga była kręta i stroma. Szliśmy tunelem, którego użyli mordercy, a każdy z nas niósł na plecach tobolek pełen kamieni z grobu Phantarcha.

Po kilkudziesięciu krokach od komory Phantarcha tunel przechodził w naturalną jaskinię, wyrzeźbioną w miękkiej skale przez rwące wody podziemnej rzeki. Rzeka mknęła obok, tocząc swe wody nieustannie w dół i w dół, w głąb ziemi, hucząc głośno. Pędziła ku swemu tajemniczemu miejscu przeznaczenia gdzieś w dole, my zaś wyęźaliśmy wszystkie siły, pnąc się ku górze, zmęczeni, krok za krokiem, z zarzuconymi na plecy płaszczami, naprężonymi pod ciężarem niesionych kamieni.

Tegidowi było trudniej. Ja przynajmniej widziałem tyle w ciemnościach, aby odszukać drogę, ale on musiał zawierzyć mojemu przewodnictwu. Podążał za mną ślepo, trzymając się końca mej koszuli, stawiając stopy na śladach mych stóp. Pomimo to potykaliśmy i przewracaliśmy się, siniacząc sobie i tak już obolałe ciała, za każdym razem podnosząc się

wolniej niż poprzednio. Z wysiłkiem chwytaliśmy się, czego się dało, i ciągnęliśmy wraz ze swym ciężkim ładunkiem wyżej i wyżej – wspinaliśmy się od serca góry, tak jakbyśmy wyciągali się z bólu i ciemności samych czeluści piekielnych.

Ręce, w których ściskaliśmy końce płaszczy, krwawiły, okrutnie pocierane. Skały kaleczyły nam golenie, łokcie i żebra; ostre krawędzie kamieni, które dźwigaliśmy, wbijały nam się w plecy. Stopy nieustannie ślizgały się po mokrej skale; palce nóg mieliśmy pokaleczone, a kolana zdarte do kości.

–Proszę – błagałem przy każdym boleśnie męczącym kroku – proszę, pozwól, abyśmy doszli do końca.

Ale końca nie było widać – jedynie ciemniejsze korytarze i bardziej mroczne tunele”, wypełnione otępiającym rykiem pędzącej wody, niezliczone kamienie zagradzające drogę, które trzeba było omijać, po których trzeba było się wspinać lub pod którymi trzeba było się przeciskać. Każdy zakręt korytarza jaskini przynosił rozczarowanie; każda sterta kamieni przynosiła ból.

Tegid, chwała mu za to, nie kwestionował mego przywództwa, i nigdy, pomimo całego udręczenia, nawet nie krzyknął. Znosił swój ból bez słowa; cierpiał w milczeniu. Całkowicie mi zaufał i kochałem go za to. Ja słyszałem Pieśń – czy raczej jej część – i wiedziałem, co z sobą niesiemy, ale Tegid tego nie wiedział.

Raz, gdy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, zapytałem go, czy słyszał jakieś dźwięki w komorze Phantarcha. Powiedział, że słyszał, jak wołałem jego imię. Nie przypomniałem sobie, abym wzywał go po imieniu, choć mogło tak być.

–Ale wierzysz, że ja coś słyszałem? – zapytałem.

–Wiem, że coś słyszałeś, panie – odparł. Jego przekonanie było nieugięte, niczym skała pod naszymi stopami. Zapytałem, skąd to wie, ale uchylił się od odpowiedzi. Poza tym rozmowa pochłaniała zbyt wiele energii i trudno było przekrzykiwać huk wody. Odpoczywaliśmy, leżąc w ciemnościach, słabi i wyczerpani, i zastanawialiśmy się, ile jeszcze musimy przejść.

Gdy przyszedł czas wyruszenia w drogę, trąciłem delikatnie Tegida i znowu stanęliśmy na drżących, słabych nogach, i zarzuciliśmy sobie ciężkie toboły na poranione plecy. Potem powoli ruszyliśmy dalej.

Zdawało się, upłynęły lata, wieki całe od chwili opuszczenia komory Phantarcha. Miałem wrażenie, że od zawsze wędrujemy po tym podziemnym świecie – zagubione duchy, błędzące cienie, ani całkowicie martwe, ani w pełni żywe, zmuszone do wędrówki pomiędzy światami, po wsze czasy dźwigające ciężar swych grzechów na zmaltretowanych plecach.

Po kolejnych dwóch krótkich postojach zauważyłem, że korytarz, którym szliśmy, zaczął się

wznosić i stopniowo robił się coraz bardziej stromy. Niedługo potem – a może to było nawet kilka dni, nie potrafię powiedzieć – doszliśmy do rozgałęzienia korytarza. Z prawej strony spieniona woda spływała po niemal pionowym stoku; korytarz po lewej stronie był suchy i dlatego go wybrałem. Opuściliśmy rzekę i jej ryczące wody, weszliśmy w lewy korytarz.

Nie uszliśmy daleko, gdy zauważyłem, że ściany zaczęły się zwężać, a strop począł się obniżać. Wkrótce musieliśmy schylić głowy.

Poczęliśmy się wciskać w coraz węższy tunel. Im dalej szliśmy, tym bliżej zbiegały się ściany i tym bardziej kurczył się korytarz. Czyżbym się pomylił? Być może obrałem zły tunel lub jeszcze wcześniej pomyliłem drogę. Być może po prostu błędziliśmy, zgubiwszy drogę w niekończących się podziemnych jaskiniach.

Osaczyły mnie wątpliwości, podobne szerszeniom wytrąsniętym ze spróchniałej belki. Głupcze!, wyrzucąłem sobie w duszy. Co ty wyprawiasz? Dokąd idziesz? Dlaczego sądzisz, że możesz coś zdziałać? Twój los jest przesądzony! Jesteś zgubiony. Głupcze, myślisz, że możesz się równać z Panem Nuddem i Coranyid! Poddaj się, człowieczku!

Zatrzymałem się i stałem zastanawiając się: powinniśmy zawrócić czy iść dalej? Zawrócenie zdawało się najmądrzejszym rozwiązaniem. Zawsze mogliśmy tu wrócić, gdyby ten drugi korytarz okazał się zły. Tą drogą mógł nikt nie iść. A jednak... jednak...

Nie mogłem się zdecydować. Nie mogłem zmusić się, aby ruszyć w tę czy w tamtą stronę, dopóki nie będę absolutnie pewny. Zwierzęcy upór nie pozwalał mi zawrócić; niezdecydowanie nie pozwalało mi iść dalej. Stałem więc niepewny i wahający się, a to wahanie bolało mnie bardziej niż wszystkie rany. Po prostu nie mogłem się zmusić do zrobienia kolejnego kroku, dopóki nie będę wiedział ponad wszelką wątpliwość, że jesteśmy na właściwej drodze. Ale to było niemożliwe.

Stalibyśmy tam jeszcze do teraz, gdyby Tegid nie ożywił się i nie powiedział:

–Widzę przed nami światło!

Istotnie, coś jaśniało w ciemnościach. Pozbawione światła oczy Tegida spostrzegły to natychmiast. Korytarz coraz bardziej się rozjaśniał, już teraz nie było wątpliwości.

Na zewnątrz był świt. Wędrowaliśmy po podziemiach przez całą noc, więc korytarz przed nami stawał się coraz jaśniejszy, ponieważ niebo na zewnątrz robiło się jaśniejsze. Gdybyśmy zawrócili, przegapilibyśmy to i być może nigdy nie odnaleźlibyśmy właściwej drogi.

Przyszło mi na myśl, że moje wahanie i zwątpienie spowodował Pan Nudd, próbując w ten sposób pozbyć się nas. Ale my nie ulegliśmy jego podstępowi. Teraz już wiedzieliśmy, że droga przed nami była właściwą ścieżką, a co więcej, byliśmy już blisko wyjścia. W każdym razie koniec naszych wysiłków był blisko.

–Odwagi – powiedziałem, bardziej do siebie niż do Tegida – jeszcze tylko kawałek.

Jednakże ten kawałek okazał się najtrudniejszy. Korytarz, już i tak wąski, zwęził się jeszcze bardziej za sprawą gładów sterczących ze ścian. Byliśmy zmuszeni pełzać pod przeszkodami lub, przyciskając twarze do zimnych, kamiennych płyt, przelazić przez nie mozolnie, ciągnąc za sobą swój balast.

Powoli posuwaliśmy się naprzód, ze wzrokiem utkwionym w przyćmionym świetle majaczącym słabo w szczelinie. Szara poświata nie rozjaśniała się ani nie gasła, świecąc stałym, choć słabym blaskiem, płynącym do nas gdzieś z góry. Na pozdieranych kolanach i krwawiących łokciach parliśmy wciąż dalej. Wytrwale, uparcie, ale wciąż jeszcze oddaleni od naszego celu.

Ciżmy na naszych stopach dawno już zamieniły się w rozmokłe strzępy skóry; nasze odzienie było podarte; twarze pokrywała warstwa krwi i potu. A gdy mięśnie zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa, gdy pokryte pęcherzami stopy nie chciały już zrobić następnego kroku, gdy już nawet kości krzyczały o wytchnienie, doszliśmy do końca.

Korytarz kończył się ślepą ścianą. Światło, które widzieliśmy, dobiegało z pionowej szczeliny. Płatki śniegu sypały się przez nią z góry i słyszeliśmy przejmujące wycie wichru, rozdzieranego o kamienie, gdzieś wysoko w górze przy wejściu. Widok czekającej nas wspinaczki odbierał nadzieję. Nie byliśmy jednak jedynymi, których rozpacz zaskoczyła w tym beznadziejnym miejscu. Położyliśmy nasze tłumoki z kamieniami i staliśmy przez chwilę, mrużąc oczy w świetle. Wtem Tegid wskazał na stertę odzienia, częściowo przysypaną śniegiem.

–Śmierć zebrała należne jej żniwo – powiedział bard, trącając stos nogą. – Ten od dawna jest już martwy.

Podszedłem do niego. Tegid odwrócił owinięte w płaszcz ciało. Odsunął zeszywniały materiał. Szare, zmrożone rysy, szeroko otwarte oczy, usta rozdziawione w wyrazie niedowierzania – to był Ruadh, bard księcia. Widziałem go raz czy dwa, ale rozpoznałem.

–Spadł? – zastanawiałem się, spoglądając na szczelinę powyżej.

–Nie sądzę – powiedział Tegid, unosząc płaszcz. Na piersi barda była brązowoczarna, teraz zeszywniała plama. – Ten, kto z nim był, pozwolił, by Ruadh pokazał drogę, a potem zabił go, by zabrał tę tajemnicę do grobu.

Teraz wiedzieliśmy, kto zabił Phantarcha oraz że Ruadh nie działał samotnie.

–Skąd dowiedzieli się o tym przejściu? – zastanawiałem się.

–Tego dowiemy się, gdy odkryjemy, kto był z Ruadhem. – Bard wstał i skierował się w stronę szczeliny. – Chodź, nic tu już po nas, jesteście potrzebni gdzie indziej.

Stałem pod otworem, splotłem ręce i podsadziłem Tegida do wylotu komina. Bard zaparł się plecami i nogami o ściany szczeliny i począł podciągać w górę, aż w końcu zniknął w mglistej jasności.

A potem... po całej wieczności usłyszałem, jak zawołał gdzieś z góry. Poderwałem się na nogi. Przy twarzy spadł mi koniec liny.

–Przywiąż do liny jeden z tobołów – krzyknął Tegid; jego głos rozbrzmiewał nikłym echem. – Wciągnę go na górę.

Patrzyłem, jak pierwszy toboł, kołysząc się, powoli wędrował do góry. Po dłuższej chwili Tegid ponownie zawołał do mnie i zrzucił linę po drugi toboł. Potem przyszła kolej na mnie. Za przykładem Tegida zaparłem się plecami i nogami o ściany komina i przesuwalem się stopniowo coraz wyżej. Tegid czekał, aby wyciągnąć mnie z otworu. Potem obaj padliśmy na ziemię i leżeliśmy ciężko dysząc przy zawianym śniegiem wejściu do jaskini. Było zimno, wiatr smagał nam skórę. Ale po podziemnych ciemnościach i cuchnącym powietrzu rześki chłód wydawał się nam błogosławieństwem. Przywrócił nas do życia i tchnął w nas nowe siły.

Wyszliśmy przez wyschniętą studnię, z której kiedyś korzystano w kuchni za halą. Nie widzieliśmy stąd bramy ani wschodnich murów, ale leżeliśmy przez chwilę nasłuchując – przez zawrośnięcie niezmiernego wichru słyszeliśmy straszliwe wycia Coranyid. Nadal tłoczyli się pod murami. Wróciliśmy na czas.

Spojrzałem na nasze postrzępione toboły, pomyślałem o trudzie wydzwignięcia ich z grobowca Phantarcha. W mroźnym, przyćmionym świetle mrocznego dnia sollen te dwa sfatygowane toboły kamieni zdawały się boleśnie małe, bezsilna broń wzniesiona przeciwko tak zawziętemu i nieugiętemu wrogowi.

Tegid przyglądał mi się przez chwilę, wstrząsany dreszczami. Potem wsparł się ciężko na moim ramieniu, klęknął i z ogromnym wysiłkiem wstał.

–Chodź, zimno tu i zaczynam już tęsknić za swoim płaszczem.

Stałem na sztywnych nogach i zmusiłem swe zeszywniałe ręce do chwycenia tobołu.

–Dobrze – powiedziałem, znowu zarzucając go sobie na plecy – zróbmy, co mamy zrobić.

Cały wysiłek skupiłem na utrzymaniu się na nogach. Zmuszenie zeszywniałych kończyn do chwiejnego kroku było niemal ponad siły. Nie myślałem o chłdzie ani o tym, jak bardzo byłem wyczerpany, ani co zrobię, jeśli mój absurdalny plan zawiedzie. W hali jasno płonął ogień na palenisku. Skupiłem się na tym obrazie i zmusiłem się do marszu. Im prędzej pozbędę się swego brzemienia, tym prędzej będę mógł usiąść przed ogniem Meldryna Mawra i odpocząć... błogosławiony odpoczynek. Teraz już tylko to mnie obchodziło; myśl o ciepłym kubku w dłoniach, suchym odzieniu na wycieńczonym ciele i odpoczynku

utrzymywała w ruchu moje zmaltretowane ciało.

Krok za krokiem przemierzaliśmy podwórzec i dotarliśmy do murów. Wojownicy na umocnieniach gapili się na nas zdziwieni. W ich oczach był lęk i oszołomienie. Żaden nie odezwał się nawet słowem.

Pomyślałem, że to zastanawiające, i zawołałem, aby nam pomogli wciągnąć toboły na górę, ale oni nie ruszyli się.

–Co z nimi? – zapytałem gniewnie Tegida. – Czemu tak stoją i gapią się na nas? Nie słyszą?

–Słyszają cię – odparł z dziwną nutą w głosie Tegid.

–Zatem zamierzli tam czy co?

–Nie – pokręcił lekko głową – nie zamierzli.

–No to co im jest? Czemu nam nie pomagają?

Nie odpowiedział. Poprawił sobie ładunek na plecach i wskazał na oblodzone stopnie.

–Idziesz pierwszy? – zapytał.

Z trudem wspinaliśmy się po oblodzonych schodach. Nawet potępieńcowi byłoby łatwiej wspiąć się na szubienicę. Znużenie i senność opadały na utrudzone członki niczym ogniwa żelaznego łańcucha. Nogi pode mną drżały. Serce z trudem waliło w piersiach; oddech palił gardło. Nie pragnąłem niczego tak bardzo, jak pozbycia się dźwiganego na plecach tobołu – co za głupota nosić kamienie! Z pewnością chwila odpoczynku nie zaszkodzi.

Odpoczynek... odpoczynek i sen...

Nie. Nie będzie odpoczynku ani snu, dopóki nie zakończę tego, co muszę zakończyć. Krok za krokiem, a każdy krok zdawał się trwać całe życie. Drżąc z zimna i wyczerpania, postawiłem stopę na następnym stopniu i dźwignąłem się do góry. Ależ byłem zmęczony. Tak zmęczony...

Spojrzałem na umocnienia i zobaczyłem wojowników nadal tkwiących w zdumionym bezruchu. Czemu mi nie pomagają? Czemu gapią się tak na mnie? Czy nikt nie wyciągnie do mnie pomocnej dłoni?

Ciemna mgła poczęła mi się gromadzić przed oczyma, przesłaniając twarze wojowników. Zamknąłem oczy i uniosłem nogę na następny stopień, ale stopa osunęła mi się z jego krawędzi. Przewróciłem się w przód i uderzyłem kolaniem o schody. Tobół osunął się na bok, niemal wyrywając mi ramię ze stawu. Każdy nerw i każde ścięgno krzyczało, bym

puścił węzeł, który tak mocno ścisnąłem, bym pozwolił spaść swemu ciężarowi. Moje życie było przecież cenniejsze. Zesztywniałe ręce jednakże nie posłuchały; przemarznięte na śmierć, odrętwiałe, nadal trzymały węzeł.

Ból sprowadził łzy, które zamarzały na wietrze, piekąc policzki.

A choć kolana mi dygotały, to ból przynajmniej rozpędził czarną mgłę przesłaniającą oczy. Znowu widziałem wyraźnie. Podniosłem jeszcze raz tobół na plecy, wstałem i wszedłem na następny stopień, a potem na jeszcze następny.

Później stanąłem na murach, ściskając ciągle swój drogocenny balast, pośród wojowników najwyraźniej zdumionych moją głupotą – kołysząc się w podmuchach złośliwego wichru, szarpącego moje postrzępione odzienie, smagającego moje ciało.

Wsparłem się piersią o ścianę i opuściłem swe brzemię. Tegid podszedł do mnie chwiejnym krokiem i obaj wyjrzelśmy za mury, na kłębiących się poniżej Coranyid. Byli jeszcze bardziej wstrętnei i ohydnei, niż pamiętałem: wielkie, niezdarne, czerwone, podobne ropuchom monstra, górujące nad mniejszymi, laskonogimi, szkieletowatymi stworami, całe zastępy gadzich poczwar, armie nagich, pękających na wpół ludzi, na wpół skrzatów z przerośniętymi genitaliami, skurczonymi głowami.

Widziałem kłębiące się, nadęte, niekształtne, powykrzywiane ciała, drwiące, łypiące złośliwie oczy i zapłonąłem gniewem z powodu ich bluźnierczej radości. Klęknąłem obok tobołu i zacząłem rozwiązywać węzeł, ogarnięty nagłą obawą, że przybyłem za późno, że żadna moc na ziemi nie potrafi powstrzymać nadejścia zła, które zostało przeciwko nam uwolnione.

Szarpałem węzeł. Był mocno zawiązany, oblodzony i nie chciał się rozsuptać. W odruchu rozpaczy obróciłem się i wyrwałem włócznię z rąk najbliższego z oniemiałych wojowników. Dźgnąłem płaszcz włócznią, rozrywając materiał. Kamienie wysypały się na śnieg, matowe i bezbarwne w pełnym świetle. Ich szary wygląd zwiódł mnie. Z całą pewnością pomyliłem się. Nagle mój plan wydał mi się absurdalny.

Uniosłem oczy i napotkałem spojrzenie obserwującego mnie Tegida. Moje wahanie mylnie wziął za zastanawianie się.

–Pozwól mi, bracie – powiedział i wybrał jeden z większych kamieni. – Zacznij od tego. – Jego pewność nie została zachwiana przez nasze ciężkie przejścia. Jego wiara we mnie zdawała się nawet jeszcze większa.

Ująłem kamień w dłonie, wyprostowałem się i odwróciłem ku obrzeżom murów. Wiatr dmuchał ostro, jakby chciał wyrwać mi kamień z rąk. Coranyid falowali wokół podstawy twierdzy niczym smagane wichrem morze, krzycząc, zawodząc, wyciągając swe paskudne łapska. Poczułem przyptyw mdłości i niesmaku. Jednym szybkim ruchem uniosłem kamień i posłałem go ze szczytu murów na znieawidzone głowy armii demonów.

Widziałem, jak wirował w czasie lotu. Demony rozproszyły się i kamień uderzył w skalistą skarpę, rozbijając się na kawałki pod wpływem uderzenia.

W tej samej chwili powietrze wypełnił dźwięk – ów niezrównany dźwięk trąconej dłonią harfy, ów akord, który słyszałem w komorze Phantarcha. Ten nadzwyczajny dźwięk wybuchł z kamienia, w którym był zawarty, rozrywając powietrze eksplozją wibrującej muzyki.

Demony Coranyid zadrżały. Nim zdążyły się przegrupować, Tegid podał mi następny kamień i posłałem go w ślad za pierwszym. Drugi kamień uderzył w skały i wydał z siebie donośny, pełen triumfu dźwięk, który wznosił się lśniącymi falami, rozbiegając się od punktu uderzenia, jakby chciał zalać cały świat.

Tegid miał już przygotowany trzeci kamień, a powietrze nadal rozbrzmiewało echem strun. Rzuciłem go za mury, uderzył o ziemię i rozpadł się na kawałki. Każdy kawałek wydał migotliwy, srebrzysty, zdumiewająco piękny ton, a jego echo rozbrzmiało pośród okolicznych szczytów.

Ci, którzy byli z nami na murach, osłupieli, słysząc te dźwięki. Z królewskiej hali wylegli na podwórzec nasi rodacy. Stali na śniegu i gapili się na góry rozbrzmiewające dziwną i wspaniałą muzyką.

Pochyliłem się, zebrałem naręcz kamieni i wcisnąłem je w ręce najbliższego z wojowników. Tegid uczynił to samo i na mój znak wszyscy razem cisnęliśmy zaczarowanymi kamieniami w Coranyid. Uwolnione dźwięki wybuchnęły ogłuszającą salwą radosnego triumfu.

Demony wzdrygnęły się na ten dźwięk, cofając się przed nim jak przed rozpalonym żelazem. Kłębowały się i wiły, wyły, wrzeszczały, podskakiwały w męczarniach, wpadały na siebie w pośpiesznej ucieczce przed atakiem śpiewających kamieni.

Ludzie na podwórku usłyszeli ten cudowny dźwięk i rzucili się na mury, aby patrzeć na odwrót straszliwych Coranyid, którzy znikali niczym plama pod wpływem wody.

Wtem w wycofującym się tłumie demonów powstało zamieszanie. Z ich kłębowiska wyłoniła się ogromna, ciemno odziana postać, jadąca na potężnym turze, czarnym niczym skrzydła kruka. Ten wódz miał na sobie czarny płaszcz i trzymał czarną tarczę; w prawej dłoni miał długi, zakrzywiony miecz, czarny niczym wypolerowany gagat – kiel Wyrma. Na szyi miał zwiniętego węża, żywy torques o połyskliwej, czarnej skórze i żółtych ślepiach płonących niczym węgle. Nie widziałem jego twarzy, ukrytej pod czarnym, wojennym hełmem. Ale nie musiałem widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że to był Nudd, Książę Piekieł i Annwn, straszliwy Pan Królestwa Piekieł, który jechał do boju na swym dziwnym zwierzu. Przybył, aby podtrzymać bojowego ducha w armii demonów.

Ciemna postać Nudda zbliżała się powoli ku murom. Coranyid, powstrzymane nagłym pojawieniem się ich pana, pognały za nim, a jęki agonii zmieniły się w pełne triumfu wrzaski.

Zbliżały się obrzydliwą, skłębioną masą.

Tegid i ja szybko zaczęliśmy podawać nabrzmiałe Pieśnią kamienie do rąk wszystkim stojącym na murach – mężczyznom, kobietom a nawet dzieciom – aż wszyscy, którzy do nas dołączyli, mieli po kamieniu.

Nudd uniósł kiel Wyrma. Czarne ostrze zakreśliło w powietrzu łuk. Na jego komendę zgromadziły się burzowe chmury. Wiatr zawył, przechodząc w wichurę, rozrywając się na kamieniach w naszych dłoniach, uderzając i szarpiąc wszystkich, którzy stali na murach. Wycie wichru zagłuszyło wszystko inne. Śnieg i lód kłuły nas w oczy. Niektórzy załamywali się pod zaciekłym atakiem lodu i wichru; ich miejsce zajmowali inni. Linia pozostawała nierozzerwana.

Nudd zbliżał się. Z każdym krokiem straszliwa postać rosła coraz bardziej. Nie widziałem twarzy ukrytej pod hełmem, ale mroczna złośliwość tego Pana Piekieł dźgała mnie niczym ukłucia nożem. Serce waliło mi dziko w piersi.

Wróg był straszliwy ponad wszelką miarę, potężny ponad wyobrażenie. Nie mogliśmy uciec przed jego gniewem. Zgniecie nas na pył pod swymi stopami. Już pozbawiał życia nasze ręce. Palce drętwiały mi, stawały się śliskie. Nie czułem już trzymanego w dłoniach kamienia.

Pan Nudd opuścił czarne ostrze i jego ochoczy pachołkowie skoczyli do ataku, rzucili się na mury, poczęli wdzierać się na pionowe ściany twierdzy. Wiedziałem, że moi współplemieńcy czekają, abym dał im rozkaz do rzucenia kamieni. Obserwowali mnie, czekali, abym objął przywództwo. Ale je nie mogłem. Kimże byłem, abym potrafił przechytrzyć tak potężnego wroga?

Odwróciłem się od ich wyczekujących twarzy. Odwróciłem się i zamknąłem oczy.

I wówczas poczułem dotknięcie silnej dłoni. Otworzyłem oczy i moje spojrzenie spotkało się z jasnym, pewnym siebie wzrokiem Meldryna Mawra. Nie wiem, kiedy się pojawił ani skąd. Osłabiony z głodu i pragnienia, wychudzony i słaniający się na nogach – a jednak tu był, stał obok mnie, uspokajając moją drżącą rękę. Król nie odezwał się, ale jego odwaga dodała mi śmiałości, wzmocniła moją słabnącą dzielność, tak jak jego ręka wzmocniła moją.

Odwróciłem się. Zobaczyłem głowę i ramiona Pana Nudda wznoszące się ponad poziom murów. Był ogromny w swej niezmiernej, nabrzmiewającej nienawiści. Za chwilę nas zmiażdży. Spojrzałem na króla; skinął głową, pozwalając mi wydać rozkaz.

–Teraz! – krzyknąłem. Podniosłem zaczarowany kamień wysoko ponad głową i cisnąłem go prosto w ciemne oblicze Nudda. Cisnąłem go z całej swej siły.

zdłuż całego muru kamienie poszybowały prosto w nawałnicę. Wirowały, toczyły się, zderzały, rozpadały na tysiące błyszczących kawałków; przez zasłonę śnieżycy spadały w kotłującą się masę wrogów. A z każdego okrucu i kawałka wydobywały się tony tej niezrównanej melodii.

Pojedyncze tony splatały się i zlewały, wzmacniały się, stawały się coraz czystsze i głębsze. Pana Nudda ogarnęła wściekłość na dźwięk tych tonów; uniósł czarny kiel Wyrma i zawodzenie wichru zmieniło się w ogłuszający ryk. Wicher zagłuszył cudowną melodię, zdusił ją przerażającym wyciem. Z całą pewnością byliśmy pokonani; nic, nawet Pieśń Albionu nie potrafi oprzeć się uderzeniu nienawiści Pana Ciemności, Śmierci i Zniszczenia.

Wicher wirował, chwycił dźwięki i unosił je wysoko, jakby chciał je porwać. Ale dźwięk nie zginął w śnieżnej nawałnicy. Wznosił się i wzmacniał, szybował na skrzydłach wichury, wypełniał wichrowe przestworza migotliwą melodią, jakby wichura dodawała jej siły. I nagle dźwięk zaczął formować się w słowa. Zabrzmiały życiodajne słowa Pieśni Albionu:

Chwało słońca!

Płomienna gwiazdo na przystrojonych w klejnoty niebiosach!

Światło światła, Wzniosta i Święta Kraino,

Promienna i błogostawiona przez Wszechmocnego;

Darze ofiarowany na zawsze Rasie Albionu!

Bogata w wiele wód! Błękitne głębiny,

Brzegi obmywane spienionymi falami, uświęcony firmament.

Potężna mocą Jedynego,

Łagodna pokojem wielkiego błogostawieństwa;

Bogactwo cudów dla Plemion Albionu!

Zieleń olśniewająco niezrównanej czystości!

Czysta niczym blask doskonałego szmaragdu,

Opromieniający cieniste doliny,

Lśniący na gładko zaoranych polach;

Klejnocie wielkiej wartości dla Synów Albionu!

Coranyid nie potrafiły stawić czoła mocy Pieśni. Padły rażone dźwiękiem, krztusząc się, wymiotując i z trudem łapiąc oddech. Pieśń okrążyła je i armia demonów poczęła znikać, wsiąkać z powrotem w ziemię, rozpuszczać się niczym błoto w strugach deszczu. Wstrętny, piekielny pomiot zapadał się po kostki, kolana i biodra, rozpuszczając się, wsiąkając, kurcząc się, wracając do szczelin otwierających się w ziemi na ich przyjęcie. Bezlitosna jasność Pieśni spychała ich w dół, spływała na nich radosnym refrenem, niczym wodospad świetlistych strzał. Uciekali przed nim, śpiesząc z powrotem ku ponurym galeriom swego podziemnego domu.

Obfitująca w ośnieżone szczyty, rozległa ponad miarę,

Twierdza stromych gór!

Wyniosłe wyżyny – ciemniejące lasami i

Mknącymi jeleniami czerwieniące się

Wszem i wobec sławią wielką wspaniałość Albionu!

Rącze konie na rozległych łąkach! Wdzięczne stada

Na złociście ukwieconej murawie,

Mocnych kopyt bicie,

Grzmot pochwały dla Wszechmogącego,

Dar radości dla serca Albionu!

Pieśń zataczała kręgi coraz wyżej w chmurach, przeszywając posępne, zimowe niebo. Wtem rozbłysło jaskrawe i oślepiające światło słońca, oczyszczając najbardziej zacienione miejsca ze zgęstniałego mroku, wypędzając ciemności. Jasne, złociste światło dotknęło piekielnej czeredy, która uciekła z wielkim krzykiem – zmykając jak jaszczurki, gramoląc się jak żuki, wijąc się jak żmije – uciekała w bezpieczne schronienie swych wilgotnych, cuchnących nor.

Tymczasem powietrze rozbrzmiewało echem strzelistej Pieśni. Cały Albion drżał od jej dźwięku. Echo Pieśni rozbrzmiewało wśród szczytów, wypełniało doliny i jary. Niczym wody potężnej powodzi przerywającej tamę i zalewającej krainę, niczym fontanny słodkiego, złocistego nektaru tryskające z bezdennej beczki, niczym promienna rzeka wypływająca z nieskończonych źródeł, wzbierająca, rozlewająca się, przelewająca przez brzegi, spływająca kaskadami po kramie, zmywając wszystko na swej drodze w potopie, w potokach krystalicznej wody. A my złożyliśmy dłonie i piliśmy łąpczywie, ale wody Pieśni wciąż płynęły takim samym strumieniem.

Pochwyciliśmy jedynie najmniejszy fragment całości, ale już ta odrobina była dla nas życiem. Życiodajne słowa zapadły w nasze serca i dusze. Szlochaliśmy z radości, słuchając ich.

Złociste zapasy ziarna Wielkiego Dawcy,

Obfita szczodrość urodzajnych pól:

Złocista czerwoność jabłek,

Słodycz lśniących plastrów miodu,

Cud obfitości dla plemion Albionu!

Srebrzysty dar rojących się od bogactw

Szczęśliwych wód;

Cętkowane brunatnie wzgórza,

Zaopatrujące w lśniące stada

Pana Uczty;

Cud obfitości dla stołów Albionu!

Nudd, samotnie stojący pośród powodzi swych wycofujących się sił, uniósł włócznie i krzyknął wyzywająco. Ale Pieśń, podzwaniając wokół niego, zdusiła jego krzyk. Zamiast wstrętnego głosu Nudda usłyszeliśmy Ją:

Mędracy, Bardowie Prawdy, odważnie mówiący

Z serc płonących Żywym Słowem;

Głębokiej wiedzy, Przenikliwego umysłu,

Chwała prawdy dla Wiernego Ludu Albionu!

Rozniecony przez niebiańskie płomienie, oprawny

Ogniem wszechogarniającej Miłości,

Zapalony najczystsza namiętnością,

Płonącą w królewskim sercu Stwórcy,

Splendor szczęśliwości oświecający Albion!

Plugawy Pan nie mógł dłużej stawiać czoła wzniosłemu majestatowi Pieśni. Opuszczony przez swe oddziały potępieńców, osłabiony wspaniałym i bezlitosnym atakiem Pieśni, Książę Piekieł, Pan Zepsucia, Nudd, zapadł się w sobie. Jego wściekły krzyk poszybował ku szczytom gór, ale Pieśń przykryła wszystko, przeniknęła wszystko, przepełniła wszystko swymi radosnymi dźwiękami.

Szlachetni panowie klęczący w słusznym uwielbieniu

Dozgonnych ślubów wiekuiście wiążących,

Przyjmijcie wyznanie łaski,

Wieczne oddanie Wodzowi wodzów;

Życie poza śmiercią darowane Dzieciom Albionu!

Władza królewska wyryta z Bezgranicznej Cnoty,

Zręcznie wykuta przez Zręczną Pewną Rękę;

Śmiała w Prawości, Mężna w Sprawiedliwości,

Miecz honoru w obronie Klanów Albionu!

Uformowana z Dziewięciu Świętych Elementów,

Ukształtowana przez Pana Miłości i Jasności;

Łaska Łaski, Prawda Prawdy, Zesłana w Dniu Zmagań,

Na Aird Righ, by władał po wsze czasy Albionem!

Pokonany Pan Nudd podążył w ślad za swymi demonami Coranyid do czeluści podziemnego świata. Patrzyliśmy, jak jego czarna postać blednie i wiotczeje, rozpraszając się niczym brudna mgła w jaskrawych promieniach słońca. Nikczemny wróg po prostu zniknął na naszych oczach, zapadał się z powrotem w otchłań, z której go uwolniono. Sam Nudd odszedł ostatni i zabrał z sobą Kocioł Ponownych Narodzin.

Spojrzałem na skalisty płaskowyż: nie pozostał na nim ani jeden wróg. Wszędzie świeciło złociste słońce; błękitne niebo, oślepiające i promienne wyglądało przez rozdarcie w chmurach. Oblężenie skończone, po bitwie. Byliśmy uratowani.

Staliśmy, spoglądając po sobie. Przez chwilę jeszcze świat drżał echem Pieśni Albionu. A potem ciszą wstrząsnął potężny krzyk. Obróciłem się w jego kierunku i zobaczyłem Tegida wskakującego na obrzeże muru. Zaczął tam tańczyć z wyciągniętymi ramionami, a jego postrzępiony płaszcz fruwał wokół niego. Chwilę później wszyscy płakali i krzyczeli – ły

szczęścia, okrzyki radości. Inni wskoczyli na mur i przyłączyli się do tańców. Takiej radości nie można było pohamować. Cały ker rozbrzmiewał radosnymi dźwiękami.

Ponad pełną zachwyty wrzawę wzbił się głos Tegida. Silnym i czystym głosem zaintonował pieśń. A pieśń, którą śpiewał, była Pieśnią Albionu. Słowa płynęły prosto z jego serca, rozpalając serca wokół, niczym iskry z gorejącej pochodni. I wkrótce Pieśń rozbrzmiewała echem wśród okolicznych szczytów.

–Królu, słuchaj! – krzyknął, zwracając się do stojącego obok mnie władcy. – Pieśń Albionu została przywrócona życiu!

Ale król nie odpowiedział. Głowę miał zwieszoną, a oczy zamknięte; łzy spływały mu po policzkach, ramiona dygotały w bezgłośnym szlochu. Pośród wielkiej radości król Meldryn Mawr stał i płakał.

37. Heros króla

ramy Findargad rozwarło na oścież i wszyscy – mężczyźni, wojownicy, kobiety i dzieci – tańcząc z radości i uniesienia, wylegli na zewnątrz, aby przekonać się ponad wszelką wątpliwość, że Pan Nudd i armia demonów Coranyid odeszli. Wróg rzeczywiście został wypędzony do piekielnego królestwa podziemnego świata, pozostał po nim jedynie brudny śnieg – a i ten szybko topił się w jaskrawych promieniach słońca. Zniknął również dokuczliwy smród i odór, rozwiany świeżymi podmuchami wiosennych wiatrów. Llwyddi zakrzętnęły się żywo pod murami i porozrzucane kawałki przesyconych pieśnią kamieni zostały zebrane przez setki ochoczych rąk.

Tegid tanecznym krokiem przeszedł szczytami murów do miejsca, w którym stałem wraz z królem.

–Wróg jest pokonany! Twoje królestwo wolne jest od plugastwa. Czy teraz zdejmiesz z siebie geas i przemówisz do swego ludu, Wielki Królu? – zapytał.

Ale król uniósł załzawioną twarz i przywołał barda bliżej. Tegid pochylił ucho do ust króla, a potem uniósł ręce i zawołał do zgromadzonych na murach i na dole ludzi.

–Ludu Prydain! – krzyknął. – Wysłuchaj słów swego króla: Dziś nasz wróg został pokonany. Tej nocy będziemy świętować zwycięstwo w królewskiej hali. Trzy dni będziemy ucztować i odpoczywać; ale czwartego dnia opuścimy to miejsce i wrócimy do naszych domów na nizinach.

Potem król zszedł z murów i wrócił do swych komnat. Patrzyłem, jak szedł samotnie przez podwórzec. Gdy był już blisko wejścia do hali, podeszli do niego książę Meldron i Paladyr. Wszyscy trzej stali razem przez chwilę. Nie słyszałem, o czym mówiono, ale widziałem, jak książę Meldron wskazał gwałtownym ruchem ku otwartej bramie. Król przez krótką chwilę patrzył gniewnie na swego syna, po czym odwrócił się i bez odpowiedzi wszedł do hali.

Książę i Paladyr pospiesznie odeszli; zniknęli mi z oczu za murem i już ich więcej nie zobaczyłem.

Przygotowania do uczty trwały cały dzień. Słońce nadal jasno świeciło, chmury zniknęły i zaczęliśmy wierzyć, że gyd, najpiękniejsza z pór roku, w końcu powróciła do Prydain. Po ponurym, niekończącym się panowaniu sollen lękaliśmy się, że świat już nigdy więcej nie zazna szczodroblewości słońca. Toteż rozkoszowaliśmy się ciepłem, krzątając się przy swych obowiązkach.

Szukałem Simona – Siawn Hy – wewnątrz i na zewnątrz murów, ale nie mogłem go znaleźć w ogólnym zamieszaniu przygotowań do uroczystości. Zmierzch zbyt szybko przyćmił słoneczny blask i powrócił chłód nocy. Toteż bez wielkiej chęci zabrałem się wraz z innymi o zmierzchu do zapalania pochodni w hali Findargad, choć oznaczało to rozpoczęcie uczty. Gdy stałem w tłumie przed halą, czekając na wejście, zdało mi się, że dojrzałem Siawna stojącego pomiędzy wojownikami Wilczej Sfory księcia. Ale nim udało mi się tam przedostać, weszli już do środka i ponownie go zgubiłem.

W niezliczonych pucharach krążących po królewskiej hali połyskiwał złociście gęsty, słodki miód pitny. Na palenisku ogień płonął wysoko, a pochodnie i świece o knotach z sitowia paliły się jasno. Piliśmy za zwycięstwo i pokonanie wrogów. Wszyscy – wojownicy i mężczyźni, panny i mężatki, dzieci i niemowlęta – wszyscy brali udział w uroczystościach. Jedliśmy, piliśmy i śpiewaliśmy. Ale cóż to były za śpiewy! Noc zmieniła się w przepiękną pieśń pochwalną, lśniący klejnot radości i dziękczynienia za nasze wybawienie.

A gdy zjedliśmy już i wypiliśmy tyle, aby się weselić i śpiewać pieśni o oswobodzeniu, Tegid zawołał, by przyniesiono do hali królewski tron. Kilku wojowników pospieszyło do komnaty króla i wnieśli na ramionach tron do hali. Zasiadł na nim król, bardziej przypominający teraz dawnego Meldryna Mawra – lśniącego złociście od ozdób – na którym ledwie było znać ostatnią niemoc. Król szerokim gestem ręki przywołał ludzi bliżej siebie.

Z powodu swej przysięgi król nie mówił własnymi ustami, ale przewodził zgromadzeniu głosem swego barda. Tegid przekazał słowa króla.

–Dzisiejszej nocy, gdy płonie w nas światło życia, słuszną rzeczą jest śpiewem i tańcem dawać wyraz naszej radości ze zwycięstwa, które odnieśliśmy. Ale przerwijmy na chwilę zabawę, aby uczcić pamięć naszych rodaków, którym Nudd odebrał życie.

Po tych słowach Tegid zaczął śpiewać dobrze znany tren. Już po pierwszych słowach pieśni dołączyli do niego wszyscy zgromadzeni w hali. Ja nie śpiewałem. Ta pieśń była równie piękna jak posępna, pełna niewysłowionego smutku. Nie mogłem śpiewać; już od samego słuchania moje oczy wypełniły się łzami, a wzruszenie ścisnęło gardło, tak że ledwie mogłem oddychać.

Inni również płakali, ich oczy w blasku pochodni lśniły od łez. Ostatnie tony długo jeszcze

dźwięczały w hali. Po jakimś czasie król ponownie pochylił się ku swemu naczelnemu bardowi i Tegid powiedział:

–Uczciliśmy pamięć umarłych, tak jak należało to uczynić. Teraz złożmy hołd żywym, którzy swoimi odważnymi i walecznymi czynami zasłużyli sobie na nagrody herosów.

Ku memu zdumieniu, pierwszym wywołanym imieniem było moje własne.

–Llyd, podejdź do tronu.

Tłum rozstąpił się przede mną, a ja niepewnie ruszyłem do przodu. Znowu przypomniałem sobie zdziwione spojrzenia, jakie wywołało moje pojawienie się, i zduszone okrzyki zdumienia wojowników na murach. Ale dlaczego? Czyżbym zmienił się aż tak bardzo? Król skinął, abym stanął przed nim; zdjął pierścień ze swego palca i podał mi. Sięgnąłem po niego, a wówczas on schwycił mnie za nadgarstek i odwrócił twarzą do tłumu.

–Ciebie przede wszystkim należy uhonorować tej nocy – powiedział Tegid na tyle głośno, aby wszyscy go słyszeli. – Narażając się na ogromne niebezpieczeństwa, z wielkim poświęceniem wyniosłeś zaklęte kamienie z miejsca, gdzie były ukryte, i obmyśliłeś, jak użyć ich do pokonania naszego wroga. Bez kamieni nigdy nie moglibyśmy zwyciężyć Nudda i jego demonicznego pomiotu Coranyid. Przyjmij zatem dowód wdzięczności od swego króla.

Wielki Król wstał i nadal trzymając mnie za nadgarstek, wyciągnął moją dłoń ku tłumowi. Potem wziął pierścień i wsunął mi go na palec. Widziałem blask pochodni migoczący w tysiącu utkwionych we mnie oczu i słyszałem pomruk zdumienia przetaczający się po hali. Ponownie ogarnęło mnie niesamowite i niezrozumiałe wrażenie, że moje pojawienie budziło w ludziach lęk.

Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym. Tegid uniósł otwarte dłonie w geście deklamacji i oznajmił głośno:

–Wiedz, że twój król wysoko ocenił twoje umiejętności i twoją odwagę. Od dziś ty jesteś herosem króla. Na dowód tego od tej pory zwać się będziesz Llew. Niech wszyscy od tej chwili witają cię: Bądź pozdrowiony, Llew, Herosie Króla!

–Llew! Llew! – zakrzyknęli ludzie żarliwie. – Bądź pozdrowiony, Llew! Herosie Króla! – Ich głosy wypełniły halę od kamieni paleniska po dach. A mnie przeszył wewnętrzny dreszcz: Llew, imię zbawiciela Albionu, było teraz moim imieniem. To, co banfaith przepowiedziała, sprawdzało się.

Gdybym wiedział, co Tegid zamyśla, przeszkodziłbym mu – i nie byłbym w tym osamotniony. Gdy bowiem zająłem miejsce po prawej ręce króla, zauważyłem stojącego na uboczu Paladyra, najwyraźniej rozwścieczonego zniwagą, jaką mu wyrządzono. Nie winiłem go za to. Paladyr został pozbawiony tytułu herosa, nie mając nawet szansy obrony;

został zhańbiony na oczach swych krewniaków i towarzyszy broni. Bardziej nie można go już było upokorzyć.

Wręczano inne dary – brosze, klejnoty, bransolety ze srebra i złota. Wywoływano inne imiona, sławiono inne czyny. Niewiele z tego widziałem, a słyszałem jeszcze mniej. Myśli kłębiły mi się w głowie, rozpaczliwie usiłowałem znaleźć sposób, żeby odwieść Paladyra od wyzwania mnie na pojedynek w próbie odzyskania swej pozycji. On poruszyłby niebo i ziemię, aby odzyskać swój honor – to było warte więcej niż jego życie. Dla wojownika utrata honoru była wstydem gorszym od śmierci. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że to zlekceważy: był bardziej dumny od króla, a Meldryn Mawr władał przecież całym Albionem.

Stałem więc obok króla – na miejscu Paladyra – gorączkowo szukając w myślach sposobu na wyplątanie się z tego groźnego i pewnie fatalnego w skutkach położenia. Wpatrywałem się w tłum zgromadzony w hali, mając nadzieję zobaczyć byłego herosa króla; ale nie mogłem go nigdzie dojrzeć. Ciągle czułem jego kipiący gniew – niczym ognisko rozdmuchiwane wicherem, pożar, który wymknął się spod kontroli.

Gdy przywołano już ostatniego wojownika i rozdano ostatnie dary, król Meldryn rozkazał świętować dalej. W tym momencie dostrzegłem szansę dla siebie. Schwyciłem Tegida za ramię.

–Czemu mi to zrobiłeś?

–Nic nie zrobiłem – odparł obojętnym tonem. – Przywilejem króla jest wybór nowego herosa, nie moim. Tak też uczynił. A ja nie dopatrzyłem się błędu w jego wyborze.

–Paladyr mnie zabije! Zatknie mą głowę na swej włóczni. Musisz porozmawiać z królem.

–To jest najwyższy zaszczyt. Masz do niego prawo; zasłużyłeś na niego.

–Nie chcę go! Zabierz go sobie z powrotem!

Tegid skrzywił się.

–Nie rozumiem cię, Llew.

–Nie jestem Llew! – warknąłem. – Nie chcę się w to mieszać! Rozumiesz?

–Za późno – powiedział oglądając się.

–Dlaczego?

–Paladyr... nadchodzi.

Paladyr kroczył ku nam przez powoli rozstępujący się tłum. Jego twarz była bez wyrazu, ale oczy płonęły gniewem. Zebrałem się w sobie i odwróciłem na jego spotkanie. Zatrzymał się

przede mną, mierząc mnie groźnym spojrzeniem. Nim zdążyłem otworzyć usta, aby zaoferować mu pojednanie, położył mi dłoń na piersi i odsunął mnie na bok. Ludzie zamarli na ten widok; nikt się nie ruszył, wszyscy wstrzymali oddech. W jednej chwili w hali zapadła cisza.

Paladyr podszedł do podnóża królewskiego tronu i rzucił się przed nim na ziemię. Meldryn Mawr spoglądał niewzruszonym wzrokiem na leżącego twarzą ku ziemi wojownika. Tegid szybko podszedł do króla i po krótkiej naradzie zapytał:

–Czego żądasz, padając przed swym królem?

Były heros nadal leżał twarzą do ziemi; nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Król szepnął do Tegida, który skinął głową i zwrócił się do leżącego plackiem wojownika.

–Powstań, Paladyrze – powiedział bard. – Jeśli masz coś do powiedzenia, wstań i powiedz.

Na te słowa Paladyr podniósł się i stanął przed królem. Zdawał się pokorny, ale nieupokorzony, gdy wyciągnął otwarte dłonie ku królowi.

–Co uczyniłem tak złego, że należało mnie odsunąć w ten sposób?

–Sugerujesz, że twój król postąpił wobec ciebie nieuczciwie? – zapytał Tegid.

–Żądam wyjaśnienia, dlaczego zostałem odtrącony – odparł posępnie.

–Nie twoją rzeczą jest żądać, Paladyrze – zauważył bard. – Twoją rzeczą jest posłuszeństwo. Niemniej jednak król pamięta o twojej lojalnej służbie i dlatego ci odpowie.

–Odpowiedz zatem – powiedział Paladyr, ledwie nad sobą panując. – Ale chciałbym to usłyszeć z ust króla – nie twoich, bardzie.

Meldryn Mawr pochylił głowę ku Tegidowi, który skłonił się, aby go wysłuchać, po czym wyprostował się i powiedział:

–Z powodu królewskiego geas jest to niemożliwe. Ale wysłuchaj słów króla i przyjmij je, jeśli chcesz. Tak mówi twój król: ci, którzy mi służą, muszą pozostać wierni mnie i tylko mnie. Ty, Paladyrze, byłeś wzorem lojalności. Tak długo, jak byłeś mi wiemy, byłeś herosem króla. Ale wyzbyłeś się swej lojalności, gdy zdecydowałeś się pójść za księciem Meldronem. Dlatego też odsunąłem cię. – Tegid przerwał na chwilę. – Tak powiedział twój król.

Wydawało się, że te słowa wywarły wielkie wrażenie na wojowniku. W mgnieniu oka stał się pokorny i skruszony.

–To ciężkie zarzuty, królu – powiedział. – Ale przyjmuję twój wyrok; pozwól mi tylko

ponownie złożyć przysięgę wierności i przyjmij jeszcze raz obietnicę mej lojalności.

Król Meldryn powoli skinął głową i Paladyr, ze spuszczoną głową, zwieszonymi rękoma, klęknął przed tronem i pochylił się przed królem, okazując wielką skruchę. Potem przysunął się jeszcze bliżej, położył głowę na piersi króla i zawołał donośnym głosem:

–Przebacz mi, królu!

Meldryn Mawr uniósł rękę i zdawało się, że przemówi. Ale ramię mu osłabło i opadło; król zamknął usta i pochylił głowę nad swym niegdyś szanowanym herosem. To był bardzo wzruszający widok dla wszystkim, którzy się temu przyglądali.

Po chwili Tegid powiedział:

–Paladyrze, złóż ponownie przysięgę wierności.

Ale Paladyr nie odpowiedział. Nie czekał nawet, aby Tegid skończył. Podniósł się, stał przez moment nad królem, po czym odwrócił się plecami do tronu. Wszystkie oczy patrzyły w ślad za byłym herosem pospiesznie opuszczającym halę.

Zdumione pomruki, które towarzyszyły zaskakującemu zachowaniu Paladyra, szybko zmieniły się w krzyki przerażenia i niedowierzania, gdy ktoś zawołał:

–Morderca! Król został zabity!

Te słowa były ostre jak noże. Podobnie jak pozostali, obserwowałem Paladyra. Na pierwszy krzyk o morderstwie obróciłem się ku Meldrynowi Mawrowi, nadal siedzącemu na tronie z pochyloną głową i rękoma na kolanach. Król był w takiej pozie, jak przed chwilą. Nie poruszył się.

A potem to ujrzałem: nóż Paladyra sterczący z piersi Meldryna, tuż poniżej mostka. Z rany wolno ciekła krew, rozlewając się w lśniący, purpurowy kwiat. Król był martwy.

Na przeciąg trzech uderzeń serca hala wstrzymała oddech w przerażającej ciszy. Potem wszystko wydarzyło się jednocześnie.

Tegid krzyknął:

–Zatrzymać go! Złapcie go!

Tłum rzucił się w kierunku tronu. Ktoś krzyczał.

Walczyłem z napierającą ciżbą, by dołączyć do Tegida. Krzyki oburzenia. Panika. Wrota do hali zamknęły się z hukiem. Dźwięk ten rozbrzmiał echem podobnym do gromu. Wojownicy wykrzykiwali sprzeczne rozkazy. W powietrzu błyskała wyciągana broń.

Książę Meldron pojawił się nagle znikąd. Podniósł do góry ręce i oznajmił głośno:

–Spokój! Spokój! Nie lękajcie się! Jestem tutaj! Wasz król jest tutaj!

I był tam też Siawn Hy – stał obok księcia, wymachując mieczem, jakby chciał obronić swego pana przed atakiem. Czyim atakiem?, zastanawiałem się. Na szczęście widok przejmującego kontrolę Meldrona podziałał uspokajająco. Panika i zamieszanie natychmiast ustały.

–Wilcza Sfora! – zawołał Meldron i wojownicy z jego elitarnego oddziału przepchnęli się przez tłum do przodu. – Jedźcie za Paladyrem. Złapcie go i przywieźcie tutaj. Ale przywieźcie go żywego. Słyszycie? Niech mu włos z głowy nie spadnie!

Wojownicy, wszyscy z wyjątkiem Siawna, który został z księciem, wybiegli wykonać zadanie. Książę odwrócił się do Tegida, który stał pochylony na ciele króla.

–Nie żyje? – powiedział, bardziej stwierdzając oczywisty fakt, niż pytając.

Bard wyprostował się; pobladła twarz wydawała się szara i posępna, głos mu drżał – ale nie potrafię powiedzieć czy z powodu smutku i żalu, czy też z powodu innych uczuć.

–Nóż przeszył serce – zaczął Tegid. – Król nie żyje. – Do mnie zaś powiedział: – Zbierz kilku ludzi. Przeniesiemy króla do jego komnaty.

Dołączyło do nas jeszcze trzech wojowników. Ostrożnie podnieśliśmy ciało. Zanieśliśmy króla do jego komnaty i ułożyliśmy go na pościeli. Tegid zdjął płaszcz i przykrył nim króla; potem odprawił wojowników i rozkazał im strzec drzwi.

Spojrzałem na Tegida stojącego w zamyśleniu nad ciałem. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. To wydawało się tak nierealne, tak podobne do snu. A jednak leżał tu Meldryn Mawr... martwy. A moim obowiązkiem, jako herosa, było chronienie go.

–Tegid... przykro mi – wyjąkałem, stając obok niego.

–Wiedziałaś, co Paladyr nosił w swym sercu? – zapytał chłodno.

–No cóż... nie, ja...

–Czy mogłeś temu zapobiec?

–Nie. Ale ja...

–A zatem nie masz sobie nic do zarzucenia. – A choć mówił łagodnie, jego głos był twardy niczym diament. – Ja również nic ci nie wyrzucam.

–Ale byłem jego herosem! – upierałem się. – Stałem obok, gdy Paladyr go zabił. Nic nie

uczyniłem. Powiniennem być... powiniennem być coś zrobić. Powiniennem go ochronić.

Bard przestał wygładzać płaszcz na ciele zmarłego. Wyprostował się gwałtownie i schwycił mnie za ramię.

–Posłuchaj mnie, Llew – powiedział cicho, ale zdecydowanym tonem. – Życie króla należy do jego ludu. Jeśli jeden z jego ludzi postanowi zdradą odebrać mu to życie, to żadna siła na ziemi nie może temu zapobiec.

Słowa Tegida były brutalnie prawdziwe. Rozumiałem, ale upłynie wiele czasu, nim będę mógł to zaakceptować.

–Co teraz zrobimy?

Bard jeszcze raz odwrócił się do króla.

–Trzeba przygotować ciało do pogrzebu. Po odprawieniu rytuałów śmierci zostanie wybrany nowy król.

–Księżę Meldron powiedział...

–Księżę Meldron przeliczył się – odparł chłodno Tegid. – Meldron musi poddać się woli bardów.

W Albionie derwidzi wybierali króla. Władza królewska nie przechodziła automatycznie z ojca na syna. Każdy z zasłużonych członków klanu mógł zostać królem, jeśli bard go wybrał. Zbytńio cenili sobie godność królewską, aby przekazywać ją niczym zużyte odzienie. Król był wybierany spośród najlepszych ludzi klanu.

–Rozumiem – powiedziałem. – Ale ty jesteś jedynym bardem, jaki pozostał wśród Llwyddi – jedynym bardem, jaki pozostał w Albionie, z tego, co wiem.

–A zatem sam dokonam wyboru. – Uśmiechnął się blado i dodał: – Teraz ja sprawuję władzę królewską, bracie. Oddam ją, komu zechcę.

38. Podróż do domu

iało króla przez trzy dni leżało w Findargad, a dni – świętowania zamieniły się w dni żałoby. W tym czasie Tegid przygotowywał Meldryna Mawra do pochówku i kierował przygotowaniem do podróży do domu, do Sycharth. Król nie zostanie pochowany w górskiej twierdzy, ale spocznie w dolinie Modornn, w kurhanie królów Llwyddi. Ciało obmyto i odziano w najlepsze szaty. Miecz i włócznię wypolerowano; tarczę pomalowano na nowo, jej okucia wypolerowano tak, że lśniły jak słońce.

Czwartego dnia ciało przeniesiono z komnaty na wóz wyłożony skórami. Potem, gdy

wszyscy, którzy przeżyli napaść Pana Nudda, zgromadzili się na podwórku, Tegid wyprowadził wóz za bramy i rozpoczęliśmy długą podróż do domu. Sześciu wojowników z włóczniami szło z każdej strony pogrzebowego wozu. Książę Meldron jechał za wozem z surowym i ponurym wyrazem twarzy. Za nim podążali wszyscy pozostali Llwyddi.

Tak opuściliśmy Findargad. Z rozkazu Tegida szedłem obok konia. Pierwszego dnia w ogóle nie rozmawialiśmy. Tegid, ze wzrokiem utkwionym w szlaku przed sobą, kroczył pogrążony w myślach. Nie wiedziałem, nad czym dumał.

Dopiero po kilku dniach zaczął dzielić się za mną swymi przemyśleniami. Uroczystym i smutnym tonem snuł wizje ponurej przyszłości: przyszłości opisanej w straszliwej przepowiedni banfaith.

–Złocisty Król w swym królestwie uderzy stopą o Skalę Niezgody. Robak gorejącego tchnienia będzie rościł sobie prawo do tronu Prydain – powiedział posępnie. Staliśmy nad górskim potokiem, czekając, aż przejdzie orszak pogrzebowy, abyśmy mogli iść dalej. – Spójrz na nich – wskazał na długą linię ludzi przechodzących w bród strumień – są zgubieni i nie wiedzą tego. Nie ma nikogo, kto by ich poprowadził. Lud bez króla to gorzej niż owce bez pasterza.

–Mają księcia Meldrona – zauważyłem. Książę na koniu stał na środku strumienia, a przed nim przeciągał pochód. Wyglądało, jakby rzeczywiście strzegł swego ludu. Zauważyłem, że Siawn stał w pobliżu, wsparty na swej włóczni. Ostatnimi dniami nie opuszczał księcia, więc nie miałem okazji porozmawiać z nim sam na sam.

Tegid spojrzał na mnie spod oka, wykrzywając usta w wyrazie gorczy.

–Książę Meldron nigdy nie zasiądzie na tronie swego ojca.

Zapytałem, co przez to rozumie, ale nie chciał mówić o tym głośno. I przestrzegł mnie:

–Nie mów o tym nikomu.

Uznałem sprawę za zakończoną. Ale gdy chwilę później znaleźliśmy się na szlaku, Tegid znowu się odezwał:

–Król zostanie pogrzebany z należyтым ceremoniałem. – Bard mówił tak cicho, że myślałem, iż mówi do siebie. – Być może nie mogę zapobiec temu, co ma się stać, ale przynajmniej dopilnuję, aby mój król spoczął w swym grobie zgodnie z prastarym zwyczajem. Nie upadliśmy jeszcze tak nisko, aby porzucać odwieczne rytuały.

–Jak sądzisz, Tegidzie, co się stanie?

Bard uniósł głowę, spoglądając w przesłoniętą chmurami dal.

–Już to wiesz – odparł.

–Jeślibym wiedział, to nie pytałbym. – Miałem już dość tych wykrętów.

–Wiesz – powtórzył i dodał tonem wyzwania: – Llew wiedziałby.

Nim zdążyłem wyciągnąć z niego coś więcej, zatrzymał nas powrót Wilczej Sfory. Wojownicy księcia przybywali z daleka, utrudzeni ostrą jazdą. Ich odzienie było brudne, a konie spienione i zabłocone. Księżę opuścił swe miejsce za wozem pogrzebowym i wyjechał im naprzeciw.

–Ciekaw jestem, co znaleźli – zauważyłem, obserwując księcia i jego wojowników pogrążonych w rozmowie w pewnej odległości od nas.

–Czemu cię to ciekawi? – zapytał cierpko Tegid. – Ślepy jesteś?

–Chyba tak – warknąłem.

–Otwórz oczy! Czy muszę mówić ci, co masz przed nosem?

–Wilcza Sfora wróciła – powiedziałem z rozdrażnieniem. – Księżę z nimi rozmawia.

–Czy jest z nimi Paladyr? – zapytał Tegid z przekąsem.

–Nie... nie ma go.

–A zatem?

–Zatem go nie znaleźli. Paladyr musiał uciec.

–Paladyr uciekł. – Tegid przewrócił oczyma. – Ci ludzie potrafią wytropić odyńca w największej leśnej głuszy. Potrafią na śmierć zagonić jelenia. Potrafią ścigać orła w locie i znaleźć jego gniazdo. Jakże więc uciekł im Paladyr?

–Puścili go wolno? Ale dlaczego mieliby to zrobić?

–Rzeczywiście, dlaczego?

To było wszystko, co udało mi się z niego wydobyć. Potem księżę ponownie zajął swe miejsce za wozem. Pochód ruszył dalej w trudną i daleką drogę. W trakcie wędrówki, rozważając każde słowo, starannie analizowałem w myślach aluzje Tegida.

Był bez reszty zaabsorbowany przepowiednią banfaith i bezwzględnie chciał widzieć mnie jako spełniającego ją. Już samo to było wystarczająco niepokojące, ale jeszcze bardziej zatrważające były jego napomknienia o odpowiedzialności księcia Meldrona za śmierć swego ojca. Jeśli Meldron był w to zamieszany, to również i Simon. Byli niemal nierozłączni!

Nieprawdopodobieństwem było, aby księżę mógł zaplanować coś tak zdradzieckiego i niszczycielskiego bez wiedzy Simona. Być może Simon brał udział... być może uczynił coś więcej...

Na myśl o tym zmroziło mnie do szpiku kości. Co zrobił Simon?

Przez dłuższy czas rozważałem to ze wszystkich stron. Ale dzień był jasny i pogodny, słońce grzało skórę. Pomimo tych wszystkich obaw, roztaczające się przede mną widoki ponownie przyciągnęły mą uwagę. Na górskich zboczach nadal leżała gruba warstwa śniegu, szlak też w większości był nim jeszcze pokryty. Ale śnieg zaczynał już topnieć; brunatne i szare kamienie sterczały na białym tle, czasami można było nawet dojrzeć trochę zieleni.

Jakby dla ukojenia spustoszonej przez sollen krainy, gdy szybko odzyskiwał swe miłe panowanie. Strumieniami i potoczkami spływał topniejący śnieg, woda kapiała z każdej skały. Niebo przez większość czasu pozostawało czyste, a słońce miłe grzało. Noce były chłodne, a ziemia mokra, ale rozpalaliśmy duże ogniska i spaliśmy na skórach. Przy zwłokach króla wojownicy trzymali straż, zmieniając się w ciągu nocy.

Przypadek sprawił, że pewnej nocy, w grupie, z którą obejmowałem straż, znalazł się Simon. Poczekalem, aż przyjdą nas zmienić i wówczas do niego podszedłem. Od długiego czasu była to pierwsza okazja, by porozmawiać z nim prywatnie.

–Siawn – powiedziałem, używając milszego mu imienia. Dotknąłem jego ramienia.

Simon odwrócił się z pięściami gotowymi do walki, z zawziętą twarzą, oświetloną blaskiem wschodzącego księżyca. Spojrzał na mnie, ale niczym nie zdradził, że mnie poznał. Moja obecność nie budziła w nim lęku, tak jak w innych.

–Llew – powiedział z szyderstwem. – Czegóż to chce ode mnie potężny Llew?

Jego szyderstwo rozgniewało mnie.

–Chcę z tobą porozmawiać – odparłem. Wtedy Simon odwrócił się, by odejść, ale ja ruszyłem za nim.

–Simon, co się dzieje? W co ty się wplątałeś?

Simon odwrócił się do mnie z gniewem.

–Jestem Siawn Hy!

–Siawn – powiedziałem pospiesznie – co wiesz o Paladyrze?

Na dźwięk imienia zbiega zwęziły mu się oczy.

–Nic – powiedział z groźbą w głosie. Chciał się znowu odwrócić, ale schwyciłem go za ramię i powstrzymałem.

–Nie skończyłem – powiedziałem.

–Nie mam ci nic do powiedzenia – rzucił. – Idź swoją drogą, Llew. – Schwycił mnie za nadgarstek i odepchnął rękę. Jego oczy płonęły namiętną, zjadliwą nienawiścią. Biły od niego fale gniewu. Ruszył do przodu.

–Czekaj! – zawołałem, rozpaczliwie chcąc go zatrzymać. – Siawn, poczekaj, chcę się do was przyłączyć!

Simon zatrzymał się zeszywniały.

–Przyłączyć się do nas? Co masz na myśli?

–Wiesz, co mam na myśli – powiedziałem, a choć serce waliło mi jak oszalone, mój głos brzmiał spokojnie. – Uważasz mnie za głupca? Widzę, co się dzieje. Chcę się do was przyłączyć.

Simon zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem, usiłując odkryć intencje kryjące się za moimi słowami.

–Masz posłuch u księcia – nalegałem. – Widziałem, jak na tobie polega, Siawn. Bez ciebie byłby nikim.

Wyprostował się sztywno i myślałem, że odejdzie. Ale był zbyt zaintrygowany.

–Wyrażaj się jasno – powiedział. – Słucham.

–Meldron pragnie zostać królem – rzekłem. – Mogę mu w tym pomóc.

–Jak?

–Tegid nie pozwoli na to. Będzie chciał temu zapobiec.

–Tegid jest bez znaczenia. Jeśli stanie nam na drodze, zabijemy go.

–Nie – odparłem – potrzebny wam żywy.

–Bardowie! – W jego ustach to słowo zabrzmiało jak przekleństwo. – Meldron będzie królem, pomimo wścibstwa bardów. Wszystko się zmieni, gdy Meldron zasiądzie na tronie.

–Lud się zbuntuje – zauważyłem. – Nigdy nie poprą króla, który zabił swego barda. Ale jest łatwiejszy sposób. Jeśli zobaczą, że Tegid zgodnie z obyczajami przekazuje królewską władzę Meldronowi, nie będą tego podawać w wątpliwość.

–Potrafisz tego dokonać?

–Mogę pomóc. Cieszę się zaufaniem Tegida; wiele mi mówi. Mogę wam być bardzo pomocny – powiedziałem. – Ale chcę czegoś w zamian.

To Simon rozumiał.

–Czego chcesz?

–Chcę miejsca przy Meldronie, gdy zostanie królem – powiedziałem po prostu. – Chcę przyłączyć się do Wilczej Sfory.

–To prawda, że cieszę się posłuchem u księcia – powiedział, nie mogąc powstrzymać się od przechwałki. – Wstawię się za tobą u niego. Powiem księciu o twojej sprawie. – Zniżył głos. – Być może Meldron będzie chciał mieć jakiś dowód twojej lojalności.

–Jaki?

Simon zastanawiał się chwilę. Jego oczy błyszczały przebiegle w świetle księżyca.

–Dowiedz się, co Tegid planuje po dotarciu do Sycharth.

–Trzeba będzie na to czasu – skłamałem. – Będę musiał wyciągnąć to z niego, nie budząc przy tym podejrzeń.

To nie powinno być zbyt trudne dla potężnego Llewa. – W jego głosie znowu pojawiła się szydercza nuta.

–Dobrze, zrobię to.

Simon ścisnął mnie za ramię. Skuliłem się pod jego dotknięciem.

–W porządku – powiedział. – Księżę będzie zadowolony.

Wyprostował się butnie i odwrócił. Patrzyłem, jak jego nadęta postać znika w ciemnościach.

Następnego ranka, gdy przygotowywaliśmy się do drogi, podszedłem do Tegida i zapytałem go:

–Kiedy jest Beltain?

Bard pomyślał chwilę – nic w tym dziwnego, ponieważ nienaturalnie długa solen w znacznym stopniu uniemożliwiała regularne obserwacje słońca.

–Przypada... – znowu zamilkł, kontynuując swoje obliczenia – na trzeci wschód słońca, licząc od dzisiejszego.

–Nie dotrzemy na czas do Sycharth – zauważyłem.

–Nie – przyznał Tegid – nie dotrzemy do kern na czas, by świętować Beltain.

–Gdzie zatem odprawimy uroczystości?

–W jednym ze świętych miejsc na szlaku – odparł – jest ich kilka. Tu w pobliżu jest kurhan z menhirem. Powinniśmy do niego dotrzeć pojutrze. To będzie dobre miejsce.

Tak, pomyślałem, to będzie dobre miejsce. Przez następne dwa dni obserwowałem uważnie księcia i jego świtę – i wiedziałem, że mnie również obserwowano. Wczesnym wieczorem drugiego dnia, gdy zabieraliśmy się za rozbijanie obozu na noc, Simon podszedł do mnie, gdy połem konie.

–Co masz dla mnie? – Zbyt pilno było mu to wiedzieć. Księcia i jego herosa zżerała ambicja. Wiedziałem, że ich dostałem.

–Nie tutaj! Tegid jest podejrzliwy. Nie może nas razem zobaczyć – powiedziałem ostro, oglądając się nerwowo za siebie. – Niedaleko stąd jest kurhan z menhirem. Jutro będziemy go mijać. Spotkajmy się tam o świcie.

Simon, skryty z natury, zaakceptował to bez protestu.

–A zatem o świcie – zgodził się. – Przy menhirze.

–I przyjdź sam – ostrzegłem. – Im mniej ludzi o tym będzie wiedzieć, tym lepiej.

–Nie rozkazuj mi! – warknął.

Potem rozstaliśmy się i wróciłem na swe miejsce przy ognisku Tegida. Zjedliśmy w milczeniu nasz skromny posiłek, po czym rozłożyliśmy skóry na wilgotnej ziemi. Czuję niepokój w myślach i sercu, ale Tegid zdawał się tego nie zauważać; bez wątpienia i tak miał dość na głowie.

Tej nocy, dobrze przed świtem, obudziłem się ze swego niespokojnego snu, wziąłem włócznię, otuliłem się płaszczem i chyłkiem wymknąłem się. Trzymałem się z dala od innych ognisk, ominąłem miejsce spoczynku księcia i jego ludzi i wyszedłem na szlak. Starąłem się nie myśleć o tym, co mnie czekało ani co musiałem zrobić.

Podążałem krętą ścieżką, schylając się pod zwisającymi nisko gałęziami i omijając czarne pnie drzew. Gdy tak samotnie wędrowałem przez las, zaczęły mnie nachodzić obawy. A może Simon nie przyjdzie sam, może przyprowadzi z sobą księcia? Wtedy mój plan nie powiedzie się. W końcu moim oczom ukazało się miejsce spotkania. Niebo na wschodzie zaczynało już jaśnieć. Chodziłem niecierpliwie wokół dużego, porośniętego trawą pagórka ze smukłym palcem menhira sterczącym na szczycie. Teraz zacząłem się martwić, że

Simon w ogóle nie przyjdzie.

Nie zawiódł mnie jednak. Miał dostatecznie wielkie ambicje, abym mógł mieć pewność, że uczyni dokładnie to, co powiedziałem. Spostrzegłem, jak nadchodził w przyćmionym świetle przedświt, i zmusiłem się do wzięcia trzech głębokich, uspokajających oddechów. Uniosłem włócznie gestem powitania.

Uśmiechnął się do mnie swym przebiegłym, pełnym wyższości uśmiechem.

–No to jestem. Co masz dla mnie?

–Rozmawiałeś z księciem?

–Tak – odparł, podchodząc bliżej. – Okaże swą wdzięczność, gdy przyjdzie czas. Zobaczysz.

–Dobrze. – Rzuciłem szybkie spojrzenie na niebo. To był czas-pomiędzy-czasem. – Przejdź się ze mną – powiedziałem.

Widziałem, że Simon uznał to za dziwaczną prośbę, ale posłuchał.

–To nie będzie łatwe – zacząłem wolno, idąc wokół podnóża kurhanu. – Jak wiesz, Tegid bywa bardzo trudny. Nie należy do tych, którzy otwarcie dyskutują o tym, co myślą. On jest bardem – wiesz, jacy oni są.

–Mów dalej – powiedział.

–Chciałem tylko ci uświadomić, że niełatwo było wydobyć z niego informacje. Były pewne kłopoty.

–Powiedziałem ci, że Meldron jest gotów dać ci nagrodę, jeśli zasłużysz – rzekł Simon. Nagle stał się podejrzliwy. – Czego jeszcze chcesz?

–Jeszcze do tego wrócimy. A teraz słuchaj, oto, czego się dowiedziałem: gdy tylko dotrzemy do Sycharth, Tegid zwoła zgromadzenie bardów, aby pomogli zdecydować mu, co robić.

–Dlaczego? Nie wie, co ma zrobić? – Simon zatrzymał się, marszcząc sceptycznie brwi.

–Nie rozumiesz – powiedziałem bez ogródek. Nie przerwałem marszu; Simon ruszył za mną i zakończyliśmy pierwsze okrążenie pagórka. – Najpierw trzeba pogrzebać Meldryna Mawra. Wybór nowego króla wymaga czasu.

–Ile czasu?

–To nie jest ważne. – Szedłem dalej.

–Ile czasu? – dopytywał się Simon.

–Przynajmniej dwadzieścia dni – powiedziałem, biorąc tę liczbę z powietrza. – Gdy bardowie już się zbiorą – a my nawet nie wiemy, ilu ich zostało – trzeba będzie poczynić przygotowania, odprawić określone rytuały i ceremonie.

–To wszystko już wiemy – odparł Simon, nieporadnie próbując zbić mnie z tropu. – Co jeszcze?

Zatrzymałem się i odwróciłem do niego, ściskając mocno włócznię w dłoniach.

–Skoro tyle wiesz – warknąłem – to po co ci moja pomoc? Chcesz się dowiedzieć, co odkryłem, czy nie?

–Jestem tutaj – odparł zwięźle. – Słucham.

Znowu zacząłem swą wędrówkę, udając posępne zamyślenie. Fortel się udał. Poszedł za mną.

–Czego jeszcze się dowiedziałeś? – zapytał tonem ugody.

–No cóż – odparłem wolno – myślę, że Tegid będzie czekał, aż zbiorą się wszyscy bardowie, a potem będzie zwlekał z wyborem.

–Zwlekał? Czemu miałby zwlekać z wyborem?

–Jest takie prastare prawo – odparłem, cedząc słowa – które zezwala bardowi na zgromadzenie wszystkich mężczyzn klanu, by ubiegali się o tron.

–Na czym miałyby to polegać? – Simon był zaintrygowany, tak jak się spodziewałem.

–To bard o tym decyduje – blefowałem, kończąc drugie okrążenie kurhanu zgodnie z ruchem słońca i zaczynając trzecie. – Zwykle są to zawody w sztuce walki – próby siły, sprawności ręki, jazdy konnej – testy odwagi i bystrości. – Przerwałem na chwilę, pozwalając, aby te słowa zapadły mu w duszę, po czym powiedziałem: – Król zostanie wybrany spośród tych, którzy wypadną najlepiej w zawodach – powiedziałem – nie tylko spośród książąt i wodzów.

Simon zjeżył się.

–Po co wybierać w ten sposób nowego władcę, kiedy jest dziedzic królewskiej krwi, przygotowany do przejęcia korony, która mu się słusznie należy? – Zacisnął szczęki sprowokowany moimi słowami. Wiedziałem już, że rozmawiam z nim właściwie. Wiedziałem, co zrobił, i domyślałem się, jak tego dokonał.

Simon rozpalil ambicje księcia Meldrona, prawiac mu o prawie dziedziczenia: wladza

królewska przechodząca z ojca na syna za sprawą więzów krwi, a nie osobistych zalet. Simon, który przez całe życie otrzymywał niezасłużone przywileje, był orędownikiem tej idei. I nie miał najmniejszych kłopotów z przekonaniem słabego i żądnego władzy księcia, że ma prawo do tronu ojca.

Jednakże nie w taki sposób obierano w Albionie króla: królowie byli wybierani spośród najlepszych ludzi klanu; a bardowie, którzy posiadali moc przyznawania królewskiej władzy, dokonywali wyboru.

Czyżby omamił księcia Meldrona wizją królewskiej władzy, którą można zdobyć bez zasług, bez błogosławieństwa barda? Władzy królewskiej, którą zdobywało się drogą urodzenia, a nie poświęcenia?

Nie wiedziałem, kto zabił Phantarcha; nie potrafiłem się nawet domyśleć, jak go znaleziono. Ale byłem absolutnie pewny jednego: Simon, który usiłował znaleźć sobie miejsce w tym świecie, przyniósł z sobą obce idee. Jego herezje były odpowiedzialne za śmierć Ollathira, Phantarcha, króla i niezliczonych tysięcy zabitych przez Nudda i jego hordy. Egoistycznie próbował wziąć, co nie mogło być jego, stworzyć porządek, który służyłby jego egoistycznym interesom.

Nie dbał o nic i nie wiedział nic o prawdziwej królewskiej władzy. Nic nie wiedział o Pieśni czy Cythrawlu. Ani o mocach i siłach, które uwolnił swymi zdradliwymi słowami – nawet teraz! On dbał jedynie o siebie. Jego pycha niemal zniszczyła Albion i należało go powstrzymać. Nadszedł czas odejścia Simona.

Poszliśmy jeszcze kawałek dalej, kończąc trzecie okrążenie kurhanu. Niebo jaśniało na powitanie słońca, jarząc się delikatnym różem. Simon milczał przez kilka chwil, myśląc nad tym, co mu powiedziałem.

–Zgromadzenie Tegida – powiedział w końcu – kiedy się zacznie?

–Musi odbyć się pomiędzy kolejnymi nowiami księżycy, kiedyś po Beltain i przed Samhain – powiedziałem.

–Beltain już niedługo – zauważył Simon.

–Tak – przyznałem. – Bardzo niedługo. Zaszedłem go szybko z boku, pochylając jednocześnie włócznię. Simon spojrzał na ostrze i chciał je odepchnąć.

–Stój spokojnie – powiedziałem. – To już koniec, Simon. Wracasz.

–Wracam? – zapytał kompletnie zaskoczony.

–Do domu, Simon. Ty nie należysz do tego świata. To nie jest twój świat. Wyrządziłeś tu wiele zła i trzeba temu położyć kres. – Simon wziął oddech, aby zaprotestować, ale nie

dopuszciliem go do głosu. – Odwróć się – rozkazałem, kierując go ku kurhanowi ostrzem swej włóczni.

–Nie ośmielisz się mnie skrzywdzić – prychnął, odrzucając płaszcz i sięgając po swój miecz. Szybkim ruchem włóczni skaleczyłem go w ramię. Spojrzał na spływającą z zadraśnięcia krew i wpadł w gniew.

–Umrzesz za to!

–Odwróć się, Simon – rozkazałem.

Simon rzucił mi gniewne spojrzenie i zawahał się.

–Chcesz tego dla siebie! Sam chcesz być królem.

–Ruszaj! – Dźgnąłem go włócznią i podszedłem bliżej. – Jestem tuż za tobą.

–Pożałujesz tego – zagroził mi. – Przrzekam, że umrzesz żałując tego.

–Zaryzykuję – powiedziałem, podchodząc jeszcze bliżej i przyciskając ostrze włóczni do jego żeber. – Ale ty wrócisz tam, gdzie twoje miejsce. A teraz ruszaj!

Simon odwrócił się i podszedł sztywno do mrocznego otworu, który ział w podstawie kurhanu, niczym wejście do jaskini. Rzucił mi ostatnie mordercze spojrzenie, pochylił się i wszedł.

Nie traciłem ani chwili na świętowanie swego sukcesu. Przejście do tamtego świata nie pozostanie długo otwarte. Simon miał rację, już żałowałem tego, co uczyniłem – ale nie z powodów, które sugerował. Spojrzałem na świetlisty Albion ostatni raz i uświadomiłem sobie, jak bardzo go pokochałem i jak bardzo będzie mi go brakowało. Ze smutkiem i wielką niechęcią oparłem włócznię o zbocze kurhanu. Potem, szepcząc słowa cichego pożegnania, pochyliłem głowę i wszedłem w ciemne wejście.

39. Powrót

e wewnątrz kurhanu panowały ciemności. Miałem uczucie duszącej ciasnoty, jakbym znalazł się na powrót w łonie. Nie widziałem Simona, nie słyszałem go ani nie wyczuwałem jego obecności. Musiał już przejść na drugą stronę. Lękając się, że wejście zamknie się lada moment i stracę szansę powrotu – a jeśli ją stracę, to nie będę miał dość siły, aby zmusić się do zrobienia tego następnym razem – wziąłem głęboki oddech i wszedłem w straszliwą pustkę oddzielającą oba światy.

Uderzył we mnie dziki podmuch wicheru i zachwiałem się na wąskim przęśle. Rozpostarłem ramiona dla utrzymania równowagi i posunąłem nogę do przodu po ostrej krawędzi, nie bacząc na rozdzierające wycie wicheru i przyprawiające o zawroty głowy balansowanie nad

bezkresną i niewidzialną otchłanią.

Ostra krawędź mostu wrzynała mi się w stopy, przesuwałem się po niej ostrożnie. Bezlitosny wicher smagał mnie ze wszystkich stron. Walczyłem o oddech, walczyłem z paraliżującym lękiem napływającym ku mnie z targanych wichrem ciemności. Zebrałem resztki szybko gasnących sił i przesunąłem się jeszcze dwa kroki po moście miecza.

Miałem wrażenie, że moje odzienie zostało poszarpane na strzępy i zdarte z ciała, jakby obrał mnie do kości przenikliwy wicher. Odwagi, powiedziałem sobie, zaraz będzie po wszystkim.

Zrobiłem następny krok.

Stopa trafiła w pustkę i spadłem... nieważki, z żołądkiem podchodzącym do gardła, pogrążyłem się w bezkresnej nocy, zagryzając dolną wargę, aby nie krzyknąć... spadałem przez czas i przestrzeń, wirując przez niezliczone warstwy królestwa możliwości, przez Ziemię czasów, których nigdy nie było, i potencjalnych przyszłości, których nigdy nie będzie, nurkowałem w niewysłowienie bogatym, niezemskim oceanie transcendentalnego wszechświata. Upadłem, lądując na lewym boku. Leżałem przez chwilę na ubitej ziemi – dopóki nie przestało mi się kręcić w głowie – a potem otworzyłem oczy w przyćmionym wnętrzu z szarego wapienia.

Zginałem nogi i ręce, ale nie odkryłem żadnego złamania. Podniosłem się powoli i stanąłem na nogach. Słabe, zimne światło wpadało do przypominającego ul wnętrza kamiennego kurhanu. Simona nigdzie nie było widać. Podeszedłem do niskiego wyjścia, schwyciłem się zimnej, kamiennej krawędzi otworu i wyciągnąłem się ponownie na świat jawy.

Był mroźny, zimowy świt. Słońce właśnie wschodziło. Ziemię pokrywał całun drobnego śniegu. Przez drzewa rosnące nad górską dolinką przezierало szare, wyblakłe niebo. Wyszedłem z kamiennego kurhanu na świat niewyobrażalnie smutny i beznadziejny. W pierwszej chwili pomyślałem, że trafiłem w złe miejsce, że przeszedłem do świata cieni, powierzchniowego, mdłego odbicia świata, który zostawiłem za sobą. Ale potem zobaczyłem... namiot Stowarzyszenia Metafizycznych Archeologów.

Przy małym ognisku siedział na składanym krzeselku i popijał parującą kawę człowiek, którego rozpoznałem – tak jak poznaje się postaci ze snu – nazywał się... nazywał się... Weston. To był Weston, kierownik wykopalisk, a naprzeciw niego siedział profesor Nettleton. Ujrzałem ich i zrozumiałem, że wróciłem do domu.

Na moje barki spadł przytłaczający ciężar tej świadomości.

Ten świat nie był już teraz taki, jak przedtem. Kruchy, pozbawiony barw, nużący świat, który przed sobą zobaczyłem, sprawiał wrażenie zrobionego na próbę, tymczasowego. Wszystko – drzewa, skały, ziemia, niebo i posępne, zimowe słońce – zdawało się cieniem istnienia – niczym szybko zanikająca pamięć. Świat, który ujrzałem, nie dawał poczucia

trwałości ani rzeczywistego istnienia. Efemeryczny, nietrwały, sprawiał wrażenie chwilowego zjawiska – mirażu, który może w każdej chwili się rozpuścić.

Zauważyłem, że Weston i profesor Nettleton również się zmienili, nieznacznie, ale zauważalnie: ich rysy były bardziej pospolite, ciała drobniejsze i bardziej niezdarne. Wydawali się szczuplejsi, w pewnym sensie mniej fizycznie obecni. Mieli w sobie coś osobliwie upiornego, jakby byli uczepieni cielesnej egzystencji jedynie najcieńszą z nici, jakby atomy tworzące ich ciała mogły z lada powodu rozbiec się.

Weston wstał nagle i wszedł do namiotu. Gdy tylko zniknął mi z oczu, skoczyłem do przodu, a mój ruch przyciągnął uwagę Nettletona. Spojrzał w moją stronę. Na jego sowej twarzy pojawił się wyraz szczerzego zaskoczenia.

–O mój Boże! – szepnął.

Było oczywiste, że mnie nie poznał. A czemu miałby? Byłem ubrany jak bohater Mabinogion – począwszy od srebrnego torquesu na szyi po skórzane ciżmy na nogach, spodnie, koszulę i płaszcz w jaskrawą szachownicę. Profesor czekał, ale z całą pewnością nie spodziewał się, że z kamiennego kurhanu wypełźnie celtycki wojownik.

Ostrożnie ruszyłem, świadom wstrząsającego wrażenia, jakie musiało wywołać w nim moje pojawienie się.

–Nie lękaj się – powiedziałem.

Zszokowany Nettles gapił się na mnie, nic nie rozumiejąc. Myśląc, że mnie nie usłyszał, powtórzyłem moje słowa i wówczas zdałem sobie sprawę, że mówię w prastarym języku celtyckim. Dobrą chwilę trwało i kosztowało mnie nie lada wysiłek znalezienie angielskich słów.

–Proszę – powiedziałem – nie lękaj się. – Mój głos zabrzmiał chrapliwie i niezdarnie.

Jeśli mój celtycki go zaskoczył, to mój ojczysty język przeraził go. Profesor Nettleton, dygocząc jak ratlerek, wyciągnął ręce, jakby chciał mnie trzymać z dala od siebie.

–Wszystko... wszystko w porządku – powiedziałem. – Wróciłem.

Profesor przyglądał mi się badawczo w nikłym świetle zza swoich okrągłych okularów.

–Kim jesteś?

Nie potrafię opisać wrażenia, jakie zrobiły na mnie te dwa niewinne słowa. Przeszyły mnie niczym ostre włócznie. Wszystko podeszło mi do gardła. Dech mi zaparło, przycisnąłem pięści do oczu.

–Kim... jesteś? – powtórzył wolno profesor, starannie wymawiając słowa, jakby mówił do obcokrajowca lub szaleńca. Potem powtórzył to samo po walijsku, co jedynie pogłębiło we mnie uczucie obcości.

Minęła chwila, nim byłem w stanie wydobyć z siebie głos.

–Jestem... jestem... jestem... – jąkałem się. Słowa więzły mi w gardle. Nie potrafiłem zmusić się do wymówienia własnego imienia.

Profesor przysunął się bliżej, najwyraźniej zaczynając rozumieć.

–Lewis? – zapytał cicho. – Czy to ty?

W rzeczy samej pytanie profesora było trafniejsze niż myślał. Kim byłem? Czy byłem Lewisem, absolwentem Oksfordu, który został wciągnięty w nieprawdopodobną przygodę nie z tego świata? A może byłem Llewem, odmieńcem, który każdą nogą był w innym świecie?

Nettles zakradł się bliżej. Spojrzał szybko na namiot.

–Lewis?

–T...tak... to jest Lew... Lwis – powiedziałem zduszonym głosem, potykając się na własnym imieniu. Z wysiłkiem układałem język, by pasował do słów w mej ojczystej mowie.

–Obserwowałem – powiedział Nettles. Podszedł bliżej, nie odrywając ode mnie oczu – patrzył na mnie jak na cud. – Czekałem.

–Wróciłem – rzekłem. – Wróciłem z powrotem.

–Popatrz na siebie – wyszeptał z lękiem w głosie. Oczy błyszczały mu jak dziecku na Boże Narodzenie. – Spójrz na siebie! – Uniósł drżącą rękę, by dotknąć mego płaszcza. – Dlaczego... to... to jest cudowne!

Spotkałem się już poprzednio ze zdziwieniem i podobnie trwożnym niedowierzaniem – na twarzach wojowników na murach i w oczach zebranych w hali Meldryna Mawra. Wiedziałem, że moja podróż do tamtego świata zmieniła mnie; a wnosząc z reakcji innych, kontakt ze śpiewającymi kamieniami z komory Phantarcha zmienił mnie jeszcze bardziej. Ale stojąc w chłodnym, nikłym świetle tego nędznego, patetycznego świata, w końcu zrozumiałem: ja nie zmieniłem się, ja uległem transformacji.

Rozłożyłem ręce i spojrzałem na siebie. Moje dłonie były twarde, ramiona muskularne i silne; nogi miałem proste, mocarne, tułów szczupły, dobrze umięśniony, pierś szeroką, solidne bary. Sięgnąłem dłonią do twarzy i wyczułem pod palcami prosty nos i mocne szczęki. Ale zmiany nie miały jedynie fizycznej natury. Otaczała mnie aura, nimb chwały,

którą opromieniło mnie moje spotkanie z Pieśnią.

Lewisa nie było. W jego miejscu stał Llew.

–Co się stało? – zapytał Nettles, z twarzą ożywioną gorącym pragnieniem. – Znalazłeś Simona? Powstrzymałeś go? Jak tam było?

Jak miałbym opowiedzieć o tym, co widziałem? W jaki sposób miałbym rozpocząć opis tamtego świata, ubrać w słowa to wszystko, co mi się przydarzyło?

Stałem, wpatrując się w mego przyjaciela, a sprzeczne uczucia kłębiły się we mnie. Wyglądał tak marnie, krucho i nieznaczaco. Zakłopotany widocznym ubóstwem jego nędznej egzystencji, chciałem podnieść go na duchu, sprawić, by zobaczył to, co ja widziałem, by dowiedział się tego, co ja wiedziałem. Chciałem, aby przespał się pod nieprzyćmionymi gwiazdami Albionu, poczuł na twarzy świeży powiew wiatru z dziewiczo zielonych dolin; pragnąłem, aby usłyszał wzruszające do głębi duszy tony harfy Prawdziwego Barda, aby wyczuł smak soli w powietrzu na Ynys Sci i niewysłowioną słodycz pitnego miodu; pragnąłem, aby poczuł pod stopami litą skałę niezrównanych gór Prydainu, zobaczył złocisty błysk ognia odbitego w królewskim torquesie, doświadczył radosnego uniesienia chwały po walce. Pragnąłem pokazać mu to wszystko i jeszcze więcej. Pragnąłem, aby odetchnął głęboko lepszym, bogatszym życiem tamtego świata, napił się z czary, z której i ja kosztowałem... usłyszał niezrównaną Pieśń.

Pragnąłem pokazać mu Raj, który odkryłem w Albionie, ale wiedziałem, że nie mogę tego uczynić. Choćbym nie wiem jak próbował, nigdy nie zrozumie. Przepaść pomiędzy nami była zbyt wielka. Samymi słowami nigdy nie da się zmierzyć odległości ani opisać okrutnego zniszczenia, jakie zagraża temu wspaniałemu światu.

Ale oszczędzone mi zostało szukanie odpowiedzi, ponieważ profesor Nettleton położył mi dłoń na ramieniu i pochylił się bliżej:

–Niestety, nie mamy zbyt wiele czasu. Tamci – wskazał głową w kierunku namiotu i wiedziałem od razu, kogo miał na myśli – wrócą lada chwila. Są już bardzo blisko przedarcia się – wiedzą o tym portalu. Zdołałem włączyć się w ich wykopaliska, aby mieć ich ciągle na oku. Ale nie możemy pozwolić, by odkryli twoją obecność.

–Gdzie jest Simon? – zapytałem. Język plątał mi się i układał niezdarnie w słowa.

–Simon? – Profesor wydawał się zaskoczony. – Ależ ja nie widziałem Simona. Tylko ty wróciłeś.

Gdy tak stałem, usiłując zrozumieć, co się stało, spostrzegłem, że nikłe światło jeszcze bardziej przygasło; było ciemniej niż kilka chwil temu... dziwne.

Spojrzałem przez ramię ku kamiennemu kurhanowi... kotlinka pogrążyła się w ciemności,

mrok gęstniał. W górze krążył wolno kruk, obserwując nas w milczeniu... Wtem uświadomiłem sobie, że to wcale nie był świt... ale zmierzch. W tym świecie dzień szybko zmierzał ku zmierzchowi i czasowi-pomiędzy-czasem. Wkrótce otworzy się portal wewnątrz kamiennego kurhanu Carnwood.

A jeśli Simon nie wrócił...

Dostrzegłem znaki i poczułem żywiołowy przyływ natchnienia. Słyszałem Pieśń – płynącą przez niewidzialną odległość dzielącą światy. Usłyszałem Pieśń i wiedziałem, że wojna o Raj w tej właśnie chwili rozprzestrzeniła się na ten świat. A ja teraz musiałem dokonać wyboru.

Nettles przyglądał mi się badawczo. Odwróciłem się ku niemu i uniosłem rękę w geście pożegnania. Potem ruszyłem ku prastaremu kamiennemu kurhanowi. Słyszałem profesora Nettletona wołającego za mną:

–Żegnaj, Lewis! Niech cię Bóg prowadzi!

A potem inny głos – głos Westona, podniecony, zatrwożony:

–Czekaj! Stój! Zatrzymajcie go, szybko! – wołał.

Słyszałem za sobą szybkie kroki na zamarznętej ziemi.

–Nie! Proszę! Wróć!

Ale ja nie zatrzymałem się. Nie zawróciłem. Ja słyszałem Pieśń Albionu i moje życie nie należało już do mnie.

Spis treści

1. Tury na tapecie... 7
2. Półmisek zgubnego losu... 13
3. Zielony Człowiek... 28
4. U wrót na zachód... 33
5. Kamienny kurhan... 44
6. Wielki kawał... 51
7. Szalony Nettles... 61
8. Zgodnie z ruchem Słońca... 78
9. Węzeł bez końca... 91
10. Serb... 101
11. Przejście... 111
12. Raj... 124
13. Chrzest krwią... 135
14. Ker Modornn... 144
15. Sycharth... 156
16. Llys Meldryna... 168
17. Droga do Ynys Sci... 184
18. Szkoła Scathy... 193
19. Sollen... 206
20. Gorsedd bardów... 219
21. Cythrawl... 232
22. Llew... 243
23. Dzień Zmagania... 259
24. Twrch... 266
25. Wojna o Raj... 275
26. Światło przewodnie... 288
27. Ucieczka do Findargad... 302
28. Polowanie... 314
29. Nocne łowy... 326
30. Bitwa o Dun na Porth... 341

31. Rada królewska... 355

32. Kocioł... 363

33. Serce Serca... 368

34. Domhain Dorcha... 377

35. Śpiewające kamienie... 386

36. Pieśń... 397

37. Heros króla... 402

38. Podróż do domu... 412

39. Powrót... 423

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/